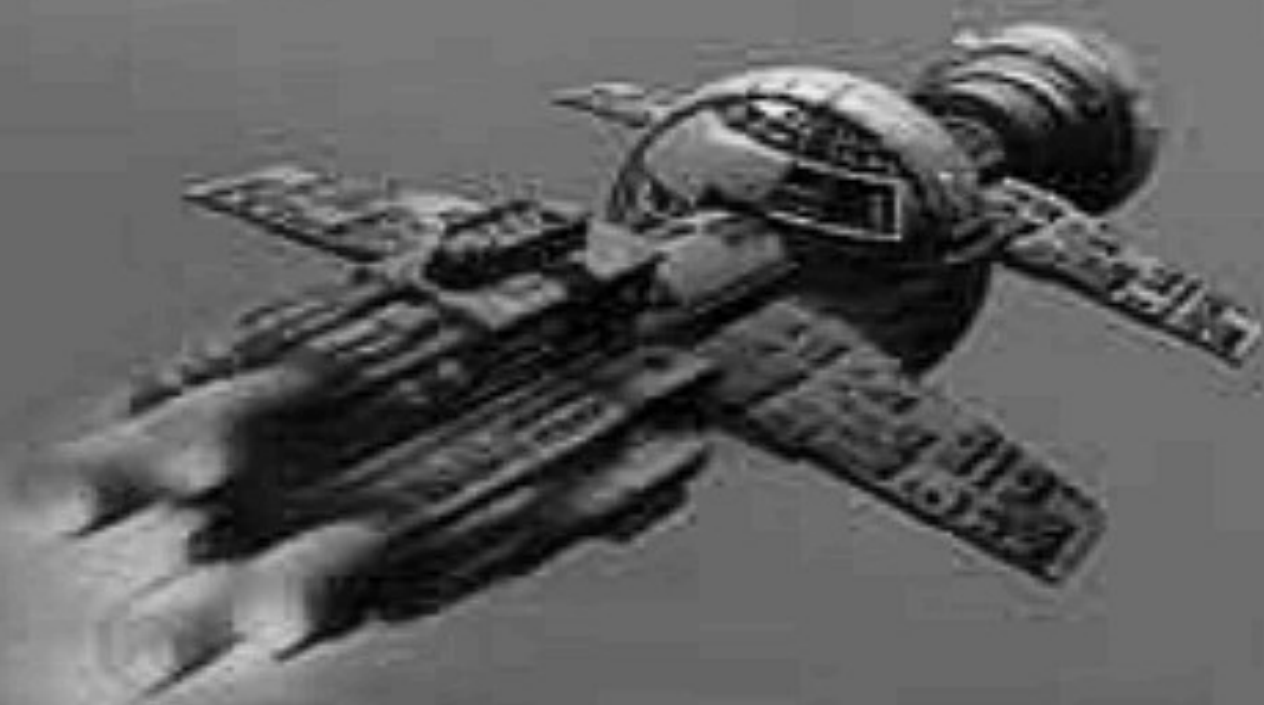


ALTERNATYWNA WIZJA PODBOJU KOSMOSU

STEPHEN BAXTER

WYPRAWA



Bestseller autora *Statków czasu*

WYBRODAK

BAXTER STEPHEN

Wyprawa

STEPHEN BAXTER

Tytuł oryginału: Voyage

Tłumaczył Paweł Korombel

Wersja angielska 1996

Wersja polska 2003

Poświęcam mojemu bratankowi, Williamowi Baxterowi NOTA AUTORA W roku 1996 dowody życia na Marsie rozbudziły ciekawość naukowców i sprawiły, że zaczęto rozważać zorganizowanie wypraw załogowych na Czerwoną Planetę, niemniej jednak do realizacji tego rodzaju przedsięwzięć jest jeszcze wiele lat, może dziesięcioleci.

Tymczasem NASA mogła posłać astronautów na Marsa już w 1986 roku. Wyprawa opisuje alternatywną historię; autentyczne wydarzenia do krytycznej chwili, przypadającej na jesień 1963 roku, i następnie biegnące własnym, powieściowym torem.

Niniejsza powieść jest wymysłem autora. Natura opisanych wydarzeń zdecydowała, że pewni ludzie, związani z amerykańskimi misjami załogowymi w kosmos, występują pod prawdziwymi nazwiskami. Wplatając wątek mojej opowieści w tkaninę historii, zastąpiłem kilka osobistości postaciami fikcyjnymi. Pragnę zwrócić zwłaszcza uwagę na fakt, że drugim Amerykaninem na orbicie okołoziemskiej był Scott Carpenter, nie, jak jest to przedstawione w powieści, Chuck Jones, a drugim człowiekiem, który postawił stopę na Księżycu, był Buzz Aldrin, nie Joe Muldoon, jak sugerują opisane niżej wydarzenia. Wszystkie inne postaci są moim wymysłem i jakiegokolwiek ich podobieństwo do osób żyjących jest w pełni niezamierzone i przypadkowe.

Pragnę wyrazić podziękowanie Simonowi Bradshawowi, Ericowi Brownowi i Calvinowi Johnsonowi za ich nieocenioną pomoc. Wszyscy oni przeczytali wersję roboczą powieści i wyrazili opinie na jej temat. Dziękuję również pracownikom Ośrodka Lotów Kosmicznych im. L.B. Johsona, JSC (Johnson Space Center), w Houston, pracownikom NASA, którzy nie szczędzili czasu i energii, pomagając mi zebrać i ustalić realia niezbędne do napisania tej książki. Mam szczególny dług wdzięczności wobec Eileen Hawley, Paula Dye'a, Franka Hughesa, astronauty Michaela Foale'a, a w pierwszym rzędzie Kenta Joostena z Wydziału Badań Układu Słonecznego JSC, który z wielką uwagą i starannością prześledził mój opis wyprawy na Marsa. Pomoc wymienionych przyjaciół w ogromnym stopniu poprawiła dokładność moich opisów, a wina za wszystkie omyłki i braki spoczywa tylko na mnie.

Jak do tej pory, ludzie nie podjęli wyprawy na Marsa. Ale już w 1969 roku Stany

Zjednoczone miały w tym względzie zarówno największe możliwości, jak i chęci. Rysunki na końcu książki obrazują przebieg takiej wyprawy. W posłowniu przedstawiłem dociekliwym czytelnikom zarys najważniejszych zdarzeń, które sprawiły, że Ameryka odwróciła się od Marsa.

Obecnie mamy rok 1996 i naukowcy na Marsie bardzo by się nam przydali. Mogli się tam znaleźć dziesięć lat wcześniej. Sądzę, że moja książka obrazuje w najbardziej prawdopodobny sposób tamtą, pogrzebaną szansę. W każdym razie dołożyłem wszelkich starań, żeby opisane wydarzenia były na tyle „prawdziwe”, na ile to tylko możliwe.

Tak mogło być.

Stephen Baxter

Great Missenden sierpień 1996 roku

–Tu Kontrola Startu Aresa, Ośrodek Kosmiczny imienia Jacqueline B. Kennedy.

Zostało niecałe sześć minut odliczania. Obecnie do startu jest pięć minut,

pięćdziesiąt

jeden sekund. Odliczanie trwa.

Ares oczekuje w gotowości na wyrzutni 39 A.

Działamy zgodnie z harmonogramem, wedle którego start ma nastąpić trzydzieści siedem minut po pełnej godzinie.

Inspektor sprawności statku kosmicznego odebrał meldunki stanu w sali kontroli. Wszyscy potwierdzili gotowość startową, co zostało zameldowane nadzorcy sprawności.

Obecnie nadzorca sprawności odbiera dalsze meldunki.

Szef operacji startowych zgłasza gotowość do startu. Kontrola w Houston zgłasza, że parametry klastra silnikowego Aresa przebywającego już na orbicie również są w normie i klastrer pracuje zgodnie z wymogami misji. Konieczność dostosowania się do położenia klastra orbitalnego, wymagana podczas cumowania, narzuca dzisiejszemu startowi wąskie ramy czasowe. Szef kontroli startu daje pozwolenie. Cztery minuty, piętnaście sekund do startu, odliczanie trwa.

W chwili startu będziecie mogli zobaczyć przelot pelikanów, czapli białych i czapli mieszkających tu, na błotnych terenach Wyspy Merritt. Czterdzieści lat temu Merritt

należała głównie do ptaków. Nadal sieje widuje, chociaż w obecnych czasach co kilka miesięcy płoszy je kolejny start.

Jak do tej pory wyniesiono na orbitę dziewięć Saturnów 5 B, budując zespół Aresa.

Dzisiejszy start będzie dziesiąty. Tak że trudno mówić o dobrym gniazdowaniu.

Cztery minuty do startu, odliczanie trwa. Włączono podgrzewacze zaworów paliwa, przygotowując do odpalenia silniki główne. Trzy minuty, czterdzieści cztery sekundy do

startu, odliczanie trwa. Rozpoczęto końcowe oczyszczanie paliwa silników

głównych. Widać opary kłębiące się na płycie startowej, uciekające z silników Saturna. Zamknięto pompy doprowadzające płynny tlen, tak że można zwiększyć ciśnienie w zbiornikach do poziomu startowego.

Siła wiatru poniżej dziesięciu węzłów, rzadka pokrywa chmur. Pogoda do startu niemal idealna, całkowicie odpowiadająca optymalnym warunkom realizacji misji. Warunki pogodowe typowe, jak na Florydę, jest gorąco i wilgotno tego historycznego dnia, we wtorek, dwudziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku.

Trzy minuty, czterdzieści sekund do startu, odliczanie trwa. Mam informację, że towarzyszy nam tu około miliona osób, największe zgromadzenie podczas startu od czasu Apolla 11. Witam serdecznie wszystkich. Być może ucieszy was wiadomość, że pośród znakomitości obserwujących dzisiejszy start z trybun dla VIP-ów są astronauta Apolla 11: Neil Armstrong, Joe Muldoon i Michael Collins, kosmonauta Władimir Wiktorienko, a także Liza Minelli, Clint Eastwood, Steven Spielberg, George Lucas, William Shatner, autorzy literatury popularnonaukowej: Arthur C. Clarke, Ray Bradbury, Izaak Asimov i piosenkarz John Denver. Jesteśmy pewni, że nie doznacie zawodu. Trzy minuty, dwadzieścia sekund do startu, odliczanie trwa. Ares jest obecnie na własnym zasilaniu.

Niebawem od startu będą nas dzielić trzy minuty.

Dokładnie trzy minuty do startu, odliczanie trwa. Kontrola zawieszenia kardanowego silników, zapewniającego ich swobodny ruch, a przez to sterowność w trakcie lotu.

Dwie minuty, pięćdziesiąt dwie sekundy do startu, odliczanie trwa. Zamknięto zawory dostarczające płynny tlen dla obu członów, rozpoczęto podnoszenie ciśnienia w zbiornikach z paliwem i utleniaczem.

Dwie minuty, dwadzieścia pięć sekund do startu, odliczanie trwa. Ciśnienie ciekłego tlenu w zbiornikach osiągnęło wysokość wymaganą podczas lotu. Niebawem od startu będą nas dzielić dwie minuty.

Dokładnie dwie minuty do startu, odliczanie trwa. Dwie minuty do startu. Zamknięto zawory dostarczające płynny wodór i rozpoczęto podnoszenie ciśnienia zbiorników z paliwem na wysokość wymaganą podczas lotu. Minuta, pięćdziesiąt sekund do startu, odliczanie trwa. Żadnych przeszkód jak do tej pory.

Kontroler łącznikowy*[Przyp. tłum. jedyna osoba upoważniona do rozmawiania z załogą statku kosmicznego (wszystkie przypisy tłumacza).], John Young, właśnie powiedział do astronautów, Phila Stone'a, Ralpa Gershona i Natalie York:

–Szerokiej drogi, maleństwo. Dowódca wyprawy, Stone, odpowiedział:

Bardzo dziękuję, wiemy, że to będzie udany lot. Minuta, trzydzieści pięć sekund do startu, odliczanie trwa. Minuta, dziesięć sekund do startu, odliczanie trwa. Ciśnienie we wszystkich zbiornikach z ciekłym paliwem osiągnęło wysokość wymaganą podczas lotu.

Dokładnie minuta do startu, odliczanie trwa.

Układ zapłonowy wodnego układu tłumiącego falę dźwiękową zostanie uzbrojony za kilka sekund.

Zespół zapłonowy uzbrojono.

Czterdzieści pięć sekund do startu, odliczanie trwa. Czterdzieści sekund, odliczanie trwa. Urządzenia zapisowe parametrów lotu włączone.

Ares nadal gotowy do lotu.

Astronauta Stone zgłasza:

–Wszystko wygląda w porządku.

Trzydzieści siedem sekund do startu, odliczanie trwa. Dzieli nas kilka sekund od włączenia sekwencji nadmiarowej. Jest to automatyczny układ wygaszania silnika.

Dwadzieścia sekund do startu i odliczanie trwa.

Przechodzimy sekwencję nadmiarową.

Dwadzieścia sekund do startu, odliczanie trwa. Uzbrojenie układu tłumiącego falę dźwiękową. Uzbrojenie silników pomocniczych na paliwo stałe. Do startu piętnaście, czternaście, trzynaście.

Do startu dziesięć, dziewięć, osiem.

Zapłon silnika głównego.

Część pierwsza

DECYZJA

Biały Dom, Waszyngton, 13 lutego 1969 roku

Notatka służbowa

Do wiadomości:

Wiceprezydent

Minister Obrony p.o. Dyrektora NASA

Doradca Prezydenta ds. Naukowych

Niebawem, po zakończeniu fazy Programu Apollo, będę potrzebował jednoznacznej opinii co do dalszych kierunków amerykańskiego programu kosmicznego. Dlatego też zwracam się do ministra obrony, urzędującego dyrektora Narodowej Agencji ds. Aeronautyki i Kosmosu, i doradcy prezydenta ds. naukowych, żeby każdy z nich sporządził propozycję dalszych działań w tej dziedzinie oraz żeby utworzyli Grupę Roboczą ds.

Przestrzeni

Kosmicznej, STG*[Przyp. tłum. Space Task Group], kierowaną przez wiceprezydenta, która przedstawi mi skoordynowany program wraz z propozycją budżetu. Przygotowując propozycję, możecie konsultować się ze środowiskami naukowymi, inżynierskimi i przemysłowymi, z Kongresem i opinią publiczną.

Proszę o skoordynowaną propozycję do 1 września 1969 roku.

Richard M. Nixon

[ręczny dopisek]: Spiro, czy powinniśmy lecieć na Marsa? Jakie mamy możliwości?

RMN

Pisma urzędowe prezydentów Stanów Zjednoczonych, dokumenty Richarda M.

Nixona, 1969 r. (Waszyngton, DC, Drukarnia Rządowa, 1969 r.)

Czas [dzień/godz.:min.:sek.]

'-000/00:00:08

Trójka ludzi w pomarańczowych skafandrach: York, Gershon i Stone, była tak ciasno stłoczona, że wbijali sobie nawzajem łokcie w żebra. Światło dzienne nie docierało do zatłoczonego modułu dowodzenia, rozświetlonego małymi jarzeniowymi panelami. Nastąpił egromny wstrząs. York popatrzyła z niepokojem na kolegów.

–Pompy paliwowe – wyjaśnił Stone.

Z kolei rozległo się głucho dudnienie – jak odległy grom – i drzenie przebiło się przez wyściełany fotel, na którym spoczywała York.

Setki stóp niżej płynny tlen i wodór lunęły do wielkich komór spalania pierwszego członu rakiety.

Czuła rosnące bicie serca, dygotanie w klatce piersiowej. „Uspokój się, do cholery” – pomyślała.

Malutki kosmonauta, przysadzisty Azjata, kołysał się na łańcuszku nad jej głową. Nazywał się Borys, ten prezent od Władimira Wiktorienki. Huśtał się w przód i w tył. Hełm nieco zasłaniał szyderczo wykrzywioną mordkę. „Powodzenia, Borys” – powiedziała mu w myślach.

Rozpoczęła się kakofonia dźwięków, nieprzerwany huk. Jakby rakieta wpadła w paszczę ryczącego giganta.

–Cała piątka pracuje normalnie! – krzyknął Phil Stone. – Przygotować się na rozciąganie.

Pięć silników raketowych pierwszego członu Saturna 5B na paliwo płynne, MSIC, ożyło na osiem sekund przed czterema silnikami pomocniczymi na paliwo stałe. Zaczęło się rozciąganie, chwila, w której potężne pchnięcie oddziaływało na cały człon. York wręcz czuła, jak statek wyciąga się w górę, słyszała jęk metalu poddawanego działaniu ogromnych sił, kiedy się prężyły poszczególne segmenty silnika. Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Niemniej jednak... „Jezu” – pomyślała.

„Kto

to wymyślił?”.

Trzy, dwa – powiedział Stone. – Odpalenie silników na paliwo stałe. Z tą chwilą nie było drogi odwrotu. Silniki na paliwo stałe były gigantycznymi racami i po uruchomieniu zapłonu pracowały niepowstrzymanie aż do wyczerpania paliwa. –

Zegar rusza... „Godzina zero” – pomyślała.

Nastąpił wstrząs – łagodny, wręcz przyjemny. Ekspłodowały sworznie kotwiczne rakiety.

Ale kolos o wadze Saturna 5B nie mógł dać susa w górę.

Kabina zaczęła się trząść, zagrzechotały mocowania foteli i same fotele.

–Wznosimy się – oznajmił spokojnie Stone. – Lecimy.

–Niech mnie szlag! – wrzasnął Ralph Gershon. – Lecimy na całego!

„Podnieśliśmy się” – pomyślała York. „Dobry Boże. Jestem w powietrzu”.

Ogarnęło ją podniecenie. Odczuwała najmniejsze drgnienia rakiety.

–Pojechali! – wykrzyknęła, powtarzając entuzjastyczne zawołanie Jurija Gagarina

w

chwili startu.

Nadal trzęsło.

York poleciała na pasy, potem na prawo i na lewo, miażdżąc Gershona. Saturn 5B wspinał się mozolnie, mijając cal po calu wieżę startową. Automatyczny pilot sterował pracą silników pierwszego członu, przeciwdziałając podmuchom wiatru. W prawo, w lewo, w przód, w tył. Spazmatyczne wstrząsy były tak silne, że York pewnie już zarobiła kilka siniaków.

Żadna symulacja nie zapowiadała czegoś podobnego. To przypominało lot nad eksplodującym składem amunicji.

–Mijamy pomost! – krzyknął Stone. – Jesteśmy poza zasięgiem wieży!

Usłyszeli głos kontrolera łącznikowego z Houston, Johna Younga.

–Ares, tu Houston. Zrozumiałem. Jesteście poza wieżą. York poleciała do przodu. Cała rakieta się położyła. Teraz York siedziała w fotelu, czując parcie potężnych silników pierwszego członu. – Houston, przechylenie według planu – powiedział Stone.

–Zrozumiałem. Przechylenie.

Saturn zataczał łuk nad Florydą, zmierzając w kierunku Oceanu Atlantyckiego.

Wiedziała, że na plażach wybrzeża dzieci wyrysowały wielkie napisy: BÓG Z WAMI, ARES. Spojrzała w górę i w prawo, tam gdzie był mały iluminator. Ale nic nie zobaczyła.

Kokon, szczelny stożek okrywał moduł dowodzenia. Wnętrze miało rozmiary samochodu średniej wielkości. Ciasnota, wszędzie mechaniczne urządzenia z metalu. „Jak żywcem z lat sześćdziesiątych” – pomyślała York.

Tarcze wskaźników, mierniki, przełączniki, wyłączniki upstrzyły pomalowane na szaro i żółto ściany. Wisiały na nich notatki załogi, listy zadań procedur alarmowych i setki niebieskich rzepów w kształcie kwadracików o zaokrąglonych rogach. Fotele miały metalowe stelaże, parciane siedzenia i oparcia. York leżała w prawym fotelu, Stone jako dowodzący w lewym; Ralph Gershon w środkowym. Główny łuk, za głową Gershona, miał wielkie solidne uchwyty, jak właz okrętu podwodnego. – Ares, tu Houston. Właśnie zrobiliście pierwszy odcinek trajektorii. Ślad wielki jak po musze.

–Słyszemy was, John – powiedział Stone. – To maleństwo naprawdę zasuwa.

–Słyszemy was, zasuwa.

–Leć, leć, zasrańcu! – krzyknął Gershon. – Skurczybyku! – Głos mu się trząsał.

–Dziesięć tysięcy stóp, zero pięć dziesiątych macha – powiedział Young. „Pięć dziesiątych macha” – pomyślała York. „Niecałe trzydzieści sekund misji i już mamy połowę prędkości dźwięku”.

W głosie Younga nie było strachu ani zdenerwowania. Można by pomyśleć, że codziennie odprawia rakiety na Marsa.

John obleciał Księżyc w Apollu jeszcze w 1969 roku i gdyby nie wstrzymano dalszych lotów, zapewne dowodziłby pierwszą wyprawą na Księżyc. A gdyby nie pyskował na prawo i lewo na temat Programu, siedziałby teraz w kabinie Aresa.

Wibracje przybrały na sile. Głowa York latała w hełmie jak groch w łupinie. Cała kabina tak się trzęsała, że nie można było skupić wzroku na instrumentach pokładowych.

Zero dziewięć dziesiątych macha – powiedział Stone. – Czterdzieści sekund. Jeden mach. Przekraczamy dziewiętnaście tysięcy stóp. Ares, jesteście w pełni sprawni w czterdziestej.

Nagle wstrząsy ustały; przypominało to wjazd samochodem na gładką nawierzchnię. Nawet hałas silnika opadł; poruszali się tak prędko, że zostawiali za sobą dźwięk.

–Ares, żadnych zakłóceń.

–Przyjąłem – powiedział Stone. – Dobra, zdejmuję nogę z gazu. Zmniejszenie mocy silników ułatwiało rakiecie nośnej przekroczenie punktu, w którym połączenie oporu powietrza i siły ciągu stawiało kadłubowi największe wymagania.

–Możecie zwiększyć ciąg.

–Przyjąłem. Pozwolenie na zwiększenie ciągu.

York wydawało się, że nacisk, który odczuwała na piersiach, rośnie. Miała kłopoty z oddychaniem, kiedy płuca usiłowały pokonać rosnące przeciążenie. – Trzydzieści pięć tysięcy stóp. Przekraczamy prędkość jeden dziewięć dziesiątych macha. Ciśnienie komór spalania silników na paliwo stałe opadło do pięćdziesięciu funtów na cal kwadratowy.

–Otrzymałem – powiedział z ziemi John Young. – Macie pozwolenie na oddzielenie silników na paliwo stałe.

–Przyjąłem.

Usłyszała słaby, przygłuszony brzęk; kabina zadygotała, rzucając ją na pasy.

Odpaliły

petardy rozdzielające, odpychając opróżnione silniki na paliwo stałe od rakiety

nośnej. Ciąg

opadł, ale centralne silniki na paliwo płynne zwiększyły pracę i York znów

została wciśnięta

w fotel.

–Potwierdzam oddzielenie – powiedział Young.

–Idzie jak po maśle, John.

Silniki na paliwa stałe miały odpadać niczym zapalki, ciągnąc za sobą warkocze dymu i ognia. Były najbardziej rzucającym się w oczy usprawnieniem Saturna 5, który za ich pomocą, już jako Saturn 5B, mógł wynieść na orbitę okołoziemską dwa razy cięższy ładunek niż jego poprzednik.

–Pięć tysięcy sto stóp na sekundę – powiedział Stone. – Trzydzieści trzy mile wysokości.

Zerknęła na swój grawimetr. 3 g. Nie czuła się przyjemnie, ale w centryfudze wytrzymała znacznie większe przeciążenia.

Zimne powietrze wionęło do środka hełmu, przynosząc ze sobą zapachy metalu i plastiku.

Po odpadnięciu silników na paliwo stałe lot przebiegał znacznie spokojniej. Silniki na paliwo płynne z zasady pracowały znacznie bardziej równomierniej niż te pierwsze. Docierał do niej rosnący, nieprzerwany ryk silników pierwszego członu, nieustanne mruczenie elementów wyposażenia modułu dowodzenia.

Wszystko toczyło się gładko, regularnie, jak w zegarku. Przytulna kabinka kojarzyła się z wnętrzem gigantycznej maszyny do szycia. Wiuuum, bruum. Gdyby nie napór przyspieszenia wydawałoby się to nierealne; jak kolejna niasiadówka w symulatorze.

–Trzy minuty – powiedział Stone. – Wysokość czterdzieści trzy mile, przebyta odległość siedemdziesiąt.

–Niebawem rozcłonowanie – zapowiedział Gershon. – Przygotować się na katastrofę kolejową.

Silniki pierwszego członu wyłączyły się dokładnie według harmonogramu.

Przyspieszenie znikło.

Wrażenie, które temu towarzyszyło, przypominało wystrzelenie z katapulty. York została wyrzucona w kierunku deski rozdzielczej, na pasy. Parciane zabezpieczenia ściągnęły ją z powrotem na fotel. I znów poleciała w przód. Silniki pierwszego członu ścisnęły całą raketę jak akordeon; kiedy zgasły, akordeon rozciągnął się, złożył i znów rozwinął. Działo się to z niewiarygodną gwałtownością, właśnie jak podczas katastrofy kolejowej. „Na to też nie przyszykowali mnie w symulatorach” – pomyślała.

Usłyszała klekot wybuchających sworzni. To oddziaływały się gasnące rakiety startowe, pierwszy człon. Rozległy się kolejny wybuchy, zadygotało oparcie fotela; to eksplodowały rakiety ulazowe, otwierające drogę płynnym wodorowi i tlenowi do wielkich komór spalania drugiego członu.

Wibracja powróciła, ruszyły silniki drugiego członu i York została wciśnięta w fotel.

Z wysoka usłyszała zaskakujący huk, jakby ktoś walił młotem w obudowę modułu dowodzenia. Za oknem rozłożyły się ogień i dym. – Wieża – zgłosił Stone.

–Przyjąłem, wieża.

Odpadła wieża ratunkowa, zabierając ze sobą stożkowe okrycie modułu dowodzenia. Do środka wpłynęło zaskakujące ostre światło, zalewając pomarańczowe skafandry i przygaszając blask instrumentów pokładowych.

York wyjrzała przez iluminator. Niebo w górze było ciemnoniebieskie, w dole jasne strzępy chmur i pomarszczony ocean.

–Aha, Houston, zgłaszamy, że widoczność dzisiaj jest w porządku. Za odsłoniętym oknem York przesuwiała się masa śmieci z odrzuconej wieży ratowniczej i silników pierwszego członu. Wyglądały jak wirujące konfetti, migocące w słońcu.

–Przygotować się do wygaszenia silników – powiedział Young. – Przyjąłem – odparł Stone. – Przygotować się do wygaszenia. Bez względu na to, co mogło się wydarzyć, Ares miał lecieć dalej aż do wygaszenia głównych silników drugiego członu. Aż do znalezienia się na orbicie.

–Ares, pięć minut trzydzieści sekund lotu, wygaszenie silników w ósmej trzydziestej czwartej.

Ares osiągnął szybkość piętnastu machów i wysokość osiemdziesięciu mil. Silniki nadal pracowały; nadal się wspinali. Studnia ziemskiej grawitacji była naprawdę głęboka.

–Ósma minuta lotu. Ares, tu Houston, w ósmej wszystko w porządku.

–Wygląda to nieźle – powiedział Stone.

Nieprzerwany odgłos pracy silników i wibracja nagle ustały. Odrzut był potężny.

York

znów poleciała na pasy i odbiła się w tył.

–Wygaszenie silników! – krzyknął Stone. Drugi człon spełnił swoje zadanie...I tym razem ciężenie nie powróciło. Można by pomyśleć, że najechali szybkim samochodem na garb drogowy i wyskoczyli w górę. Tyle że już nie wrócili na drogę.

–Przygotować się do oddzielenia drugiego członu.

Rozległ się kolejny głuchy stuk, a po nim nastąpił łagodny wstrząs.

–Przyjąłem, potwierdzamy oddzielenie, Ares – powiedział John Young. – Mmm... pozycja jeden zero jeden przecinek cztery i jeden zero trzy przecinek sześć.

–Przyjąłem pozycja jeden zero jeden przecinek cztery i jeden zero trzy przecinek sześć.

Parametry niemal idealnie okrągłej orbity wokół Ziemi, sto mil nad planetą. Stone mówił niemal tak samo beznamiętnym tonem jak Young. „To tylko zwykły lot na Marsa” – pomyślała York. Tymczasem rakieta, którą dowodził Stone, poruszała się z prędkością pięciu mil na sekundę.

York zerknęła na połyskującą krzywiznę Ziemi, pomarszczoną skórę oceanu, warstwę chmur przypominającą bitą śmietanę.

„Jestem na orbicie” – pomyślała. Poczowała ogromną ulgę. Wciąż trwała przy życiu, chociaż ogromne wydatkowanie energii, które nastąpiło przed chwilą, zawsze było niezwykle niebezpieczne.

Nad jej głową unosił się malutki kosmonauta. Łańcuszek zwijał się luźno.

Niedziela, 20 lipca 1969 rok Baza

na Morzu Spokoju

Joe Muldoon wyrztał przez trójkątny iluminator ładownika księżycowego. Gra światła i barw na powierzchni satelity była fascynująca. Gdy spoglądał prosto przed siebie, ku zachodowi, w przeciwną stronę niż tam, gdzie wschodziło słońce, światło odbijało się od płaskiego krajobrazu barwy starego złota. Ale grunt po bokach miał delikatniejszą barwę, ciemnopopielatą, jakby oglądaną przez polaryzujący filtr. Nawet tutejsze światło nie przypominało ziemskiego. Wyglądało na to, że Armstrong, który wydostał się już na zewnątrz, porusza się z łatwością, odbija jak balon od gładkiej – niczym plaża – powierzchni. Jego biały skafander, najjaśniejszy obiekt na powierzchni Księżyca, lśnił w słońcu, ale nogawki od kolan w dół i nieforemne jasnoniebieskie buty były już ciemnoszare od kurzu. Twarz zakrywała złota odblaskowa osłona.

Muldoon sprawdził czas. Minęło czternaście minut od wyjścia dowódcy.

–Neil, czy mogę już wyjść?

–Tak! – odkrzyknął Armstrong. – Tylko zaczekaj sekundkę. Najpierw muszę odsunąć wielokrążek, żebyś miał jak wyleźć.

Armstrong fruwał wokół ładownika, odsuwając prostackie urządzenie, za pomocą którego Muldoon przesłał mu na powierzchnię ekwipunek. Muldoon odwrócił się i ukląkł. Pełził tyłem przez mały luk, na platformę łączącą go z drabiną wyjściową, przymocowaną do przedniej nogi ładownika. Skafander ciśnieniowy utrudniał każdy ruch, jak ogromny, chociaż dopasowany do ciała balon; Muldoon miał nawet trudności z zaciśnięciem palców wokół poręczy platformy. Prowadził go Armstrong.

–W porządku, teraz wiesz, ile się namęczyłem. Będę uważał na twój PLSS*[Przyp. tłum. Portable Life Support System.]. Wygląda na to, że przeszedł spokojnie. Zaraz buty przejdą przez parapet... W porządku, zepchnij PLSS. No i pięknie, zasuwasz jak pajak, znakomicie. Jeszcze tylko przesunąć trochę PLSS.

Kiedy Muldoon dotarł do najwyższego szczebla drabiny, złapał się poręczy i wyprostował. Widział małą kamerę telewizyjną, usadowioną na ruchomym rusztowaniu poza kadłubem ładownika. Armstrong umieścił ją tam, żeby sfilmować swoje zejście.

Nieme oko

obiektywu spoczęło teraz na Muldoonie.

–Przyszło mi do głowy, żeby wrócić i przymknąć luk – powiedział. – Upewnić się, że kluczyki nie zostały w stacyjce i że zaciągnąłem ręczny... – Niezła myśl.

–Trzeba by się tu nieźle nachodzić, żeby znaleźć wypożyczalnię samochodów. Był jakieś dziesięć stóp nad powierzchnią Księżyca; przed sobą miał nagie płaszczyzny lądownika, a niżej drogę zejścia.

–W porządku, jestem na górnym szczeblu i widzę miejsce lądowania. Czeka mnie proste zadanie, schodzenie po kolejnych stopniach. – Zgadza się – powiedział Armstrong. – Przekonałem się, że to bardzo wygodna droga i chodzenie też jest bardzo wygodne. Joe, masz jeszcze trzy szczeble w identycznych odległościach i jeden szczebel trochę dalej.

–Zaraz postawię stopę na niższym szczeblu i złapię się rękami czwartego... To były rutynowe zachowania, jak podczas zajęć w ośrodku symulacyjnym misji, na wieży Piotruś Pan. Chodziło o to, żeby przekazać Houston, iż wszystko idzie jak po maśle.

Lecz kiedy stanął na talerzu nogi „Eagle’a”, zapomniał języka w gębie.

Poranek na Księżycu

Muldoon nie puszczając drabiny, odwrócił się powoli. Skafander był ciepłą wygodną

kapsułą; słyszał szum pomp i wentylatorów PLSS-a – plecaka z układem życiodajnym

- i czuł

na twarzy łagodny powiew tlenu.

Ładownik stał na rozległej równinie. Wszędzie były kratery, największe o średnicy kilku jardów, najmniejsze nie grubsze od kciuka. Niskie światło słoneczne pogłębiało cienie.

Widoczne były nawet niewielkie ślady po mikrometeoroidach, dziurki wydrążone w kamiennych formach pokrywających powierzchnię.

Kamienie i głazy również były niejednolitej wielkości, a niektóre skalne grzbiety osiągały dwadzieścia stóp – ale ocena ich wielkości sprawiała trudność, gdyż brakowało roślin, budowli i ludzi, czegokolwiek stwarzającego punkt odniesienia. Księżycowa powierzchnia była bardziej naga niż pustynia Mojave, a brak atmosfery sprawiał, że skały na horyzoncie rysowały się równie ostro jak odłamki u stóp Muldoona. Był oszołomiony. Ćwiczenia w symulatorach – nawet okrążenie Ziemi w Gemini – nie przygotowały go na dzikość tego miejsca, ostrość konturów, porównywalną z krystaliczną przejrzystością szlachetnych kamieni, drapieżny kontrast ciemnego nieba i księżycowej równiny, zasłanej kamieniami i kraterami.

Trzymając się obiema rękami drabiny, zszedł z talerza nogi ładownika na powierzchnię.

Poczuł się, jakby stąpał po śniegu.

Pod miękką, sprężystą, sięgającą kolan warstwą czuł pewne oparcie dla stóp. Z każdym jego krokiem unosiły się drobiny pyłu, sunąc po idealnych parabolach, jak piłeczki golfowe. Miało to oczywiste implikacje geologiczne; ani atmosfera księżycowa, ani grawitacja nie działały jak naturalne sortownice. W niektórych mniejszych kraterach dostrzegł niewielkie błyszczące fragmenty o metalicznym połysku. Jak kulki rtęci rozpięzchłe po blacie. To tu, to tam na powierzchni spoczywały przezroczyste kryształy jak odłamki szkła. Szkoda, że nie wziął pojemnika na próbki. Musi zapamiętać, żeby potem zebrać te szklane paciorki.

Odciski żłobkowanych podeszew były niesłychanie wyraziste, jakby kroczył po mokrym piasku. Sfotografował szczególnie wyraźny odcisk i uświadomił sobie, że ten przetrwa miliony lat, jak odcisk łapy dinozaura w skamieniałym podłożu, nadkruszany jedynie powolnym deszczem mikrometeorytów, echem tytanicznego bombardowania z odległej przeszłości.

Kolejnym zadaniem Muldoona było sprawdzenie własnej równowagi i stabilności. Kręcił się i skakał jak tancerz. Przyciąganie satelity było tak słabe, że nie miał pojęcia, czy stoi prosto, a inercja PLSS nieprzyjemnie opóźniała ruchy. – ...Gruba warstwa pyłu na powierzchni – zgłosiło Houston. – Łatwo się poślizgnąć...

Trzeba uważnie rozkładać środek ciężkości. Żeby spokojnie wyhamować, trzeba zwolnić jakieś kilka kroków wcześniej. A żeby zmienić kierunek, musisz zrobić krok w bok i lekko zwolnić. Jak futbolista. Nie wystarczy machać rękami, żeby się unieść. Nie jesteśmy dość lekcy.

Poczuł ciśnienie pęcherza. Zatrzymał się i rozluźnił zwieracz; sikając do zbiornika na mocz, miał takie wrażenie, jakby się bezwolnie zmoczył. „Niech Neil sobie będzie pierwszym facetem na Księżycu – pomyślał – za to ja pierwszy się odpryskałem”.

Spojrzał w górę. Po wschodniej stronie nieba wschodziła gwiazda. Promieniując stałym blaskiem, kontynuowała marsz ku zenitowi dokładnie nad jego głową. To Apollo oczekiwał na orbicie, żeby zabrać go do domu.

Armstrong oderwał srebrny kawałek plastiku, odsłaniając plaketkę na przedniej nodze ładownika.

–U góry jest rysunek obu półkul Ziemi – powiedział. – Pod spodem napis: „Tu człowiek z planety Ziemia po raz pierwszy postawił stopę na Księżycu, lipiec 1969 n.e.

Przybyliśmy w pokoju dla dobra całej ludzkości”. U dołu podpisy członków załogi i prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Rozwinęli gwiazdzisty sztandar. Flagę usztywniono drutem, żeby nie opadła martwo w bezwietrznym środowisku.

Starali się osadzić maszt w kurzu. Ale mimo najszczerzej chęci wbili go na jedynie osiem cali i Muldoon obawiał się, że flaga upadnie na oczach wielomilionowej widowni telewizyjnej.

Kiedy tylko udało się im jako tako unieruchomić maszt, dali sobie z nim spokój.

Muldoon przystąpił do dalszych eksperymentów w ruchu. Próbował biegać w zwolnionym tempie. Z każdym krokiem wybijał się tak wysoko, że czas jakby

spowalniał swój bieg. Na Ziemi opadłby szesnaście stóp w czasie pierwszej sekundy, tu tylko dwie. Tak więc co krok zawisał nad powierzchnią i czekał. Zadyszał się; usłyszał syk wody w układzie chłodzącym skafandra, w przewodach obiegających kończyny i tors.

Rozpierała go energia, młodzieńcza werwa. Przyszedł mu na myśl fragment starej powieści: „Teraz jesteśmy poza liniami sił oddziaływania Matki Ziemi...”. Wzdrygnął się, usłyszawszy głos kierownika lotu.

–Baza Morze Spokoju, tu Houston. Czy zechcielibyście obaj stanąć przed kamerą?

Muldoon zatrzymał się jak wryty.

Armstrong zajmował się rozkładaniem panelu z aluminiowej folii, wyjętym ze sporej tuby. Przedmiot miał posłużyć do wychwytywania wiatru słonecznego. – Powtórz, Houston.

–Odebrałem. Chcielibyśmy, żebyście na chwilę stanęli przed kamerą. Neil i Joe, prezydent Stanów Zjednoczonych jest teraz w swoim gabinecie i chciałby wam powiedzieć kilka słów.

„Prezydent?” – pomyślał Muldoon. „Niech to cholera weźmie, założę się, że Neil o tym wiedział”. Armstrong powiedział oficjalnie:

–To dla nas zaszczyt.

–Proszę, panie prezydencie. Tu Houston. Odbiór.

Muldoon jak najszybciej znalazł się obok Armstronga, zwróciwszy twarz do kamery. Cześć, Neil i Joe. Mówię do was z aparatu w Gabinetce Owalnym Białego Domu i jest to najbardziej historyczna rozmowa telefoniczna, jaką kiedykolwiek przeprowadzono. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo wszyscy jesteśmy dumni z tego, co osiągnęliście. To najwznieślijsza chwila w życiu każdego Amerykanina i jestem pewien, że wszyscy ludzie na całym świecie łączą się z nami w poczuciu tego osiągnięcia. Dzięki temu, co učiniliście, niebiosa stały się częścią świata człowieka...

Kiedy Nixon tokował dalej, Muldoon czuł przede wszystkim zniecierpliwienie. I bez tego mieli z Armstrongiem bardzo mało czasu – na cały spacer przewidziano zaledwie dwie i pół godziny – i każda sekunda została przećwiczona podczas niekończących się zajęć w symulatorze w Houston i wyszczególniona na listach zadań, mających wygląd malutkich ściąg przypiętych do mankietów. Jednak mowa Nixona nie była uwzględniona w programie i kiedy Muldoon przechodził w myślach czekające ich obowiązki, czuł rosnący niepokój. Byli skazani na cięcia programu. Już widział, jak wracają na Ziemię z mniejszą ilością próbek, niż zakładano, i pewnie trzeba też będzie zrezygnować ze sporządzenia dokumentacji podczas ich zbierania,

po prostu działać na zasadzie: łap, co się nawinie... Naukowcy się nie ucieszą.

Tak szczerze to Muldoon nie bardzo martwił się sprawami naukowymi. Ale nieodfajkowanie pozycji z listy zadań nie dawało mu spokoju. Żeby załapać się na kolejny lot, musiałeś zrealizować listę.

Ogarnęło go przygnębienie i utracił nieco wcześniejszego poczucia lekkości. – ... Przez jeden bezcenny moment w całej historii człowieka, wszyscy ludzie na Ziemi czują jedno. Dumę z tego, czego dokonaliście, i modlą się o wasz bezpieczny powrót.

–Dziękuję, panie prezydencie – odpowiedział Armstrong. – To, że możemy być tutaj, reprezentując nie tylko Stany Zjednoczone, ale ludzi pokoju wszystkich narodów, a także ludzi patrzących w przyszłość, obdarzonych chęcią poznania i ciekawością, jest dla nas wielkim zaszczytem i przywilejem.

–

–Dziękuję wam bardzo. Teraz pragnę na krótko oddać głos wyjątkowemu gościowi, który jest tu ze mną, w Gabinetce Owalnym.

„Gość?” – pomyślał Muldoon. „Mój Boże. Czy on ma pojęcie, ile to wszystko kosztuje?”.

Wtem znajomy głos – mówiący tym dziwnie szczekliwym bostońskim akcentem – rozległ się w słuchawkach i Muldoon poczuł, jak budzi się w nim odzew, głębokie atawistyczne przywiązanie, wywołujące dreszcz.

–Witajcie, panowie. Jak się dziś miewacie? Nie zabiorę dużo waszego cennego czasu na Księżycu. Chcę tylko zacytować to, co oświadczyłem na posiedzeniu Kongresu dwudziestego piątego maja 1961 roku, zaledwie osiem lat temu... „Nadszedł teraz czas na podjęcie śmiałych kroków – czas na wielkie amerykańskie przedsięwzięcie – czas, żeby nasz naród przejął wiodącą rolę w podboju kosmosu, co może zadecydować o naszej przyszłości na Ziemi w wielu dziedzinach. Wierzę, że nasz naród powinien wytyczyć sobie do końca tej dekady wielki cel – wysłanie człowieka na Księżyc i sprowadzenie go bezpiecznie z powrotem na Ziemię. Będzie to najbardziej olśniewające przedsięwzięcie kosmiczne w tym okresie, o maksymalnym znaczeniu dla długoterminowej eksploatacji przestrzeni kosmicznej, najtrudniejsze i najdroższe...”

„Mój Boże – pomyślał Muldoon – Nixon nienawidzi Kennedy’ego, to żadna tajemnica”.

Zastanawiał się, jakie względy – public relations, polityczne, może nawet geopolityczne zadecydowały o tym, że wyciągnął pocziwego JFK na światło dzienne i to właśnie dzisiaj.

Trudno mu było się skupić na słowach eksprezydenta. Stojący pięćdziesiąt stóp dalej ładownik wyglądał jak wysoki, chudy pajak, odpoczywający w ostrym blasku słońca. Jego błoniasta konstrukcja ze złotych liści i aluminium była bardzo złożona i delikatna, a symetrię górnej części psuł kulisty zbiornik paliwa z prawej strony. Jeżył się antenami, przyłączami cumowniczymi i zespołami silników kontroli pozycji. Światło słońca podkreślało jego kruchość. W gruncie rzeczy był tylko naprężoną aluminiową bańką, ogołoconą do minimum przez inżynierów Grummana. Lecz pasował jak ulał do tego zastygłego delikatnego satelity. – Przyznaję się wam, panowie, że tamtego dnia bardzo się denerwowałem. Nie byłem pewien, czy mam prawo prosić to dostojne ciało o tak wielką sumę pieniędzy, więcej, o transformację naszej narodowej gospodarki. Lecz teraz cel jest osiągnięty, dzięki waszej odwadze, Neil i Joe, i wielkiej liczbie waszych kolegów, a także poświęceniu wielu wykwalifikowanych ludzi w całym naszym wielkim kraju, w NASA i we współpracujących z nią przedsiębiorstwach...

Słowa „teraz cel jest osiągnięty” obudziły w Muldoonie niepokój. Spojrzał na kamerę, osadzoną na trójnogu. Wiedział, że w tę gorącą lipcową noc w Houston jest mniej więcej za dwadzieścia jedenasta. Zapewne wielu ludzi, którzy spotkali się, żeby wspólnie obejrzeć ich przechadzkę po Księżycu, już zaczynało rozchodzić się do domów. Może w gruncie rzeczy liczyli tylko na zobaczenie tych odcisków stóp w księżycowym pyłe i kawałka materiału w gwiazdy i pasy rozpostartego na sztywnym drucie.

Ale w odległym Clear Lake Jill chyba nadal ich ogląda, no nie? – ...Program Apollo pobudził amerykańskiego ducha po trudnym dziesięcioleciu w ojczyźnie i zagranicą. Teraz, kiedy dotarliśmy na Księżyc, nie wolno dopuścić do osłabnięcia naszej wspólnej woli. Wierzę, że musimy spojrzeć dalej. Obecnie, w chwili triumfu Programu Apollo, chciałbym wskazać mojemu krajowi nowe wyzwanie, niech podąży jeszcze dalej, niż ktokolwiek z nas marzył, niech nadal buduje wielkie statki kosmiczne i wyśle je na Marsa.

Na Marsa?

Ten mówiący szczekliwym akcentem głos brzmiał w słuchawkach hełmu jak wołanie owada, odległe i pozbawione sensu.

Może to prawda, co głosiły plotki: że kule, które dopadły Kennedy'ego w Teksasie sześć lat temu, zniszczyły nie tylko ciało...

Stojąc tak i słuchając, Muldoon dostrzegł nagle, że grunt zaokrągliła się w każdym kierunku, łagodnie, ale wyraźnie, aż po horyzont. Poczucił się jak na szczycie wielkiego płaskiego wzgórza i zdał sobie sprawę, że znaleźli się wraz z Armstrongiem na piłce unoszącej się w przestrzeni. To budzące zawrót głowy odczucie, rodem prosto z powieści fantastyczno naukowych, było czymś, czego nigdy nie doznał na

Ziemi... -...Z pewnością będzie to najbardziej wyczerpująca wyprawa, od kiedy wielcy odkrywcy wyruszyli żaglowcami opisać naszą planetę ponad trzy wieki temu; wyprawa, która zabierze nowe pokolenia bohaterów do tak odległego miejsca, że Ziemia zmaleje do wielkości świetlnego punktu, nie dającego się odróżnić od samych gwiazd... Udamy się na Marsa, ponieważ to ciało niebieskie najbliższe Ziemi, na którym wedle największego prawdopodobieństwa może istnieć życie. I uczynimy z tej planety drugą Ziemię, i zabezpieczymy przeżycie gatunku ludzkiego na możliwie najdalszą przyszłość... Ziemia unosząca się nad nim była wielką niebieską sferą, o zróżnicowanej powierzchni. Trójwymiarowość ojczystej planety o wiele bardziej rzucała się w oczy niż trójwymiarowość Księżyca oglądanego z Ziemi. Czuł obecność słońca, które tłuste i nisko wiszące rzucało ukośne promienie na pustynny krajobraz. Nagle zyskał świadomość perspektywy, odległości, którą musiał przebyć, żeby się tu znaleźć; do tej pory trójca światła, która zawsze kształtowała postrzeganie człowieka – Ziemi, Księżyca i Słońca – tańczyła swój kunsztowny taniec, tworząc ten sam obraz. Teraz uległ on zmianie. Niemniej jednak znikło poczucie zawieszenia w kosmicznej pustce. Poczul się związany z Ziemią, jakby wszystko, co się działo, było tylko kolejnym ćwiczeniem w symulatorze Ośrodka Kosmicznego im. L.B. Johnsona. „No tak, tydzień to za mało, żeby zrzucić z grzbietu cztery miliardy lat ewolucji” – pomyślał. Zastanowił się, co jeszcze może czekać go w przyszłości.

Przez całe życie ktoś – jakiś niezależny od niego ośrodek – wyznaczał mu cele. Zaczęło się od ojca, a później – niesamowicie, że przypomniał to sobie właśnie tutaj! – na koloniach, na których zwycięska drużyna dostawała na kolację indyka, a przegrana tylko gotowaną fasolę. Potem była uczelnia, lotnictwo wojskowe i NASA...

Zawsze miał jakiś cel i dążył do jego osiągnięcia. Ta metoda doprowadziła go daleko –
aż na Księżyc.

Lecz teraz osiągnął swój największy cel.

Przypomniał sobie przygnębienie, w które popadł po locie na Gemini. Czy po tej wyprawie czeka go jeszcze cięższa depresja?

Kennedy skończył. Zapadła niezręczna cisza; Muldoon zaczął się zastanawiać, czy nie powinien się odezwać.

–Jesteśmy zaszczytzeni rozmową z panem, panie prezydencie – powiedział Armstrong.

–Dziękuję wam bardzo. Jestem wdzięczny panu prezydentowi Nixonowi za okazaną mi gościnność i poproszę go, żeby przekazał wam moje najserdeczniejsze pozdrowienia, kiedy spotka się z wami we czwartek na Hornecie. – Dziękujemy panu

gorąco, panie prezydencie – powiedział Muldoon, zebrawszy się w sobie. Następnie za przykładem Armstronga zasalutował i odwrócił się od kamery. Czuł konsternację, niepokój, jakby wisząca nad nim Ziemia oddziaływała na niego, przygniatając potężną grawitacją.

Będzie musiał znaleźć sobie nowy cel, to wszystko. A co, jeśli fantastyczna wizja Kennedy’ego, wyprawa na Marsa, przyjmie realne kształty? To dopiero będzie przedsięwzięcie warte zachodu! Może uda mu się włączyć w ten nowy program. Może uda mu się zostać pierwszym człowiekiem, który postawił stopę na trzech planetach. Dla takiego celu warto poświęcić piekielnie dużo – piętnaście, dwadzieścia lat ciężkiej pracy, kawał czasu, który nadałby sens jego życiu...

Ale żeby się to udało, należałoby uciec od tego całego rozgłosu i reklamy, zgiełku, który czekał go nieuchronnie po wylądowaniu.

Podejrzewał, że powrót na Ziemię może okazać się daleko trudniejszy niż podróż na Marsa.

Zszedł z pola widzenia kamery, kierując się z powrotem ku ładownikowi, połyskującemu jak zabaweczka.

Sobota, 4 października 1969 roku

Poligon Rakiet Atomowych, Równina Szakali w stanie Newada

Dotarł do niej zapach spalenizny niesiony oddechem pustyni i zmieszał się z ciężkimi

woniami poligonu – ropy i farby. Były to niesamowite zapachy, jakby York znalazła się poza

obszarem Ziemi.

„Gdzieś napisano, że tak pachnie pył księżycowy” – pomyślała. „Spalenizną i popiołem, jesienią”.

W roku 1969 York miała dwadzieścia jeden lat.

Corvetta Bena Priesta w niecałą godzinę przejechali dziewięćdziesiąt mil, dzielących Vegas od Równiny Szakali.

U celu podróży przywitał ich Mike Conlig i przeprowadził przez ochronę. Późnym popołudniem rejon był wyludniony, nie licząc garstki strażników. Kiedy cała trójka – York, Priest i Petey, syn Priesta – wyszła z samochodu, York zauważyła, że pokryła go gruba warstwa kurzu. Kruszył się i odpadał w miarę schładzania karoserii. Newada okazała się rozległa, pusta, sfalowana i zeszpecona okaleczonymi wzgórzami.

Słońce wisiało nad zachodnim horyzontem, tłuste i czerwone, a temperatura powietrza szybko opadała. Ziemia była prawie naga. York rozpoznała odporne na sól łobody i bylice. „Idealne miejsce na poligon rakiet atomowych – pomyślała – ale, mój Boże, co za rozpaczliwa pustka”.

Mike i Ben zaczęli przerzucać się fachowymi terminami, omawiając wyniki bieżących prób. Jeśli York nauczyła się czegoś podczas zbyt wielu zmarnowanych godzin w barach studenckich i salach nauki – zrobiła magisterium z geologii na UCLA – to była to prosta prawda, że słuchanie tego, co inni mają do opowiedzenia o swojej specjalności, nic nie daje.

Tak więc dała się wygadać Mike’owi i Benowi i odeszła na bok. Dziesięcioletni Petey, chudzielec naładowany energią, pobiegł dalej, jego blond czupryna lśniła jak flaga w resztkach dziennego światła. Poligon tworzył prostokąt, ograniczony od południa drogami, od północy szynami kolejowymi. Szli w kierunku zachodnim –

oddalając się od budynków, przy których zaparkowali samochód – w kierunku Pierwszego Rejonu Prób Silnikowych. Całe ogromne zagłębienie poligonu było otoczone dwoma wielkimi wypiętrzeniami terenu – Colorado Plateau i Wasatch Range po stronie wschodniej i grzbietem Sierra Nevada po zachodniej. Obszar zagarnięty przez ludzi – stanowiska prób, odcinki szyn i parę krytych papą, rozlatujących się domków – miał w tym pustynnym otoczeniu miniaturowe rozmiary.

Echa zwielokrotniały wszelkie odgłosy, pozbawiając je sensu i znaczenia. Dotarli do rejonu. Samo testowane urządzenie miało zgeometryzowany kształt trzydziestostopowej wysokości, było jednocześnie tajemnicze i prostackie. York rozpoznała szczupły cylinder przytulony do ażurowej, stalowej konstrukcji wieży. Cylinder rakiety był porysowany, poplamiony, niepomalowany. Całość stała na platformie kolejowej, przyczepionej do prostej lokomotywy. Biegły od niej grube węże; w oddali połyskiwały kuliste zbiorniki ultrazimne, zapewne z płynnym wodorem. Petey Priest przyciskał twarz do ogrodzenia poligonu; drut kolczasty odcisnął się na twarzy oczarowanego chłopca, pochłaniającego wzrokiem raketę. York przypatrywała się rozmawiającym Conligowi i Priestowi. Mike Conlig pochodził z Teksasu. Liczył sobie dwadzieścia siedem lat i brakowało mu cała, żeby dorównać wzrostem York. Był mocno zbudowany, miał dłonie inżyniera, z oparzeniami i zadrapaniami; związane w kucyk gęste, kruczoczarne włosy zdradzały irlandzkich przodków. Od niedawna dorobił się brzuszka, rozpychającego podkoszulek.

York poznała Mike'a przed pół rokiem, na przyjęciu w Ricketts House, należącym do politechniki kalifornijskiej, pół godziny jazdy od jej uniwerku. York udała się tam z przekory; politechnika nie przyjmowała kobiet na studia. Natalie podobała się inteligencja Mike'a, poglądy wyzbyte męskiego szowinizmu i... muskularne ciało. Wystarczyło kilka godzin, żeby wylądowali w łóżku.

„Ben Priest to przeciwieństwo Mike'a” – pomyślała, patrząc na dwóch mężczyzn. Priest był trzydziestym ednolatkiem; wysokim, żylastym, uśmiechniętym od ucha do ucha. Lotnik marynarki wojennej z kilkunastoletnim stażem, dwa lata oblatywania samolotów w Patuxent River w stanie Maryland. Od 1965 roku astronauta, chociaż NASA nie wysłała go dotąd w kosmos.

York wiedziała, że Mike i Ben zaprzyjaźnili się blisko, od kiedy Ben dołączył do przedsięwzięcia, reprezentując korpus astronautów. Nie wątpiła, że Mike znalazł tu sobie kolegów – faceci z Programu NERVA mieszkali w domkach z prefabrykatów, za dnia zdobywali nowe terytoria wiedzy technicznej, a wieczorem obalali razem kilka sześciopaków.

To dało się zauważyć u Mike'a. No i nie tylko to... Wszędzie zapłonęły światła bezpieczeństwa. Kanciasty zdeformowany przodek prawdziwej rakiety kosmicznej zamienił się w rzeźbę pełną cieni i błysków. A cały teren nabrał zgoła niezemskiego wyglądu, jakby podporządkowując się ambicjom pracujących tu ludzi.

Podczas gdy Mike Conlig omawiał z Priestem wydarzenia dnia, starał się nie tracić z oczu Natalie. Rozglądała się po otoczeniu. Była trochę zbyt wysoka, zbyt szczupła, zbyt egzaltowana; kruczoczarne włosy wiązała w koński ogon. W tej chwili jej brwi Cyganki, których tak bardzo nie cierpiała, były zmarszczone ze skupieniem. Conlig cenił sobie jej wizytę.

Tak żeby nie skłamać, to łamali z Priestem regulaminy NASA i AEC, Komisji Energii Atomowej, przywożąc Natalie, żeby obejrzała z bliska ich pracę, a już na pewno nie powinni wlec tu dzieciaka, Pe-teya. Ale tak daleko od szefostwa rządono się zdrowym rozsądkiem, nie regulaminami. „Wszyscy tu jesteśmy dobre, porządne chłopy, jedna rodzina” – pomyślał.

Zresztą palił się do pokazania jej tego miejsca, tego, jak pracował, tego, co robił ze swoim życiem. Mając na względzie taki cel, warto było złamać parę punktów regulaminu.

Chciał, żeby Natalie zobaczyła Równinę Szakali jego oczami.

Zwykle była bardzo podejrzliwa i niechętnie nastawiona do wielkich rządowych przedsięwzięć naukowych w tym stylu. Ale Conlig patrzył na świat inaczej. Ten

marny

poligon był w jego oczach bramą do przyszłości. Stąd biegła droga do innych

planet, do

kolonii na Księżycu.

Może nawet na Marsie.

Ben Priest starał się opisać Natalie testowane urządzenia. Chciał, żeby dokładniej przyjrzała się cylindrowi wewnątrz ażurowego rusztowania, żeby zrozumiała, do czego służy.

U góry elegancka dysza, skierowana w niebo...

–Och – westchnęła. – Ta rura to rakieta! Ma dyszę u góry. To rakieta na wyrzutni.

Rany. Jak na Przylądku Kennedy’ego.

Ben Priest roześmiał się.

–Z tym wyjątkiem, że stoi do góry nogami.

–Któregoś dnia zobaczymy ją na Kennedym – powiedział Conlig, łapiąc się przy tym, że mówi, jakby się z czegoś usprawiedliwiał. – Już niedługo. W każdym razie jakiegoś potomka tej rakiety. Sama bidula nigdzie nie poleci. – Tak, ma silnik z poprzedniej serii – dodał Ben. – Nasza nowa duma i radość.

XE-

Prime, prawie gotowy do lotów. Pierwsze urządzenia, które zbudowano tu dziesięć lat temu,

nazywały się „kiwi”.

–Aha – powiedziała York. – Ptaki nietoty.

Teraz prowadzi się szereg przedsięwzięć pod wspólną nazwą NERVA* [Przyp. tłum. Nuclear Engine for Rocket Vehicle Applicatio]. TO od „rozszczeniowy reaktor atomowy...”

„...do napędu rakiet”. Wiem.

Ale wciąż budujemy tylko nietoty – powiedział Priest. – Jesteśmy dumni z tego maleństwa, Natalie. Udało się nam zbliżyć do pięćdziesięciu tysięcy funtów ciągu. I uruchomiliśmy go dwadzieścia osiem razy! Niezawodność będzie kluczowym czynnikiem podczas lotów kosmicznych dalekiego zasięgu...

Conlig obserwował Natalie, starając się odczytać reakcje.

Był sześć lat od niej starszy, zrobił magisterium w niemal rekordowym tempie. Jego praca miała egzotyczny temat: „Paliwa do lekkich reaktorów rozszczepialnych, odporne na wysokie temperatury”.

Był pewien – podobnie myślała Natalie – że osiągnie najwyższe stanowiska w wybranym zawodzie. A gdyby wierzyć temu, co mówił Spiro Agnew, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, że rakiety napędzane paliwem atomowym będą kolejnym wystrzałowym numerem w kosmosie, to te najwyższe stanowiska faktycznie mogły okazać się bardzo wysokie. Z kolei praca York wiązała się z wielomiesięcznymi wyjazdami w teren. Ich związek zapowiadał się dziwnie, oględnie mówiąc. I Mike czuł się dziwnie, wiedząc, że całe jego życie jest uzależnione od tego, czy jakaś rakietą napędzana stosem atomowym poleci, czy rozleci się po starcie. „Naprawdę żyję w świecie z powieści fanta-stycznonaukowej” – pomyślał. Dla Conliga rakiety atomowe były najprostszymi, najpiękniejszymi urządzeniami świata. Nic się w nich nie spalało, jak w Saturnach. Po prostu należało podgrzać pod wysokim ciśnieniem płynny wodór w rdzeniu reaktora i gorący gaz leciał im z tyłka. Atomowy górny człon zwiększał wydajność Saturna 5 dwa razy; można było zwiększyć o ponad połowę ładunki użyteczne wysyłane na Księżyc. Ale były poważne wyzwania natury technicznej.

Jako paliwa używano płynnego wodoru o temperaturze dwadzieścia pięć stopni

powyżej zera absolutnego. Po przepompowaniu do reaktora musiał osiągnąć temperaturę ponad dwa tysiące stopni.

n

Układy chłodzenia były oczkiem w głowie Mike'a Conliga. Pojawiały się inne trudności. Na przykład, biorąc pod uwagę zastosowanie silników atomowych w przestrzeni kosmicznej, należało pomyśleć o ochronie załogi przed promieniowaniem. I o tym, że nie da się zgrupować za dużo tych ślicznotek w jednej rakiecie, ponieważ emisje neutronów oddziaływały na siebie i... i... Niemniej jednak przedsięwzięcie nabierało rumieńców. Niebawem mieli przejść do prób z reaktorem podczas lotu. Ale wcześniej czekało ich cholernie dużo roboty. Kiedy się łapiesz za technologię nuklearną, nie ma mowy o chodzeniu na skróty; nikomu się nie uśmiechało, żeby pracujący stos atomowy rozłożył się po całej Florydzie, tylko dlatego że ktoś coś spierniczył na Kennedym.

Ale Conlig myślał, że któregoś dnia te silniki polecą w gwiazdy. Mieli problemy do rozwiązania. Ale zostaną rozwiązane. Gdy tylko Nixon wyrazi zgodę na propozycję Grupy Roboczej ds. Przestrzeni Kosmicznej, STG.

STG był komitetem pod przewodnictwem wiceprezydenta Spiro Agnewa, stworzonym przez Nixona do ustalenia celów programu kosmicznego po fazie Apollo. Grupa miała we wrześniu przedstawić swój raport. Plotki głosiły, że będzie w nim mowa o załogowej misji na Marsa. Gdyby doszło do wytyczenia takiego celu, którego zwieńczeniem byłoby lądowanie na powierzchni planety, przedsięwzięcie mogło się spodziewać sporego zastrzyku finansowego.

Ben Priest nadal wprowadzał Natalie w szczegóły XE-Prime. Conlig pomyślał nagle, że tych dwoje pasuje do siebie. Byli rozluźnieni. Ogarnął go niejasny niepokój. Ale Natalie nie zamierzała popuścić Priestowi. Jak zwykle zaczęła wałkować aspekt polityczny.

Natalie York roześmiała się nerwowo; kiedy przyglądała się szczupłej XE-Prime, przeszedł ją dreszcz zachwyty – a może niesmaku. – Powiedziałaś, że tutejsze badania rakiet atomowych ciągną się od dziesięciu lat?

–Tak – potwierdził Priest.

–Jakim cudem? Przecież loty na Marsa to stosunkowo świeża sprawa, pod koniec lat pięćdziesiątych nikomu się o nich nie śniło.

–

Priest podrapał się w ucho.

No cóż, ośrodka nie budowano pod kątem lotów w kosmos, Natalie Pod koniec lat pięćdziesiątych wielkie rakiety na paliwo chemiczne to była wciąż sprawa przyszłości. A broń nuklearna była wielka, ciężka...

Aha. Budowano tu międzykontynentalne rakiety balistyczne.

Atomowe rakiety balistyczne.

To były normalne prace inżynierskie – sprostował gładko Priest. Na wszelki wypadek. I pamiętaj, że ZSRR znacznie nas wtedy wyprzedzał, dysponując ogromnymi raketami balistycznymi na paliwo chemiczne. Ale dorobiliśmy się większych rakiet chemicznych, mniejszych bomb i potrzeba znikła. Później NASA uznała, że rakiety atomowe przydadzą się Programowi Apollo, wyprawie na Księżyc. Ale wtedy pojawiły się rakiety typu Saturn...

–A teraz wciąż musimy budować atomówki, bo wybieramy się na Marsa. – Hej, Ben – przerwał im Mike. – Może ty będziesz pierwszym człowiekiem na Marsie. W rakiecie atomowej „Spiro Agnew”.

Ben parsknął śmiechem. Przyłożył ręce do ust i zaczął naśladować styl nestorów amerykańskich dziennikarzy telewizyjnych, Cronkite’a i Rathera. – A teraz, podczas tej transmisji, zabierzemy was na żywo na jakże trafnie ochrzczonej Równinę Szakali, gdzie znakomity statek kosmiczny „Agnew” szykuje się wznieść Człowieka w Przestrzeń Kosmiczną ku nowemu przeznaczeniu... przekazuję mikrofon, Dan.

–Dzięki, Walterze. Kiedy tak stoję pod rozgwieżdżonym niebem Newady, przypomina mi się...

Wyglupiali się dalej jak para dzieciaków, śmiejąc i kuksając. Petey oderwał się od płotu, zwabiony ich wesołością i zaczął szarpać ojca za koszulę, młóćąc go pięściami po plecach.

York traktowała to wszystko z wyrozumiałością i szła, trzymając się nieco z tyłu.

Rozglądała się nieco uważniej po otoczeniu, starając ocenić rozkład budynków i urządzeń.

–Opowiedz mi, jak przebiegają próby – poprosiła Priesta, kiedy rozbawienie opadło.

–No cóż, podstawowa sprawa to tor kolejowy. – Wskazał palcem. – Biegnie od tego budynku, magazynu materiałów radioaktywnych. Wiesz, te elementy testowe nie są szkodliwe, dopóki się ich nie użyje. Wiezie się je platformami do komór badawczych i robi próbę rakiety. Potem są transportowane na składowisko, na wschodni koniec

toru. – Bo są zbyt radioaktywne, żeby użyć ich powtórnie? – No. – Priest wzruszył ramionami. – Mike zastanawia się nad rakieta wielokrotnego użytku, ale bardziej prawdopodobne jest uzbrojenie statku międzyplanetarnego w zespół połączonych wielkich silników raketowych typu NERVA. Po wykorzystaniu porzuca się je, żeby nie narażać załogi na oddziaływanie radioaktywne. Służyłyby do startu z Ziemi; do manewrowania używałoby się rakiet na paliwo chemiczne. – Rany Julek. Tak wyobrażacie sobie racjonalny sposób latania? Uśmiechnął się do niej szeroko, błyskając zębami.

–Jeśli dzięki niemu dostanę się na Marsa, to tak, do diabła.

–Mieliście wypadki?

–Pewnie. To poligon. Czego się spodziewałaś?

–Co to były za wypadki?

–Wyciek z rdzenia. Tworzenie się ozonu w uwięzionych bąblach powietrza. Utrata spowalnicza...

–A wypadki z ludźmi?

–Uszkodzenia bębenków usznych. Kilka oparzeń. – Priest miał minę jak uczeń na cenzurowanym. – Natalie, o co ci chodzi? Ten ośrodek powstał w innej epoce. Musisz patrzeć na rzeczy przez pryzmat czasów, w których się pojawił. – Och, pewnie.

„Inna epoka. Ale wciąż wykorzystujemy to ohydne miejsce” – pomyślała. „I Mike tu pracuje, na litość boską”.

Zadygotała, jakby poczuła stare radioaktywne cząsteczki wyzwolone podczas zimnej wojny, przenikające jej ciało. Rozejrzała się wkoło.

–A jak zapobiegają skażeniu? Kiedy odpalają rakiety, cały ten radioaktywny

wodór

unoszą się w powietrze...

–O jakim skażeniu mowa? – spytał Ben.

Wpakowali się do corvetty Bena i z rykiem silnika ruszyli drogą międzystanową w kierunku Vegas, gdzie zamierzali spędzić wieczór i niedzielę. Petey szybko zasnął, głowa latała mu bezwładnie na oparciu siedzenia.

Ben włączył radio. Nadawano wiadomości. Siedząca na fotelu pasażera York, obok

Bena, z przymusu słuchała koszmarnych statystyk z Wietnamu. Światło ściekło z nieba i ostre promienie gwiazd przekłuwały granatową pustkę.

Ben pochylił się i zwiększył głośność.

Hej, Mike, posłuchaj tego. To Agnew.

–...w łonie naszej Grupy Roboczej do spraw Kosmosu wyłoniły się trzy opcje, prezentujące pełny rozrzut poglądów... rozmaite loty załogowe, bezzałogowe ekspedycje na inne planety i wykorzystanie satelitów, służących ludziom na Ziemi oraz zwiększających międzynarodową współpracę w kosmosie...

Rozległ się uprzejmy głos Wernhera von Brauna, zeznającego przed senatem. – Mówię, zrobmy to szybko i stwórzmy przyczółek na nowej planecie, gdy jeszcze mamy miejsce, z którego możemy wystartować...

–Wciąż walcą lot na Marsa – zauważyła York.

–Pewnie – powiedział Ben. – Wszystkie trzy opcje Agnewa dotyczą Marsa; różnią się tylko stopniem finansowego zaangażowania. Im więcej forsy się wsadzi, tym szybciej tam

wylądujemy. Chociaż...

–Co?

–Chociaż przedłożył też czwartą możliwość, zakładającą pełną rezygnację z lotów załogowych. – Priest wpatrywał się w ciemny pas drogi. – Chyba pozostaje nam tylko czekać, co się z tego wykluje.

–Agnew to dupek – powiedziała bez gniewu York. – Może, ale dupek, który lubi statki kosmiczne i astronautów – stwierdził Mike, pochylając się z tylnej kanapy. – Przepadam za takimi dupkami. – Lot na Marsa to piękny pomysł – powiedziała York. – Ale to zupełne science fiction. No nie?

Mike ścisnął ją za ramię.

–Widziałas XE-Prime. Możemy zbudować tego ptaszka. Potrzebujemy tylko pieniędzy.

–Ile?

–To żadne szokujące sumy – powiedział Ben. – Pewnie w rzeczywistości nie tak dużo jak na Apolla. Cały program zakłada budowę modułów. Trzeba stworzyć kilka

podstawowych części i używać ich w różnych konfiguracjach, zależnie od potrzeb danej misji. Przydałby się wahadłowiec, żeby tanio dostać się na orbitę; rakieta na silnik atomowy, żeby odbywać podróże dalekiego zasięgu na Księżyc i dalej, a także puszki – moduły stacji kosmicznej – które można scalić w różne kombinacje. Można złożyć statki marsjańskie, używając puszek ze stacji kosmicznej jako modułów mieszkalnych i atomowych rakiet wspomagających...

York miała ochotę się klócić, wyrzucić z siebie napięcie, które się w niej zagnieździło – była wstrząśnięta tym, co zobaczyła na poligonie. – Ale po co to wszystko? Żeby obejrzeć kolejne odciski stóp i flagę, jak Program Apollo?

–Nie – warknął Mike. Od kiedy opuścili Równinę Szakali, w jego głosie pojawiło się zniecierpliwienie. Zapewne spodziewał się innej reakcji z jej strony. – Nie słuchałaś, Natalie? – spytał. – Agnew przedstawił wspaniałą wizję. Do roku 1982 możemy się znaleźć na Marsie. A do 1990 będziemy mieli setkę ludzi na orbicie okołoziemskiej, czterdziestu ośmiu astronautów na Księżycu i tyle samo w bazie na Marsie... – Och, pewnie – powiedziała najeżona. – Tak się składa, że faktycznie słuchałam.

słyszałam gwizdy, kiedy Agnew mówił o locie na Marsa. Ludzie tego nie chcą, Mike; wojna tak spierdoliła gospodarkę, że bardziej nie można. Ku jej uldze, włączył się Ben, chociaż był wyraźnie zaskoczony, słysząc w jej ustach przekleństwo.

–No cóż, i tak wątpię, żeby Nixon kupił to wszystko – powiedział. – Słyszysz się, że przychyliła się trochę do wariantu z promem kosmicznym, bo to jedyny element wielokrotnego użytku ze wszystkich propozycji STG. Najtańszy sposób podboju kosmosu. Z drugiej strony, Nixon lubi bohaterów...

–Ale nie ma możliwości manewru po tym, co Kennedy powiedział Armstrongowi i Muldoonowi w lipcu – zauważył Mike. – I po tych wszystkich oświadczeniach, że popiera wyprawę na Marsa, które sam wygłosił od tamtej pory. – Nixon nienawidzi Kennedy'ego – mruknęła York. – Poza tym Kennedy to tylko jeszcze jeden oportunista. Naprawdę myślicie, że dalej pompowałyby fundusze w Apollo, jak robił to Johnson, gdyby kalectwo nie pozbawiło go prezydentury w 1963? Gdyby faktycznie musiał zapłacić za każde przedsięwzięcie, do którego wzywał z fotela na kółkach? Johnson był prawdziwym entuzjastą podboju kosmosu – powiedział Mike. – Jesteś za bardzo cyniczna, Natalie.

–Dla Johnsona liczyły się tylko własne korzyści. Jeśli nie, to dlaczego mamy tak wiele ośrodków NASA na południu?

–Wszystko to daje trochę do myślenia – przyznał Ben. – A co by było, gdyby Kennedy nie zaliczył tych kul w Dallas? Albo gdyby zabili nie jego żonę, ale jego? Gdyby nie popierał z boku całego programu, może teraz nie byłoby mowy o żadnych przedsięwzięciach w kosmosie.

–Tak czy siak, ja mam tylko nadzieję, że tym razem zrobią miejsce dla kilku uczonych pomiędzy wami, lot-ni-ka-mi – powiedziała York. – Nie słuchaj jej, Ben – powiedział Conlig. – Tylko udaje, że nic ją to nie obchodzi.

Zgadnij, co trzyma na ścianie w sypialni domu swojej matki.

–Przymknij się, Mike...

–Zdjęcia Marsa.

Priest spojrzał na nią ze szczerym zainteresowaniem. – Do diabła, miałam wtedy dopiero szesnaście lat. Dałam się nabrać na tę całą medialną wrzawę wokół Marinera...

Mariner 4 był sondą kosmiczną, która dotarła na Marsa w lipcu 1964 roku. Nie miał

dość paliwa, żeby zaparkować na orbicie marsjańskiej, okrążył tylko raz planetę, robiąc zdjęcia. Wysłał ich w sumie dwadzieścia jeden. Obrazowały może jeden procent powierzchni Marsa.

Przed wyprawą Mariner York nigdy nawet nie myślała o Marsie ani o innych planetach. Nie interesowała się astronomią, wyprawami w kosmos, innymi planetami ani niczym w tym rodzaju. Astronomia był to temat dla garstki starców, pilnujących dostępu do wielkich teleskopów i używających ich do swoich niejasnych, trwających wieki, przedsięwzięć. Już wtedy, w 1965, jej wyobraźnię zawładnęła geologia – badanie Ziemi. To, co dało się obejść, podnieść, zbadać oczami i palcami. Mariner zmienił to wszystko. W każdym razie na jakiś czas. Zapamiętała słowa pewnego swojego nauczyciela, starającego się przekazać dzieciom podstawy astronomii.

W 1964 roku, kiedy Mariner docierał do Marsa, ten był w opozycji względem Ziemi. Mars okrąży Słońce jak Ziemia; lecz że jest bardziej oddalony od środka Układu, jego orbita jest większa, a rok dwa razy dłuższy. Oznaczało to, że jego odległość od Ziemi zmienia się nieustannie, kiedy Ziemia przemyka po swoim torze. Jest najbliżej Ziemi, kiedy trzy ciała niebieskie, on sam, Ziemia i Słońce układają się w jednej linii, w tej właśnie kolejności.

„Opozycja” – mówił nauczyciel. „Tak się na to mówi, kiedy Mars ma Ziemię między sobą a Słońcem. Wtedy jest najbliżej nas”.

Dowiadując się o tym wszystkim, poczuła się nagle, jakby była pasażerem gigantycznego wirującego statku kosmicznego imieniem „Ziemia” sunącego obok wielkiego czerwonego liniowca, „Marsa”.

„Żeby uczciwie wykonać swoją robotę, astronomowie musieli ustalić nasze położenie, położenie Ziemi, w stosunku do reszty Wszechświata. Musieli ruszyć głową, popracować wyobraźnią i dostrzec, że Ziemia tak naprawdę wcale nie jest płaska”. Dostała reprodukcje zdjęć, przesłanych drogą radiową przez Mariner 4, i faktycznie przykleiła je taśmą do ściany sypialni.

Pierwsze pokazywało spory fragment planety, widziany z bliska; horyzont był zakrzywiony, a szczegóły rozmyte, co bardzo denerwowało małą York. Niemniej jednak, nawet taki obraz strasznie się różnił od zamglonego, nierzeczywistego dysku, oglądanego przez teleskop.

Zdjęcia Mariner pokazywały Marsa widzialnego oczami astronau-ty, który dotarłby na jego orbitę.

Następne fotografie zrobiono dokładnie pod kątem prostym do powierzchni. Monochromatyczne wizerunki przypominały zdjęcia powietrzne jakiejś pustyni, może Arizony...

–Wiesz, owoce pracy Marinera były wielkim wstrząsem dla nas wszystkich – powiedział Ben Priest. – Poprzednio wydawało się nam, że doskonale wiemy, z czym mamy do czynienia. Że wystarczy założyć maskę i będzie można spacerować po Marsie. Wydawało się nam że ciemne plamy na powierzchni to wynik zmieniających się pór roku, że to może jakaś rozwijająca się roślinność.

Ale nagle wszystko okazało się inne. Myliliśmy się. Całkowicie się myliliśmy – Mars z pewnością nie ma ziemskiego charakteru.

Siódme zdjęcie Marinera okazało się prawdziwą niespodzianką.

Siódme zdjęcie pokazywało kratery. Nikt się tam czegoś takiego nie spodziewał.

W takim razie Mars nie przypominał Arizony. Raczej Księżyc. Wiemy teraz, że atmosfera jest niewyobraźalnie cienka. Składa się głównie z dwutlenku węgla, szczątkowych ilości pary wodnej i jest pozbawiona tlenu. Nie ma nawet azotu... Nawiasem mówiąc, Mariner nie znalazł żadnych kanałów. Chociaż przeleciał nad obszarem, na którym dopatrzono się masy wyraźnych kanałów. To przewróciło do góry nogami wszystkie nasze poglądy. W tak cienkiej atmosferze wszelkie przejawy życia muszą być bardzo odporne. Zupełnie inne niż ziemskie formy. Ale oczywiście nie da się ustalić, czy coś tam żyje, czy nie, dopóki nie wylądują tam ludzie. Faceci z NASA powiedzieli, że to był cholerny zawód. Nagle okazało się, że nie warto podróżować na Marsa. I jeśli teraz faktycznie na niego nie polecimy, jeśli nie uda się zebrać się środków i funduszy, to według mnie będzie to wynik tamtego wstrząsu, związanego z efektami wyprawy Marinera 4. York wzruszyła ramionami.

–Ale NASA od lat piała peany na temat Marsa. To miał być kurort na niebie,
tętniący

życiem, zasługujący na te wszystkie miliardy, które chciano wydać na rakiety i
statki

kosmiczne...

Priest wybuchnął śmiechem.

–Kurort. To mi się podoba.

Dla York Mars był czymś znacznie ważniejszym niż kosmiczny kurort. Po locie Marinera zaczęła się interesować Marsem i wyobrażeniami, które ludzie stworzyli sobie na jego temat. Wyszukała książki w bibliotece. Percival Lowell, Mars i przejawy życia, Nowy Jork, 1909; Lowell, Mars i jego kanały, Nowy Jork, 1906... Pamiętała niesamowite komiksowe rysunki wielkich kanałów irygacyjnych wykopanych na

powierzchni umierającego, wysychającego Marsa, drugie opisy łąnów traw i stad zwierząt, które musiały wędrować po czerwonych marsjańskich równinach. Wernher von Braun, Przedsięwzięcie Mars, Uniwersytet Illinois, 1953. Na okładce był wielki statek rakietowy, jak z książki dla dzieci. Von Braun chciał zbudować na orbicie okołoziemskiej dziesięć statków kosmicznych, ważących trzy i pół tysiąca ton każdy i unoszących siedmioosobowe załogi.

Wyobrażał sobie dwustutonowe ładowniki, przewożące pięćdziesięciu ludzi na powierzchnię, żeby spędzili tam rok... To była chłopięca gigantomania, ubrana w poważne inżynierskie plany.

Dawno przestała się tym zajmować. W wieku szesnastu lat była zapaloną entuzjastką nauki, dokładnego myślenia i logiki; może to głupie, ale brak logiki, pobożne życzenia i wszelkiego rodzaju emocjonalne zabarwienia racjonalnych procesów zaczęły ją drażnić.

(Nie dość tego, traktowała z góry większość chłopców, z którymi chciała zapoznać ją matka. Po kimś, kto przeszedł tak burzliwą sprawę rozwodową jak Maisie York, można by się spodziewać, że nauczył się nie wtykać nosa w życie innych ludzi...) Rzecz w tym, że dla niej prawdziwy Mars stał się o niebo bardziej interesujący niż widziany w antropocentrycznych marzeniach Lowella. Dzięki Marinerowi Mars okazał się wymarzonym miejscem badań geologicznych.

Na ile różnił się budową od budowy Ziemi? Ile informacji o pochodzeniu Ziemi mógł przekazać, informacji, których nie dało się wydrzeć samej Ziemi? Pewnie miał ich piekielnie dużo.

Trzynaste ujęcie zelektryzowało York.

Na trzynastce były kratery. Ich wnętrza pokrywał szron. „Mój Boże” – pomyślała olśniona. „To nie przypomina Księżyca. Ani Arizony. Mars to coś zupełnie innego. Wyjątkowego”.

Ben spojrzał przeciągle na York.

–Wyszło szydło z worka. Po kryjomu interesujemy się Marsem. Powiniennem zabrać cię kiedyś do Laboratorium Napędu Odrzutowego*[Przyp tłum JPL, Jet Propulsion

Laboratory]. Tam właśnie badają próbki planetarne z... Hej, Natalie. Może

powinnaś się

zgłosić.

–Dokąd?

–Do korpusu astronautów.

–Ja? Żartujesz.

Czemu uważasz, że to niemożliwe? Masz niezbędne kwalifikacje i potrzebujemy takich ludzi, jak ty. Nawet Spiro to mówi; uważa, że ludzie się zrazili do Programu Apollo, bo był za bardzo skupiony na problemach inżynierskich. Bo był.

Priest nie spuszczał z niej wzroku.

Mówię poważnie, Natalie. To dla ciebie autentyczna szansa. Mogłabyś pójść pracować dla Jorge'a Romera i jego chłopaków od geologii we Flagstaff i przygotowywać ekipę, która poleci na Księżyc. W ten sposób Jack Schmitt zakwalifikował się do Programu i mówią, że uda mu się polecieć na Księżyc. – Zaczynam się ciebie bać, Ben. Jak taki zwariowany facet dostał pozwolenie na prowadzenie samochodu nocą?

–Masz. – Prowadząc jedną ręką, odgiął klapę marynarki. Miał tam srebrną szpilkę.

Odpiął ją. Była w kształcie gwiazdy ciągnącej ogon komety.

–Co to jest?

–Moja oznaka żółtodzioba. Niedługo wejdę do jakiejś załogi. Ta oznaka bardziej pasuje tobie niż mnie. Weź ją. A kiedy będziesz pierwszym człowiekiem na Marsie, kiedy ładownik Spiro Agnew wyląduje tam w 1982, wrzucić ją do najgłębszego krateru, jaki ci się nawinie, i pomyśl o mnie.

–Jesteś wariatem – powtórzyła. – Powinieneś dać to Peteyowi. Umilkli.

Wróciła myślami do Równiny Szakali.

„Nawet nie zbierają skażonego wodoru” – myślała. „A Mike nigdy nie pomyślał, żeby mi o tym powiedzieć. Czemu? Bo wyobrażał sobie, że nie wytrzymam, kiedy to usłyszę? Czy dlatego, że nie widzi w tym niczego złego? Jak to o nas świadczy? I czy naprawdę musimy babrać się w tym gównie, żeby dostać się na Marsa?”. Zaciśnęła palce wokół oznaki Bena.

Droga międzystanowa, taśma lśniąca w blasku gwiazd, ciągnęła się w dal, ku łunie Vegas.

Poniedziałek, 27 października 1969

roku

Baza Lotnictwa Wojskowego Edwards w stanie Kalifornia

Major Philip Stone zgłosił się do lotnictwa wojskowego, USAF, w 1953 roku. Miał wtedy dwadzieścia lat.

Akurat zdążył wykonać serię ryzykownych zadań w Korei. No cóż, latanie w Korei to była łatwizna. Ale Stone nie przepadał za walką. Kumple mówili, że jest za poważny – za porządny. Niemniej jednak nie żałował tamtych lat; z każdym lotem czegoś się dowiadywał – o maszynach i o sobie.

Po wojnie z żółtkami ta jego trzymana w ryzach ciekawość znalazła nowy cel. Jeśli na początku lat sześćdziesiątych byłeś w lotnictwie i chciałeś wejść do programów kosmicznych, to najkrótsza droga wiodła przez program budowy i badań samolotów raketowych wysokiego pułapu. Samoloty X-15 zapewniały nawet odznaki astronautów. Trzeba było tylko zaliczyć lot w niższej warstwie „przestrzeni kosmicznej”, czyli na pięćdziesięciu milach. Od X-15 przechodziło się do bardziej zaawansowanych X-20, latających na zasadzie dynamicznego lotu żaglowego. Wynosiły cię na orbitę, a potem wracało się nimi i lądowało jak samolotem.

Ale w porównaniu z balistycznymi kapsułami typu Merkury i Ge-mini, rutynowo wynoszącymi ludzi w kosmos, X-20 nie był zbyt zaawansowaną maszyną. Na dodatek budowa prototypów kosztowała tyle, co cały Program Merkury, a żaden z nich nawet nie wzbił się w powietrze. Więc program budowy X-20 wylądował w koszu. W tej sytuacji pilot, który chciał polecieć w kosmos, mógł zrobić tylko jedno. Zgłosić się do NASA. Tak właśnie postąpił Neil Arm-strong; wpierw oblatywał X-15, a potem przesiadł się na statek kosmiczny. Stone postanowił iść w jego ślady. Ale najpierw musiał załatwić jedną sprawę.

W 1969 roku Stone liczył sobie trzydzieści siedem lat.

Minuta do odłączenia.

Minuta – powiedział Stone. – Przyjąłem. Odczyt danych włączony Akumulatory awaryjne włączone. Czekam na twój znak, kolego Obwód główny włączony, obwód świateł włączony...

B-52 dotarł do powietrznego startowiska nad jeziorem Delmar Dry w Newadzie. Samolot raketowy zwiślał pod pylonem skrzydła. Smukła czarna tęponosa torpeda, wypełniona po brzegi płynnym tlenem i bezwodnym amoniakiem, gotowa do

powietrznego startu.

Stone siedział zapieczętowany w X-15. Silnik B-52 był kilka stóp od jego głowy, ale w hermetycznej kabine małego samolotu nie słyszało się prawie hałasu kolosa. Kątem oka widział samoloty pościgowe otaczające B-52. „W końcu odwali się ten cholery lot i będzie z głowy” – pomyślał.

Po piętnastu latach Program X-15 dobiegał końca. Został jeden egzemplarz zdalny do użytku, X-15-1, pierwszy, który wrócił z lotu w latach sześćdziesiątych., weteran siedemdziesięciu dziewięciu misji. Ludzie z Edwards chcieli dobić do dwusetki i zakończyć program. Więc poprosili Phila Stone’a, żeby został i odbył lot. Ale nastąpiła cała seria opóźnień i usterek, potem była zima i termin lotu przesunął się o rok. Dla Stone’a był to rok zmarnowany. Spożytkował go, przygotowując się do przeniesienia do NASA. Chciał zacząć nową pracę z maksymalnego pułapu. – Piętnaście sekund do odłączenia. Samoloty pościgowe na pozycjach. Dziesięć sekund.

Serce ukryte gdzieś pod srebrzystą powierzchnią hermetycznego skafandra zaczęło bić żywiej niż normalnie. Jak powinno w takich chwilach. – Trzy. Dwie. Jedna. Odłączenie.

Klamry B-52 trzasnęły głośno i puściły X-15. Maluch odskoczył od matki i siły bezwładności wyrzuciły Stone’a z fotela.

Na czterdziestu pięciu tysiącach stóp Stone wyłonił się z cienia skrzydła bombowca w ostry blask słońca. Znajdował się tak wysoko, że światło poranka miało barwę neonowego błękitu, koloryt zmierzchu. Otaczające samoloty pościgowe tworzyły srebrzyste punkciki, wlokące za sobą smugi kondensacyjne.

Ziemia zakrzywiła się pod dziobem samolotu, jakby Mojave była ogromną gładką kopułą. Stone widział przytarty pniak Soledad, Samotnej Góry, zgarbiony posepnie nad

jeziorem Rogers Dry, pół mili nad poziomem morza. Wyszłe słońce jeziora błyszcząły jak

szkło, pocętkowane szarozieloną by lica i powykręcanyymi agawami. Teren był płaski,

bezludny, zakazany, ale że każdego lata walec słońca idealnie wygładzał wilgotne

dna

jeziorek, cały obszar przypominał wielki pas startowy, zapewniający stosunkowo bezpieczne lądowanie.

Było parę minut po wpół do jedenastej.

Stone wcisnął guzik zapłonu silników rakietowych. Poczł mocne kopnięcie w łopatki. Dziób samolotu skoczył w górę, kiedy amoniak i tlen zapłonęły za plecami pilota, unosząc go w ciemniejszy błękit. Słyszał własny oddech; poza tym już nie docierały do niego żadne hałasy, przegonił dźwięk i gazy odrzutowe.

W dali dostrzegł plamkę światła przypominającą nisko wiszącą gwiazdę. To był samolot pościgowy na swoim maksymalnym pułapie. Błyskawicznie wyłonił się z nicości, został w tyle i znikł, jakby stał w miejscu.

Na czterdziestu tysiącach stóp Stone osiągnął dziewięć dziesiątych macha i usłyszał łomot, jak podczas turbulencji w trakcie zwykłego lotu. Teraz poruszał się tak szybko, że cząsteczki powietrza nie nadążały usuwać się przed samolotem. Przekroczył prędkość dźwięku i turbulencje ustały.

Osiemdziesiąt tysięcy stóp.

Zwiększył prędkość do maksimum i siła 4,5 g, czteroipółkrotnego ciężenia ziemskiego na poziomie morza, wcisnęła go w fotel. X-15-ł wspinał się niemal pionowo. Niebo z perłowoniebieskiego zmieniło się w ciemnogrnatowe. Był już tak wysoko, że w środku dnia widział przed sobą gwiazdy; dosięgały go tylko nieliczne kosmyki atmosfery, ledwo zapewniające sterowność.

Poczucie mocy, szybkości, panowania nad maszyną było upajające. Dziewięćdziesiąt tysięcy stóp; trzy tysiące dwieście stóp na sekundę. Mojave rozciągała się w doTe, ponad dwa tysiące stóp nad poziomem morza, jak wyschnięty dach świata.

W niecałą minutę po rozpoczęciu samodzielnego lotu zaczęły się kłopoty. Dostał wiadomość z ziemi. Chyba tracili namiary ptaszka. Kłopot w tym, że połączenie głosowe tak się pogorszyło, iż nie był pewien, czy dobrze słyszy. Na tablicy rozdzielczej zapaliło się światelko ostrzegawcze. Kolejna usterka. Z jakiegoś powodu wyłączyły się silniki rakietowe automatycznej korekty lotu. Jak na razie nie było to zbyt poważne; przebywał wciąż na tyle głęboko w atmosferze, że kontrolował lot sterem i lotkami.

X-15 leciał jak samolot w dolnych warstwach atmosfery. Miał konwencjonalne stery kierunku i wysokości, ster i lotki, którymi pilot mógł pracować elektronicznie lub za pomocą drążka i orczyka. Ale ponad atmosferą stawał się statkiem kosmicznym. RCS*[Przyp tłum Reaction Control System], automatyczny układ kontroli pozycji – małe dysze raketowe, jak w statku kosmicznym – podlegał układowi elektronicznemu o nazwie MH96. Poza tym był ręczny RCS, sterowanym drążkiem, który pilot miał pod lewą ręką. Stone szybko odnalazł przyczynę awarii. Automatyczny RCS wyłączył się, ponieważ uzysk danych MH96 spadł poniżej 50%. Normalnie MH96 wyłączał się, kiedy samolot leciał w gęstym powietrzu. W ten sposób zaoszczędzało się paliwo, ignolinę. Lecz obecnie uzysk danych zmniejszył się dramatycznie, ponieważ zaczęła się zacinać hydraulika sterów.

Automatyczny układ kontroli pozycji nie mógł już polegać na pozyskiwanych danych i się wyłączył.

Prawdopodobnie zakłócenia elektroniki, które zaczęły się od radia, rozszerzyły się na inne obwody. „Wygląda na to, że użarł nas jakiś cholerny wąż i dostaliśmy postępującego paraliżu, koleżko” – pomyślał Stone.

No cóż, zbiorniki paliwa raketowego były prawie puste. Przerzucił wyłącznik i silniki wyłączyły się z hukiem.

Znów poleciał w przód, a potem, już wolniej, odpłynął w tył. Poruszał się siłą rozpędu, lotem balistycznym jak ciśnięty kamień; X-15 zbliżał się do szczytu trajektorii na wyłączonych silnikach. Stone utracił wszelkie wrażenie szybkości, ruchu. Pozbawiony ciężaru miał wrażenie, że wnętrzności zaraz ulecą mu w górę. Odsunął na bok problemy. Wciąż leciał, wciąż był sprawny i świadomy. I bez względu na to, co działo się z MH96, miał program do zrealizowania, całą serię eksperymentów dla NASA i USAF.

Minuta, czterdziesta pierwsza sekunda lotu.

Włączył przyrząd do mierzenia spektrum słonecznego i zbiornik mikrometeoroidów pod lewym skrzydłem.

Nagle uzysk danych MH96 skoczył do 90% bez żadnych widocznych powodów i automatyczny RSC zaskoczył.

Stone sprawdził instrumenty pokładowe. Jak większość eksperymentalnych samolotów, X-15 miał prymitywną budowę. Wszystkie bebechy, sworznie i przewody, były na widoku. No cóż, wyglądało na to, że po raz pierwszy od wejścia w lot balistyczny urządzenia pokładowe działały, jak Pan Bóg przykazał. Niby było to bardzo miłe, ale tym bardziej wyprowadziło Stone'a z równowagi. Co go jeszcze czekało? Jego zasób zaufania do tego starego, poobijanego ptaszka sięgnął dna.

„Może on wie, że to jego ostatni lot?” – pomyślał. „Może woli jeden chwalebny rozbłysk niż kilka dziesiątków lat rdzewienia w jakimś muzeum”.

Niebawem samolot miał osiągnąć szczyt, zwieńczenie trajektorii, dwieście sześćdziesiąt tysięcy stóp.

Przyszedeł czas precyzyjnie ustalić pozycję, bez czego pomiar spektrum słonecznego był niepewny. Stone powinien obniżyć dziób i położyć samolot na lewe skrzydło. Już prawie osiągnął zerowy kąt natarcia, ale odchylił się nieco w prawo od wzorcowego kursu i kładł się odrobinę za bardzo na prawe skrzydło. Tak więc odpalił na dwie sekundy zamontowany na skrzydłach raketowy silnik kontroli przechyłu, żeby wyrównać, i raketowy silnik sterowania, żeby skierować dziób X-15 w lewo. X-15 reagował niczym wisząca w powietrzu płaszczyzna na kardanach, wykręcająca się w różnych kierunkach w odpowiedzi na rozkazy. Powstrzymując przechył na lewe skrzydło, Stone ponownie włączył silnik... Nadal kładł się za bardzo na lewe skrzydło. „Chryste” – pomyślał. „Co ja teraz zrobię?”.

MH96 znów się zepsuł i automatycznie wyłączył RCS, dokładnie w samym środku manewru.

Samolot wciąż kładł się na lewe skrzydło. Stone próbował wyrównać przez osiem sekund. Ale powietrze było tak rzadkie, że samolot wał ociężale na działanie lotek. Stone włączył raketowy układ sterujący. Czuł pot gromadzący się pod oczami. Kłopotom nie było końca. Nagle MH96 włączył automatyczny RCS. To przerwało zwrot w płaszczyźnie poziomej, tuż przed osiągnięciem właściwego kierunku. Stone ręcznie skorygował kierunek; jednak tym razem, kiedy już prawie leciał iak należy, cholerny automat znów się wyłączył – i dziób przetoczył się za bardzo w lewo.

Na domiar wszystkiego sztuczny horyzont poinformował go, że samolot znów kładzie się na lewe skrzydło. Spróbował wyrównać to trzema krótkimi odpaleniami RCS, ale przesadził i zaczął kłaść się na prawe skrzydło... Leciał na pięćdziesięciu milach. Niebo było granatowoczarne, a światełka urządzeń pokładowych lśniły wyraziście jak świeczki choinkowe. Na krawędzi horyzontu dostrzegł grubą warstwę powietrza, z której wspiął się w górę. Widział całe zachodnie wybrzeże USA, od San Francisco do Meksyku; nie było chmur i wszystko rozkładało się w dole jak model plastyczny terenu.

„Trzecia minuta, dwudziesta trzecia sekunda lotu” – pomyślał. Odchylenie kierunku rosło, pięć, sześć stopni na sekundę. Odpadł od kursu B-52 już o jakieś pięćdziesiąt stopni.

Kąt natarcia osiągał ekstremum i strugi powietrza zaczęły szarpać samolotem, kładąc go na prawe skrzydło. Groziło to przyjęciem pozycji prostopadłej do powierzchni, a nawet powrotem w atmosferę pod złym kątem.

Cała impreza mogła się skończyć na oczekującej z wytęsknieniem pustyni, dymiącą elipsą szeroką na jedną milę i długą na dziesięć. Żeby powstrzymać odchylenie w pionie, zastosował znów lewy RSC, przesunął drążek do oporu w lewo i maksymalnie skręcił lewą lotkę. Zrobił wszystko, co mógł. Ale przechył zdawał się rosnać. I jeszcze dziób zaczął opadać w dół. Rozgwieżdżone niebo i lśniąca pustynia w dole zaczęły się powoli kręcić wokół kabiny, podczas gdy Stone nadal pracował sterami. Na dwustu czterdziestu tysiącach stóp X-15 wpadł w korkociąg przy prędkości naddźwiękowej, obracając się jednocześnie w dwóch płaszczyznach. Stone zgłosił korkociąg ziemi.

–Powtórz, Phil. – W głosie kontrolera było niebotyczne zdumienie. – Powiedziałem, że wpadłem w cholerny korkociąg. – Nie był zaskoczony niewiarą kontroli; monitorowanie X-15 z ziemi było niemożliwe. Kontrolerzy widzieli jedynie wyraźne, powolne opadania i wznoszenia samolotu oraz przechyły na boki. Poza tym nikt nie miał pojęcia o korkociągu przy naddźwiękowej. Zielonego pojęcia.

Robiono jakieś próby z modelem X-15 w tunelu aerodynamicznym, ale nie przyniosły jednoznacznych wyników.

W podręczniku pilota nie podano, jak należy wychodzić z korkociągu naddźwiękowego.

Stone próbował wszystkiego, co umiał. Pracował ręcznym RCS, sterem i lotkami. „Drażek do oporu, orczyk do oporu” – komenderował sobie samemu w myślach. „Co innego mi zostało?”

Samolot wpadł w drgania, Stone’em ciskało na boki; trudno mu było oddychać, myśleć. Wszystko rozleciało się błyskawicznie. „Szlag trafił stery” – pomyślał. „To koniec”.

Nagle MH96 znów uzbroił automatyczny RCS i silniczki rakietowe zaczęły pracować długimi seriami, przeciwdziałając korkociągowi. Stone pracował razem z nimi, wspomagając działanie RCS sterem i lotkami.

X-15 wyrwał się z korkociągu i wyrównał. Nieprzyjemne siły przestały ciskać samolotem.

Stone poczuł krótki przyływ radosnego uniesienia. Był na dwudziestu tysiącach stóp.

Na liczniku miał pięć machów. „Teraz muszę tylko wrócić w tę cholerną atmosferę”

–

pomyślał.

Podciągnął dziób; wymamrotał krótką, pełną przekleństw modlitwę, kiedy stery zareagowały. Osiągnął właściwy, dwudziestostopniowy kąt natarcia, otworzył klapy, hamulce powietrzne na stateczniku pionowym. Odczucie szybkości powróciło, kiedy hamowanie zaczęło dawać w kość, pchając go na pasy. Przednie krawędzie skrzydeł jarzyły się groźnie purpurą.

Na osiemnastu tysiącach stóp ściągnął klapy i rozpoczął lot nurkowy połączony z obrotem. Należało jak najszybciej wytracić szybkość i energię. Na dwunastu tysiącach stóp nad wyschniętym dnem jeziora wyszedł z lotu nurkowego i kiedy strugi powietrza z rykiem opływały osłonę kabiny, wyrzucił statecznik podkadłubowy.

Włączył klapy, podniósł malony dziób, spieczony podczas wejścia w atmosferę. Obok samoloty pościgowe wyrównały lot.

X-15 dotknął ziemi. Tylne płozy wzbily chmury kurzu w nieruchome powietrze pustyni; podrzuciły pilota na fotelu, trąc o dno jeziora. Koło na dziobie przez kilka sekund wisiało w górze, zanim zaryło się w ziemi, dokładając swój obłok kurzu. X-15 wyhamował milę od miejsca kontaktu z ziemią. Samoloty pościgowe z rykiem przemknęły w górze.

Kiedy kurz osiadł na osłonie kabiny, Stone wyłączył instrumenty pokładowe, zamknął

oczy i osunął się w fotelu.

Pierścień skafandra wbijał mu się w kark.

Tego dnia Stone sprawdził się jako pilot. Ale wiedział, że nie zyskał wcale w oczach szefów NASA. „Wyszedłem z korkociągu nad-dźwiękowego!” – myślał. „Uratowałem swój tyłek i jeśli tylko dojdę, jakim cudem się to stało, trafię do podręcznika. Ale spieszyłem sprawę. Nie dokończyłem eksperymentów; nie odfajkowałem listy zadań”. A dla NASA liczyła się tylko ona.

Czyjaś pięść załomotała o osłonę kabiny. To był pracownik obsługi naziemnej; przez zakurzone szkło Stone dojrzał szeroko uśmiechniętą twarz. Uniósł dłoń w rękawicy i dał znak, że wszystko poszło jak z płatka.

„Dzień jak co dzień w programie podboju kosmosu” – pomyślał. Poniedziałek, 15 kwietnia 1970 roku Rybi Haczyk, Kambodża W 1970 roku Ralph Gershon miał dwadzieścia pięć lat. Wyrastał na farmie w Iowa, w biedzie i znoju, marząc o lataniu. Jako dzieciak docierał na Marsa z Weinbaumem, Clarkiem, Ricem Durrroughsem i Bradburym; później z zapartym tchem śledził początki programu kosmicznego. Liznął latania, załapał się do szkoły i – potykając się o wiele uprzedzeń – dostał w końcu do Akademii i lotnictwa wojskowego.

Robił to, o czym kiedyś marzył.

Ale rzeczywistość okazała się mniej słodka niż marzenia. Kiedy tylko Gershon wzniósł się w powietrze i minął obszar bazy, znalazł się nad dżunglą. Pod nim rozciągało się morze ciemności, czarniejsze niż niebo i sięgające horyzontu.

Jego skrzydłowy zwiększył moc i znikł; był już gdzieś powyżej czterech tysięcy stóp.

W miarę jak SPAD unosił się wyżej i śruba cięła mętne powietrze, silniki turbinowe grały na coraz bardziej piskliwą nutą. Gershon dostrzegł rozbłyśki ognia, punkciki szkarłatu wciśnięte w niewidoczny grunt. Te punkciki to były pociski wylatujące z luf artylerii.

Dym przenikał powietrze; było dwa razy bardziej zanieczyszczone niż podczas smogu w Los Angeles. Ten dym podziałał na wyobraźnię Gershona. Tam w dole setki, tysiące wieśniaków cierpliwie pilnowały ognisk na podmokłych mikroskopijnych poletkach.

Każdy

przykładał rękę do wspólnego dzieła, mającego zniszczyć jego, Gershona, i jego

towarzyszy

broni. Kiedy zacząłeś nad tym zbyt mocno główkować, budził się w tobie jakiś lęk

i podziw;

wyobrażałeś sobie rozmiary tego kraju i jego odporność na najbardziej nawet

wściekle

uderzenia.

Tak więc Gershon nic a nic nie główkował.

Wyrównał lot.

–Zmniejszyć prędkość do przelotowej – powiedział skrzydłowemu. Zgłosił się kontroler radarowy. Gershon oczekiwał tego. Włączył latarkę i przygotował się do naniesienia współrzędnych na mapę. Podczas odprawy wyznaczono mu cel na obszarze Wietnamu Południowego. Ale teraz kontroler w krótkich zdaniach podał nowy cel.

Gershon zmienił kierunek lotu; pod nim przetoczyły się następne mile dżungli. Po

locie kontrola naziemna zlikwiduje wszelkie ślady zmiany celu, wrzuci mapy do niszcarki i zgłosi, że zgodnie z planem zaatakowano Wietnam Południowy. Nie neutralną Kambodżę.

Jak po poprzednich lotach, Gershon złoży kłamliwy raport.

Zerknął w niebo. Gdzieś tam wysoko Apollo 13 zmierzał w kierunku Księżyca. Gershonowi trudno było pogodzić niesamowitą przygodę toczącą na niebie, tych trzech gości wietrzących tyłki w przestrzeni poza-ziemskiej z tym bezsensownym kłamliwym gównem, w którym tkwił po szyję, z tą wojną.

Po godzinie SPAD zaczął się trząść – było to miotanie, wibracje wzdłużne, tak że Stone podskakiwał w przód i w tył na fotelu. Nocne latanie potęgowało wszystkie wrażenia, każdą najmniejszą usterkę, aż dostawałeś takiego pietra, że marzyłeś tylko o tym, aby się ulotnić. Trudno było ocenić, czy tego rodzaju wibracje to prawdziwy problem, czy też coś, na co za dnia prawie nie zwróciłbyś uwagi.

Co mu pozostawało? Robił dobrą minę do złej gry i po chwili miotanie samolotem ustało. Produkcję SPAD-ów – jednomiejscowych Douglasów A-1 Skyriderów – wstrzymano w 1957 roku. Trzydzieści lat temu. W ogóle nie powinny już latać. Żeby utrzymać je w gotowości bojowej, musiano rozbierać wraki.

W ciemności Gershon musiał orientować się wedle czasu przelotu i kompasu; była nawigacja obliczeniowa, oparta jedynie na znajomości kierunku, prędkości i czasu lotu.

Trudno było o dokładność. Niebawem Gershon uzmysłowił sobie, że jest nad miejscem zgłoszonym przez FAG-a* [Przyp tłum Forward Air Guide.], jak określano przewodników naziemnych, zaprzyjaźnionych kambodżańskich wywiadowców, którzy wskazywali cele bombowcom.

Przekręcił gałkę radia, pracującego na falach metrowych.

–Cześć, Przewodniku Stada, tu Pielgrzym. Jak mnie słyszysz? Przewodnik Stada.

Tu

Pielgrzym. Jak mnie słyszysz?

Sam słyszał poszczekiwanie artylerii przeciwlotniczej dobiegające z odległości trzydziestu siedmiu mil.

Starał się zachować spokój. Przecież tamten biedaczysko tkwił gdzieś na dole, w środku pracujących mózdzierzy wroga.

Radio zatrzeszczało, rozległ się głos z daleka:

–Pielgrzym. Tu Przewodnik Stada. Ty pomóc Przewodnik Stada?

Tak, Przewodniku Stada. Pielgrzym ci pomoże. Masz złych facetów? – Odbijam, odbijam, Pielgrzym. – Chodziło o to, że „otrzymał”. FAG mówił skrótami w żargonie, którego piloci nauczyli tybylców-współpracowników. – Mam dużo dużo złych facet. Ja w środek, oni wszędzie. Strzelać do mnie z wielkie działo. „Z wielkiego działa”? Gershon wyteżył oczy w ciemność. Może to i prawda. Chociaż nie widział żadnych rozbłysków, jakby strzelano tylko z karabinów maszynowych. Karabiny maszynowe mu nie przeszkadzały. Nawet traktował je wyrozumiale.

Hałasowały jak deszcz i robiły niewielkie dziurki w poszyciu kadłuba.

Ale „wielkie działo” oznaczało moździerz.

Ciężko było się zorientować, jak jest naprawdę. Sprawy wyglądały inaczej z perspektywy Przewodnika Stada, bezradnego w zaciemnionej dziurze, wykopanej w terenie barwy atramentu.

–W porządku, Przewodniku Stada, podaj pozycję. Przylecimy, aby ci pomóc. – Gershon włączył latarkę i napisał cyfry, potem sprawdził pozycję na mapie. Dane nie zgadzały się z wcześniej podanymi. – Hej – zwrócił się do swojego skrzydłowego. – Masz to?

–Mam.

–Albo on nie wie, gdzie jest, albo jest sto mil stąd.

–Decyduj, Pielgrzymie.

Gershon wahał się, nie wiedząc, co zrobić. Taka zabawa w chowanego z FAG-iem nie była niczym nadzwyczajnym.

Czasami piloci bombowców dostawali z ciemności koordynaty, żeby potem się przekonać, że to namiary oddziałów sprzymierzonych. – Przewodniku Stada, tu Pielgrzym. Słyszysz mój samolot? – Pielgrzym, tu Przewodnik Stada. Słyszę twój samolot. Ty lecieć może dwie mile na północ.

Gershon skierował się na północ.

Spojrzał w dół. Góry w tym miejscu sięgały wysoko, tak że przelot na dziesięciu i pół tysiącu stóp wcale nie był bezpieczny.

–Hej, Przewodniku Stada. Słyszysz teraz mój samolot?

–Odbijam, odbijam, Pielgrzym. Ty teraz nad moja pozycja.

–

Poniżej ukazała się dolina, czarna rana okryta szczeciną dżungli. Przewodniku Stada, widzę wielką dolinę. Gdzie jesteś?

Odbijam, Pielgrzym. Źli faceci w dolinie. Ty rzuć bomby w środek dolinie.

To był wyraźny cel.

Słuchaj, Przewodniku Stada, powiedz mi, gdzie ty jesteś. – Gershon nie chciał załatwić bombami swojego FAG-a.

Pielgrzym, Przewodnik Stada na góra góry. Ty bomby w źli faceci.

W porządku, Przewodniku Stada, Pielgrzym zrzuci bomby w dolinę. Gershon ustawił selektor ładunku na lewe skrzydło, gdzie spoczywała pięćsetfuntowa bomba napalmowa. Wbił wzrok w ziemię, w ocean nieprzeniknionego. Zrzucił flarę, żeby skrzydłowy wiedział, dokąd leci dowódca.

Położył się na skrzydło, powierzając w ciemności swoje życie instrumentom pokładowym i zanurkował czterdzieści pięć stopni w dół. Zszedł poniżej grani i szybko zbliżał się do celu. W celowniku widział błyski, wyznaczające krawędzie doliny.

Igła wysokościomierza opadała i Gershon dyszał, spocony. Nie przejmował się ogniem przeciwlotniczym; w tej chwili przejmował się jedynie tym, żeby nie wyróżnić w

ziemię.

Wcisnął przycisk zwalniający bomby.

Pięćset funtów oderwało się od samolotu, który natychmiast odpowiedział skokiem w górę. Gershon poderwał go jeszcze wyżej i stęk-nął, czując przeciążenie rzędu 3 g siadające mu na piersi.

Napalm rozlał się po terenie. Wyglądało to tak, jakby niewiarygodnie wielka żarówka wybuchła na dnie doliny, rozświetlając przyćmione niebo i zamieniając je w mleczną kopułę.

To był niesamowity, nieziemski, prawie piękny widok. – Pielgrzym! Masz najfajniejsza bomba świata. Bardzo dobre. Ty zrób to jeszcze raz.

–W porządku, Przewodniku Stada, złożymy jajeczko w to samo miejsce. Gershon zmienił się miejscami ze skrzydłowym, który wprowadził samolot w lot nurkowy. Ciemności uciekły z doliny; była jedną masą °gnia, dwudziestomilowych płomiennych plam, mieniących się światłem jak klejnoty. Gershon dostrzegł na tle pożogi sylwetkę drugiego SPAD-a, osuwającą się w dół i wyrównującą lot. – Bardzo dobra bomba, Pielgrzym.

–W porządku, Przewodniku Stada.

–Hej, Pielgrzym. Masz radio?

Gershon nie rozumiał, o co chodzi; nalot był skończony.

–Powtórz, Przewodniku Stada. Powtórz.

–Przewodnik Stada słuchał radio. Głos Ameryki. Wasi dzielni chłopaki w kłopoty.

–Co?

–Apollo. Dzielne chłopaki. Statek kosmiczny w straszne kłopoty, mówić Głos Ameryki. Rozumiesz?

Gershona jakby prąd kopnął. „Jezu – pomyślał – co się tam do diabła stało? Byle tylko wrócili na ziemię...”. To niesamowite dowiadywać się tego od jakiegoś nieszczęśnika, tkwiącego po uszy w szambie w górach Kambodży.

–Odbijam, Przewodniku Stada. Potwierdzam. Dziękuję.

–Ja też dziękuję, Pielgrzym, i dobranoc.

„No – pomyślał – jeszcze czeka mnie dobre pół nocy fałszowania raportu”. Gdzieś wysoko na niebie – mimo wszystkich kłopotów, które dawały im w kość – Amerykanie dokonywali niesamowitych, cudownych wyczynów. A on tu latał tą zardzewiałą rurą, lejąc płynny ogień na jakichś chłopków. Wykonywał tak gówniane zadanie, że nawet jego własny rząd udawał, iż nie ma z tym nic wspólnego. „Muszę się z tego wytasować” – pomyślał. Oczywiście, mimo tych całych nacisków Białego Domu NASA na razie ani myślała o wystrzeleniu w przestrzeń kosmiczną Murzyna.

Ralpa Gershona czekała jeszcze długa droga...

Ale nic nie było gorsze od tego, co musiał tu wyczyniać... Gershon i jego kolega wspięli się z powrotem na odpowiednią wysokość i Gershon skierował SPAD-a do bazy.

Ziemia była ścianą niebieskiego światła, tak jasną, jak wycinek nieba w tropikach.

Żrenice York zmalały do rozmiarów główki od szpilki, kiedy chłonęła ten widok, mrużąc powieki. Natomiast niebo wydawało się czarne. Iluminatory w module dowodzenia były niewielkie, już porysowane, ale i tak wpuszczały olśniewająco błękitne promienie. Kabina była rozjaśniona i wesoła.

Houston, mamy przegrzanie kabiny – zgłosił Stone, postukując we wskaźnik temperatury. – Dochodzi do dwudziestu pięciu stopni. – Potwierdzam, Ares – powiedział Young. – Zalecamy uruchomienie drugiego obwodu chłodzącego.

–Odebrałem – powiedział Gershon. – Hm, Houston, widzę, że wskaźnik ilości wody mruga. Powiedziałbym między sześćdziesiąt a osiemdziesiąt procent... – Odebrałem, Ralph, zajmiemy się tym...

A Stone zgłosił podejrzenie, iż w zbiorniku paliwa rakietowych sterów pozycji jest bańka helu. Young zalecił kilkakrotnie odpalenie rakiet, żeby pozbyć się bańki.

W tej sytuacji

Stone włączył stery. Tymczasem Young zgłosił rozwiązanie kłopotów ze wskaźnikiem wody; chyba winny był wadliwy transduktor...

I tak dalej, i tak dalej, lawina drobiazgów i szczegółów, trywialnych problemów. York miała własną listę zadań. Szybko odfajkowała numerki na karteczkach, otwierając i zamykając obwody, przerzucając wyłączniki, wydając instrukcje Stone'owi i Gershonowi. Spowijały ją syk powietrza w hełmie, syk instrumentów pokładowych i pomp modułu dowodzenia, szelest papierów, przypominający trzask suchych patyczków, głos Younga z Ziemi, łagodne głosy Gershona i Stone'a, zajętych wykonywaniem obowiązków po osiągnięciu wysokości orbitalnej.

To były prozaiczne procedury, które przerabiali wiele razy wcześniej w symulatorze.

Ale przeżyła ogromy wstrząs, kiedy uświadomiła sobie, że realizuje je nie w jakimś ciasnym naziemnym bunkrze – ale tutaj.

Patrząc wzdłuż kadłuba statku, widziała krzywiznę planety, niebie-sko-biały łuk pod czernią kosmosu. Lecz kiedy zerknęła prosto w dół i powierzchnia Ziemi wypełniała okienko, przewijała się równomiernie jak kolorowa mapa, oglądana na ekranie monitora.

York była oczarowana przejrzystością powietrza i zdumiona głębią, dostrzegalną

trójwymiarowością atmosfery. Chmury prześlizgujące się nad morzami rzucały cienie, puchnąc bliżej równika. Kiedy York patrzyła przed siebie, równoległe do powierzchni Ziemi, widziała, że wznoszą się w atmosferę, co stwarzało takie wrażenie, jakby Ares zmierzał ku ścianie oparu. W dole widziała miasta – szare patch-worki, pełne regularnych plam – i linie głównych dróg. Pomarańczowo-wobrazowe pustynie były wyraźnie widoczne, ale dżungle i obszary o klimacie umiarkowanym były trudniej dostrzegalne; ich barwy nie przebijały się tak łatwo przez atmosferę i wydawały się szaroniebie-skie z domieszką lekkiej zieleni.

Poczuła się zawiedziona niedostatkiem tej barwy. Widziała kilwater jakiegoś statku, rozkładający się na spokojnej powierzchni oceanu, jak muśnięcie pędzla.

Siedzący w środkowym fotelu Gershon pochylił się ku niej.

–Ale widok, co? – powiedział.

Odwróciła głowę – i szybko tego pożałowała. Miała wrażenie, że zamiast głowy na jej szyi tkwi akwarium z gęstym, chlupocącym płynem. Znieruchomiała i chlupotanie ustało.

Zawzięta się i postanowiła nie myśleć o buntującym się żołądku. „Niełatwo przystosować się do warunków pozaziemskich” – pomyślała. Wiedziała, co się z nią dzieje. W warunkach braku grawitacji kruszyny wapnia na wrażliwych włoskach ucha wewnętrznego zajmowały dowolną pozycję i ciało nie miało pojęcia, gdzie jest góra, gdzie dół. To nieprzyjemne uczucie zwykle mijało po kilku dniach. Ale na razie przyprawiało ją o spory wstyd.

Dużo ostrożniej odwróciła się do iluminatora. Teraz mijali nagromadzenie chmur burzowych. Wyglądało jak zbudowane z ciała stałego, to głębokie wielomilowe urwisko ożywione błyskawicami i iskrami, które przemykały przez burzowe obszary rozległe na tysiące mil. Rozjaśnione od wewnątrz neonowe rzeźby świeciły purpurowo-różowym blaskiem.

–Popatrzcie na to – powiedziała York. – Tak to wygląda, jakby te burzowe chmury chciały się do nas dobrać.

–Dopiero jedna dziesiąta drogi – ogłosił półgłosem Gershon.

–

Cisnienie w porządku – powiedział Stone. Wziął się do zdejmowania rękawic i hełmu.

York odpięła rękawice, zsunęła je z dłoni i włożyła do kieszeni fotela Ujęła hełm, który odskoczył od kołnierza z lekkim metalicznym trzaskiem. Zdjęła go z głowy. Za szybko. Chlupoczący płyn nagle znów zalał jej głowę, ślina obficie napłynęła do ust.

Hełm stoczył się na tablicę z przełącznikami, zabrzączał. Gershon złapał go z łatwością i roześmiał się na całe gardło.

Przechwycenie! – zawołał.

Skafander pomniejszał go i wyszczuplał. Gershon pewnie czuł się dobrze, bo wyrzucił hełm w górę, wprawiając go w obrót; hełm zawirował w powietrzu, okręcając się dwa razy wokół swojej osi.

Zażenowana York poczuła się niezgrabna. Na dodatek patrząc na hełm, nagle zwymiotowała.

–O rany – stęknął z obrzydzeniem Stone. Podał jej plastikową torebkę. York rozdygotanymi palcami rozchyliła brzegi torebki i przytknęła ją do ust. Kiedy łapała powietrze, zielonkawa sfera, mniej więcej wielkości piłeczki tenisowej, wyfrunęła z torebki. Połyskiwała i pulsowała skomplikowanymi deseniami na powierzchni.

York patrzyła na nią, zdumiona. „Może powinnam to sfilmować” – pomyślała. To była demonstracja zachowania się płynu w warunkach braku ciężenia; York zastanawiała się, czy komputer byłby w stanie przewidzieć desenie, tworzące się na powierzchni sfery. Kulka wymiocin rozdzieliła się na dwoje. Jedna połówka ruszyła ku ścianie, druga prosto na Gershona.

–O cholera – zaklął Gershon, próbując uciec jej z drogi. Kulka łagodnie uderzyła go w pierś; natychmiast się rozpadła, rozkładając na skafandrze, płasko, jak smażone jajko. „Wróciło napięcie powierzchniowe” – pomyślała z roztargnieniem York.

–O Jezu – jęknął Gershon. – O cholera. Stone podał mu nawilżone chusteczki higieniczne.

–Daj spokój, stary. Każdy z nas mógłby puścić pawia. Musimy tu posprzątać. Zaczęli miotać się po kabinie, łowiąc szczątki wymiocin papierowymi ręcznikami wpychanymi do plastikowych torebek.

Co dziwne, teraz, kiedy żołądek przestał dawać się jej we znaki, York poczuła się całkiem nienajgorzej, sprzątajac kabinę. Jakby łowiła motyle. – Odpalenie, faza pierwsza – powiedział Stone. Wcisnął przycisk zwiększający ciąg.

Obserwował instrumenty pokładowe.

York wydało się, że zwrot jest ciasny i przebiega nerwowo. Znów wcisnęło ją w fotel; przyspieszenie było krótkie, ale ostre.

Przez okno widziała opar ulatujący z dysz raketowych sterów pozycji; opar zamieniał się w fontanny kryształków lodu, oddalających się od statku po idealnie

prostych torach.

Odpalenie silników miało miejsce po nocnej stronie Ziemi. Planeta oddalała się i York miała takie wrażenie, jakby unosiła się nad podłogą z ciemnego mlecznego szkła. Kontynenty były obrysowane łańcuchami brylantowych kropeczek, które z góry wyglądały jak latarnie uliczne. Ale to nie były latarnie, tylko miasta. Wykręciła się na fotelu i spojrzała przed siebie, ku krawędzi planety. Widziała poświatę, pokład zjonizowanego tlenu na szczycie atmosfery, delikatną linię łądząco przypominającą wschód słońca. Na oczach York szczelina nieba ze srebrzystego stała się błękitna i rozszerzyła wzdłuż horyzontu. Pojawiło się więcej kolorów; mieniły się wokół jasnej plamy, widma Słońca, które skąpało światłem krzywiznę Ziemi. Światło dnia dosięgło York przez warstwę atmosfery; przez krótką chwilę widziała cienie chmur sunących nad pomarańczową powierzchnią oceanów.

Słońce wzniosło się tak wysoko, że rozjaśniło szczyty chmur. Oceany stały się szkarłatne, a bladoniebiesko-biały dywan rozwinął się od horyzontu ku patrzącej. Nie wiedzieć czemu, sięgnęła do kieszeni skafandra i wyjęła garść trawy, którą dał jej Władimir Wiktorienko. Roztarła ją i poczuła słodką, ziołową woń. To był polin, odmiana piołunu, rosnąca na stepach Kazachstanu.

Stone wyłączył silnik. Zwolniony przycisk wyskoczył na panelu, pchnięty sprężynką.

–Dwieście siedem stóp na sekundę – zgłosił Stone. – Idziemy jak po sznurku – zamruczał Gershon. – Pozycja sto osiemdziesiąt pięć na dwieście jeden.

–Odpalenie udane, Ares – powiedział Young. – Jesteście dwieście pięćdziesiąt mil od klastra orbitalnego i nadal się do niego zbliżacie. Odebrałem, John. Przygotowujemy się do fazy drugiej odpalenia. Załoga wyleciała na orbitę z połową klastra Aresa; modułami Apolla, usługowym, MEM-em*[Przyp tłum Mars Excursion Module, Marsjański Moduł Badawczy. Orbital Maneuvring Module.] – ładownikiem marsjańskim – i modułem misji – habitatem na czas podróży. Reszta klastra – silnik główny i jego ogromne zbiorniki – została już wcześniej umieszczona na orbicie i zmontowana, gotowa na cumowanie reszty. Moduł misji był to przysadzisty walec, do którego zamontowano z przodu Apollo, smukły srebrny walec zakończony stożkiem, a z tyłu MEM – grubszy, ścięty stożek.

U

podstawy pancierza MEM-a był OMM*[Przyp tłum manewrowy moduł orbitalny], tłusty kasztan zaopatrzony w zmodyfikowany moduł usługowy typu Apollo. OMM miał być odrzucony, zanim nastąpi cumowanie. Ale najpierw Stone miał go wykorzystać do serii czterech odpaleń, ścigając po niebie zespół oczekujący. – Gotowy do zbliżenia – powiedział Stone.

–Odebrałem – powiedział Young. – Dziewięćdziesiąt mil i bliżej.

Odpalenie korygujące było ostre i niedługie, towarzyszył mu krótki syk. – Natalie, powinnaś już widzieć zespół oczekujący – mruknął Stone. – Dokładnie przed tobą.

York przycisnęła twarz do iluminatora. Krótkie odpalenia przesuwaly Aresa na coraz szersze orbity. W końcu miał prześcignąć zespół oczekujący. Ares był wyraźnie wyżej niż na pierwszej orbicie; krzywizna Ziemi uwydatniła się i York widziała całe kontynenty, pocętkowana chmurami. Nagle dostrzegła zespół oczekujący; połyskujący srebrzyście ołówek zwiisał nad obniżającym się horyzontem.

–Widzę go.

–Co za ulga – powiedział sucho Stone. – W porządku, Houston, zaraz wykonam serię koeliptycznych odpaleń przy szybkości dwadzieścia osiem stóp na sekundę. – Odebrałem, Phil. Kolejny ostry grzechot.

–Tym razem trochę za słabo, Ares – powiedział Young. – O jedną i sześć dziesiątych stopy na sekundę.

–Odebrałem – powiedział Gershon i cmoknął, udając, że przygania Stone'owi. – Jesteście na orbicie dziesięć mil poniżej zespołu. Macie sześćdziesiąt trzy mile i bliżej.

–Odebrałem – powiedział Stone. – Zaraz przejdę do fazy końcowej. – York słyszała klekot cewek, kiedy Stone naciskał przyciski, kontrolujące pracę rakiet steru pozycji. – Co wy na to. Dokładnie jak po autostradzie.

–Dobre odpalenie, Ares – pochwalił Stone'a Young. – Zbliżasz się z szybkością sto trzydzieści jeden stóp na sekundę.

Stone zrobił jeszcze dwa odpalenia i pięć ostrych hamowań. Następnie dokonał inspekcji w odległości pół mili od zespołu oczekującego, prowadząc Apollo po wąskim prostokącie. Silniki pracowały niespokojnie, rzucając ostro York na pasy. Obserwowała zespół oczekujący, który z bezszmerowym wdziękiem przesuwiał się za jej oknem.

Był przysadzisty, pełen paliwa. Jego serce stanowił gruby MS-2, drugi człon Saturna, tak zmodyfikowany, żeby służył do wprowadzenia na orbitę. Z przodu zamontowano do niego MS-4B, zmodyfikowany trzeci człon Saturna, węższy cylinder. Z obu stron MS-2 przymocowano zbiorniki zewnętrzne, srebrne cylindry, długie i szerokie jak sam MS-2. Te zbiorniki dodatkowe zawierały ponad dwa miliony funtów płynnego tlenu i wodoru, materiał napędowy, bez którego Ares nie wyrwałby się z orbity Ziemi. MS-2 i jego zbiorniki wyglądały jak trzy grube kielbaski, z których wystaje patyk szczuplejszego cylindra MS-IVB. Reszta klastera Aresa – moduł misji, MEM i Apollo miały zacumować przed MS-4B, tworząc w ten sposób pierwszy statek kosmiczny na Marsa, igłę o długości znacznie przekraczającej trzysta stóp. Klaster był ustawiony ku Słońcu, co redukowało nagrzewanie ul-trazimnego paliwa w zbiornikach. Długie cienie wsporników i silników sterujących odbijały się od oświetlonych słońcem biało-srebrnych brzuchów zbiorników. Podbrzusze rakiety nośnej rozświetlał jedynie łagodny niebiesko-zielony blask Ziemi. York widziała ogromne osłony słonecznych paneli klastera, złożone wzdłuż boków MS-4B jak skrzydła. Miały się rozwinąć dopiero wtedy, kiedy Ares bezawaryjnie znajdzie się na trajektorii marsjańskiej. Po bokach MS-2 umieszczono ogromny czerwony napis: STANY ZJEDNOCZONE. Skromniejsze napisy oraz logo NASA znajdowały się wzdłuż osłon paneli słonecznych. York widziała dokładnie wsporniki i sworznie, przytrzymujące zbiorniki zewnętrzne na kadłubie MS-2, a także cztery połyskujące złotem otwory silników J-2S, unowocześnioną wersję silników, które zaniósł Apollo na Księżyc.

Żeby zgromadzić taką masę na orbicie Ziemi, musiano w ciągu pięciu ostatnich lat wysłać tam dziewięć Saturnów 5B. Połowa lotów była załogowa. Stopnie silnikowe i ich zbiorniki wynoszono i łączono niepełne, po czym napełniono je z modułów tankujących.

Oczywiście, klaster oparto na zaawansowanej technologii Programów Apollo i Saturn, czerpiąc pełnymi garściami z rozwiązań stworzonych już w latach sześćdziesiątych, ale żeby wszystko zrealizować, NASA musiała znaleźć mnóstwo nowych rozwiązań, odpowiedzieć na pytanie, jak gromadzić na orbicie ciężkie komponenty, jak magazynować przez długi czas ultrazimne paliwo, jak tankować na orbicie.

Klaster żeglował nad Ziemią, oślepiająco jasny dzięki bezpośrednio padającym promieniom słońca – skomplikowany, potężny, nowoczesny, idealny, jak ogromny, wysadzany kamieniami model. Po zacumowaniu załoga miała nie oglądać go z zewnątrz przez rok. I nagle York przeszył prąd podniecenia, kiedy pomyślała, że ujrzy go dopiero wtedy, kiedy oddali się od niego, siedząc w MEM-ie na orbicie okołomarsjańskiej.

Stone przeciągnął się, uniósł ramiona nad głową i wygiął się w tył, podnosząc z fotela.

Z wyraźną ulgą rozprostował długie kończyny. „Naprawdę jest zbyt wysoki na astronautę” – pomyślała York.

–Odwaliliśmy dzisiaj kupę roboty – powiedział. – Co powiedzielibyście na lancz przed cumowaniem? Jeśli będziesz mogła jeść, Natalie. „Jeść? Teraz?” – pomyślała.

–Jasne – powiedziała. – Nic mi nie jest.

–Odebrałem – powiedział Gershon. Podniósł się z fotela. Poruszał się w warunkach nieważkości, jakby się w nich urodził; po prostu uniósł się z fotela, odpychając od panelu z instrumentami pokładowymi, który miał przed sobą, i popłynął jak węgorz. Zaczął bobrować w przegrodzie magazynowej pod fotelami. Dostał się do szafki z pożywieniem i uniósł wieko; pękała od celofanowych paczuszek z jedzeniem, mocowanych taśmami na rzepy.

York wiedziała, że kiedy tylko znajdą się w module misji, standard wyżywienia ulegnie poprawie. Ale póki byli skazani na Apolla, musieli się zadowolić kolorowymi plastikowymi torebkami z liofilizowanym jedzeniem i wodą z kurka. Niemniej jednak nie zamierzała narzekać. W module dowodzenia było jak w milutkim domu na kółkach. Była w nim ciepła woda, służąca do przygotowania jedzenia, kawy i mycia zębów, a faceci mogli się nawet golić.

Gershon nadleciał z rękami pełnymi złotych paczuszek. – Hej, wziąłem pierwsze lepsze. Ale nie widzę tu żadnych złotych chłopaków, ani, pardon, Natalie, dziewczyny.

Stone się uśmiechnął.

–Nie w tym rzecz. Specjalnie położyłem je na wierzchu. York obejrzała paczki.

–Wołowina z ziemniakami. Pudding karmelowy. Ciastka czekoladowe z orzechami. Poncz winogronowy. – Spojrzała na Stone’a. – Czemu akurat to? Żadna z tych rzeczy mi nie podchodzi. A puddingu karmelowego po prostu nienawidzę. – Uważałem, że tak wypada. To miała na pierwszy posiłek załoga Apolla 11. Zaraz po tym, jak wystartowała i przeszła z orbity okołoziemskiej na trasę Ziemia-Księżyc.

–W porządku! – powiedział Ralph Gershon, sięgnął po rurkę przenośnego zbiornika wodnego i z entuzjazmem zaczął rozpuszczać zawartość torebek. York znów spojrzała na paczuski. „Pamiątkowy pudding karmelowy” – pomyślała.

Niesamowite. Ale może faktycznie tak wypadało.

Poniedziałek, 13 kwietnia 1970 roku Ośrodek Kosmicznych Lotów Załogowych MSC* [Przyp tłum Manned Spacecraft Center. WET-F, Weightless Environment Training Facility.], Houston Chuck Jones zatrzasnął osłonę hełmu i pociągnął węże

dochodzące do skafandra, sprawdzając złącza.

Stanął na krawędzi zbiornika, mającego kształt wielkiego prostokąta, niebieskiego jak basen pływacki. Ubrani w podkoszulki nurkowie już siedzieli w wodzie, baraszkując jak delfiny; ciągnęli za sobą węże, wybiegające poza ciężki biały symulator. „To jak jakaś cholerna zabawa dla gówniarzy” – pomyślał Jones. Symulatory.

Nienawidzę symulatorów”.

Odwrócił się i popatrzył na partnera, Adama Bleekera. Ponieważ skafander był sztywny, musiał przy tym skakać jak królik.

–W porządku, mały? Bleeker drgnął, zaskoczony.

–Pewnie. No pewnie, Chuck.

Jones mało się nie skrzywił z pogardą. Wiedział, że taki nieopierzony żółtodziób, jak Bleeker, jest gotów dostać drgawek na sam widok uśmiechu na twarzy takiego starego wyjadacza jak on, Chuck Jones.

–Grzeczny dzieciuch. Witaj w Hali Ćwiczeń w Środowisku Mikrograwitacyjnym w słonecznym stanie Teksas. Piękny widok, co nie? Bleeker odwrócił się ku wodzie.

–Prawdę mówiąc, Chuck, kiedy patrzę na tę wodę, to tak się palę do niej wejść, jak jechać w poniedziałek rano do roboty.

–Ja tak samo, Adamie, ja tak samo. Nienawidzę tego pierdolonego akwarium. Ale musimy przejść przez to gówno, bo inaczej nie pozwolą nam latać naszymi pięknymi ptaszkami. Gotowy?

–Do roboty.

Słyszając swoje głośnie sapanie w słuchawkach, Jones wszedł na białą platformę, wiszącą nad wodą. Jęknęły urządzenia hydrauliczne i platforma zaczęła się opuszczać, zanurzając w wodzie nieforemne kształty, ciągnące za sobą węże. Nurkowie obciążyli go pasami neutralizującymi działanie siły wyporności, stwarzając warunki mikrograwitacji. Ujęli go pod ramiona i powlekli do symulatora. Ze względu na nurków, woda była ciepła jak zupa.

WET-F był jednym z największym symulatorów w ośrodku Houston. Basen zbudowano w środku budynku nr 29, wielkiego okrągłaka, w którym kiedyś pracowała wirówka. Teraz przy basenie parkowała smukła karetka, a niedaleko była komora dekompresyjna. Obok leżały wielkie białe elementy innych symulatorów; w razie potrzeby suwnice mogły umieścić je w basenie.

Jones nienawidził WET-F-u. Nie potrafił zapomnieć, że otacza go woda, nie cierpiął oporu, jaki stawiała przy każdym ruchu, przyćmionego światła, strug bąbelków, niewyraźnych zarysów postaci nurków.

Wprost trudno było sobie wymarzyć warunki bardziej odmienne od tych, które panowały w lodowatej, znieruchomiałej przestrzeni kosmicznej. Przed nim rysował się mgliście sześćdziesięciostopowy kadłub modelu S-4B, trzeciego stopnia Saturna, rozdziawiającego paszczę dyszy pojedynczego silnika.

Do dziobu

S-4B przymocowano krótki walec wieloportowego łącznika cumowniczego, a do niego

z

kolei otwarty model Apolla, modułu dowodzenia.

Pomysł był taki, że pusty S-4B posłuży jako stacja kosmiczna, kosmiczne laboratorium, Skylab, kiedy tylko znajdzie się na orbicie. S-4B i Apollo z załogą na pokładzie wystartują osobno na Saturnach 1B, mniejszych i tańszych kuzynach Saturnów 5. Astronauci zacumują Apolla, nie pozbywając się członów silnikowych S-1B, po czym wejdą do łącznika przez specjalne śluzy powietrzne. Oczyszczą S-4B i zamieszkają w dawnych wielkich zbiornikach z płynnym wodorem.

Ten symulator był nie pomalowany i w ogóle nie wykończony. Wszystko w nim wyglądało wstrętne i brzydko, montaż najwyraźniej przebiegał na chybcika. Jones usłyszał w słuchawkach głos instruktora symulatora.

–Dzień dobry, Chuck, dzień dobry, Adam.

„Dzień dobry, dupku” – odpowiedział mu w myślach Jones. Bleeker odwrócił się i pomachał do jednej z wszechobecnych kamer.

–Zanim zaczniecie, przejrzę z wami podstawowe parametry symulatora – powiedział instruktor. – Wiecie, że nie będziemy przeprowadzać symulacji zintegrowanej. – To znaczyło, że nie są podłączeni do kontroli misji. – To tylko wstępna próba realizacji zadań, które nas czekają, kiedy zajmiemy się urządzeniem zbiornika na orbicie. W porządku, do roboty.

Nurkowie skinęli Jonesowi i podprowadzili go do samej makiety Apolla. Prosty otwarty stożek był przymocowany do łącznika cumowniczego. Symulacja miała zacząć się z chwilą, w której załoga wejdzie do zbiornika, żeby przystosować go na habitat. Pierwszym zadaniem było rozmontowanie zespołu cumowniczego na dziobie Apolla i otwarcie tunelu do zbiornika. Przynajmniej to powinno pójść gładko, bo cumowanie tego rodzaju było standardową praktyką podczas wypraw na Księżyc. Jones usłyszał dyszącego Bleekera, który mocował się z ciężkim zespołem cumowniczym.

–Mały, spokojnie. Nie robimy na akord, tylko na godziny. Bleeker się roześmiał i nieco rozluźnił.

Po rozmontowaniu zespołu cumowniczego przekazał go nurkom. Wsunął się przed

Jonesem do wieloportowego łącznika cumowniczego. Był to ciasny tunel, pełen szafek. Złożono w nich przed startem pełne wyposażenie części mieszkalnej, ubrania, pożywienie, urządzenia do przeprowadzania eksperymentów i całą resztę. Po przerobieniu zbiornika wodoru na habitat, Jones i Bleeker mieli cofnąć się, rozpakować szafki i przenieść ich zawartość do wewnątrz.

Bleeker pierwszy wsunął się do pustego zbiornika. Zewsząd otoczyły ich metalowe ściany. Było ciemno choć oko wykol i Jones miał uczucie, że pakuje się za Bleekerem do wielkiej, zakazanej metalowej jaskini. – Czekał, Adam. Poświećmy trochę i zobaczymy, jak tu wygląda. – Jones odpiął latarkę uwieszoną do pasa i przymocował ją do ześlizgu*[Przyp tłum żargonowa nazwa poręczy w statku kosmicznym, od nazwy rury w jednostce straży pożarnej, po której strażacy zjeżdżają do garażu wozów bojowych.] umieszczonego w poprzek zbiornika. Migotliwe cętki światła latarki padały przez całą długość zbiornika aż na ścianę w głębi, która wybrzuszała się w ich kierunku. Była to grodz oddzielająca wodór od płynnego tlenu. Helowe balony służące kompresji zawartości zbiornika wisiały na ścianach jak wielkie srebrne brodawki. Poręcze i rury obiegały metalową jaskinię, złożone przepierzenia i inne elementy zmagazynowano schludnie pod ścianami. „Za schludnie” – pomyślał Jones. „Ciekawe, co te biedne palanty zastaną, kiedy wejdą do ptaszka podczas prawdziwego lotu, na orbicie”. Skylaby to była jedna prowizorka, improwizacja. Ale dzięki nim NASA zdobywała doświadczenie w przeprowadzaniu operacji orbitalnych i długich lotach, niezbędne przed budową prawdziwych stacji kosmicznych. – W porządku, chłopaki – powiedział instruktor. – Jak wiecie, na orbicie pierwszym zadaniem będzie sprawdzenie, czy przewody paliwowe są zamknięte jak należy. Dzisiaj to pomińcie i przejdźcie od razu do położenia podłogi. – Czytaliśmy listę zadań – zawarczał Jones. – Chodź, koleś. – Przesunął się po ześlizgu w głąb zbiornika.

Brali panele podłogowe, oparte o ściany, i układali na aluminiowej kratownicy podłogowej sięgającej w głąb jakichś dwóch trzecich zbiornika. Przypominało to układanie puzzli.

Przesuwali się przy ścianach. Mieli proste zajęcie, ale powolne, męczące i niewygodne; Jones przekonał się, że rękawice utrudniają pracę narzędziami. Woda hamowała każdy ruch.

Instruktor symulatora starał się dodać im zapału. – Doceniamy waszą pomoc, chłopaki. Wszyscy wiemy, że jesteście na listach innych misji i pewnie faktycznie nigdy nie będziecie musieli robić niczego takiego... „Niech piekło pochłonie te panele” – zaklął w myślach Jones. Chucka Jonesa wyznaczono do lotu na Księżyc. Był rezerwowym dowódcy Apolla 15, co zgodnie z regulaminem rotacji załóg oznaczało, że jego własny lot nastąpi trzy starty później, w Apollu 18.

Ale Kongres obciął budżet NASA na rok podatkowy 1971, tak że Agencja dostała

najmniej od dziewięciu lat. Na dodatek Nixon w dalszym ciągu nie odpowiedział na propozycje Grupy Roboczej ds. Kosmosu, chociaż chodziły plotki, że przychyliła się ku jakiemuś programowi związanemu z Marsem, będąc pod nieustanną presją publicznych wystąpień Kennedy'ego.

Tak czy siak, NASA miała zapotrzebowanie na Saturny 5, ponieważ miały wynieść w kosmos Skylaby, moduły stacji kosmicznych i były przewidziane do lotów testowych programu NERVA. Pozostałe ekspedycje na Księżyc, od Apolla 14 do 20, miały odbyć się w odstępach półrocznych.

W Wydziale Astronautów mówiło się, że wszystkie późniejsze loty mogą zostać odwołane.

Jones poleciał w kosmos. Raz.

Dokonał trzech okrążeń Ziemi podczas drugiego lotu Programu Merkury, po Johnie Glennie. To był piknik. Mikrogravitacja okazała się cudownym przeżyciem.

Jonesowi udało

się przechylić nieco małą kapsułę, tak że rozjaśniona Ziemia przepływała za

każdym

okrążeniem za małym iluminatorem.

Ale te zabawy kosztowały go za dużo ignoliny.

Kiedy przystąpił do sekwencji powrotnej, nikt już nie był pewien, czy ma dość paliwa, żeby ustawić kapsułę pod odpowiednim kątem do wejścia w atmosferę. Mógł go zużyć na tamte wygłupy. No cóż, nie zużył go; rozminął się z miejscem lądowania o dwieście pięćdziesiąt mil, ale po kilku godzinach zabrał go śmigłowiec z lotniskowca. Przygoda wprowadził Jonesa w świetny humor. Ale hierarchów NASA bynajmniej. Mógł sprowadzić na siebie nieszczęście; zabić się przez tamte zabawy. Oficjalnie pozostał na liście, wyznaczony do późniejszych lotów. Ale pomiędzy Jonesem a resztą Wydziału Astronautów powstał pewien dystans. Dekę Slayton, szef Wydziału, niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że Chuck Jones powinien zupełnie wyskoczyć z Programu.

Ale Jones, wściekły jak sto diabłów, zwyczajnie się zaparł. Chciał udowodnić, że astronauta naprawdę są pilotami. Wiedział, że się spisał; wiedział, że spisał się nawet lepiej niż Glenn. Takie przynajmniej było jego prywatne zdanie. Zamierzał więc pozostać astronautą i polecieć na cholerny Księżyc. Tymczasem żeby dalej działać w Programie, przyjął robotę ze Slaytonem i Alanem Shepardem – innym astronautą, również uziemionym, w tym wypadku z powodu kłopotów z uchem – w Wydziale.

Jones odsłużył w Wydziale pełne osiem lat; sporządzał harmonogramy i trenował innych, pracował nad symulatorami i programami misji. Osiem lat. Teraz chyba dość grubych ryb wyniosło się z NASA, żeby jego niepoważne zachowanie poszło w niepamięć i przywrócono mu status czynnego astronauty. Ale jeśliby doszło do skreślenia lotu na Księżyc, skreślono by i jego. Cholera, pewnie był za stary na Marsa.

Jones nie chciał lecieć na Księżyc dla dreszczyku emocji. Dla niego nie liczył się cel, ale lot; misja, która stawiała pilotowi największe wyzwanie, jakie człowiek mógł sobie wytyczyć.

W przypadku Skylabów nie było mowy o żadnym wyzwaniu. Jonesowi się nie uśmiechało, żeby zwieńczenie jego kariery wypadło w jakiejś śmietniczce na niskiej orbicie okołoziemskiej, gdzie zadanie sprowadza się do przetrwania, odbębniania dnia po dniu, wierceniu dziury w niebie.

Nie cierpiał myśli, że zostanie wykołegowany z wyprawy na Księżyc. Teraz szarpał bolce podłogowe z taką energią, że zaniepokoił się lekarz, monitorujący działanie głównych organów astronauty.

Kiedy praca z panelami została wykonana, instruktor pogratulował Jonesowi i Bleekerowi.

–W porządku, chłopcy, odpoczniemy i nabierzemy sił przed następnym zadaniem. Wyjdźcie przez łącznik. – Bleeker poprzedzany przez nurków podążył ciasnym łącznikiem w kierunku jasno oświetlonej wody. – Teraz ty, Chuck – powiedział instruktor. Jones wpłynął do cienistego łącznika; gęsto ustawione szafki utrudniały mu ruchy.

Światło zapewniał zbiornik za plecami i rozjaśniony basen z niebieską wodą przed nim.

Kiedy był w łączniku, luk do Apolla zamknął się gwałtownie.

Jones zatrzymał się jak wryty. Zacisnął ręce na dźwigni luku. Ani drgnęła.

–Co się dzieje?

–Jones. – W głosie instruktora pojawiło się napięcie. – Nastąpiła rozległa awaria.

Twój moduł dowodzenia jest niesprawny; nie możesz do niego wrócić; nie możesz odłączyć go od łącznika. W łączniku zaraz siądzie prąd. Co robisz? Działaj.

–

Światła odmówiły posłuszeństwa. Unosił się w głębokich ciemnościach. Nawet basen przestał świecić.

Co to za gówniane gierki...?

Wziął głęboki oddech i się uspokoił. Instruktorzy byli sławni z pakowania ludzi w takie szambo. Musiał znaleźć rozwiązanie sytuacji i to szybko; wyrzесzczеć się na nich mógł potem.

Znał dalszy teoretyczny bieg wypadków. Jeśli astronautaи ze Skylaba nie mogą wrócić

na Ziemię, leci po nich nowy Apollo z Przylądka. Ale gdy uszkodzony Apollo blokuje

cumowisko, jaki pożytek z ratowników?

W zupełnej ciemności zaczął gubić kierunki.

„Pieprzone symulatory!” – zaklął w myślach.

Usiłował się skupić; przywołał w pamięci obraz łącznika przed „awarią”. Przed sobą miał bezużyteczne łącze cumownicze; za sobą – tunel dostępu do zbiornika. Ogarnęła go chwilowa panika. Macał na ślepo; tłukł dłońmi o szalki i poręcze. Nagle zdał sobie sprawę, że ma za dużo miejsca i to powoduje dezorientację. Zapakowany do Merkurego, czułby się bezpieczniej...

„Uspokój się” – pomyślał. „Nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. Zawsze możesz przejść do basenu. Nurkowie nadal tam siedzą. No – zaraz kwaśno dodał sam – ale wtedy mam

przewalone. Zostanę szanownym pierdziochą z Wydziału Astronautów, którego nie można

wsadzić do basenu kąpielowego na dwie minuty, bo zapieprzy sprawę. Prawdę mówiąc

–

myślał dalej – już zapieprzyłem. Za długo tu siedzę. Ile sekund? Trzydzieści? Musi być jakieś proste wyjście z tego interesu; o czymś zapomniałem. Pomyśl, do cholery.

Jeśli łącze cumownicze jest zablokowane, to jak...”.

Nagle go olśniło. Cumowisko miało dwoje wrót. Bleeker wy dostał się przez wrota na długiej osi, ale były też wrota na osi krótkiej, z boku łącznika, właśnie na wypadek takich sytuacji.

Sięgnął w dół i od razu namacał wrota; były mocno wkliniwane w ościeżnicę, ale ustąpiły po kilku szarpnięciach.

Bleeker poklepał Jonesa po ramieniu. Warstwy skafandra złagodziły uderzenia. – Coście tam robili, dziadku, golili się? Następnym razem nie zapomnij zajrzeć do podręcznika.

–Dupek – zawarczał Jones. – Też maczałeś w tym palce, no nie? – To dzień jak co dzień, Chuck. Nie traktuj tego osobiście. „Pieprzeni inżynierkowie” – klął w myślach Jones. „Pieprzone przemądrzałe żółtodzioby”. Z pomocą nurków wygramolili się z basenu.

Wtorek, 14 kwietnia 1970 roku Ośrodek Kosmicznych Lotów Załogowych, Houston Wedle tego, co wskazywał staromodny zegarek na łańcuszku, był niecały kwadrans do drugiej. Fred Michaels przyłapał się na tym, że obsesyjnie sprawdza czas. Do galerii wparował Tom Josephson.

–Proszę pana, przyszedł na spotkanie pan Agronski. Czeka w pańskim gabinecie.

–Doktor Agronski, do cholery.

–Przepraszam. Mam mu powiedzieć, że pan się tu z nim spotka? Michaels rozdrażniony tym, że mu się przeszkadza w myśleniu, nie odpowiedział, tylko się odwrócił.

Spoglądał przez szybę na trzy rzędy kontrolerów lotu. MOCR*[Przyp tłum Mission Operations Control Room] – sala kontroli operacji misji, znanej światu jako „kontrola misji” – oglądana z galerii w głębi nie zdradzała, że gdzieś tam rozgrywa się autentyczny dramat. Ale kontrolerzy byli nielicho wymęczeni, krawaty rozluźnili lub w ogóle pozdejmowali, koszule wyłaziły im ze spodni, biurka zastawili kubkami po kawie, podręcznikami i luźnymi kartkami, zasmarowanymi notatkami. W głębi przechodził Joe Muldoon. Trzy kwartały po wyprawie na Księżyc, Muldoon właśnie zakończył sześciogodzinny dyżur kontrolera łącznikowego Jima Lovella i całej załogi Apolla 13, ale wcale nie palił się wracać do domu, wręcz przeciwnie. Michaels wiedział, że Muldoon kieruje się do budynku nr 5, w którym wolni od służby astronauta nieustannie sporządzali i analizowali improwizowane procedury awaryjne, które pozwoliłyby wrócić na Ziemię załodze Apolla 13.

Minęło już siedemnaście godzin od chwili, w której lot numer 13 zaczął się sypać;

Michaels zadawał sobie pytanie, ilu kontrolerów chociaż zmrzyło oczy przez ten czas.

Josephson odkaśliął. Sekretarz był szczupłym, przedwcześnie siwiejącym mężczyzną, z doktoratem z czegoś tam. Tu, w MSC, nie dopuścili cię nawet do obsługi

automatu z kawą, jak nie miałeś doktoratu.

–Proszę pana, doktor Agronski...

–Dobra, dobra.

Leon Agronski pracował w Doradczym Komitecie Naukowym prezydenta Nixona i odpowiadał w szczególności za program wypraw kosmicznych i wszystkie związane z nim kosztowne potworności. Mi-chaełs znał przyczynę wizyty Agronskiego; doradca prezydenta miał wykreślić wszystkie „rozwiązania wariantowe” z budżetu NASA na rok podatkowy 1971 i dalsze lata, zanim Biały Dom przedstawi projekt budżetu pod obrady Kongresu. Kolejne cięcia.

Michaels był zastępcą dyrektora odpowiedzialnym za loty załogowe i podlegał bezpośrednio Thomasowi Paine’owi, dyrektorowi NASA. Mało się nie załamał, kiedy Paine w lutym ogłosił publicznie cięcia w Programie Skylab, a nawet częściowe zwolnienia w NASA.

–Wiesz, jeśli uda się nam zakończyć szczęśliwie tę całą aferę z Apollem 13, to może jakoś się wykaraskamy z tego bagna – rozważał teraz na głos. – Gdybyśmy tylko zawsze pracowali razem tak jak dzisiaj, to może znów byłoby nas stać na wielkie osiągnięcia...

Poprzednio Josephson unikał nawet spoglądania w oczy szefowi. Teraz zdobył się na śmiałość.

–Fred, wiem, że jesteś przejęty. Tryby nadal się kręcą. A doktor Agronski przyleciał specjalnie z Waszyngtonu, żeby cię złapać.

Michaels mruknął twierdząco. Josephson miał, oczywiście, rację. Tryby nigdy nie przestawały się kręcić.

I była szansa, choć niewielka, że uda się wykorzystać obecny chaos na korzyść NASA. Poczł lekki przyplływ optymizmu.

–W porządku, spotkajmy się z nim – powiedział. – Ale nie w jakimś cholernym

bunkrze dla biurokratów. Wezwij go tu, niech

przyjdzie na zaplecze sali kontroli lądowań na Księżycu. – Coś jeszcze wpadło mu do

głowy. – Och i Tim...

–Tak, proszę pana?

–Poproś Joe’ego Muldoona, żeby do nas dołączył, dobrze? Zaplecze sali kontroli lądowań na Księżycu miało służyć za centrum operacji lunarnych. Na ścianie wisiały listy zadań załóg i fotografie lądowiska zrobione z orbitera i Apolla. Chodziło o miejsce na wyżynie zwanej Fra Mauro. Było to pierwsze ambitne pod względem naukowym miejsce lądowania. Na razie czekało na ludzi. Kiedy Michaels zjawił się na zapleczu, Muldoon i Agronski siedzieli przy wielkim biurku z orzecha włoskiego w środku pomieszczenia. Agronski, chudy jak patyk mężczyzna, przeglądał swoje notatki; Muldoon, z podkrążonymi oczami zdradzającymi zmęczenie, złożył wielkie dłonie na blacie biurka. Niecierpliwie przeszywał wzrokiem Michaela.

Josephson

kręcił się przejęty, nalewając kawę.

Michaels usiadł i podziękował za kawę. Josephson opuścił pokój.

Michaels przedstawił Muldoona Agronskiemu.

–Leon, to Joe. Jest w rezerwie lotu Apolla 14, a poza tym przyszły dowódca misji numer 17. Joe, zaprosiłem cię tu nie bez powodu. Chodzi o to, żebyś swoją obecnością przypominał nam, o co chodzi w tym całym cholerstwie. „To drugi Amerykanin, który był na Księżycu, Agronski, ty dupku z zesnurowanymi ustami” – myślał Michaels. „Tu, przed twoim nosem! Żywy, cały i odważny niczym tabun takich dupków jak ty razem wziętych! Żywy symbol! Okaż mu trochę szacunku!” W blasku świetlówek Michaels nie widział oczu Agronskiego, ukrytych za okularami w drucianych oprawkach.

Joe Muldoon nie przestawał przeszywać wzrokiem Michaela. Ten wzrok, te niebieskie oczy pod łysiną nie ukrywały niczego. Muldoon uważał Michaela za kutasa biurokrate, który nie powinien marnować czasu jego, Muldoona, w taki dzień. Nie wtedy, kiedy mógłby być w budynku nr 5 albo w MOCR z innymi chłopakami; nie wtedy, kiedy mógłby znaleźć jakiś sposób ratunku załogi, która jest tam, w górze... „Chryste – pomyślał nagle Michaels – może źle to sobie wykombinowałem. Kiedy Muldoon dostanie białej gorączki, to będzie awaria na sto kilowatów”. Spojrzał błagalnie na kipiącego ze złości astronautę.

Agronski wręczył Michaelsowi dokument z teczki. Pan wybaczy, pułkownik Muldoon, nie spodziewałem się, że pana tu zastanę. Mam tylko dwa egzemplarze.

Muldoon skierował wzrok rozeźlonego wyłysiałego orła na doradcę naukowego prezydenta, który zupełnie się tym nie przejął. Dokument miał postać ksero połączonego zszywką. Był pokryty odręcznymi notatkami, sporządzonymi ołówkiem. Na pierwszej stronie widniała pieczęć prezydencka.

–Oto wersja robocza mowy prezydenta, przygotowywanej na marzec – oznajmił Agronski. – Urzędowa odpowiedź na raport Grupy Roboczej do spraw Kosmosu. Ale prezydent na razie wstrzymuje to oświadczenie. Chcę, żebyś się z nim zapoznał, Fred, żebyś wiedział, nad jakimi rozwiązaniami zastanawia się rząd. Michaels przejrzał dokument.

„...W ciągu ostatniego dziesięciolecia głównym celem naszego narodowego programu kosmicznego był Księżyc... Wierzę, że odniesione sukcesy pozwolą spojrzeć z nowej perspektywy na nasze dalsze poczynania w kosmosie... Musimy zdefiniować nowe cele, które będą miały rację bytu w latach siedemdziesiątych. Musimy budować na sukcesach, odniesionych w przeszłości, nie zaprzestając na chwilę próbować nowych osiągnięć. Lecz musimy zdawać sobie również sprawę, że wiele zasadniczych problemów tu, na Ziemi, nakazuje nam poświęcić im naszą uwagę i nasze możliwości. Nie możemy w żadnym razie pozwolić, żeby nasz program kosmiczny stanął w miejscu. Ale jako że mamy przed sobą całą przyszłość i cały wszechświat, nie możemy próbować robić wszystkiego na raz. Nasze podejście do spraw kosmosu musi cechować odwaga, ale zarazem rozwaga...” „Chryste – pomyślał Michaels – źle z nami”.

Czytał dalej. Wszędzie oszczędności. Jedna po drugiej. Żadnych funduszy na loty lunarne po Apollu 20. Budowa stacji kosmicznych ograniczona do Programu Skylab. Wszystkie decyzje w sprawie następnych przedsięwzięć wybiegających poza Programy Apollo i Skylab zawieszono; to znaczy cofnięte. Wyglądało na to, że uratowano badania nad wykorzystaniem promu kosmicznego, ale i to tylko dlatego, że Nixon uznał prom za rozwiązanie najtańsze:

„...Powinniśmy znacząco zredukować koszty operacji kosmicznych... A mając na względzie dalszą przyszłość, musimy wypracować mniej kosztowne i skomplikowane sposoby wynoszenia ładunków w przestrzeń kosmiczną...”

Michaels odłożył dokument. Nixon więc uważa, że możemy oszczędzić na rozwiązaniach budujących drogę na Marsa – pomyślał. Lyndon Baines Johnson nie wyskakiwałby z czymś podobnym. Ale L.B.J. odszedł z Białego Domu. A jego miejsce zajęła ta nowa, szczególnie odmiana nerwowych Republikanów. Michaels w sześćdziesiątym pierwszym roku życia spostrzegł nagle, że dojścia, których używał do tej pory, znikły. Nawet kontakty z braćmi Kennedy zdały się psu na budę.

Siedząc w tym zapleczu sali o niesłychanie chlubnym przeznaczeniu, poczuł się stary, zmęczony i wypluty.

„Może powinienem pojechać do Dallas, na emeryturkę” – pomyślał. „Wypadałoby popracować nad moim golfem”.

Zauważył, że Agronski rozgląda się po mapach niedoszłego lądowiska księżycowego.

–Aż boli, kiedy człowiek na to patrzy, no nie? – powiedział ostro Michaels. Agronski nie odpowiedział na poczynioną uwagę. – Leonie, dlaczego prezydent zrezygnował z tej wersji?

–Bo, szczerze mówiąc, nikt w Białym Domu nie jest pewien, jaki wpływ na opinię publiczną mają wypowiedzi Kennedy’ego o konieczności wyprawy na Marsa. A teraz – Agronski wskazał na fotografie Fra Mauro, zwijające się na ścianach – daliście nam w kość tą całą aferą. Opinia publiczna to delikatna sprawa, Fred; po Apollu 13 Ameryka może zażądać, żeby w te pędy lecieć na Marsa albo żeby... całkowicie zrezygnować z programu kosmicznego.

Muldoonowi pobiełały nozdrza.

–Do cholery, mówisz o życiu albo śmierci trzech ludzi! Agronski spojrzał na niego chłodno.

–Wiesz, wy, ludzie w NASA, nie zmieniliście się na jotę, od kiedy was poznałem. Jesteście tacy emocjonalni, bez cienia realizmu. Nawet ty, Fred. Za każdym razem, kiedy prosimy o propozycje, wasze zachcianki nie mają końca: spójrz na ten raport Grupy Roboczej do spraw Kosmosu, na tę „równowagę programową”, ten „szeroki front technologiczny”. Chcecie lecieć na Marsa, ale to pociąga za sobą całą masę innych rzeczy: silniki atomowe, prom kosmiczny, wielkie stacje międzyplanetarne. Ta sama wizja, którą od lat pięćdziesiątych reklamował von Braun... chociaż nie potrzebowaliście stacji kosmicznej, żeby dostać się na Księżyc. Tak po prawdzie, wcale nie maskujcie za dobrze waszych prawdziwych celów. Czemu nie możecie się nauczyć, że jest coś takiego, jak hierarchia celów?

–Grupa Robocza prosi o mandat rozpoczęcia kolonizacji Układu Słonecznego – powiedział z gniewem Muldoon. – I o zabezpieczenie przyszłości gatunku ludzkiego, dokładnie jak powiedział Kennedy. Co może być od tego ważniejsze? – Och, na miłość boską – zachnął się Agronski. – Nasz kraj jest w stanie wojny, pułkowniku Muldoon. A wojna oznacza nieustanny wypływ pieniędzy, środków i malejące morale narodu.

–Jasne – odparł Muldoon. – I dlatego Program Apollo jest skazany na zamknięcie, bo kosztuje tyle co następne dwanaście miesięcy wojny. Też mi koszt. Agronski nie

ustosunkował się do tych słów.

–Budżet nie jest dość wielki, żeby można było zrealizować wszystko, czego chcecie.

Nie trzeba być specjalistami od bieżącej polityki, żeby to uchwycić. Opinia publiczna też jest przeciwko wam. Podejrzewam, że wy, chłopcy z kosmosu, nie słyszeliście o czymś takim jak Dzień Ziemi, planowany przez obrońców środowiska za kilka tygodni... – A właśnie że, cholera, słyszałem.

–Sprzątanie lasów. Marsze. Spotkania dyskusyjne. W najbliższym dziesięcioleciu opinia publiczna skupi się właśnie na tym, pułkowniku Muldoon; na naszych kłopotach tu, na Ziemi. Nie na waszych hopsztoch w kosmosie.

–Może tak. Ale to Agnew przewodniczył Grupie Roboczej do spraw Kosmosu, nie ktoś z NASA – warknął Muldoon.

Agronski bębnił dalej:

–Czas, żebyście pożegnali się z myślą, że jesteście jakąś superagencją bohaterów. Za czasów Programu Apollo uważaliście, że dorównujecie Programowi Manhattan. No cóż, teraz jesteście służebną agencją z okrojonym budżetem. I musicie nauczyć się z tym żyć...

Michaels wiedział, że Agronski ma rację.

W skromnej opinii Michaela obecnego dyrektora NASA, Thomas O. Paine, był idiotą; naiwnym marzycielem, który nabił głowę Agnewa przesadnie ambitnymi wizjami, nie zastanawiając się nawet, co pomyślą o nich decydenci w Białym Domu. Paine był skrajnym przeciwieństwem swojego poprzednika, Jima Webba, którego Michaels podziwiał i szanował całym sercem. Webb był prawdziwym zwierzęciem politycznym – wiedział, jakie guziki trzeba nacisnąć w Kongresie i jak ognia unikał tworzenia planów na dziesięciolecia. NASA zresztą i tak się do tego nie nadawała, długoterminowe plany zawsze szlag trafiał z powodu walk między ośrodkami władzy i Webb był przekonany, że zależą przed wszystkim od uśmiechu losu, a decydenci w komisji budżetu i kierownictwo NASA nie wiedzą, co z nimi począć.

Paine najzwyczajniej zdawał się nie pojmować, że prawdziwy problem leży teraz w tym, żeby w nadchodzących trudnych czasach zachować całą NASA przy życiu i że należy dać sobie spokój z uruchamianiem nowych programów. Krótko i węzłowato: Michaels nie prowadziłby interesu tak jak jego szef. – Fred, zapomnij o waszych wielkich stacjach kosmicznych, o pięćdziesięciu ludziach na Księżycu w 1980. Prezydent przychyliła się do, jak to nazywa prywatnie, „opcji Kennedy’ego”. – Kolejny raz Agronski stuknął palcem w dokument, który miał przed sobą. – Z tego oświadczenia wynika, że zamierza wybrać jeden element z raportu Grupy Roboczej, program budowy promu kosmicznego, i skupić się na nim. Co jednak, gdyby wybrał

coś innego, jakiś poważniejszy cel, bardziej przemawiający do wyobraźni i taki, który można by osiągnąć równie szybko i przy równie niskich kosztach? Muldoon gapił się na Agronskiego, wyraźnie skołowaciały.

Ale Michaels zrozumiał doradcę. „Mówi półsłówkami” – myślał gorączkowo. „Szyfrem. Musi tak mówić. Ale Kennedy wyraźnie dopiął swego. Nixon chce zaoszczędzić pieniędzy. Ale nie chce być prezydentem, do którego przylgnie łatka grabarza programu kosmicznego, zwłaszcza kiedy Kennedy trąbi mu za plecami”. – Chodzi ci o Marsa – powiedział do Agronskiego. – Najpierw długo chrzaniłeś o Programie Manhattan i Dniu Ziemi, ale tylko po to, żeby dobrnąć do Marsa. No nie?

Muldoon był zaskoczony.

–A co na to Paine? – spytał.

Agronski spojrzał na niego z uwagą.

Doktorem Paine'em zajmiemy się potem – rzekł.

„Wiedziałem – myślał dalej Michaels – wykopują Paine'a”. Słyszał plotki z Białego Domu. Uważano, że Paine nie tylko nie idzie ręką w rękę z prezydentem, ale osłabia jego pozycję.

Potrzebujemy nowego dyrektora, który będzie pracował z nami, nie przeciwko nam i przysporzy prezydentowi zasług, nie powodów do wstydu...” – myślał. Paine był już politycznym trupem. I teraz – świadom taksującego wzroku Agronskiego – Michaels zrozumiał, że to jemu, Fredowi Michaelsowi, proponuje się stołek dyrektora, nie George'owi Lowowi czy Jimowi Fletcherowi.

„Mars i stanowisko dyrektora, wszystko w jednym dniu” – myślał. „Polityczne gierki.

Ale muszę coś dać Agronskiemu, coś, co mógłby zawieźć do Waszyngtonu, zarys taniej opcji Programu Mars. Jasne jak cholera, że to będzie kosztować. Muszę tylko wiedzieć ile”.

Astronauta inaczej odbierał rozmowę. Michaels dostrzegł na twarzy Muldoona nadzieję; delikatną kruchą nadzieję, jakby Muldoon lękał się równocześnie, że ta czarodziejska możliwość – lot na Marsa – może się rozpląnąć, jeśli będzie marzył zbyt gorąco.

Michaels zastanawiał się, na ile, jeśli w ogóle, Muldoon był świadom, co się tu rozgrywa pod tą banalną wymianą zdań. Patrząc na gniewną, szczerą twarz astronauty, Michaels poczuł się zawstydzony swoimi kalkulacjami. Prawdę mówiąc, obecność tamtego działała na niego tak, jak miała zadziałać na Agronskiego. Joe

Muldoon bał się cokolwiek powiedzieć, żeby nie zakłócić tajemniczego, trudnego procesu negocjacji. Bał się, że jakimś nieporadnym ruchem zwali ten domek z kart.

„Chodzi o Marsa” – myślał. „Oni wciąż mówią o Marsie. Jeśli Fred Michaels powie teraz, co należy i jak należy, to może otworzyć drogę na Marsa nam wszystkim. Mnie też”.

I wtedy Joe Muldoon miałby znów co począć ze swoim życiem.

Miesiące po powrocie z Księżyca były tak koszmarne, jak się tego spodziewał. Ostatnio, w ramach public relations, skierowano go do nepalskiego miasteczka o nazwie Morang. Wygłosił swoją standardową prelekcję do uczniów, jakby wziętą żywcem z materiałów propagandowych armii. „Kiedy byłem na Księżycu...”

–Kiedy byłem na Księżycu, nie widziałem dobrze Ziemi. Baza na Morzu Spokoju jest blisko równika księżycowego, po stronie widocznej z Ziemi. Tak więc Ziemia wisiała dokładnie nade mną i trudno mi było wciąż zadzierać głowę w helmie, żeby ją oglądać.

Słońce świeciło bardzo jasno i pod czarnym niebem powierzchnia miała nieco beżowy odcień. Trochę jak plaża. Pamiętam, że patrzyłem na Neila, jak skakał tam i tu i myślałem, że wygląda jak piłka plażowa o ludzkich kształtach, tocząca się po piasku. Ale kolory Księżyca nie są ostre i najbardziej kolorową rzeczą był tam Eagle, który wyglądał jak mały, kruchy domek, mieniący się czernią, srebrem, barwą pomarańczową i żółtą... Opowiadał z coraz większym roztargnieniem, wsłuchując się w szum ciepłego deszczu spadającego na drewniany dach szkoły i patrzył na okrągłe jak monety twarze dzieci, siedzących po turecku na podłodze, na dziwnie podejrzliwą nauczycielkę. Kiedyś ta krótka parogodzinna przechadzka po Księżycu była najbardziej wyrazistą rzeczą, którą przechowywał w głowie, w nijakim archiwum pamięci, kolorowajak Eagle. Ale krótkie prelekcje wygłaszane podczas niekończących się misji dobrej woli, które nastąpiły po wodowaniu, stawały się coraz bardziej wygładzone, jak kamyki w strumieniu. Powtarzana do znudzenia opowieść z czasem stała się trywialna. „Niech to szlag, przecież już dawno mam Księżyc za sobą” – myślał. „A przy tych wszystkich cięciach nigdy tam nie wrócę. Mogę tylko o nim mówić. Niech to szlag, niech to szlag”.

Kiedy skończył, mali Nepalczycy zaczęli zadawać pytania. Wydały mu się dziwne.

–Kogo spotkałeś?

–Gdzie?

–Na Księżycu. Kogo spotkałeś?

–Nikogo. Tam nikogo nie ma.

–Ale co widziałeś?

Wydało mu się, że rozumie, w czym rzecz. Może te typowo amerykańskie porównania do piłki plażowej i wydm były zbyt trudne dla tych dzieci, ich poziom wykształcenia był bardzo niski. Powinien wyrażać się prościej.

–Tam nic nie ma. Żadnych ludzi, żadnych roślin ani drzew, żadnych zwierząt. Nie ma

nawet powietrza ani wiatru. Nic.

Dzieci patrzyły po sobie, wyraźnie zagubione.

Przez resztę prelekcji gadał jak dziad do obrazu, a kolejne pytania tylko pogłębiły wrażenie nieporozumienia.

Na znak nauczycielki – chudej dziewczyny – dostał uprzejme oklaski. Rozdał jeszcze małe flagi amerykańskie i naszywki z oznaką misji.

Kiedy opuszczał szkółkę, usłyszał słowa nauczycielki:

–Nie słuchajcie go pod żadnym pozorem. On się myli...

W pokoju hotelowym zajął się zawartością minibaru. Okazało się, że wedle wierzeń Nepalczyków ludzie po śmierci udają się na Księżycu.

Dzieci myślały, że duchy ich przodków, dziadków, żyją na Księżycu i Muldoon powinien je spotkać. Tymczasem opowiedział im, że nie ma nieba. Nic dziwnego, że były zagubione.

Chodził po Księżycu. A potem w tym zakątku ojczystej planety stanął twarzą w twarz z rzędami dzieciaków, które w tej drewnianej budzie nadal uczono zabobonów – mimo że przyjechał do nich, mimo że opowiedział im, co widział na własne oczy na Księżycu!

Po jaką cholereę więc była ta cała gigantyczna operacja?

Wychodziło na to, że po żadną.

Tuż przed przyjazdem do JSC, gdzie miał objąć zmianę kontrolera łącznikowego, dostał przesyłkę pocztową. Chodziło o udział w reklamie karty kredytowej. Pewnie miałby wystąpić z tekstem: „Znacie mnie? Zeszłego roku chodziłem po Księżycu. Ale w niczym mi to nie pomaga, kiedy chcę zarezerwować bilet na samolot...” Cholerne śmieci. Dostałby za to więcej pieniędzy niż przez pięć lat w NASA. Ale musiałby się pożegnać z pracą w Agencji.

Jill pewnie bardzo chętnie przyjąłaby taki obrót sprawy. Nie przypominała przeciętnej żony astronauty; nie pochodziła z rodziny żołnierskiej; nigdy się nie przyzwyczała do lotów, niebezpieczeństw, mętniactwa, którym NASA częstowała rodziny astronautów w trakcie misji...

A tak trzeźwo patrząc, to wiedział, że Agencja nie da mu już polecieć na Księżyc.

Co go spotka, kiedy pójdzie na emeryturę?

Może etykieta człowieka z Księżyca nie utrzyma się długo; może niebawem przestanie być uważany za bohatera. Wyglądało na to, że nastroje coraz bardziej obracały się przeciwko programowi kosmicznemu. W prasie rozlegały się nawet głosy krytyczne na temat działań jego i Armstronga na Księżycu. Za dużo czasu poświęcili na ceremonie. Zebrali mniej próbek, niż zakładano, a większość słabo udokumentowali. Użyli złej kamery do sfotografowania swoich odcisków stóp, tak więc zmarnowali czas i przywieźli mniej interesujące zdjęcia, niż się spodziewano. Mieli mniej czasu na fotografie trójwymiarowe. Krytykowano nawet sesje zdjęciowe z orbity. Podczas gdy niezbadane obszary Księżyca śmigły nad ich głowami, oni pstrykali wschód Ziemi, jak jacyś odmóżdzeni turyści.

„Do diabła, to przecież nie nasza wina” – myślał. „To Nixon do nas zatelefonował, nie my do niego. A jak niby, do cholery, mieliśmy wybrnąć z tych wszystkich obowiązków?”

Zadania naukowe to przecież nie bułka z masłem; cholernie łatwo się pogubić, kiedy raz na całe życie lądujesz na Księżycu i masz tam tylko kilka godzin...” Już pił za dużo, walcząc tą metodą z depresją i sflaczeniem. To samo było po Programie Gemini. Kilka dalszych latek w tym stylu i zamieni się w żalostnego łajzę z obwisłym kałdunem, narzucającego się wszystkim z opowiastkami o heroicznym wyczynie i napotykanego coraz bardziej obojętne twarze. Pamiętał, że tamtego dnia w Nepalu uciął sobie drzemkę. Obudził się i poczuł, że musi do toalety. Chciał się unieść z łóżka i popłynąć w powietrzu. Zleciał na podłogę i zaplątał się w pościel. Kiedy się golił, chciał zostawić w powietrzu butelkę z płynem po goleniu, żeby sobie pofruwała. Spadła do umywalki, tłukąc się na duże, ostre odłamki. Tamtego wieczoru miał być gościem honorowym na kolacji w eleganckiej, utrzymanej w zachodnim stylu restauracji, odległej o milę. Postanowił pokonać odległość spacerem, żeby oczyścić głowę z oparów piwa. Droga była kamienista, źle utrzymana, stroma. Biegła przecież u podnóża Himalajów. Szybko się zmęczył. Wzdłuż całej drogi klęczały dzieci. Wszystkie trzymały zapalone świece i unosiły ku niemu okrągłe twarzyczki, które lśniły w gasnącym świetle dnia jak małe Księżyce.

Oddawały mu cześć.

„Biorą mnie za boga” – pomyślał. „Boga, który przybył do nich w odwiedziny”.

Do cholery, nie powinni tego robić tym ludziom. Poczł się tak, jakby wystrzelono go na Księżyc, żeby tam zostawić, kiedy on tylko chciał się przejść po jasnej plaży.

Usiłował skupić się na tym, o czym rozmawiali Michaels i Agronski. Michaels uniósł z fotela swoje cielsko i zwiesił imponujący brzuch, opięty kamizelką, nad wypolerowanym blatem.

–Panowie, zobaczmy, czy możemy się przystosować do tych ciężkich warunków.

Zdjął ze ściany notatnik. Pierwsze kilka stron pokrywały prawie nieczytelne zapiski,

poniechane listy zadań astronautów Apolla 13, którzy mieli lądować na Księżycu –

DOKUMENTOWANIE PRÓBEK: wybrać próbkę/sporządzić rzut gnomoniczny/próbka+rzut

(8,5,2)+wykres cienia/zabrać próbkę... Pomyślał, że techniczny język, którym posługiwali się

ci ludzie, ma swoistą poetyckość.

Zaczął pisać na czystej stronie.

–Zobaczmy, co tutaj mamy. Jak się do tego zabrać? Jakie jest minimum, bez którego nie ma co marzyć o dostaniu się na Marsa? – Szybko wyliczył pozycje listy: – W krótkiej perspektywie musimy działać w trzech kierunkach. Po pierwsze, trzeba przeprowadzić próbne loty rakiet z silnikami atomowymi. Po drugie, musimy zbudować moduły załogowe statku na Marsa, na przykład ładownik. W końcu musimy nabrać doświadczenia w długotrwałych misjach kosmicznych. Ale bez względu na to, czy zdecydujemy się na prom, czy na rozwinięcie Programu Saturn, czy na jedno i drugie, potrzeba z pięć lat, zanim nowy program startowy będzie się nadawał do realizacji. Tak więc na dziś musimy obejść się Saturnami 5, żeby jakoś wszystko szło. – Spojrzał na Agronskiego.

–Wiesz, że już ogłosiliśmy zatrzymanie produkcji Saturnów 5.

–Oczywiście.

–Ale żeby było weselej, poza tym, że mamy wyprawy na Księżyc, jest Program Skylab, do którego przydało by się kilka piątek. Z tym że kilka miesięcy temu zmieniliśmy Program; zamierzam wrócić do pomysłu mokrego warsztatu i wykorzystać Saturny 1 B jako rakiety nośne. Tak więc pozostałe Saturny 5 –

siódemka już zbudowanych lub w trakcie produkcji, od SA-509 po SA-515 – są przeznaczone na księżycowe misje Programu Apollo.

–Ile lotów potrzebujecie na Program Mars? – spytał Agronski. Michaels wydał policzki.

–Powiedzmy, w następnym pięcioleciu odbędzie się sześć lotów Saturnów 5 i może dziesięć Saturnów 1 B. To powinno postawić Program Skylab na nogi i może doprowadzić do pierwszego orbitalnego lotu NERVA, zanim zbudujemy nową raketę nośną. Joe, czy to brzmi sensownie?

–No, tak mi się zdaje – mruknął Muldoon. – Jeśli chcecie zostawić sam szkielet, jeśli

chcecie zaryzykować następny pożar Apolla 1.

–Ależ, Joe...

–Sześć Saturnów 5 – powiedział Agronski. – I zostało siedem lotów na Księżyc, od Apolla 14 po 20. – Uśmiechnął się z zawziętością ściągając wargi. „A więc to tak” – pomyślał Michaels. „Teraz znam cenę Marsa i fotela Paine’a”. Miał wrażenie, że Agronski realizuje długo odkładaną zemstę. Doradca zawsze nie cierpiał programu lotów załogowych na Księżyc, zwalczał go na każdym kroku. „Agronski wie, że to koniec Programu Apollo” – pomyślał Michaels. „Tu i teraz. W tym pokoju”.

–No cóż – powiedział zadowolony z siebie Agronski. – Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że loty na Księżyc spotykają się ze dużym sprzeciwem, nawet w samej NASA. Ten cały program jest zbyt rozbudowany. „Któregoś dnia ktoś zginie w Programie Apollo, jeśli Lovell i jego załoga już nie zginęli” – tak się mówi, no nie? Wyobrażam sobie, że zamknięcie Programu nie będzie trudne do przeprowadzenia, nawet dla ludzi NASA, teraz kiedy już dokonano pierwszego lądowania. I...

Muldoon gwałtownie odepchnął się od stołu i zerwał z fotela. – Ucinamy więc loty na Księżyc! – zagrział, wysoki i groźny; jego obrzydzenie miało wymiar urażonego majestatu. – Właśnie teraz, kiedy się tam dostaliśmy.

Jezu Chryste,

Fred. Dalsze loty byłyby ukoronowaniem Programu. Misje klasy J, zaawansowane ładowniki,

elektryczne pojazdy księżycowe, trzydniowe pobyty na powierzchni, długo

działające

systemy życiodajne, umożliwiające siedmiogodzin-ne wyprawy. Dotarlibyśmy do miejsc

niesamowitej urody i naukowego znaczenia. Mieliśmy nawet roboczy plan dotarcia na

niewidoczną stronę Księżyca.

Michaels wpatrywał się w Muldoona. Zawsze uważał się za doskonałego szermierza w sporach słownych, przy tym nieczułego na polityczne naciski, ale teraz, akurat w tej chwili,

nie wiedział, co powiedzieć.

–Wiem, Joe. Wiem.

Zdawał sobie sprawę, że naukowcy przypuszczają na niego atak. Możliwe nawet, że nie uda mu się sprzedać tego układu Paine’owi i innym w Agencji, ludziom pokroju George’a Muellera, popierających budowę wielkich stacji kosmicznych. A wybiegając myślą w przód, dostrzegał niebezpieczeństwo przekształcenia NASA w monotematyczną agencję, podporządkowaną jednemu celowi, jak było w czasach Programu Apollo. Starał się skupić na Muldoonie, na sytuacji bieżącej. – Być może uda się nam uratować loty, Joe. Może tylko trzeba będzie rozciągnąć harmonogram. Przesunąć niektóre loty na później... Muldoon stanął twarzą w twarz z Michaelsem. Mięśnie nabrzmiały mu na ramionach, rozdęły koszulę.

–Nie rób tego, Fred. Nie skreślaj lotów.

Kątem oka Michaels widział twarz Agronskiego, jego obrzydzenie na widok tej obsesyjnej postawy.

„Wie, że wygrał” – pomyślał. „Wie, że nie tylko się ugnę, że po-czynię te ofiary, przepchnę rzecz w Agencji i zrealizuję ją jako dyrektor. Żeby zapewnić przyszłość nam wszystkim. I chociaż już mnie boli, to dopiero poznam, co to prawdziwy ból”. Michaels miał wrażenie, że w tej chwili cała historia, miniona i obecna, przepływa przez niego, przez ten pokój i że bez względu na to, jaką podejmie decyzję, wpłynie ona na losy nie tylko jego ojczystej planety, ale i innych światów.

Niedziela, 21 czerwca 1970 roku

Hampton w stanie Wirginia

Gdy Jim Dana minął Richmond, zjechał swoją corvetta z drogi nr 1 w węższą drogę stanową nr 60, zmierzającą na południowy wschód. Napotykał coraz mniej miast. W końcu po minięciu Williamsburga mijał tylko lasy, bagna i gdzieniegdzie samotną farmę. Był świeży, czerwcowy dzień i niebawem Dana poczuł smak soli i ozonu, niesionych wiatrem znad wybrzeża; słońce ostro piekło obnażone przedramię kierowcy wystawione przez okno. Obszar wokół zdawał się rosnąć, obejmując rozległe opustoszałe przestrzenie dzieciństwa Dany, rozbrzmiewające echem krzyków mew. Niebawem po południu dotarł do rodzinnego Hampton, tuż na czubku półwyspu. Była to zapadła dziura, senne rybackie miasteczko. Jechał uliczkami, które znał tak dobrze, że można by pomyśleć, iż jego pamięć objęła swoim zasięgiem realny świat i dokonała w nim rekonstrukcji. Oto te same gnijące przystanie i łodzie poławiaczy krabów, kołyszące się na słonawej fali przyływu, mewy; wszystkie symbole dzieciństwa nadal w tym samym miejscu.

Jakby dwanaście lat jego życie odbiegło, zabierając wszystko, co osiągnął – Mary i dzieci, Akademię, służbę w USAF – zostawiając tego samego dziesięciolatka z kolanami podrapanymi do krwi.

Ludzie dotarli na Księżyc. A mędrkowie z Ośrodka Badawczego Langley, mieszczącego się zaledwie kilka mil dalej na północ, odegrali główną rolę w tym, żeby ich tam umieścić. Wśród nich był stary Dana, ojciec Jima. Ale wszystko to jakby nie wywarło żadnego wpływu na Hampton.

Rodzice wyszli na werandę go przywitać. Okna błyszcząły, weranda była wypucowana do połysku, dzwoneczki wietrzne migotały w świeżym niebieskim powietrzu.

Ale wokół małego domku z drewnianymi okiennicami unosiła się atmosfera nędzy i śródmiejska dzielnica wydawała się jeszcze bardziej obskurna niż zwykle. Dana poczuł, jak opada go klaustrofobia, niczym narzucony siłą, stary, źle dopasowany płaszcz. Matka Jima, Sylvia, zaokrągliła się, postarzała, a jej twarz była jeszcze bardziej zmęczona i obwisła, niż to pamiętał, ale rozjaśnił ją uśmiech tak promienny, że syna ogarnęło niejasne poczucie winy. Ojciec Gregory, miał na sobie stary szary kardigan i luźno zawiązany krawat. Wycierał dłonie w usmarowaną olejem szmatę, ukrywając oczy za zakurzonymi okularkami w drucianych oprawkach. Nosi takie szkła jak John Lennon – pomyślał nagle Jim i musiał powstrzymać się od uśmiechu.

Gregory potrząsnął dłonią syna.

No, jak się tam miewa nasz wielki astronauta?

Gregory nazywał go tak, odkąd Jim pamiętał. Jednak rzecz w tym, że dobrodusznemu drwinowi niebawem miała stracić sens.

Podczas lanczu panowała sztywna atmosfera. Rodzice zawsze zachowywali się trochę sztucznie w jego obecności, nie okazywali uczuć. Tak więc opowiadał o Mary, o dzieciach, o tym, jak bardzo się im podobały prezenty, które dostali od dziadków na urodziny: model do składania Saturna 5, za trudny dla dwuletniego Jake'a, sweter ręcznie robiony na drutach dla Marii.

Po lanczu Gregory wcisnął kapciuch z tytoniem do kieszeni złacha-nego swetra.

–No i co, Jimmy? Co powiesz na to, żebyśmy pogłótkowali w warsztacie?

Matka Jima nie zaprotestowała, chociaż oczy jej zwilgotniały. W porządku,

świetnie

da sobie radę sama.

–Jasne, tato.

Tak zwany warsztat była to mała nieużywana sypialnia na tyłach domu, wypełniona narzędziami, książkami i niedokończonymi modelami. Wisiała tam też tablica z tajemniczymi, nieczytelnymi wzorami. Jim zgarnął ze stołka luźne kartki z rysunkami technicznymi. Spodnie zaraz pokrył mu delikatny pył. Wszędzie zalegały kawałki papieru, ogryzki ołówków, tytoń fajkowy, szczątki modeli. Gregory zawsze wzbraniał tu wstępu Sylvii, gdy chciała posprzątać. Kiedy Jim trochę podrośł, starał się utrzymać jako taką równowagę między śmieciami a rzeczami użytecznymi, ale od kiedy wyjechał z domu, chyba nikt ani razu nie ogarnął pomieszczenia.

Ojciec zaczął buszować po warsztacie, sortując na chybił trafił tajemnicze szczątki i notatki. Pykał przy tym zadowolony fajkę i aromatyczny, idący do głowy zapach wypełnił warsztat, tak że wspomnienia stanęły jak żywe przed oczami Jima. W niedzielne popołudnia Gregory zawsze zabierał syna na łąki przy lotnisku Langley, gdzie wraz z innymi inżynierami z Ośrodka puszczał modele samolotów i rakiet – budowane nie z gotowych, sklepowych zestawów, ale w rozpadających się domowych warsztatach, takich jak ten. Jim przeżywał cudowne godziny podczas wietrznych popołudni z tykawatymi, hałaśliwymi ekscentrykami, należącymi do, jak go nazywali, Klubu Główkujących, i którzy nie mieszały się z miejscowymi, odpłacającymi się im za to lekceważeniem i pogardą.

Kiedy Jim był ośmioletnim chłopcem, praca w Ośrodku Langley nad samolotami i statkami kosmicznymi wydawała mu się jedyną przyszłością, dla której warto żyć. – A

więc, gdzie cię teraz wyślą? – spytał Gregory, nie patrząc na syna.

–Nie jestem pewien. Najpewniej do Edwards. – Do bazy oblatywaczy USAF.

–Będziesz tam latał?

–Może. No, prawdopodobnie. Ale nie na najnowocześniejszych prototypach.

–I długo niby tam posiedzisz...? – spytał bez wyrazu Gregory. – Nic w NASA nie trwa długo, tato. Sam wiesz. – To samo pytanie zadawano mu za każdym przyjazdem do domu.

Gregory miał miękką, okrągłą twarz, z nieco obwisłymi policzkami, a jego cienkie włosy przylegały do czaszki.

–Chodzi o twoją matkę. Przejmuje się. Ja...

–Tato, nie mam lotów bojowych – przerwał mu Jim. – Nie martwcie się na zapas. Nie wyślą mnie do Azji. Wyznaczono mnie do programu kosmicznego, nie do Wietnamu. Ile razy muszę wam...

–Edwards otworzy ci drogę do Wydziału Astronautów? Jim odetchnął głęboko. – Pewnie. Prawdę mówiąc, dzień Edwards chyba nadchodzi. Niedługo ruszą badania nad promem kosmicznym. To znaczy, że doświadczenia z wynoszeniem ludzi w przestrzeń, przeprowadzane w Edwards, nabiorą wielkiego znaczenia. I mówi się, że prom też ma tam lądować.

Lotem ślizgowym z przestrzeni kosmicznej prosto na dno pocziwych, słonych jezior.

–Jeśli wezmą się za prom – mruknął Gregory. – Prowadzi się też badania na

lotami

załogowymi na Marsa. A to oznacza znów wykorzystanie wielkich durnych raket. V

wiecznie żywe.

Jim uśmiechnął się szeroko.

– Nie przepadasz za tymi Niemcami, co, tato?

– Jeśli coś mnie w tym drażni, to prostactwo ich podejścia. Projekty von Brauna zawsze wyglądały mi tak samo. Od trzydziestu lat! Ogromne, przygniatające swoją wielkością maszyny! Dopaść gwiazd najprostszą drogą, jak się da! – Niemcy wynieśli człowieka na Księżyc – powiedział łagodnie Jim.

– Oczywiście. Ale to było nieeleganckie.

– „Nieeleganckie – powtórzył w myślach Jim – i nie po myśli Lan-gley”. – Podstawy myślenia o lotach międzyplanetarnych niewiele się rozwinęły od czasów Julesa Verne’a – ciągnął starszy Dana.

Jim zachichotał w kułak.

– Och, tato, daj spokój, to chyba nie fair. – W dziewiętnastowiecznych powieściach science fiction lunarnych podróżników wystrzeliwano z wielkich dział, usytuowanych na Florydzie. – Nawet Verne mógł przewidzieć, że przyspieszenie wyzwalane przy odpaleniu pocisku załogowego faktycznie zmiażdżyłoby jego nieszczęsnych podróżników. Gregory machnął fajką.

– Och, oczywiście. Ale to tylko detal. Spójrz, Verne wysyłał swoich podróżników

za

pomocą impulsu, wstrząsu, kopnięcia wielkiego działa. Statek kosmiczny

błyskawicznie

wzlatywał na wydłużoną orbitę wokół Ziemi, pozbawiony wszelkiej sterowności. I

to samo

jest z Programem Apollo. Nasze wielgachne rakiety, Saturny von Brauna, pracują

tylko przez

kilka minut, nieznaczną część lotu. Tylko nadają impuls statkowi z załogą. Nawet

badania

nad wyprawą na Marsa idą tą samą drogą. Proszę, spójrz. – Gregory podszedł do tablicy i stał

ją rękawem swetra. Grzebał w kieszeni, aż znalazł oblepioną paprochami kredę i narysował

na tablicy dwa koncentryczne koła. – Orbity Ziemi i Marsa. Każdy obiekt Układu Słonecznego porusza się po orbicie wokół Słońca; po elipsach, spłaszczonych kołach,

wykrzywionych w

91

różny sposób. Jak mamy przelecieć z Ziemi, z tego wewnętrznego szlaku na Marsa, na zewnętrzny? Nie dysponujemy technologią wprawiającą w ruch nasze rakiety przez długi czas. Możemy tylko działać impulsami, przeskakiwać z jednej eliptycznej orbity na drugą, jakbyśmy skakali z jednego pędzącego tramwaju do drugiego. W tej sytuacji jesteśmy zmuszeni sklejać naszą trajektorię na Marsa i z powrotem z kawałków elips. Hop i hamowanie, hop i hamowanie. W ten sposób...

Jim przyglądał się szkicującemu ojcu i myślał o Langley. Laboratorium imienia Samuela P. Langleya było najstarszym centrum badania aeronautyki w Stanach Zjednoczonych i matką wszystkich pozostałych. Założono je podczas I wojny światowej, z lęku, że ojczyzna braci Wright może zostać w tyle pod względem awiacji za wojującymi europejskimi narodami. Była to inna epoka, epoka w której indywidualistyczne tradycje starej Ameryki nadal żyły i nowe technokratyczne metody rządzenia totalitarnych potęg europejskich budziły ogromną podejrzliwość, gdyż obawiano się rozszerzenia zarazy na Nowy Świat.

Langley było biedne, skromne i nieznanne, ale niezachwianie niosło sztandar najnowszej technologii. „A w tamtych czasach – powiedział Jimowi Gregory – ludzie w Hampton nadal mówili na wojnę Pół-noc-Południe»ostatnia«”. Gregory często zabierał Jima do Langley. Ośrodek Badawczy był skupiskiem szacownych gmachów z rozległymi ceglanyymi werandami, zbudowanymi jak pod linijkę, i przypominał kampus uniwersytecki. Lecz pomiędzy starannie przystrzyżonymi trawnikami i uliczkami, w cieniu drzew stały egzotyczne kształty: ogromnie sfery, budynki, z których sterczały rury o przekroju kilkudziesięciu stóp. Sławne tunele aerodynamiczne Langley.

Z czasem Jim Dana zaczął kojarzyć rozkład Langley – dziwne połączenie schludnej codzienności i egzotyki – z geografią skomplikowanego, tajemniczego umysłu ojca. Hampton było tak izolowane od świata, że wielu młodych, zdolnych inżynierów aeronautyki nie chciało zbliżyć się do niego na sto mil. Ci, którzy jednak przybywali, zwykle byli pasjonatami i raczej dziwakami niż przeciętniakami – jak sam Gregory, co po jakimś czasie dostrzegł z goryczą Jim. A miejscowi obywatele nie poważali zbytnio „gwiazdowych wariotów” – jak nazywali ich do tej pory – pojawiających się w stanie Wirginia. Tak więc inżynierowie z Langley większość czasu trzymali się razem, w pracy oraz poza pracą, i dziwny świątek Langley rozwijał się sam.

Kiedy Jim Dana urósł i wyprowadził się od rodziców, zobaczył świat poza Wirginią.

–Nie wiem, czemu tu siedzisz – wyznał raz ojcu. – Wszystkie ważne rzeczy w NASA dzieją się gdzie indziej. Czemu nigdy nie zastanowisz się nad przeprowadzką? – Nie rozumiał braku ambicji ojca.

–Bo gdzie indziej takim ludziom jak ja wcale nie jest lepiej – odparł Gregory. – Prasa niespecjalnie interesuje się Langley. Nawet reszta NASA się nami nie interesuje. Dla ludzi z zewnątrz to tylko kilka szarych budynków z szarymi ludźmi, którzy pracują z suwakami logarytmicznymi i piszą długie równania na tablicach. Ale kiedy kochasz badania aeronautyczne, to czujesz się tu jak w niebie. To wyjątkowe i cudowne miejsce. Jim wiedział, że sprawność oraz osiągnięcia amerykańskich lotników i astronautów są w ogromnym stopniu zasługą Langley. To tu prowadzono prace nad nowymi typami samolotów bojowych podczas II wojny światowej, a potem wdrożono programy, które doprowadziły do powstania pierwszego samolotu naddźwiękowego, Bell X-1. Personel Langley stworzył grupę roboczą odpowiedzialną za Program Merkury, która później zajęła się optymalizacją kadłubów statków do Programów Gemini i Apollo... Gregory nigdy nie opowiadał o swoim dawnym życiu. Jim wiedział, że ojciec wiele przecierpiał w czasie wojny. Może po tamtych wydarzeniach Langley stało się dla niego rodzajem azylu. Tu nie odczuwano nacisków konkurujących firm przemysłu lotniczo-kosmicznego ani nie uczestniczono w rozgrywkach o władzę w NASA. Można było odnieść wrażenie, że ludzie z Langley – a dokładniej mężczyźni, bo to byli prawie sami mężczyźni – podjęli intuicyjnie decyzję, że sama placówka, jej budżet i rozmiar badań powinny pozostać skromne, chociaż program badań kosmicznych, zrodzony w Langley, rozwinął się w sposób niepowstrzymany.

Gregory nadal miał tylko czterdzieści jeden lat. Ale kiedy Jim trochę podrośł, zrozumiał, że ojciec znalazł miejsce, które mu odpowiada, i że zamierza w nim pozostać, starzejąc się powoli i niedołączniejąc, czarując wszystkich śladami francuskiego akcentu i pracując we własnym tempie w tym dalekim od burz kokonie. Jednak pozostanie w Langley znaczyło, że Gregory i Sylvia są skazani na śródmieście Hampton, żyjąc z niewygórowanej pensji Grego-ry’ego, i że zapewne będą musieli tam zostać, mimo nieuchronnego schyłku okolicy...

Gregory narysował półelipsę, która z jednej strony dotykała orbity Ziemi, a z drugiej muskała orbitę Marsa.

–Oto, proszę, orbita transferowa zapewniająca minimum wydatkowania energii. Tak zwana orbita Hohmanna. Każda inna trajektoria wymaga zużycia większej energii... Żeby powrócić na Ziemię, musimy lecieć po zbliżonej półelipsie. – Przesunął Marsa mniej więcej po dwóch trzecich jego orbity i narysował inną styczną elipsę, wychodzącą od Marsa ku Ziemi. – Lot powrotny zabiera tyle czasu, co lot pierwotny, około dwieście sześćdziesiąt dni. I na dodatek musimy czekać na Marsie ten cały czas, aż Ziemia i Mars znajdą się w odpowiedniej konfiguracji, ułatwiającej powrót. Ten okres oczekiwania wynosi co najmniej czterysta osiemdziesiąt dni. Tak więc cała wyprawa trwałaby aż dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem dni; ponad dwa i pół roku. Jak do tej pory nasz najdłuższy lot kosmiczny trwał dwa tygodnie. Nie mamy co marzyć o tak długiej wyprawie. – A jednak Rockwell bada na zlecenie NASA misję o takiej charakterystyce – powiedział Jim. – Zakładając tylko napęd chemiczny. U Marshalla zastanawiają się nad możliwościami nuklearnymi. – Potężniejsze rakiety na paliwo atomowe mogły przenieść statki po bardziej spłaszczonych, bezpośrednich orbitach. – Prace badawcze Marshalla zakładają podróż nie przekraczającą w sumie czterystu pięćdziesięciu dni... – Jeszcze większe rakiety! Ha! Jim wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Chcesz powiedzieć, że to w dalszym ciągu „nieeleganckie”, tak, tato? Ale gdzie

w

tym wszystkim miejsce na elegancję? Wygląda

na to, że jesteśmy ograniczeni prawami mechaniki nieba. Albo Hoh-mann, albo musimy przywalić na całego.

Właśnie. Tak więc eleganckie rozwiązanie to czekać; czekać, aż zbudujemy inteligentny silnik, na przykład wykorzystujący ogniwa paliwowe, który naprawdę zmniejszy czas przelotu. Ale to nie nastąpi za mojego życia i może nie za twojego. – Hm. – Jim Dana wziął kredę od ojca i narysował dalsze koncentryczne okręgi. – Oczywiście, nie przedstawiłeś pełnego obrazu. Są inne planety Układu: Wenus po wewnętrznej stronie Ziemi, Jowisz na zewnątrz Marsa. I jeszcze inne. Gregory zmarszczył czoło.

–I co z tego wynika?

–Nie wiem. – Jim wsunął kredę z powrotem do kieszeni ojca. – Ty jesteś specjalistą.

–Nie, nie, to nie moja działka.

–Może udałoby się jakoś wykorzystać inne planety, żeby dotrzeć na Marsa. NASA

zastanawia się, czy nie ruszyć w wielki objazd Układu, wykorzystać pole grawitacyjne Jowisza i innych gigantycznych planet, żeby przyspieszyć lot sondy na Neptuna... – Co niby sugerujesz? Żebyśmy polecieeli na Marsa przez Jowisza? To śmieszne.

Jowisz jest trzy razy dalej od Słońca niż Mars. Ton ojca – karcący, niecierpliwy – był aż nazbyt znany Jimowi Danie. Zirytowany uniósł dłonie.

–Niczego nie sugeruję, tato. Po prostu głośno myślę. Do diabła z tym. Ale Gregory nie odrywał wzroku od tablicy. Jego oczy były niewidoczne za warstwą kurzu na okularach. Jakaś uwaga Jima niczym impuls Julesa Verne’a wystrzeliła jego myśli na trajektorię spekulacji. Obecność syna przestała się liczyć. „Do diabła z tym” – powtórzył w myślach Jim. „Mam teraz własne życie, własne kłopoty. Nie mam po co się tym zajmować. I nie wiadomo, po co w ogóle się zajmowałem”.

Jim Dana wyszedł z warsztatu, otrzepując marynarkę. Zostawił ojca rozmyślaniom. Resztę popołudnia spędził z matką. Siedzieli na bujanej kanapie za domem, pijąc domową lemoniadę i rozmawiając w ciepłym słońcu. W oddali krzyczały mewy. Gregory Dana starannie wykreślał międzyplanetarne trajektorie... W wieku lat piętnastu, w 1944 roku, Gregory Dana nie był inżynierem budowy rakiet. Prawdę mówiąc, był ludzkim śmieciem, jednym z trzydziestu tysięcy Francuzów, Rosjan, Czechów i Polaków, którzy wykonywali straszną pracę w wrytych ludzkimi dłońmi jaskiniach w górach Turyngii.

Każda czynność wymagała ogromnego wysiłku – nawet ubieranie się – a Dana był głodny, już zaczynając pracę, o piątej rano. I dalej miał pozostać głodny, aż do drugiej po południu, kiedy czekała go miska zupy.

Potem rozpoczynało się przeganianie ludzi do dymiącego otworu tunelu w górze, a strażnicy z SS nie szczędzili kułaków i kijów, okładając po głowach i ramionach stado mijających ich robotników. Tunel wyglądał jak piekło, więźniowie byli biali od pyłu i kruszonego kamienia, wszędzie worki, stemple, skrzynie i trupy zmarłych w nocy, wyciągane za nogi z nyż.

Kapo wysoko cenili Gregory’ego Dane za zręczność drobnych dłoni. Wyznaczali go do bardziej skomplikowanych, a więc i lżejszych obowiązków. Stopniowo zrozumiał, do czego służą wielkie maszyny, przy których się trudził, i pojął wizje wojskowych planistów Rzeszy.

Robotnicy Mittelwerk dobrze wiedzieli, że Hitler nakazał produkcję co najmniej dwóch tysięcy rakiet A-4 skonstruowanych przez von Brauna – czy raczej, jak z czasem ochrzcili je Niemcy, V-2, od Ver-gletundswaffe, „broń odwetowa”. Planowano zbudować w Pas de Calais ogromną kopułę z sześćdziesięciu tysięcy ton betonu, spod której wystrzeliwano by rakiety na Anglię, partiami po czternaście sztuk.

Rozważano inne sposoby ataku; wystrzeliwanie rakiet z okrętów podwodnych, budowę

większych rakiet, które niszczyłyby cele odległe o tysiące kilometrów i –

ukoronowanie

marzeń! – zbudowanie wielkiej stacji orbitalnej osiem tysięcy kilometrów nad

Ziemią, na

której umieszczono by ogromne zwierciadło, odbijające światło słoneczne; zdolne

spalać

miasta i zagotować oceany.

Takie były te wizje!

...Ale V-2 były codzienną, niezwykłą rzeczywistością. Wielkie zwężające się kształty, mające co najmniej czternaście metrów długości potrafiły przenieść głowice bojowe o wadze ponad jednej tony na odległość trzech tysięcy kilometrów! Cztery tony metalu zawierały nie mniej niż dwadzieścia dwa tysiące komponentów!

Gregory Dana z czasem zaczął uwielbiać V-2. To było coś wspaniałego, maszyna z innego świata, ze świetlistej przyszłości – i Gregory był świadom, że linie pocisku były ucieleśnieniem marzeń, marzeń projektantów.

Chociaż przedmiot tej miłości powoli zabijał Gregory'ego. Pewnego ranka, tak wcześnie, że gwiazdy nadal świeciły i szron pokrywał ziemię, zobaczył inżynierów z ośrodka badawczego w Pee-nemiinde – Wernhera von Brauna, Hansa Udetą, Waltera Riedla i resztę, grupę młodych mężczyzn w eleganckich mundurach, niektórych niewiele starszych od Gregory'ego. Spoglądali w niebo, wskazując gwiazdy, i rozmawiali półgłosem.

Gregory Dana podniósł wzrok, żeby zobaczyć przedmiot ich uwagi. Ujrzał jasno świecąca gwiazdę, zabarwioną leciutko na czerwono, jak rubin. Tą „gwiazdą” była, oczywiście, jasno płonąca planeta – Mars. Ci młodzi, mądrzy Niemcy snuli marzenia, które dodawały im sił i motywowały do dalszej pracy – że któregoś dnia tarczę Marsa rozświetlą miasta zbudowane przez ludzi. Ludzi wyniesionych tam przez jakiegoś niewyobrażalnego jeszcze następcę V-2. Piętnastoletni Gregory Dana pojmował zaślepienie tych młodych mężczyzn z Peenemiinde, urzeczonych oszałamiającą urodą V-2 i tym, co rakietą reprezentowała. To nie była zwykła bezduszność; rozumiał dwuznaczność całej sytuacji i pocieszał się, układając plany na po wojnie. Marzył, że być może sam zajmie się budowaniem jeszcze większych rakiet i nawet

spłodzi syna, który jako pierwszy uda się poza atmosferę, na Marsa czy Wenus.

Zazdrościł młodym inżynierom z Peenemiinde, którzy przechadzali się po Mittelwerku w swoich eleganckich mundurach; im nie przeszkadzał widok przybywających codziennie stosów trupów, ludzi wychudłych jak szkielety, mordujących się wokół ogromnych metalowych statków powietrznych! Dwuznaczność tego wszystkiego miażdżyła Gre-gory'ego. Czy ogrom poniżenia i męki był nieuniknioną ceną za marzenia o locie między gwiazdy?

Próbował sobie wyobrazić, co by było, gdyby z racji urodzenia dane mu było zostać jednym z tych eleganckich młodych Niemców w mundurach SS? Kiedy pograżał się w takich marzeniach, ból codziennego dnia częściowo ustępował.

Ale potem przychodził kolejny ranek.

Słonecznego czerwca 1970 roku Gregory Dana trudził się przy tablicy w swoim warsztacie, pograżony we wspomnieniach i czerpiąc siły z marzeń o locie między gwiazdy.

Kiedy Jim Dana ruszał samochodem spod domu rodziców, ojciec wybiegł z domu.

Oparł ręce na oknie corvetty. Czoło miał posmarowane kredą.

–Dokąd się wybierasz?

–Muszę jechać, tato – powiedział przepraszająco Jim. – Muszę być w...

–Myślę, że to jest sposób – wysapał bez tchu Gregory. – Oczywiście, za wcześnie,

żeby mieć pewność, ale...

–Jaki sposób?

–Obok Wenus. Nie obok Jowisza, obok Wenus. Możesz pożegnać się z Verne'em, zupełnie nie potrzebujemy tych wielkich atomowych rakiet! – Tato, ja...

Sylvia objęła Gregory'ego ramieniem.

–Do widzenia, kochanie. Jedź ostrożnie.

–Zadzwoń, kiedy dojadę do domu, mamó.

Jim Dana obejrzał się raz, na zakręcie. Sylvia machała mu ręką, ale ojciec wrócił już do warsztatu.

Czwartek, 9 lipca 1970 roku Góry San Gabriel w stanie Kalifornia Dochodziło południe; ostre promienie słońca spadały z płonącego błękitnego nieba na nagie ramiona i nieosłoniętą głowę York.

Jorge Romero zaprowadził ich do małej dolinki, z której rozciągał się widok na wzgórze. Skocznym krokiem podszedł do starego powykręcane go graba. To drzewo jest waszym ładownikiem księżycowym. Właśnie wylądowaliście na Księżycu. Teraz niech każdy stanie tu i opisz, co widzi. Trójka astronautów – Jones, Priest i Bleeker – patrzyli na niego bez słowa, anonimowe postaci w baseballówkach, podkoszulkach z rękawami i okularach słonecznych w chromowanych oprawkach.

York wiedziała, że pytanie Romero nie jest trudne. To był ciekawy teren, nie lunarny, ale stosunki geologiczne między kolorowymi formacjami skalnymi rysowały się w sposób wyraźny. Niemniej jednak, postawa i miny astronautów zdradzały mieszankę oszołomienia, zażenowania i niechęci.

„Chryste – pomyślała York – ta wyprawa to będzie katastrofa”.

Ale Romero zachęcał ich, wymachując ramionami jak wiatrak. – No, śmiało! Jedna TZQCZ, której zawsze wam będzie brakować na Księżycu, to czas.

Ty, Charles. Chodź tu, zaczniemy od ciebie.

Chuck Jones leniwie uśmiechnął się do Bleekera i podszedł niespiesznie do Romero.

Oparł się o drzewo i zaczął opowiadać, co widzi. Romero wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, ale był nadal pełen energii i sprężysty; spalony słońcem nos sterczał poniżej okularów przeciwsłonecznych, a kilka kosmyków siwiejących włosów wymykało się spod miękkiej czapeczki otoczonej daszkiem. Kilka lat temu York zaliczając ostatni semestr, chodziła na wykłady Romero. Związany z Flagstaff geolog był wielkim praktykiem i analitykiem zjawisk geochemicznych. Od razu zrobił na niej wrażenie kogoś, kto potrafi rozruszać nawet najbardziej opornych studentów – takich jak na przykład typowy przemądrzały pilot-astronauta i zaprzysięgły pi-wosz w jednej osobie.

Tak więc, kiedy Ben Priest oświadczył jej, że Romero zgodził się dać załogom Apolla 14, podstawowej i rezerwowej, przeszkolenie geologiczne i zaprasza ją w charakterze asystentki, sprawiło jej to przyjemność.

–...Nie, nie, nie! A co z tamtymi warstwami zbocza?

–Słuchaj pan, profesorze...

–I pominąłeś najważniejszą cechę tego terenu!

Jones wyraźnie zgłupiał; był przysadzisty, silnie zbudowany, ciemnowłosa, a jego gęste małpie owłosienie na rękach i ramionach zdawało się jeżyć z wściekłości. – Co to za „ważna cecha”, na litość boską?

–Popatrz. – Romero ukląkł i podniósł z dna doliny garść odłamków białej skały.

–

Nie widzisz? Gdybyś patrzył uważnie, dostrzegłbyś, że takie odłamki zalegają tu wszędzie.

Jones miał dość.

–To cholerny obóz rekrucki. – Kopnął jeden z kamieni wskazanych przez Romero. – Ben, to pieprzona strata czasu. Nasz program jest dość naładowany bez tego gówna.

–Daj spokój, Chuck – rzucił lekko Adam Bleeker. – Nie postarałeś się za bardzo. – Pieprzę te kamole i ciebie też pieprzę – powiedział Jones. – Słuchajcie: jesteśmy tylko cholerną załogą rezerwową Apolla 14. Po pierwsze: pewnie nawet w ogóle nie polecimy na Księżyc. Po drugie: celem są lunarne Apeniny, nie cholerna Kalifornia. Więc czemu jestem tu, potykając się o stosy cholernych kalifornijskich kamoli? Po trzecie: jestem pilotem.

Nie rozumiem, dlaczego muszę znać się na pieprzonej geologii pieprzonego Księżyca, żeby zrealizować moje zadanie.

–Słuchaj, Chuck... – powiedziała York, robiąc krok ku niemu. Spojrzenie, którym Jones ją obrzucił – pełne szczerzej, nieukrywanej pogardy – sprawiło, że się zawahała. Romero uniósł tymczasem dłoń. – Spokojnie, spokojnie. Oczywiście, że nasz pan Jones ma rację – powiedział. Jones zbaraniał. – Nieważne, ile wiesz o Górach San Gabriel. Oczywiście że nie. I tak naprawdę, nieważne, co wiesz o Księżycu. Ale dla mnie jest ważne, żebyś nauczył się uważnie patrzeć.

To warunek, który zadecyduje o tym, czy zrealizujesz misję przebojowo, czy ją zawalisz.

„Zrealizować misję przebojowo”. Ben Priest przygryzł wargi, żeby się nie uśmiechnąć; York zadała sobie pytanie, czy Ben przeszkolił Romero w tym idiotycznym lotniczym slangu, żeby mógł zaskoczyć Jonesa.

Tak czy siak, astronauta był nieco zbity z pantałyku. Schylił się po kamień.

–Powiedz mi tylko, do cholery, jakie to w ogóle ma znaczenie. – To jest anortozyt – powiedział ze spokojem Romero. – I jesteśmy prawie przekonani, że był

podstawowym składnikiem powierzchni Księżyca. Naprawdę? – Adam Bleeker podszedł do nich i wziął z ręki Jonesa kawał skały, jakby był to jedyny egzemplarz skalenia w dolinie – Jakim cudem? Jones nadal patrzył groźnie, ale teraz, kiedy został wyłączony z rozmowy, Romero znów stał się panem sytuacji.

–Kiedy Księżyc powstawał, prawdopodobnie był cały płynny. Następnie zewnętrzna warstwa gruba na jakieś sto mil ochłodziła się, tworząc skorupę z anortozytu – lekkiej skały, jak ta. Jak widzicie, główny składnik anortozytu, plagioklaz, jest lekki. Ciężkie minerały, bogate między innymi w żelazo i magnez, zapadły się w głąb Księżyca. Otóż uważamy, że anortozytu dominuje na jaśniejszych, starszych obszarach tarczy Księżyca, podczas gdy ciemne morze księżycowe to schłodzone obszary lawy. Ten pogląd spodobał się Bleekerowi.

–Księżycowe morza kiedyś były więc prawdziwymi morzami – powiedział z uśmiechem.

York skinęła głową.

–To musiał być cudowny widok. Zbiorniki wielkości Morza Śródziemnego wypełnione po brzegi rozgrzaną do czerwoności, płynną lawą... Urwała. Nie widziała, co Jones myśli, oczy miał bowiem ukryte za okularami przeciwsłonecznymi. Ale obserwował ją, kiedy mówiła, i teraz zwróciwszy się do Bena Priesta, komentował to, jak poruszała brwiami. To musiał być chamski, w mniemaniu Jonesa dowcipny, komentarz.

Ben czuł się niezręcznie, nie wiedząc, czy śmiać się z dowcipu dowódcy, czy nie puścić mimo uszu szyderczych uwag pod adresem przyjaciółki. York zatkało. Poczula się znów, jakby miała szesnaście lat. Gapiła się bez słowa, bezradna i doprowadzona do białej gorączki.

Jorge Romero wykonał gest jak napuszony aktor i odszedł kilka kroków dalej. – Posłuchajcie. Chcę, żebyście po dzisiejszym dniu odeszli stąd jako lepsi obserwatorzy. Ale chcę też, żebyście zdali sobie sprawę z czegoś jeszcze: z wielkiego dramatyizmu wydarzeń, który może odślonić geologia. – Rozejrzył się wkoło. – Kiedy patrzycie na tę dolinę, pewnie widzicie tylko kilka starych zakurzonych skał. Ale ja widzę niesłychany proces, który marszczy powierzchnię planety, zastygły w czasie jak na fotograficznym ujęciu. Jestem pewien, że Natalie ma podobną optykę. Gdyby nasze życie nie było tak krótkie jak muszki jednodniówki, z pewnością potrafilibyśmy to dojrzeć. Wy być może polecicie na Księżyc! Musicie wykorzystać tę możliwość i udać się z tam z otwartymi sercami i umysłami. Wierzcie mi, zrobiłbym wszystko, żeby zamienić się z wami miejscami.

Chuck Jones wystąpił do przodu i wypluł gumę na zakurzoną ziemię. – No tak, ale nie polecimy, chyba że Dave Scott i Jim Irvin stoczą się tym swoim pojazdem

księżycowym z jakiegoś cholernego urwiska podczas którejś z tych durnych przejażdżek. To oni poprowadzą ostatniego Apolla na Księżyc, nie my. Więc myślę, że lepiej dajmy sobie spokój z gadkami, profesor, weźmy się do listy zdań i miejmy to z głowy.

Kopnął odłamek starożytnego anortozytu, który leżał mu na drodze, i ruszył poza dolinę.

W tej wyprawie terenowej powinno wziąć udział co najmniej czterech astronautów. Ale poczciwe chłopaki utraciły serce do, według nich, bezsensownych zajęć, w miesiąc po tym, jak Fred Michaels ogłosił cięcia w programie. Stawiło się przynajmniej tych trzech, ale Jones zachowywał się tak, jakby cała sprawa była drogą przez mękę. Jak do tej pory York była bardzo zde gustowana wszystkimi astronautami, których poznała, poza Benem wyraźnie nie pasującym do wzorca. Po prostu nie mieściło się jej w głowie, że mogą istnieć tacy faceci jak Jones; zabytki z lat pięćdziesiątych, ponura wersja Flinsto-nów. Cała ta banda myślała tylko i wyłącznie o sobie. No i dobrze, oby ich szlag trafił.

York i jej koledzy uczynili niewiele w ciągu ostatnich kilku miesięcy, ale śledzili następstwa majowych wydarzeń na Uniwersytecie Stanowym w Kent*[Przyp tłum 4 maja 1970 podczas antywojennej demonstracji w kampusie studenckim Uniwersytetu w Kent, w stanie Ohio, od kul Gwardii Narodowej zginęło czworo studentów.]. Niektórzy byli zaangażowani w kolejne demonstracje wyrażające poparcie i sympatię dla studentów z Ohio.

Była gotowa się założyć, że Chuck Jones – i pewnie Bleeker, a nawet Ben – nie słyszeli nawet o tamtym nieszczęściu i o tym, że doprowadziło do dramatycznego rozdarcia w narodzie. Nie wychylali nosa poza swoje cenne programy.

Czuła ślepy bezsensowny gniew, niemal nienawiść, do astronautów i systemu, który ich uformował.

Chuck Jones szedł, potykając się w nierównym terenie, prawie nie widząc skał wokół i kamieni pod nogami. Wciąż przeżywał wydarzenia ostatnich kilku dni. Fred Michaels, zastępca dyrektora, osobiście przybył do Wydziału Astronautów w budynku nr 4, gotów walczyć o swoje racje. Stał tam w garniturze, gruby jak beka, w obliczu tłumu ludzi ubranych w sportowe koszule i ostrzyżonych po wojskowemu. Chuckowi Jonesowi wcale nie było przyjemniej, słysząc najgorsze wprost z ust Michaelsa.

Zastępca dyrektora Agencji zjawił się, by krótko i wężłowato o-świadczyc, że liczykrupy obcięły wszystkie planowane loty na Księżyc – poza jednym jedynym lotem Apolla 14, planowanym na początek 1971 roku.

Jones nie mógł uwierzyć własnym uszom; tymi kilkoma słowami Michaels odebrał mu jedyną nadzieję, że kiedykolwiek poleci na Księżyc. Z tłumu zaczęły padać pytania, ale Michaels uciął wszelkie dyskusje.

–Do cholery, to dla dobra programu, dla dalszego dobra całej Agencji. Zrobiliśmy to, co było konieczne. Tom Paine wcale nie jest tym bardziej zachwycony ode mnie. Nawet mniej. Ale musimy się z tym pogodzić, żeby mieć jakąś przyszłość. Jestem pewien, że większość z was to rozumie.

„Jasne – pomyślał Jones – głową da się zrozumieć. Ale kiedy właśnie zabrano ci lot, do którego przygotowywałeś się przez lata, to twoje serce, cholera, nie jest w stanie tego pojąć”.

A rozgoryczenie Wydziału sięgnęło zenitu, kiedy wstał Dekę Slay-ton i z twarzą jak z granitu oświadczył, że status tej ostatniej misji, numer 14, zostanie podniesiony do klasy J, zaawansowanej wyprawy naukowej. Tak więc czternastka będzie wzbogacona o moduł księżycowy i pojazd księżycowy, a moduł usługowy dostanie orbitalną paletę instrumentów, przeznaczoną dla Apolla 15. Z wyposażeniem zmienia się miejsce lądowania; będzie to Hadley, u stóp lunarnych Apeninów.

Szkopuł w tym, że do lądowania w Hadley szykowała się intensywnie, oczywiście, nie załoga czternastki, ale piętnastki – Dave Scott, Jim Irvin i Al Worker. Tak więc, oświadczył Dekę, następuje zmiana załóg. Zdejmuje się Alana Sheparda i jego ludzi. Na ich miejsce wskakuje Scott i jego załoga, a ich rezerwowymi będą Jones, Bleeker i Priest. Data lotu zostaje przesunięta o kilka miesięcy, żeby dać czas Boeingowi na przygotowanie pojazdu księżycowego i zmodernizowanie modułu księżycowego przez Grummana. On, Dekę, spodziewa się, iż załoga Sheparda zakąszę rękawy i od tej pory będzie pomagać w treningach załodze Scotta.

Jones widział Ala Sheparda wychodzącego z martwą twarzą ze spotkania. Nikt nie śmiał wejść w drogę Alowi, kiedy był dobrym humorze, co dopiero wtedy, gdy właśnie dostał pałą w łeb. Było oczywiste, że mimo przynależności do grupy najstarszych pilotów nie zaufano mu i o zmianach harmonogramu dowiedział się dopiero na spotkaniu. Czary goryczy dopełniło jeszcze to, że Slayton był dobrym kumplem Ala z dawnych czasów Programu Merkury. „Pięknie się spisałeś, Dekę” – pomyślał Jones. No cóż, spodziewał się, że po tym wszystkim Slayton usłyszy od Sheparda parę rad.

Poza tym Jones miał kilka własnych przemyśleń.

Odczekał kilka godzin i wpadł jak burza do biura Slaytona.

–Niech to szlag, Dekę, nie powinienem być w rezerwowej. Lepiej żebym ja był

dowódcą podstawowej czternastki, nie Scott. – Jakkolwiek było, on, Jones, był w

pierwszej

obsadzie Programu Merkury i czwartym Amerykaninem w kosmosie. Poza tym już zaczął

szkolenie do dalszych misji klasy J.

Ale Dekę zbył go machnięciem ręki.

–Nie masz się co gorączkować, Chuck. Słuchaj, nie zapominaj, że Al Shepard też jest z pierwszej obsady Programu Merkury i przez te cholerne kłopoty z uchem czekał całe lata na drugi lot. I był pierwszym Amerykaninem w kosmosie; jest wyżej od ciebie w hierarchii, Chuck. Ale niezależnie od tego odsuwam go i wyznaczam na jego miejsce Dave’a Scotta.

Musisz się z tym pogodzić, Chuck. Nie podoba mi się to, tak samo jak tobie, ale ze wszystkich załóg grupa Scotta jest najlepiej przygotowana do misji, która nam została.

No. – To było zrozumiałe. Liczyła się misja; nikt w NASA nie zaryzykowałby niczego, co mogłoby w najmniejszym stopniu zagrozić misji. Z tym że w tym wypadku „nikt” znaczyło: wszyscy poza astro-nautami, którzy byli na pokładzie ostatniego Apolla, lądującego na Księżycu. Zrozumiałe więc, że Jonesowi trudno było się powstrzymać od walenia głową w mur i długo siedział w gabinecie Slaytona, wyklócając się jak wściekły... Znów napatoczył mu się pod nogi jakiś zwietrzały kamień, anortozyt czy inne gówno.

Kopnął go na bok i poszedł dalej wielkimi krokami. Popołudnie miało być poświęcone symulowanemu trzygodzinnemu spacerowi po Księżycu. York musiała uzupełnić stan załogi pod nieobecność astronautów. Jones był w parze z Priestem, więc Bleeker dostał za partnera York. Jorge Romero miał zostać w ciężarówce i działać jako kontroler łącznikowy. Astronaucci nosili plecaki, radia, aparaty fotograficzne i trzymali się uskoków widocznych na niezbyt przejrzystych mapach, odpowiadających jakością fotografiom orbitalnym o słabej rozdzielczości. York i Bleeker przystanęli w pierwszym punkcie zbierania próbek. Leżał tam wielki popękany głaz, ze śladami anortozytów. Bleeker ustawił gnomon i sfotografował głaz.

Gnomon było to urządzenie do ustalania skali wielkości i skali barw do fotografii, mały trójnóg ze swobodnie wiszącym centralnym prętem, wskazującym pion. Bleeker odłupał młotkiem kawałek skały rozmiarów pięści. Wsadził próbkę do teflonowej torebki, którą z kolei wrzucił do plecaka York. Do pracy włożył rękawice, identyczne jak te stanowiące część ekwipunku lunar-nego. York zauważyła, że były sztywne i niewygodne. – Jak się spisałem? – spytał Bleeker. Odpowiedziała mu uśmiechem. –

Zgodnie ze standardami działań operacyjnych, Adamie. Jorge będzie z ciebie dumny.

Poszli dalej.

Bieker uniósł twarz do słońca. Uśmiechał się lekko. Był blady, piegowaty – jak

to

chłopak z północnego stanu – i nałożył na

twarz grubą warstwę kremu przeciwko silnemu kalifornijskiemu słońcu. Robił wrażenie przeciętnej, raczej pustej osobowości, pozbawionej wyobraźni. „Ideał członka wyprawy księżycowej” – pomyślała ponuro.

–Założę się, że to szkolenie odbiega bardzo od tego, do czego się przyzwyczyłeś – zagała.

–No, jasne. Zwłaszcza kiedy się to porówna z zadaniami, które wykonywałem przed oddelegowaniem do Wydziału Astronautów.

–A co to było?

–Pięćset Dziesiąta Eskadra. To eskadra bombowców z siedzibą w Wirginii. Tam jest naprawdę pięknie. Znasz tę część kraju?

–Nie... Jakie to były bomby?

Spojrzał na nią z ukosa. Chłodno, jak to profesjonalista.

–Broń specjalnego przeznaczenia. „Och, atomowa” – pomyślała.

–Szkolenie zakładało przerzut do Niemiec Zachodnich. Mieliśmy przelecieć nisko, na wysokości stu stóp, poniżej zasięgu radaru wroga. – Demonstrował manewr zakurzoną

dłonią. Skierował ją teraz ku górze, ostro, pionowo. – Pomysł był taki, żeby rzucić ładunek w

odpowiedniej chwili. Miał spadać do celu dwumilowym łukiem. – Znów się uśmiechnął,

prawie nieśmiało. – Kiedy on miał spadać, ja powinienem był pryskać najszybciej,

jak się da,

żeby zdążyć przed detonacją.

–Jasne. To wygląda ryzykownie.

–Latanie zawsze jest ryzykowne – powiedział ze spokojem. – Ale F setki, na których lataliśmy, to były piękne maszyny...

Przez chwilę rozplątał się nad F-100. Z zimnego zawodowca przemienił się w

lirycznego poetę. Inaczej nazywano je Super Szable, pierwsze naddźwiękowe

samoloty

bojowe.

York przestała go słuchać, wyłączyła się.

F-100 produkował Rockwell, ta sama firma, która budowała Apolla i teraz startowała do zamówienia na budowę statku kosmicznego na Marsa. Biorąc pod uwagę, na co szły prawdziwe pieniądze do takich przedsięwzięciach jak Rockwell, to ich dział kosmiczny był tylko lukrowaną warstewką na torcie prawdziwych dochodów z działu militarnego. – Nie przepadałem tylko za katapultowaniem.

Katapultowaniem?

To były loty w jedną stronę. Samoloty nie miały dość paliwa, żeby wrócić. Musieliśmy się katapultować setki mil od bazy, skazując maszyny na rozwalenie, a potem walczyć o przeżycie.

Chryste – jęknęła York. – Mielicie wracać do bazy przez atomowe pobojuwisko? Do tego mnie szkolono – powiedział. – Taka była ogólna strategia, ja stanowiłem tylko element jej realizacji. Broń jest nowa, więc i walczy się po nowemu. Wszystko sprowadza się do wzajemnego odstraszenia. „Bezpieczeństwo będzie krzepkim dzieckiem zastraszenia, a przeżycie bliźniakiem totalnego zniszczenia...” Cytat wprawił ją w zaskoczenie.

–Dobrze powiedziane.

–Winston Churchill. – Oczy lśniły mu jak odłamki niebieskiego szkła. Zdała sobie sprawę, że nie jest nieinteligentny. Tylko inny niż ona i ludzie, z którymi przestawała. Był ludzkim elementem zimnej wojny. Przeszedł ją dreszcz. Sprawdzał wzrokiem listę zadań. – Hej, popatrz; przegapiliśmy ostatnie stanowisko. Zawrócili i poszli po śladach, wyjmując świeże woreczki na próbki. Pod koniec popołudnia spotkali się

przy ciężarówce. Romero nadal się uśmiechał, nawet żartował z Jonesem, ale York dostrzegła na jego twarzy zdradzające napięcie kurze łapki pod warstwą kurzu i ochronnego kremu.

Komentator radiowy cytował przemówienie Waltera Mondale'a w Kongresie, gdzie omawiano propozycję budżetu przedstawioną przez NASA. „... Jestem przekonany, że decydowanie się na przedsięwzięcie pociągające za sobą tak kolosalne koszty, jak przedstawiona tu wyprawa na Marsa, to dowód nieodpowiedzialności, kiedy wielu naszych obywateli jest niedożywionych, kiedy nasze rzeki i jeziora są zanieczyszczone, a nasze miasta i obszary wiejskie umierają. Jakich wartości powinniśmy strzec? Co naszym zdaniem jest ważniejsze?”

York i Ben Priest dostali po kubku kawy ze wspólnego termosu i odeszli trochę na bok. Słońce wisiało teraz nisko i świeciło prosto w oczy; nie paliło już jak przedtem.

–Coś mi się widzi, że Chuck będzie się odgrywał na Romero, za to że wycieli go z podstawowego składu – powiedziała York.

–Nie w tym rzecz. Chuck zawsze się tak zachowuje, kiedy ma wykonać zadania naukowe – odparł Priest. Pociągnął długi łyk kawy. – To katastrofa. – Hm... katastrofa. Dobrze powiedziane. Nie możesz na niego jakoś wpłynąć?

Uśmiechnął się do niej szeroko.

–Chyba nie znasz za dobrze psychiki astronautów, Natalie. Dla nich słowo dowódcy to świętość. On decyduje o postawie załogi, nadaje ton misji. Jeśli dowódca jest poważny i spokojny jak Armstrong, to cała załoga musi zachowywać się podobnie; jeśli ma ochotę nosić imprezowy kapelusik ze śmigielkiem i śpiewać przez całą drogę na Księżyc, jak Pete Conrad, to wszyscy musimy włożyć kapelusiki ze śmigielkiem i bić brawo za jaj carski pomysł. Tak to wygląda. Dzięki Bogu, Dave Scott ma poważne podejście do zadań naukowych. Myślę, że gdyby Chuck był dowódcą składu podstawowego, to podczas lotu numer czternaście program naukowy Apolla nie znalazłby się w zenicie, ale w cholernym, najgłębszym dołku. York znów usłyszała podniesione głosy. Romero mówił Jonesowi, że jeśli to tylko możliwe, należy zbierać próbki dużych głazów, bo wielkie głazy są blisko miejsca, w którym się uformowały. A lokalizacja próbki jest tak samo ważna dla dobrego geologa, jak sama budowa skały.

Jones informował Romero, gdzie może sobie wsadzić swój młotek geologa. „To wszystko psu na budę” – pomyślała ze złością York. „Trzeba dać sobie spokój z posyłaniem tych pajaców na Księżyc. Kapelusiki ze śmigielkiem i szczeniackie dowcipy...

Nie możemy dalej tak ciągnąć. Jeśli naprawdę zamierzamy lecieć na Marsa,

potrzebujemy ludzi innej klasy. Astronautów innego gatunku”. Ben wciąż ją zachęcał, żeby się zgłosiła do programu.

„Może powinnam to zrobić” – myślała dalej. „Na pewno spisałbym się lepiej niż taki

kretyn jak Chuck Jones”.

Wróciła do ciężarówki po następny kubek kawy.

Czas misji: 001/13:45:57

Sprawni do TOI – poinformował kontroler łącznikowy, Bob Cripperi – - Minuta trzydzieści do manewru.

Dziękuję – odpowiedział Gershon.

York włożyła hełm i przymocowała go do kryzy skafandra. Trochę się przy tym napracowała, sztywne rękawice stawiały opór. Zapięła pasy. Znow poczuła na twarzy chłodne, zatęchłe powietrze. Zgromadzone moduły Aresa miały kształt długiego, wiecznego pióra. Ogromny obiekt lśnił nad Ziemią, widzialny gołym okiem nad Przylądkiem Canaveral jak gwiazda w ruchu.

–Sprawni do zwiększenie ciśnienia w zbiornikach zewnętrznych ignoliny.

–Odebrałem.

York zaczęła zamykać obwody, zwiększając temperaturę w wielkich zbiornikach. Płynny wodór miał się zagotować i przejść w gaz, wymuszając ruch płynnego paliwa do komór spalania MS-2.

York była geologiem i leciała na Marsa, żeby przeprowadzić na nim badania geologiczne. Ale załoga składała się tylko z trójki ludzi. Więc jak chciałeś dotrzeć do celu, to musiałeś opanować całą masę zwykłych przyziemnych czynności, bo zautomatyzowanie działań statku kosmicznego i rakiety nośnej miało jakieś granice. Specjalnością Natalie York były zbiorniki zewnętrzne.

Znała się na nich tak dobrze, że była w stanie przedstawić wykonawcy naukowe opracowania na ich temat. Więcej, faktycznie przedstawiła te opracowania, oby

Bóg jej

wybaczył.

–Minuta – zapowiedział Gershon.

York zerknęła w prawy iluminator. Znajdowali się nad zachodnim Atlantykiem w porze wczesnego poranka; widziała łodzie w Zatoce Meksykańskiej, granice lądu wyrysowane grubą kreską, jak z komiksu.

„TOI”*[Przyp tłum Transfer Orbit Injection.] oznaczało wejście na orbitę transferową, rozpoczęcie długiej trasy na Marsa. Był to kluczowy moment misji, więcej, całego życia York.

Ale nie mogła się napatrzeć Ziemi; półtorej doby to było za mało. Starła się zapamiętać te obrazy, które zrobiły na niej największe wrażenie. Noc nad Afryką: ogniska koczowników, rozrzucone na pustyni. Burze nad Nową Zelandią:

pioruny jak lampy błyskowe, wyładowania pod kołdrą chmur, ogromne reakcje łańcuchowe nad całym krajem.

„Do zobaczenia szóstego stycznia 1986 roku” – pomyślała. Wtedy Ares miał powrócić na orbitę Ziemi. Pięćset dziewięćdziesiątego piątego dnia misji. „Wtedy wrócę, znów cię zobaczę. Jasnego niedzielnego przedpołudnia, wioząc pełne skrzynie kawałków z Marsa”.

–Ares, sprawni do odpalenia – powiedział Crippen. Stone przesunął główny przełącznik i sprawdził wskaźniki. Kontrola kierunku uaktywniona, kontrola ciągu w pozycji „auto”, pozycja statku prawidłowa, kardany silników uaktywnione, tak że dysze mogły się poruszyć jak gałki oczne w oczodołach, nadając kierunek rakiecie.

Osiem sekund przed odpaleniem silników głównych York poczuła pchnięcie w plecy. Nastąpił efekt ułazowy; wypaliły rakiety u podstawy statku, przygotowując przepływ paliwa.

Na niewielkim ekranie komputerowym przed Stone’em zaczęło migotać 99:40, szyfrowe pytanie o decyzję.

Pod ekranem był mały przycisk z napisem: DALEJ. Stone wyciągnął dłoń w rękawicy i go nacisnął.

–Pięć. Cztery... – odliczał Gershon. York zebrała się w sobie. Rozległ się odległy grzmot, idący echem przez całą rakietę, gdy odpaliły ogromne cztery silniki MS-II, trzysta stóp dalej. Przyspieszenie było słabe, niemal łagodne, wciskające miękko w fotel, jakby ktoś delikatnie napał na klatkę piersiową i kończyny York.

Po trzydziestu siedmiu godzinach mikrogravitacji poczuła się niesłychanie ciężka.

Ale tym razem wszystko odbyło się płynnie, jak w symulatorze. Później w trakcie

misji – kiedy Ares wypali paliwo i zredukuje swoją masę – przyspieszenia MS-II będą o wiele cięższe do zniesienia.

Gershon meldował wzrost przyspieszenia. Słyszając niewyraźny głos, York zdała sobie

sprawę, że Gershon żuje gumę. „Pewnie owocowa”

pomyślała. Jak można żuć gumę w skafandrze kosmicznym? Ger-shon jakby nigdy nic przykleił kulkę końcem języka do wewnętrznej strony osłony hełmu, na potem.

Facet

zachowywał się prostacko.

Ares, tu Houston, wedle naszych wskazań idzie wam świetnie powiedział Crippen. – Suniecie jak po sznurku.

Dziękuję – powiedział Stone. – Tu też to pięknie wygląda.

Dane mają się dobrze.

York wyjrzała na zewnątrz. Ziemia wyraźnie się oddalała; przedstawiała sobą niezwykle widok, jakby była jakimś rekwizytem do efektów specjalnych,

odholowywanym

od iluminatora.

Wyraźnie czuło się ruch, prędkość.

–Jak leci, York? – zapytał sucho Stone. Drgnęła. Znów ją przyłapał na obijaniu się.

–Świetnie, świetnie, Phil.

Skupiła się na wskaźnikach. Miała zadania i powinna je wykonać. „Ja nie dam plamy” – pomyślała. Z tym tekstem budził się i zasypiał każdy uczestnik Programu Ares. Ukradkiem zerknęła na Stone’a. Obserwował instrumenty pokładowe, skupiony na obowiązkach, pozornie nie zwracający na nią uwagi; całkowicie opanowany. Jak to Stone.

Zaczęła na poważnie obserwować zbiorniki zewnętrzne, informowana przez wyświetlacze, które miała przed sobą.

Strumienie płynnego tlenu i wodoru, sześćdziesiąt cztery tysiące galonów na minutę, były pompowane ze zbiorników i spalane w silnikach MS-II. Ciśnienie w zbiornikach zaczęło spadać; do podniesienia go służył skomplikowany układ zwrotny, który przemieszczał ulatniające się gazy silnikowe do zbiorników. Układ paliwowy był zaskakująco złożony, ciąg wielkich rur, fontann superzimnego paliwa płynnego, wpadającego kaskadami do komór spalania gorących jak słońce...

W połowie odpalenia Crippen powiedział:

–W porządku, Ares, tu Houston, chcielibyśmy przeprowadzić krótką transmisję telewizyjną.

Stone i Gershon po prostu jęknęli. York zerknęła na małą kamerę telewizyjną zamontowaną nad jej głową.

–Zakładamy pięć minut transmisji i chcielibyśmy jakieś ujęcie przez okno, plus tekst, gdybyście byli tacy łaskawi.

–Odebrałem – powiedział Stone.

–

NASA trzymała się zasady przekazywania do telewizji najbardziej dramatycznych chwil misji. Wszystko to miało służyć pobudzeniu zainteresowania i entuzjazmu wobec Programu Ares, żeby wspaniała amerykańska opinia publiczna widziała, na co wyklada pieniądze. Na przykład przewidziano połączenie z modułu dowodzenia podczas samego startu. Ale York nie była przekonana do pomysłu. Dla pokolenia wychowanego na bajecznych fajerwerkach „Wojen gwiazdnych” start Aresa wyglądał jak jakiś cholerny wyjazd limuzyną dziadka z garażu.

Stone kiwnął głową York. Wcisnęła guzik na swojej konsoli, uaktywniając kamerę.

–W porządku – powiedział Stone. – Witajcie na Aresie. Oglądacie nasz moduł dowodzenia. Jesteśmy w środku manewru TOI. Za oknem widzimy przesuwające się Słońce i, oczywiście, Ziemię. Możemy podać wam nasz czas misji; trzydzieści siedem godzin, pięćdziesiąt jeden minut i kilkanaście sekund. Teraz może Ralph pokaże wam widok.

Stone kiwnął na York. Zdjęła kamerę telewizyjną z podstawy. Ponieważ silniki pracowały, nie mogła po prostu jej popchnąć, żeby pofrunęła przez kabinę; musiała podać urządzenie Gershonowi. W warunkach łagodnego przyspieszenia wytwarzanego przez MS-II wydawało się ciężkie, niewygodne.

–W porządku, Houston, proszę oto widok – powiedział Gershon. – Oto widzicie

Ziemię, jak oddala się pod nami.

–Odebrałem, Ares. Piękne obrazy.

–To naprawdę fantastyczny widok – ciągnął Gershon. – W tej chwili jesteśmy gdzieś nad Atlantykiem i widzę wschodnie wybrzeże, od Florydy aż po Nową Fundlandię, wyraźnie jak na dłoni. Nie wiem, czy u was widać tak samo. – Widzimy to.

–Po mojej prawej, w kierunku krawędzi planety, widzę chyba Zachodnią Europę i Afrykę. Dostrzegam Hiszpanię i Wyspy Brytyjskie, wszystko w skrócie perspektywicznym.

Wyspy Brytyjskie są wyraźnie zieleńsze niż brązowozielona Hiszpania. Nad tą ostatnią wisi lekki opar, a nad południem Anglii warstwy cumulusów. – Odebrałem. To odpowiada naszej dzisiejszej prognozie pogody.

–Fajnie wiedzieć, że się patrzy na dobrą planetę, Houston... – Chciałbym powiedzieć coś o tym punkcie Ziemi, od którego odbijają się te promienie Słońce, które nas oświetlają – odezwał się – słońce Ogólnie biorąc, barwa oceanu jest jednolita, ciemnoniebieska poza wymienionym regionem, kołem zajmującym może jedną ósmą promienia Ziemi. Na tym obszarze kolor niebieski przechodzi w szary i jestem pewien, że tam właśnie padają promienie, które nas oświetlają. Odebrałem, Phil – powiedział Crippen. – To już zaobserwowano wcześniej. Widzimy odbłask jak na kuli do kręgli. Jest ten jaśniejszy punkt, a potem niebieski ocean staje się szarawy.

Kula do kręgli, no. A może czubek głowy Phila – powiedział Gershon i roześmiał się z własnego dowcipu.

„To prawda” – pomyślała York, wykręcając głowę i dostrzegając wielki rozbłysk na błękitnej powierzchni oceanu. „Do cholery. Ona naprawdę ma wygląd sfery. Stalowej kuli”.

–Dziękuję, Ares. A co powiedzielibyście o waszej pozycji? Może wyjaśnilibyście nam, na czym polega to całe TOI.

Gershon przekazał kamerę z powrotem wzdłuż kabiny i York umieściła ją na podstawce, tak że ta przekazywała panoramiczny widok całej trójki. Przechwyciła wzrok

Stone'a; wskazał oczami ją i kamerę.

Światła jupiterów skierowały się na York.

Wróciła wzrokiem do swoich wyświetlaczy i starała się nie patrzeć za często w kamerę. Ścisnęła ją w gardle, twarz w hełmie zalał rumieniec; nagle poczuła każdą fałdkę skafandra i zrobiło się jej gorąco. Włączyła łączność głosową przyciskiem w hełmie.

–W porządku, Houston. Oto nasz manewr TOI, czyli zmiana orbity za pomocą silników raketowych. W tej chwili wielkie silniki głównego członu, MS-2, wypychają nas z orbity Ziemi. MS-2 to po prostu odmiana drugiego członu starego Saturna 5, tak zmodyfikowana, żeby umożliwiła zmianę orbity. S-2, który zaprowadził Apollo na Księżyc, miał pięć silników J-2. No cóż, my mamy tylko cztery silniki unowocześnionej wersji o nazwie J-2S. Usunięto centralny, szykując miejsce do połączenia ze zbiornikowcem z płynnym tlenem. MS-2 ma grubszą warstwę izolacyjną, żeby zapobiec wyparowaniu płynnego paliwa i zapewnić więcej wrót cumowniczych na froncie.

Pewnie zdajecie sobie sprawę, że wszyscy czujemy wielką ulgę, iż MS-2 pracuje świetnie; od niego zależy nie tylko uwolnienie się od grawitacji Ziemi, ale też wyhamowanie,

kiedy zbliżymy się do Marsa,

a także wyniesienie nas na orbitę okołomarsjańską, kiedy będziemy gotowi do powrotu...

Zaschło jej w gardle. Mówiła za szybko i dostała zadyszki. – Spocznij – powiedział kontroler łącznikowy Crippen. – W porządku, kończymy połączenie na żywo. Ares, miałeś sporą widownię; transmisja szła na żywo do Stanów Zjednoczonych, Japonii, Europy Zachodniej i większości krajów Ameryki Środkowej. Zewsząd mamy potwierdzenie, że kolory były dobre i wszyscy mówią, że program poszedł świetnie.

–Pamiętajcie, piszcie do nas dalej – powiedział Gershon.

–Już za wami tęsknimy – dodał Crippen.

„Chryste, ale głądziłam” – pomyślała. Nic dziwnego, że przerwano transmisję. W ogóle nie zamierzała mówić tego, co naplotła, chciała powiedzieć coś od siebie, to jak się czuje, widząc uciekającą Ziemię.

Zawsze krytykowała astronautów za brak elokwencji. Jednak się okazało, że mówienie z orbity wcale nie jest takie łatwe.

–Silniki zewnętrzne opróżnione – zameldowała. – Gotowość do oddzielenia.

–Odebrałem – powiedział Stone.

Ponad dwa miliony funtów paliwa, skarb, którego wyniesienie na orbitę Ziemi zajęło

pięć lat, wypalił się w ciągu szesnastu minut.

–Trzy, dwa, jeden. Ognia.

Dokładnie w tej chwili ładunki zapłonowe niszczyły bolce mocujące i obejmujące zbiorników, a gilotyny powinny przecinać szerokie przewody paliwowe od zbiorników do brzucha MS-2. York na wół się spodziewała, że usłyszy grzechot bolców, przytłumiony brzęk przypominający ruchy pomostu podczas startu Saturna 5B. Ale nie usłyszała ani nie poczuła niczego.

–Zbiorniki zewnętrzne oddzielone – powiedziała.

–Potwierdzam oddzielenie zbiorników zewnętrznych – zgłosił Crippen. – Hej, co wy na to – powiedział Gershon, wyglądając przez swoje okno. – Widzę go.

York wykręciła się na fotelu i wyjrzała na zewnątrz. Na tle niebieskoszarej Ziemi widniała gruba, zakończone tępo sylwetka porzuconego zbiornika, jak tuba cygarowa w kolorze mulistego brązu i srebra. Z boku, wśród srebra, widniały gdzieś litery i drobne plamki pomarańczowej izolacji. Z uciętych przewodów kapalo paliwo rakietowe strumyk kryształków, migocący na tle powierzchni Ziemi. Zbiornik wyglądał jak gigantyczny ranny wieloryb trafiony harpunem.

Szybko oddalał się od Aresa, wirując wokół swojej osi. Oba zbiorniki poruszały się na tyle prędko, że uciekły ziemskiej grawitacji wraz z Aressem. Miały się stać niezależnymi satelitami Słońca, które po miliardach lat spadną w studnię grawitacyjną jakiejś planety.

Pomachała im na pożegnanie, lekko teatralnym gestem urękawiczonej dłoni.

„Powodzenia, maleństwa” – dodała w myślach.

W końcu silniki zgasły, co poczuła wraz ze spadkiem przyspieszenia; rejestrowane podświadomie hałas i wibracja dalekich silników zelżały. – To by było na tyle – oznajmił Stone. – Cicho, sza. Wszystko wygląda w normie.

–Tu, na dole, jest cała sala ludzi, którzy mówią, że idzie wam jak po maśle,

Ares! –

zawołał Crippen.

Gershon odpowiedział kowbojskim okrzykiem.

–To była przejażdżka jak cholera, Bob – dodał. – Tu z góry wygląda na to, że odpalenie było w najwyższym stopniu satysfakcjonujące, Houston – powiedział Stone. – Dziękuję. – Zaczął zdejmować hełm i rękawice.

York przyglądała się malejącej Ziemi, która stawała się piłeczką w przestrzeni kosmicznej, mrugającą modrym oczkiem Atlantyku. Klaster Aresa oddalił się tylko kilkaset mil od ziemskiej orbity. Ale poruszał się tak szybko, że grawitacja Ziemi nie była w stanie go zatrzymać. „Lecimy czterysta mil na minutę – pomyślała York – tak szybko, że przemierzylibyśmy orbitę Księżyca w zaledwie dwanaście godzin”.

–Czy te dźwięki w tle to muzyka? – spytał Crippen.

–Nie – odparł Stone. – Ralph sobie śpiewa.

Sobota, 7 sierpnia 1971 roku Ośrodek Kosmicznych Lotów Załogowych, Houston Bert Seger miał tego dnia do odwalenia trochę papierkowej roboty przed powrotem do domu. Ale kiedy dotarły do niego wieści o wodowaniu, wyszedł od siebie na główny korytarz Ośrodka. Wyjął cygaro z kieszonki na piersi marynarki, muskając goździk, który żona włożyła mu tam, jak zawsze.

Apollo 14 po dwunastodniowym locie wylądował na Pacyfiku, cztery mile od lotniskowca Okinawa. Seger zdał sobie sprawę, że NASA czekają teraz dni pławienia się w radosnym poczuciu dobrze zrealizowanego zadania. Scott i Irvin spędzili dziewiętnaście godzin poza ładownikiem księżycowym, kiedy Armstrong i Muldoon zaliczyli ich niecałe trzy, i pokonali siedemnaście mil terenu u podstawy góry wysokiej na piętnaście tysięcy stóp.

Kontrolerzy lotu i astronauta nauczyli się koordynować poczynania z naukowcami na zapleczu kontroli misji i robili wszystko na piątkę. Prawie każda z innowacji misji klasy J – ulepszony ładownik, pojazd księżycowy, paleta instrumentów orbitującego modułu usługowego – sprawdziła się jak należy.

Czternastka była największym sukcesem od pierwszego lądowania na Księżycu; brawo bili nawet sceptycy między naukowcami.

Ale misja numer 14 przeszła już do

historii.!”

Odgłos kroków Segera rozlegał się echem po korytarzu. Seger u-świadomił sobie,

że

minęły zaledwie dwa lata od Apolla 11, a przecież pierwszy wiek badań lunarnych

dobiegł

już końca.

„Niech to diabli porwą” – westchnął w myślach. „Musimy zamknąć sklepik akurat teraz, kiedy nauczyliśmy się, co i jak”.

Zatrzymał się przed drzwiami MOCR i wszedł do środka. W MOCR było pusto; wszyscy już wyszli oblewać wodowanie. Zapowiadała się wielka impreza, którą faceci z działu oceny misji urządzali w budynku nr 45.

Podszedł schodami do konsoly szefa misji. Było to serce wyprawy, ważniejsze nawet niż fotel samego dowódcy statku kosmicznego. Wielki ekran dwadzieścia na dziesięć stóp wiszący na przedniej ścianie sali był czarny i zimny. Konsoly kontrolerów były zarzucone książkami, dziennikami wyprawy, listami zadań, słuchawkami i popielniczkami wypełnionymi niedopałkami papierosów i do połowy wypalonymi cygarami. Niektórzy kontrolerzy zostawili małe flagi narodowe, którymi wymachiwali podczas wodowania.

Pomyślał, że może kiedyś niektóre z tych konsol będą pełne danych spływających z kosmicznego statku załogowego okrążającego Marsa. Kiedy tak stał i marzył, marzenie wydawało się niemożliwe, ale z drugiej strony w roku 1959, kiedy NASA jeszcze nie istniała, a technicy przewozili części kapsuły Merkurego odkrytymi ciężarówkami, zabezpieczone tylko materacami, tak samo niemożliwe wydawało się lądowanie na Księżycu.

Bert Seger miał zrealizować plan wyprawy na Marsa. Zaledwie przed miesiącem wyznaczono go na zastępcę kierownika Biura Kosmicznych Lotów Załogowych, jednego z czterech wielkich wydziałów NASA. Miał poprowadzić tworzące się Biuro Programu Mars, tu, w Houston. Fred Michaels został nowym dyrektorem po rezygnacji Toma Paine'a i był zdecydowany wyciągnąć Agencję z bałaganu, który jego poprzednik zostawił po sobie. Sam wyznaczył Berta Segera.

–Bert, ta sprawa z Marsem już rozlatuje się w szwach, a nie dostaliśmy nawet

jeszcze z powrotem końcowego raportu celów fazy A. Słuchaj, potrzebuję kogoś, kto zrobiłby dla Programu Mars to samo, co Joe Shea zrobił dla Programu Księżyc, wtedy na początku.

Trzeba zebrać wszystko do kupy. Inaczej nie uda się nam tego przepchnąć poza prezydenturę

Nixona.

Seger zrozumiał.

–Potrzebujesz brygadzysty – powiedział. – I wykonawcy.

–Cholera, potrzebuję. Zajmiesz się tym?

–Cholera, zajmę.

–No, to masz pierwsze zadanie – powiedział Michaels. – Ustal cholerną charakterystykę misji...

Rywalizujący wykonawcy, przygotowujący wstępne oceny fazy A, zakładali różne sposoby dostania się na Marsa, ale wszyscy planowali drogę bezpośrednią: z Ziemi na Marsa i z Marsa na Ziemię. Tymczasem w Langley był facet, który narobił diabelnego zamieszania innym rozwiązaniem. Chodziło o przelot obok Wenus. – Jakiś świrek nazwiskiem Dana – powiedział Michaels. – Gregory Dana. Napisał bezpośrednio do mnie. Uwierzyłybyś? – Dana ominął wszystkie biurokratyczne kanały i zdążył zaleźć za skórę wielu ludziom. – Czy ma rację? Z Wenus?

–Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Na tym etapie to mnie w ogóle nie interesuje.

Ten

Dana doprowadził do tego, że oni wszyscy: ludzie z Marshalla, reszta Langley, wykonawcy, Biuro Budżetu, cholerny Doradczy Zespół Naukowy, brzęczając osy w słoju. Niedługo zostaną rozesłane formularze szczegółowych ocen fazy B. Ten Dana może rozpieprzyć cały plan przygotowań. Bert, masz zaprowadzić w tym wszystkim porządek... Seger nie wątpił, że uda mu się doprowadzić do wyboru właściwej charakterystyki misji. Nie wątpił też, że uda mu się wypełnić poważniejszy obowiązek;

zorganizować

Program Mars. Jeśli taka będzie wola narodu.

Seger zawsze modlił się gorąco przez kilka minut, zanim rozpoczął dzień pracy lub ważne zadanie. To dowodziło jego siły charakteru, głębi przekonań. Stojąc tak w MOCR, pomodlił się krótko.

Myślał o tamtym kruchym światku odległym o dwieście czterdzieści tysięcy mil, na którym nadal stały trzy ładowniki księżycowe w otoczeniu odcisków stóp i poruszonego księżycowego gruntu. Ale Seger nie przywiązywał wielkiej wagi do tych wszystkich odcisków stóp, wywieszania flagi i badań naukowych. Nie przywiązywał nawet specjalnej wagi do tego, że wyprzedziło się Rosjan. Liczyło się jedno. Program Apollo udowodnił, że ludzie faktycznie mogą dotrzeć poza Ziemię, żyć i pracować na innych ciałach niebieskich.

Księżyc nie okazał się tak egzotycznym miejscem, jak niektórzy podejrzewali. Przepowiadano, że astronauta zapadną się w milowe warstwy kurzu. Albo że góry na Księżycu będą kruche, może jak wielkie szare bezy i przewrócą się w chmurach kurzu, kiedy astronauta zaczął tam chodzić. Lub że pył księżycowy zapali się albo wybuchnie, kiedy astronauta przyniosą go do ładownika. Albo że astronautów dotkną straszliwe choroby...

W końcu jednak okazało się, że rację mieli ci twardogłowi inżynierowie, którzy upierali się, że Księżyc będzie dokładnie jak Arizona, i zaprojektowali ładownik zgodnie ze swoimi przewidywaniami. „To muszę sobie wbić do głowy” – pomyślał. „Mars też będzie dokładnie jak Arizona”.

Dla Segera myśl, że Ziemia, Księżyc i Mars są w jakiś sposób fizycznie jednolite, jakby połączone wyczynami Amerykanów, miała czarodziejską moc.

Zszedł ostrożnie po schodach wiodących od konsoli szefa lotu i zatrzasnął za sobą

drzwi.

Poniedziałek, 16 sierpnia 1971 roku

Ośrodek Kosmiczny im. George'a C. Marshalla, Huntsville w stanie Alabama Gregory Dana zjawiał się późno, dźwigając pod pachą wykresy do prezentacji graficznej i wyniki doświadczeń; zanim dotarł do sali konferencyjnej – tuż obok gabinetu samego von Brauna – ta była już zapelniona i musiał precyzyjnie się na sam tył, żeby znaleźć sobie w niej miejsce.

Mieściła się na dziewiątym piętrze kwatery głównej Marshalla, znanej jako Hilton von Brauna. Zebrali się w niej chyba wszyscy decydenci; personel kierowniczy z Marshalla i Houston, kilku dyrektorów z waszyngtońskiej kwatery głównej NASA i masa przedstawicieli wykonawców, których prace badawcze miały być przedstawione. Konferencję otworzył Bert Seger, szef powstającego Biura Programu Mars. Stał tak daleko, że Dana nie widział wyraźnie jego rysów twarzy. Zgromadzeni mieli zapoznać się z finalnym etapem prac badawczych fazy A. Wedle tego, co mówił Seger, chodziło o przedyskutowanie i zarekomendowanie rozwiązania, nad którym następnie podejmie się prace badawczo-rozwojowe. Obecna na sali grupa wykonawców miała za konkurentów naukowców i inżynierów prowadzących równoległe prace nad promem kosmicznym wielokrotnego użytku; ostatnio przeprowadzono podobnie spotkanie grubych ryb w Williamsbur-gu, mające na celu skrócenie listy rozwiązań teoretycznych związanych z programem.

Seger wygłosił górnolotną mowę: o potrzebie otwartej dyskusji, akceptowaniu argumentów oponentów, o tym, jak to wszyscy są chętni do konsensusu bez względu na to, jaki profil misji zostanie wybrany. Dana dostrzegł krzyżyk połyskujący w klapie marynarki Segera, pod przywiedłym różowym goździkiem.

Dana nie wątpił, że wszyscy zrozumieli podtekst wypowiedzi prowadzącego. Kongres zatwierdził fundusz NASA na rok podatkowy 1972, ale naprawdę poważne wydatki, bez względu na charakterystykę programu, zapowiadały się na rok następny. A prezydent Nixon nadal nie zdecydował, na czym w gruncie rzeczy oprze się program kosmiczny. Mówiło się nawet o całkowitym zaniechaniu lotów załogowych i szukaniu jakichś supernaukowych rozwiązań na Ziemi, lepiej grających z obecnymi nastrojami. Tymczasem dwa ośrodki NASA, Houston i Marshall, prowadziły otwartą wojnę, preferując odmienne charakterystyki misji.

Tego rodzaju rozłam był najgorszą rzeczą, jaka akurat teraz mogła się przydarzyć NASA i wszyscy starzy wyjadacze w Agencji przechodzili to już wiele razy. Dana wiedział, że Seger stara się zażegnać konflikt, zachęcając do nieformalnych kontaktów i dyskusji, nakazując ludziom z Houston pomoc w przygotowaniu prezentacji rozwiązań Mar-shalla i tak dalej. Było oczywiste, że dzisiejszym celem Segera było przeciąć wrzód niezgody, zanim przedstawi się rekomendacje górze.

Tymczasem Seger omówił program spotkania. Miało trwać cały dzień. Najpierw przedstawienie dwóch najpoważniejszych wariantów misji – chemicznego i atomowego – a potem inne studia...

Dana skonstatował z rozczarowaniem, że będzie ostatnim z pięciu głównych mówców. „Zepchnęli mnie na szary koniec” – pomyślał. „Jeszcze po tych facetach z General Dynamics i ich śmiesznym atomowym motorze. Mam im dostarczyć rozrywki”. Zapowiadało się, że padnie ofiarą wewnętrznych sporów w organizacji; zapewne wyprowadził z równowagi zbyt wielu ludzi, lekceważąc hierarchię. Bezradność i niepokój sprawiły, że poczuł skurcz żołądka.

„Do cholery, wiem, że mam rację!” – pomyślał. „Tu, w mojej teczce, jest opisane,

co

powinniśmy zrobić, żeby polecieć na Marsa”.

Podniecony poprawił okulary na nosie.

Najpierw zajęto się możliwością wykorzystania silników atomowych. Dana pomyślał, że to uprzywilejowanie opcji atomowej w dyskusji ma głębsze podłoże. Była mocno popierana przez Marshalla. Słyszało się również, że szefostwo NASA ma do niej bardzo przychylny stosunek.

Wystąpienia rozpoczął młody człowiek z burzą włosów na głowie, Mike Conlig. Przeniesiony obecnie do Marshalla, przez kilka lat pracował w ośrodku badawczo-rozwojowym raket atomowych w Newadzie.

Udało się nam przeprowadzić dwadzieścia osiem startów prototypu XE-Prime, napędzanego płynnym wodorem, który osiąga siłę ciągu ponad pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów. – Conlig zademonstrował fotografię obskurnego poligonu raketowego, otoczonego ponurymi górami. – Następnie przejdziemy do programu NERVA 1, który zakłada stworzenie rakiety o sile ciągu siedemdziesięciu pięciu tysięcy funtów. Kolejno zbuduje się pełny moduł NERVA 2, który posłuży samej misji na Marsa. NERVA 2 odbędzie loty próbne w połowie lat siedemdziesiątych, wyniesiony na orbitę jako trzeci człon Saturna 5... Conlig przemawiał dobrze i z entuzjazmem; Dana słuchał danych jednym uchem, wypuszczał je drugim.

Z kolei na podium wszedł szczupły mężczyzna o chłodnym wyrazie twarzy i jasnych, posiwiałych włosach.

–Podróże międzyplanetarne mogą mieć różne cele, dlatego rozwinęliśmy technologię budowy modułowej. Zamierzamy umieszczać na orbicie okołoziemskiej poszczególne moduły NERVA i łączyć je zależnie od potrzeb... – Mówił przy gaszonym głosem, nieco skracając końcówki. Wyczuwało się charakterystyczny

nosowy akcent Południa, normalny po wielu latach spędzonych w Huntsville, ale pod nim nadal dźwięczało ostre teutońskie brzmienie.

To był Hans Udet; ten sam Udet, który pracował w Peenemiinde z von Braunem, a teraz był jednym z jego najwyższych rangą współpracowników u Marshalla. Dana zachował twarz bez wyrazu.

Podczas wielu lat pracy dla NASA wiele razy miał do czynienia z Niemcami z Huntsville. Nawet teraz napotykał wiele twarzy na korytarzach i w gabinetach NASA, a widzianych pierwszy raz za tamtych dawnych dni w Górach Harzu. Ale sam nigdy nie był rozpoznany – bo i jak? – i nigdy nie wyjawiał swojej przeszłości.

Nie zdradził nikomu, co przeżył i czego doświadczył. Mittelwerk spoczywał pogrzebany głęboko w przeszłości i wszyscy, którzy coś tam znaczyli, zajęli się nowymi sprawami.

Nawet nigdy nie wspomniał o tym Jimowi.

I nigdy pozbył się poczucia niższości w obliczu tych pewnych siebie, mądrych Niemców.

Udet przedstawił szkice dwóch identycznych statków, które miałyby być złożone na orbicie Ziemi. W każdym z nich poleciałyby cztery do sześciu osób załogi. Opuściłyby orbitę ziemską dzięki modułom NERVA jednorazowego użytku i połączyły się dziobami przed lotem na Marsa. Udet wyświetlił podsumowanie kluczowych danych misji, takich jak ciężar ładunku, czas lotu, koszty badań i tym podobne. – Nasze standardowe badania pozwolą nam wysłać statek na Marsa w listopadzie 1981 roku... – powiedział.

To był ogromny, ambitny scenariusz. „Typowy pomysł von Brauna” – pomyślał Dana.

„Zero wyobraźni, użycie ogromnych środków, ogromne konstrukcje”. Bert Seger otworzył dyskusję. Zespół z Houston, wrogo nastawiony do pomysłu Niemców, wysunął wiele zarzutów. Technologii atomowej daleko było do pełnej sprawności, należało się liczyć z kłopotami przy połączeniach modułów atomowych i z koniecznością badań nad zaawansowanymi technikami chłodzenia. Pytano również o układ zakazujący testowania technologii nuklearnej w atmosferze. Dana miał wrażenie, że wymienione problemy nadal były nierozwiązane.

Seger dał się wygadać oponentom – znacznie przedłużając czas przewidziany na ten punkt konferencji – po czym poprosił o oklaski. Wszystko to umocniło Dane w przekonaniu, że NASA po cichu preferuje rozwiązanie atomowe, a Seger miał się postarać, by wszyscy dobrze to zrozumieli i za bardzo nie szurali.

Druga prezentacja dotyczyła silnika na paliwo chemiczne. Rozwiązanie przygotował Rockwell i miało ono poparcie Houston. Tak się przypadkiem złożyło, że Rockwell był faworyzowanym kandydatem do budowy promu kosmicznego. Dana niebawem się przekonał, że profil chemiczny jest bliski klasycznemu rozwiązaniu Hohmanna, zakładającemu wydatkowanie minimum energii, które naszkicował Jimowi tamtego dnia na tyłach swojego domu w Hampton. Rozwiązanie chemiczne miało swoje plusy. Program rozwojowo-badawczy byłby stosunkowo tani, jako że urządzenia bazowałyby na stopniowym unowocześnianiu technologii Programu Saturn; na przykład ulepszony drugi człon Saturna byłby silnikiem wspomagającym podczas dokonywania poprawek kursowych. Ale obóz atomowy z Marshalla dowodzony przez Udetę i Conliga bez trudu znalazł słabe punkty prezentacji. W porównaniu z NERVA należało wystrzelić na orbitę dwa razy większy ładunek i misja trwałaby dwa razy dłużej. Chemiczna technologia miała swoje ograniczenia. „Ale tylko wtedy, kiedy brak ci krzty wyobraźni, kiedy kurczowo trzymasz się idei bezpośredniego lotu...” – pomyślał Dana.

Wiedział, że większość argumentów podniesionych w dyskusji miała się w NASA od dawna, podczas miesięcy bezpłodnych sporów.

Zamykając drugą prezentację, Seger nie poprosił zebranych o oklaski. Lancz był w formie bufetu. Królowały stek i kurczak. Debata trwała podczas posiłku, a delegaci podkreślali siłę swoich argumentów i słabości drugiej strony, wymachując w powietrzu widelcami z wołowiną lub frytkami, jakby chcieli przebić oponentów. Dana spostrzegł szczupłą, przystojną postać samego Wernhera von Brauna. Rozmawiał z jednym z astronautów. Był nim Jim Muldoon, zdobywca Księżyca; szczupły, prosty jak trzcina, przerzedzone siwiejące blond włosy nosił uporządkowane po wojskowemu.

Niewielu odzywało się do nieznanego bliżej człowieczka z Lan-gley, mającego przedstawić jakąś dziwną tezę. „Lot ze wsparciem grawitacyjnym Wenus?” – myśleli. „Co to, do diabła, ma być?”

To odpowiadało Danie. Wyszedł z lanczu wcześniej i wrócił na swoje miejsce;

zresztą

stek i tak nie bardzo mu smakował.

Uczestnicy konferencji mieli przed sobą jeszcze dwie propozycje przed wystąpieniem Dany; obie ambitniejsze pod względem technicznym niż omawiane wcześniej rozwiązania, chemiczne oraz atomowe. Jak podejrzewał Dana, pewnie umieszczone w programie spotkania tylko dla przyzwoitości, żeby nie pominąć żadnej narzucającej się możliwości przed wyborem rozwiązania zasadniczego.

Człowiek McDonella przedstawił tak zwaną opcję atomowo-elektryczną, wspieraną przez przedstawiciela rządowej Agencji Zaawansowanych Przedsięwzięć Badawczych. Dysze raket miały wyrzucać przyspieszoną elektrodynamicznie plazmę – naładowany elektrycznie gaz. Odrzut raket plazmowych był niewielki, ale trwałby miesiącami i rakiety plazmowe przynajmniej były milowym krokiem w porównaniu z przestarzałą techniką rodem z kart powieści Julesa Verne’a, polegającą na wykorzystaniu pojedynczego impulsu. Technologia była słabo sprawdzona, ale przeszła kilka prób; elektryczna rakiet operowała na dużej wysokości już w 1964 roku.

Pracownik McDonella przedstawił na slajdach wizję załogowego statku atomowo-elektrycznego. Było to coś niesłychanego, jak trójramienny wiatrak. Dwa ramiona – każde długości pięćdziesięciu jardów – zawierały reaktory, trzecie – sekcję mieszkalną. Rakiety umieszczono by w piastach wiatraka, a cała rzecz wirowałaby wokół osi przebiegającej prostopadle przez „piastę”, stwarzając sztuczną grawitację. W oczach Dany wyglądało to jak wielki metalowy płatek śniegu, wirujący w kierunku Marsa. Był to niesamowity i kompletnie niepraktyczny pomysł.

Następny wyskoczył kierownik przedsięwzięcia General Dynamics. Zerwał się z szerokim uśmiechem, błysk jego zębów odbijał się od kalifornijskiej opalenizny. – Muszę wam powiedzieć, że jestem w stanie załatwić facetów od NERVA, nie ruszając nawet palcem – oświadczył ze śmiertelną powagą. – Mogę dostarczyć dwa miliony funtów na Marsa i z powrotem w ciągu zaledwie dwustu pięćdziesięciu dni, w połowę waszego czasu, i zabrać na pokład ni mniej, ni więcej jak dwudziestu gości.

Panowie, oto

Przedsięwzięcie Bum-Bum.

Pomysł był taki, żeby wyrzucać kilotonowe bomby atomowe z rufy statku kosmicznego – trzydzieści na sekundę – i odpalać je tysiąc stóp za statkiem. Chłodzone wodą amortyzatory będą absorbować wstrząsy, a statek zostanie wprowadzony w ruch postępowy.

–Jak odpalenie ogni sztucznych za cynkową puszką. Mam rację? Pomysł wydawał się idiotyczny, ale General Dynamics przeprowadził na początku lat sześćdziesiątych pewne badania wstępne pod nazwą Przedsięwzięcie Orion i mówca przedstawił fotografie modeliku latającego, który wzniósł się w powietrze przy użyciu materiałów wybuchowych. Problemy techniczne dotyczyły głównie wpływu wysokiej temperatury na tylną część rakiety, która powinna odprowadzać nadmiar ciepła między wybuchami. I oczywiście, system miał jedną poważną wadę, powiedział człowiek od General Dynamics, a mianowicie wytwarzanie pyłu radioaktywnego. Ale kiedy w roku 1960 inicjowano badania nad Orionem, nikt się tym nie przejmował. Poza tym uważano, że pozbawionych skrupułów Sowieci również stać na drogę na skrót i

sianie radioaktywnych śmieci w kosmosie, więc trzeba się temu przyjrzeć.

Reprezentant General Dynamics sypał dowcipami i żartobliwymi powiedzonkami.

Kiedy usiadł, dostał największe brawa.

Dana zapadł się w krzesło. „Do diabła, jak ja się przebiję po takim cyrkowym numerze?” – pomyślał.

Dana wszedł na podium, przekładając notatki i rysunki i starając się nie patrzeć na

morze modnych garniturów, które miał przed sobą. Światło punktowca przeszywało go na

wylot. Minęło już wpół do piątej i delegaci rozprężyli się po poprzednim wystąpieniu; głośnie

śmiechy i rozmowy wciąż trwały.

Dana zaczął czytać z notatek.

–Misje na Marsa z lądowaniem na powierzchni planety, trwające od dwunastu do dwudziestu czterech miesięcy, są powiązane z prędkościami powrotnymi Ziemi, sięgającymi do siedemdziesięciu tysięcy stóp na sekundę w czasie cyklu misji. Obiecującym sposobem zredukowania prędkości wejścia w atmosferę ziemską rzędu czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy stóp na sekundę, bez zwiększania masy ogólnej statku kosmicznego, jest przejście przez pole grawitacyjne Wenus, połączone ze zmianą trajektorii lotu. Badania wskazują, że ta technika może być stosowana w przypadku wszystkich profili misji marsjańskich i w jednej trzeciej z nich można zredukować ciąg poniżej minimum przewidywanego w razie bezpośredniego lotu na Marsa...

Słuchacze zareagowali, nastąpiło wyraźne poruszenie. Dana brnął dalej. Czuł pot występujący na czoło, spływający po szyi.

Pośpiesznie omówił ideę wsparcia grawitacyjnego. Starał się podkreślić jej historyczną i intelektualną wagę, wskazując, że jego obliczenia są oparte na pracy innych.

–W NASA wykorzystanie oddziaływania grawitacyjnego Wenus w locie na Marsa rozpoczyna się od prac Hollistera i Sohna, którzy ogłosili niezależne wyniki swoich badań w latach 1963 i 1964. Zostały one dalej rozwinięte przez Sohna i Deerwestera,

którzy przedstawili wyczerpujące rezultaty w postaci graficznej. Ich trajektorie są porównywalne z trajektoriami lotu bezpośredniego opisanymi w Podręczniku lotów planetarnych NASA... Jest to jakby rodzaj międzyplanetarnego bilardu. Statek kosmiczny zbliża się na tyle do danej planety, że jego trajektoria ulega zmianie w wyniku oddziaływania jej pola grawitacyjnego.

Podczas przelotu „odbija się” od niej, czerpiąc energię z jej obrotu wokół Słońca i przyspiesza lot; w zamian rok planety ulega minimalnej zmianie. Praktycznie biorąc, odbicie od studni grawitacyjnej planety to jakby dołożenie do rakiety jeszcze jednego członu bez wykładania dodatkowych kosztów, jeśli tylko nawigacja jest na odpowiednim poziomie. Rozpatrywaliśmy już misje Marinerów z Programu Merkury, które miałyby po drodze Wenus. W przypadku lotu bezpośredniego należałoby na przykład wykorzystać raketę nośną Tytan 3 C; ale wspomaganie grawitacyjne pozwoliłoby na użycie tańszego zespołu startowego Atlasa-Centaura...

–A jakże, ale Marinery skreślono – zawołał ktoś z widowni. – A zresztą nie miały

ludzi na pokładzie!

Rozległ się głośny śmiech.

Dana mówił dalej, ocierając pot z oczu. Powiedział, że podczas wyprawy na Marsa Wenus może przydać się na dwa sposoby. Można zmienić trajektorię statku kosmicznego opuszczającego Ziemię i przyspieszyć jego lot na Marsa lub też można wyhamować statek, kiedy będzie wracał na Ziemię.

–Pierwsze obliczenia wskazują, że do misji trwającej sześćset czterdzieści dni trzeba zgromadzić na orbicie Ziemi masę wynoszącą dwa miliony funtów. – Tyle samo było potrzebne w przypadku rozwiązania atomowego; silniki chemiczne potrzebowały o jedną trzecią więcej czasu. – W ten sposób uzyskuje się charakterystykę misji bliską optymalnej; bez potrzeby wdrażania nowych ambitnych technologii i znacząco redukując koszt badań i wdrożeń w porównaniu z innymi kandydującymi rozwiązaniami...,1 to jest eleganckie rozwiązanie” – pomyślał. „Nie widzicie tego? Nic na siłę, żadnych wielkich atomowych V-2. Tylko sprawdzona technologia, elegancja i dobry gust.

Wystarczy

trochę ruszyć głową, dżentelmeni”.

Konkludując, udowodniono, że rozwiązanie wykorzystujące wsparcie grawitacyjne Wenus generalnie nadaje się do wszystkich lotów na Marsa, zarówno jedno – jak i dwukierunkowych, w tym połączonych z lądowaniem, przynosząc ogromne korzyści.

Dana wycofał się poza oślepiający blask światła. Był odrętwiały, miał lekkie zawroty głowy, nie czuł rąk ani twarzy.

Seger podziękował mu, po czym otworzył dyskusję nad ostatnim rozwiązaniem; sygnalizując zerknięciem na zegarek, że nie powinna trwać zbyt długo. – ...Co z prowadzeniem i nawigacją? Czy zdaje pan sobie sprawę, o czym pan mówi? O rozwiązaniu, zakładającym cztery planetarne spotkania – z Marsem, może dwa razy z Wenus i z Ziemią przy powrocie? I że przy każdym spotkaniu określenie pozycji musi zakładać dokładność do kilkuset mil, po odbyciu podróży przez dziesiątki milionów mil. Jak możemy być pewni tak dokładnej nawigacji? Przecież do tej pory nie udało się nam wykorzystać jednego wsparcia grawitacyjnego na podobną skalę. – Ale się uda – powiedział z naciskiem Dana. – Pamiętajcie, NASA zdecydowała się na rozwiązanie zakładające rendez-vous Apolla na orbicie binarnej, czyli rendez-vous w odległości ćwierć miliona mil od Ziemi, nie przeprowadzając wcześniej ani jednej próby.

–To nie jest sensowny argument – zamruczał ktoś z sali. Padały dalsze pytania. – Co z ograniczeniami takiego rozwiązania? W pobliżu Wenus Słońce operuje cztery razy silniej niż w pobliżu Marsa, tak więc trzeba będzie przeznaczyć masę ładunku na układ chłodzenia, który będzie tylko balastem na Marsie. Pojawiają się problemy z podwyższonym poziomem promieniowania słonecznego...

Dana chciał odpowiedzieć: „Dołączyłem modyfikacje konstrukcyjne do analizy masy statku i...”, ale i tak nie miał szans się przebić przez rosnący hałas. Zebrani prawie się nim nie interesowali.

Podniósł się Hans Udet i zapadła cisza.

„- Na jakiej podstawie oparł pan swoje dane? – spytał kąśliwym tonem. – Znam wstępne analizy skomplikowanego rozwiązania, które pan opisał. Nie wiem nic o szczegółowych analizach, które wykazywałyby oszczędności, na które pan się powołuje.

–Ale nasza wiedza o budowie statków kosmicznych rozwinęła się od pierwszych badań i opierając się na danych, które zebrałem, możemy teraz udowodnić, że... – jękając się, zaczął Dana.

–Te wyniki są nieprawdziwe. – Udet rozejrzał się po słuchaczach. Wysoki, arystokratyczny, pan sytuacji, czarujący nawet w takiej chwili. – To oczywiste. Dane liczbowe, które się nam przedstawia, są oparte na niepotwierdzonych założeniach. Mówca nie wie, co proponuje. W grę wchodzi brak kompetencji lub chęć wyrządzenia

zła sprawie. To bez znaczenia. Nie powinniśmy tracić więcej czasu na ten fałszywy trop. – Usiadł, wyprostowany jak trzcina.

Zgromadzeni zaczęli wiercić się na krzesłach, nieprzyjemnie zażenowani; ktoś roześmiał się nerwowo.

Bert Seger zerwał się na nogi, szybko podziękował Danie i odwrócił do niego plecami.

Dana nie mógł uwierzyć własnym uszom. „Nie wolno rzucać takich oskarżeń” – pomyślał. „Ani na takim forum, ani na żadnym innym. To... niekulturalne”. Jednak miał wrażenie, że to, co się stało, było w jakiś sposób nieuniknione. „Oczywiście – myślał dalej – moje rozwiązanie odrzucono. Ale nie ze względów logicznych, inżynierskich czy naukowych”.

Stało się tak, dlatego że zlekceważył hierarchię, urzędowe kanały przepływu informacji i decyzji.

„Tu naprawdę chodzi o to, kto będzie rządził” – kołatało mu w głowie. „O kierowanie Agencją. Może nawet Udet jest szczery. Może naprawdę jest przekonany, że zmyśliłem te dane, że tylko zależy mi na pozycji Langley”.

Niezgrabnie zebrał swoje prezencjały i zszedł z podium. Zapaliły się lampy i w sali zapadła cisza. Bert Seger zaczął przechadzać się przed podium, patrząc prosto w oczy zebranym, jakby siłując się z nimi wzrokiem. Ręce oparł na biodrach.

–Słyszałem dzisiaj wiele dobrych rzeczy o rozwiązaniu atomowym – powiedział. – I tak szczerze mówiąc, to w porównaniu z tym nie słyszałem niczego, co miałoby chociaż za grosz sensu. – Rozejrzał się po sali. – Teraz muszę powiedzieć, że chyba możemy to zrobić. Że naprawdę możemy przedstawić prezydentowi tę tak zwaną opcję Kennedy’ego”. I chciałbym wiedzieć, czy jest jakiś sukinsyn, który ma coś przeciw rozwiązaniu atomowemu. Odbyły się jeszcze drobne kontredansy. Powstał Wernher von Braun i wygłosił krótkie oświadczenie popierające rozwiązanie atomowe. Potem wstał jeden z prezyderów opcji chemicznej z Houston i szlachetnie przyznał się do porażki z facetami z Marshalla.

Seger zamknął spotkanie.

–Dżentelmeni, chcę wam podziękować za całą pracę, jaką wykonaliście. Wydaje mi się, że znaleźliśmy drogę, którą możemy wspólnie kroczyć i załatwić tę sprawę.

Myślę, że

ustaliliśmy, jak polecimy na Marsa.

I zaczął klaskać, a reszta sali dołączyła do niego, oklaskując samą siebie za swoje osiągnięcie.

Cała sala oprócz Dany. Nie było takiej siły, która by go do tego zmusiła.

Niemcy znów wygrali.

„Seger może ma rację” – myślał. „Może podjęliśmy historyczną decyzję, która za mojego życia doprowadzi człowieka na Marsa. Ale to błąd. Wiem, że to błąd”. Poza tym nadal było możliwe, że to wielkie przedsięwzięcie nigdy nie zostanie podjęte. Może Nixon zdecyduje się budować prom kosmiczny. Albo nie zrobi nic. Zupełnie nic.

Aplauz się przeciągał, aż delegaci zaczęli wiwatować na swoją cześć.

PRZYSZŁOŚĆ NASA

Obecne propozycje nawiązują do poważnych redukcji lub zmian w NASA drogą ostrych cięć w programie załogowych lotów kosmicznych i innych programach Agencji.

Uważam, że pójście za tymi propozycjami byłoby błędem.

1) Tak naprawdę budżet NASA podlega redukcjom tylko dlatego, że NASA funkcjonuje w tych 28% budżetu, które w całości podlegają kontroli rządu. Krótko mówiąc, tniemy go, ponieważ możemy ciąć, nie dlatego że Agencja wykonuje złą lub niepotrzebną robotę.

2) Niezależnie od naszej woli jesteśmy zmuszani do wydawania coraz więcej na programy, które nie oferują prawdziwej nadziei na przyszłość: na opiekę społeczną, spłatę odsetek długu państwowego, opiekę zdrowotną itp. W istocie są to pogromy, których nie wybieraliśmy, mają one tylko na celu naprawienie dawnych pomyłek.

3) Przyszłość NASA i programy proponowane Agencji mają poważne znaczenie.

Szczególnie wartościowe są Programy Skylab i NERVA. Oprócz innych korzyści oferują gospodarce krajowej znaczący dopływ informacji naukowych, równocześnie zapewniając miejsca pracy naukowcom i technikom (których trudno jest zatrudnić gdzie indziej).

Zwiększają także naszą wiedzę o kosmosie. Bardzo trudno będzie powtórnie zebrać zespoły pracujące w ramach NASA, gdyby kiedyś, po poważnych przerwach, zdecydowano się na kontynuację programów długofalowych.

4) W odpowiedzi na nasze naciski NASA na kilka następnych lat podatkowych zredukowała o połowę swój budżet na badania i rozwój.

5) Wyprawa Apolla 14 była pod każdym względem wielkim sukcesem. Co najważniejsze, dała amerykańskiemu narodowi bardzo potrzebny zastrzyk sił duchowych (a całemu światu równie potrzebny dowód amerykańskiego przywództwa). Ogłoszenie teraz, że likwidujemy lub poważnie ograniczamy program amerykańskich załogowych lotów kosmicznych, miałoby bardzo negatywny wydźwięk. W pewnej mierze potwierdziłoby przekonanie, które, jak się obawiam, zyskuje poklask w ojczyźnie i za granicą, że najlepsze lata mamy za sobą, że skupiamy się wyłącznie na problemach wewnętrznych, redukujemy nasze zobowiązania obronne i samorzutnie rezygnujemy ze statusu supermocarstwa i pragnienia utrzymania prymatu w świecie.

Amerykę powinno być stać na coś więcej, niż tylko zwiększanie zasiłków dla

bezrobotnych...

ręczny dopisek: zgadzam się z Capem. RMN

Caspar W. Weinberger, zastępca dyrektora Biura Zarządzania i Budżetu, notatka służbowa do prezydenta z 27 sierpnia 1971 roku. Biały Dom, Richard M. Nixon, prezydent,

akta z lat 1968-1971, Kolekcja Historycznych Dokumentów NASA, Kwatera Główna

NASA,

Waszyngton, DC

Środa, 1 grudnia 1971 roku JPL*[Przyp tłum Jet Propulsion Laboratory.],

Laboratorium

Napędu Odrzutowego, Pasadena

Ben Priest przejechał Glendale i skręcił na północ w Linda Vista, mijając Rosę Bowl.

Wynajęty samochód był to wiekowy dodge z zepsutym ogrzewaniem. Był chłodny grudniowy dzień i York na przemian trzęsła się z zimna i dygotała z gorąca. – To jakoś daleko od Pasadeny – zauważyła. Uśmiechnął się szeroko. – No. Hm, dawniej badali tam silniki rakietowe. Wszyscy myśleli, że to niebezpieczne, więc zbudowali ośrodek kawał poza miastem, w tym wąwozie. A potem urządzili wokół niego wielkie, drogie osiedle.

York zobaczyła budynki biurowe wypełniające wąwóz, niektóre z nich to były ponure klocki, ale widziała również imponujące wieżowce ze szkła i stali. Już ćwierć mili przed JPL pobocza były zastawione autami, a mini-busy telewizji prawie zablokowały ulicę przed ośrodkiem prasowym. Strażnik przy wjeździe przepuścił ich na parking. Większość miejsc była już zajęta.

Szybko weszli do środka; robiło się coraz chłodniej. Priest przeprowadził ją korytarzami zaśmieconymi kartami komputerowymi i wydrukami. Na ścianach wisiały marnie oprawione zbliżenia powierzchni Księżyca. JPL sprawiało wrażenie dziwnego połączenia biura i uczelni, z tym wyjątkiem, że pracownicy byli tu młodsi niż gdzie indziej – i żaden nie miał garnituru ani krawata – natomiast każdy miał długie włosy rozwiane nad żółtymi znaczkami z uśmiechniętą twarzą. Niektóre z kobiet nosiły nawet kuse szorty.

Równocześnie nieobecny był duch ślamazarnego zaniedbania, typowy dla college'u, a za dużo pośpiechu i energii. Czuło się, że tu dzieją się naprawdę ważne rzeczy. York zauważyła głośno, że parking jest przepelniony. – Powinnaś być tu przed tygodniem – powiedział Priest – kiedy zaczęły przychodzić pierwsze zdjęcia z Marsa. Nie można było się przepchać między facetami z prasy, VIP-ami, politykami i pisarzami science fiction, całym tym tłumem mniej i bardziej ważnych ludzi, którym udało się załatwić przepustki. – Roześmiał się. – Szkoda, że nie widziałaś, jakie mieli miny, kiedy się okazało, że dostaliśmy jedynie zdjęcia burzy piaskowej. Dziwnie się czuła, spotykając znowu Priesta. „Witaj, wczorajszy dniu” – pomyślała.

Nie widziała go ponad rok i była zaskoczona, kiedy się odezwał, przypominając

dawną obietnicę, że przywiezie ją tu, żeby zobaczyła przychodzące wyniki z Marsa. Chyba się nie zmienił; pozostał szczupły, oddany pracy, swobodny, inteligentny. Dobry kumpel. Przystępny. Żonaty.

Poczuła dziwny niepokój.

Nie dało się ukryć, że sama w gruncie rzeczy na razie płynęła z prądem wydarzeń. Zrobiła doktorat i wykonywała to tu, to tam prace zleczone. Rozglądała się za punktem zaczepienia, za ważnym tematem, starając się dojść, co chce zrobić z własnym życiem.

Nadal utrzymywała ten chaotyczny związek z Mikiem Conligiem. Mike był tak pogrążony w pracy w NERVA, że ledwo ją dostrzegał, kiedy w ogóle potrafiła go zmusić, żeby poświęcił jej odrobinę czasu. NERVA było ośrodkiem życia Mike'a; pod warstwą łagodności i intelektu, York zaczęła dostrzegać obsesyjnego monomaniaka. Odnosiła wrażenie, że program kosmiczny jest pełen podobnych ludzi. Zasadnicze pytanie, które sobie stawiała, brzmiało: Czy naprawdę chcę odgrywać trzeciorzędą rolę w życiu kogoś innego, mającego własne cele? Dotarli do centrum łączności. Na ścianach wisiały ekrany telewizyjne; wszystkie wypełnione ziarnistymi, niezrozumiałymi czarno-białymi wizerunkami. Stoły były zavalone zdjęciami, a wstęgi wydruków kom-nuterowych ciągnęły się po blatach, podłodze i wzdłuż ścian. Pracujący tu ludzie – przeważnie mężczyźni, przeważnie w koszulach z krótkimi rękawami, wszyscy z włosami do ramion – pochylali się nad zdjęciami i wydrukami. Identyfikatory zwisały im z kieszonek koszul. Wszędzie na stołach stały kubki z wystygłą kawą, niektóre blisko cennych wydruków, a w jednym kącie dostrzegła nadgryzionego pączka. Nadzienie spływało ze środka.

Unosił się słaby, ale wyraźny, zapach potu, niedomytych ciał.

Priest wzruszył ramionami. Miał trochę zakłopotaną minę. – Tu prawie zawsze tak jest, Natalie. Taki niegroźny chaos. To serce ośrodka operacji lotów kosmicznych. Wyniki z Marinera spływają przez cały czas; faceci pracują zmianowe i musisz się orientować; wyniki z jednej orbity mogą wpływać na odczyt z drugiej.

Nie ma za dużo czasu na sprzątanie.

–Nie musisz przeproszać. Żebyś widział przeciętne stanowisko geologiczne po kilku dniach...

W kącie pomieszczenia zwiisał model samego Marinera 9. Miał kilka stóp rozpiętości.

Zwolniła, zatrzymując na nim wzrok. Z centralnego ośmiobocznego pudełka wyrastały żagle, cztery srebrzyste panele, pobierające energię słoneczną. Na pudełku zamontowano silnik raketowy ze zbiornikami paliwa, a pod spodem skupisko instrumentów pomiarowych. York dostrzegła malutkie soczewki kamer

telewizyjnych połyskujących w świetle jarzeniówek.

Statek miał stosunkowo prostą budowę w porównaniu z ciężkim ładownikami typu Viking, nad którymi już pracowano, szykując je do startu w 1975 roku. Niemniej jednak Mariner 9 był ładny niczym jubilerskie cacko.

York uporczywie nie wierzyła zapewnieniom o naukowej wartości lotów kosmicznych. Jako dziecko była zaintrygowana, nawet zachwycona zdjęciami z Marinera 4.

Ale tamten zachwyt opadł i nie śledziła uważnie postępu, który przyniosły późniejsze sondy.

Niemniej jednak ten piękny klejnot złożyły ludzkie ręce, które niczym nie różniły się od jej rąk, i wystrzelono go w przestrzeń międzyplanetarną, żeby okrążył samego Marsa; był pierwszym dziełem człowieka, które znalazło się na orbicie innej planety. To było nie byle co.

Priest mówił o burzy piaskowej.

–Zakryła całą cholerną planetę, Natalie. Kiedy przylecieliśmy, nie widzieliśmy nic.

Zrobiono trochę pomiarów brzegu tarczy i okazało się, że pył wzbija się na wysokość pięćdziesięciu mil. Nieprawdopodobne, co? Ale to prawda. W każdym razie burza wyświadczyła nam jedną przysługę.

–Jaką?

–Żeby było śmieszniej, nagle wszyscy się strasznie zapalili, aby obejrzeć księżycę.

Słuchaj, może masz ochotę na kawę? Albo na pączka?

–Nie, dzięki, Ben.

Przeprowadził ją dalszymi korytarzami do mniejszego laboratorium. Tam inni pracownicy w koszulach z krótkimi rękawami siedzieli przy komputerach. – Obróbka obrazu – powiedział Priest. Zabrał ją do wolnego monitora i usiadł na chybotliwych składanych krzesłach. Zaczął wystukiwać na klawiaturze. – Pierwszy niezły obraz Fobosa dostali za trzydziestym pierwszym okrążeniem, dopiero zeszłej nocy. Zostałem aż do rana, patrzyłem, jak obrabiają dane... – Na ekranie zaczął powstawać obraz, linia po linii, od góry do dołu. – Mariner zapisuje zdjęcie na taśmie magnetycznej i jakby faksuje je na Ziemię. Tak właśnie wczoraj w nocy zespół zobaczył to zdjęcie. Uśmiechnęła się.

–Co to ma być, Ben? Czemu nie pokażesz mi gotowego zdjęcia? Kolejna cyrkowa

sztuczka NASA?

Uniósł brwi.

–Jesteś za bardzo cyniczna. A może tylko mi się tak zdaje. Impulsywnie pogładziła go po ręce.

–Przepraszam, Ben. – Skórę miał ciepłą i delikatną. Uśmiechnął się do niej łagodnie.

Nie wiedzieć czemu strasznie ciągnęło ją dziś do niego. Jego inteligencja i entuzjizm

do tego cudownego programu robiły na niej wrażenie. „Do diabła – zgromiła się w myślach –

niech ci się nic nie roi”.

Skupiła się na zdjęciach.

Góra była pusta, jednak w końcu dostrzegła jakiś szczegół, sza-ro-niebieską krzywiznę budowaną linia po linii. Początkowo York wydawało się, że to fragment sfery, ale niebawem ta „sfera” okazała się zbyt nieregularna. Fobos okazał się nierówną, w połowie zacienioną elipsą o zniszczonym, nieregularnym brzegu. Tak York kiedyś wyobrażała sobie asteroidy, nie księżyce. Wszędzie były kratery, wielkie i stare, niektóre tak głębokie, że uderzenia, które przyczyniły się do ich powstania, zapewne mało nie roztrzaskały małego księżyca na połowę. Natalie, tak mniej więcej widziałabyś tarczę Fobosa, gdybyś w tej chwili stała na Marsie. Ma rozmiary połowy Księżyca. – Fobos przypominał gnijącego ziemniaka. Szarości i cienie odbijały się w oczach Priesta wpatrzonego w zdjęcie. – Oto historia, Natalie. Pomyśl o tym; moje oczy jedne z pierwszych ujrzały Fobosa i Daimosa, księżyce Marsa. Chciałem się tym z tobą podzielić, żebyś zobaczyła to tak, jak ja. Znow tak się wzruszyła, że chciała go pogłaskać, ale się opanowała.

–Pokaż mi Marsa, Ben.

–Pewnie.

Po kilku chwilach Priest uzyskał zdjęcia powierzchni samej planety. Ale tam

nadal

szalała burza piaskowa. Poza biegunami tylko jeden obszar był częściowo widoczny

–

Tharsis, pobliz marsjańskie-go równika. Zdjęcia pokazywały cztery ciemnie, nieregularne plamy, mające kształt niby-okręgów. Trzy układały się w linię, biegnącą pod kątem do równika, czwarta była trochę na zachód od pozostałych. – Gdzie to, do diabła, może być? – spytała.

–Kto wie? Mam nadzieję, że dowiemy się, kiedy burza opadnie. Pracownicy laboratorium mówią na nie „znaki Carla”. Wiesz, od Sagana*[Ptzyp tłum amerykański astronom, publicysta, pisarz science fiction (1934-1996).]... Te kształty intrygowały ją z czymś się jej kojarzyły. Gdyby tylko mogła ujrzeć je trochę wyraźniej...

–Mówisz, że region nazywa się Tharsis. Coś o nim wiemy?

–Tak się składa, że tak. Jesteś geologiem, Natalie. Sama powinnaś wiedzieć.

–Ty mi powiedz, dupku.

–W połowie lat sześćdziesiątych przeprowadzono badania radarowe Marsa.

Wygląda na to, że ten region – który jest najjaśniejszą plamą widzianą z Ziemi – to najwyższy

plaskowyż planety.

–Naprawdę? Jak wysoki?

Wzruszył ramionami.

–Dziesięć albo dwadzieścia mil powyżej poziomu odniesienia planety. Nie mamy pewności. Rozumiesz, mówi się „poziom odniesienia”, bo na Marsie nie ma wód, więc nie można porównywać do poziomu morza...

–Musisz postarać się o lepszą rozdzielczość. To jedyne widoczne miejsce na tej planecie, na miłość boską. Ktoś znów musiał poprzestawiać kamery. Priest wziął się do wystukiwania na klawiaturze. Znalazł parę zdjęć, na których York dostrzegła więcej szczegółów. Wpatrywała się w ekran, przyciskając nos do szkła. – Chcesz mi powiedzieć, że to elementy ciała stałego? Że to nie... trąby powietrzne czy coś w tym stylu?

–Skądże. Są tam parę tygodni, odkąd Mariner dotarł do Marsa. Nie ma wątpliwości, że widzimy jakieś elementy terenu.

Dostrzegała okrągłe ślady wewnątrz każdej plamy. I jakiś rodzaj wyżłobienia. „To wygląda prawie jak wulkaniczne kratery” – pomyślała. „Jak kaldery”. Ale czemu z całego Marsa widać było akurat to?

„Bo są na Tharsis” – wytłumaczyła sama sobie. „A Tharsis jest najwyższym regionem na Marsie”.

Ale czemu właśnie one?

„Bo są najwyższe na Tharsis – myślała dalej – a w takim razie na całej planecie...”

–Mój Boże – szepnęła.

–Natalie? Co to jest?

York nie mogła uwierzyć własnym oczom. Kazała Priestowi otwierać zdjęcie po zdjęciu.

W końcu zdała sobie sprawę, że tajemnica marsjańskiej geologii oderwała jej myśli od Bena.

Sobota, 11 grudnia 1971 roku Kwatera główna NASA, Waszyngton, DC

Kiedy Fred Michaels się rozłączył, Tim Josephson siedział dalej w swoim gabinecie

ze szklanką whisky w ręce.

Podjęto decyzję.

Powinien czuć triumf. Uniesienie.

Na Boga, dostaliśmy to, na czym nam zależało” – myślał. „Kolejny wielki program, służący topieniu w błocie pieniędzy podatników, program, którym powinien zapewnić odpowiednie wynagrodzenie pracownikom NASA na co najmniej dziesięć lat”. Ale tak po prawdzie był zbyt zmęczony i wyżęty, żeby się cieszyć. Pokój pływał mu przed oczami. Josephson był przykuty do biurka i telefonu przez cały dzień, wspierając machinacje Freda Michael-sa. I wciąż było sto jeden spraw do załatwienia. Ale powiedział sobie, że nie ma wśród nich żadnej, która nie mogłaby poczekać do jutra. Tak więc zrzucił buty, oparł nogi na biurku i zaczął dyktować do kieszonkowego magnetofonu.

Ostatnie kilka miesięcy, podczas których działał jako bliski współpracownik Freda Michael-sa, dało mu zaskakujący wgląd w mechanizm podejmowania decyzji na najwyższym szczeblu, na którym w grę wchodził prestiż państwa, dziesiątki miliardów dolarów wydatków rozłożonych na wiele lat, setki znaczących karier w

polityce, przemyśle i armii. Któregoś dnia napisze o tym książkę. Może będzie się nazywać: Zarządzanie w epoce kosmosu. Decyzja o przyszłości Ameryki w przestrzeni kosmicznej okazała się niezwykle bolesna.

Josephson od początku zdawał sobie sprawę, że Nixon chciał wydać najmniej pieniędzy, jak to możliwe.

Prawda wyglądała tak, że Nixon – wbrew temu, jak sprzedawał się publicznie – wniósł do Białego Domu niesłychanie rozdęty program wydatków na cele wewnętrzne. Tymczasem kraj był uwikłany w wojnę, mającą niszczące oddziaływanie na gospodarkę i morale narodu.

W tej sytuacji Nixon musiał wygospodarować pieniądze na ogromne programy socjalne, na zamrożenie płac i cen.

Program kosmiczny był jednym z działów budżetu, z którego te pieniądze mogły pochodzić. Ale program kosmiczny miał silne lobby.

Tak więc niebawem po objęciu urzędu, Nixon pozwolił Kongresowi na reorganizację komisji do spraw przestrzeni kosmicznej, tak że teraz program kosmiczny podlegał Podkomisji Senatu ds. Handlu i Podkomisji Kongresu ds. Nauki i Technologii. Utraciwszy swoje znakomite dojścia w Kongresie, NASA była zagrożona kastracją, utratą statusu agencji bohatera i miała stać się jedną z wielu agend na garnuszku państwa, walczących o większą porcję kleiku.

Dla większości ludzi zaangażowanych w program kosmiczny, nawet pracowników NASA, te zmiany były prawie niewidoczne; ale dla ludzi tak zorientowanych jak Josephson – i Michaels – były one dramatyczne; wskazywały niedwuznacznie, że Nixon jest naprawdę gotów obniżyć status działań w kosmosie.

Jednakże w tym momencie Biały Dom zderzył się z przemysłem lotniczo-kosmicznym.

Ten kulał, jak zawsze, a postęp techniczny, wbrew pozorom, tylko pogłębiał kryzys.

Nowych rozwiązań albo w ogóle nie wdrażano, albo używano ich na krótką metę, zgodnie z zasadą: jeśli działa, to musi być przestarzałe. Firmy produkujące na potrzeby lotnictwa i kosmo-nautyki musiały zastawiać cały swój majątek, żeby dostać pożyczkę w banku na realizację kontraktu.

Ale, oczywiście, rząd potrzebował silnego przemysłu lotniczo-kosmicznego. Tak więc należało znaleźć sposób, żeby go wykarmić w latach chudych, zrównoważyć dochody i subsydiować badania. Cywilny program kosmiczny nadawał się idealnie do tego celu. Zawsze się nadawał.

Tak więc od początku 1971 roku Fred Michaels zaczął szerzyć pogłoski, że przemysł lotniczo-kosmiczny może nie przetrwać kolejnego roku ograniczeń wydatków na podbój kosmosu; szczególnie sączył je do uszu kongresmanów z takich stanów jak Kalifornia, Teksas i Floryda, gdzie kondycja przemysłu lotniczo-kosmicznego była jednym z ważnych czynników stanowiących o decyzjach ludzi stojących w kolejce przed lokalami wyborczymi.

Michaels po cichu zachęcał również wykonawców programów badawczych, żeby przedstawiali wzrost zatrudnienia zależnie od opcji programowych. Wszystko to miało na celu utrzymywanie presji na Biały Dom. „Rok 1972 to rok wyborów” – myślano w Waszyngtonie. „Jest nam potrzebny taki program kosmiczny, żeby ci faceci w przemyśle lotniczo-kosmicznym mieli robotę... Tylko jaki ten program powinien być?”. Josephson doznał lekkiego wstrząsu, widząc, jak szybko aspekty naukowe i badawcze lotów kosmicznych poszły w ką, kiedy przystąpiono do ustalania nowego programu. Żadnemu decydentowi w administracji państwowej nie

zależało na lotach na Marsa czy gdzie indziej, i na żadnych tam wynikach naukowych. I nie było nikogo – zauważył z jeszcze większym zaskoczeniem Josephson – kto brałby pod uwagę korzyści pozanaukowe programu kosmicznego. W gruncie rzeczy, jeśli interesują cię korzyści pozanaukowe, po co w ogóle wydawać pieniądze na kosmos? Czemu nie skierować tej całej forsy gdzie indziej i nie wykorzystać sławnych umiejętności zarządzania NASA na inne, bardziej wartościowe programy?

To były niełatwe pytania. Tak więc Michaels najprościej w świecie ich unikał.

Na zewnątrz trąbił na lewo i prawo, że pogram kosmiczny to niesłychana przygoda

–

coś, na co taki naród jak amerykański powinno być stać, do cholery. Ściągano astronautów z heroicznego okresu, w tym Johna Muldoona, żeby służyli za żywe pomniki pocziwych, dobrych – minionych! – czasów. Po umiejętnym przygotowaniu artyleryjskim w mediach Program Mars stanął pewniej na nogach. Zadziałał efekt lawinowy i niektórzy kongresmani w końcu wydawali się skłonni poprzeć ideę lotów kosmicznych. Również badania opinii publicznej wykazywały powolny spadek liczby przeciwników Programu Mars.

Ale nadal uważano, że budżet NASA jest stanowczo zbyt rozdęty. W lipcu członek Kongresu dwukrotnie zgłaszali wniosek o całkowite skreślenie lotów załogowych z budżetu na rok podatkowy 1972.

To była ciężka chwila w historii NASA i ostre targi nadal trwały.

Pytanie brzmiało: co możemy odpuścić?

W pewnej chwili Josephson uwierzył, że Nixon jest już gotów zaaprobować program budowy promu kosmicznego – jeden jedyny punkt ze wszystkich zaprezentowanych przez Grupę Roboczą. Budowa promu kosmicznego przynajmniej wiązała się z redukcją kosztów i była faworytem lobby przemysłu lotniczo-kosmicznego z racji Wszystkich nowych rozwiązań, które się z nią wiązały.

Ale sprawa promu szybko ugrzęzła na mieliźnie. Dla Josephsona było oczywiste, że finalny pomysł budowy taniego promu kosmicznego, to kulawy kompromis, posklejany przez komitet, żeby zaspokoić sprzeczne interesy. A Michaels miał na tyle czelności, że bez żenady zaprzął swojego poprzednika, Paine'a – wielkiego zwolennika Programu Mars, którego Michaels zastąpił we wrześniu – by wykazał, iż Program Prom Kosmiczny ma silne zabarwienie militarne; to nie przypadek, że niska stumilowa orbita będąca szczytem możliwości promu i jego szeroki zasięg idealnie odpowiadały zadaniom lotnictwa wojskowego.

Prom bazował na piękniutkiej technologii, której jedyną zaletą były niskoorbitalne misje rekonesansowe. W epoce mody na detente, militarny posmak Programu Prom Kosmiczny był nie do strawienia. A poza tym Kennedy i inni nie przestali przypominać szerokiemu ogółowi, że nie ma w tym cienia heroizmu. Tak więc Josephson przyglądał się bez żalu, jak Program Prom Kosmiczny gaśnie cichą śmiercią i znika z wypowiedzi Nixona. Wyglądało na to, że następnym pokoleniem raket startowych misji załogowych będą ulepszone Saturny. Wyglądało też na to, iż nie dojdzie do budowy nowych modułów stacji kosmicznych, jak proponowała Grupa Robocza, jedynie powstanie ulepszona seria warsztatów kosmicznych, Skylabów, przerabianych ze zbiorników paliwowych Saturnów. Inżynierowie w NASA robili z tego powodu straszliwy raban, zwłaszcza Mueller i jego lobby popierające stacje kosmiczne. Ale te wszystkie założenia sprowadzały koszty programu do rozmiarów, które Biały Dom był w stanie zaakceptować.

Oczywiście, zapowiadało się, że ostatecznie zatwierdzona wersja będzie połączona z jakąś wymianą. Do tej pory Rockwell był niezagrożonym faworytem budowy promów kosmicznych. Teraz wyglądało na to, że to wielki rywal Rockwella, Boeing, dostanie największy kawałek tortu, zamówienie na nową raketę nośną, ponieważ Boeing, wytwórca ogromnego pierwszego członu Saturna, S-IC, miałby zapewne stać się głównym wykonawcą nowego, zaawansowanego Programu Saturn. Boeing miał całą masę pomysłów, jak obniżyć koszty całego Saturna 5, na przykład dodając przyczepialne rakiety wielokrotnego użytku i nawet czyniąc z samego S-IC urządzenie do kilkakrotnego wykorzystania, poprzez dodanie skrzydeł, spadochronów, balonów wypełnionych wodorem, dryfkotew, paralotni i układów wirujących spadochronów.

Tak więc ku ogólnemu zaskoczeniu wyglądało na to, że Rockwell wytwórca Apollo – zostanie wykołegowany niemal ze wszystkich nowych zamówień. Na otarcie łez zaproponowano mu kontynuację programu, którego celem była przeróbka S-2, napędzanego wodorem drugiego członu Saturna, potężnego silnika do zmiany orbity w przestrzeni międzyplanetarnej. Ale to, oczywiście, było zadanie NERVA, tak więc mówiąc dokładnie, Program S-2 był kwiatkiem do kożucha, jeszcze zanim został wdrożony i już podnoszono wątpliwości co do jego zasadności i opłacalności. „Niemniej jednak – myślał ponuro Josephson – Rockwell może liczyć na zlecenie na jakieś elementy, rekompensujące utracone zamówienie. Już jest niemal stuprocentowym faworytem do realizacji nowego, dopiero wdrażanego programu, który wyklucze się z podjętej dzisiejszej decyzji, chociaż oficjalnie nikt go jeszcze nie zapowiedział...”. Tymczasem wojsko zostało przekupione, tak to sobie tłumaczył Josephson, obietnicą nowych, długo pracujących Skylabów, co oznaczało powrót do dawnej idei orbitalnych stacji załogowych.

Tak więc nowy program kosmiczny zapowiadał się jako element równoważący różne siły, kompromis między wojującymi frakcjami, prowadzącymi lobbying w Białym Domu i Kongresie. Jak zawsze.

Ale sprawa nie została by zapięta, gdyby Michaels nie pociągał za sznurki, nie upominał się o realizację zobowiązań, nie wykorzystywał sieci politycznych więzi, którą utkał przez lata. Mniej zręczny dyrektor Agencji – na przykład Thomas Paine – nawet nie miałby co marzyć o takich wynikach. A jednak mimo wszystko Josephson wiedział, że robota, którą odwalił Michaels, to dopiero początek. Do tej pory pracował nad pozyskaniem wstępnego zaangażowania w nowy program; prawdziwym wyzwaniem będzie przedłużenie tego zaangażowania na długą, najeżoną kłopotami przyszłość. Fred Michaels znał Nixona z dawnych czasów, epoki sputnika, kiedy obecny prezydent był zastępcą Eisenhowera. Michaels był przekonany, że Nixon to człowiek, który od samego początku zdał sobie sprawę ze znaczenia epoki kosmicznej. „Tak naprawdę wyniki polityczne są ważniejsze niż naukowe”, powiedział kiedyś Michaels Josephsonowi i ten powtórzył to teraz do magnetofonu. „Prawdziwy motyw, który stoi za badaniem kosmosu, to prestiż. Nixon to rozumie. Jest ulepiony z właściwej gliny. Mówię ci, Tim, wcale nie jestem zaskoczony przebiegiem wypadków. Wystarczyło tylko użyć właściwego argumentu...” „Może” – pomyślał Josephson. „Ale Nixon był też pragmatykiem, człowiekiem bardzo inteligentnym, który lokował program kosmiczny bardzo nisko na liście swoich priorytetów”.

Mógł zdecydować o całkowitym jego zamknięciu.

A jednak, a jednak...

A jednak był poczciwy Jack Kennedy, przemawiający ze swojego gabinetu w Nowej Anglii, spokojnie tłumaczący Amerykanom, że są lepsi niż ich pesymistyczna wizja nich samych; że mimo wszystko udało się im wysłać człowieka na Księżyc i że cały świat to oglądał; że nie powinni się teraz zatrzymywać, ale powinni przeć dalej, nieustannie stawiając sobie nowe cele w świetle tego błyskotliwego marzenia, jakim jest podróż kosmiczna, marzenia, którego żywym wcieleniem stał się on sam, Kennedy... Dzisiaj w końcu doszło do ziszczenia tego marzenia. Michaels poprosił o spotkanie z Agronskim, innymi doradcami prezydenta i przedstawicielami Biura Zarządzania i Budżetu.

Michaels opowiedział Josephsonowi, że Agronski otworzył spotkanie bez żadnych wstępów.

–Dostaniesz ten swój bezsensowny program kosmiczny, Fred. Wbrew wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi.

–Prezydent akceptuje program.

–Tak. – Agronski przerzucił papiery. – Jest jeszcze do podjęcia kilka decyzji odnośnie rozmiaru i kosztów...

Michaels odchrząknął.

–Co nim pokierowało?

–Dobrych parę czynników. Rzecz w tym, że nie stać nas na całkowite skreślenie programu załogowych lotów kosmicznych, bo to pogrzebałoby nasz prestiż w kraju i zagranicą. Raz. – W jego głosie przebijał żal. – Jesteśmy na ciebie skazani, Fred. Misja na Marsa, to jedyna nasza opcja, która jednocześnie ma odpowiednią rangę i której budżet jest do przełknięcia. Dwa. Tylko dlatego myśleliśmy o cięciach w NASA, bo mogliśmy sobie na nie pozwolić. Trzy. Rezygnacja z programu oznaczałaby ruinę przemysłu lotniczo-kosmicznego.

Cztery...

Michaels zrozumiał i Josephson też nie był zaskoczony. Lobbying Kennedy'ego i machinacje Michaela w wystarczającym stopniu zmieniły nastawienie opinii publicznej. A rok 1972 to rok wyborów; kolejki bezrobotnych po zasiłek w stanach wydatnie zależnych od przemysłu lotniczo-kosmicznego – Kalifornii, Teksasie i Florydzie nie stwarzały atmosfery przyjaznej Nixonowi.

„Ale mieliśmy cholerne szczęście, że znaleźliśmy sprzymierzeńca w Capie Weinbergerze” – pomyślał Josephson. „Bez lobbyingu Capa w rządzie program kosmiczny poszedłby do piachu”.

Uczestnicy spotkania zaczęli wyklócać się o szczegóły, każdy inaczej interpretował

słowa prezydenta. Ale klamka zapadła.

„Lecimy na Marsa!” – pomyślał Josephson.

Poprzez znużenie poczuł, jak rośnie w nim głęboka satysfakcja, niczym uczucie przyjemnej sytości po świetnym obiedzie, koniaku i cygarach.

„Prawdę mówiąc, wypadki nie ułożyły się pomyślnie dla Nixona”

–rozważał dalej Josephson. A myślał naprawdę rozsądnie; chciał niewygórowanego finansowo programu mającego więcej niż jeden cel, programu, który stworzyłby solidne fundamenty na przyszłość. Ale wyglądało na to, że będzie to kolejne widowisko z wciąganiem flagi na maszt i ujęciami amerykańskich bohaterów. I to Jack Kennedy a może Ted, wykorzystujący zasługi jednego skrytobójczo zamordowanego i drugiego okaleczonego brata, zmierzający teraz sam do Białego Domu – zdobędzie uznanie kosztem Nixona. Ale to wszystko było nieważne, bo oto w wyniku ścierania się różnych społecznych, politycznych, gospodarczych i technologicznych przesłanek, którymi żonglowali ludzie tacy jak Michaels, Nixon i Kennedy, wyłoniła się decyzja. I chociaż może była na wyrost i przypadkowa, to mimo wszystko dzięki niej Amerykanie mieli polecieć na Marsa. Sprzątaczką zapukała i weszła do pokoju, ciągnąc ciężki odkurzacz. Josephson wyłączył magnetofon. Millie Jack uśmiechnęła się szeroko. Przywykła oglądać szefa w biurze o późnej porze.

–Słyszałam, że lecimy na Marsa, doktorze Josephson?

–Na to wygląda, Millie.

–Rety! – powiedziała Millie i pokręciła głową z głęboką niewiarą. Ale też kręciła głową na wszystko, co NASA dokonała od 1966 roku; Josephson czasem zastanawiał się, czy faktycznie wierzy, że człowiek wylądował na Księżycu, czy też było to w jej oczach jakimś szachrajstwem.

„To by Millie dopiero kręciła głową, gdybyśmy w załodze na Marsa umieścili kilku Murzynów, a może nawet kobietę” – pomyślał Josephson. „Oczywiście, to razie mrzonki, ale może i to się zmieni. Może kiedy w 1982 roku polecimy na Marsa, świat będzie już inny”.

Środa, 5 stycznia 1972 roku

li

„...Podjąłem dzisiaj decyzję, że Stany Zjednoczone powinny natychmiast przystąpić do rozwoju układów i technologii, których zadaniem jest zanieść amerykańskich astronautów na Marsa. Jądrym tego programu będzie nowa generacja rakiet, wykorzystujących paliwo atomowe, która zrewolucjonizuje długodystansowe loty międzyplanetarne, a równocześnie sprawi, że niebawem staną się one czymś zwyczajnym. Rok 1971 był rokiem zamykającym obecną serię lotów załogowych na Księżyc. Podczas trzech udanych wypraw wiele osiągnięto – mamy prawo

powiedzieć z dumą, że naukowe wyniki trzeciej misji znacznie przebiły rezultaty wszystkich wcześniejszych lotów, czy to na orbitę okołozemską, czy na Księżyc. Lecz dotarliśmy również do miejsca, w którym musimy podjąć ważną decyzję – ocenić, gdzie są nasze kosmiczne horyzonty, gdzie powinniśmy się dalej udać, gdy misja Programu Apollo dobiegła końca. Na arenie naukowej minioną dekadę doświadczeń nauczyła nas, że statek kosmiczny jest niezastąpionym narzędziem służącym poznaniu granicy naszego świata i przestrzeni kosmicznej, a także Księżycu i planet, nie mówiąc o tym, że jest ważną pomocą w badaniach Słońca i innych gwiazd. Wykorzystując z powodzeniem przestrzeń kosmiczną, realizowaliśmy nasze potrzeby na Ziemi, dostrzegając niebywały potencjał satelitów w łączności międzynarodowej, globalnej meteorologii i monitorowaniu zasobów naturalnych całej Ziemi.

Jednakże wszystkie te możliwości i inne niezliczone zadania mające bezpośredni i dramatyczny wpływ na polepszenie ludzkiej kondycji nie byłyby zrealizowane, gdybyśmy nie szli za marzeniem, które zaprowadziło nas tak daleko i tak szybko; chodzi mi o marzenie, którego celem jest poznanie nieznanego, budowa nowej Ameryki i ekspansja w przestrzeń kosmiczną, pionierska wyprawa na najwspanialszą skalę. Podejmując dzisiejszą decyzję, byłem świadom, że naszym obowiązkiem jest nadal kroczyć za tym marzeniem i realizować je ze wszystkich sił.

NASA i wiele przedsiębiorstw przemysłu lotniczo-kosmicznego przeprowadziła głębokie badania nad kształtem wypraw na Marsa. Kongres dokonał przeglądu i aprobaty tych prac. Jesteśmy obecnie wystarczająco przygotowani, żeby ufając w pełni własnym siłom, rozpocząć nowy etap rozwoju. Mając na względzie jak największą minimalizację ryzyka technicznego i ekonomicznego, Agencja Przestrzeni Kosmicznej będzie z całą ostrożnością kontynuować ewolucyjne działania w ramach nowego programu. Ale nawet utrzymując taką postawę, możemy zbudować do końca tej dekady pierwsze stopnie rakiet załogowych przeznaczonych do wyprawy na Marsa, przeprowadzić próbne loty i niebawem uzyskać stan gotowości do lotu. Lecz nie będziemy ustalać arbitralnych, ostatecznych terminów, do czego nawołują nas niektórzy; podejmiemy decyzję zgodną z tempem naszego programu, kiedy czas dojrzeje i uzyskane doświadczenie na to pozwoli. Mając na względzie wydajność techniczną, zdecydowałem się obecnie zaniechać dalszych badań nad promem kosmicznym wielokrotnego użytku, mimo bowiem wyraźnych korzyści ekonomicznych, jakie daje takie urządzenie, nie jestem przekonany, że nasza technika już dojrzała w tym względzie, iż jesteśmy gotowi rozwiązywać poważne problemy, które stawiałoby przed nami to przedsięwzięcie, nie narażając budżetu państwa i zachowując reżim czasowy. Zresztą powinniśmy uzyskać wiele ekonomicznych korzyści tego programu, rozwijając obecne platformy” jednorazówki”.

Jest także istotne, że obecne ogromne przedsięwzięcie państwa zaangażuje wysiłki tysięcy wykształconych pracowników i setki firm w ciągu kilkunastu następnych lat.

Dalsze przodownictwo Ameryki i amerykańskiego przemysłu lotniczo-kosmicznego będzie ważną częścią całej wyprawy na Marsa.

Polecimy na Marsa, ponieważ jest to jedyna planeta, poza naszą Ziemią, na której, jak się spodziewamy, człowiek może przetrwać, i na której będą mogły rozkwitnąć nasze kolonie.

Polecimy na Marsa, ponieważ zbadanie jego geologii i historii rzuci wielki snop światła na wiedzę o naszej ukochanej Ziemi.

A przede wszystkim udamy się na Marsa, ponieważ umożliwi to nam spojrzeć śmiało poza dzisiejsze kłopoty i podziały i odsłoni wizję lepszego jutra. „Czasem musimy żeglować z wiatrem, a czasem pod wiatr – powiedział Oliver Wendell Holmes – ale musimy żeglować, nie dać nosić się wiatrowi ani odpoczywać na kotwicy”. Podobnie jest z bohaterską wyprawą w kosmos – wyprawą, której Stany Zjednoczone przewodziły i nadal będą przewodzić. Apollo przybił do portu. Nadszedł czas szybko zbudować nowe statki i wypłynąć ku nowym celom, dalej niż kiedykolwiek marzyli o tym nasi przodkowie...”

Publiczne wystąpienia prezydentów Stanów Zjednoczonych Ameryki; Richard M.

Nixon, 1972 r. (Waszyngton, DC, Drukarnia Rządowa, 1972 r.)

Środa, 5 stycznia 1972 roku

„...Jak zostało to stwierdzone w wystąpieniu prezydenta, badania prowadzone przez NASA i przemysł lotniczo-kosmiczny nad wyprawą na Marsa osiągnęły punkt, w którym można podjąć decyzję i przejść do budowy konkretnych urządzeń potrzebnych misji. Ta decyzja, zaaprobowana przez prezydenta, jest spójna z planami zaprezentowanymi Kongresowi i zaaprobowanymi przez niego w budżecie NASA na rok podatkowy 1972. Rakieta na Marsa będzie się składała z pary statków montowanych na orbicie Ziemi.

Te statki utworzą klastery modułów napędzane raketami na paliwo atomowe, wystrzelone za pomocą raket na paliwo chemiczne, przy wykorzystaniu sprawdzonej technologii Saturnów 5. Taka modułarna budowa umożliwi dowolne konfiguracje, czy to w razie misji na inne planety, czy na asteroidy. Moduły załogowe będą rozwiniętymi i pierwszymi „suchymi zbiornikami paliwowymi” stacji orbitalnych Skylab, które zamierzamy wystrzelić w przyszłym roku. Załoga wyląduje na powierzchni Marsa w nowym, zbudowanym pod podstaw ładownika.

Jak stwierdził prezydent, nie będziemy pracować wedle sztywnego harmonogramu. Jednakże mamy nadzieję wysłać naszą pierwszą misję, wykorzystując opozycję Marsa względem Ziemi w 1982 roku. Tę pierwszą misję poprzedzi intensywny program badawczo-rozwojowy, w ramach którego zostanie zbadana orbitalna faza lotów. Program zawrze w pełni rozwinięte technologie: atomową, podtrzymywania życia podczas długich misji, łączności międzyplanetarnej i technik nawigacyjnych. Będziemy się opierać na zwiększonej wydajności układów i ich wielokrotnym wykorzystaniu. Musimy opracować urządzenia umożliwiające lądowanie i przebywanie na Marsie. Niebawem rozpocznie się zaciąg astronautów do nowego programu.

Do zbadania lądowisk przyszłych wypraw załogowych zostanie wysłana na orbitę Marsa nowa seria bezzałogowych sond fotografujących typu Mariner. Te loty zastąpią proponowane platformy naukowe Viking, które obecnie zostają wycofane, tak więc będą finansowane w ramach obecnego budżetu.

Decyzja prezydenta to historyczny krok w narodowym programie kosmicznym, który sprawi, że zasięg działalności człowieka w przestrzeni pozaziemskiej ulegnie poszerzeniu.

Podczas kolejnej dekady naród posiada środki umożliwiające transport ludzi i sprzętu

między planetami; spodziewamy się, że niebawem podobne wyprawy staną się

rutynowymi

**przedsięwzięciami, tak jak obecnie posyłamy ludzi na Księżyc i bezpiecznie
sprowadzamy**

**ich na Ziemię. Nie tylko Mars, ale nasza siostrzana planeta, Wenus, zasoby pasa
asteroidów,**

**księżycy Jowisza i planety bardziej oddalone od Słońca niż nasza znajdują się w
zasięgu**

**naszego kompasu. Zostanie to dokonane w ramach obecnego naukowego
programu**

**kosmicznego, badań i wykorzystania zasobów pozaziemskich, nie przekraczając
obecnego**

budżetu na potrzeby kosmiczne.

Dziękuję...”

**Akta Fredericka W. Michaela, 1972 r., Zbiór Historycznych Pamiątek NASA,
Kwatera Główna NASA, Waszyngton, DC Środa, 5 stycznia 1972 roku Kwatera
Główna NASA, Waszyngton, DC Gregory Dana spędził dzień na spotkaniu
poświęconemu analizie technik kosmicznych rendez-vous w ramach wysyłania
laboratoriów kosmicznych typu Skylab. Trafił na grupkę ludzi z Houston
zgrupowaną na korytarzu przed tablicą ogłoszeń. – Co się dzieje?**

**–Nie wiesz? Lecimy na Marsa. W końcu Nixon dał zielone światło. Spójrz na to.
Zrobiono mu miejsce przy tablicy. Początkowo Dana nie widział na niej niczego
godnego uwagi; informacja o meczu finałowym Kowbojów z Delfinami, zajęcia z
medytacji transcendentnej i akupunktury (reklamowane tu, w Kwaterze Głównej
NASA!), pomarańczowa naklejka z prostym napisem: JEZUS UZDRAWIA. Ale
wciśnięta między te banalne ogłoszenia wisiała gęsto zapisana strona, opatrzona
nagłówkiem. Były to oświadczenia Nixona i Michaela, nowego dyrektora NASA.
Wisiały tam też pokrewne materiały prasowe: „Misja na Marsa w pigułce”, proste
informacje w wersji pytania-odpowiedzi oraz artystyczne wizje różnych faz misji.
Podano nawet rozwiązania techniczne, które rozpatrywano i z których
zrezygnowano.**

Nie było żadnej wzmianki o pomysle Dany, wykorzystaniu wsparcia grawitacyjnego

Wenus.

Od czasu apokaliptycznej konferencji przygotowawczej w Hunts-ville, w lipcu, Dana prawie nic nie słyszał o dalszych pracach nad wyprawą na Marsa. A teraz oto dowiadywał się o finalnej decyzji – wraz ze sprzątacami Kwatery Głównej i resztą narodu. Stało się jasne, że od lipca odsunięto go na boczny tor.

Co mógł na to poradzić? Napisać jeszcze jeden list do Freda Michaela?

Czuł niesprawiedliwość, głupotę tego wszystkiego, pieczenie w żołądku.

No cóż, od tej pory cała ta sprawa go nie dotyczyła. Może przynajmniej Jimowi

uda

się spełnić niektóre z jego marzeń, w miarę jak powolny rozwój wydarzeń ujawni

skutki tej

decyzji.

Dana wsadził teczkę pod pachę i ruszył dalej.

Część druga

Czas misji: 003/09:23:02

York unosiła się w śpiworze. Była zmęczona jak pies, ale sen nie nadchodził. Bolał ją krzyż i miała wate w głowie, zapowiedź przeziębienia? Serce nagle zaczęło walić jak szalone; krew dzwoniła w uszach. Brakowało jej dotyku poduszki pod głową; poczucia bezpieczeństwa, które zapewniała ciasno owinięta kołdra. Przede wszystkim śpiwór był za szeroki. Miała wrażenie, jakby w nim fruwała. Za każdym poruszeniem, warstwa ciepłego powietrza, którą wytworzyła wokół siebie, i która przylgnęła do niej w warunkach mikrogravitacji, wyslizgiwała się na zewnątrz, poza śpiwór, wpuszczając lodowaty chłód.

Kiedy wreszcie się rozluźniła, miała wrażenie, że osuwa się w przepaść. Raz mało nie zasnęła, ale ramiona same uniosły się nad głowę i poczuła na twarzy dotyk jakby obcej ręki...

Otworzyła bezwolnie oczy.

Była w środku swojej wnęki sypialnej, u podstawy modułu misji. Wnęka była nie większa niż komoda, odgrodzona od reszty zaciągniętymi żaluzjowymi ekranami. Nad głową York miała lampkę, nadajnik/odbiornik i wiatraczek, obok małe szufladki na rzeczy osobiste, na przykład bieliznę; kiedy otworzyła je po raz pierwszy, zobaczyła

niebieskie plastikowe siatki, zapobiegające wlatywaniu zawartości.

Przez ekrany przesączało się mnóstwo dźwięków. Słyszała szum i warkot urządzeń modułu, od czasu do czasu odpalenie rakietek kontroli pozycji, utrzymujących Aresa w kierunku Słońca. Jasne bakteriobójcze światło mesy za ekranami i świeża woń metalu i plastiku sprawiały, że czuła się jak w ogromnej lodówce. Obudowa wnętrza sypialnej zdradzała, że zamierzano ją zamknąć pełnymi drzwiami. York pamiętała nawet, że widziała notatkę służbową, która w typowym dla NASA mętym żargonie, używanym w przypadku wysyłania wielkim kosztem w przestrzeń kosmiczną żywych ciał, mówiła o „stosunkowym znaczeniu” intymności, kształtującej dobre poczucie astronautów. Ale z drzwi zrezygnowano w ramach odchudzania statku. „To byłoby wszystko, jeśli chodziło o stosunkowe znaczenie«naszego samopoczucia” – pomyślała York. A teraz na domiar wszystkiego chciało się jej siusiać.

Próbowała nie zwracać na to uwagi, ale ciśnienie w pęcherzu stopniowo rosło.

„Chryste” – jęknęła w myślach.

No cóż, sama była sobie wina. Rura ulgi – toaleta modułu misji, segment likwidacji odchodów – była tak niewygodna, że York zawsze odkładała wizytę w klo na święty nigdy.

Poza tym miała wrażenie, że od kiedy zapanował brak grawitacji, siusia więcej niż zwykle.

Ustąpiła wobec nieuniknionego. Wysunęła się ze śpiwora, włączyła światło, złożyła ekran. Kiedy się poruszała, myślała, że krzyż pęknie jej z bólu. Po zmianie orbity, moduły Aresa odtańczyły pierwszy z niezdarnych walców, które załoga musiała znieść dla dobra misji. Dowodzony przez Stone’a załogowy Apollo odłączył się od dziobu rakiety, odwrócił i zacumował dziób w dziób z modułem misji. Kiedy opisano York po raz pierwszy przebieg misji, oczekiwanie na odłączenie i powtórne cumowanie po zmianie orbity wydało się jej dziwne. Czemu odrywać się od rakiety nośnej dopiero po wejściu na nową trajektorię? Ale kiedy przyjrzało się bliżej pokrętnemu sposobowi myślenia planistów, zawsze oczekujących zagrożeń w postaci nieudanych operacji na poszczególnych etapach misji, trzeba było im przyznać rację. Jeśli MS-2 wybuchłby podczas odpalenia silników przy zmianie orbity, załoga mogła wyjść z Apolla i dokonać awaryjnego odpalenia silników, żeby wrócić do domu. A gdyby zmiana orbity zakończyła się sukcesem, ale cumowanie nie przebiegło należycie, załoga użyłaby wielkiego silnika modułu usługowego, żeby popędzić na Ziemię.

W każdym razie, po udanym cumowaniu załoga mogła przeczołgać się tunelem cumowniczym i zacząć działać w module misji, międzyplanetarnym domu poza domem. Dopóki York nie zaprzętała sobie głowy rozczłonkowaniem statku

kosmicznego w dalekiej przestrzeni międzyplanetarnej, była spokojna. Wsunęła się do mesy. Czowała się lekka jak piórko i nietykalna; jakby poruszała się we śnie. Oczywiście, moduł misji był o wiele bardziej zręczny niż moduł dowodzenia Apolla. Ale uczyła się zachowania działania w tym otoczeniu. Okazało się, że nie powinna się zbyt szybko poruszać. W przeciwnym razie wpadała na urządzenia sterujące i kontrolne, przerzucała przełączniki i mogła je całkiem zniszczyć. To nie było profesjonalne zachowanie. Uczyła się wolnych ruchów, wdzięcznego baletu nurka. Nie sprawiło jej to trudności. Stan nieważkości był po prostu innym środowiskiem i przystosowała się do ograniczeń, które narzucał. Mesa z małym plastikowym stolikiem i trzema krzesłami z pasami bezpieczeństwa była czysta i pusta, zalana jarzeniowym blaskiem. Ściany miała elastyczne i gładkie, wyłożone szarą mozaiką opisanych szuflad i strzemieniami – pętlami z niebieskiego plastiku.

Wszędzie widziała poręczne niebieskie kwadratowe rzepy, odwrócone do góry nogami oznaczenia, symbole, podświetlane kolorowe napisy. Wszystko urządzone z myślą o zerowej grawitacji.

Całe pomieszczenie tchnęło atmosferą kokpitu wielkiego samolotu pasażerskiego, wszystko było miłe, w zasięgu ręki, dobrze zaprojektowane, upchane. Istny kosmiczny dom na kółkach. Oczywiście, w tej chwili wszystko lśniło nowością, nigdzie żadnych rys; po kilku miesiącach miało się to zmienić. Sporo wyposażenia było nadal w schowkach; załogę czekało kilka dni żmudnego łązenia i rekonfigurowania modułu na potrzeby drugiego lotu. Segment likwidacji odchodów była to kabinka z sedesem, stalowym urządzeniem w koszarowym stylu, wyposażonym w dźwignie i oszczędnie opisanym metalowymi plakietkami. York zaciągnęła zasłonę, odwróciła się w powietrzu, opuściła szorty, majtki i przyciągnęła się na dół. Grube pręty, ciężkie i tapicerowane, skrzyżowały się na jej udach, przyciskając tyłek do deski.

York wysunęła z przodu sedesu wąż; miała nim popłynąć uryna, później wyrzucana w przestrzeń. Ten wąż usprawiedliwiał przezwisko z ery Apollo nadal używane przez załogi: rura ulgi. W szufladzie obok był zestaw plastikowych lejków, dla każdego użytkownika w innym kolorze. Zresztą jej wyraźnie różnił się kształtem, przeznaczony dla potrzeb kobiety.

Szuflada zaczęła już cuchnąć, a przezroczyste lejki nabrały jednolicie żółtawego zabarwienia.

Półtora roku tych rozkoszy – westchnęła w duchu. Wsunęła lejek do węża, przyłożyła lejek do genitaliów i otworzyła zawór zbiornika uryny.

W czasie tej operacji należało zastosować pewien trick, gdyż bezceremonialne obchodzenie się z urządzeniem mogło być bolesne. Jeśli York otwierała zawór zbyt wcześnie, narażała się na to, że ssawka capnie ją jak kleszcz, gdyż lejek zasysał nie

tylko mocz, ale i kawałek ciała. Numer polegał więc na tym, żeby zacząć sikać ułamek sekundy przed otwarciem zaworu. To z kolei groziło ześlizgnięciem się lejka i uwolnieniem sznureczka żółtych banieczek, fruujących po kabynie.

Wypuściła strumyczek dopiero po kilku sekundach.

Kiedy już znalazła się w toalecie, rozważyła, czy nie spróbować zrobić kupy. Prawdę mówiąc, urządzenie do oddawanie kału było wygodniejsze w użyciu niż cholerny wąż.

Należało włączyć obrotowy bęben pod sedesem i wydalany kał przywierał do jego ścian. Po wystawieniu bębna w próżnię kał zamarzał i odpadał. Ale chociaż czuła parcie w dolnych regionach, na razie była bezradna; zapewne potrzebowała kilku dni na to, żeby rozluźnić się na tyle, aby zwieracz puścił. Poza tym brakowało grawitacji, która by jej pomogła, o czym faceci przypomnieli jej ze złośliwą uciechą. Nie radowała się na to nowe doświadczenie. Wzięła kilka nasączonych chusteczek higienicznych i wytarła wewnątrz lejka. Chusteczki wyglądały jak z pierwszej lepszej drogerii, ich kosmiczne zastosowanie zdradzała tylko ostra woń środka dezynfekcyjnego.

Uwolniła się z zacisków. Wsunęła dłonie do umywalki, plastikowej kuli, która spryskała je wodą, spływającą następnie do zbiornika. Kilka kropli uciekło i zaczęło fruwać

po toalecie, ale łatwo je złowiła, były jak ospałe muchy. W ścianie znajdował się szereg

pojemników. Ich gumowe rozcięcia również oznaczono kolorami. Rogi ręczników sterczały z

nich jak flagi. Wytarła ręce.

Usłyszała hałas; odwróciła się.

W mesie był Ralph Gershon, ubrany w podkoszulek i szorty. Unosił się w powietrzu z plastikową puszką coca-coli w jednej ręce i srebrnoszarym kanistrem z wodorotlenkiem litu w drugiej. Zawartość kanistrów ścigała dwutlenek węgla z recyklingowanego powietrza, dlatego musiały być regularnie sprawdzane i zmieniane. Znajoma, biała czerwona puszka coca-coli miała zupełnie normalne kształty i wymiary poza dziecięcym ustnikiem, niezbędnym w warunkach nieważkości.

Gershon uniósł palec do ust – najwyraźniej Stone nadal spał – i uniósł puszkę w jej

kierunku.

Odmówiła ruchem głowy.

Za bardzo gazowana.

No – odszepnął. – Coca-cola zapłaciła milion dolców za wsadzenie tej puszki do modułu misji, ale nikt nie wpadł na pomysł, że należy zmniejszyć ilość gazu. – Zaczął żonglować puszką i kanistrem, przerzucając je z ręki do ręki wysokim łukiem.

York już

zauważyła, że faceci w warunkach nieważkości zachowują się jak dzieci w piaskownicy;

kiedy tylko Gershon i Stone znaleźli się w dużej części roboczej modułu misji, zaczęli rzucać

do siebie częściami ekwipunku, jakby dorwali się do frisbee, wyczyniając przy tym

najdziwniejsze łamańce.

Gershon zerkał na jej piersi.

Musiała się powstrzymać, żeby nie skrzyżować rąk na klatce piersiowej.

„No, tak to jest” – pomyślała.

Miała zapas sportowych biustonoszy i teraz obiecała sobie zawsze wkładać któryś z nich przy wychodzeniu z wnęki sypialnej.

„To nie ma istotnego znaczenia dla tej cholernej misji” – zaklęła w duchu.

Gershon odwrócił spojrzenie i pociągnął coli.

–Czemu zabrałeś się za te cylindry z litem? Wzruszył ramionami. – Znasz mnie. Zdrzemnąłem się. Teraz nie chce mi się spać. Pomyślałem sobie, że równie dobrze mogę zrobić wcześniej to, co i tak mnie czeka. – Zachichotał. – Wiesz, nawet

przysnąłem trochę podczas cumowania.

To była prawda. I teraz, kiedy ona wciąż nie mogła zmrużyć oka, on popijał sobie colę, obmacywał wzrokiem jej cycki i wykonywał na zapas swoje obowiązki. – Jesteś dupek, Ralph – powiedziała ze złością. Uśmiechnął się do niej szeroko.

–A przy okazji... Wiem, jak się czujesz.

–Wiesz?

–Pewnie. Ciężka głowa, zgadza się?

–

–To zrozumiałe. Zerowa grawitacja. Krew zbiera się w klatce piersiowej i w głowie...

–Słuchaj, jeśli naprawdę się źle czujesz, weź scop/Dex*[Przyp tłum skopolamina plus amfetamina, lekarstwo na „syndrom adaptacji do warunków nieważkości”, bóle głowy, mdłości i dezorientację w przestrzeni.]

–Wyjdę z tego.

–Jak chcesz. Co jeszcze? Boli cię krzyż, prawda?

–No. – Roztarta bolące miejsce. – Skąd wiesz?

–Interesuje cię, skąd się to bierze? Powiem ci. W śpiworze nigdy nie leżysz idealnie

nieruchomo. Zawsze troszkę się ruszasz. Pływasz to tu, to tam. I wiesz, jak

reaguje na to

twoje ciało?

–Słucham.

–Palce u nóg zaciskają się kurczowo. Tak jak w tej chwili. W małe kulki.

–Dlaczego?

–Bo lecimy sobie na Marsa, ale wciąż jesteśmy cholernymi małpiszonami, które

myślą, że w każdej chwili mogą zlecieć na łeb z gałęzi. I dlatego tak cię łupie w krzyżu.

–Co więc powinnam zrobić?

–Zwyczajnie je rozprostuj. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Zrelaksuj się i rozprostuj paluchy. Aha, jeszcze jedno, Natalie... Przed spaniem nałóż okulary i wsadź zatyczki do uszu. I nie stresuj się. Nikomu nie powiem. Wróciła do swojej wnęki. „Może przestanę na siłę próbować zasnąć i zrobię to, co Gershon” – pomyślała. „Zrobię wcześniej to, co i tak mnie czeka”. Ale kiedy wsunęła się do śpiwora i poczuła ciepło, zgasła światło i znów się przeciągnęła. Rozprostowała palce u nóg. Natychmiast poczuła ulgę w krzyżu. „Proszę, proszę – pomyślała – ten dupek miał rację”.

Zamknęła oczy.

Środa, 24 maja 1972 roku Moskwa

Stany Zjednoczone Ameryki i Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich biorąc pod uwagę rolę, którą USA i ZSRR odgrywają w odkrywaniu i wykorzystaniu przestrzeni

kosmicznej do celów pokojowych; dążąc do zwiększenia współpracy między USA i ZSRR w odkrywaniu i wykorzystaniu przestrzeni kosmicznej do celów pokojowych; biorąc pod uwagę dodatnie wyniki współpracy nawiązanej już przez obie strony na tym polu; pragnąc udostępnić wyniki badań naukowych uzyskanych w trakcie odkrywania i wykorzystania przestrzeni kosmicznej do celów pokojowych z korzyścią dla narodów obu wymienionych państw i wszystkich narodów świata; biorąc pod uwagę postanowienia Układu o Zasadach Rządzących Działaniami podczas Odkrywania i Wykorzystania Przestrzeni Kosmicznej, w tym Księżyca i Innych Ciał Niebieskich jak również Porozumienia o Ratowaniu Astronautów i Odsyłaniu Astronautów, a także Odsyłaniu Obiektów Wystrzelonych w Przestrzeń Kosmiczną; w zgodzie z Porozumieniem między Stanami Zjednoczonymi Ameryki i Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich dotyczącym Wymiany i Współpracy w Dziedzinie Nauki, Techniki, Edukacji, Kultury i w Innych Dziedzinach, podpisanym 11 sierpnia 1972 roku, i mając na względzie dalszy rozwój wzajemnie korzystnej współpracy między dwoma wymienionymi krajami; ustalają, co następuje... § 3 (z 6)

Obie strony zgodziły się zrealizować przedsięwzięcia mające na celu stworzenie przystawalnych układów umożliwiających spotkanie i cumowanie załogowych statków i stacji kosmicznych amerykańskich i radzieckich, co ma na celu zwiększenie bezpieczeństwa załogowych lotów kosmicznych i przeprowadzanie w przyszłości wspólnych doświadczeń naukowych. Planuje się, że pierwsze eksperymentalne loty, testujące te układy, zostaną przeprowadzone w drugiej połowie bieżącego dziesięciolecia, przy czym polegać one będą na cumowaniu amerykańskiego statku kosmicznego typu Apollo do radzieckiej stacji kosmicznej typu Salut i/lub radzieckiego statku kosmicznego typu Sojuz do amerykańskiej stacji kosmicznej typu Skylab oraz przemieszczaniu się astronautów do statków kosmicznych i stacji drugiej strony. Te przedsięwzięcia zostaną przeprowadzone zgodnie z zasadami i procedurami opracowanymi na podstawie podsumowania wyników spotkania reprezentantów Narodowej Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej Stanów Zjednoczonych i Akademii Nauki ZSRR dotyczącego problemu stworzenia przystawalnych układów służących spotkaniu i cumowaniu załogowych statków kosmicznych i stacji kosmicznych USA i ZSRR, a odbytego 6 kwietnia 1972 roku...”

Wyjątek z Porozumienia podpisanego przez prezydenta Richarda M. Nixona i premiera rządu radzieckiego A. N. Kosygina. Oficjalne dokumenty prezydentów

Stanów Zjednoczonych; Richard M. Nixon, 1972 r. (Waszyngton DC; Drukarnia Rządowa, 1972 r.)

Sobota, 28 października 1972 roku Uniwersytet Kalifornijski, Berkeley Ben Priest zadzwonił do niej po pomocy.

–Skończyło się, Natalie. Pomyślałem sobie, że chciałabyś o tym wiedzieć.

Utraciliśmy

Marinera.

Usiadła na łóżku.

–Co? Jakim cudem?

–Właśnie zrobiono kolejne zdjęcia Tharsis i Syrtis Major, były na taśmie; ale potem

Mariner miał zmienić pozycję, żeby skierować antenę dalekiego zasięgu ku Ziemi i przesłać

zdjęcia, i... klops. Nic. Wyczerpało się paliwo silników kontroli pozycji. Więc straciliśmy

piętnaście zdjęć. Ale co naprawdę mnie wkurza – zawarczał do słuchawki – to fakt, że wciąż

miał dość paliwa na pokładzie, tyle że nie tam, gdzie trzeba – w zbiornikach rakiet

hamujących, nie w zbiornikach rakiet kontroli pozycji. Mogliśmy zamontować przewody do

–

lania paliwa z jednych zbiorników do drugich. Gdybyśmy to zrobili, moglibyśmy korzystać z niego jeszcze rok.

‘- Ale...

Ale trzeba by dołożyć całe trzydzieści tysięcy dolarów. Do budżetu misji wynoszącego sto milionów dolarów. Więc żeśmy tego nie zrobili-No trudno, Ben. Chyba i tak nikt się nie spodziewał, że wytrzyma tyle czasu. Plan podstawowy misji zakładał tylko dziewiętnaście dni. Może. Ale gdybym wiedział, co się stanie, sam wyłożyłbym te trzydzieści kawałków.

A te gnoje na dodatek skreśliły Vikingi! Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. – Daj spokój, Ben. To do ciebie niepodobne. Jesteś bohaterem, Wielkim Obłaskawiaczem Kosmosu. A te trzydzieści tysięcy dolarów i tak pewnie poszłyby na twoją pensję. – To było bardziej niż prawdopodobne; fundusz bezzałogowych wypraw na Marsa został przycięty, pieniądze przeznaczone na przygotowania wyprawy załogowej. – No cóż, Natalie, czasem odzywa się moje poczucie hierarchii celów. Wiesz, nie dręczy mnie to, że straciłem rok, chodzi tylko o te piętnaście zdjęć. One tam są, nawet w tej chwili, utrwalone na taśmie... Musieliśmy posłać ostatnie polecenie. Kazaliśmy mu wyłączyć przekaźnik radiowy.

„Och Boże – zaśmiała się w duchu – biedna, dzielna sondka”. Zakryła twarz poduszką i zdusiła rechot. Jakkolwiek było, zaledwie kilka dni temu zadzwoniła do Bena, sama będąc w podobnym nastroju po wieczorze spędzonym nad ostatnimi badaniami opinii publicznej. Wynikało z nich, że Nixon zmiażdży McGoverna.

–Ile to potrwa, zanim spadnie z orbity?

–Och, z pięćdziesiąt lat.

–No cóż, może do tej pory wyślemy tam ludzi. Sam tam polecisz, Ben. Może uda ci się odzyskać te zdjęcia. I może przyholujesz pocziwy stateczek, kto wie? Roześmiał się.

–Pewnie. Jasne, sprowadzimy go z powrotem i powiesimy w muzeum techniki, gdzie jego miejsce.

–Co cię teraz czeka, Ben? Westchnął.

–Apollo-N. Loty próbne dla NERVA. Kiedyś w Królestwie Niewiadomego Jutra. – Przynajmniej ty i Mike będziecie mogli częściej się widywać. I może mnie też uda się częściej z wami spotkać.

–Może. Ale wygląda na to, że do lotów jest jeszcze daleko, Natalie.

–Teraz chyba powinnam się trochę przespać, Ben.

–W porządku. Dobranoc, Natalie.

–No. Dobranoc, Ben.

Leżała w ciemnościach kompletnie rozbudzona.

Oczywiście, Mike'a nie było koło niej, ani w promieniu pięciuset mil. Zatracał się w pracy nad NERVA. Jak Ben dał do zrozumienia, tamto przekłete przedsięwzięcie znów kulało.

Zresztą uświadomiła sobie, że sprawy między nimi nie układały się tak różowo od tamtego dnia w 1969, kiedy wybrała się na Równinę Szakali z Mikiem i Benem. Próbowwała pogadać z nim na ten temat. Dla niej było to coś więcej niż zwykły spór, gorąca kłótnia dla samej kłótni, które często wybuchały między nimi w przeszłości, i które sprawiały im wiele frajdy. W jej oczach NERVA była symbolem wielu spraw, które budziły w niej głęboki niepokój. W końcu chyba Mike zaczął coś z tego rozumieć. Zniecierpliwiony pokazał jej plany wyłapywania oparów wodoru, głębszych cmentarzysk zużytych rdzeni...

Nie wiedzieć czemu, nie zaznała ulgi. Mike wyraźnie był dość inteligentny, żeby zrozumieć istotę spraw, które ją dręczyły, ale było jasne jak słońce, że go nie obchodziły, w każdym razie nie tyle, co powodzenie całego przedsięwzięcia. Kochała Mike'a. Tak uważała. I on ją kochał. Ale osobne życie, różne poglądy na wartość programów w stylu NERVA, wszystko to systematycznie oddalało ich od siebie.

Wspominała, że wybrali się na Równinę Szakali zaledwie pół roku po tym, jak się poznali. Całe trzy lata temu. Może powinna traktować tamto szczęśliwe pół roku jako coś niezwykłego, nie jako normę.

Tymczasem w marcu – cztery miesiące po wystrzeleniu Marinera – ludzie z Flagstaff, gdzie mieścił się Urząd Geologiczny, zaczęli wydawać pierwsze szczegółowe mapy Marsa.

York dorwała się do rozsyłanych egzemplarzy i ślęczała nad nimi.

Mars okazał się zupełnie inny, niż tego oczekiwano. Był asymetryczny. Cała południowa półkula spęczniała, znacznie wyniesiona ponad poziom odniesienia i mocno pożłobiona kraterami. Północna półkula była przeważnie poniżej poziomu odniesienia i dużo gładzsza od południowej... ale tam znajdowała się Tharsis.

Tharsis, wybrzuszenie powierzchni wielkości południowej Afryki. Wyglądało to tak, jakby cała ćwiartka Marsa została wypchnięta w wyniku jakiegoś niebywałego wydarzenia geologicznego. Otaczała je rozmaitość pęknięć i wyżłobień; na wschód od Tharsis, w regionie Coprates, wielki układ kanionów obejmował niemal jedną czwartą równika planety. Obszar starych kraterów na południu poprzecinany rynnami i kanałami, które wyglądały jak wyżłobione wodą. York była oczarowana obrazami kraterów przypominających krater Księżyca, wypłukanych gwałtownymi powodziami. Lecz teraz na Marsie nie było śladu wody w ilościach niezbędnych do

wyżłobienia tych rynien; może uciekła z atmosfery lub została uwięziona pod powierzchnią.

To właśnie intrygowało York, pomieszanie nagiego lunarnego terenu i jakby ziemskiej erozji, niezwykle połączenie, które stworzyło wyjątkową planetę, nie przypominającą ani Ziemi, ani Księżyca, ale coś jedyne w swoim rodzaju. Ale to wszystko nie miało z nią żadnego związku. Dawno temu zdała sobie sprawę, że praca, której się poświęciła, to początek niezbyt widowiskowej, ale za to solidnej kariery zawodowej. Stawała się kolejnym, zwykłym geologiem, z czasem zapewne zatrudnionym przez jakieś przedsiębiorstwo wydobywcze.

Będzie spędzać czas na upačkanych polach naftowych albo w kopalniach. Mogła się spodziewać życia w upale, mrozie, grzechotników, krowich gówien, trującego bluszczu...

To była przerażająco nudna wizja.

W ogóle nie spotykała się z Mikiem. Wykonywała nieinteresującą pracę. A wolny czas spędzała, snując wizje geologicznych poszukiwań na wiekowej, zniszczonej powierzchni Marsa.

Uświadomiła sobie z brutalną szczerością, że jej życie osobiste zawisło w próżni przez całe lata, cholera! Tak jak jej życie zawodowe. Poczwała, jak budzi się w niej nowe postanowienie, jakieś jądro, wokół którego może skryształizować się przyszłość znacznie lepsza, niż ta, która teraz jej się kroiała.

„Muszę dotrzeć bliżej do tego całego interesu z Marsem” – pomyślała. „I to nie dla Mike’a ani nawet dla Bena Priesta. Dla siebie”. To mogło przynieść jakieś rozwiązanie tego bezwładu, w którym utkwiała. Może dałoby się dostać przeniesienie do Laboratorium Badawczego Przestrzeni Kosmicznej, tu w Berkeley, do tego wielkiego białego budynku na szczycie Grizzly Peak.

Wstała z łóżka, wygrzebała teczkę w luźnymi zdjęciami Marsa i znów zaczęła ślęczeć

nad tymi zniszczonymi kraterami.

Czwartek, 7 czerwca 1973 roku

Ośrodek Kosmiczny NASA im. L.B. Johnsona, Houston (dawny Ośrodek Kosmicznych Lotów Załogowych)

Phil Stone pierwszy zrozumiał sugestię Segera.

–Mój Boże – powiedział. – Chcesz nas posłać na Księżyc. Zgadza się? – Tak. Zgadza. Nad tym się zastanawiałem. Chcę zmienić plan waszej misji i posłać was Saturnem 5 na orbitę Księżyca.

Chuck Jones wpatrywał się w Segera. Zdumienie pocięło siatką zmarszczek kwadratową twarz.

–Prędzej mnie szlag trafi, niż ci się to uda.

Cała trójka siedziała w milczeniu przez długie sekundy. Stone tkwił jak zamurowany; w tym sterylnym, przeciętnym gabinecie, w zwykłe czwartkowe przedpołudnie, wprost nie dało się przełknąć takich wieści. Skylab B, drugi mokry warsztat orbitalny, miał wynieść Stone'a po raz pierwszy w przestrzeń. Stone już od miesięcy trenował elementy naukowe i operacyjne misji.

A teraz

Seger wykombinował, że przewróci to wszystko do góry nogami i pośle go na Księżyc? Jezu.

Seger bawił się goździkiem w butonierce.

Musisz spojrzeć na to z większej perspektywy. NERVA znów ma obsuw, tak więc loty próbne w ramach tego programu są odwołane. To daje zielone światło Saturnowi 5.

Musimy go wykorzystać, bo inaczej szlag go trafi. Zamierzam posłać was na orbitę księżycową.

Stone zmarszczył brwi.

Na litość boską, ten Saturn jest przeznaczony do lotu załogowego. Już został zbudowany. Jak może go szlag trafić?

Seger wzruszył ramionami.

Może i zbudowany, ale jeszcze nie wydaliśmy forsy, żeby go przysposobić do lotu. Nie możemy lecieć na pieprzony Księżyc – powiedział Chuck Jones. – Wciąż czekamy na J-2S.

Laboratorium wokółksiężycowe było w planach, ale dopiero za kilka lat, po gruntownych modyfikacjach S-4B, unowocześnieniu głównego silnika J-2S, zwiększeniu udźwigu, wprowadzeniu samonapełniających się zbiorników, elektrycznie ogrzewanych koców, izolacji mylarowych, dodatkowych akumulatorów, ulepszonej elektroniki... – Pieprzony S-4B nie ma mocy, żeby przejść na orbitę księżycową. – Tak, nie ma. Ale nie musi mieć. Spójrzcie na to. – Na biurku Segera leżał folder z kredowego papieru. Podał im kopie.

Stone szybko przerzucił kartki. Był to skrót dawnego studium McDonnella-Douglassa nazwanego LASSO*[Przyp tłum Lunar Applications on a Spent IVB Stage (Orbital).]

–

Orbitalnego Wykorzystania Zużytego Stopnia S-4B. Demonstrował, jak można powtórnie użyć członów Saturna, budując laboratoria o różnym stopniu komplikacji i wadze na orbicie lunarnej. Były tam przekroje, kolorowe zdjęcia, spore fragmenty tekstu ułożone w punkty i – co naturalne, jako że studium pochodziło od wytwórców S-4B – przepełnione nieodmiennie optymizmem. Niektóre z planowanych terminów już minęły. – Spójrzcie na model podstawowy numer jeden. – Seger wskazał

odpowiedni dział. – Macie tu pokazane, jak możemy umieścić warsztat na orbicie lunarnej bez unowocześnionego J-2S i całej reszty...

Saturn 5 miałyby z pozoru wyglądać jak rakieta startowa Apolla i ładownika. Ale zamiast modułu księżycowego niósłby śluzę powietrzną, przymocowaną do trzeciego członu.

S-4B wysłałby statek kosmiczny na Księżyc, tak jak podczas misji, których celem było lądowanie na satelicie Ziemi. Lecz wykorzystany trzeci stopień nie byłby odrzucony.

Apollo oddzieliłby się i zacumował do pustego członu, wykorzystując śluzę. Rakieta poleciałaby na Księżyc po długiej trajektorii, wymagającej mniejszej ilości paliwa, półtora dnia dłuższej niż podczas trzydniowych lotów połączonych z lądowaniem. Następnie główny silnik modułu usługowego Apolla zostałby użyty do wyhamowania całej rakiety na orbicie Księżyca.

Pusty człon miałby z grubsza tę samą wagę i charakterystykę dynamiczną co załadowany ładownik. Tak więc Apollo byłby w stanie dostarczyć go na orbitę lunarną.

Jedynie potrzebne modyfikacje to zaopatrzenie S-4B w zwykły zestaw do pasywacji i neutralizacji – wyposażenie konieczne do zamiany pustego zbiornika paliwa w warsztat pracy – a także uchwyty i palety wyposażenia. Można by wynieść ilość zapasów wystarczającą na czterotygodniowy pobyt orbitalny i dowolnie zaopatrywać stację na potrzeby kolejnych załóg.

Stone podczas lektury zaczął dostrzegać realność pomysłu. Możliwość realizacji.

„Ale...” – zaczął w myślach.

–Po co to?

Jones podniósł wzrok znad swojego egzemplarza. Seger zmierzył Stone’a wściekłym spojrzeniem.

–Co „po co”?

–Po co to robić, Bert? To tylko pokazówka. Będziemy musieli zrezygnować z masy rzeczy, żeby odciążyć statek. Czeka nas poniechanie wielu celów naukowych, realizowalnych w ramach Programu Skylab B.

–Orientuję się w celach naukowych, Phil. Ale możemy posłać cały ten majdan z drugą załogą, no nie? A wasz lot po prostu będzie miał charakter ograniczonego przedsięwzięcia natury inżynierskiej, z mniejszym naciskiem na sprawy naukowe. –

Seger był chudym, skupionym mężczyzną o czarnych, gładko przylizanych włosach, zaczesanych do tyłu i śniadej irlandzkiej cerze. Stone poczuł, że tamten go drażni. – Gdybyś siedział na moim miejscu, Phil, musiałbyś brać pod uwagę, jakie korzyści może odnieść program jako całość.

Nie tylko wasza misja. Tak, to będzie pokazówka. Ale pokazówka jak ta lala.

Dzięki niej

znów będziemy panami dżungli...

Jones zaczął mówić o zakończonym niedawno szkoleniu do lotu po orbicie okołoziemskiej.

A co z Rosjanami?

Sowieci proponowali cumowanie Sojuza do Skylaba B na orbicie Ziemi. Zamiana pokazówki na spotkanie na orbicie lunarnej to dopiero byłaby sztuka – ciągnął Jones. – Przecież Ruscy nie wynieśli do tej pory żadnego kosmonauty poza orbitę Ziemi.

Wciąż powtarzają, że za parę lat będzie ich stać na loty wokółksiężycowe trwające aż do wytrzymałości stacji – powiedział Seoar – Możemy więc to obejść. A gdyby się nam nawet nie udało, może zminimalizowalibyśmy tę imprezę z Ruskimi do prostego cumowania Apolla na orbicie Ziemi. Zresztą, mniejsza z cholernymi Rosjanami. Chuck, polatałbyś nad Księżycem. Urządziłbyś stację na jego orbicie. Do tej pory nikomu takie rzeczy nawet się nie śniły. Wydawało mi się, że chętnie podjąłbyś się takiego wyzwania. Jones wydawał się przeżuwać tę myśl.

Stone wiedział, że Seger naciska właściwe sprężyny. Znał Chucka. Ale to właśnie popsuło mu nastrój.

Zdawał sobie sprawę, że Seger ma do pewnego stopnia rację. Paradoksalnie, od czasu ogłoszenia Programu Mars morale NASA podupadło. Poprzednio personel zapalił się do zarzuconego już programu budowy wahadłowca, uważanego za nowy i podniecający pod względem technicznym. W porównaniu z nim, Skylab wyglądał na przedłużenie technologii, będącej ostatnim krzykiem mody w roku 1963. Jednak nieustanne cięcia budżetu wciąż tłumili ambicje Agencji.

Jeśli policzyć stałych pracowników, tylko sto tysięcy ludzi zajmowało się programami kosmicznymi, podczas gdy w szczytowej fazie Programu Apollo było ich pół miliona. A w Houston, u Marshalla i w innych głównych ośrodkach nawet zaczęto zwalniać następnych.

Na dodatek NASA wcześniej dostała się w ogień krytyki z powodu pierwszej

fabryczki kosmicznej, Programu Skylab A. Pete Conrad poprowadził pierwszą misję, której zadaniem była budowa kosmicznego laboratorium. Ale już druga załoga była wojskowa, na otarcie łez Ministerstwa Obrony po skreśleniu wahadłowca. Ken Martingly, weteran Programu Apollo, komenderował żołnierzami astronautami – inżynierskim lotem załogowym

–podczas tajnego programu, testującego

wyposażenie do prowadzenia obserwacji, Terra Scout i Battlewiev, sprzęt do monitorowania skażenia promieniotwórczego i wąsko kierunkową łączność szyfrową. Dotychczas każdy lot NASA był całkowicie jawny; taka była celowa, powszechna praktyka sięgająca czasów Kennedy’ego.

Tymczasem wywiad USA dowiedział się, że kosmonauci Saluta obserwowali manewry wojskowe we Wschodniej Syberii i przesyłali w realnym czasie informacje taktyczne dowódcom na poligonie.

Wielu ludzi uważało, że militaryzacja przestrzeni kosmicznej to naprawdę główniany obrót wydarzeń, zaprzeczenie marzeń ery Apollo. A Jack Kennedy zaatakował publicznie tę politykę.

Więc może Seger miał rację, że pokazówka dla dźwignięcia morale to dobry pomysł w tym momencie. Ale to wciąż była pokazówka.

Stone sam przyszedł do NASA z wojska. Ale nie zjawiał się w Agencji po to, żeby się bawić w szpiegowanie w kosmosie czy numery z cyrku straceńców. Uważał tę propozycję za gorzki kompromis. „Pieprzyć naukę, przede wszystkim polityka. Jak za dawnych czasów” – pomyślał.

W tej sytuacji nie miał wysokiego zdania o pomysle Segera.

Ten zakończył dyskusję.

–Chuck, Phil, nieczęsto ma się taką szansę. Tak szybki powrót na Księżyc to dla nas nie byle co. Naprawdę nie byle co. Obecnie naród potrzebuje czegoś, co dodałoby mu skrzydeł. Dokładnie teraz dwóch doradców Białego Domu zeznaje w senacie przeciwko prezydentowi. A jeśli chodzi o ryzyko, to pamiętajcie, że kiedy Apollo 8 leciał na Księżyc i z powrotem, to był dopiero drugi załogowy Apollo,

pierwszy załogowy Saturn 5 i na dodatek pierwszy, który wyleciał po bezzałogowym Apollo 6, a wiecie, jak udała się szóstka...

Teraz Stone zrozumiał, o co chodzi. Seger dokładnie zapoznał się z historią. „To ma być Apollo 8 Berta” – pomyślał Stone. „Wracamy na Księżyc! Gigantyczna pokazówka; sposób żeby zapisać się w historii. A w zamian ofiara w postaci Skylaba B”. – Tylko pomyślcie, jak to cholernie podniesie nas na duchu, kiedy się wam uda...

–

mówił Seger.

–Jeśli się nam uda, Bert – poprawił go Jones. – Jeśli.

Kiedy Stone przemyślał cały pomysł, wciąż było mu daleko do szczęścia. Ale chciał polecieć w Kosmos. I jeśli musiał wcześniej przełknąć cały stek bzdur, świadczący o niedowładzie umysłowym i napaleniu twórców tego pomysłu, był gotów to zrobić.

A poza tym – zdał sobie z tego sprawę w trakcie gorączkowych przygotowań, których program zmieniono – jakoś podobała mu się myśl, że polecą na Księżyc...

Piątek, 20 lipca 1973 roku Mason

City w stanie Iowa

Artykuł zajmował prawie całą stronę wczorajszego wydania „Washington Post”. Ralph Gershon siedział w publicznej bibliotece rodzinnego miasteczka i czytał go w kółko:

„...Amerykańskie bombowce B-52 zrzuciły około 104 000 ton materiałów wybuchowych na kryjówki komunistów w neutralnej Kambodży podczas serii nalotów w latach 1969-1970... Te tajne naloty zostały potwierdzone przez Pentagon w poniedziałek, po opisanu przez byłego majora lotnictwa wojskowego, jak fałszował raporty z operacji lotniczych nad Kambodżą i niszczył zapisy przeprowadzonych nalotów...”. Ralph Gershon czuł głęboką satysfakcję. W końcu prawda wychodziła na jaw. Był przekonany, że cała ta gówniana tajność z tamtych czasów wyrządziła tylko szkodę jego karierze. Może także przyczyniła się do tego, że udaremniano w zarodku wszelkie nieśmiałe próby, które podejmował, żeby dostać się do programu kosmicznego. Tak, to była wina gównianej tajności i gównianego koloru skóry. Może niektórzy ludzie bali się tego, co mógł powiedzieć, gdyby stał się osobą publiczną, no nie? No cóż, teraz w końcu tamta historia miała wyjść na jaw i nikt nie mógł nic na to poradzić. Siedząc w zatęchłym upale czytelni, naprzeciwko jakiegoś śpiącego dziadka, któremu strużka śliny toczyła się z ust, podjął decyzję. Kiedy tylko wróci do swojego skrzydła, skrobnie nowe podanie do NASA.

Zanim się podniósł, przeczytał jeszcze trochę o tym, że Ehrlichman i Haldeman będą musieli zeznawać w Senacie. „Wreszcie” – pomyślał. „Wreszcie ten dupek Nixon zacznie dostawać za swoje”.

Katastrofalne powodzie przyczyną

erozji na Marsie i Ziemi

Ronald R. Victor (Katedra Geologii, Uniwersytet Teksaski w Austin) Natalie B.

York

(Laboratorium Badawcze Przestrzeni Kosmicznej, Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley)

Otrzymane 18 III 1974 r.; przejrzone 6 X 1974.

(streszczenie)

„Wielkie kanały marsjańskie, zwłaszcza Kasei, Ares, Tiu, Simud i Mangala Valles, wykazują cechy morfologiczne, zaskakująco podobne do tych, jakie spotyka się w rejonach „kanałowego strzaskania terenu”. Elementy wspólne to rozległość obszaru, ujednoczenie wyglądu całego regionu, prosty bieg kanałów. Elementy erozyjne to łagodne wzgórza, południkowy kierunek wyłobień, katarakty wewnętrzkanalowe, usypiskowy charakter blokad nurtu i okazjonalnie niewielkie katarakty, a także płaskowyże i zagłębienia. Elementy zalegające to kompleksy ławic na drugich, prostych odcinkach kanałów, odnogi koliste i odnogi przewyższające kanały główne.

Erozyjne strzaskanie terenu występuje tam, gdzie mają miejsce wyjątkowo głębokie, szybko postępujące powodzie, działające na ciasno spojone warstwy skały macierzystej, które wytwarzają wtórne fenomeny hydrodynamiczne, w tym rozliczne wiry o niezwyklej burzliwości i prowadzące do rozdziału nurtów. Jeśli analogia do erozyjnego strzaskania terenu prowadzącego do powstania kanałów jest słuszna, powódzie trwające nie dłużej niż kilka dni, lecz angażujące przepływ milionów metrów sześciennych na sekundę i fale wyrastające na dziesiątki metrów w ciągu sekundy, występowały na Marsie... Z: „The Bulletin of Geophysical Research”, vol. 23, s. 27-41 (1974). Copyright 1974 Academia Press, Sp. z o.o.; wszelkie prawa zastrzeżone.

Lipiec 1976 roku Laboratorium

Napędu Odrzutowego, Pasadena

Gdyby York miała wskazać moment, w którym trajektoria jej życia uległa zmianie, wskazałaby na kilka dni w połowie 1976 roku.

Miała wrażenie, że od tamtej chwili sprawy popchnęły jak nowemu przeznaczeniu. Strasznie chciało się jej pić. Chociaż wszystkie okna były otwarte, słońce paliło dach i w samochodzie było gorąco jak w piekle. Okulary przeciwsłoneczne wciąż zjeżdżały jej z nosa, a za każdym razem, kiedy kładła rękę na ramie okna, karoseria parzyła skórę.

Bębniła palcami o kierownicę, czekając na Bena Priesta. W środku tego bałaganu, którym było jej życie, miała wrażenie, że cofa się do okresu dzieciństwa.

Kiedyś nad jej łóżkiem wisiało wielkie zdjęcie Marsa, czarno-biała fotograficzna mozaika złożona ze stu pięćdziesięciu ujęć Mariner 9; zdjęcie Góry Olimp była dokładnie w środku. Wisiało aż do chwili, w której Mike sprawił, że je zdjęła. Powiedział, że Olimp wygląda jak wielki cycek.

A teraz wyczekiwała za bramą JPL, jak jakaś cholerna fanka – nie miała przepustki – chcąc jak najszybciej obejrzeć nowe sowieckie zdjęcia powierzchni Marsa. W końcu pojawił się Ben. Ze swoją ostrzyżoną, siwiejącą głową wyglądał w każdym calu na żołnierza. Dźwigał grubą, kartonową teczkę z niebieskim logo NASA na okładce.

Truchtał mimo upału, ale nie pocił się wcale; wykrochmalona koszula z krótkimi rękawami lśniła bielą w ostrym południowym słońcu.

Tym razem nie udało mu się wprowadzić York do laboratorium. Nikt postronny nie powinien oglądać materiałów, które Sowieci przysyłali z Marsa. Wgramolił się do samochodu.

–Mam. Wyciągnęła rękę.

–Dawaj.

–Do diabła, nie. Tak się wita starego przyjaciela? Najpierw ucieknijmy gdzieś przed tym żarem. Mars może poczekać jeszcze kilka minut. Opanowała rozgorączkowanie. „Bądź grzeczna, Natalie” – pomyślała. 1 to przecież był Ben. Włączyła silnik.

–Znajdźmy jakiś bar. Jest tu coś?

–Tylko wodopoje, w których przesiadują długowłosi z JPL. Wolałbym jakiś czas ich nie oglądać.

–Zatrzymałam się w Holiday Inn. To tylko kilka minut stąd. – Jeśli o mnie chodzi, może być. – Ruszyła. – Spodziewałem się, że Mike też będzie – powiedział Ben.

–Och, w końcu nie mógł się wyrwać. Za mocno ugrzązł głową w rurze wydechowej NERVA 2.

„A może we własnym tyłku” – dodała kwaśno w myślach. – Wiesz, ten interes z NERVA wciąż nie idzie za pięknie. Mój lot Apollo-N znów odłożono i...

–Mike nie mówi mi o niczym. Zresztą połowa z tego i tak jest utajniona. – No cóż, tak się też mówi w Wydziale Astronautów. Jak więc się układa mojej ulubionej pannie geolog?

Odchrząknęła i poprawiła zjeżdżające okulary.

–Jeśli chcesz prawdy, to gównianie. Mój profesor w Berkeley, Cattermole, to szakał.

Priest roześmiał się głośno.

–Ciekawe. Opowiedz, co masz na myśli.

–Cattermole jest spryciarzem, kiedy trzeba wywalczyć fundusze dla katedry, wyrwać jakiś grant. Ale na tym jego inteligencja się kończy. Poza tym to zakuta pała. Stara

**zakuta pała. Jego programy są do kitu. Metody też. Uważa, że Laboratorium
Badawcze**

**Przestrzeni Kosmicznej to pompa do wysysania pieniędzy z NASA. Gdybym miała
na**

tyle

**oleju w głowie, że dostrzegłabym to przed podpisaniem umowy o pracę, nie
zbliżyłabym się**

do człowieka na dziesięć mil.

–Ale masz tylko umowę na czas określony.

No, a potem będę musiała znaleźć inną pracę.

Jak znajdziesz. Jeśli będziesz tego chciała. Jesteś inteligentną dziewczyną, Natalie.

Nie traktuj mnie protekcjonalnie, dupku. – Znów się roześmiał – Tak, znajdę inną robotę. Może nawet zostaną gdzieś wykładowczynią. Ale... Ale nie sądzisz, żeby uśmiechało ci się życie zwykłego geologa. Nie wiem, Ben. Może nie. – Nawet praca nad danymi z Marsa nie dawała jej satysfakcji.

–Jakie widzisz możliwości?

–No cóż, jest masa pracy dla geologów w przedsiębiorstwach naftowych. Dobra pensja; dużo podróży. – Nic na to nie odpowiedział. Kiedy zerknęła na niego spod oka, zobaczyła kwaśną minę. To doprowadziło ją do wściekłości. – Co innego mam robić, mądralo?

Uśmiechnął się i klepnął teczkę, która trzymał na kolanach. – To oczywiste. Twój

kłopot polega na tym, że tysiące geologów odwiedziło już Alaskę.

–I co z tego?

–To, że znam miejsce, w którym żaden geolog nie postawił dotąd nogi. Twój kłopot sprowadza się do tego, że pracujesz nie na tej planecie, co trzeba. Bar w Holidayu pękał w szwach. Był piąty lipca, dzień po obchodach dwustulecia kraju. Ściany upstrzono flagami i masą innych świątecznych dekoracji. Wisiały tam gazetowe zdjęcia z Operacji Żagiel, wielkich regat w porcie nowojorskim, pożółkłe listy uczestników konkursów w błyskawicznym jedzeniu ciasta, wywijaniu pałką tamburmajora i wspinaczce na otłuszczony słup.

York znalazła stolik w kącie. Kiedy Ben ruszał po napitki, wyrwała mu z rąk teczkę i rozłożyła sowieckie materiały na okleinowanym blacie.

Pierwsze zdjęcia to były ujęcia reklamowe, atrapy ładownika Mars 9 na tle

upozorowanej powierzchni Marsa. Statek lądował twardo, zamknięty w kulę; potem rozwijał

cztery płyty, ukazując instrumenty i antenę. Przybierał wygląd rozłożonej sfery, mającej

cztery stopy średnicy.

Ben wrócił z piwem w spoconych butelkach.

Przesunęła reklamowe zdjęcia w jego kierunku.

–Popatrz na te cholerstwa. Czerwony piasek i niebieskie niebo. Roześmiał się. – No, trudno mieć pretensje do Sowietów. My też spodziewaliśmy się tam czegoś podobnego. Kłopot w tym, że chcemy, aby Mars był jak Ziemia. – Wziął jedno ze zdjęć. – Niemniej jednak, czy ten ich ładownik nie jest śliczny? – No, pewnie – warknęła York. – Ale Viking byłby o niebo piękniejszy. Miałby stereoskopowy kamery i pełne wyposażenie stacji meteorologicznej, i zestawy do czterech eksperymentów biologicznych. A Voyager miałby pojazd marsjański. – Voyager, ciężki próbnik marsjański, mający zostać wyniesiony przez Saturna 5, padł ofiarą cięć budżetowych w 1967 roku. Ładownika typu Viking skreślono pięć lat potem. – Pomyśl o tym. Gdybyśmy chcieli, żeby ten sowiecki próbnik po setkach milionów mil podróży zajrzał za jakąś skałą odległą o dwanaście stóp, moglibyśmy się pocałować w nos. Żalotne. Uniósł ręce obronnym gestem.

–Nie wciągaj mnie w dyskusję na ten temat. W każdym razie Sowietci osiągnęli wcale

niezłe wyniki.

–My osiągnęlibyśmy lepsze, Ben. Wiesz o tym.

Wszystko, czym NASA mogła się pochwalić, to kolejny marsjański orbiter robiący zdjęcia wysokiej rozdzielczości lądowisk w strefie równikowej plus jeden próbnik twardego lądowania, który zbadał atmosferę, zanim się roztrzaskał o powierzchnię. Przypominało to program lunarny z lat sześćdziesiątych; bezzałogowy program naukowy był całkowicie podporządkowany potrzebom operacyjnym przyszłej misji załogowej. Ten nowy Mariner, wypakowany ekwipunkiem do robienia zdjęć, nie był sondą naukową, ale zaawansowanym zwiadowcą misji załogowej.

„A mogliśmy przynajmniej wysłać parę Vikingów” – pomyślała York. Tymczasem Sowieci posyłali swoje nieporadne próbki, wyraźnie kierując się względami naukowymi. Więcej, posyłali je przy każdej możliwos’ci od 1960 roku. Z tegorocznej pary Mars 8 zawiódł, ale Mars 9 zaczął przekazywać obrazy powierzchni wczoraj – w Święto Niepodległości Ameryki. Bez dwóch zdań, pierwszy marsjański lądownik zapewne dostarczył Sowietom wszelkich propagandowych korzyści, o jakich mogli zamarzyć.

Priest wyciągnął kolejne zdjęcia z teczki.

–Proszę. To jest to, co ci się spodoba...

Porwała fotografie i łąpczywie zaczęła je przeglądać. Zdjęcia były ziarniste i rozdzielczość nie okazała się rewelacyjna. Ale były kolorowe. Wkrótce barowy stolik pokryły fotografie rdzawobrazowej marsjańskiej zwietrzliny, regolitu, skalistego horyzontu, różowego nieba.

To jest przeznaczone wyłącznie do użytku JPL – powiedział Priest. – Sowieci przekazali je nam, bo daliśmy im zdjęcia basenu Hellas, ich lądowiska, zrobione przez Marinera. Więc teraz ich nie oglądasz. Dobra?

–Pewnie. – Serce biło jej mocniej. – „Och Boże, Ben. Nie masz pojęcia, jaka ci jestem wdzięczna. Gdyby nie ty, musiałabym załatwiać sobie te materiały miesiącami” – pomyślała.

Pogładził jej dłoń; skórę miał chłodną i suchą. Nie wiedzieć czemu, jego dotyk ją poruszył.

–Wiesz, widok twoich obecnych emocji wiele dla mnie znaczy. Spojrzała na złączone ręce. Zmieszała się, ogarnęły ją sprzeczne uczucia. A więc jej niejasne stosunki z Benem Priestem stały się jeszcze bardziej niejasne.

Cofnęła rękę, nie chcąc teraz o tym myśleć. Nie teraz, gdy na blacie stolika

spoczywał Mars.

Sowiecki ładownik siedział w środku płaskiego, sfalowanego pejzażu barwy ochry. Między małymi diunami spoczywały wielkie głazy. Przypominało to kamienne pustynie Afryki Północnej, Ameryki Północnej lub Azji. Na niektórych ujęciach był sam ładownik; tu nierozwinięty płat, spoczywający na zwietrzelisku, tam stos niezgrabnych sowieckich urządzeń na górnej części ładownika, kilka pomalowanych na biało skrzyń, odbijających się od różowego nieba. Kolejne zdjęcie ukazywało ramię do zbierania próbek, podniesione jakby triumfalnym gestem; York wyraźnie widziała rowy, wryte w piaszczystym gruncie. To wszystko miało bardzo realny wygląd, kamienie były oddane z taką ostrością, że niemal mogłaby sięgnąć w głąb fotografii i wziąć je do ręki... – Natalie? Nic ci nie jest? – Spojrzała na niego. Nie widziała wyraźnie jego twarzy; pot ciekł strumyczkiem po jej policzku. – Natalie...? – Uhm. – Szybko otarła oczy serwetką. – Przepraszam.

–Nie musisz przeproszać.

–Mam takie wrażenie, jakbym tam była. Siedziała na tym ładowniku, na samym Marsie...

„Dokładnie wiem, gdzie jestem...” – myślała.

„W Hellas. Jednym z najgłębszych basenów planety. Tu, na południowej półkuli Marsa, jest tuż przed przesileniem zimowym; to środek zimy.

Powierzchnia jest czerwonawa, zarzucona wielkimi głazami. Ze swojego miejsca widzę między diunami zagłębienia wyglądające na kratery meteorytowe. Diuny są wyraźnie wynikiem erozji eolicznej. Widzę również inne efekty tej erozji, ławice delikatnego żwiru zalegające między głazami. To świadczy o tym, że kierunek wiatrów jest raczej jednakowy.

Ale jest oczywiste, że na ukształtowanie powierzchni wpłynęła nie tylko erozja. Dalej są stwardniałe, zestalone obszary, skorupa soli mineralnych powstała w wyniku parowania.

Tu była woda i ona też ukształtowała powierzchnię...”. Zamówił im obojgu kolejne piwo. Pociągnęła łyk i poczuła zimny strumyk alkoholu odbierający oddech.

–A teraz popatrz na to. – Ben wyjął ksero raportu. – To prawdziwa żyła złota. Szybko przebiegła wzrokiem kartkę. Zawierała wstępną ocenę sporządzoną przez akademika Borysa N. Petrowa, członka sowieckiego zespołu nauk przyrodniczych. Ocena była niezwykle ostrożna. Sporządzono ją w języku nauki, której York tylko liznęła, dodatkowo zamaskowanym urzędowym żargonem Sowietów. Odłożyła kartkę.

–To takie cholernie zawoalowane. W ogóle nie można się niczego dorozumieć. Prawda. – Ujął szklankę w rękę. – No cóż, wyniki są wieloznaczne. Badanie śladów życia przeprowadzono spektrometrem mas do chromatografii gazowej. Nas byłoby stać na więcej. Viking przeniósłby... No, wiem. W każdym razie spektrometr szukał w zwiertzelinie molekuł organicznych.

I...?

Nie znalazł nic, Natalie.

Nic? Ale to niemożliwe...

Molekuły organiczne nie były koniecznym znakiem obecności życia. „Organiczny” znaczy po prostu „oparty na węglu”. Ale molekuły organiczne były koniecznym prekursorem życia typu ziemskiego i oczekiwano, że zostaną znalezione na Marsie; materiały organiczne znaleziono wcześniej nawet w meteorytach z dalekiej przestrzeni kosmicznej. – Faceci z JPL uważają, że na Marsie musi zachodzić jakiś proces, który skutecznie niszczy twory organiczne – powiedział Ben. – Może promieniowanie ultrafioletowe Słońca.

–Powierzchnia więc tak naprawdę jest wy sterylizowana. – Poczula miażdżący zawód. Uświadomiła sobie, jak nierozsądną nadzieję żywiła, spodziewając się jakichś form życia, może odpornych porostów, przylegających do skał po osłoniętej od wiatru stronie. – Mars jest martwy.

–Czy prawdziwy naukowiec twojego pokroju powinien przyjmować takie przedwczesne wnioski? – Sięgnął po inny dokument. – Posłuchaj tego. To raport zespołu meteorologicznego. „Późnym popołudniem wiatr wiał przeważnie ze wschodu. Po północy zmienił kierunek na południowo-wschodni i oscylował między wymienionymi kierunkami przez dwa cykle. Maksymalna prędkość wiatru wynosiła dwadzieścia cztery stopy na sekundę, w porywach do czterdziestu pięciu stóp na sekundę. Temperatura minimalna spadła tuż przed brzaskiem do minus dziewięćdziesięciu sześciu stopni Celsjusza, tak jak poprzedniego dnia. Maksymalna, mierzona o czternastej szesnastce czasu lokalnego, wyniosła minus czterdzieści trzy stopnie. To dwa stopnie niżej niż o tej samej porze poprzedniego dnia.

Średnie ciśnienie...” – Natalie, mój Boże, to informacje pogodowe z Marsa. Podniosła ku niemu wzrok. Niebieskie oczy wpatrywały się w nią, miał łagodny wyraz twarzy; poczuła się tak, jakby widział ją na wskroś. Pomyślała, że latami zmierzała w kierunku Bena Priesta, może ku tej chwili, jak jakiś durny statek kosmiczny po ślepej trajektorii ku wyznaczonej planecie. Przynęła się do niego nad rozłożonymi fotografiami Marsa. Dotknęli się ustami, łagodnie, prawie nieśmiało. Miał chłodne, trochę spierzchnięte wargi. Znów wysunęła usta i tym razem pocałunek był pozbawiony cienia wstydlivosti.

„Musiało upłynąć piekielnie dużo czasu, zanim się to stało” – pomyślała. Ben

Priest i

Mars. To było twórcze połączenie.

W końcu odsunęli się od siebie.

Pogładził ją po policzku.

–No, niech mnie diabli. Powiedz, skąd się to wzięło? – Sowieci przysłali zdjęcia z Marsa – odparła. – Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie jest wielki dzień dla nas wszystkich, dla całej ludzkości. Może nowy krok w historii naszej ewolucji. Czy nie należy tego uczcić? – Sięgnęła do kieszeni koszuli i wyjęła klucz od pokoju.

–Chodź.

Długo zaśnięciu Bena York pozostawała czujna. Noc była jak w piekle, ciemność zgęstniała żarem i wilgocią; pościel leżała w nieładzie, wilgotna na spoconej skórze. York słyszała tykanie małego zegarka obok łóżka i trzaski oddających ciepło żaluzji. Zdjęcia przesłane przez Marsa 9 i kopie wydruków leżały w nogach łóżka, na nich kłęb ubrań.

Czuła ciepło spoconego ciała Bena, spoczywającego obok. Ben obleciał Księżyc i teraz był tu, w jej łóżku.

Przypomniała sobie jego pytanie. „Niech mnie diabli, skąd się to wzięło?”. To prawda, skąd? I dokąd teraz oboje zmierzają?

Zastanawiała się, czy powinna zapytać go o Karen i Petera. Nie wspomniał o nich; nawet nie wiedziała, gdzie Karen teraz jest. Zwierzył się, że mają kłopoty z synem; młody, tryskający entuzjazmem Petey zamienił się w Petera, trudnego siedemnastolatka, który zamalował na czarno ściany swojego pokoju – zakrywając rysunki gwiazd i astronautów, które sam kiedyś sporządził – i poświęcał więcej czasu na słuchanie Alice Cooper niż rozmowy z ojcem.

Ale Ben nie rozwodził się nad tymi sprawami, chociaż widziała, że jest przygnębiony.

Prawdę mówiąc, Ben rzadko wspominał swoją rodzinę. A sama była suką hipokrytką. Kilka godzin temu Karen obchodziła ją tyle co zeszłoroczny śnieg.

Czy Ben był w ogóle gotów rzucić Karen? Na pewno znali się bardzo długo. Karen wiodła życie żony marynarza. Wychodząc za Bena, zgodziła się na długie rozstania, stargane nerwy. Być może uważał, że ma wobec niej dług wdzięczności. A zresztą, gdyby ją rzucił – co wtedy? Czy chciałaby z nim zostać?

Co z Mikiem?

Jak się dobrze nad tym zastanowić, to ich związek był skłębiony jak sto diabłów.

Trudno zrozumieć, jakim cudem ktoś taki, jak ona, osoba bałwochwalczo szanująca racjonalne myślenie i logikę, okazała się zupełnie bezradna w obliczu drobnych kłopotów

pary ludzi i ich przeciętnego związku.

Przestała się nad tym zastanawiać.

Podniosła teczkę z podłogi i najciszej jak mogła, wróciła do sowieckich materiałów.

Znalazła wyniki pomiarów analizy rentgenofluorescencyjnej. Analizator wysłał na Ziemię wstępną ocenę składu marsjańskiej zwietrzliny. York przejrzała szybko wyniki.

Dwutlenek krzemu – czterdzieści pięć procent, tlenek żelaza – osiemnaście procent... Było tam wiele krzemu, żelaza, magnezu, glinu, wapnia i sodu. Ale proporcje pierwiastków odbiegały znacznie od składu skał ziemskich. Za dużo żelaza. I za mało potasu. To było pewnie istotne; znaczyło, że skały marsjańskie nie uległy tak dużemu zróżnicowaniu za sprawą ogrzewania, jak na Ziemi, ogrzewanej od środka wielkim niklowo-żelaznym jądrem. Mars był go pozbawiony...

Zakłęła pod nosem. Spekulowała. Dane były ograniczone. Sowiecki ładownik objął swoim badaniem drobny wycinek powierzchni planety, której obszar łądów dorównywał ziemskiemu. Wystarczało spojrzeć, żeby zobaczyć, jak skromna była ilość próbek. Sowietci dysponowali jedynie niezwiązanym, zwietrzałym materiałem, przesiewem, jak nazywali go geolodzy. To za mało, żeby stworzyć sobie pełny obraz. „Tak naprawdę, to potrzeba nam tam kogoś, kto by zlązł z ładownika ze szpadłem i młotkiem” – pomyślała.

Teraz, kiedy opadło uczucie pierwszego zawodu, przestała się przejmować wynikami zespołu nauk przyrodniczych. Nie myślała o dowodach istnienia życia. Fascynowały ją problemy geologiczne. Jakkolwiek by było, życie to tylko drugoplanowa konsekwencja zjawisk geologicznych. Chociaż pewny dowód w kategoriach biologicznych też by się przydał. „Wystarczyłoby nam zobaczyć goryla, którego molekuly byłyby oparte na związkach krzemu, jak śmiga w górę i w dół tego cholernego ruskiego aparatu fotograficznego, a jutro popędzilibyśmy na Marsa” – pomyślała. „Wystarczyłby nawet widok skamieniałego trylobita”.

Przypomniała sobie tamte marne zdjęcia z Mariner 4. A później zdumiewające

obrazy Fobosa i Góry Olimp z Mariner 9. Dzięki próbnikom, ludzkość w ostatniej

dekadzie

nauczyła się więcej o Marsie niż podczas całej swej historii. York miała

szczęście, że żyła w

czasach rozwiązywania odwiecznych zagadek.

„Szczęście” – pomyślała. „Może”.

Ale miała wrażenie, jakby Mars się z nią droczył. Jakby ją kusił. Odłożyła raporty. Przyszedł czas na szczerą rozmowę z samą sobą. Ten strumyczek danych nie wystarczał. Nie chciała spędzić kolejnych trzydziestu lat jak kilku ostatnich, ślęcząc nad ziarnistymi zdjęciami z Mariner'a, konstruując hipotezy, których nigdy nie mogła potwierdzić.

„Do cholery, ja chcę polecieć na Marsa” – pomyślała. „Chcę uklęknąć na tym kamienistym gruncie, wykopać rów i zanurzyć palce w rękawicach w tej powierzchni. Chcę zobaczyć różowe niebo, bliźniacze księżyce, wjechać na szczyt Góry Olimp i stanąć na krawędzi Valles Marineris...”.

Mars uwodził ją, powoli odsłaniając swoje tajemnice. Teraz zdała sobie sprawę, że Ben dostrzegł to wyraźniej niż ona. I na pewno wyraźniej niż Mike, który ledwo widział coś poza czubkiem własnego nosa.

Ale nie to marzenie i nie ambicje były tu problemem. Problem polegał na tym, że jednak miała minimalną szansę się tam dostać. Jak powtarzał Ben, miała odpowiedni wiek, odpowiednie kwalifikacje, żeby współzawodniczyć o miejsce w NASA.

Problem polegał na tym, że mogła faktycznie się o nie starać, ale wchodząc do

NASA,

próbując dostać się na Marsa, stawiała kreskę na całym swoim dotychczasowym życiu. To

znaczyło powrót do nauki

i konieczność przechodzenia niekończących się, bezsensownych szkoleń z tymi dupkami w NASA, po czym mogła strawić lata na niskiej orbicie okołozemskiej, pracując nad jakimiś gównami leżącymi poza obszarem jej specjalizacji. To znaczyło również – nagle zdała sobie z tego sprawę – że nie będzie miała dzieci.

Czy naprawdę chciała poświęcić to wszystko, przejść przez taki, straszne gówno, tylko dla tej minimalnej szansy, że przespaceruje się po stokach Tharsis? Ale palce ją świerzbiły, żeby wbić się w tamten pył, kopać, dostać pod luźną powierzchniową warstwę Marsa.

Następnego dnia miała się spotkać z Mikiem. Zarezerwowała śródmiejski hotel w Los Angeles, żeby mogli spędzić jakiś czas razem.

Po ostatniej nocy była to naprawdę gówniana perspektywa. Ale zdecydowała się jechać. Uznała, że nie ma za bardzo wyboru i musi przebrnąć przez to spotkanie, randkę, czy jak tam nazwać to cholerne coś na tym etapie jej stosunków z Mikiem. Zanim się rozstali, Ben wyjął z kieszeni kurtki ulotkę.

–Masz – powiedział. – To dla ciebie.

Osiemnaście godzin później udało się jej rozmasować ramiona Mike'owi i w końcu rozluźniony zasnął.

Ale sama nie mogła zmusić się do zaśnięcia.

Leżała zeszywniała i trochę przeziębiona, a pozwijane prześcieradło uwierało ją

w

plecy. Miłe ciepło, którym napełniła ją brandy z minibaru, znikło i czuła się

zardzewiała, a

serce sygnalizowało nadmiar przeżyć.

Poza tym chciała coś obgadać z Mikiem.

Otworzyła szufladę stoliczka i wyjęła ulotkę od Bena. Pręgi słabego światła na suficie nie pozwalały odczytać tekstu, ale rozróżniała zdjęcia; sławne ujęcie Joe'go Muldoona stojącego na Księżycu z ręką na piersiach, schematyczne trasy statków kosmicznych latających w Układzie Słonecznym. Z tyłu formularz zgłoszeniowy; przesunęła palcem wzdłuż perforacji.

Ulotka wydana przez Państwową Akademię Nauk na zlecenie NASA nosiła tytuł:

„Dziś naukowcy – jutro astronauty”. Opisywała świetlaną przyszłość podboju kosmosu; wielkie laboratoria na orbicie okołoziemskiej, kolejne stacje na Księżycu, nawet długotrwałe ekspedycje badawcze po wstępnych przebieżkach załóg Apollów. Poza tym wymieniono cele NASA wykraczające poza przestrzeń wokółksiężycową: pierwsza załogowa wyprawa na Marsa, orbitalne loty wokół Wenus – i załogowe loty do pasa asteroidów oraz układu Jowisza.

Wszystko za życia czynnych obecnie naukowców.

To był formularz zgłoszeniowy dla przyszłych astronautów.

Miała ochotę wyrzucić ulotkę do kosza. Była ogromnie zawiedziona tym śmieciem;

typowe marzycielstwo NASA, zakładające optymistycznie niewątpliwy wzrost

funduszy i

nieugiętą wolę politycznych decydentów. W imię czego miałyby poświęcić

dotychczasową

karierę, przekreślić dziesięć lat życia? Przecież żaden punkt tego niebywałego

programu nie

był realny...

Żaden. Może z wyjątkiem Marsa.

Wszyscy wiedzieli, jakie są problemy; Program NERVA, w którym pracował Mike, był opóźniony o lata w stosunku do harmonogramu, prace nad nową raketą nośną Saturn szły opornie, a prace projektowe nad ładownikiem marsjańskim cierpiały na brak funduszy i nie miały jasno sprecyzowanych celów... I tak dalej, i tak dalej. Możliwe, że jeśli wszystko się ułoży, NASA w końcu zdobędzie Marsa, ale odbędzie się to w tym samym stylu, w jakim zdobyła Księżyc; nie w ramach długoterminowej strategii zintegrowanej ekspansji w głąb Układu Słonecznego, jak trąbiono w ślicznej ulotce, ale w ramach skleconej ad hoc pokazówki. Nie było takiej siły, która

zmusiłaby Agencję do innego stylu pracy. Ale mimo tych wszystkich minusów, poczyniono jakiś postęp i wyglądało na to, że zapewniono fundusze na najbliższą przyszłość. Poglądy Jimmy'ego Cartera na program kosmiczny miały się dopiero ujawnić, ale Ben powiedział jej, że Fred Michaels, dyrektor NASA, użył swoich wpływów, wspierając Teda Kennedy'ego w wyścigu do fotela wiceprezydenta, a działając przeciwko Walterowi Mondale'owi – dobrze znanemu krytykowi programu jeszcze w latach sześćdziesiątych. Carter/Kennedy byli wyraźnymi faworytami w listopadowych wyborach. Potem sprawy miały ułożyć się lepiej dla Michaelsa, który był związany z demokratami i posiadał sojuszników w klanie Kennedych tak w Białym Domu, jak i poza nim...

Wyglądało na to, że NASA wciąż podąża na Marsa.

York zamierzała porozmawiać o tym z Mikiem. Jednak temat jakoś się nie pojawił.

Odłożyła ulotkę do szuflady.

Mike poruszył się, ale spał dalej. Leżał jak dziecko, na brzuchu, z rękami przy odwróconej boku głowy, twarzą ku niej. Włosy ułożyły mu się w czarną aureolę. Śpiąc spokojnie, nie wyglądał na swoje trzydzieści cztery lata. Podczas ostatnich kilku miesięcy prawie go nie widywała. Pracował jak szalony. NERVA 2 był teraz zaledwie siedem miesięcy od przyjęcia projektu, więczącego wstępną fazę A. Następnie miała ruszyć faza B, produkcja i działania operacyjne. Pierwsze bezzałogowe loty próbne przewidziano na 1978 rok, a nadanie certyfikatu wstępnego, po pierwszym locie załogowym, powinno przyjść półtora roku później. Ale ludzie Mike'a nadal nie potrafili zmusić wielkiego silnika do pokonania bariery kilku sekund.

Mike bardzo się tym przejmował. Widać było, że przebywa na stanowisku po piętnaście, osiemnaście godzin na dobę. Wychudł, miał podkowy pod oczami, ubranie i włosy

brudne, zaniedbane. Nie wiedziała, czy zawsze tak reaguje na kłopoty, czy też chodziło o to,

że obecne problemy obciążają go osobiście, bowiem opóźnienia dotyczyły układu chłodzenia,

za który właśnie Mike był odpowiedzialny.

Nadal nie mogła zasnąć i włączyła telewizor.

Nadawano powtórkę „Star Trek”. Stare silniki znów się sypały i Mr Scott z

kluczem

maszynowym czołgał się szklaną rurą.

–Gdyby to było tak proste – wymamrotał Mike.

Uniósł głowę z poduszki i zmrużył przekrwione oczy, wpatrując się w ekran.

–Nie chciałam cię budzić, Scotty. Sięgnął po papierosa.

–Chcesz jeszcze coś do picia?

–Nie. Brandy chyba nie daje mi spać. – Dotarła do niej uspokajająca woń gęstego dymu; przypomniała jej matkę. – Czasem chciałabym zapalić. – Nawet o tym nie myśl – mruknął.

–

ii

i.

Zastanawiała się, czy powiedzieć mu o zgłoszeniu, leżącym w szufladzie stolika.

Ale on już patrzył na zegarek.

–Chyba i tak bym się obudził. Powinni teraz przeprowadzać ostatnią próbę odpalenia. Mój dumny zegar wewnętrzny budzi mnie w takich chwilach, nawet kiedy jestem dwadzieścia mil od poligonu.

–Odpalenia. Próby. Zawsze pieprzone próby. Mike, jak nie znajdziesz jakiegoś sposobu, żeby się odprężyć, doprowadzisz się do szaleństwa. Wydmuchnął dym.

–Myślę, że wszyscy jesteśmy trochę szaleni.

„Problem w tym, że NASA wykształciła taką kulturę pracy. Ciągnęliśmy po osiemnaście godzin dziennie przez osiem lat, żeby wysłać człowieka na Księżyc w ramach Programu Apollo i jeśli teraz mamy doprowadzić do tego, żeby poleciał na Marsa, to, cholera, pociągniemy tak dalej...” – pomyślała. Ale w Programie Apollo były pomyłki, za które zapłaciło życiem paru ludzi.

Położyła dłoń na jego dłoni. Czuła, jak spęczniała, niemal zwinęła się w pięść.

Pogładziła sterczące kłykcie.

–Słuchaj. Zastanawiałam się. Nie widujemy się tyle, ile trzeba. – Do diabła, wiem o tym. Ale co możemy na to poradzić? Zawsze wiedzieliśmy, jak będzie.

Szukała słów.

–Ale myślę, że prowadzimy puste życie, Mike. Za bardzo zaniedbujemy siebie nawzajem. Zbyt wiele innych rzeczy odciąga nas od siebie. – Wskazała hotelowy pokój. – Potrzebujemy czegoś więcej niż takich skrawków neutralnego terytorium. Potrzebujemy czegoś stałego. Myślę, że powinniśmy rozejrzeć się za jakimś domem... Wydmuchnął chmurę dymu, parszkając przy tym szyderczo. – Gdzie? Mamy szczęście, jeśli oboje jesteśmy w tym samym stanie dłużej niż dobę.

Jego lekceważące podejście było irytujące.

–Wiem o tym. Nieważne „gdzie”. Byle gdzie. Tu, czy może w Berkeley. I to bez znaczenia, czy ten cholerny dom stałby pusty przez trzy czwarte roku. Byłby nasz, Mike, w tym rzecz. Byłby jakąś bazą. W tej chwili mamy tylko pokój w Holiday Inn. I nie myślę, żeby nam wystarczał.

Mam dwadzieścia osiem lat, na miłość boską” – dodała w myślach.

Zduślił papierosa i przyjrzał się jej. Na ekranie telewizora zapomniany kapitan

Kirk

stawiał czoło kolejnemu kryzysowi.

Jesteś szaloną kobietą, Natalie York.

Może jestem. Co na to powiesz?

Czemu teraz? Przecież to nie zmieni naszego cholernego stylu życia, nie doprowadzi do tego, że będziemy się częściej ze sobą widywali. Ze swojej kariery nie zrezygnujesz.

Oczywiście. I ty też nie. – Pociągnęła go za palce. – Ale nie w tym rzecz. „W takim razie w czym, Natalie?” – zadała sobie pytanie w myślach. „Jaki pierwotny instynkt kazał ci wyciągnąć tę sprawę teraz, po tylu latach? Właśnie w tej chwili, kiedy zastanawiasz się nad wkroczeniem na drogę, która może cię wypchnąć daleko poza Ziemię...”

Najwyraźniej nie poradziła sobie jeszcze z tym wszystkim, co przydarzyło się jej wczorajszej nocy.

Pomyślało ponuro, że może całe to dzisiaj z Mikiem było tylko jakimś sposobem

uporania się z tamtym wczoraj z Benem.

Lecz jeśli tamto było szczere, jaką wartość miały jej uczucia względem Mike'a?

„Chryste – jęknęła w duchu – ale się namieszało”.

Odezwał się telefon. Drgnęła na ostry ton dzwonka. – Jezu – powiedział Mike, podnosząc słuchawkę. – Halo?... W porządku, przyjeżdżam. – Odłożył słuchawkę.

–Mike...

Już wychylił się z łóżka, pełzał po podłodze, szukając spodni. – Odpalenie nie wyszło. Silnik pracował niecałe pół sekundy. Cholera jasna! – Poglądził ją po głowie. – Muszę jechać, Natalie. Śpij dalej.

–Nie spałam. – Kopnięciem zrzuciła kołdrę i wstała z łóżka; chłód aż kąsał skórę. –

Też jadę.

–Nie musisz.

–Wolę tak. Zresztą i tak powinniśmy skończyć ten temat. – Mike już miał na sobie koszulę; mrucał coś do siebie, pochłonięty wyłącznie problemami z silnikiem. „Pewnie już wypadło mu z głowy, o czym rozmawialiśmy” – pomyślała. Wyjechali na poligon trochę po trzeciej w nocy. Dojazd ze śródmieścia Los Angeles do Santa Susana zajmował zwykle pół godziny.

Mike wyjechał z San Fernando Valley; York ujrzała w dole płonące latarnie uliczne i zgrabne prostokątne kwartały światła, przyklejone do podłoża i ścian doliny. Mike jechał zdenerwowany, za szybko, bez słowa. Poligon mieścił się w nieregularnym, zarzuconym głazami obniżeniu terenu Gór Santa Susana. Kiedy Mike zatrzymał samochód i wyszli na zewnątrz, poczuła wyraźny chłód.

Ruszyli do centrum.

Gwiazdy świeciły mocno, chociaż młody księżyc dawno już znikł za horyzontem. Poligon Susana pracował dla NASA pod zarządem przedsiębiorstwa Rockwell International. Powstał w ramach prac badawczo-rozwojowych nad starym S-2, drugim stopniem Saturna 5. Prawdę powiedziawszy, nadal prowadzono tu prace nad S-2. Cały rejon mrowił się od ludzi i techników, poruszających wokół platformy. Wyglądali jak obrzydliwe owady, ubrani w żaro – lub radioaktywnoodporne kombinezony. Silnik NERVA 2 stał odwrócony do góry nogami w sercu poligonu, zabezpieczony płotem z drutu kolczastego. Szeroka dysza główna rozszerzała się

kielichowato ku niebu, lśniąć w blasku potężnych reflektorów.

Kiedy znaleźli się blisko platformy, technicy podeszli do Conliga. Mike zdobył się na ostatnie przepaszające spojrzenie i York przestała dla niego istnieć. Zostawiona samej sobie, rozpoczęła powolną przechadzkę wokół platformy. – Cześć. Tak wyglądasz, jakbyś tego potrzebowała. – Odwróciła się. Mężczyzna, który się do niej odezwał, stał tuż, uśmiechając się szeroko; był wysoki, blady, jasnowłosy.

Nosił usmarowany dres. Wyglądał tak, jakby nie kładł się przez całą noc. Trzymał

dwa

plastikowe kubki z brązowym płynem. – Z automatu. Podobno to kawa, ale nie

ręczyłbym

za to bez pełnej analizy chemicznej.

–My się znamy. Prawda.

–Aha. Adam Bleeker. Kilka lat temu byliśmy razem na ćwiczeniach w terenie, w Górach San Gabriel.

–Och. – To był astronauta-żołnierz zimnej wojny. – Z Benem i Charlesem Jonesem.

Ale to była klapa.

No, nie powiedziałbym. Ty się spisałaś. A tak przy okazji, każdy mówi na niego Chuck.

Jak go zwał, tak zwał. – Z wdzięcznością przyjęła kawę i pociągnęła łyk. Była ciepła, ale prawie bez smaku. Bleeker opowiedział jej, że reprezentuje tu Wydział Astronautów.

Kilka lat temu Ben Priest miał identyczne zadanie. – To dziwna pora na przeprowadzanie prób silnikowych – zauważyła York.

–No cóż, jesteśmy bardzo do tyłu z harmonogramem. Liczy się każda godzina.

–Opowiedz mi, co się tu dzieje. Przyjechałam z Mikiem. Znasz go? Mike Conlig...

–Jasne.

–Nic nie mogło go powstrzymać. Przyjechał zaraz, jak tylko dostał telefon.

Ruszyli z wolna wokół platformy. Wszechobecni technicy kłócili się ospale.

Panowała wyczuwalna atmosfera napięcia i załamania; jakby nastrój Mike'a rozlał się na cały poligon.

Kontrastowało to wyraźnie z Równiną Szakali – z nieokiełznanym entuzjazmem, który uosabiał tam Mike.

W środku tego wszystkiego stał wielki silnik NERVA 2 – pionowy, cichy, samotny i niedosiężny za swoim ogrodzeniem. Mike kiedyś powiedział jej, że motor to „zintegrowane stanowisko podsystemów silnikowych” i jest w pełni wyposażoną, jako tako sprawną maszyną, ale uwięziony na tej poczarnej platformie testowej może po odpaleniu tylko się wryć w Ziemię.

York wystarczyło spojrzeć na platformę, by przekonać się, że NERVA ma jeszcze przed sobą lata, zanim osiągnie sprawność operacyjną i dostarczy obiecany ciąg międzyplanetarny, dwieście tysięcy funtów.

Zwrócona ku niebu dysza była nasadzona na krótki, gruby walec, z którego sterczały dwie mniejsze dysze. Walec był hermetyczną osłoną radioaktywnego reaktora, a mniejsze dysze należały do zawieszonych kardanowo silniczków kontroli pozycji. York dojrzała pierścień półkuliście zakończonych urządzeń uruchamiających, tkwiących u podstawy silnika; służyły do operowania bębniem kontrolnym, spełniającym z kolei rolę moderatora reaktora.

Blisko silnika umieszczono wielki sferyczny zbiornik wodoru, z którego biegły przewody do hermetycznego walca i dyszy. Ze zbiornika unosiły się pióropusze oparów, lodowa pokrywa zdobiła metalowe ściany.

Adam Bleeker pomógł jej zrozumieć działanie silnika. – Płynny wodór pracuje jednocześnie jako paliwo i chłodziwo, pełniąc rolę tak zwanego chłodziwa regenerującego. Pompa wymusza obieg płynnego wodoru przez chłodzącą osłonę walca i dyszę główną. Następnie przebiega przez radioaktywny rdzeń, w którym zamienia się błyskawicznie w gaz i wylatuje dyszą... York zauważyła obojętnie, że nadal nie było urządzeń wyłapujących opary skażonego wodoru.

Bleeker wskazał jej, że rura odprowadzająca część gorących par wodoru z reaktora przekazuje je turbinie, napędzając pompy silnika. Wydech turbopomp służył kontroli pozycji, przechodząc przez małe dysze dodatkowe.

–Co dzisiaj poszło nie tak?

–Mieliśmy kawitację. Powstawanie pęcherzyków pary w strumieniu płynnego

wodoru. Podnieśliśmy ciepło rdzenia do temperatury pracy i puściliśmy wodór. Osiągnęliśmy wartość znamionową ciągu na jakieś pół sekundy. Ale zaraz wzrosła temperatura rdzenia.

Gdzieś poniżej pomp zaczęły tworzyć się pęcherzyki gazowego wodoru, powstrzymując krążenie chłodziwa. Dlatego wzrosła temperatura rdzenia. Musieliśmy go zamknąć.

–W jego

głosie przebijało zmęczenie. – Wyobrażasz sobie, jak restrykcyjnie traktuje się tutaj sprawę

bezpieczeństwa. Gdyby walec się rozhermetyzował, produkty radioaktywne sięgnęłyby

atmosfery i cholernie drogo byśmy za to zapłacili. Kiedy więc tylko

dostrzegliśmy kłopoty,

postąpiliśmy wedle regulaminu, który nakazuje zamknięcie strumienia wodoru i zalanie

całego cholernego rdzenia wodą, co prowadzi do obniżenia temperatury. Teraz będziemy

musieli wypompować tę skażoną wodę, rozłożyć rdzeń za pomocą manipulatorów i przekonać się, czy temperatura nie uszkodziła cylindrów przepływu paliwa... Miną

dni, zanim

będziemy gotowi do następnego testu.

–Chryste. Ale papranina.

York obserwowała profil Bleekera. Na tle potężnych reflektorów strumieniowych jego skóra wydawała się tak cienka, że prawie przezroczysta. Trudno było ocenić jego osobisty stosunek do tego wszystkiego Czy był zniecierpliwiony restrykcyjnością zasad, koniecznością przestrzegania przepisów bezpieczeństwa? Czy miał jakieś wyrzuty sumienia z powodu używania śmiertelnej substancji w niepewnym niesprawdzonym urządzeniu? Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na te

pytania. Tak jak podczas pierwszego spotkania, Bleeker zrobił na niej wrażenie człowieka całkowicie chłodnego, zimnego. A może zupełnie pozbawionego duszy.

Pracujecie tu pod sporą presję – powiedziała. – Wiem, że jest wiele wątpliwości, co do

tego, czy NASA dostarczy NERVA 2.

–Kto ma te wątpliwości? Wzruszyła ramionami.

–Prasa. Kongres.

–No tak – powiedział spokojnym tonem, bez cienia urazy. – Cóż, do diabła, trudno nie mieć wątpliwości. Sama wiesz, program prowadzą Niemcy z Huntsville. I nie podjęli się go, wiedząc, że mogą go zrealizować, że zbudują silnik, który da dwieście tysięcy funtów ciągu przez pół godziny. Podjęli się go, bo jeśli chcemy polecieć na Marsa, to musimy taki silnik mieć. Nie zajmowali się długimi analizami, żeby go sobie wyobrazić; po prostu zabrali się do budowy i korygują plany na gorąco. Zawsze w ten sposób pracowali. I kiedy się zna ich osiągnięcia, trudno z nimi dyskutować. Ale...

–Ale nie jesteś przekonany do tego wszystkiego. Zawahał się. – Prawdę mówiąc, harmonogram badawczo-rozwojowy, którego się trzymamy, opiera się na doświadczeniach technologii chemicznej. Atom to inna sprawa. Oni chyba dopiero zaczynają dostrzegać, jak bardzo inna. I to nawet po tym, jak wyeliminowaliśmy wiele elementów uprzyjemniających życie, na przykład pełne wykorzystanie mocy ciągu... Wydaje mi się, że harmonogram jest na wyrost. Za bardzo na hop siup. Brygada w strojach ochronnych weszła do odgradzonej strefy, gromadząc się wokół NERVA. York zastanawiała się obojętnie, czy jest tam Mike. Nie było sposobu się tego dowiedzieć.

Pełna urazy wpatrywała się w nieruchomy silnik. „Przez tę kupę złomu nie zobaczę teraz Mike’a tygodniami” – pomyślała.

Bleeker musiał ją zostawić i wrócić do pracy.

Przez dłuższą chwilę przypatrywała się powolnemu, nużącemu demontażowi, po czym wróciła do samochodu i udało się jej zasnąć na fotelu pasażera.

Kiedy się obudziła, słońce stało wysoko nad horyzontem, a w samochodzie było duszno i gorąco. Ani śladu Mike’a. Odszukała toaletę, skorzystała z niej i zostawiła

wiadomość dla Mike'a.

Wróciła do Los Angeles.

Czas misji: 004/21:38:11

Paczki rozkazów przychodziły z kontroli misji nocą. Miały postać wydruków dwudziestostopowej długości. Określały sugerowany termin wykonania zadania i zawierały korespondencję prywatną. York oddzieliła swoją porcję i włożyła ją do skoroszytu, wyrzucając wczorajsze polecenia, po czym zaczęła układać plan dnia. Przejrzała listę, szukając w pierwszej kolejności pozycji o wyznaczonych porach realizacji. Następnie poszukała zadań zespołowych oraz takich, które wymagały przygotowania. Paczki nie narzucały już tak szczegółowych harmonogramów, jakie obowiązywały pierwsze pokolenia astronautów, były jedynie wyznacznikami celów, „listami zakupowymi”.

Planowanie misji stało się znacznie luźniejsze niż w czasach, w których spacer po Księżycu ustalano co do minuty. To nowe podejście powstało podczas długich lotów Programu Skylab, w latach siedemdziesiątych. York przyjęła je z ulgą; była przecież doświadczoną profesjonalistką – jak wszyscy – i nie potrzebowała prowadzenia za rączkę z jakiegoś dalekiego, zapchanego ekspertami pokoju w Houston. Żeby się nie pogubić w czasie, pomagała sobie kieszonkowym budzikiem, zabawką, kupioną w sklepie z rupieciami w centrum handlowym Nassau Bay. Podobało się jej, że pośrodku tej całej zaawansowanej techniki ma coś tak zwykłego i niepunktualnego. Głównym zadaniem dnia York okazało się sterowanie zmiennoorbitową platformą naukową Aresa. Przepełnęła w górę, wzdłuż modułu misji. Układ modułu oparto na rozkładzie Skylabów, które miały za sobą już ponad dziesięć lat. Udźwig Saturna 5B wystarczył do wyniesienia modułu misji na orbitę Ziemi w stanie „suchym” – bez paliwa, częściowo wyposażonego w przepierzenia i sprzęt. Załoga zajmowała całe czterdzieści osiem stóp tego dawnego zbiornika wodoru o zaokrąglonym suficie i podłodze. Pod podłogą ukrywał się zbiornik ciekłego tlenu; znacznie mniejsza, ciasno ściśnięta sfera, będąca magazynem którego grubsze ściany miały posłużyć załozie za schron przeciwburzowe w razie ewentualnych rozbłysków słonecznych podczas misji. Przepierzenia z metalowej siatki o trójkątnych okach dzieliły zbiornik wodoru na trzy poziomy. York nosiła na nogach saboty z występami na podeszwach w kształcie litery V, tak że mogła utrzymać się po każdej stronie siatki. Przez środek warsztatu biegł ześlizg, a wszędzie były uchwyty, liny i uprząże.

Dolny poziom zbiornika służył za „dom” – szatnię, sypialnię i toaletę. Pas środkowy był jednocześnie sterówką i mostkiem kapitańskim, skąd zarządzano wszystkimi podukładami statku, procesami środowiskowymi i operacjami lotu, był też laboratorium i siłownią, z bieżnią na okrągłych ścianach zbiornika. Sprzęt do ćwiczeń, nadal w konfiguracji startowej, przymocowano do hermetycznego kadłuba. A górny poziom, najbliższy dziobu klastera, mieścił platformę naukową.

Cały moduł przypominał dużą maszynownię. Niezgrabne zbiorniki i pojemniki przymocowano do zaokrąglonych ścian, wszędzie biegły rury i przewody pod gładkimi osłonami z żółtego plastiku.

York wznosiła się ku platformie naukowej, przypominającej ośmioboczną jaskinię. Do zaokrąglonego kadłuba wszędzie przylegały spore zasobniki i stojaki ze sprzętem. Jedna strona ośmioboku tworzyła sufit z łukami widokowymi – czarnymi kręgami – i małymi śluzami powietrznymi do eksperymentów naukowych, zabezpieczonymi mocnymi pokrywami włazów, jak drzwiczki w domowych sejfach. Wszystko było nadal na swoim miejscu, starannie ułożone, nierozpakowane.

Przyciągnęła się do prawej ściany i wsunęła stopy w strzemiona. Miała przed sobą pulpit wskaźnikowo-kontrolny; długi szereg przełączników, monitorów i klawiatur

–

zwykłych i numerycznych. Włączyła obwody, zaczęła ładować systemy operacyjne do pamięci komputerów platformy i sprawdzać resztę wyposażenia. Budząca się do życia stacyjka naukowa przypominała domowe laboratorium małego kujona w okularkach; była zwarta, miniaturowa, po prostu słodka. Niektóre z eksperymentów Aresa należały do długoterminowego programu badań stanu nieważkości; dotyczyły krystalicznego rozwoju protein i rozprzestrzeniania się bakterii w warunkach mikrogravitacji. Było tu także niezgrabne urządzenie do badania sprawności przewodów grzewczych i oszczędności podczas przekazu ciepła metodami tradycyjnymi w warunkach nieważkości.

Lecz Ares oferował też pewnie wyjątkowe możliwości. Zakładano obserwację dużych zjawisk na Słońcu, jak plamy słoneczne i rozbłyski, z dwóch odległych miejsc obserwacji, Aresa i Ziemi, tak więc wieziono cały szereg instrumentów, które miały być skierowane na Słońce: koronograf, spektroheliograf, teleskop spektrograficzny. Ponieważ podczas lotu klaster Aresa musiał być skierowany ku Słońcu, żeby uniknąć przegrzania, całe instrumentarium zamontowano na palecie, która miała być rozwinięta i wysunięta poza moduł misji, jak lusterko wsteczne.

Przygotowanie urządzeń do pracy trwało dłużej, niż zakładała York. Pecety Hewletta-Packarda były powolne i przestarzałe; cały układ platformy naukowej, mający blisko dziesięć lat, był sztywno związany z robionymi na zamówienie, co prawda lekkimi, ale powolnymi maszynami sprzed lat. Hewlett-Packard i inni dostawcy komputerów zobowiązali się zaopatrywać NASA w sprzęt do lotów tak długo, jak to będzie konieczne. Tak więc ironia losu zrzuciła, że York w odległej przestrzeni kosmicznej, w drodze na Marsa, musiała obejść się techniką, z którą żadna szanująca się kasa oszczędnościowo-pożyczkowa w Koziej Wólce w stanie Indiana nie chciałaby mieć do czynienia. Poza tym okazywało się, że praca w

warunkach nieważkości była przyjemna jak drzazga w tyłku. Wszystko, co nieuwiązane, zaraz zaczynało fruwać. Łatwiej było pamiętać o zabezpieczeniu poważnych urządzeń, ale chętne do latania były również notatniki, długopisy, ołówki, chusteczki do nosa. York traciła dużo czasu, uganiając się za umykającymi częściami wyposażenia. Musiała przy tym ciągle pamiętać, że za każdym razem, kiedy chce coś poruszyć, najpierw powinna się czegoś złapać – rękami czy nogami, wykorzystując strzemiona, uchwyty, czy choćby owijając się nogami wokół pierwszego lepszego pręta. W innym przypadku, za każdym razem, kiedy przekręcała wyłącznik, ten po prostu odrzucał ją w głąb modułu.

Czuła się, jakby pracowała na lodowisku, na którym nieustannie traciła równowagę; wielkim, niewidzialnym trójwymiarowym lodowisku, terenie nieustannych ucieczek różnych przedmiotów, ślizgających się po idealnie prostych liniach. Kiedy spłynęła z powrotem do mesy, Phil Stone, zajęty lanczem, siedział już w małym kambuzie. Wokół dowódcy fruwały paczki i tacki z jedzeniem.

Nad nim, przymocowana do ściany, wisiała kamera telewizyjna. York pamiętała piąte

przez dziesiąte, że zbliża się pora kolejnej transmisji. „Ciekawe, ilu ludzi nadal nas ogląda?” –

zastanowiła się w duchu.

Stone zerknął na York.

–Zaczynasz wyglądać jak astronauta, Natalie.

–Czyli?

–Spójrz w lustro.

Najbliższe przymocowano nad umywalką. York przesunęła się i sprawdziła swój wygląd. Wokół jej głowy unosiła się aureola kosmyków włosów, pod oczami miała worki, jakby płakała. To był kolejny efekt mikrogravitacji; nagromadzenie płynów pod skórą.

Dotknęła poduszeczek pod oczami. Skórę miała tam delikatną, jakby naciągniętą.

Gershon spłynął ześlizgiem głową w dół.

–Witaj, Japonczko – powiedział, unosząc w górę kąciki powiek. Z głośnika na ścianie dobiegły szумы i trzaski.

–Ares, tu Houston. Widzimy, że macie tam prawdziwe smakołyki, Phil. – Dzisiejszym kontrolerem łącznikowym był Bob Crippen.

York wyczuła, że koledzy nieznacznie sztywnieją. Wymuszona jowialność Crippena sygnalizowała, że są odbierani przez stacje telewizyjne. „Chłopaki, znów jesteśmy na scenie”

–pomyślała.

Stone podniósł zwykłą szarą torebkę.

–Dzień dobry, Bob. Uwierzyłybyś, że patrzysz na potrawkę z kurczęcia? Wystarczy, że

tylko wsadzę ją do tej szufladki, zaleję trzema uncjami gorącej wody, wyjmę i trochę

zamieszam. No i proszę, mam pyszną potrawkę z kurczaka. – Postawił torebkę na tacce,

unoszącej się

obok niego; znajdowała się tam również puszka orzeszków i saszetka z ponczem z owoców tropikalnym, wszystko zamocowane na rzepy. Stone przesunął tackę w kierunku Gershona. – Proszę, wsuwaj.

–Mniem. – Gershon otworzył swoją torebkę z potrawką i zaczął wiosłować łyżką. Pomachał do kamery i uśmiechnął się; w stosunku do Stone’a wisiał do góry nogami.

–Latamy w przestrzeni kosmicznej od ponad dwudziestu lat – kontynuował gładko Stone – i udało się nam ustalić, jak należy sporządzać smaczne jedzenie. W zasadzie mamy takie samo pożywienie, jak załogi warsztatów na orbitach lunarnej i ziemskiej. Nasze menu powtarza się co mniej więcej sześć dni. Większość jedzenia to produkty do rehydracji, uwodnienia. Jak te kluski i kurczak. – Wskazał na swoją tackę. – To dlatego, że rehydracja jest procesem zapewniającym najlepszy stosunek jakości do wagi produktów. Ale mamy też żywność poddaną wcześniej termostabilizacji, czyli po prostu przyrządzoną przed startem, a potem umieszczoną w schładzanych pojemnikach. Są to na przykład pulpa pomidorowa i bryzol wołowy w sosie piklowym. Część produktów wieziemy w naturalnym stanie, jak te moje migdały. Poza tym mam liofilizowane gruszki i napój truskawkowy... Nie mamy tu lodówki ani zamrażarki jak na Skylabach, ale mamy coś nowego: piekarnik. Obieg powietrza jest oczywiście

wymuszony, nie odbywa się na zasadzie konwekcji. W warunkach zerowej grawitacji ciepłe powietrze wcale się nie unosi. I w tym naszym małym kambuzie mamy nawet bieżącą ciepłą i zimną wodę.

–Opowiedz im o puszczeniu bąków, Phil – podpowiedział mu cicho Gershon.

„Dobry pomysł” – pomyślała York. „Brawko, dupku”. Prawdę mówiąc, bąki stwarzały prawdziwy problem. W kurkach było urządzenie, które niby miało wychwytywać nadmiar wodoru z dostarczanej wody, wytwarzanego jako produkt uboczny przez akumulatory modułu misji. Ale urządzenie nie za bardzo się spisywało, tak więc wiele gazu dostawało się do żołądków załogi. I niemal równie szybko wydostawało.

–Ares, tu Houston. – Ares był już tak daleko od Ziemi, że mijają pełne sześć sekund,

zanim sygnał dotarł do Houston i powróciła odpowiedź Crippena. – Phil, dowiedzieliśmy się,

że mamy ogromną widownię.

–Miło nam to słyszeć.

Phil, czy powiedziałbyś, że ten kosmiczny catering naprawdę ci smakuje?

Stone się zawahał.

To trudno powiedzieć. Tu nawet artykuły żywnościowe w postaci naturalnej mają inny smak; sądzę, że to wynik jakiejś subtelnej zmiany fizjologicznej, reakcji na mikrograwitację, której jeszcze nie rozumiemy. Poza tym dochodzi ta forma opakowań.

Wiem, że ma sporo zalet. Cząsteczki jedzenia nie powinny zaplątać się do sprzętu. Ale Rosjanie posyłają swoich kosmonautów z ciastkami i chlebem od 1965 roku... „Sześć sekund minęło” – pomyślała York.

–Odebrałem wszystko, Phil – odpowiedział Crippen – ale dokładnie biorąc, to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

–Innej nie usłyszysz, Bob – rzekł stanowczo Stone.

Po chwili zwłoki York usłyszała śmiech w tle, w kontroli misji.

–Ares, tu Houston. Dziękuję wam. Aha, Ralph, Phil, Natalie, czy moglibyście,

proszę,

na chwilę ustawić się do zdjęcia?

Stone wyglądał na zaskoczonego.

–Houston, powtórz.

–Chcielibyśmy mieć na was wszystkich razem na ekranie. Stone przysunął się bliżej York, która pozostała za stołem; Gershon spłynął za nich, twarzą do kamery. – Ares, tu Houston – powiedział Crippen. – Właśnie w tej chwili, kiedy rozpoczyna się pierwsza godzina piątej doby misji, mijacie znaczącą granicę. Chociaż może jej nie czujecie. Być może chcielibyście się nad tym zastanowić podczas dzisiejszego posiłku.

–Z ciekawością dowiemy się, co chcesz nam powiedzieć, Bob. – ...Może ktoś z was zechciałby nam powiedzieć, co widzi w tej chwili z waszego okna widokowego.

York odwróciła się. „Oknem widokowym” był iluminator w ścianie mesy, na tyle duży, że zaokrąglął się wraz z kadłubem. Miał trzy warstwy szkła i przypominał z wyglądu grube, wytrzymałe na wysokie ciśnienie okienko samolotowe.

–Mam przed oczami Ziemię i Księżyc – relacjonowała. – Są prawie w pełni

widoczne,

choć dostrzegam wąski cień po prawej stronie tarczy każdego z nich. – Ziemia

tak bardzo

się oddaliła, że z ogromnej

sfery stała się płaską miską, promieniejącą niebieskim blaskiem w towarzystwie

bladego skurczonego towarzysza. – Światło Ziemi jest nadal mocne, na tyle że

można by

czytać książkę w jego blasku, ale...

–Śmiało, Natalie.

–Jest jakoś inaczej. – Przyjrzała się dokładniej widokowi za iluminatorem. – Niebo wygląda tak, jak w przejrzystą noc na Ziemi. I... mój Boże... jest pełne gwiazd. We wcześniejszej fazie lotu blask Ziemi był tak silny, że zaćmiewał wszystko inne. Teraz widzę gwiazdy. Po raz pierwszy podczas wyprawy rozpoznaję konstelacje. – Ares,

chyba naprawdę udaliście się daleko w niebo.

–Tak, to prawda. I do tego w głębokie, puste, zimne niebo. – Ares, tu Houston. Dziękuję, Natalie. Ares, teraz to, co ważne. Jesteście niemal dokładnie pięćset sześćdziesiąt dwa tysiące mil lądowych od Ziemi. To dwa razy więcej, niż oddalił się do tej pory jakikolwiek człowiek. Wychodźcie ze sfery oddziaływania Ziemi.

„Sfera oddziaływania” – umowna bańka w przestrzeni z Ziemią w środku, niemal idealna sfera, w której obowiązywała równowaga grawitacyjnego potencjału Ziemi i Słońca.

Przebywający wewnątrz tej sfery Ares w zasadzie leciał po orbicie zdominowanej przez Ziemię; jednakże teraz umknął Ziemi i wkroczył na orbitę słoneczną, stając się nową planetą.

–Dziękuję ci, Bob. Zrozumieliśmy i jesteśmy pod wrażeniem. Odbieramy z pokorą to spostrzeżenie... – Stone był chyba niezadowolony banalnością swoich słów. Spojrzał z namysłem na York. – Natalie, chciałabyś coś dodać? Patrząc na niego, zamarła, czując nagłą pustkę w głowie. „No, do tej pory mogłaś tylko narzekać na te nieartykułowane postępowania, które posyłali w przestrzeń” – pomyślała.

„Teraz masz szansę zakasować kolegów”.

Nie wiedzieć czemu, przypomniał się jej Ben Priest. Co by jej poradził? „Po prostu powiedz to, co czujesz, Natalie. Nie chowaj się za technicznymi terminami.

I nie daj się zbić z pantałyku”.

–Houston, tu Ares. W tej chwili mam takie wrażenie, jakbyśmy, my, ludzie, zostali spleśnieni na dnie jamy. Głębokiej grawitacyjnej jamy wydrążonej przez masę Ziemi w czasoprzestrzeni. I ze wszystkich istot ludzkich, które żyły do tej pory, ze wszystkich tych miliardów, tylko nas troje – Phil, Ralph i ja – wspięło się na krawędź tej jamy – Czują, że Stone i Gershon wymieniają powątpiewające spojrzenia;

Stone nakazał gestem Gershonowi, żeby się nie odzywał. York wpatrywała się w malejącą Ziemię. Uniosła dłoń i zakryła nią układ Ziemia-Księżyc.

Teraz podnoszę rękę i cała historia człowieka, nawet podróże na Księżyc, są zakryte przed moim wzrokiem tą ręką. Spędzimy w przestrzeni pełny rok, zanim ujrzymy zbliżającego się Marsa, tak jak teraz widzimy coraz odleglejszą Ziemię. Rok w tym sznurku cynowych puszek, nie widząc za oknami nic poza gwiazdami i Słońcem. Wiemy, że to będzie trudne, mimo całego szkolenia i przygotowań. Ale ważne jest, że wyszliśmy na zewnątrz, poza krawędź tej grawitacyjnej jamy i niebawem ujrzymy, co leży dalej. Naprawdę udaliśmy się daleko w niebo.

Stone kiwnął głową. Wciąż patrzył na nią, zamyślony. York zadrżała. Nagle moduł misji – sunący przez przestrzeń kosmiczną ze swoimi tykaniem i zgrzytami, zatęchłymi smrodami jedzenia i bąków – wydał się jej małym, niewiarygodnie kruchym domem, jedyną wyspą ciepła i światła na ciemnym niebie.

Niedziela, 15 sierpnia 1975 roku

Między Ziemią a Księżycem

Po kilku dniach swobodnego unoszenia się w module dowodzenia w kalesonach i jednocześnie w kombinezonach Jones, Dana i Stone mieli przystąpić do wkładania hermetycznych skafandrów, udzielając sobie nawzajem pomocy. Podczas odpalenia wprowadzającego na orbitę księżycową mieli powrócić na fotele i zapiąć pasy. Skończyli posiłek: zupę, ser, krakersy z pastą i sok grejpfrutowo-pomarańczowy do popicia. Dana miał plastikową torebkę z kremem z zielonego groszku. Nabierał zupę łyżeczką, uderzał w trzonek i bańka płynu odlatywała, zachowując kształt łyżeczki. Ale kiedy trącał płyn czubkiem palca, napięcie powierzchniowe szybko nadawało mu kształt idealnej, drżącej sfery. Dana pochylał się i wsysał te zielone marmurkowe kulki kremu.

Życie w warunkach nieważkości zdumiewało Jima Dane; niekończący się szereg niespodziewanych szczegółów był po prostu urzekający. No, przeważnie.

Chuck Jones postanowił się załatwić przed włożeniem skafandra. To pociągało za sobą konieczność rozebrania się do naga i wlezenie do części magazynowej pod fotelami. Układ asenizacyjny Apolla składał się ze zbioru plastikowych toreb wykończonych po brzegach przyklepcem i palczastymi wypustkami z boków. Jones musiał wsadzić palec do wpustki w torbie – przecież w tych warunkach nic nie wylatywało – i wydłubać gówna z odbytnicy do torebki. Potem miał zgnieść kapsułkę ze środkiem bakteriobójczym, wrzucić ją do torebki i ugnieść wszystko razem. Charakterystyczne dźwięki i wonie w jednej chwili wypełniły całą kabinę. Dana po prostu siedział zrezygnowany. Nie wina Chucka, że układ asenizacyjny był do kitu.

Ironią losu układy Apolla przeszły znaczący rozwój w ostatnich kilku latach. Rockwell przepracował pierwotny projekt statku księżycowego, który dzięki temu stał się bardziej wydajny, godniej szy zaufania i sprawniejszy; Apolla używano głównie jako orbitalnego wahadłowca do wożenia załóg na Skylaby i z powrotem, ale nawet podczas solowego zadania zapewniał przeżycie aż czterem osobom przez osiem dni na orbicie. Firma starała się nawet uczynić z modułu dowodzenia element wielokrotnego użytku, zabezpieczając go przed słoną wodą i modularyzując części – tak że niektóre z nich mogły być wykorzystane do kolejnych maszyn, nawet jeśli cały moduł nie nadawał się już do wysłania w kosmos.

Ale niektórych części jakoś nie dało się usprawnić, w tym toalety. Dana z ogromnym zaskoczeniem przekonywał się, jak przygnębiającym doświadczeniem może być pierwszy lot w kosmos, kiedy ma się do czynienia z drugim szeregiem utrudnień i niewygód. Kontrast między zenistyczną okołoksiężycową pustką i nieporadnymi usiłowaniami ludzi, żeby w niej przeżyć, zrobił na nim kolosalne wrażenie.

Niedojrzałość technologii kosmicznej w porównaniu z tym, czym dysponowało lotnictwo wojskowe, była uderzająca.

Ale my naprawdę jesteśmy tu na krawędzi naszych możliwości” pomyślał. „Tato ma rację. Nie dorośliśmy do tego. Jeszcze nie. Nie jesteśmy dość inteligentni. Sprytnie mały, improwizujące, kombinujące na poczekaniu, ryzykujące, ciągnące za sobą kanalizację...”

Niemniej jednak, w dalszym ciągu była to przygoda jak wszyscy diabli, o której będzie co opowiadać małemu Jake’owi Danie.

Na Dane wypadła kolejka w sprzątaniu śmieci. Zbierał torebki po jedzeniu, nadziewał pigułkami rozpuszczającymi resztki, ciasno zwiął i wpychał do plastikowych worków odpadki. Potem składał je w komorach magazynowych. Te komory były prawie wypełnione w kilka godzin po opuszczeniu orbity Ziemi i śmieci wyrzucano regularnie w przestrzeń.

Enterprise zmierzał na Księżyc w chmurze torebek najedzenie i innych paprochów. Załoga zajęła się listami zadań fazy poprzedzającej LOI*[Przyp tłum Lunar Orbit Insertion], wejście na orbitę księżycową. Dana zauważył, że wszystko to odbywało się w nietypowym milczeniu. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego. LOI było kluczowym momentem misji; od niego zależało powodzenie lotu i samego Programu Moonlab, chociaż to drugie miało już mniejszy wpływ na kariery astronautów. Na dodatek odpalenie mieli wykonać podczas LOS*[Przyp tłum Loss-of-signal.], braku łączności z Ziemią, kiedy statek będzie za Księżycem. Tak więc pracownicy kontroli misji nie zdołają wyciągnąć ich z ewentualnych tarapatów. Od chwili, w której Bert Seger zdecydował się rozpocząć misję, starannie budował jej wizerunek medialny. Program Apollo/Moonlab miał być relaksującym widowiskiem, powrotem na Księżyc, pokazem kompetencji; miał odwrócić uwagę od Sajgonu, niebotycznej zwyżki cen paliw, zastoju w gospodarce, inflacji... Seger nawet zachęcił do konkursu fanów „Star-Treka”, którzy wybrali sygnał wywoławczy Enterprise dla statku, pierwszego od czterech lat Apolla lecącego na Księżyc. Na nic zdały się protesty Wydziału Astronautów, że wcale nie potrzebują sygnału wywoławczego misji! Misja znakomicie się sprzedawała. Ale nagłośnienie oznaczało, że wpadka – zwłaszcza wpadka spowodowana jakimś debilnym błędem w programie – będzie bardzo żenująca.

Apollo lekko zadrzał i cewki silników zagrzechotały. Odpaliły silniki pomocnicze, wstrzymując powolny obrót statku wokół własnej osi. Wirował tak od wyjścia z orbity Ziemi, żeby uniknąć przegrzania strony kadłuba, wystawionej na oddziaływanie Słońca.

Załoga

nazywała to „grillowaniem”.

–Hej, widzę Księżyc, dokładnie pod nami – powiedział nagle Stone, zajmujący środkowy fotel.

Dana oderwał wzrok od swojej listy zadań.

Zobaczył jakby strugi ropy spływające po szkłe iluminatora, mieszczącego się po jego prawej ręce. Poczł ukłucie strachu; nie miał pojęcia, jaki rodzaj awarii mógł doprowadzić do wycieku. Potem skupił wzrok i zdał sobie sprawę, że patrzy na góry. Z wolna przesuwaly się za oknem, oświetlone ukośnymi promieniami Słońca, ciągnąc za sobą długie czarne cienie.

„To góry Księżyca” – pomyślał.

–O, Jezu, popatrzcie tam – westchnął głośno.

–To tylko pieprzony Księżyc – powiedział Jones. – Jeszcze się na niego napatrzycie.

Wystarczy, wracajcie do zadań. Mamy piętnaście minut do LOS, dwadzieścia trzy do LOI...

Dana ujrzał, że Słońce ukryło się za tarczą Księżyca, tak że satelitę oświetlała teraz od tyłu korona, zewnętrzna otoczka gwiazdy. Wyglądało to tak, jakby płonął po niewidocznej stronie. Ale Dana widział całkiem wyraźnie stronę ocienioną; przepływała za iluminatorem, rozjaśniona światłem Ziemi, trupio blada.

Księżyc przypominał szklaną kulę o spękanej powierzchni, jakby postrzelonej ze śrutówki. Mlecznobiały środek satelity wyrastał w dole, namacalny w ziemskim świetle; zdumiewająco trójwymiarowy już nie przypominał żółtego dysku, oglądanego z Ziemi.

Dana skupił się na wielkim głębokim kraterze; być może na Tycho. Powierzchnia Księżyca i jego cienie lubiły płać figle swoim wyglądem. Czasem kraterzy wyglądały jak kopuły, góry jak zapadliny. W oczach człowieka martwa powierzchnia przypominała maskę, odwrotność siebie samej.

Z orbity Ziemi Dana dostrzegał zakrzywienie jej horyzontu, ale Ziemia była tak wielka, że widział tylko wycinek rodzimej planety. T cz Księżyc był małym światkiem. Jego obłość była tak wyrazista, że Dana potrafił wyobrazić sobie resztę sfery; widział, że przelatuje wokół skalnej piłki, wiszącej w przestrzeni kosmicznej, a ciemność rozciąga się w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

Wygląda tak obco” – pomyślał Dana. „To nie nasz świat”. A jednak trzy porzucone człony ładownicze, trzy ładowniki z wymalowaną flagą amerykańską, stały już na tych milczących wzgórzach. Trzydzieści sekund do LOS – zapowiedział Jones.

Enterprise, tu Houston. – Dzisiejszym kontrolerem łącznikowym był najmłodszy astronauta, Ralph Gershon. – Niebawem LOS. Wleziecie za róg. Wszystkie wasze układy funkcjonują właściwie. Zobaczymy się po drugiej stronie. – Odebrałem, Ralph, dziękuję. Tu wszystko wygląda w porządku. – Trzaski wyładowań elektrycznych urządzeń łączności nagle zamarły i zastąpił je cichy syk.

–Wchodzimy za róg – powiedział Phil Stone. – Brak sygnału. Dana wpatrywał się w osłonę małego głośnika, który znajdował się najbliżej jego stanowiska. Był zaskoczony własną reakcją; poczuciem porzucenia, oszołomieniem. Po raz pierwszy od startu Apollo znikł z pola widzenia Ziemi. Po raz pierwszy kontrola misji nie mogła porozumieć się z załogą, jakby przecięto cumę.

Dana po cichu podejrzewał, że przez lata wśród astronautów wytworzył się nawyk zależności. Nieważne, czy był zdrowy czy nie; świadomość, że kontrola misji jest tam zawsze, a jej personel składa się z samych asów, zdejmowała z barków pilotów sporą część ciężaru odpowiedzialności. Miałeś wrażenie, że Houston prowadzi twój statek za ciebie. Tak więc i na odwrót, kiedy przez kilka krótkich chwil ty i twoja maszyna musieliście funkcjonować zupełnie niezależnie od Ziemi... no cóż, wtedy strach zaglądał człowiekowi w oczy. Nie bałeś się niebezpieczeństwa, ale tego, że coś zawalisz. Pozostawało się tylko modlić: Boże spraw, żebym nie dał plamy.

Teraz statek toczył się ku Księżycowi. Spadali prosto w jego studnię grawitacyjną, a on rósł – z każdą minutą był coraz bardziej widoczny, przesuwał się za iluminatorami.

–No, spójrzcie na ten stareńki, kochany Księżyc – powiedział Jones. – Bardziej chropawy niż moja dupa. Coś mi się zdaje, że nigdy na nim nie wyląduję, ale mimo to cieszę

się, że doleciałem. Ten

wyszczekany gówniarz Gershon powinien tu teraz być. Poczulby się swojsko. Jak nad Kambodżą. – Zarechotał.

Dana, śladem dowódcy, usiłował wykrzesać na twarzy uśmiech, ale bez powodzenia.

Siedzący po jego lewej Phil Stone też nie miał rozradowanej miny.

Dana pomyślał, że te wszystkie gówniane dowcipy przestały być czymś stosownym.

Może nigdy nie były.

Statek zapadł się w księżycowy cień i zanurzył w kompletnej ciemności; ani jeden promień ziemskiego światła nie dotykał ukrytego krajobrazu. Radio nadal milczało.

„Jesteśmy sami, my trzej” – pomyślał Dana. „Ta skalna bania zasłoniła nam ludzi, uwięzionych na Ziemi”.

Nagle poczuł przyływ wiary w słuszność całego przedsięwzięcia. „Bez względu na to, co się teraz dzieje, podjęliśmy właściwą decyzję, kontynuując program kosmiczny” – myślał. „Jak moglibyśmy poniechać takich wypraw? Nie możemy tkwić w miejscu. Takie eksperymenty nas zmieniają. Przekroczymy samych siebie;

pokonamy

ograniczenia naszego gatunku”.

Zróznicowany, popękany teren przetaczał się za jego iluminatorem.

–Dobra, dupki, dość tego wytrzeszczania gał – powiedział Jones. – Przygotować się do

pieprzonego odpalenia.

Enterprise opłynął tarczę Księżyca.

Środa, 25 maja 1977 roku Kwatera główna NASA, Waszyngton Mike Conlig nienawidził Waszyngtonu.

Kiedy tylko wysiadł z samolotu, gęsty, natarczywy upał otulił go szczelnie i Mike poczuł psychiczny napór ze strony wszystkich ludzi, stłoczonych w tym nędznym zakątku Ziemi.

Teraz siedział w ogromnym wygodnym gabinecie Tima Josephsona, razem z Hansem Udetem i Bertem Segerem. Czuł się niezręcznie, nie na swoim miejscu, zagubiony w rozległym pokoju, na wielkim ‘ełckim fotelu. Poza tym nie przepadał za garniturem; miał wrażenie, że krawat go dusi.

Tim Josephson wszedł z pośpiechem do gabinetu, trzymając teczkę od pachą. Wsunął się za nowoczesne, wypolerowane biurko.

Przejdę od razu do riZTy – powiedział. – Przeczytałem wasze raporty stanu.

Znacie

pytania, na które musicie tu dziś odpowiedzieć. NERVA jest piekielnie opóźniony

w stosunku

do zakładanego harmonogramu. Odbiór prototypu przewidziano za trzy miesiące. I z tego co

słyszę, nie będziecie gotowi.

Seger wzruszył ramionami.

Nie zamierzamy z tym w ogóle dyskutować, Tim.

Josephson złożył palce w daszek.

–W porządku. Jesteśmy mocno naciskani w związku z tą sprawą, musimy bronić waszej pracy przed atakami w Kongresie i gdzie indziej. Ludzie mówią, że postawiliśmy na złego konia. Rakiety atomowe to nowość; może powinniśmy trzymać się metody ewolucyjnej, rozwijając technologię chemiczną. A na dodatek tego wszystkiego jest jeszcze lobby antyatomowe, które powtarza, że nie powinniśmy ładować ton radioaktywnego paliwa na czubek Saturna. – Przyjrzał się im po kolei. – Podejrzewam, że czytaliście o protestach w Seabrook, na północy, w stanie New Hampshire. Demonstrowały dwa tysiące ludzi, próbując zablokować budowę elektrowni atomowej. Używając technologii nuklearnej, płyniemy pod prąd, dżentelmeni.

Ale jest dla mnie jasne, że nie możemy pozwolić, aby kłopoty z tymi badaniami zablokowały cały cholerny program. Wiecie, że Rockwell prowadzi od 1972 badania oparte na technologii chemicznej, rozwinięcie S-2. Fred Michaels zastanawia się, czy nie poprosić Kongresu o skierowanie funduszy NERVA na tamte badania... Hans Udet pokręcił przecząco głową. Siwiejące blond włosy zaśniły w blasku jarzeniowej lampy.

–Nie. Musisz zrozumieć... Josephson pochylił się nad biurkiem. – Nie. Dzisiaj to ty musisz słuchać i zrozumieć, Hans. Nie bawimy się tu w żadne gry.

Potrzeba cholernego wysiłku, żeby zbudować i utrzymać polityczne zaplecze takiego programu, jak nasz. Jim Web zrobił to dla NASA w 1960, my mamy to szczęście, że Fred Michaels pełni tę samą rolę dla nas teraz. Ale nie może sprawić cudów... Conlig po raz pierwszy spotykał Josephsona osobiście. Zastępca dyrektora emanował gładką biurokratyczną sprawnością, która sprawdzała się w telewizji. Mówiono o nim:

„organizator w każdym calu”. Niedawno skończył czterdzieści lat i Josephson ze swoją główką zatknętą na długiej szyi, przedwcześnie wysokim czołem, grubymi okularami i szybkimi precyzyjnymi gestami, był jak wysoki nietot. Ale jego suche

sformułowania dotarły do Conliga; nagle przeszył go jakiś elektryczny prąd. „Mój Boże – pomyślał – on mówi poważnie. Mamy tu prawdziwe kłopoty; jest naprawdę możliwe, że ci dranie zamkną nasz sklepik. I mogę postawić całe swoje życie, że jeśli się to stanie, to żaden z nas, pracowników NERVA, nie zostanie dopuszczony na tysiąc mil do żadnego nowego programu, na który oni się zdecydują”. Conlig zdał sobie sprawę, że cała jego kariera – wszystko, cała wiara w siebie zależą od tych kilku następnych chwil.

„Jeśli teraz powiem coś nie tak – myślał dalej – moje życie zawodowe będzie skończone. Bo nie będzie następnego programu NERVA, a jeśli nawet, to bez mnie”. – No, dobra. – Josephson zakończył część wstępną. Ogarnął wzrokiem całą trójkę.

–

Podsumujmy. Macie powiedzieć mi, gdzie jesteście i jak oceniacie szansę sukcesu. Macie mi powiedzieć prawdę, to nie chwila na fałszywą dumę. Cały program zależy od tego, czy podejmiemy właściwą decyzję. – Przeszył wzrokiem Udetą. – Może ty pierwszy, Hans?

Stary Niemiec wyprostował się na fotelu.

–Prawda, Tim? Prawda, jak możesz wywnioskować z raportów, brzmi tak, że NERVA, na tym etapie badań, jest w kłopotach. Nie udało się nam do tej pory podtrzymać jednego odpalenia z prawdziwego zdarzenia... – Ucinając końcówki, a za to przeciągając samogłoski jak rodowity mieszkaniec Alabamy, chociaż z wyraźnie obcym akcentem, Udet zaczął omawiać miriady problemów NERVA – przeciążenia pomp, przegrzanie dysz i kroki, które zespoły podejmowały, żeby je rozwiązać. – Tak więc widzisz – podsumował – dzisiaj NERVA w istocie nie jest warta splunięcia. Ale... – I teraz on się pochylił, przygważdżając Josephsona wzrokiem. – Ale nie był go też wart F-1, wielki silnik pierwszego członu Saturna, na podobnym etapie badań, w 1962 i 1963. Jeśli już, to widoki na przyszłość były jeszcze gorsze. Były problemy z nierównomiernością spalania i cholerstwo wciąż wybuchało nam prosto w twarz. Ale pozwolono nam trzymać się roeramu, Tim. Robiliśmy dalej swoje. I rozwiązaliśmy problemy, do teo stopnia, że Saturn 5 nigdy nie miał ani jednej poważnej awarii silnika Teraz jest to samo. Nie potrzebujemy alternatywnego programu. Mamy kłopoty z NERVA, tak, oczywiście. Ale to tylko kłopoty techniczne. Conlig miał wrażenie, że Udet mówiąc do Josephsona, działa na jego podświadomość, jakby dodawał bez słów: „Kiedy patrzysz na mnie, patrzysz na samego von Brauna. Moje silniki to bohaterowie. Wysłaliśmy was na Księżyc, możemy wysłać was na Marsa. Zaufaj mojej ocenie i pozwól mi kontynuować pracę...”. Conlig pragnął znaleźć się w Santa Susana – albo jeszcze lepiej w Newadzie, na Równinie Szakali, pośrodku znieruchomiałej pustyni. Pragnął oderwać się od tych politycznych podchodów i wrócić do spraw inżynierskich. Przypomniała mu się Natalie.

W takich chwilach czuł coś w rodzaju błędzącego bólu, ledwo odczuwanego, ale nie dającego spokoju. Wiedział, że nie jest szczęśliwa. Do cholery, on też nie. Ale w tej chwili nie czas na myślenie o tym. Może za kilka lat, kiedy NERVA wyjdzie na prostą, wtedy...

Josephson patrzył na niego. Jego kolej zabrać głos. Zaczął mówić powoli, zacinając się, bez cienia prusko-arystokratycznej płynności Udet.

Opisał kroki służące rozwiązaniu ostatnich problemów z kawitacją i korozją prętów grafitowych oraz pomiarem poziomu paliwa wodorowego w zbiornikach, utrudnionego wysokim poziomem radiacji. I tak dalej. Ale oświadczył Josephsonowi, że mimo wszystko zespół liczy na to, iż niebawem dojdzie do długiego odpalenia i pełnego testu układu, a próby naziemne wykazały wystarczającą odporność na wstrząs i wibracje, których można się spodziewać podczas lotu...

Nie potrafił ocenić, czy i na ile udało mu się trafić do przekonania Josephsona.

Ten wysłuchał go bez komentarza. Następnie zwrócił wzrok na Berta Segera.

Kierownik programu przesiedział z ludźmi od NERVA cały ostatni tydzień,

rozglądając się po Santa Susana i innych poligonach, wyrabiając sobie osobisty

pogląd na

szansę przedsięwzięcia. Teraz siedział

przed Josephsonem chudy jak szczapa, ze swoim sławnym goździkiem w butonierce umieszczonym tuż nad szpilką z krzyżykiem.

W krótkich słowach podsuwał swój pogląd na rozliczne kłopoty programu.

–Tim, nie wiem, jak, do cholery, będzie wyglądać harmonogram NERVA, jeśli

dokonamy zmiany planu. Zasady bezpieczeństwa to prawdziwa kula u nogi. Musimy

zalewać

i rozbierać każdą cholerną platformę po każdym najmniejszym defekcie. Nie mówię,

żeby w

ogóle wypiąć się na bezpieczeństwo, oczywiście że nie. Ale od tej pory musimy

planować

realistycznie każdy istotny punkt programu. Bardziej realistycznie, niż

robiliśmy to do tej

pory. Ale... – Zrobił przerwę.

–Tak, Bert?

–Masz tam naprawdę niezłych ludzi, Tim. I nasi, i wykonawcy z zewnątrz to najlepsi pracownicy, jakich możemy mieć. I wyłażą ze skóry, żeby ten interes mógł latać.

Zalecałbym nadal trzymać się tego konia, Tim, nie obstawiać innego.

Josephson wysłuchał go w lodowatym milczeniu.

–W porządku. Dziękuję, Bert, dziękuję, panowie. Powiedzieliście to, co w dużej mierze spodziewałem się usłyszeć. Sądzę, że muszę poprzeć waszą ocenę, waszą wiarę w tę upartą maszynę, tę NERVA. Nadal możecie na mnie liczyć. Ale mam nadzieję, że dotarło do was to, co dzisiaj powiedziałem. Bert, masz sporządzić trzymający się kupy raport stanu, który mógłbym wysłać górze. I chcę zobaczyć nowy harmonogram od twoich ludzi, Hans, wiarygodny harmonogram. A przede wszystkim macie się go trzymać od tej pory. Chociaż te słowa, wypowiedziane płaskim monotonnym głosem, wydawały się nie pasować do powierzchowności Josephsona, kojarzącej się z zakurzonym archiwum, Conlig poczuł się nieswojo i zapragnął jak najszybciej opuścić gabinet. Kiedy przekraczali próg, Josephson przywołał z powrotem Berta Segera. Conlig usłyszał wyraźnie, jak gospodarz mówił:

–Masz wziąć za pysk tych dupków, Bert. Nie daj sobie wciskać więcej ciemnoty.

Bierz ich za pysk i niech wreszcie wyszykują tę atomową raketę kosmiczną... „Nie trzeba nam tego mówić” – pomyślał Conlig, kiedy kroczył za innymi po korytarzowej wykładzinie.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, poczuł ulgę mimo wilgotnego upału. Krople potu wystąpiły mu na czoło. To było jak koniec lekcji i wybiegnięcie ze szkoły. „Pieprzeni biurokraci” – zaklął w myślach. Teraz przynajmniej mógł wrócić do pracy, żeby dalej wydatkować energię i uwolnić spęczniały ogromny niepokój.

Styczeń 1977 roku – styczeń 1978

roku

Trzeba było pełnego roku, żeby jej zgłoszenie do NASA dało widoczny efekt. A jednak już samo wysłanie formularza wprawiło w ruch jakąś maszynę, której raz puszczane tryby już nie przestały się poruszać z nieodwołalną, miażdżącą mocą. Parę tygodni po wysłaniu listu dostała telegram z Państwowej Akademii Nauk. Zażądano dokładniejszych informacji: bardziej szczegółowego życiorysu, kopii publikacji, opisu eksperymentów, które chciałyby przeprowadzić na powierzchni Marsa, pięćset słów, nie więcej.

Spełniła te żądania. Napisała o swoich przemyśleniach na temat kanałów wypływowych, o poszukiwaniu wody pod marsjańską zwietrzeliną i o tym, jak się zapatruje na ewentualną kolonizację planety.

Okroiła wypowiedź do pięciuset słów; miała już do czynienia z agendami rządowymi i wiedziała, że złamanie najmniejszej reguły może ją pozbawić szansy powodzenia. Tak w duchu nie brała swojego zgłoszenia poważnie. Ale chciała zawędrować najdalej, jak się dało; może osiągnąć tę pozycję, w której mogłaby wybierać, zdecydować, czy chce skorzystać z tej zwariowanej możliwości – kariery w programie kosmicznym – czy nie.

Przeczytała w „Science”, że niecały tysiąc naukowców odpowiedział na apel Akademii Nauk; według prasy, NASA przyjęła to z wielkim zawodem, licząc na wiele więcej kandydatur.

York to zrozumiała. Prawdziwie twórcza kariera naukowca była krótka; jeśli do trzydziestki nie osiągnąłeś znaczącego sukcesu, pies z kulawą nogą się tobą nie zainteresował.

A York dobiegała właśnie trzydziestki. Jeśli straciłaby następnych kilka lat, mogła postawić krzyżyk na swojej karierze naukowej.

W przeszłości rekruci ze środowisk naukowych nie byli rozpieszczani przez NASA. Nikt z pierwszej fali naukowców-astronautów, którzy zgłosili się w 1965 roku, nie poleciał na Księżyc w ramach Programu Apollo.

To było wariactwo ryzykować karierę i reputację dla wątej szansy, że taka banda inżynierków i latających kowbojów, jaką tworzyła NASA, wyśle cię kiedyś w kosmos.

Prawdziwe wariactwo.

Po kilku tygodniach od wysłania swojego opracowania dostała list z Akademii.

Jeszcze jej nie odrzucono.

Przeszła wstępny odsiew, podczas którego decydował wiek, wzrost i stan zdrowia; okazała się również zdatna pod względem naukowym, udowodniwszy rozeznanie w stosownej dziedzinie wiedzy. Zażądano wypełnienia kolejnych formularzy: podania o pracę w instytucji państwowej, karty zdrowia pilota lotnictwa wojskowego, kilku innych. Zaproszono ją na badania lekarskie w Bazie Lotnictwa Wojskowego w Brooks, stan Teksas.

„Do jaskini herosów oblatywaczy!” – pomyślała. „Jestem bliżej”. Kiedy samolot schodził do lądowania, zobaczyła Teksas, dolinę płaską jak naleśnik.

Był upalny czerwcowy dzień; kilka jardów z samolotu do budynku terminalu przypominało ścieżkę przez piec hutniczy.

W Best Western poznała innych kandydatów. Onieśmiałali ją jak wszyscy diabli.

Szef

katedry chemii z Uniwersytetu Kalifornijskiego, doktor medycyny po Princeton,

zarazem

doktor fizjologii, wykładowca fizyki z Cornella, doktor fizjologii, zarazem

pilot odrzutowców

i doktor medycyny, zarazem pilot odrzutowców. I tak dalej. Było oczywiste, że

„naukowcy”

brani pod uwagę przez NASA to nie „cholerne cywile”, ale przeważnie piloci i

naukowcy w

jednej osobie.

Była jedyną kobietą.

–Jezu – jęknęła. – Biali piloci płci męskiej z doktoratami. Jaką ja mam szansę? Kandydaci zbierali się podczas lanczu i kolacji. Panowie organizowali wypadki do misji Alamo, w centrum San Antonio. York trzymała się z dala od tych samczych zlotów i walczyła z depresją.

Badania miały zacząć się o szóstej rano czasu teksańskiego, czyli czwartej czasu Berkeley. Tak więc od razu miała pod górkę. Nie mogła nawet napić się kawy;

musiała pościć

do lanczu, ze względu na badania.

Miały potrwać cały tydzień.

Zacząły się od tolerancji na glukozę. Pobierano jej krew z ramienia, równocześnie wlewając do żołądka niewiarygodnie słodki płyn. Potem poddano ją badaniom okulistycznym: test Ishihary na daltonizm, zdjęcia naświetlonej siatkówki. Musiała wypić litr letniej wody, po czym mierzono ilość wydalonego płynu, obciążając gałkę oczną.

Przyszły inne badania. Musiała leżeć przez godzinę w klatce Faradaya, metalowym pudle izolującym oddziaływania elektryczne, podczas gdy robiono jej kardiogram. Czuła się jak szympanś w zoo. Następnie zawieszono ją w uprząży spadochronowej, tak żeby krew napływała jej do stóp. Musiała doprowadzić się do hiperwentylacji, aż pojawiły się symptomy bliskiego zemdlenia, ogniste gwiazdki na obrzeżu pola widzenia. Następnie – brutalnie szybko – poddano ją próbie schodkowej Mastera, chodziła w górę i w dół schodów z elektrodami przyklejonymi do klatki piersiowej. Pod koniec tej próby założono jej maskę na usta, mierząc ilość wydychanego dwutlenku węgla. Badano układ przedsionka błędnika, aparatu równowagi w uchu środkowym. Wlewano jej do uszu gorącą i zimną wodę, żeby utrudnić pracę błędnika i doprowadzić do zawrotów głowy. Lekarze zaglądali jej w oczy, przyglądając się, ile czasu potrzebuje, zanim przestanie mrugać powiekami.

Później kazano jej chodzić w ciemności po prostej linii. Chodziło o sprawdzenie ewentualnych braków równowagi. Kiedy zapaliło się światło, okazało się, że odeszła około jarda w lewo od linii środkowej.

Kolejne badanie równowagi przeprowadzono na ruchomym fotelu. Wyglądał trochę jak krzesło elektryczne, zamocowane na ruchomej platformie w środku pokoju pozbawionego całkowicie dostępu światła. Przypięto ją pasami, podłączono elektrody do śledzenia ruchów gałek ocznych. Fotel obracał się raz na trzy sekundy i kiwał w przód i w tył. Zmieniono kierunek rotacji i przechyłów. Przypominało to jazdę na karuzeli sterowanej przez obłąkanego. Za każdym przechyłem York zbierało na wymioty, ale postanowiła nie dać satysfakcji tym dupkom.

Przez trzy godziny musiała dawać próbki moczu w odstępach trzydziesiętominutowych. Żeby to było możliwe, wypijała niezliczone ilości wody. Sześć razy pobierano jej krew. Pod koniec zapadły się żyły w obu ramionach, nie wytrzymując nakłuć.

W środku badań lekarskich przeszła testy psychologiczne; robiła układanki, rysowała autoportrety, wypełniała testy wyboru, określające wizerunek psychologiczny. Były testy na badanie inteligencji, test Rorschacha*[Przyp tłum osoba badana ogląda 10 kartek z kleksami, czarnymi, szarymi i kolorowymi i podaje skojarzenia, na podstawie których wyćwiczony obserwator ocenia cechy osobowości i impulsy.], testy pamięciowe, testy słownikowe, matematyczne i czytania.

Sprawdzono, jakie wartości wyznaje, co posłużyło zbadaniu motywów, które skłoniły ją do wybrania się w kosmos. Męczyła się nad pięćdziesięcioma pytaniami, które miały wyjaśnić, co nią kieruje: pobudki materialne, chęć sławy, wzgląd na dobro ludzkości, szukanie dreszczyku emocji, czy możliwość dokonania odkryć naukowych. W pierwszym odruchu starała się odpowiedzieć uczciwie. „Oczywiście, że chodzi o odkrycia naukowe” – pomyślała. „Przecież tu się wybiera specjalistów misji!

Czego oni

jeszcze, do diabła, oczekują?”.

Ale po chwili przyszło jej do głowy, że należałoby troszeczkę przechytryć pytających. Jeśli okaże się, że jest niezrównoważona, obsesyjnie traktuje sprawę swojej kariery, nie wypadnie za dobrze. Każdy astronauta, nawet specjalista od spraw naukowych, powinien pomagać w realizowaniu zwykłych obowiązków. Poza tym załoga na Marsa powinna dobrze zaprezentować się prasie, wpasowując w przaśną, typową dla NASA, amerykańską tradycję, u zarania której stał swój chłop – Jasiek Glenn. Przejrzała odpowiedzi, próbując przewidzieć, o co może chodzić recenzentom. Ale z kolei przyszło jej do głowy, że inni kandydaci wyciągną te same wnioski i dokonają podobnego retuszu.

Po raz trzeci przejrzała test, starając się wziąć to pod uwagę... Przejęty młody człowiek przedstawił jej komputerową ocenę wyników testów. Był chyba zdumiony; tu zaprezentowała się jako monomaniaczka oddana jednemu celowi, tam osoba giętka i potrafiąca godzić rozliczne zadania; tu wyniki powiadały, że bardzo zależy jej na korzyściach osobistych, ale tam objawiła się jako ktoś uwielbiający pracę w grupie... i tak dalej. To był rozmyty, wyzbyty sensu wizerunek. Zagryzła zęby i postanowiła nic więcej nie pisać, żeby nie pogarszać sprawy.

Zadawała sobie w duchu pytanie, ile to wszystko kosztuje. Pewnego ranka dostała na śniadanie siarczan baru, kontrast do rentgenowskiego zdjęcia pęcherzyka żółciowego. Innym razem dostarczono jej roztwór trytu, żeby zmierzyć procentową ilość tłuszczu w całkowitej masie ciała. Brała pastylki, które spowodowały biegunkę i inne, które sprawiły, że sikała na zielono. Podczas badania elektroencefalografem wbito jej w głowę jedenaście igieł na głębokość pół cala. Sprawdzono nawet zęby. Rozradowany debil dentysta cmokał nad katastrofalnym stanem jej jamy ustnej i z

wielką przyjemnością i jeszcze większą dokładnością opisywał, jakie prewencyjne zabiegi dentystyczne będzie musiała wytrzymać – Chyba nie chce pani, żeby rozboleł panią ząb ani powstał ropień, kiedy pani będzie w środku Układu Słonecznego, ha, ha!

York nie cierpiała na żadne dolegliwości zdrowotne i nie otarła się o żaden szpital.

Tutejsi lekarze pracowali w lotnictwie wojskowym, byli specjalistami od medycyny lotniczej.

W swojej ignorancji spodziewała się, że badania będą ciężkie. Tymczasem prawdę mówiąc, to, co jej zaaplikowano, tak dalece przekraczało dotychczasowe doświadczenia, że wystraszyła się jak wszyscy diabli. Badania były istną torturą: barbarzyńską, brutalną, często idiotyczną i mającą niewiele wspólnego z nauką. Ostatnie badanie, przeprowadzone w piątek, to było wziernikowanie esicy. Wpierw musiała zrobić sobie lewatywę. Następnie leżała na łóżku, podczas gdy lekarka wsadziła jej do tyłka jakiś pręt, prostując kiszki i wpychając go coraz dalej. York już była wyczerpana, wściekła, poniżona i wystraszona. Tylko najwyższym wysiłkiem woli przetrzymała ostatni etap maltretowania. Przed San Antonio traktowała całą rzecz nonszalancko. Może jako gest pod adresem Bena. Jako zapasy woli między nią i NASA, czynione dla zabawy, podczas których chodziło o to, żeby dotrzeć jak najdalej, zanim ją rozgryzą.

Teraz wszystko się zmieniło. Nie chciała, żeby ból i poniżenie, które

zainwestowała,

poszły na marne.

Wycofanie zgłoszenia nie wchodziło w rachubę.

Kiedy przyszły wyniki badań, okazało się, że jej stan zdrowia „nie budzi zastrzeżeń” i że „nie wykazuje żadnych oznak zaburzeń fizjologicznych ani umysłowych”. „Co za ulga” – pomyślała. „Naprawdę warto było wytrzymać tydzień w tym szpitalnym piekle”.

Następnie wezwano ją telefonicznie na rozmowę kwalifikacyjną do samego Houston. Samolot wylądował na lotnisku w Houston. York udała się do terminalu i zgodnie z instrukcją znalazła Klub Prezydencki linii Continental. Stała przed prostymi lustrzanymi drzwiami. Kiedy zapukała, drzwi otworzył pracownik protokołu NASA, niski smagły człowiek w sportowej kurtce. Przedstawiła się i szybko wciągnął ją do środka – żeby uniknąć wścibskiego oka prasy? – i zaproponował dietetyczną lemoniadę. Kiedy zjawili się wszyscy kandydaci – grupa z San Antonio – limuzyna zabrała ich do Hiltona w Nassau Bay.

Za drzwiami klimatyzowanego budynku lotniska upał uderzył ją w twarz, mokry i lepki, jakby ziemia parowała. Choć było już dobrze po południu, słońce wisiało prostopadle nad głową.

Limuzyna posuwała się na południe w kierunku śródmieścia, drogą międzystanową nr 59, a potem skręciła na wschód, w obwodnicę. Hilton stał blisko JSC, ponad dwadzieścia mil od centrum miasta, przy drodze międzystanowej nr 45. Houston było bardzo młodym, płaskim i rozległym miastem, zdominowanym przez upał. Miało dobrze utrzymane, nowoczesne arterie komunikacyjne. Wielkie kolorowe billboardy tłoczyły się po obu stronach ulic, pchając pod oczy. Wiele znaków i reklam było w języku hiszpańskim; Teksas stanowił przecież prawie część Meksyku. Realizowany tu program kosmiczny dawał o sobie znać; na parkingach z używanymi samochodami stały nadmuchiwane rakiety, centrum handlowe nazywało się Plaża Morze Spokoju, a drużyna koszykówki – Rakiety.

Powietrze drgało nad drogą szybkiego ruchu, a w oddali nad równiną wyrastały śródmiejskie drapacze chmur, jak osamotnione zbiorowisko wież startowych, jedna przy drugiej. Wieże ciśnień, ogromne owalne zbiorniki, wyglądały jak marsjańskie maszyny wojenne z Wojny światów. Mijali przydrożne neonowe termometry wskazujące ponad trzydzieści pięć, czterdzieści stopni, nawet o tak późnej porze. Houston różniło się bardzo od miast, do których przywykła w czasach dzieciństwa i młodości. „Czy naprawdę chcę tu mieszkać?” – zadała sobie pytanie. Wszyscy pozostali kandydaci rozmawiali o śmierci Elvisa, która nastąpiła przed kilkoma dniami. Nie miała nic do powiedzenia na ten temat – prawdę mówiąc, niekończące się wałkowanie tematu w mediach ją nudziło – i z zadowoleniem przywitała hotel. Był to smukły wieżowiec nad wybrzeżem jeziora Clear, kilka minut od JSC. Recepcjonista mówił z wyraźnym teksaskim akcentem, a w sklepie z pamiątkami w holu królowały wielkie kowbojskie kapelusze i wysokie buty. Jej pojedynczy pokój okazał się wygodny i przytulny. Rozciągał się z niego widok na port jachtowy i błękitny basen pływacki. Nie zapowiadało się, żeby znalazła czas na pływanie. Rano wstała o wpół do szóstej. „W Berkeley jest dopiero wpół do czwartej” – pomyślała.

Słońce stało już wysoko.

Rozmowę kwalifikacyjną przewidziano zaraz po śniadaniu. Tak więc nie było jeszcze wpół do ósmej, a jechała limuzyną na zachód, drogą nr 1 kompleksu NASA. Łąka po prawej stronie, wzdłuż północnej strony drogi, była ogrodzona. Na równinie stały przysadziste czarno-białe budynki, każdy z wielkim czarnym numerem, jak zabawki w gigantycznej bawialni.

Kierowca – potężny, spocony mężczyzna imieniem Dave – skręcił w prawo, w szeroką bramę. Granitowy znak miał napis „Ośrodek Kosmiczny im. Lyndona B. Johnsona”. Po lewej leżały na boku, na platformach kołowych, człony Saturna 5. Dave uśmiechnął się szeroko, kiedy dostrzegł, że York chłonie wzrokiem Saturna. –

To tylko egzemplarz testowy – powiedział. – Pierwszy, który zbudowano. Podobno kiedy Programowi Apollo groziła całkowita likwidacja, uznano, że należy wziąć jeden z egzemplarzy testowych i wystawić go na pokaz tu albo na Przylądku. Rakieta do wyniesienia człowieka na Księżyc jako ozdoba trawnikowa – zachichotał. – Uwierzyłaby pani? Przejazd obok leżącego Saturna trwał wieki. Rakieta nośna się postarzała. York widziała rdzę na wielkich sworzniach, pajęczyny na podporach, na dyszach płamy grzyba.

Flaga narodowa wymalowana na grubym drugim członie spłowiła, czerwień pasów rozmyła się, spłynęły w dół.

Za Saturnem był mały ogródek raketowy. York poznała Redstone'a, cienki czarno-biały ołówek, który wyrzucił pierwszą kapsułę Programu Merkury na wysokość suborbitalną.

Redstone stał prosto, ale podtrzymywany linami, jak uwięziony Guliwer. Zobaczyła wahadłowca, egzemplarz testowany w tunelu aerodynamicznym, pomniejszony model statku, którego nigdy nie zbudowano; miał kształt samolotu, przylegającego do połyskującego białą wielkiego zewnętrznego zbiornika paliwa.

Sam wahadłowiec mógł wydawać się przysadzisty, niezgrabny, ale York urzekły krzywizny skrzydeł, kontrastujące z prostackimi cylindrami raket jednorazowego użytku, które otaczały kosmiczny samolot. Przy nich wyglądał elegancko, ten uwięziony na Ziemi zabytek z niespełnionej przyszłości.

Ochrona sprawdziła jej tożsamość w budynku nr 110, po czym wręczyła skserowaną mapkę i skierowała do budynku nr 4. Ruszyła tam pieszo. Większość masywnych budynków skupiła się wokół dziedzińców, na których rosła trawa o szerokich źdźbłach, lśniła w słońcu jasną zielenią. Po drodze spotkała też drzewa wiśni i ładnie wykończone stawki, jak dla kaczek. Ale ptactwa nie było; Ben Priest kiedyś powiedział jej, że za bardzo brudziło i przegnano je. „Nie jesteśmy tu po to, żeby hodować kaczki” – dodał. Tropikalny upał miażdżył jak gumowy walec. Powietrze stało przesączone cykaniem koników polnych. Szło się z trudem; York czuła, jak upał wysysa z niej siły.

Starła się wyobrazić, jak się tu pracuje.

Obok każdego budynku stały rowery, a z wielkich piaskowych popielniczek przy drzwiach sterczały niedopałki.

Panowała atmosfera spokoju. Kanciaste budynki nie przypominały gmachów rządowych. Raczej uniwersytet. A Dave, kierowca limuzyny, nazywał to miejsce „kampusem”.

JSC miał własne marsjańskie wieże ciśnień. Była też „zagroda antenowa”,

odgradzony płat gruntu z białymi talerzami, skierowanymi w niebo jak kwiaty.

Gdzieniegdzie

połyskiwały wielkie zbiorniki ciekłego azotu.

Wewnątrz budynku nr 4 klimatyzacja pracowała na takich obrotach, że temperatura w środku musiała być o trzydzieści stopni niższa niż na dworze. Budynek był ciemnawy, nawet ciasny; sufity wisiały nisko, podłogi wykonano z płytek, a ściany pomalowano na żółto – - brązowo jak biura w latach sześćdziesiątych. Poczowała lekkie przygnębienie. Miała wrażenie, że trafiła do zapuszczonego urzędu opieki społecznej. Wsiadła do windy. Rozmowę przewidziano w „bibliotece astronautów”. Kiedy zapukała, drzwi się otworzyły i przywitał ją wysoki, żylasty mężczyzna, o siwiejących blond włosach i niebieskich oczach, ubrany w dżinsy i nonironową koszulę.

Rozpoznała go. To był Joe Muldoon. Lunonauta ścisnął jej dłoń. Nagle, w jednym przebłysku świadomości, jej widzenie uległo zmianie. To naprawdę był Ośrodek Lotów Kosmicznych. Tu przebywali astronauta, na litość boską. Weterani.

Kiedy patrzyła na Muldoona, jego postać pojawiała się za wilgotną błoną, błyszcząca, lśniąca.

„I teraz zgłaszam się, żeby zostać jedną z nich” – pomyślała. „Mój Boże. Czy ludzie będą patrzeć na mnie podobnie? Jak, do diabła, dam sobie z tym radę?”. Joe Muldoon zaprowadził ją na miejsce, do krzesła ustawionego w środku pomieszczenia.

W tej „bibliotece” nie było prawie książek. Na ścianie za krzesłem wisiał rząd fotografii zmarłych astronautów, Rosjan i Amerykanów. „Jezu – jęknęła w myślach

–

pięknieście się postarali, żebym była na luzie”. W kącie stał wielki telewizor, włączony, ale ściszony. Przekazywał transmisję ze Skylaba A; podzielony ekran pokazywał zdjęcia Ziemi z kosmosu i monitory kontroli misji.

Od czasu do czasu dolatywał spokojny pomruk rozmów z łącza kosmos-Ziemia. Komisja liczyła siedmiu ludzi; siedmiu białych płci męskiej. Siedzieli za dębowym stołem. Znała większość twarzy. Widywała je w telewizji, w prasie, w reportażach z realizacji programu kosmicznego; astronauta, kierownik sekcji naukowej NASA, władze Agencji.

A w środku – poznała go z zamierającym sercem – Chuck Jones. Skinął jej głową, smagły i krępy, siwiejące ciemne włosy miał gęste i krótko ostrzyżone. „Chryste –

pomyślała – Chuck Jones”.

Nie widziała go od upiornej wyprawy pod wodzą Jorge’a Romera w Góry San Gabriel, całe trzy lata temu. Ciekawe, czy on ją pamiętał. Zastukał w blat i poprosił o ciszę.

–Dzięki za przybycie, Natalie. Wszyscy zapoznaliśmy się z twoim zgłoszeniem.

Robi wrażenie.

–Dziękuję.

–Tak więc możemy pominąć rzeczy, które omówiłaś wcześniej. Chcemy, żebyś opowiedziała nam o twoich badaniach naukowych i o tym, jak mogą nam pomóc dostać się na Marsa. Tak jak to widzisz.

Nagle w ustach zrobiło się jej tak sucho, jakby nasypano tam piasku z Równiny Szakali. „Fajne pytanko” – pomyślała. „Podchwytliwe”. Powoli zaczęła opowiadać.

Podsumowała główny nurt swojej pracy, badania geologiczne oparte na danych Mariner’a i opowiedziała, jak pomogły jej sformułować hipotezę, że może kiedyś na Marsie była woda na powierzchni, w płynnej postaci, i że może jest tam nadal, pod zwietrzałym gruntem. Jeśli pierwsza załoga znalazłaby wodę, dalsza eksploracja i badania Marsa byłyby zapewnione.

„Znajdzie się wodę i będą kolejne loty, chłopaki” – przekazywała im w myślach.

„Starczy miejsc dla was wszystkich. Ale beze mnie wróćcie stamtąd z kwitkiem”. Chuck Jones nie odrywał od niej wzroku. Była przekonana, że pamięta ją z tamtej wyprawy w teren.

Próbowała stworzyć wrażenie, że jest rozluźniona, patrzeć im w oczy. Rewanżowali się chłodnymi spojrzeniami. Ale w miarę, jak mówiła, jej pewność siebie rosła; lęk i podziw malały. Ci mężczyźni byli tylko mężczyznami. Nawet Joe Muldoon. I kiedy spojrzała na nich pod tym kątem, spostrzegła, że przynajmniej trzech taksuje ją dyskretnie, zerka na biust, nogi.

Zadano jej uzupełniające pytania. Potem Jones spytał, jakimi kryteriami posłużyłaby się, wybierając miejsce lądowania na Marsie. To było kolejne podchwytliwe pytanie, ale teraz zyskała większą pewność siebie. Uśmiechnęła się do członków komisji, przechodząc wzrokiem od jednego końca stołu do drugiego.

–Co oczywiste, moim celem będzie udany program naukowy podczas pierwszej misji – oświadczyła. – A wartość naukowa lądowiska kluczowym kryterium. Ale jest również oczywiste, że pierwsze lądowanie będzie krańcowo trudne. Musimy więc

wybrać takie miejsce, które zapewni załodze maksymalne bezpieczeństwo. – Przeleciała ekspresowo krótką listę: gładka równina bez rozpadlin, bez wzgórz utrudniających podejście do lądowania, słaby wiatr, pora roku w minimalnym stopniu grożąca burzami piaskowymi, itd. – Musimy dostarczyć na Marsa naukowca. Ale martwy naukowiec to żaden interes. To wzbudziło uśmiechy. I nic dziwnego; była to świadoma parafraza sławnego powiedzonka Deke'a Slaytona, usprawiedliwiającego politykę niedopuszczania naukowców do pierwszych misji Programu Apollo. Wszystko to było częścią wiadomości, którą im kompletowała, słowem, gestem i podtekstem: „Jestem naukowcem, dobrym naukowcem, o bardzo przydatnym doświadczeniu. I, chłopaki, jestem gotowa pomóc zrealizować wasze marzenia. Beze mnie nie dacie rady”. Zaczęły padać trudniejsze pytania. Dobierano się jej do skóry.

–Doktor York, czy zgodziłaby się pani na udział w dwuletniej podróży na Marsa? – Czy... pewnie! To zależałoby od tego, jaką szansę powodzenia miałyby taka akcja.

Ale zgodziłabym się bardzo chętnie z powodów naukowych. Uważam, że chyba lepiej potrafiłabym opisać to, co doświadczyłam, niż... – Więc tak czy nie, pani doktor? – Hę?

–Zadałem pani pytanie. Czy wzięłaby pani udział w locie na Marsa?

–Chyba tak. Tak.

–Doktor York. Załóżmy, że powiedziałbym pani, iż szansę przeżycia takiej wyprawy wynoszą dwa do jednego. Leci pani?

–Nie może pan tego wiedzieć. Statystyki są tak niepewne, analizy...

–Założmy, że wiem. Leci pani?

–Dwa do jednego?

„Mów prawdę, Natalie” – podpowiedział jej jakiś głos w głowie. – Absolutnie nie. Gdyby dało się to ustalić, zaakceptowałabym szansę dwadzieścia do jednego.

–Dziesięć do jednego?

–Gdyby dało się to ustalić.

–Jak zamierza pani pogodzić dwie kariery zawodowe, astronauty i naukowca? Czy nie ma tu sprzeczności?

–Oczywiście. Ale są wspaniałe możliwości wzajemnego uzupełnienia. – „Na Marsie wystarczy tylko się rozejrzeć i robisz odkrycie” – dodała w duchu. „Jesteś

Darwinem na

Galapagos...” -...Ale musiałabym zadbać o to, żeby moja kariera naukowa nie stanęła w

miejscu. Starałabym się jakoś to podzielić...

–Jak?

–Poświęcać może jedną trzecią do połowy czasu na własne badania.

–

Chuck Jones pochylił się nad stołem. Czarne oczy przewiercały ją na wskroś.

Doktor York. Nie jest pani mężatką.

„Co to ma być, u diabła?” – pomyślała.

–Nie, nie jestem.

Co pani sądzi o zbliżającej się Narodowej Konferencji Kobiet?

...O czym? Przepraszam, nie zrozumiałam...

–Musi pani wiedzieć, że takie wydarzenie zapowiada się tu, w Houston, w listopadzie. O ile wiem, będzie parada z udziałem pierwszej damy, Billie Jean King... Gdyby była pani tu wtedy, pracując w NASA, czy wzięłaby pani w niej udział? – Może. Wątpię. Obawiam się, że takie sprawy raczej mnie nie interesują. – Czy udzieliłaby pani Konferencji swojego poparcia, bez względu na to, czy interesuje to panią, czy nie, doktor York?

„Chodzi im o to, czy zaliczam się do tych nowych feministek z drugimi kłami” – pomyślała. „Jezu Chryste. Czy muszę na to odpowiadać?”. Poczula gniew.

–Jestem zwolenniczką Ustawy o Równym Prawie do Kredytu z 1975 roku i chciałabym, żeby była w pełni stosowana. Popieram prawo do pełnoetatowego zatrudnienia, do ruchomego czasu pracy, ułatwiającego opiekę nad dzieckiem, i innych podstawowych ułatwień. Do diabła, tak, popieram Konferencję, jeśli chcecie wiedzieć. – Patrzyła na nich płonącym, wyzywającym wzrokiem.

„A jeśli nie wyjdzie mi to na zdrowie, to do diabła z wami, dupki” – dorzuciła w myślach.

–Czy mogłaby pani nam opowiedzieć o swoim związku z Michaeliem Conligiem?

Poczuła, że ręce się jej pocią.

„Mój Boże – pomyślała – oni mnie zadręcą”.

To było po prostu odrażające. Przez długą chwilę zastanawiała się, czy po prostu nie wyjść.

Wreszcie powoli zdała im suchą, ograniczoną do faktów relację z tego, jak to

jest i nie

jest z nią i Mikiem.

–Ale teraz jesteście razem? – spytał Jones.

Zastanawiała się, czy się nie wyłgać. Co zabrzmiałoby lepiej? „Tak”? „Nie”? Pewnie potem dałoby się namówić Mike’a, żeby podtrzymał jej wersję... „A, do diabła z tym wszystkim” – zdecydowała w duchu.

–Nie wiem, proszę pana. To skomplikowane.

Jones wytrzymał przez chwilę jej wzrok. Potem znów usiadł wygodnie.

–W porządku, pani doktor. Michael Conlig pracuję dla jednego z naszych głównych

wykonawców Programu NERVA 2. Jak pani wie. Równie dobrze mogłaby pani znaleźć

tam

pracę, żebyście byli razem.

–Chyba tak.

–Czy uważa pani, że jej „skomplikowany” związek mógłby narazić panią na jakieś kłopoty?

Znów poniósł ją gniew i nie ukryła go.

–Nie, nie uważam. Szczerze mówiąc, nie podoba mi się to, co pan insynuuje. Mike jest oddany swojej pracy. Więcej, świata poza nią nie widzi. Ze mną jest podobnie.

Jones uniósł brwi.

–Czy to źródło tych komplikacji? „Pieprzę cię” – odpowiedziała mu w myślach. – Oboje mamy cele, które chcemy realizować. Oboje będziemy wypełniać nasze

zadania najlepiej, jak się da, bez względu na to, czy będziemy pracować razem, czy nie. – Popatrzyła wyzywającym wzrokiem po członkach komisji, jakby chciała powiedzieć, że pożałują, jeśli tylko spróbują dalej drążyć ten temat. Ale dali jej spokój z Mikiem. Następne pytanie dotyczyło możliwości występowania wody na Marsie.

Kiedy skończyli, poczuła zimną satysfakcję.

Nie miała pojęcia, czy przeszła, czy nie. Było zbyt wiele czynników poza jej kontrolą, w tym zwyczaje i sposoby zarządzania NASA, zbyt wiele rzeczy, na które, przy całym jej kwalifikacjach, doświadczeniu i elokwencji, nie miała najmniejszego wpływu. Ale przynajmniej dała z siebie wszystko.

Niemniej jednak czuła się zbrukana. Te cholerne pytania o Mike'a. Szkoda, że nie znalazła sposobu, żeby na nie nie odpowiadać.

Poza odpowiadaniem miała tylko jeden wybór: natychmiast wyjść. Zdecydowała się odpowiadać. Teraz kiedy adrenalina opadła, czuła się tak jakby zdradziła samą siebie.

Uczyniła pierwszy z wielu kompromisów, które pewnie musiała zaakceptować, jeśli chciała dostać się do NASA i miała w niej przetrwać.

Kiedy już zbierała się do wyjścia, lunonauta mrugnął do niej z wyraźnym uznaniem.

Odpowiedź z NASA przyszła – w końcu – tuż przed świętami Bożego Narodzenia. York stała w korytarzu swojego mieszkania w Berkeley, patrząc na śnieżnobiałą kopertę z niebieskim logo.

Nagle ta chwila nabrała cholernego znaczenia w jej życiu. To było prawdziwe rozwidlenie dróg losu. Jedna prowadziła do programu kosmicznego. Może nawet na Marsa.

Druga...

Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, dokąd prowadzi ten drugi szlak, który mógł stać

się realny, jeśli okazałoby się, że ten list, ta wąska, elegancka, biała koperta zawiera

odpowiedź odmowną.

Odłożyła ją na stół, nie otwierając.

Zajęła się robieniem kawy, przeglądaniem reszty poczty. Otwarcie listu tak po prostu nie wydało się jej właściwe.

Mike był daleko, w Santa Susana, zagrzebany po uszy w wynikach ostatnich testów.

Nie odzywał się od kilku tygodni.

Jego nieobecności znaczyły dla niej coraz mniej. Nigdy nie skończyli tamtej rozmowy, rozpoczętej nocą w hotelu w Los Angeles. „Chryste, to było w styczniu, prawie rok temu” – pomyślała. Nie miała pojęcia, dokąd zmierza jej życie. Nawet nie opowiedziała Mike’owi, że chce się zaciągnąć, że była w Houston, przeszła męki w bazie lotniczej.

Oczywiście, Ben Priest wiedział, ale poprosiła go, żeby nie wspominał o tym Mike’owi. Ben bardzo się zdziwił – zdziwiła też samą siebie – ale się uparła. Nie oczekiwała, że się jej uda. Nie na serio. Ale chciała się dowiedzieć, jak daleko się przebije. A poza tym chciała to zrobić dla siebie samej, bez względu na to, co pomyślą o tym inni, zaaprobują, czy nie, Mike, czy ktoś inny. Opowie o tym Mike’owi, kiedy ją skreślą.

Jeśli ją skreślą.

A jeśli się udało? Jak wtedy poruszy z nim ten temat?

„O, cześć, kochanie, to ja. O, nic ważnego. Uhm. Uhm. No. Też za tobą tęsknię. Ach, przy okazji... Zupełnie zmieniłam pracę, weszłam do NASA, lecę na Marsa, wystawiać jajniki na bombardowanie promieniowaniem kosmicznym. Czemu ci o tym nie opowiedziałam? No, wiesz, jak jest. Oboje byliśmy tak strasznie zajęci. Strasznie, strasznie, strasznie! Mike...?”

Mike...?”.

Otworzyła kopertę.

Skreślono ją. Nie została zakwalifikowana. Zdecydowały wyniki cholernych badań lekarskich.

Nie wiedząc jak, doczłapała do krzesła. Coś rozpływało się w niej, miękło, znikало i odpływało.

„To się nie wydarzy” – pomyślała. „Może uda mi się rzucić okiem na kilka funtów próbek pod szkłem, w jakimś sterylnym laboratorium w Houston. Ale to ktoś inny będzie chodził po Marsie, wbije dłonie w rdzawy pył. Nie ja”. Teraz kiedy było po wszystkim, zdumiała ją, jak bardzo jej na tym zależało. Oglądając się wstecz, spostrzegła, że marzenie o Marsie było jak rubinowy promień laserowego światła,

przenikający całe jej życie i łączący wszystko, czego dokonała. Wciąż cynicznie oceniała program kosmiczny; zwyczaje, które w nim obowiązywały, jego wpływ na społeczeństwo.

Tak, do diabła, potępiała go. Cały ten interes był prostacki, nie taki, jak trzeba, był stratą pieniędzy i znalazłyby się o wiele bardziej skuteczne sposoby osiągnięcia celów naukowych bez wysyłania w górę źle wykształconych ludzkich istot w przeciążonych statkach, nękanych awariami kanalizacji...

Ale tak długo, jak istniała ta chwiejna drabina sięgająca poza Ziemię, chciała na nią wejść.

„Tak!” – wołała w duszy. „Przyznaję! Zależy mi na tym! Bardziej niż na wszystkim innym!”.

Zmięła list i cisnęła go na podłogę.

Dobrze, że Mike’a przy tym nie było.

Ben Priest dzwonił kilka razy, zostawiał wiadomości na sekretarce automatycznej. Był pełen współczucia. Nie odpowiedziała na jego telefony. Zadzwonił Jorge Romero. Gotował się z wściekłości.

Czy zdajesz sobie sprawę, że ani jeden geolog nie przeszedł do ostatniego etapu? Uwierzysz w to? Jezu Chryste. Jak można lecieć na Marsa i nie zabrać chociaż jednego geologa? Mówię ci, Natalie, nie odpuszczę tego. Tak naprawdę nie chciała tego słuchać.

Minął już tydzień i przez cały czas próbowała uwolnić się od tego, co ją spotkało.

Przeważnie wołała być sama, ale ten jeden raz wydało się jej, że rozmowa z kimś coś da.

Nawet jeśli tym kimś miałyby być matka.

No, tu może przesadziła.

Zapewne nadal przeżywała łagodny szok, jakby postawiła wszystko na Marsa, zainwestowała całą swoją uczuciową energię w tę wyprawę.

Ale zaczęła sobie tłumaczyć, że to było niedojrzałe fantazjowanie, coś, z czego musiała w końcu wyrosnąć. Wstydziła się, że wdała się w tamte prostackie gry z komisją. I

nie ulegało wątpliwości, że mogła osiągnąć znacznie więcej – nawet jeśli

chodziło o lepsze

poznanie Marsa – tu, na Ziemi, niż marnując dziesięć lat życia w próżnej

nadziei, że poleci w

przestrzeń kosmiczną.

Czas dojrzeć.

Teraz najmniej potrzebowała takich syrenich śpiewów, jakie słyszała z ust Romero.

Ale on nie przestawał mówić.

–Ze wszystkich geologów byłaś najbliższa zakwalifikowania się, Natalie. Poza

tym

w ostatniej grupie nie było żadnej kobiety. Mój Boże, co ci ludzie w Houston

sobie

wyobrażają? To nie męski klub lotniczy. Nie zamierzam się poddawać. Zamierzam

odwołać

się od tej decyzji. Nie odpuszczę im...

–Nie wiem, Jorge...

Ciągnęło się to i ciągnęło. Ale nie odłożyła słuchawki. I w końcu zgodziła się, żeby Jorge jeszcze raz zgłosił jej kandydaturę.

Romero musiał odwołać się do wielu zobowiązań, które ludzie mieli wobec niego.

Podejrzewała, że nawet rozmawiał z Benem Priestem. Musiała polecieć do San Antonio i jeszcze raz przejść niektóre badania. Romero sprowadził krajowego specjalistę medycyny lotniczej, żeby ocenił jej przypadek. Tym razem badania okazały się jeszcze trudniejsze do wytrzymania, tak ciężkie, że atmosfera, w których się odbywały, była prawie nie do zniesienia.

Nie załamała się. Robiła, co jej kazano, jakby odrętwiała; uznała, że jej psychika w ten sposób się obroni.

Jednocześnie próbowała zaplanować resztę swojego życia tu, na Ziemi. I bezskutecznie usiłowała sobie wyobrazić, jak porozmawiać z Mikiem. Miesiąc po powtórnych badaniach lekarskich zadzwonił telefon. Kiedy podniosła słuchawkę, poznała głos Chucka Jonesa.

–Natalie?

Oddech uwiązł jej w gardle.

Do tej pory to był zwyczajny dzień, jeden z tysiąca, który niebawem miał odejść z krótkookresowej pamięci i rozpląnąć się w strumieniu czasu; teraz zdała sobie sprawę, że bez względu na to, co Jones powie, zapamięta ten dzień tak długo, jak będzie żyła. – Tak. York.

–Nowe wyniki są w porządku – powiedział bez żadnych wstępów. – Czy chciałabyś przyjechać i polecieć dla nas?

„Mój Boże” – pomyślała.

–Natalie? Jesteś tam?

–Hm, tak, jestem.

–Przyjmiesz propozycję?

–... I już? Ale co z normalnymi sprawami, które idą z propozycją roboty? Pensją, dniem stawienia się do pracy, zakresem obowiązków? No, a co z wysokością emerytury, na litość boską? Spodziewają się, że pełna wdzięczności ślepo rzucę się im na szyję?”.

No więc, chyba tak na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. – Zapadła długa cisza.

Kiedy

Jones znów się odezwał, w jego głosie zabrzmiała stanowcza nuta.

Musimy wiedzieć „tak” czy „nie”, Natalie. Mogłabyś rozwiać te niejasności?

Odetchnęła głęboko. „Do diabła z tym” – pomyślała. „Zamykam oczy i skaczę”.

–Mówię „tak”.

Czas misji: 066/06:34:51

Phil Stone nie spał dobrze. Prawie odetchnął z ulgą, kiedy jego interkom zaczął wysyłać jakąś cichą muzyczkę, którą można usłyszeć na Ziemi w windzie, łagodne dźwięki

gitary.

Zamknął oczy i schował głowę do śpiwora; może jeszcze zdoła ukraść kilka minut snu.

Usłyszał łomoty, dudnienia i ciche przekleństwa z wnętrza sypialnej obok. Czyjaś pięść załomotała o panel interkomu.

–Zamknij się, do jasnej cholery. – Rozległo się. Znaczyło to, że Ralph też się obudził.

Usłyszał kichanie Natalie. To przez kurz. Dawał się we znaki; nie osiadał w warunkach nieważkości i mimo obiegu oraz filtrowania powietrza było go sporo; z jedzenia, z włosów, golonego zarostu, łuszczącej się skóry. Muzyka umilkła.

Odezwał się Fred Haise, pełniący rolę kontrolera łącznikowego. – Kiedy będziecie gotowi, Ares, mam dla was kilka aktualizacji planu lotu, aktualizację menu i wiadomości poranne.

–Gadaj, co słyhać, Houston – zawarczał Gershon. – Jasne. Co tu mamy... Lakersi wygrali z Boston Celtic w finale NBA. Natalie pewnie się ucieszy, jak to usłyszy. A może nie. W dalszym ciągu trwa kryzys z porwaniem lotu TWA w Bejrucie. Wygląda na to, że pasażerowie zostali wyprowadzeni i rozrzućeni po slumsach... O, jest coś dla ciebie, Ralph. Wiem, że jesteś fanem science fiction. Gene Roddenberry powiedział, że zmienia scenariusz nowej serii „Star Treka”. Miała być jak pierwsza, z wielkim krążownikiem kosmicznym Enterprise z wielkimi silnikami fazowymi na niespotykaną skalę. Ale zmienił zdanie; chyba zainspirowała go wasza wyprawa,

chłopaki.

Otóż powiada, że zamierza opisać coś, co nazwie „Star Trek – Explorer”. Będzie to wyprawa małej grupy ludzi i kosmitów, udająca się w nieznaną część kosmosu. Kruchy stateczek kosmiczny polecą o wiele dalej, niż ktokolwiek dotarł do tej pory... Co wy na to, chłopaki?

Fakty naukowe zmieniają kształt fantastyki naukowej. Tak tu jest napisane.

Gershon roześmiał się hucznie.

–Kto gra mnie? A kto z nas jest kosmitą?

Haise, miły człowiek, ale nie nadający się publicznych wystąpień, czytał dalej. Po kilku minutach Stone przestał zwracać uwagę na zacinający się głos. Ale zdał sobie sprawę, że wiadomości z Ziemi były istotne. Przypominały im, że gdzieś tam jest ojczysta planeta, coś, do czego warto wrócić, nie tylko zamknięta przestrzeń tych puszek, na które byli skazani.

Wysikał się, umył, nałożył podkoszulek i szorty. Zawiesił na szyi okulary do czytania.

Prawdę mówiąc, zapowiadał się dobry dzień. Plan misji zakładał, że Stone miał wykonać pewne obserwacje, poprzedzające jutrzejszy TCM-2*[Przyp tłum Trajectory Correction Manewr.], drugi manewr korekty trajektorii. To był ważny punkt misji, na który oczekiwał z utęsknieniem od sporządzenia harmonogramu misji. Ale wcześniej czekała go masa głównianych zajęć.

08:15:31

Po jakby rutynowej, ciągnącej się, śniadaniowej papraninie pierwszym obowiązkiem dnia było oczyszczenie modułu misji.

Powtarzano to co kilka tygodni – czasem częściej, jeśli spece na Ziemi oświadczyli, że aktywność bakterii w module wzrosła nie do przyjęcia. To była wina mikrograwitacji.

Mikroorganizmy kwitły na unoszących się swobodnie kroplach wody i zbierały w dziwnych zakątkach. Na dodatek nieważkość obniżała barierę immunologiczną załogi' wiązało się to w jakiś sposób ze spadkiem liczby limfocytów we krwi. Następnie załoga przepłynęła do kosmicznej arki. Był to obszar, w którym dokonywano eksperymentów z małutkimi zwierzętami. Część menażerii zasugerowali licealiści. W arce znajdowały się plastikowe klatki różnych rozmiarów, zawierające strzeble potokowe*[Przyp tłum ryby z rodziny karpiowatych, osiągające do 18,5 cm długości.], sześć myszy, kilkaset poczwerek much i pajęczycę o imieniu Arabella. Było nawet pudełko z robakami. Stone postukał w ściankę z pleksi; strzeble zataczały ciasne kręgi, wyraźnie zdezorientowane brakiem ciężenia. Podczas planowania misji York była bardzo sceptycznie nastawiona do naukowej wartości eksperymentów w arce, a Gershon najzwyczajniej oświadczył, że „nie chce mieć nic do czynienia z tym gównem”. Ale Stone zauważył, że oboje coraz częściej zagląдают do miniaturowego zoo.

Robaki zainteresowały Stone'a. Nazywały się palolo i pochodziły z Samoa.

Zamieszkiwały głęboko wyżłobione

tunele raf koralowych

1co roku wynurzały się w ostatniej kwadrze październikowego księżyca, aby się łączyć w pary. Nikt nie wiedział, jak to robiły. Na Samoa pływy oceanu, powiązane z Księżycem, były zbyt małe, żeby robaki mogły je dostrzec. A światło naturalnego satelity Ziemi docierało tylko kilka cali w skalne zagłębienia. Palolo zabrano w kosmos, żeby się przekonać, jak zareagują, znalazłszy się poza ziemskim polem grawitacyjnym.

Pajęczycza spoczywała w płytkim pudełku z naklejką: *Araneus diamedatus*. Gruba sieć szerokości co najmniej stopy rozciągała się w pudełku, z pajęczycza w środku. – W porządku, Arabello – zamruczał Stone – teraz jesteś astronautą, co? Sprawdźmy, jak naprawdę jesteś sprytna. – Trącił pudełko i podłużnice sieci zafalowały; sieć szybko popękała, a stworzenie zawisło w powietrzu. Stone nie mógł oprzeć się

dziwnemu wrażeniu, że zachował się okrutnie. Ale celem eksperymentu było zapisanie budowy świeżej sieci. W pudełku umieszczono bardzo delikatne czujniki dźwięku; każdy ruch pajęczycy pobudzał je i włączał kamerę.

Cała załoga skupiła się wokół pudełeczka, żartując z jego lokatorki i trącając palcem sprzęt.

Z kolei Stone przeszedł do eksperymentalnego ogródka. Przypominał skrzynkę na kwiaty i był wymiarów walizki. Rosły w nim groszek, pszenica, ogórki, pietruszka, cebula, koperek, koper włoski i czosnek. Część roślin umieszczono w warunkach mikrogravitacji, część w małej centryfudze, symulującej warunki księżycowe i marsjańskie. Stone pielęgnował rzędkie roślinki. Groszek rósł wyśmienicie przez pierwsze cztery, pięć tygodni, ale teraz jakby więdł, tak więc Stone stale go podlewał i nawoził. Nie zakładano, że rośliny zostaną koniecznie użyte do rozsiewu, ale badania wykazały, iż ich wartość odżywcza pozostaje wysoka; stan nieważkości nie szkodził syntezie białka. Jednak korzenie rosły bezładnie, nie znajdując właściwego kierunku rozwoju. Kontrast między ciepłym zakątkiem zielonych, rozwijających się roślin a zimną czernią kilka cali dalej, za ścianą modułu misji, był uderzający. Stone dosłownie chuchał na niziutkie groszki, w nadziei, że odżyją w atmosferze wzbogaconej o dwutlenek węgla.

Stone przyciągnął się do izokinetycznego atlasu. Maszynę przymocowano w środku modułu misji; miała dwustronną dźwignię z podściółkami pod barki i ręczki. Połączono ją zębatką z turbiną powietrzną. Atlas był nowomodnym urządzeniem, mającym zastąpić bieżnie i wiosła, wożone podczas wcześniejszych lotów. Blokując nogi, Stone mógł robić przysiady, stawać na palcach, ćwiczyć wyciskanie (także w leżeniu) i podciąganie, i rozwijać tricepsy.

Co chwila spoglądał na licznik i za każdym razem ponuro stwierdzał, że do końca ćwiczeń zostało jeszcze wiele czasu. Było mu niewygodnie i chociaż podkoszulek miał mokry, pot nadal gromadził się na klatce piersiowej i między łopatkami. Jedynym urozmaiceniem pozostawał widok w małym, niedaleko umieszczonym iluminatorze, tak więc wpatrywał się w ciemność.

Stone wiedział, że po kilku miesiącach ciało adaptuje się do stanu nieważkości, przyzwyczajając do nowych warunków równowagi, innych niż na Ziemi. Błędnik, mechanizm w uchu odpowiadający za poczucie równowagi, wysiadał pierwszy – stąd

choroba

lokomocyjna

–ale po kilku dniach również pierwszy dochodził do siebie. Następnie wracała do normy równowaga płynów ciała, a potem układ sercowo-naczyniowy, serce i naczynia krwionośne.

Ale to nie była norma ziemską.

Mózg Stone'a, który nie miał pojęcia o stanie nieważkości, uznawał, że cała dodatkowa krew zbiera się w głowie, dlatego iż w ciele jest za dużo płynów, i nakazywał nerkom wydalać więcej moczu. Stąd odwodnienie. Tak więc Stone musiał wypijać dziennie dodatkowo dwa i pół litra płynów, dostarczających ciało odpowiednią ilość soli.

Tego,

między innymi, NASA nauczyła się od Rosjan.

Na dodatek, oddając wielkie ilości moczu, Stone wypłukiwał z kości wapń i potas. Deficyt wapnia prowadził do rzeszotowania kości i gromadzenia kamieni w nerkach,

a ubytek potasu – do kłopotów z sercem, tak więc musiał brać środki uzupełniające dietę, a do tego dochodziły sterydy anaboliczne, na wypadek gdyby ktoś z załogi cierpiał na poważny ubytek kośćca.

Jego mięśnie nie wykonywały żadnej pracy, którą powinny się zajmować, i pozostawione samym sobie mogły ulec atrofii. Stąd obowiązkowe zajęcia na atlasie. Były

inne sposoby, na przykład „garnitur pingwina” – nazywany tak, bo człowiek człapał w nim jak

pingwin

–zestaw elastycznych pasków, który zginał cię do pozycji płodowej, tak że twoje mięśnie stale pracowały, jakby przeciwdziały sile grawitacji. W końcu było czibi, po rosyjsku „czajka”, kolejny pomysł zapożyczony od Sowieców; usztywnione legginsy zmniejszające ciśnienie zewnętrzne, przez co serce musiało mocniej pracować, żeby ściągnąć krew z dolnej połowy ciała.

Ćwiczenia izokinetyczne również chroniły szkielet przed utratą minerałów; wytrzymałość kości zawsze odpowiada maksymalnemu obciążeniu narzucanemu im przez mięśnie.

Załoga co kilka dni miała obowiązkowo elektrokardiogram, test antyanafilaktyczny, pomiar częstotliwości oddechu i spirometrię. Wyniki przesyłano lekarzom na Ziemię. Jak obliczyć cały ten interes, wychodziło, że traciło się na niego cały jeden dzień w tygodniu.

Badania i ćwiczenia nie budziły entuzjazmu. Jednak Stone zdał sobie sprawę, że musi dawać przykład innym. Jeśli będzie się wymigiwać, inni pójdą w jego ślady. Tak więc dbał o to, żeby ćwiczyć przynajmniej przepisową godzinę dziennie. Jednak mimo tych wszystkich środków zapobiegawczych, Stone miał klasyczny przypadek kurzych nóg, jak nazywali to astronauta, atrofię mięśni kończyn dolnych.

Podeszwy stóp zrobiły mu się delikatne jak u niemowlęcia. I potwornie męczyły mu się ręce.

Pracował nimi stale, jak nigdy na Ziemi; poruszał się po module, pokonując ciężar całego ciała.

Dzisiaj Stone miał prawo do prysznic. Każdy członek załogi mógł brać tusz raz w tygodniu.

Zdjął podkoszulek, szorty i wsunął nogi do składanej kabiny. Był to cylinder z białego płótna, przypominający wielki akordeon. Podniósł zasłony i przymocował je do metalowego karnisza u sufitu. Namydlił się i opłukał; nie tyle ciążenie, co ruch powietrza ściągnął z niego wodę.

Podczas mycia czuł się tak, jakby schodziły z niego warstwy skóry; mycie gąbką, jedyna forma utrzymania higieny między prysznicami, po prostu nie wystarczało.

Poza tym

tusz rozluźniał zesztyniałe mięśnie.

Woda tak długo wisiała w powietrzu, że Stone czuł się, jakby brał saunę, nie prysznic.

Myślał o swojej załodze.

Psycholodzy NASA wytłumaczyli im wszystkim, jak ludzie zachowują się podczas długiej izolacji. Sam Stone uznał po kilku lotach, że jest człowiekiem zrównoważonym i dysponuje znakomitym zdrowiem. Ale od czasu do czasu dostrzegał u innych większość objawów izolacji: zakłócenia snu, znudzenie, nerwowość, niepokój, ataki gniewu, depresje, bóle głowy, skłonność do irytacji, obniżenie koncentracji, zagubienie w czasie i w przestrzeni.

Ares był codziennie bombardowany wiadomościami od sympatyków, krewnych i przyjaciół, ale opóźnienie czasowe było tak znaczne, że nie dało się porządnie porozmawiać. I słysząc te znajome głosy nawołujące spoza bariery prędkości światła, czuleś się tym bardziej samotny. Wszystko to odbijało się na załodze.

Gershon z pozoru wydawał się najmniej ulegać niekorzystnym czynnikom. Wciąż błaznował, wciąż sypał dowcipami. Ale te żarty były coraz zjadliwsze. Miał po prostu charakter pilota, przywykł pracować zrywami, na fali adrenaliny. Niemniej jednak, w ocenie Stone'a Ralph trzymał się świetnie. Wiedział, że będzie miał okazję zabłysnąć, kiedy sprowadzi ładownik na powierzchnię. Stone uważał więc, że jego zadaniem jest zadbać, by facet się nie rozleciał przed dotarciem na Marsa. York była inna.

Skryta, obsesyjnie skupiona na swoim zadaniu, trochę odludek. Bardzo arogancka i patrząca z góry. I do tego cywil. Żarty i przytyki Gershona doprowadzały ją do białej gorączki, ale nie reagowała na nie słowem; przeciwnie, komentarze zachowywała dla

siebie, tylko wrzała pod powierzchnią. To nie było dobre rozwiązanie dla nikogo. York przypominała Stone'owi wiele innych znanych kobiet, robiących karierę zawodową. To znaczy była przewrażliwiona, jak jasny gwint. Ale zazdrościł jej sił wewnętrznych i podziwiał głębię widzenia. Stone był gotów przyznać, że dla niego misja była wszystkim; poprowadzić statek, zrobić swoje, kiedy wreszcie siadana Marsie, i wrócić do domu. York drogą kontrastu miała świadomość wielkości tego wszystkiego, wyjątkowości przeżycia, którym był międzyplanetarny lot. To były jej głębokie źródła, z których potrafiła czerpać i które – kiedy wychodziła ze swojej skorupy – potrafiła opisać innym. Czasem wyrażała się na granicy poezji.

Stone zdawał sobie sprawę, że to ważne, i miał nadzieję, iż kiedyś przyniesie wymierne korzyści. Poza tym ich cotygodniowe sprawozdania dla sieci telewizyjnych – którymi bardzo szybko przestano się interesować, kiedy opadły emocje startu – znów cieszyły się zainteresowaniem widzów, głównie dzięki York. Tak oceniało to Houston. Wytarł się ręcznikiem, a potem rurą ssącą zebrał krople wody unoszące się w powietrzu. Było to nieporęczne i czasochłonne.

W końcu, kiedy rozebrał i wreszcie złożył kabinę, poczuł się jak zwykle sfrustrowany i znów napięty. Korzyści z prysznicza szły na marne.

13:21:51

Zasiadł przy pulpicie kontrolnym modułu misji. Sprawdził szybko parametry operacji

klastera; zużycie zasobów nieodnawialnych, zużycie paliwa silników pozycji, temperatura

zbiorników kriogenicznych...

Większość danych była w normie.

Ale wielkie baterie słoneczne wystające jak skrzydła z boków silnika S-4B za bardzo się grzały. Miały jednak zasięg manewru wynoszący dwadzieścia pięć stopni. Promienie słoneczne padając na przekrzywione płyty, nie powodowały już przegrzania. Stone zasugerował kontroli misji, że należy przechylić płyty kilka dni przed wyznaczonym terminem; po paru minutach Houston odpowiedziało, że oceni propozycję. Następnie był kłopot z zasilaniem ruchomej anteny parabolicznej, wycelowanej w Ziemię. Nastąpiła utrata mocy sygnału rzędu trzech decybeli; być może część układu pękła w wyniku przeciążenia termalnego. To groziło poważnymi konsekwencjami, ograniczeniem obrazów wysokiej rozdzielczości, dostarczanych na Ziemię. Kontrola misji odpowiedziała, że na razie nie podejmie żadnej akcji, najpierw dokona symulacji i analiz. Potem wykrył problem z niektórymi modułami regulacyjnymi akumulatora. Jeden z nich, numer piętnasty, miał awarię dobrych kilka dni wcześniej, a teraz wyłączył się numer trzeci. Moduł misji dostawał około dwieście watów mocy mniej. Houston uważało, że mogło to być wynikiem miejscowego samoczynnego spadku napięcia, co doprowadzałoby do zbyt częstego wyłączania regulatorów i Stone musi sprawdzić układy zasilania i podawać wysokość zużycia prądu specjalistom zaplecza MOCR.

Była to powolna, nudna, niemal bezmyślna praca. Rutynowe zajęcia naprawdę wtlaczały cię w podłogę; takie było niebezpieczeństwo długotrwałych misji. Ale wszystko

opierało się na realizowaniu rutynowych zadań. Bez nich ta ręcznie sklecona, zardzewiała

rura nie uleciałaby daleko.

–W końcu mógł zająć się nawigacją międzyplanetarną.

Poszedł do okna widokowego mesy i wyjął swój zestaw optyczny. W jego skład wchodził teleskop powiększający dwukrotnie i sekstans powiększający dwudziestoośmiokrotnie. Sekstans był to mały, choć masywny przyrząd z okularom i kalibrowanym półkolem, służącym do mierzenia kątów między gwiazdami; przyjemne urządzenie, zwarte, ciężkie, z mosiądzu i Stone lubił się nim posługiwać. Jeśli miałby zabrać pamiątkę z tego lotu, to, do diabła z kamieniami z Marsa, wybierze ten zestawik. Zabrał się do pracy.

Najpierw zmierzył pozorną wielkość dysku Słońca, co umożliwiło mu obliczenie odległości statku od Słońca, a potem kąt między Wenus i ustaloną gwiazdą oraz Ziemią i tą samą gwiazdą. Te trzy pomiary pozwalały wyznaczyć pozycję w przestrzeni. Na końcu dokonał kilku dodatkowych pomiarów.

Przekonał się już wcześniej, że unieruchomienie przyrządów w warunkach mikrogravitacji wcale nie jest takie łatwe. Aby obejść niedogodność, należało zawiesić przyrządy w powietrzu, najrówniej jak to tylko możliwe; następnie przykładał oko do okularu i dokonywał precyzyjnego odczytu.

Pierwszy TCM – manewr korekty trajektorii – miał miejsce dziesięć dni po opuszczeniu Ziemi. Wtedy linia lotu znacznie odbiegała od poprawnej. Planiści trajektorii w Houston przesłali Aresowi parametry odpalenia korekcyjnego i układ manewrowy modułu MS-2 – dwa zmodyfikowane silniki ładownika dokonały znaczącej zmiany prędkości w wysokości dwudziestu pięciu stóp na sekundę. Ale zgodnie z najświeższymi danymi, statek nadal poruszał się po trajektorii nieco rozmiągającej z celem. Stone miał sprawdzić pozycję i prędkość statku i na nowo wyliczyć kierunek; kolejne odpalenie TCM przeprowadzone następnego dnia miało doprowadzić do likwidacji małej anomalii. Drogę statku śledzono z Ziemi przeróżnymi sposobami. Im szybciej się oddalał, tym bardziej zmieniała się częstotliwość przekazu radiowego, jak dźwięk gwizdka przyspieszającego pociągu. Do ustalania odległości służył też wzorzec modulacji łączności satelitarnej – krótki cyfrowy szyfr – przekazywany do statku kosmicznego i natychmiast odsyłany z powrotem. Opóźnienie w otrzymywaniu sygnału mówiło specjalistom, jak daleko statek znajduje się od Ziemi. Na Aresie wykorzystywano też inną, eksperymentalną metodę radiową. Polegała na obliczaniu zmiany kąta między statkiem a pewnym kwazarem, źródłem fal radiowych w tle nieba.

Ale wszystkie te techniki razem wzięte nie były wystarczająco dokładne; dawały wynik sięgający zaledwie połowy pożądaney normy. Rozwiązaniem było użycie wyposażenia samego statku kosmicznego. Prawdę powiedziawszy, Ares miał własne

sensory optyczne. Dwa sensory słoneczne – małe fotorezystory z siarczku kadmu – umieszczono na baterii słonecznej. Był też sekstans słoneczny, soczewki z obiektywem dysektora obrazu. Ale automaty były po prostu za głupie.

Jasne cząsteczki, śmieci kosmiczne unoszące się wraz ze statkiem na jego orbicie okołosłonecznej, co kilka dni oszukiwały sekstans słoneczny. Tak więc – podobnie jak robili to żeglarze pływający od tysięcy lat po morzach Ziemi – Phil Stone musiał prowadzić swój statek wedle gwiazd. Przyłapał się na tym, że podśpiewuje pod nosem podczas tej roboty. Wiedział, że wykonuje ją dobrze. Wyszkolił się w planetariach ziemskich i w Moonlabie; potrafił dokonać pomiarów z dokładnością do tysięcznej stopnia i ta prosta umiejętność przynosiła mu wielką satysfakcję.

Kiedy skończył, spakował instrumenty i przeniósł się do pulpitu kontrolnego. Wprowadził liczby do komputera, żeby samemu obliczyć pozycję. Oczywiście, miał przekazać nieobrobione dane Houston, ale zawsze to przyjemność wiedzieć, że umie się samemu znaleźć wynik.

Lubił sobie wyobrażać trajektorię misji, lubił wiedzieć, gdzie się znajduje. Energia wydatkowana podczas głównej zmiany orbity – chociaż ogromna w ludzkiej skali, efekt wynoszenia paliwa na orbitę przez pięć lat – była tak niewielka w skali kosmicznej, że trajektoria statku mało co różniła się od trajektorii Ziemi. Ares odepchnąwszy się od Ziemi, przemykał teraz obok macierzystej planety jak pies obok swego pana.

Pierwsze wyniki wyglądały dobrze; statek kosmiczny był właściwie tam, gdzie powinien być i Stone uznał, że odpalenie TCM-2 powinno być w granicach kilku stóp na sekundę.

Kiedy wykonał swoje obowiązki, pozwolił sobie na chwilę przyjemności. Przygasił światła mesy i siedział w ciepłym mroku obok iluminatora, otoczony szumem wentylatorów.

Teraz Ares samotnie przemierzał przestrzeń kosmiczną; Ziemia i Księżyc zmalowały do dwóch bliskich punktów gwiazdowego światła. Z całego wszechświata widniał tylko dysk Słońca.

Wrażenie osamotnienia było dojmujące; o wiele głębsze niż to, którego zaznał już poprzednio w kosmosie, nawet podczas pracy w laboratorium księżycowym. Jeśli tylko nie przebywałś po niewidocznej stronie Księżyca, zawsze widziałeś Ziemię. Kiedy znajdowałeś się w Skylabie A, Ziemia dominowała cały twój czas, bo odnosiłeś swoje położenie do tego wielkiego kobierca światła, kontynentów i oceanów przepływającego w dole. Tu było inaczej. Nie istniało „góra” i „dół”; tylko małe skalne wysepki unoszące się na niebie. Pomyślał, że człowiek chcąc latać między planetami, musiał rozwinąć nowy rodzaj percepcji, odnajdywać się w

trójwymiarowości.

Kiedy oczy przywykły do mroku, ujrzał gwiazdy; miliony gwiazd, o wiele więcej, niż dostrzegało się przez mętną ziemską atmosferę. Rozpoznał galaktykę, wielką cętkowaną rzekę gwiazd i nieopodal jej rdzenia fragment Strzelca, konstelacji o jakby postrzępionym brzegu. Była to wina skłębionych chmur czarnego pyłu gwiazdnego. Pobliskie gwiazdy połyskiwały w ciemnych bliznach. Widział także czwórkę księżyców Jowisza ustawioną jak po sznurku obok jasnej plamki planety.

Ralph spłynął z jasno oświetlonej części mesy, przynosząc posiłek, kilka paczek

ogrzanej i rozpuszczonej w wodzie potrawy. Świecąc trzymaną w ustach

minilatarką, Stone

mieszał wodę, aż posiłek się rozpuścił.

19:37:20

Po trzynastu godzinach pracy załoga ukończyła swoje zadania na ten dzień. York znów miała nudności, wzięła więc skopolaminę i poszła do łóżka. Stone chciał pobyc trochę sam, może zajmie się pisaniem listów.

Ale Gershon, wciąż pełen nerwowej energii, chciał grać w strzałki. Strzałki były uwielbianą rozrywką w module misji obok magnetycznych kart. Miały groty z rzepów i latały prosto w obu płaszczyznach. Rzucanie nimi różniło się znacznie od rzucania w warunkach ciężenia. Optymalna technika polegała na powolnym popchnięciu strzałki, może z nadaniem lekkiej rotacji wokół własnej osi, dla lepszej stabilności. Ale jeśli strzałka leciała zbyt wolno, prądy powietrzne wytrącały ją z kursu.

Gershon umieścił tarczę na platformie naukowej i razem ze Stonem rzucali

strzałkami

przez całą długość warsztatu.

21:01:32

Gershon wezwał go z wnęki sypialnej do kosmicznej arki. Pudło Arabelli nie było zamknięte jak należy i pajęczycza uciekła. Gershon wskazał dużą na kilka jardów sieć, sięgającą przez całą szerokość modułu misji. Stone miał tylko nadzieję, iż dość insektów przeżyło rozliczne sterylizacje, żeby Arabella miała co jeść. Gershon był cały za tym, żeby uwolnić dla niej z pudełka larwy muszek owocówek.

„Przelecieć na Marsa owinięci w pajęczą sieć. Co za piękny obraz” – pomyślał Stone.

23:32:37

Kiedy Stone spał, zwykle śnił swój kosmiczny sen. Co dziwne, był świadom przyczyn tego snu, nawet we śnie; rodziły go powiew z wentylatorów ściennych i wrażenia spadania, wywołane mikrogravitacją, a może podświadoma wiedza o prędkości, z którą lecieli. Wszystko to zlewało się w sen o fruwaniu.

Otoczały go drzewa, rzeki i czyste niebo; leciał nisko jak drapieżny ptak.

Lipiec 1978 roku Uniwersytet

Kalifornijski, Berkeley

Czasami, kiedy York zastanawiała się nad rozpoczęciem pracy w Houston, ta wizja wydawała się jej atrakcyjna w porównaniu z klikowym, izolowanym światem uniwersyteckim. Przenosiła się tam, gdzie ludzie dokonywali wielkich rzeczy, pracowali nad sprawami istotniejszymi niż następne podanie o grant, tam gdzie osiągnięcia mierzono większą miarą niż roczna liczba cytatów w periodykach naukowych. Jednakże bywało też, że nie mogła uwierzyć, iż to robi. Wiele osób, od profesorów począwszy, częstowało ją masą krytycznych uwag pod adresem NASA. Na przykład uświadomiono jej, że środek ciężkości badań naukowych kosmosu leży nie w Houston, ale na takich uczelniach jak Uniwersytet Cornella, miejsce pracy Sagana. Czyjej własna praca dotycząca kanałów wypływowych na Marsie ruszyłaby z miejsca, gdyby spakowała manatki i przeniosła się do Teksasu? Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że NASA prowadzi aktywną politykę antynaukową. Przed lądowaniem Apolla 11 cała falanga naukowców nagle opuściła Agencję: Bili Hess, główny naukowiec Houston, Elbert King, opiekun próbek księżycowych, Eugene Shoemaker, główny szef badań terenowych Programu Apollo. Shoemaker nie krył niepokoju o kierunek programu kosmicznego i krytykował ubóstwo urządzeń do badania powierzchni Księżyca.

Czy naprawdę nie dało się zebrać próbek gruntu księżycowego w inny sposób niż za pomocą bloku i liny? I czy były jakieś dowody na to, że ten stan rzeczy ulegnie poprawie, że program marsjański będzie się czymś różnił od programu księżycowego? To było deprymujące. Jeśli ci wybitni ludzie nie mogli się przebić do grupy decyzyjnej NASA, jaką szansę miała ona?

Zaferowani przyjaciele podtykali jej gazety pod nos. Właśnie skończyła się sprawa dotycząca tamy Tellico i Sąd Najwyższy zdecydował, że nie ma mowy o zakończeniu budowy, ponieważ groziłoby to wyniszczeniem jedyne go znanego na świecie naturalnego środowiska trzycalowej rybki nazywanej snail darter*[Przyp tłum łac. Percina tanasi.]...

Dzisiaj ludzie byli zdecydowanie przeciwni wielkim bezmyślnym technologicznym pokazówkom – do diabła, ona też – a czy może być coś większego i bardziej bezmyślnego niż NASA?

Następnie orzeknięto, że skończy jako popychadło na obozach treningowych. Będzie robić kanapki dla astronautów. A jeśli potem wróci do prawdziwej pracy naukowej, to już nigdy nie załata dziury w swojej bibliografii. Jej obiecująca kariera będzie załatwiona na amen.

–Poza tym wystarczy tylko pooglądać Dallas, żeby zobaczyć, jako to pustynia kulturalna. I ty chcesz tam jechać! A ten klimat w Teksasie, o rany... O rany! Zaparła się. Zaczęła nawet bronić programu kosmicznego. Mówiła, że jest czymś pośrednim między prawdziwą nauką a kompletnym kretynstwem. Ale taka jest technika na usługach rządu. Przynajmniej nie można powiedzieć, żeby służył do zabijania ludzi! Chcąc wykazać, że nieprawdopodobne jest możliwe, opisywała Bena Priesta, inteligentnego, myślącego człowieka, który przeżył, chociaż może to cud, w tej wężowej jamie durnych latających kowbojów, czyli w NASA.

W każdym razie, jedyna droga, którą mogła dostać się na Marsa, prowadziła przez Houston. To był ostateczny argument, przynajmniej dla niej. Nie zobaczyła się z Mikiem Conligiem.

Kiedy wreszcie zdobyła się na powiedzeniu mu o podaniu, nie wydawał się zaskoczony. Chyba nawet nie potraktował tego poważnie. Zadzwoił kilka razy, z Marshalla czy Santa Susana. Ale nie przyjechał do Berkeley, żeby porozmawiać czy pomóc jej zamknąć ten rozdział w życiu. Może potraktował ją z góry – może uznał, że to kaprys, że nie myśli poważnie, że się nie zastanowiła, co robi. Jeśli tak sądził, to jednak nie znał jej za dobrze. Lub być może podejrzewał, że między nią i Benem Priestem coś było. Poszła do łóżka z Benem tylko jeszcze raz od tamtej nocy w Pasadenie, całe dwa lata temu. Ale nie była aktorką; wiedziała, że nie jest w stanie ukryć tego, co się wydarzyło. Że zdradzają głos, oczy, mowa ciała... to znaczy zdradziłyby, gdyby Mike był na tyle spostrzegawczy, na tyle ceniłby ich związek, żeby się jej uważnie przyjrzeć.

Ale ze smutkiem zdała sobie sprawę, że tak nie jest.

Poza tym ich rozmowa była zbyt sztywna, zbyt wiele rzeczy przemilczeli, żeby mogła

być czegokolwiek pewna.

Musiała załatwić masę dupereli.

Dostała kolejny list. Wynikało z niego, że ma się zgłosić do Houston na rozpoczęcie szkolenia już za sześć tygodni, co było śmiesznie krótkim okresem dla każdego pracującego naukowca, który chciał się uwolnić od dotychczasowych zobowiązań. Narzuciła sobie osiemnastogodzinny dzień pracy. Starła się zamknąć prace badawcze, pisząc podsumowania i wstępne omówienia przedsięwzięć zespołowych, przekazała innym wykładowcom tych studentów pierwszych lat, którzy z nią pracowali, rozwiązała umowy zobowiązujące do pracy dydaktycznej.

Oferta wynagrodzenia odpowiadała wysokości pensji naukowca pracującego w służbie cywilnej. Nie wyobrażała sobie, że astronauta dostają bająnskie sumy, ale

płaca wydała się jej marna, biorąc pod uwagę konieczność zmian w życiu, od miejsca zamieszkania począwszy, czas, który musiała poświęcić, ryzyko... Na litość boską! Tak ją to wyprowadziło z równowagi, że zadzwoniła w tej sprawie do Bena Priesta.

–Co to, szykany?

–To nic osobistego. Musisz pamiętać, że jesteś na dole ogromnej piramidy płac, Natalie. Nie możesz zarabiać więcej niż czołowi astronauta będący na służbie wojskowej.

Chyba to rozumiesz. Ich wynagrodzenie jest sztywne, bo ujęte w wojskowej siatce płac.

–No tak, ale siatka płac w służbie cywilnej też jest sztywna. Awansuje się powoli i...

Przerwał jej.

–Sama musisz sobie odpowiedzieć na jedno pytanie, Natalie: czy naprawdę zamierzasz kruszyć o to kopię? Czy naprawdę wysokość pensji w istotny sposób wpłynęła na twoją decyzję o wejściu do NASA? Jeśli nie, to przestań psioczyć i rób swoje. Zastanowiła się.

Podpisała umowę.

Musiała określić wysokość składki emerytalnej. Sprzedała samochód i rozwiązała umowę najmu mieszkania. Sporządziła nowy testament; uczyniła głównym spadkobiercą matkę i po chwili zastanowienia wyznaczyła na egzekutora Bena Priesta. Kupiła sobie nowe ubrania; spodnie i bluzki z lekkich materiałów, odpowiednie na Houston. Porozmawiała z kasą oszczędnościowo-pożyczkową i bankiem, poinformowała pocztę, dokąd ma przekazywać listy.

Nawet stała się ofiarą zainteresowania mediów, lokalnej prasy i radia, chętnych do umieszczenia żartobliwych kawałków o pani astronautce. Po pierwszych żenujących efektach tych zabiegów – „Kosmiczna piękność nad Księżycem” – przegoniła reporterów i niebawem dali jej spokój.

Nie cierpiała pożegnań, a czekało ją całe mnóstwo rozstań. Zrobiła ostatnią przejażdżkę po Berkeley. Pojechała w górę Dwight Way i przecięła Telegraph Street, minęła domki kryte gontem, a potem sunąc Strawberry Canyon, wydostała się ponad miasto. Wzgórza pokrywała bujna letnia zieleń. W oddali, za równinami Berkeley, dostrzegła mglisty zarys San Francisco i Marin County, połączonych rdzawym mostem Golden Gate. Powietrze było świeże, przesycone wonią olejku eukaliptusowego. Do diabła, jak mogła rezygnować z tego wszystkiego dla wilgotnego smogu Houston?

Nie spodziewała się, że ten aspekt jej odysei będzie tak trudny. Zdała sobie sprawę,

może zbyt późno, że miejsce pracy, mieszkanie, które wynajmowała przez lata, samo

Berkeley – wszystko to było tkaniną jej życia. Badania geologii Marsa, latanie w Kosmos, to

jedna sprawa – skąd mogła wiedzieć, że wyprowadzka, przyjmowanie kartek z pozdrowieniami i skromnych prezencików, wymiana adresów i te nieustannie, nieustannie

padające słowa „do widzenia” będą tak ciężkie.

Środa, 5 lipca 1978 roku

Kwatera główna Rockwell International, Los Angeles

Gershon obszedł parking, prostując nogi po jeździe z centrum miasta. W

Kalifornii

było chłodniej, niż się spodziewał.

Oddział Rockwella w LA rozciągał się przy południowym obrzeżu lotniska. Za płotem rozpościerała się betonowa równina, samoloty kołujące między odległymi budynkami wyglądały jak malowane zabaweczki. Rozlegał się daleki huk startujących odrzutowców i Gershon czuł słabą, budzącą wspomnienia, woń nafty. Gdyby zmrużył oczy i spojrzał w niebo, dostrzegłby tam sznur wielkich powietrznych liniowców, oczekujących pozwolenia na lądowanie.

Kwatera główna Rockwella był to surowy ceglany sześcian, wysoki na cztery kondygnacje i bez jednego okna. Ralph Gershon nigdy nie widział czegoś podobnego; przypominało te durne, budzące osłupienie nowoczesne rzeźby, które zapewniały ich twórcom tysiące dolarów. „Ani promienia naturalnego światła” – pomyślał. „Chryste”.

Przyjechał na kolejne spotkanie Grupy Koordynującej ds. Budowy MEM-a, ładownika marsjańskiego. Samo spotkanie Grupy Koordynującej było piekłem na ziemi, więc na myśl o tym, że musi przeznaczyć na niego cały dzień w tym cholernym ceglany sarkofagu, robiło mu się słabo.

Za zespołem Rockwella widział cały Imperiał Boulevard aż do Zatoki Santa Monica.

Światło przedpołudnia przyjemnie odbijało się od wody, stalowo szare i płaskie.

–Proszę.

Drobny żylasty człowieczek u jego boku, łysy, z wielkimi brzydkimi piegami i w szklach bez oprawek częstował go papierosami.

–Dzięki – powiedział Gershon. – Nie palę.

–Uhm. – Facet wyjął papierosa, postukał nim o paczkę i zapalił. Ręce miał nieproporcjonalnie długie i kościste, wystające z rękawów. Za nim na parkingu stało sportowe coupe Forda z lat pięćdziesiątych, Thunderbird. – Miałeś taką minę, jakbyś miał smaka na dyma. – Mówił wyraźnym akcentem nowojorskim. Miał około pięćdziesiątki i wydawał się Gershonowi znajomy.

–

–Jesteś z zespołu MEM? – spytał Gershon.

–No. A ty? Z NASA? Pilot?

–Skąd wiesz?

Facet poklepał się po brzuszku.

–Bo jesteś w formie.

–Reprezentuję Wydział Astronautów. – Gershon zawahał się przy słowie „Astronautów”. Jak zawsze. „Wielki ze mnie astronauta” – pomyślał. „Nie pilotowałem niczego dla NASA poza ćwiczebnym T-38”.

Ale z drugiej strony człowieczek wyraził się o nim „pilot”. Może rozumiał jego sytuację.

Nieznajomy wyciągnął dłoń.

–Nazywam się Lee. John K. Przyjaciele mówią na mnie J.K. Miał silny uścisk, pobliznionadłoń. To nie była dłoń gryziopórka.

–Stajesz do przetargu o MEM-a? – spytał Gershon. – Nie – odparł Lee. – Jestem z CA. Columbia Aviation. Powiedz mi, że o nas słyszałeś.

Gershon uśmiechnął się. Lee wzruszył ramionami. – Jesteśmy podwykonawcą dużych firm. Mamy sporo zamówień od Rockwella i innych, robimy też trochę eksperymentalnych rzeczy dla NASA. Modelujemy kadłubopłaty i tym podobne. Jesteśmy małą firmą, ale rozrastamy się i mamy więcej oleju w głowie niż inni.

Kiedy przyjdzie do otwarcia przetargu, zawalczymy o swój kawałek placka razem z innymi grubymi rybami. – Wpatrywał się w wielki sześcian. – Wiesz, pracowałem tam jakiś czas.

Moim szefem był Dutch Kindelberger.

Gershon spojrzał na Lee z ciekawością. Oczywiście, znał to nazwisko. Każde dziecko, które jak Gershon wyrosło zakochane w samolotach i budujących je ludziach, wiedziało o Dutchu Kindelbergerze. Dutch stworzył Rockwella pod podstaw – wtedy North American Aviation – dostarczając podczas wojny pewną najlepszą latającą maszynę tamtego konfliktu, Mustanga P-51.

–Dutch sam zaprojektował ten budynek – powiedział Lee. – Dawniej mówiliśmy na niego „cegielnia”.

–Nie wiedziałem, że był architektem.

–Bo nie był. – Lee wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Nie uważasz, że to widać? – Rozejrzył się wkoło; po lotnisku, Boulevardzie, budynkach Rockwella. – Dawniej na

dachu głównego budynku był s. Pokazał ręką. – Widziało się go kawał drogi wcześniej. – „Tu urodził się X-15”.

Coś zaskoczyło w głowie Gershona.

Tak mi się wydawało, że gdzieś widziałem twoją twarz. – Jak przez mgłę przypomniła mu się stara fotografia, którą sam wkleił do albumu z wycinkami prasowymi zbieranymi w dzieciństwie; eksperymentalny samolot w Edwards, na północy stanu, a przed nim szereg uśmiechniętych od ucha do ucha młodych inżynierów. Same okulary, sterczące krzywe zęby i rozwichrzone czupryny. – Pracowałeś nad X-15? – Nie. Ale założę się, że wiem, o czym myślisz.

–B-70. Pracowałeś nad B-70. Razem z Harrisonem Stormsem.

–No. Ze Stormym.

Harrison Storm był tym człowiekiem, który zbudował statek kosmiczny Apollo dla Rockwella. A przedtem B-70, naddźwiękowy bombowiec. Gershon pamiętał starą fotografię: płyty kadłuba ze stali nierdzewnej pomalowane na biało, żeby odbijać żar przy prędkości trzech machów, wielkie skrzydła delta dwie kondygnacje nad ziemią... – Kongres zdjął nasz program – powiedział Lee. – Zrobiliśmy tylko dwa cholerstwa.

Jedno rozbiło się z F-104. Drugie chyba rozebrano.

–Nie. Zachowało się. W muzeum.

Lee zerknął na Gershona i się uśmiechnął.

–Co ty powiesz? Nie miałem pojęcia. Gershon zerknął na zegarek.

–Chodź. Minęła dziewiąta. Musimy iść.

–Jasne. Chyba byśmy nie odżałowali, gdybyśmy nie wysłuchali porządku dnia, no nie?

Ramię w ramię przeszli do cegielni.

Dwaj zażywni pracownicy przemysłu lotniczo-kosmicznego trudzili się przy wielkim projektorze.

–Na pewno wiesz, jak się tym lata, Al? Al się roześmiał. Gershon szukał wygodnej pozycji w małym foteliku o metalowym szkielecie. Teczkę upchnął pod stolikiem. Już było gorąco, brakowało powietrza i kołnierzyk wpijał się mu w szyję.

Zirytowało go słowo „latać”. „Latać projektorem”. Jezu. Ci ludzie używali tego słowa, chociaż ich wiedza o lataniu ograniczała się do tego, jak zamówić napitek u

stewardesy.

Przewodniczący poprosił o spokój. Był to Tim Josephson, zastępca dyrektora NASA,

wysoki, chudy mól książkowy. Siedział na obrotowym fotelu u szczytu stołu i z szybkością

automatu przelatywał porządek zebrania.

Lee pochylił się do Gershona.

–Jak ci się to podoba? To stary gabinet Dutcha. To fotel Dutcha, na litość boską.

Rockwellowi musi naprawdę, ale to naprawdę zależeć na tym kontrakcie. Cała ściana za Josephsonem była pokryta freskiem. Przedstawiał Mustanga P-51 lecącego prosto na patrzących.

Gershon marzył o tym, żeby się wyrwać, coś robić. Ale życie w Wydziale Astronautów nie było usłane różami. Musiałeś wypełniać obowiązki. – Posłuchaj – powiedział Chuck Jones, pełniący rolę szefa astronautów. – Musimy wyznaczyć kogoś z Wydziału do ładownika marsjańskiego. Gershon uznał, że to zsyłka.

–Ale przecież nie ma żadnego MEM-a.

–To lepsze, niż myślisz. – I Jones opowiedział mu historię o tym, jak to Pete Conrad pomógł zaprojektować pulpit kontrolny 1ekrany ładownika księżycowego. – Conrad przesiedział pieprzone miesiące w atrapie tego ładownika, zrobionej ze sklejki, pośrodku wymalowanych przełączników i wskaźników, wyobrażając sobie, że ląduje na Księżycu. – Jones uniósł dwa palce rozsunięte na minimalną odległość. – I tyle zabrakło, żeby został pierwszym człowiekiem, który tam wylądował.

Dobra. Chcesz mi powiedzieć, że wiesz lepiej, jak to wszystko biega, niż poczciwy Pete Conrad?

Tak więc Gershon doszedł do wniosku, że może to wcale nie było takie złe zadanie.

Kłopot w tym, że jeśli MEM miał kiedykolwiek polecieć, to tylko na błyszczących stronach folderów promocyjnych przedsiębiorstw przemysłu lotniczo-kosmicznego. Umieszczenie statku kosmicznego na Marsie nie było łatwe. Co do tego wszyscy się zgadzali. Nawet jak się już tam dowlokłeś, miałeś przed sobą coś dziwnego, ni to Ziemię, ni to Księżyc; Gershon uważał, że kombinację najgorszych cech jednego i drugiego. Powietrze było tak gęste, że nie dało się wylądować w łaziku z aluminiowej folii zaopatrzoną w rakiety, jak było w przypadku ładownika księżycowego; trzeba

było taskać ze sobą osłonę cieplną. Z drugiej strony, to samo powietrze było za rzadkie, żeby dało się po prostu sfrunąć na lotni zaopatrzonej w skrzydła, tak jak wahadłowiec miał lądować na Ziemi. Było się skazanym na kompromis, bękarcią krzyżówkę latającej maszyny i rakiety. Tak więc z góry było wiadome, że nie znajdzie się takich dwóch projektantów, którzy kombinowaliby mniej więcej w ten sam deseń. Przecież nikt do tej pory czegoś takiego nie zrobił, nie próbował zbudować maszyny, w której ludzie mieliby wylądować na Marsie.

Ale że, oczywiście, w grę wchodziły duże pieniądze i duża polityka, spory znacznie wykraczały poza problemy inżynieryjne.

Grupa Koordynacyjna była stosunkowo nową inicjatywą, która wyszła od strony samego Freda Michaela, i miała na celu rozwiązać węzeł niezgody, stojący na drodze MEM.

W grupie znalazły się wszystkie zwaśnione frakcje – ludzie z przemysłu, czyli od Rockwella, McDonnella, Grummana i Boeinga, a także grupy z NASA, od Marshalla, z Ames, Langley i Houston.

Rozpoczęła się formalna prezentacja.

Pierwsza zabrała głos delegacja Grummana, prezentując aktualny stosunek do problemu.

MEM Grummana miałby być połówką stożka, jakby modułem dowodzenia Apolla, przeciętym wzdłuż dłuższej osi. Załoga mogłaby tym czymś sterować, wspierając się masą elektroniki. W atmosferze Marsa MEM przechyliłby się w dół, tak że spadałby dziobem w przód. Opadłaby osłona cieplna, odsłaniając pogrubiony ładownik księżycowy, z prostującymi się podporami do lądowania. Cały interes osiągałby, hamując rakietami dziobowymi. Na powierzchni doszłoby do rozwinięcia MEM-a i opadnięcia modułu załogowego.

Grumman zbudował ładownik księżycowy Apolla. Gershon przypadkiem wiedział, że Grumman miał ciche poparcie Marshalla, czyli Hansa Udet'a i wszystkich starych Niemców.

Nic więc dziwnego, że wysmażył podtuczony ładownik księżycowy wsparty przyciężką niemiecką techniką.

Ludzie Grummana mieli wersję swojego urządzenia, przypominającą model majsterkowicza. Składał się z masy rozsuwanych nóg, obracających się członów i kawałków plastikowej osłony cieplnej. Rozlatywał się w rękach zdenerwowanego prezentera i wyglądał na absurdalnie skomplikowany. Kiedy ten – przewrócony czubkiem w dół – stożek się rozłożył, odsłaniając całość instalacji wodnokanalizacyjnej, skojarzył się Gershonowi z rożkiem waflowym.

J.K. Lee pochylił się do niego, śmiejąc się cicho. – Chryste, ale to obrzydliwość. I musisz zmarnować masę czasu na prace badawczo-rozwojowe.

–Skąd ta opinia?

–To łapanie się lewą ręką za prawe ucho. Same kombinacje alpejskie. Trzeba wymyślić nowy materiał osłonowy, żeby zabezpieczyć te wielkie płaskie powierzchnie. I musisz wykombinować kadłubopłat, który latałby w atmosferze marsjańskiej. I na dodatek musisz sklecić od zera ładownik. I skąd na to wszystko wziąć pieniądze? – A co ty byś zrobił?

–Ja? Gdybym był Grummanem? Powiedziałbym moim projektantom, żeby dali sobie spokój z deserem, a skupili się na daniu głównym. Wybrać jedno podejście i się go trzymać. Jak budujesz kadłubopłat, pięknie. Nie wsadzajcie mi jeszcze na głowę tych cholernych nóg jak dla ładownika księżycowego.

Delegacja prowadzona przez Boeinga nie wdawała się w szczegóły budowy ich ładownika; natomiast skoncentrowała się na tym, jak pokonałby atmosferę Marsa. Opuściłby orbitę i zszedłby do lądowania, na wysokość sześciu mil, a następnie, wciąż poruszając się z prędkością naddźwiękową, wyrzuciłby balon-spadochron, wielki nadmuchiwany żagiel, którym wypełniłby się rzadkim powietrzem. Następnie w wyniku skomplikowanych manewrów spadochronami sprowadziłoby się statek na tyle blisko powierzchni, że pracę przejęłyby silniki rakietowe.

Kłopot w tym, że nikt do tej pory nie zbudował balonu-spadochronu ani nawet nie przetestował prototypu w tunelu aerodynamicznym. Zresztą nie byłoby to możliwe w atmosferze Ziemi, gęstszej niż marsjańska.

Duża część demonstracji Boeinga wiązała się z technicznymi problemami upakowania spadochronów. Było to zabójczo nudne. Gershon zmusił się do robienia notatek; ale kiedy czasem na nie zerkał, nie potrafił nawet odczytać tego, co sam nawypisywał. Trzecia prezentacja była dziełem samego Rockwella, wspieranego przez połączone siły Langley i JPL. Była to najbardziej rozwinięta możliwość z dotychczasowych. Zakładała również stworzenie kadłubopłatu, ale bardziej zaawansowanego niż prostacki półstożek Grummana; był to dwustożek, połączenie grubego i cienkiego stożka, stykających się dziobami. Taki MEM potrafiłby wejść w atmosferę marsjańska prosto z Ziemi, nie zatrzymując się na orbicie parkingowej

planety. Byłby prowadzony w stu procentach przez pilota, dysponującego dźwojstikiem i pedałami sterów kierunku. Taki statek wszedłby w atmosferę skomplikowanym kursem, nurkując, zataczając kręgi i wirując, stopniowo wytracając ciepło i prędkość. Zbliżając się do powierzchni, dwustożek podniósłby się i wylądował na ogonie, gotowy do ponownego znalezienia się na orbicie. Ale miał swoje minusy. Elektronika była tak skomplikowana, że astronauta nie posadziłby urządzenia w wypadku awarii komputera. A wszystkie te zakrzywione powierzchnie były narażone na trzepotanie; dwustożek potrzebowałby grubej osłony cieplnej większości kadłuba.

W oczach Gershona dwustożek był hybrydą, owocem tradycyjnego uwielbienia Langley dla samolotów, doświadczenia JPL w robotyce i sterowaniu komputerowym, a wszystko to zmieszane z żarłocznością Rockwella, chętnego na wielkie i ambitne budżety, przeznaczone na prace badawczo-rozwojowe.

Oglądając ostatnią prezentację, Gershon czuł dziwne swędzenie rąk i stóp.

Lee uśmiechnął się do niego szeroko.

–Masz chcię w oczach. Marzy ci się popilotować to urządzonko w marsjańskim powietrzu, może wywinąć parę beczek wokół Góry Olimp. – No, no.

Lee machnął ręką.

–Nie nabijam się z ciebie. Ale zrozum... Żeby to coś mogło latać, potrzeba w mojej ocenie co najmniej dwudziestu lat prac badawczych. Chryste, do tej pory nikt nie siadł za sterami dwustożka. Nawet w pieprzonej drewnianej makiecie. Chyba że Ruski coś knują, ale wątpię.

A tu dodatkowo mówi się o dwustożku, który ma wylądować na Marsie. Chłopie, jak marzy ci się, żeby twój wnuk wylądował w tym całym czerwonym pyle, to stawiaj szmal na dwustożek. Ale ani ty, ani ja na pewno tego nie doczekamy... Trzy prezentacje zajęły cały dzień i przeciągnęły się do popołudnia. Podczas długiej sesji końcowej zebrani dyskutowali o zaletach poszczególnych projektów; liczbie osób załogi, długości pobytu na powierzchni, całkowitym ciężarze statku na orbicie Ziemi, sprawności manewrowej, takich elementach aerodynamiki jak doskonałość*[Przyp tłum stosunek współczynnika siły nośnej do współczynnika oporu.]. Rozmowy grzęzły w nużących szczegółach i po chwili Gershon zrozumiał, że wszystkie strony są gotowe wydatkować więcej energii na zwalczanie poglądów konkurencji niż osiągnięcie jakiegokolwiek decyzji.

Wpatrywał się w Mustanga i zastanawiał, jak się taką maszynę prowadziło. Kiedy około dziewiątej wieczór spotkanie się zakończyło, delegaci zaczęli się umawiać w różnych barach. J.K. Lee podszedł do Gershona. – Wyglądasz, jakbyś dostał w kość.

Gershon uśmiechnął się. – Marzy mi się kilka kufli zimnego piwa. Ale szczerze mówiąc, nie w jakimś zasranym barze między tymi typkami z wielkich korporacji. – No. Słuchaj, chcesz się stąd wyrwać? Jest piękna noc. Moglibyśmy się przejechać, może na północ stanu, do Edwards.

Baza Lotnictwa Wojskowego w Edwards. W głębi pustyni.

–Jedźmy.

Wyszli z cegielni. Lee wyprowadził z parkingu swojego małego czarnego T-birda, kupili po drodze kilka sześciopaków piwa i Lee ruszył na północ, poza granice miasta.

Noc była sucha, chłodna i bezchmurna, ale na horyzoncie połyskiwał żółtopomarańczowy blask wielkiej aglomeracji. Gershon musiał odchylić głowę i wpatrywać się prosto w niebo, żeby zobaczyć gwiazdy w małym kręgu nieba pionowo nad sobą. Wydało mu się, że rozpoznaje wielki kwadrat Pegaza, skrzydlatego konia. Miał wrażenie, że wielkie, zasnute smogiem miasto jest ogromnym pudłem, które go więzi.

Lee prowadził jedną ręką, a właściwie jednym palcem, trzymanym na kierownicy. – Pamiętam, jak tam przyjechałem, znaczy się, w 1955 albo wcześniej. To był czas B-70. Z miasta wyjeżdżało się zwyczajną asfaltówką. Wiła się przez Przełęcz Newhall i Kanion Mint, aż wpadała' w głąb pustyni. Palmdale to była wtedy tylko stacja benzynowa, obrośnięta wielkimi powykręcanyimi agawami... Teraz wszystko się zmieniło, co nie?

–Nie da się ukryć.

–Tak. Dobrze się dziś bawiłeś?

–Niespecjalnie – odmruknął Gershon.

–Nie przepadasz za rozprawami technicznymi prowadzonymi przez inżynierów. – To nie była rozprawa na tematy techniczne. A większość tych gości nie była inżynierami.

Lee zarżał z uciechy.

–Tu masz rację. Ale musisz zrozumieć, jak kręci się ten świat, mój przyjacielu.

Spójrz na to pod tym kątem: kiedy Nixon skreślił wahadłowiec, jeszcze w 1970, to nie była najbardziej popularna decyzja wśród chłopaków z przemysłu lotniczo-kosmicznego. Im oczy się śmiały na myśl o tej maszynie, bo miała być nowa od pierwszej do ostatniej śrubki. Mogli wyrzucić na śmieci wszystkie staroci, tego całego Saturna, i zacząć na nowo za wielkie pieniądze podatników. Cały program

kontynuujący, który teraz mamy, to tylko dalszy ciąg już napoczętych różnych różności. I w przeważającej części jest w rękach firm, które je zaprojektowały.

Więc masz, na przykład, Boeinga pracującego nad nowym MS-1C, pierwszym stopniem rozwiniętego Saturna, ich własnego dziecka. A McDonnell Douglas zajmuje się budowaniem Skylabów i Moonlabów – stacji kosmicznych posklejanych z nieużywanych trzecich członów Saturnów – które sam kiedyś stworzył od podstaw. I tak dalej. Ale kontrakt najbardziej miódny – naszpikowany najbardziej zaawansowaną techniką, prawdziwy powód do chwały na całą dekadę – to będzie MEM. Nowiński statek kosmiczny, który ma zabrać garstkę facetów na Marsa. A przy okazji nabić kabzę masie innych facetów...

–Ale NASA nie ogłosiła jeszcze przetargu.

–Oczywiście, że nie. Czego się spodziewasz. NASA jest za bardzo naciskana przez wykonawców. A na dodatek wszystkiego masz jeszcze te gówniane kłótnie wewnątrz samej NASA, między ośrodkami.

–Może i tak jest – powiedział ponuro Gershon. – Ale już przesraliśmy sześć lat, od 1972.

–Chciałbyś czymś polecieć, zanim pójdziesz na emeryturę. – Trafiłeś.

–Do diabła, rozumiem to. Słuchaj, nie chce ci się napocząć tego sześciopaka?

–Masz ochotę?

–Pewnie.

Puszka Gershona była wciąż spocona po wyjęciu ze sklepowej lodówki. Piwo odświeżyło mu gardło; poczuł, jak zmęczenie dniem ustępuje. Góry San Gabriel zostały już w tyle i Lee nie oszczędzał T-birda. Droga była pusta, prosta jak strzelił w światło reflektorów, za nimi i przed nimi.

Teraz gwiazdy zalegały aż po horyzont. J.K. Lee podtrzymywał kierownicę

spiczastymi kolanami, trzymając piwo w jednej ręce, drugą wyjął papierosa z

paczki i go

zapalił. Żar papierosa, połączony z blaskiem deski rozdzielczej, rzucał łagodny

blask na jego

twarz.

–Co więc ty byś zrobił? – spytał Gershon.

–Hę?

–Gdybyś miał zbudować takiego MEM-a.

–Ja? Och, my się nie będziemy pchać do przetargu. Za dużo grubych ryb wyszłoby z nerw. Zresztą i tak by nas wysadziły z siodła. Rockwell pewnie dostanie

kontrakt. Wszyscy

to wiedzą. Pociągną za sznurki, jak zrobili przy Apollo. Pewnie MEM był częścią umowy,

czegoś w tym rodzaju, kiedy Nixon skreślił wahadłowca. MEM i program budowy silnika

drugiego członu Saturna, mającego posłużyć do zmiany

–

orbity. Musisz jakoś lawirować między swoimi wyborcami. – Ostatnie zdanie zabrzmiało komicznie, wypowiedziane akcentem z Bronksu. Gershon mruknięciem dał znać, że zgadza się z tym rozumowaniem, i pociągnął piwa.

Ale gdybyś stawał do przetargu. – Nie dawał za wygraną. Gdybym? – Lee zastanawiał się chwilę, balansując puszką na kolanie. – No cóż, musisz dostosować podejście do sytuacji. Możliwe że ten interes, ta wyprawa na Marsa, to będzie jednorazówka. Więc potrzeba ci czegoś, co zbudowałbyś szybko i tanio, co zaskoczy od razu. I nie wiemy, czy kadłubopłaty i dwustożki będą działać, możemy zużyć masę czasu i pieniędzy po to tylko, żeby się okazało, że nici z tego. – Co więc z tego wynika?

–A to, że powinieneś użyć tego, co zadziałało wcześniej. Zacznijmy od czegoś o niskiej doskonałości, powiedzmy: zero pięć dziesiątych. Doskonałość aerodynamiczna była podstawową wartością decydującą o użyteczności projektu statków kosmicznych i samolotów.

–Zero pięć. To coś w rodzaju modułu dowodzenia Apolla. – Właśnie. Zbuduj wielki, gruby moduł dowodzenia. Trzeba tylko wyliczyć, jaka ma być szersza osłona cieplna. Wiemy, że ten model się sprawdził. Apollo latały w ośmiu wyprawach załogowych na Księżyc, a potem jeszcze trzy misje roczne do Skylabów i jedną do Moonlaba od 1975... ile to będzie...? Dwadzieścia pięć lotów? A Apollo 13 CM wytrzymał nawet,

kiedy wybuchł pod nim moduł usługowy.

–W atmosferze marsjańskiej nie ma zdolności manewrowej. – W dwustożku nie miałbyś żadnej, ale tu nie będziesz zupełnie bezradny. Jak w Apollo. Jeśli przesuniesz trochę w bok środek ciężkości, zyskasz pewien zakres zdolności manewrowej, kształt kadłuba zapewni jakieś noszenie. I jeszcze najważniejsze. Aerodynamika będzie tak prosta, że możesz sprowadzić maszynę ręcznie, jeśli będziesz musiał, nawet gdyby elektronika wysiadła. Dwustożkiem tego nie zrobisz. – A co z wejściem w atmosferę? Spadochrony? Lee się zastanowił. – Nie. Powietrze za rzadkie. Będziesz potrzebował jakiegoś układu, który uwolni cię od osłony cieplnej i pozwoli wylądować na porządnym silniku, jak w ładowniku księżycowym. Powiedzmy, jak w wersji Grummana. I miałbyś człon powrotny, górną połowę stożka, która wyniesie cię z powrotem na orbitę. Zostawiłbyś ciężką osłonę cieplną i wszystko, co służyło na powierzchni.

To wszystko brzmiało sensownie. Byłoby tanie, nie niosło ryzyka kosztownych badań ani awarii w czasie lotu.

„Nic więcej mi nie trzeba do wylądowania na Marsie” – pomyślał. „I miałbym ten interes sprawny w parę lat”.

–J.K., powinienes stawać do przetargu, mówię poważnie. Lee zbył to śmiechem.

Ręką z puszką wskazał przed siebie.

–Popatrz tam.

W świetle gwiazd pustynia była płaską cienką polewą. Solną równiną. A na horyzoncie wyłonił się z niczego rząd światła, jak miasto na pustyni. – Edwards – powiedział Lee. – Tu przyjechałem ze Stormym oglądać X-15. Chryste, to były piękne czasy. – Pociągnął kolejny łyk piwa i wyrzucił puszkę. Gershon podał mu następną i T-bird popędził dalej, między gigantyczne hangary Bazy Lotnictwa Wojskowego, które wyłaniały się z ciemności. Poniedziałek, 7 sierpnia 1978 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston Zatrzymano ją na godzinę w budynku nr 110, biurze ochrony kampusu JSC. Jak powinnaś się przedstawić pierwszego dnia pracy, jeśli jesteś nowicjuską astronautką? Nie nosisz identyfikatora na kieszeni sportowej koszuli, ponieważ tego pierwszego dnia przychodzisz właśnie po identyfikator... York pomyślała, że na zdrowy rozum sytuacja była paradoksalna. Logicznie biorąc, nie dało się nawet wejść na teren JSC. Próbowwała to wyjaśnić recepcjonistce. Ta kobieta o szerokiej, mięsistej, zalanej potem twarzy, przyjrzała się jej bez słowa i zajęła ludźmi z prasy, ustawionymi w kolejce za nią Po chwili York zamknęła się i usiadła w ciasnym budynekczku, składając razem dłonie, żeby opanować ich drżenie. Wreszcie pojawiła się sekretarka, stukając szpileczkami, i zabrała ją ze sobą.

Sekretarka szła pierwsza przez ostre trawy kampusu. Miała około trzydziestki. Ciągnęła za sobą chmurę woni – perfum, pudru i lakieru do włosów – od której York zaczęły łzawić oczy. Dziwnie na nią patrzyła i York wyczuwała, że rozważa udzielenie jej paru rad typu, między nami dziewczętami”, na przykład, gdzie mogłaby coś zrobić z włosami.

York ścisnęła pustą teczkę i zastanawiała się, co, u diabła, tu robi. Sekretarka zaprowadziła ją do budynku numer 4 i powiedziała, że jest oczekiwana na regularnej odprawie pilotów, jak w każdy drugi poniedziałek o ósmej; już była spóźniona.

Wśliznęła się na tyły sali odpraw.

W pomieszczeniu siedziało może pięćdziesiąt osób; sami mężczyźni, szczupli, gładko ogoleni, ostrzyżeni na rekruta, ubrani w sportowe koszule i spodnie. Było wiele dowcipów i gardłowych chrapliwych śmiechów.

Chuck Jones, szef astronautów, stał na przodzie sali z rękami na biodrach. Omawiał jakieś techniczne szczegóły samolotu treningowego T-38. York wypatrzyła wolne miejsce niedaleko drzwi i mrużąc pod nosem przeprosiny, przecisnęła się w jego kierunku, trącając kilka par kolan. Astronauci w miarę uprzejmie robili jej drogę, ale czuła na sobie ich spojrzenia; ciekawskie, wyrażające zastanowienie, oceniające jej figurę, nie umalowaną twarz. Niemal słyszała ich myśli: „Co to ma być, u diabła? Czy to kobieta? Wpadłaś zrobić notatki, maleńka? Jak już robisz kawę, to dla mnie bez kofeiny...”.

Zauważyła Bena Priestę siedzącego w pierwszym rzędzie z założonymi ramionami, pasującego jak ulał do zgromadzenia.

–Słuchajcie – powiedział Jones. – Mam raporty z Ellington, że niektórzy z was nie dokonują przeglądu sprzętu przed lotem na T-38.

Rozległy się jęki i głosy:

–Chryste, Chuck, każesz nam znów przez to przechodzić?

- Chcemy zachować przywilej latania

na T-38. Ale ten przywilej

–

może być w każdej chwili cofnięty. Może jesteście astronautami, ale nie jesteście zwolnieni od obowiązku rutynowego przeglądu tego, na czym latacie. Proszę tylko, żebyście się trochę bardziej przyłożyli, tak żeby ci faceci w Ellington musieli się postarać, jak należy...

Jones rozpoczął przydzielanie zadań na kolejne dwa tygodnie. – W porządku. Bleeker, Dana i Stone na Przylądek, od wtorku do piątku. Gershon do Downey, na cały tydzień. Curval i Priest do Los Angeles. – Hej, Chuck – odezwał się ktoś z grupy. – Myślałem, że jedziesz z nami do LA. – Nie, zmieniłem zdanie. Jadę na Przylądek. Chcę sprawdzić nowy symulator CM, który tam budują.

–Już nas nie lubisz, Chuck?

–Zawsze możecie na to liczyć chłopaki, że jak pojedziecie na zachód, ja pojedę na wschód...

Tego rodzaju głupoty ciągnęły się przez pół godziny. Pod koniec York nie mogła usiedzieć na miejscu, oszołomiona kanonadą żargonu, zdeprymowana powolnością załatwiania spraw i marnowaniem czasu. Wyobraziła sobie, że pewnie taki nastrój musiałby być w nietypowej, bo czystej, męskiej szatni.

Czuła się zastraszona i nie na miejscu. „Jak mogę coś osiągnąć w takim otoczeniu?” – pomyślała.

Spotkała się z grupą, do której się zakwalifikowała; byli to sami mężczyźni, przeważnie z doświadczeniem pilotów. Wyglądali na inteligentnych, spragnionych działania, młodych, skupionych. Chryste, trzech z nich już miało na sobie sportowe koszule, takie jakie nosili astronauta! Skąd wiedzieli, jak należy się ubrać? Chuck Jones zabrał nowicjuszy na obchód Ośrodka. York zerknęła przez drzwi do pustych gabinetów innych, starszych stażem astronautów.

Wszystkie pokoje wyglądały tak samo; czyste, wymuskane i prawie nie używane, ze zdjęciami statków kosmicznych i samolotów na ścianach. Na biurkach chłopięce zabawki: statki kosmiczne i moduły księżycowe, modele nowego Saturna 5B i odczepialne rakiety nośne na paliwo stałe.

Nie zdziwiłaby się, gdyby zobaczyła koszule sportowe na zmianę, wiszące po

wewnętrznej stronie fornirowanych drzwi.

Wszędzie, gdzie weszli, ludzie traktowali Jonesa jak jakiegoś boga. Zadawał się tego nie zauważać. „Mój Boże – pomyślała York – można tu trafić na osoby mające naprawdę wygórowane pojęcie o własnej wartości”.

Jones zaprowadził dziewiątkę podopiecznych do swojego wielkiego gabinetu w budynku numer 30 i poczęstował kawą. Omówił program wstępny. Przez pierwszy rok York przysługiwał tytuł „askana” astronauty kandydata. Czekalo ją pół roku zajęć z astronomii, aerodynamiki, fizjologii, budowy układów statków kosmicznych, nawigacji międzyplanetarnej, fizyki górnych warstw atmosfery... Powrót do szkoły. Miały być odwiedziny w Kennedym, Marshallu, Langley i innych ośrodkach NASA. Zostaną „oszlifowani”, jak to określił Jones; instruktorzy zadbają o to, żeby opanowali zasadniczy poziom wiedzy w każdej dyscyplinie, niezależnie od zakresu przygotowania. York doszła do wniosku, iż po części było to powodowane względami public relations, tak żeby mogli wypowiedzieć się w sposób inteligentny, a zarazem przystępny na temat każdego aspektu przyszłych wypraw.

Czekały ich treningi fizyczne, jak praca w symulatorach, wirówkach i tym podobnych.

Czekały obowiązkowe zajęcia w samolotach, na przykład na fotelu ucznia w T-38, ale w przeciwieństwie do poprzednich grup naukowców-astronautów nie mieli uczyć się pilotażu.

To było odstępstwo od tradycji. Dopuszcza się astronautów nie-pilotów! Chuck Jones miał taką minę, jakby wykrztuszenie tej wieści kosztowało go tydzień bezsennych nocy, a niektórzy bardziej napuszeni faceci wyglądali na zawiedzionych; jeden spytał nawet, czy może się uczyć pilotażu na ochotnika.

Po roku stażu kandydaci znajdą się w grafiku lotów i będą brani pod uwagę przy kompletowaniu załóg. Następnie, może na dwa lata przed lotem, zaczną się szkolenie pod kątem danej misji...

–W teorii – powiedział Jones.

–Jak to „w teorii”, proszę pana? – zapytał ktoś.

–Mogę to wam powiedzieć, chłopaki, bez owijania w bawełnę. Przez jakiś czas nawet nie otrzecie się o prawdziwe loty. Żaden z was

–
nie jest głupi, więc wiecie, jak zapatrują się na nasze fundusze tam, w Kongresie.

Nawet jeśli polecimy na Marsa i nawet jeśli, jeśli, zostanie wybrany naukowiec – ton głosu Jonesa wyraźnie dał do zrozumienia, co myśli na ten temat sam astronauta – przed wami, nowymi, stoi w kolejce za dużo ludzi. W tym poprzednie rzuty naukowców, z których część jest tu od lat i nie dostała się na loty. Jest nawet gorzej niż podczas Programu Apollo.

Tam przynajmniej zaplanowano kilka lotów na Księżyc. Na Marsa zakwalifikowano tylko jeden lot i walka o znalezienie się w załodze będzie zażarta. Jones potoczył po nich swoimi zimnymi czarnymi oczami i York przekonała się, jak trudno wytrzymać ich spojrzenie, jakby promieniowały jakąś wrogą energią. Jakby chciały powiedzieć: Możecie się tu spodziewać długiej zwłoki, a może w ogóle żadnego lotu, nigdy.

Nie chcemy was tu. Żeby nie było żadnych niejasności.

Ben Priest zabrał ją na lancz do Hiltona w Nassau Bay. Przejrzała kartę. – Stek. Owoce morza. Sałatka. Ziemniaki. Kotlet. Jezu, Ben. Uśmiechnął się, pociągając swoją colę.

–Witaj w Houston.

–Jak cywilizowany człowiek twojego pokroju może to znieść, Ben?

–Nie bądź snobką, Natalie.

York zamówiła stek z kurczęciami. Postawiono przed nią talerz pełen przesmażonego mięsa, unurzanego w maśle. Smakowało nieźle, ale było twarde i po kilku kęsach szczęki ją rozboleły.

„Och, na pewno pokocham Houston” – pomyślała. „Mój nowy dom”. – A więc powiedz mi... – zagaił Priest. – Co myślisz o astronautach, kiedy już obejrzałaś ich w kupie.

–Kapitanowie drużyn futbolowych i przewodniczący samorządów szkolnych.

Prosto z Koziej Wólki.

Roześmiał się.

–Może. No cóż, to obejmuje również mnie. Tu jestem tylko przygłupem z Ohio. – Słuchaj, Ben, mówię poważnie. Może właśnie na tym polega problem z NASA. Tym facetom za łatwo się tu wiedzie.

Za łatwo?

Jasne. Bez względu na ich wielkie osiągnięcia. Każdego dnia życia astronauty mają do wypełnienia pojedyncze, wyraźnie określone cele. Jedyne ich obowiązki to zakasać rękawy i się popisać. W przeciwieństwie do reszty ludzkości. Mruknął coś i zabrał się do swojego wielkiego kotleta.

–No cóż, jedno jest pewne – powiedział.

–Co?

–Niezależnie od tego, czy masz rację względem tej harcerskiej kolonii, czy też jest to tylko sprawa twojego oglądu, czeka cię robota jak jasna cholera, żeby znaleźć tu własną niszę.

Poczuła, że ma rację. Może się okazać, że lot na Marsa to będzie pryszcz w porównaniu z resztą.

Po lunczu Priest zabrał ją na zwiedzanie i szukanie mieszkania. Siedząc w znajomym, wygodnym wnętrzu corvetty Bena, poczuła wielką ulgę, kiedy wyjechali poza obszar JSC. I to była wielka ulga znaleźć się razem z Benem. Odwróciła się do niego. Jechał równym tempem, nie odzywając się. Gdyby teraz wyciągnął do niej rękę...

Ale nie zrobił tego. Siedział sztywny, jakby nieświadomy jej obecności. „Do diabła, pewnie wie nie lepiej ode mnie, jak się zachować w tej sytuacji” – pomyślała. Jej stosunki z Benem miały jakiś dziwny wymiar. Prawie tak dziwny jak tamten długotrwały związek z Mikiem Conligiem. „Pewnie” – pomyślała. „Więc co łączy jedno i drugie, York?”.

Kiedy ona i Ben zbliżyli się fizycznie, rozmawiali o wiele mniej. A nawet kiedy już to robili, zajmowali się duperelami. Ben chyba nawet nie potrafił rozważyć tego, czy zostawić Karen, co zaś się tyczyło Mike’a Conliga, to York miała wrażenie, że ich nieskładny związek toczył się po drodze pełnej wybojów, stając się coraz cięższy do wytrzymania. „Czy w takim razie Ben i ja mamy po prostu romans?” – zastanowiła się w myślach. „Robimy tylko krótki skok w bok?”.

Wyglądało to tak, jakby ich podwójne zobowiązania rozdzielały oboje, gdy tylko się do siebie zbliżali.

Jednak była pewna jednego. Jeśli miała przetrwać swój pierwszy dzień w JSC, potrzebowała cierpliwego towarzystwa Bena. Choćby po to, żeby nie zwariować.

Houston ją rozczarowało. Miasto uginało się pod warstwą gorącego, wilgotnego powietrza skażonego smogiem. Ziemia i morze tworzyły jedną wielką płaszczyznę,

żadnego wzgórze na sto mil, natomiast pełno mulistych odnóg rzecznych i bagien. Poza miastem ziemia tworzył „gumbo”, jak nazywali to miejscowi, breję z mułu, gliny i muszli ostryg; sosny i skarłale dęby ledwo wyglądały spomiędzy łąk, porośłych sztywną, ostrą trawą.

Ben zawiózł ją do pomnika San Jacinto, ogromnego obelisku rodem z lat trzydziestych, z teksaską gwiazdą na szczycie, upamiętniającego zwycięstwo generała Sama Houstona nad Meksykanami. Wjechali na platformę widokową na szczycie. Wokół parku krajobrazowego obelisku ciągnęły się mile kwadratowe pól naftowych. Patrząc z tego miejsca, miała świadomość, że JSC mogłoby nie istnieć; gwałtowny skok cen w latach siedemdziesiątych znakomicie przysłużył się Houston i kiedy York spoglądała w dół na wielką, przypominającą misę spaghetti, kotlinę rurociągów, zdała sobie sprawę, że Houston wzrosło na pieniądzach z nafty i program kosmiczny był tylko jednym z wielu tutejszych strumyczków dochodów.

Wokół podstawy obelisku unosił się lekki odór, typowy dla petrochemii. W poszukiwaniu mieszkania Ben zawiózł ją z powrotem do należącego do NASA obszaru Clear Lake, na południowy wschód od śródmieścia. Poczęstował ją standardowym żartem JSC, że Clear Lake w rzeczywistości nie jest ani czyste, ani jeziorem*[Przyp tłum clear (ang.) – czysty, lake (ang) – jezioro.]. To zamulone odgałęzienie Zatoki Galveston.

Droga NASA numer 1, z JSC, biegła równolegle do wybrzeża jeziora. Wielkie nowoczesne osiedla – Bay Nassau, El Lago – usadowiły się między podstarzałymi przybrzeżnymi kurortami. Te były staromodne, aż dziwne, że miały za sąsiada Ośrodek Kosmiczny; wypełniały je domy o spłowiałych barwach, marne, ponure, zniszczone przez słońce i ocean.

York pomyślała, że miejscowi pewnie przeżyli niełichy wstrząs, kiedy NASA wylądowała tu dwadzieścia lat temu, na mocy uchwały prezydenta. Nowe osiedla składały się z prześlicznych małych bungalowów z prywatnymi przystaniami. Wszystkie były zielone, tętniące życiem, dobrze utrzymane. Mój Boże – mruknęła York. – Spełnienie amerykańskich marzeń w najczystszy stylu 1962 roku. Domeczek, żoneczka i dwoje baków, grill i żaglówka. Jesteśmy w programie Dicka van Dyke’a*[Przyp tłum amerykański sitcom z lat 1961-1966.].

Nie. – Mówiąc to, Priest uśmiechnął się za okularami przeciwsłonecznymi. –

Jesteśmy

w krainie astronautów, pamiętaj. Masz na myśli Marzę o Jeannie*[Przyp tłum inny program,

realizowany w latach 1965-1970. Bohaterami są astronauta i kobieta dżin,

uwolniona z

butelki po dwóch tysiącach lat, Jeannie.]. Tak czy siak, ta miejscowość nie zasługuje na twoje

złośliwości, Natalie.

–Czyżby?

–Nie. Clear Lake to jakby społeczność akademicka. W pobliżu jest JSC i przemysł chemiczny. Więcej doktorów na jard kwadratowy jest tylko w ośrodkach uniwersyteckich.

Uznałem, że mogłabyś poczuć się tu jak w domu.

–Do diabła, przestań dbać o mój humor, Ben.

–Nie zamierzam! Uwierz mi. Zresztą sprawy mogły ułożyć się dużo gorzej. Gwiazdne Miasteczko w Moskwie, w którym muszą mieszkać kosmonauci, bardziej przypomina garnizon wojskowy...

Kompleksy mieszkalne, które pokazał jej Ben, nazywały się: Zatoczka, El Dorado, Jezioro i Zawietrzna Strona. Wiele wyglądało bardzo przyzwoicie, a droższe miały dostęp do wody. Ale w środku wszystkie okazały się jednolicie ponure; małe, z niewystarczającą klimatyzacją, bezbarwnie umeblowane i z banalnymi reprodukcjami na ścianach. Zdecydowała się na Portofino. Architektura tego osiedla była nudna jak wszystkich pozostałych, ale dysponowało dużym, czysto wyglądającym basenem, do którego miała ochotę natychmiast wskoczyć.

Kiedy ustaliła warunki najmu, administratorka – krępa niewiasta mówiąca niezrozumiałym teksaskim akcentem i ubrana w podkoszulek z napisem „Daj całusa – nie palę” – zlustrowała ich znaczącym spojrzeniem i zostawiła samych w mieszkaniu. York wyczuła, że Ben lekko odsuwa się od niej.

Podeszła do okna. Powietrze było tak ciężkie, że trudno było oddychać. Na niebie wisiały gęste szare chmury, grożące deszczem i zatrzymujące upał. Poczwała, jak ogarnia ją jakaś głupia litość nad samą sobą, tak obezwładniająca jak to gęste powietrze. „Co ja tu robię, w tym marnym mieszkanku, szykując się do pracy w tym cholernym Miasteczku Chłopców?” – zadała sobie w duchu pytanie. Na tyłach mieszkania zauważyła samochód, który zapleśniał od wilgoci w powietrzu.

Piątek, 8 grudnia 1978 roku

Wasatch w stanie Utah

Kiedy Gregory Dana zbliżał się do Salt Lake City, ujrzał z powietrza rozległą panoramę okolicy. Niewielkie rzeczki błyszcząły jak ślady ślimaków, a zamieszkałe tereny tworzyły zamglone, szare plamy wzdłuż koronek dróg. Poranek był jasny i przejrzysty, a rozległe przezroczyste niebo sięgało nisko, do równinnej pustyni w dole. Dana rozmarzył się i wyobraził sobie, że ląduje na jakiejś obcej planecie, którą tworzy sprazona pustynia i wysoko położone, niedostępne jeziora. Pomyślał, że dla większości ludzi skomplikowany świat ich społeczności to cały wszechświat, w jakiś sposób oddzielony od fizycznego tła. Ta większość nigdy nie zdobyła się na odpowiedni rodzaj widzenia; na zrozumienie tego, że całe ich istnienie przebiega w cienkiej warstwie powietrza oklejającego niewielką, wirującą, kamienną kulę, że ich świadomość czasu jest ograniczona do wąziutkiego pokładu aktualnej ery geologicznej, że zamieszkują wszechświat, który wyłonił się ze stanu niewyobrażalnie różnego od tego, co znają, i który w sposób nieunikniony zmierza ku temu, co byłoby im równie obce. Nawet punkt obserwacyjny powietrznego podróżnika stwarza mu perspektywę, która nie była dostępna uprzednim pokoleniom. „Gdyby loty kosmiczne dały nam jedynie wgląd w naszą prawdziwą naturę, już to samo usprawiedliwiłoby ich koszt” – pomyślał. Rozejrzał się po kabine pasażerskiej. Większość jego towarzyszy podróży – nawet tych, którzy byli związani z NASA i programem kosmicznym, jak on – miała twarze ukryte w dokumentach, książkach czy gazetach.

Morton Thiokol przysłał po niego na lotnisko limuzynę. Szofer – młody, rozpromieniony, anonimowy za lustrzanymi szklami przeciwsłonecznymi – przedstawił się jako Jack i włożył bagaż do bagażnika, chociaż Dana nie rozstał się ze swoją teczką.

Jack skierował się na drogę szybkiego ruchu zmierzającą ku północy, do Brigham City. Powiedział Danie, że zabiera go prosto na pierwszą próbę odpalenia SRB* [Przyp tłum Solid Rockets Booster.], rakiety pomocniczej na paliwo stałe, klasy Saturn 5B. Dana zamruczał z niezadowoleniem, ale nie widział innego wyjścia, jak zastosować się do harmonogramu.

Bert Seger poprosił go o uczestnictwo w urzędowym zaopiniowaniu projektu rakiety, kończącego fazę badań. Użycie rakiet pomocniczych na paliwo stałe w locie załogowym było jednym z najbardziej kontrowersyjnych elementów całego unowocześnionego Programu Saturn i NASA chciała mieć absolutną pewność, że wszystko działa jak należy. Ale Dana nie był przekonany do pomysłu współpracy z Udetem, nie wierzył, że nakłoni ludzi z Marshalla do wysłuchania jego opinii. Poza

tym zadanie znacznie przekraczało jego zasięg kompetencji.

Seger się upierał:

–Może pan oglądać, co zechce, i wydawać zalecenia, jakie zechce, postaram się, żeby pana słuchali. To musi być zrobione jak należy, doktorze Dana... Ale co miałyby mu dać uczestniczenie w próbie odpalenia? To była tylko pokazówka mająca na celu olśnić i oszołomić. Zagrywka typowa dla Hansa Udet. Dana poczuł natychmiast irytację. To była strata czasu.

Gwałtownie otworzył teczkę; jakby się mszcząc, odwrócił spojrzenie od pejzażu, który roztaczał się za oknem samochodu, i skupił się na dokumentacji technicznej.

Samochód dowiózł go do Oddziału Wasatch Mortona Thiokola, kilka mil za Brigham City. Jack trącił Dane w łokieć i zaprowadził go do małego domku z prefabrykatów, służącego za biuro, ustawionego na kozłach, kawałek od zakurzonej drogi. Zabudowania poligonu składały się z samotnych ponurych budynków w obniżeniu pustynnego terenu. Wokół były niskie wzgórza poznaczone zielonoczną roślinnością. Po wschodniej stronie horyzontu widniały niebieskie góry. Jack wskazał na sam poligon rakietowy, kilka mil dalej. Dana zmrużył oczy w oślepiającym słońcu; dostrzegł wąski, biały cylinder leżący płasko na ziemi. Co zaskakujące, „biuro” było klimatyzowane, wyposażone w lodówkę i ekspres do kawy i Dana z ulgą wciągnął w płuca ciepłe wilgotne powietrze. W środku czekał na niego Hans Udet.

–Witam, doktorze. Jestem zachwycony, widząc tu dziś pana. „Doprawdy?” – odpowiedział mu w myślach Dana. „To zupełny kontrast z naszym ostatnim spotkaniem, kiedy się starliśmy, Hans, w trakcie prezentacji charakterystyk misji marsjańskiej w Huntsville...”.

Ostrożnie uścisnął dłoń Niemca i rozejrzał się po biurze. Na ścianie wisiał przekrój SRB, wizja artysty w porywającym stylu, która, jak to sobie uświadomił Dana, stała się wręcz powszechna w NASA podczas ostatnich kilku lat. Ściszony głos z głośnika zawieszzonego wysoko na ścianie komentował kolejne etapy testu. Biuro najwyraźniej służyło za lep na muchy, miało zrobić wrażenie na goszczących decydentach. „Takich jak ja” – pomyślał Dana. „Powinienem czuć się mile polechtany”.

–Jesteśmy tu sami?

–Doktorze Dana, to dla nas wielki dzień, pierwsza pełna próba odpalenia i szczególnie zależało mi na tym, żeby był pan tu i mógł ją zobaczyć. Jako mój gość. Proszę usiąść.

Pozwoli pan, że odłożę pańską teczkę. Czy ma pan ochotę na kawę, a może na zimne piwo...?

Dana poprosił o szklankę soku pomarańczowego – był tak zimny, że prawie zmrożony – i siadł na rozkładanym krześle.

Udet rozpoczął już standardową mowę, występ akwizytora. – Zależy mi na tym, żeby zapoznał się pan ze wszystkimi warunkami naszego programu budowy SRB – mówił gładko, wskazując na opis charakterystyki startu. – Rakiety pomocnicze na paliwo stałe mierzą sto pięćdziesiąt stóp od dyszy do dziobu i będą miały dwanaście stóp średnicy; w zespole startowym Saturna 5 B będą także cztery, przymocowane do pierwszego członu, MS-1C. SRB uzupełnią ciąg MS-1C do sumy pięciu milionów funtów, przez co 5 B będzie mógł wynieść na niską orbitę okołozemską ładunek o masie ponad czterystu tysięcy funtów; to jest dwa razy więcej niż w przypadku podstawowego Saturna 5.

Sam MS-1C ma wiele unowocześnień, w tym nowe główne silniki F-1A, stworzone z nowych materiałów i w nowej technologii. SRB będą największymi silnikami raketowymi na paliwo stałe na świecie i pierwszymi, które ze względów oszczędnościowych zaplanowano do wielokrotnego użytku...

–I pierwszymi używanymi w załogowym statku kosmicznym.

–Tak, zgadza się.

Dana otworzył teczkę i rozłożył na kolanach streszczenie dokumentacji.

–Doktorze Udet, nasz czas jest ograniczony. Czy możemy przejść do konkretów?

Szczególnie niepokoi mnie sekwencja startowa.

Oczy Udetą za okularami miały odcień bladego błękitu. Niemiec uważnie przyjrzał się Danie, jakby układał w głowie następne posunięcia. Następnie spoczął obok, wyraźnie kalkulując każdy ruch. Siedział swobodnie, rozłożywszy ręce, w postawie sygnalizującej serdeczność i otwartość.

–Pańskie niepokoje są w pełni zrozumiałe, doktorze Dana; czytałem notatkę służbową, którą pan przygotował dla Berta Segera. Moim dzisiejszym celem jest je rozwiązać, upewnić pana, że są wyzbyte podstaw.

Dana wbrew sobie poczuł się zbity z tropu w obliczu tej pewności siebie, pruskoo-arystokratycznego opanowania Udetą. Okulary zjechały mu z nosa. Poprawił je i usiłował przemówić zdecydowanym tonem.

–Niepokoję się również, czy nie poczyniono jakichś kompromisów w dziedzinie bezpieczeństwa, mając na względzie takie dodatkowe cele jak wielokrotna

użyteczność,

utrzymanie harmonogramu czy koszty.

–Oczywiście. I gdybym...

–Czy możemy wrócić do sprawy startu? – Pogrzebał w teczce i wyjął odręczną notatkę. – Dokonałem wstępnej analizy niektórych awarii podczas startu. Oczywiście, przedstawię to w formie urzędowej, wspartej dokumentami.

–

–Jestem przekonany, że przeanalizowaliśmy każdą awarię, doktorze Dana. – Też jestem o tym przekonany – zamruczał Dana. – Ale może dałoby się to przejrzeć. Na przykład: wygląda na to, że tuż przed odpaleniem silniki rakietowe na paliwo stałe jak i cała rakieta będą poddane, jak to nazywa mój syn, „rozciąganiu”, gdyż silniki MS-1C odpalają na kilka sekund przed uwolnieniem blokady całego składu. Uśmiech Udet’a był skąpy.

–Jestem zaznajomiony z terminologią astronautów. – Napór, jaki będzie musiała wytrzymać konstrukcja całości podczas tego „rozciągania”, spowoduje, że skład rakietowy wpadnie w wibracje i będzie się kiwał w trakcie pierwszej fazy lotu, przez trzy czy cztery sekundy. – Dana wskazał na podkreśloną część strony. – Według tego ogólnikowego zarysu, łączy segmentów pańskich rakiet będą poddane największym napięciom podczas „rozciągania” i związanego z nimi poderwania się w górę.

Uważam, że napięcia w tym okresie przewyższą największe napory dynamiczne w trakcie całego lotu.

–Łączy są zaprojektowane do wytrzymania takich naporów. Wszystko to zostało wzięte pod uwagę – powiedział z lekkim rozdrażnieniem Udet. – Jestem o tym przekonany. Ale chciałbym przejrzeć dokumentację prób, zanim będę mógł się zastanowić nad złożeniem podpisu i potwierdzeniem odbioru wersji próbnej SRB. Mam dalsze zalecenia. – Wyjął kolejne zapisane kartki. – Chciałbym, aby w miejsce gumowych łącz wprowadzono kompozyty, odporne na wysokie temperatury. Styki montażowe należy przeprojektować. Wszystko to zredukuje o wiele rzędów wielkości ewentualne rozstąpienie się złącz podczas „rozciągania”. Dodatkowo należy zainstalować przezierniki do prób poligonowych i zgrzewać złącza elektrycznie... Kiedy omawiał kolejne punkty, Udet słuchał uprzejmie, nieporuszony. Z głośnika padł kolejny komunikat, niezrozumiały dla Dany i Udet wysłuchał go, odwróciwszy głowę. Kiedy powrócił spojrzeniem do gościa, uśmiech powrócił mu na policzki, marszcząc cienką jak papier skórę.

–Jeszcze porozmawiamy – powiedział. – Ale za kilka minut rozpocznie się próba.

Może zechce mi pan towarzyszyć. Jeśli ma pan ochotę, proszę zabrać swój napitek...

Dana ruszył za Udetem. Dziwne, czuł się tak, jakby zachował się niegrzecznie – jakby prostactwem było podnosić te wszystkie irytujące zastrzeżenia w dniu realizacji tak niebywalej wizji.

Udet zawiózł Dane na miejsce testu otwartym wózkiem, przypominającym wózek golfowy.

Zatrzymali się może milę od silnika. Udet pomógł Danie wyjść z wózka i zejść po metalowej drabince do otwartego okopu. Była to prosta robota ziemna wzmocniona nieprzetartym betonem, głęboka może na cztery stopy. Technik podał Danie gogle i biały hełm.

Testowany silnik, biały cylinder, leżał płasko na pomarańczowym gruncie. Przymocowano go do ziemi wielkimi, kwadratowymi obejmami, a jego dziób kończyła ogromna otwarta półsfera. „Wygląda jak powalony bóg, przykuty do podłoża, żeby nie uciekł” – pomyślał Dana. Złącza segmentów kadłuba połyskiwały złotym blaskiem w południowym słońcu. Wielka dysza rozszerzała się w kierunku niskiego wzgórza. Ludzie przechadzali się wokół silnika, karły w porównaniu z białym cylindrem; instrumenty pomiarowe i kamery, umieszczone na delikatnych trójnogach, otaczały gęsto teren testu, a w czarny otwór dyszy wsunięto czujniki. Udet klepnął Dane w ramię i pochylił się ku niemu. – Mamy jeszcze kilka minut. Porozmawiajmy szczerze, pan i ja. Dana przyglądał mu się podejrzliwie.

–Chcę porozmawiać o ryzyku – zaczął Udet. – Myślę, że do tego pojęcia sprowadza się debata, w którą jesteśmy zaangażowani. W ciągu dwudziestu lat osiągnęliśmy w tym kraju niebywale doświadczenie w projektowaniu załogowych statków kosmicznych i operowaniu ich układami. I przez ten czas pojęcie ryzyka... – Udet zawahał się w nietypowy dla siebie sposób, wyraźnie szukając słowa.

–...uległo ewolucji? – zasugerował sucho Dana. Udet podniósł brew. – Znakomicie. „Uległo ewolucji”. Doszliśmy do wniosku, że konieczny jest rozwój bardziej wyrafinowanych zasad niż trzymanie się prostego hasła w rodzaju „chronić za wszelką cenę załogę” i tak dalej. – „Doszliśmy”?

–Tak – warknął Udet. – My, którzy w końcowym rozliczeniu jesteśmy odpowiedzialni za bezpieczeństwo tych młodych ludzi, których wynosimy na orbitę, my, w przeciwieństwie do tych, którzy... mówię to z całym szacunkiem... jedynie stoją z boku. Jak pan. Pojęcie ryzyka ewoluuje podczas trwania samej misji. Proszę wziąć pod uwagę następującą sprawę. Raketę nośną Apolla 12 podczas startu trafił piorun. Statek bezpiecznie wszedł na orbitę, ale układ elektryczny Apolla został poważnie uszkodzony i nie dało się sprawdzić, czy spadochrony modułu dowodzenia

będą działać jak należy. W końcu zdecydowano się kontynuować misję, uznając, że kiedy udało się zakończyć szczęśliwie sekwencję startową, bez względu na kłopoty, których nastąpiła, to przerwanie lotu oznacza narażenie kolejnej załogi na jeszcze większe ryzyko podczas kolejnego startu, zanim osiągnie ten sam etap misji. Co zaś się tyczyło spadochronów, to jeśli powrót na Ziemię miał zabić Conrada i jego załogę, mogło to nastąpić równie dobrze po lądowaniu na Księżycu, jak i z pominięciem tej fazy.

–Znam tę historię, doktorze Udet. Do czego pan zmierza? – Po prostu ten cały interes – Udet zatoczył krąg ręką – to realizacja, upostaciowienie w metalu, gumie i ultrazimnych płynach pewnego marzenia. Marzenia, które jest nam wspólne, panu i mnie. Ale nie jest to marzenie, które da się zrealizować bez ryzyka. Stąd też nasza misja nie ma wyeliminować ryzyka, ale je ujarzmić. I mając na względzie ten właśnie punkt widzenia, musi pan sporządzić swój raport... Dana kolejny raz poczuł się niepewnie w obliczu chłodnego opanowania i spokoju ducha Udet. Czy naprawdę był w stanie sprzeciwić się potężnemu zaangażowaniu i pewności siebie tego człowieka?

Megafony zaczęły przekazywać odliczanie. Udet wyprostował się jak struna, jego srebrne włosy lśniły w blasku słońcu. „On żyje dla takich chwil” – pomyślał Dana.

–Później chciałbym pokazać panu wytwórnię paliwa, tu, w Wasatch – zamruczał Udet.

–Składniki miesza się w wielkich misach, a potem przelewa wprost do komory spalania.

Mieszanka na wygląd i dotyk przypominający gumę...

Trzynaście! Dwanaście!

...Wybucho jedynie w warunkach ekstremalnego gorąca i nie jest wrażliwa na zakłócenia atmosferyczne, tarcie czy uderzenie. Jest więc bardzo bezpieczna. Pięć! Sześć!

Więcej, proces spalania nie nastąpi bez udziału małego silnika raketowego umieszczonego wewnątrz komory. A kiedy już się rozpocznie, nie potrzeba pomp ani zbiorników kriogenicznych; silnik raketowy na paliwo stałe po prostu płonie... „Tak – pomyślał Dana – i kiedy raz zostanie odpalony, jest nie do wyłączenia”.

–Dwa! Jeden!

Białe, płomieniste ostrze wysunęło się z dyszy silnika w niesamowitej ciszy.

Płomień

**dosięgnął zbrocza nagiego wzgórze za uwięzioną rakieta i oszołomiony Dana miała
wrażenie,
że słońce pustyni zbiegło, a jej niebieskości i pomarańczowości zbladły i
przeszły w szarość**

**w porównaniu z tym ogniem – światłem raketowym gorętszym niż powierzchnia
słońca**

–który

istoty ludzkie sprowadziły na Ziemię.

Następny dotarł do niego dźwięk.

**Początkowo było to basowe dudnienie, które zdawało się wydobywać z głębi Ziemi.
Potem nadleciały wściekle trzaski, pulsowanie o wysokiej częstotliwości,
przypominające rozszarpywanie gigantycznych płacht materiału, dźwięki, które
targały ubranie i mierzwiły włosy. Ziemia się trzęsła, jakby była ofiarą uderzeń
wielkiego niewidzialnego młota.**

Udet pochylił się i krzyknął:

**–Oto jest to marzenie, doktorze Dana! – Wpatrywał się Dane, włosy miał rozwiane i
pokryte pomarańczowym pyłem. – Od zera do dwóch milionów koni mechanicznych
mocy w niecałą sekundę! Oto, co chciałem panu pokazać! Oto, nad czym pracujemy,
pan i ja; oto, o czym musi pan pamiętać, kiedy będzie pan robił swoje analizy i pisał
swoje raporty.**

**Dana był przytłoczony intensywnością uczuć tego człowieka. Oczywiście, Udet miał
rację. To naprawdę było ucieleśnienie marzenia, ucieleśnienie marzenia o raketowym
świecie, zrealizowane tu, na pustyniach zachodu Stanów Zjednoczonych, przed
oczami dwóch znużonych starców z Europy. Marzenie poczęte w Mittelwerk.
Płomienie nadal waliły z uwięzionej rakiety i dym spowijał zbocze wzgórza,
pозnaczone pomarańczową i szarą barwą pustynnego pyłu. Luty 1979 roku Ośrodek
Kosmiczny im. Ł.B. Johnsona, Houston Sala była mroczna i duszna. Kilku słuchaczy
wokół York położyło nogi na stolikach.**

**Jeden z nich – Bob Gold, wielkouchy Teksaszczyk, siedzący kilka stóp dalej –
odchylił głowę w tył, tak że tłuszcz sfalował mu się wielką fałdą na wygolonym karku,
i chrapał cienko jak gdacząca kura.**

Instruktor na przodzie sali wsunął kolejny slajd do projektora. Regulator ostrości

nie działał, więc obraz był rozmyty w środku. Instruktor, astronauta Ralph Gershon, postukiwał w ekran wskaźnikiem, przez co ten drżał i obraz tym bardziej mętniał. Gershon zachowywał się tak, nie dlatego że był zdenerwowany, zauważyła ze znużeniem York, ale dlatego że nie podchodził do swojego zajęcia z odpowiednim skupieniem. Było mu obojętne.

–Tu macie ECLSS*[Przyp tłum Environmental Control and Life Support System, kontrola środowiskowa i układ życiodajny – układ odnawiania powietrza, zamknięte układy chłodzenia wodnego, układ kontroli ciśnienia i odnawiania powietrza, aktywny układ kontroli cieplnej, układ dostawy i odzyskiwania wody, układ asenizacyjny i wspierający układ hermetyczny.] MEM-a w podstawowej konfiguracji – powiedział Gershon. – Dobrze mu się przyjrzyjcie. Może któregoś dnia wasze życie będzie zależeć od tego, czy poznacie jak należy budowę i zastosowanie tego maleństwa.

Nowy slajd przedstawiał schemat blokowy o oszałamiającym stopniu złożoności, pokryty cieniutkimi strzałkami i niepojętymi skrótami. Na ile York potrafiła to ocenić, nowy obraz nie był podobny do niczego, co pokazywano jej wcześniej. Chrupiący odkaszlnął i zabrał się do pracowitego żucia flegmy. – A więc tak – powiedział Gershon, znów tłukąc w ekran – tu macie podstawowy układ ECLSS. Bez względu na to, co wykonawcy wycudują, będzie tak działał. Oto standardowy dwuskładnikowy filtr do oczyszczania powietrza z CO2. A tu wielopoziomowy filtr do oczyszczania H2O. – W ustach Gershona brzmiało to „ha-dwa-ło”. – To uzupełnienie produkcji ogniwi paliwowych. A gazy atmosferyczne są oczywiście magazynowane metodą ultrazamrażania. W przeciwieństwie do magazynowania metodą ciśnieniową. – Rozejrzał się po sali.

Czy ktoś ma pojęcie, dlaczego? Bo jest lepszy stosunek ciężar-objętość. I nie stosujemy tu żadnego układu odzyskiwania nadtlenu. Zabieramy ze sobą całe powietrze do oddychania i po prostu wyrzucamy to, cośmy wykorzystali. Czy ktoś chce mi powiedzieć, dlaczego? Bo MEM to statek krótkiego lotu i ciężar układu odzyskującego nie usprawiedliwiłaby jego użyteczności...

York zdała sobie sprawę, że Gershona metoda prowadzenia wykładu – zadawanie pytania grupie i bezceremonialne odpowiadanie, zanim ktokolwiek miał szansę się odezwać – powoli doprowadzają do szaleństwa.

Gershon nakazał wypełnić kopie schematu w książkach i wymaszerował z sali, udając się w kierunku automatu z kawą.

Chociaż najwyraźniej znał należycie budowę i zastosowanie MEM-a, szkoleniowcem nie był. Był niskim żylastym Murzynem w wieku około trzydziestu pięciu lat. Zapewne przywędrował z Iowa, ale nie przebywał na tyle długo w Houston, żeby zacząć cedzić słowa po teksasku i jego rodzimy akcent tym bardziej utrudniał rozgryzienie skrótów, które stosował. Po wielu latach spędzonych w Houston, Ralph Gershon był tylko

jednym z wielu nowicjuszy astronautów, nadal czekających na pierwszy lot, wypełniających bez zapału kolejne wszawie zadanie, oświecanie nowych – pełnych nadziei i wytrzeszczających z przejęciem gały.

Kiedy York pomyślała, że Gershon miałby być dla niej wzorem, ogarnęło ją przygnębienie.

Bez entuzjazmu kartkowała swoją książeczkę z kolorowankami. Tak uczniowie ochrzcili pomoce naukowe, rozdawane na początku każdego wykładu; grube księgi zawierające same schematy bez jednego słowa wyjaśnienia. Prezentowane slajdy były identyczne ze schematami, tyle że kolorowe, i nowicjusze – sami wysoce kwalifikowani specjaliści w swoich zawodach – pracowali jak przedszkolaki, mażąc kredkami po książkach.

To był sposób na zapamiętanie każdego tranzystora, zaworu, duktu, rury i drutu w każdym cholernym statku kosmicznym, planowanym czy istniejącym. York szybko doszła do wniosku, że kolorowanie to piramidalna głupota, która nie pomaga w niczym opanować materiału. A poza tym znajomość wszystkich układów świata nie pomogła załodze Jima Lovella na pokładzie Apolla 13, kiedy zbiorniki tlenu poszły w diabły.

Problem polegał jeszcze na tym, że chociaż było coś takiego jak schemat MEM-a, to samego MEM-a wciąż jeszcze nie było. MEM budowano w inny, luźniejszy sposób niż poprzednie pokolenia statków kosmicznych i badania podstawowe – dotyczące kształtu dwustożka, balonu-spadochronu, silników raketowych z kontrolerem dyszy – wykonywano przed złożeniem prototypu do kupy. Wszystko to znacznie kontrastowało z Programem Apollo i było, jak podejrzewała, o wiele logiczniejsze; ale też z tego powodu schemat w jej książce nie odpowiadał pewnym szczegółom slajdu, który zapewne z kolei nie będzie odpowiadał temu, co ktoś w końcu zbuduje. Więc czemu miała zapychać sobie głowę tym całym gównem?

Wszystko to było częścią elementarza askana, czegoś, co – niewiarygodne! – przypominało diagram sekwencji działań. Robiłaś poszczególne sekwencje, tu godzinka na podukłady, tam parę godzin medycyny kosmicznej, aż zrozumiałaś niepojęte do tej pory fragmenty diagramu, co dowodziło, że osiągnęłaś wyższy stopień wiedzy. Była to metoda kształcenia opracowana nie przez fachowego pedagoga, ale przez inżyniera i polegała na wkuwaniu formułek.

Tak właśnie załatwiano te sprawy w NASA. Z czego wynikało, że gdyby chciała złożyć komuś skargę, na pewno nikt jej nie wysłucha. Za to nowicjusze musieli przynosić własne kredki i York doznawała jakiejś haniebnej przyjemności z produkowania książeczek pełnych dysz silników w odpustowym kolorze pomarańczowym, fioletowo-brązowych zbiorników tlenu i jaskrawoniebieskich cewek. Po zajęciach wpadła na Bena Priesta. Ben tkwił po uszy w przygotowaniach

do swojego pierwszego lotu; Apollo-N, badawczego lotu orbitalnego z wykorzystaniem NERVA 2, planowanego na koniec następnego roku.

Dzisiaj i on czuł się sfrustrowany, spocony jak wszyscy diabli i zirytowany po całym dniu dokuczliwej symulacji zintegrowanej*[Przyp tłum s.z. obejmuje załogę, umieszczoną w makiecie statku kosmicznego, i pracowników kontroli misji. Instruktorzy symulacji przedstawiają zadania i kontrolują przebieg szkolenia.]. Z jakiegoś powodu zwykła bezsłowna bariera, która ich rozdzielała dzisiaj znikła.

Stali w korytarzu blisko siebie, twarzą w twarz, Ben w wymiętej, szeroko rozpiętej koszuli.

Może połączyło ich to uczucie frustracji. W każdym razie tego dnia York po prostu wiedziała.

Wsiedli do samochodu Bena i pojechali do jej mieszkania.

To był ich trzeci raz w ciągu wielu lat.

–Te cholerne kolorowania. To jak nauka jazdy w klasie – zawarczała. Pociągnęła kolejny łyk coli i przyłożyła lodowatą spoconą puszkę do piersi. Ben, leżący na plecach w łóżku, roześmiał się i pociągnął łyk budweisera.

–No, jak masz dość zajęć w klasie, zapisz się na symulacje.

–Chryste, Ben, nawet nie możemy zajrzeć do symulatorów. To kolejny problem. Cholera, wciąż siedzą w nich astronauty. To znaczy prawdziwi astronauty – powiedziała z goryczą. – Durni latający kowboje, jak ty, którzy naprawdę kiedyś mają znaleźć się w kosmosie.

–Nie przejmuj się tym. Postaraj się znaleźć jakąś lukę w grafiku. – Symulatory są zarezerwowane do trzeciej rano! Zniecierpliwiał się. Naciągnął prześcieradło na płaski brzuch.

–To przyjdź o trzeciej rano. Czego ty chcesz, Natalie? Nikt nie mówił, że tu będzie prosto, łatwo i przyjemnie. Tu żeby iść do przodu, musisz rozpychać się łokciami. Wybijać się. Niech cię widzą. Tłucz do drzwi Chucka Jonesa, żądaj przydziałów zadań. – To cholernie głupi model programu kosmicznego – mruknęła.

–Może, ale taki jest nasz model.

Kiedy tak leżał, czuła, że jest dziwnie niespokojny, chociaż nie mogła powiedzieć, na czym opiera swoje podejrzenia. Wiedziała, że wieczorem musi wrócić do JSC. Ale chciała, żeby został, żeby mogła z nim rozmawiać. Narzucała mu się, ale Ben był jedyną bliską osobą, którą tu miała.

Gorzej, od czasu wycieku radioaktywnego na wyspie Three Mile trzy tygodnie temu, straciła nawet kontakt z częścią przyjaciół z odległego Berkeley. Na litość boską, przecież to niemoralne z jej strony, nadal pracować w ramach trucicielskiego programu, który miał na celu wyniesienie materiałów nuklearnych w kosmos! Podejrzała, że gdyby nie Ben, przed którym mogła się wyżalić z wszystkich kłopotów, które spotykały ją w trakcie szkolenia, szybko dostałaby fioła. – A tak w ogóle, jak Mike? – spytał. Odwróciła wzrok. – Nie wiem. Zajęty. Napięty jak sprężyna w zegarku. – Zawahała się. – Teraz ty powiedz mi, jak Karen.

Drgnął.

–Nie zasłużyłem na to.

–...Chyba masz rację. Przepraszam.

–Ja też przepraszam – mruknął.

Ścisnęła puszkę w dłoni, zbierając siły do poruszenia tej jednej, ważnej sprawy. „Potrafimy rozmawiać o Marsie, o różnicy postaw ludzi w NASA, ale zawsze omijamy to, co dotyczy nas obojga” – pomyślała. – Nie wiem, czy Mike chce, żebym nastawiała się na pracę w NASA, czy nie. – A gdybyś wiedziała, wzięłabyś to po uwagę? – Nie. Już nie. Nie potrafiła się do tego głośno przyznać. Priest opróżnił puszkę. – Wydaje mi się, że należysz do tych, które same podejmują decyzje, Natalie. I Mike chyba jest taki sam. Szkoda. Kocham was oboje.

Ale wydaje mi się, że nie wszyscy jesteśmy stworzeni do tego, żeby piec chleb i wychowywać dzieci.

–Pewnie nie. I ty też, co?

–Co, do diabła, chciałaś przez to powiedzieć? – W jego głosie pojawił się ton poczucia winy.

–Nic. Przepraszam, Ben.

Bawił się puszką, unikając jej wzroku.

–Myślałem o tym, żeby odejść.

–Dlaczego?

–

A jak myślisz? – Był zirytowany. – Żeby być tylko tu, na litość boską. Z tobą.

Och. – To ją zaskoczyło. Spytała łagodnie: – Więc co cię powstrzymuje?

–...Ciężko mi zostawić Karen.

Czemu? Wciąż ją kochasz?

Odwrócił się do niej i zmierzwił jej włosy.

Daj spokój, Natalie, jesteś naukowcem. Co to za pytanie? Co znaczy „kochać”, kiedy ożeniłeś się tak dawno, że nie pamiętasz, która rocznica ślubu przypada w tym roku, kiedy masz dorosłego syna... Wtedy nie mówisz już o kochaniu. To dla nastolatków. – Więc czemu od niej nie odejdziesz?

–Bo mam wobec niej dług. – Potrząsnął głową, zirytowany. – Nie, nie w tym rzecz.

Bo między nami była od samego początku umowa. Karen musiała... zainwestować we mnie.

Za każdym razem, kiedy lecę...

–Ach, rozumiem – powiedziała. – Żona marynarza, tak? – Nie lekceważ tego, Natalie. Może wydaje ci się to dziwne, ale tworzymy stabilny układ. Karen zaakceptowała całe ryzyko, które ponosiłem przez lata, i kiedy polecę w Apollo-N, będzie musiała zaakceptować jeszcze większe. Może się rozejdziemy; ale jeśli to nastąpi, to po jej decyzji.

–No, sytuacja przejrzysta jak woda w bajorze. Roześmiał się. – Więc co mi radzisz? Gdybym pojawił się pod twoimi drzwiami z walizką w ręce, przyjęłabyś mnie?

Zastanowiła się.

–Nie wiem – powiedziała szczerze. – Nie nadaję się na żonę marynarza. – Wiem. – Poglądził japo policzku. – Jesteś przedstawicielką nowego gatunku, Natalie.

Popiła coli. Myślami wróciła do NASA.

–Wiesz, starcy w Wydziale nawet nie chcą nas oglądać...

–„Starcy”?

–Ben, nie udawaj, że nie znasz tej ksywy. Starcy. Tak nazywamy was, starszych stażem.

–Nawet mnie?

–

–Nawet ciebie, dupku. A najgorsi są ci, którzy byli tu od początku. Chuck Jones i

cała reszta pokolenia Merkury.

–Och, daj spokój – powiedział Ben. – Ci faceci tylko niczego nie ukrywają. To dobre chłopaki. Nie chcą odejść z programu, bo próbują dostać się na jeszcze jeden lot, nie chcą iść na wczesną emeryturę i występować w reklamach giełdy, nie chcą odgrywać członków rad nadzorczych, w których nie będą mieli nic do powiedzenia, nie zależy im na występowaniu w talk-showach czy wyprzedawaniu strzępów dawnej chwały. Chłopaki jak Joe Muldoon, John Young, Fred Haise czy Chuck Jones...

–Może masz rację. – Prawie zapomniała, że niegdyś darzyła tych facetów szacunkiem. Wystarczyło kilka miesięcy lekceważenia z ich strony i w jej postawie zaszła głęboka zmiana. – Stać ich tylko na gadanie o lataniu – powiedziała z irytacją. – I o polowaniu na gęsi, i ściganiu się corvettami przed tymi milutkimi domkami w El Lago. – No, a jak według ciebie powinni się zachowywać? To przede wszystkim oblatywacze.

–Ale ja nie jestem tu po naukę pilotażu! Zresztą chodzi o coś więcej. Spogląda się

krzywym okiem nawet na nasze zajęcia naukowe.

–Chuck Jones też tak spogląda?

–Zwłaszcza Jones. Znasz, na przykład, Boba Golda z mojej grupy?

–Pewnie.

–Bob chciał wziąć urlop, żeby zacząć w przyszłym roku pracę naukową na Uniwersytecie Teksaskim. Ben, kiedy nas tu przyjmowano, wszystkim obiecano, że w takich sytuacjach nikt nie będzie nam rzucał kłód pod nogi – będziemy mogli wrócić na uniwersytety, z których przyszliśmy, będziemy mogli kontynuować kariery zawodowe. No ale Jones stanął okoniem. Powiedział, że potrzebuje Boba tutaj! Do czego, na litość boską!

Żeby mieć komplet do testów w module dowodzenia? Ben, do niektórych tych testów są potrzebne żywe manekiny. Nawet nie musisz być świadomy. W każdym razie Bob zastanawia się nad odejściem.

–To niech odchodzi. – Niepokój, który dostrzegła w nim wcześniej, zaczynał wyraźniej dochodzić do głosu. – Słuchaj, rozumiem, co chcesz powiedzieć. Ale musisz sama

podjąć decyzję w tych sprawach, Natalie...

York jeszcze nie skończyła.

To nie wszystko. Na przykład siedzisz w Wydziale i starasz się nadgonić zaległości w lekturach. A tu wchodzi jakiś dupek, uśmiechnięty od ucha do ucha i mówi: „Hej, Natalie, w budynku numer 4 są wykłady na temat kaloszy do spacerów w kosmosie, osadzenia anteny fal krótkich czy innego cholerstwa i uważam, że powinnaś wziąć w nich udział”. Więc co robisz?

Bierzesz udział – powiedział zdecydowanie Priest. Postawił puszkę na stolyczku nocnym gestem świadczącym, że ucina dyskusję. Teraz posłuchaj mnie, Natalie, raz na całe życie. Musisz podjąć decyzję. Całe to biadolenie... Jak chcesz wrócić do świata akademickiego, do starej pracy, to po prostu zbieraj się i wracaj. – Wielu to zrobiło.

–Pewnie. I jeszcze wielu robi. Ale jak chcesz się tu utrzymać, to musisz

stosować

się do zasad, które tu obowiązują. Ich zasad, zasad starców, czy jak ich tam

zwiesz. Jack

Schmitt był naukowcem astronautą, który najwięcej osiągnął w latach

sześćdziesiątych. Jakim

cudem?

–Bo był najlepszym geologiem?

–Był świetnym geologiem. Ale wielu innych świetnych geologów opuściło program, podczas gdy Schmitt został. Umiał być przydatny tak, że inni faceci – faceci od podejmowania decyzji – potrafili to dostrzec i docenić. Zwrócono się do niego, żeby był przedstawicielem astronautów przy doborze sprzętu lunarnego i się zgodził. I nie trzeba było go prosić, żeby zajął się całością spraw związanych z ładownikiem księżycowym. Sam się tego podjął. Opracował strategię badań lunarnych. Dzięki niemu inni faceci zaczęli traktować geologię poważnie.

–Ale Ben... Schmitt nie postawił nawet nogi na Księżycu! Priest pokręcił głową. – Nie słuchasz. Dlatego że Schmitt był wtedy pod ręką, badania geologiczne na Księżycu przeprowadzono o niebo lepiej, niż gdyby Schmitta nie było. Powinnaś o tym pomyśleć. Późniejsze lądowania, które mogły go objąć, zostały odwołane i koniec. Ale jeśli jakiś naukowiec miał w ogóle szansę zostać lunonautą, to Schmitt.

On tę szansę zmaksymalizował. – Zmierzył ją wzrokiem. – Zresztą dostał się na Moonlaba.

Zbliżył się do

Księżycyca na sześćdziesiąt mil. I znasz Ralpa Gershona, no nie?

–Pewnie. Dupek pierwszej klasy.

–Nie. – Tym razem Ben wręcz warknął. – To ty robisz z siebie dupka, Natalie. Przykro mi, ale taka jest prawda. Posłuchaj, Gershon dostaje w kość tak samo jak ty, ale pod innym względem. To najlepszy pilot w Agencji i większość z nas o tym wie. Ale nie może się dopasować. Jest z innego pokolenia niż reszta chłopaków. Walczył w brudnej wojnie i być może im się wydaje, że trochę tego brudu przyłgnęło i do niego. Ale Ralph się nie poddaje.

Stara się jak jasna cholera, żeby wejść do jakiejś załogi. Na przykład, stara się być przydatny, niańcząc was, dzieciaki.

–Ale jest do kitu instruktorem! Priest zaprzeczył ruchem głowy.

–Przejrzyj na oczy. Tu to o niczym nie świadczy. Przyjmowanie zadań,

wypełnianie

ich, umiejętność współpracy w grupie – oto, co się liczy. A na domiar

wszystkiego Ralph

spędza połowę życia w Langley i u Rockwella, gdzie tylko siedzą nad

poszczególnymi

elementami MEM-a. I wiesz dlaczego? Bo doszedł do wniosku, że z takim zapleczem

wiedzy

będzie najlepiej przygotowany do prowadzenia MEM-a, kiedy już przyjdzie co do

czego. Nikt

mu nie podskoczy. Tak samo jak Schmitt, szykuje sobie najlepszą pozycję

startową, kiedy

padnie strzał do ostatniego wyścigu.

–I to właśnie powinnam robić?

–To właśnie powinnaś robić. Więcej. Przestań biadolić, na litość boską. Stoisz tu przed wielką szansą. Wal na wszystkie szkolenia, w których możesz uczestniczyć, choćby to było samo mętniactwo i choćby nie miały żadnego związku z Marsem. Chodź na wykłady 0rękawicach do spacerów kosmicznych czy innych cholerstwach. 1kiedy się da, wykorzystuj swoją indywidualną wiedzę. Na przykład, wejdź do komisji wyboru lądowiska na Marsie...

–Nie miałam pojęcia, że coś takiego istnieje.

–No, sama widzisz – powiedział z ciężkim westchnieniem.

–Do diabła, Ben, nie cierpię, kiedy mi dajesz rady. Roześmiał się. – Tylko dlatego, że mam rację. – Sprawdził godzinę na swoim roleksie, którego wcześniej położył na nocnym stoliczku. – Szlag by to trafił. Sam mam teraz lekcję. Ostatnie modyfikacje układów kontrolnych NERVA.

No tak – powiedziała. Poglądziła go po plecach. – Wciąż został nam jeden temat do

obgadania, co?

No. Mamy temat do obgadania. I go obgadamy.

Opuścił nogi na podłogę.

Po kilku tygodniach życie pokazało ciekawszą twarz.

Grupa York przeszła na wyższy etap nauki, poznawanie układów i pracę z nimi. Pokonywała kolejne szczeble szkolenia, początkowo wypełniając testy na papierze, później ucząc się z urządzeniami elektronicznymi, komputerowymi, poznając coraz to pełniejszy obraz statku kosmicznego, którym miałyby polecieć. Były symulatory pojedyncze – części panelu kontrolnego Apolla – umieszczone w pokojach rozrzuconych po budynku numer 5, sterowane przez komputery, prowadzące proste symulacje i były symulatory połączone dla każdego z trzech stanowisk w module dowodzenia Apolla.

Wreszcie zabrano ją do budynku numer 9, gdzie znajdowało się laboratorium makiet i symulatorów połączonych. Makiety treningowe rzeczywistych rozmiarów zajmowały przestrzeń wielkości hangaru. Urządzenia służyły do szkolenia podstawowego, rozwijały umiejętności potrzebne podczas każdego lotu; bardziej skomplikowane symulatory przeznaczono do konkretnych misji.

Stosowane rozwiązania techniczne były tradycyjne, urządzenia poobijane i porysowane, wyraźnie nie pierwszej młodości. Na ścianach widniały graffiti, a na

rozstawionych byle jak stołach warsztatowych leżały zwykle śmieci, zużyte papierowe ręczniki. Z kosza wysypywały się puste puszki po coli. Nie zachodził tam żaden astronauta już wpisany do grafiku lotów. Jeśli York zaglądała tam w weekend, przeważnie nie spotykała nikogo. Po wielu latach rutynowych, długich misji w przeważającej części JSP panowała biurowa atmosfera.

Budynek numer 9 chyba uświadomił kobiecie, gdzie jest jej miejsce; jako askan znajdowała się u samego dołu łańcucha pokarmowego. Wypróbowała urządzenia do unoszenia się w powietrzu, fotel biurowy na poduszce powietrznej. Unosiła się nad podłogą z żywicy epoksydowej jak krążek hokejowy, sunąc po makiecie Skylaba, ucząc się na żywo zasady akcji i reakcji w środowisku symulującym zerowe ciężenie, chociaż było ograniczone tylko do dwóch wymiarów. W końcu wdrapała się do symulatora modułu dowodzenia, makiety Apolla o rzeczywistych wymiarach, stojącej jak metalowy wigwam w środku budynku. Właz był niewiarygodnie wąski i najpierw musiała wsunąć do niego nogi. Trzy fotele to były tylko metalowe ramy z bawełnianą płachtą, niewygodne i oparte jeden o drugi. Pod fotelami, w szerszej części stożka znajdował się obszar magazynowy zwany dolną wnęką ładunkową.

York usiadła na środkowym fotelu, przypisanym pilotowi modułu. Uniosła wzrok. Iluminatory wydawały się małe i dalekie, a chociaż właz pozostał otwarty, czuła się jak w zamknięciu. Dokładnie przed sobą miała wielką, szarą jak poszycie okrętów wojennych podkowę panelu sterowniczego. Było na niej pięćset regulatorów: przełączników, tarcz, wyłączników przyciskowych i wielostabilnych przełączników obrotowych. Wskaźniki miały kształt prostokątnych okienek z „szarymi flagami” lub „słupkami fryzjerskimi”*[Przyp tłum przed męskimi zakładami fryzjerskimi w USA stoją słupki malowane w ukośne czerwono-białe pasy.]; te ostatnie to metalowe płytki w paski, które zasłaniały okienka, kiedy należało zmienić ustawienia obwodu kontrolowanego przez dany wskaźnik. Była także mała klawiatura komputerowa, niewielki monitor i „czarna bila” – sztuczny horyzont. Do tego dochodziły małe dźwistki i przyciski, dźwignie kontroli pozycji modułu dowodzenia.

Panel wydawał się potwornie, aż śmiesznie skomplikowany. Jak, do diabła, miała nauczyć się nim władać?

Zaczęła eksperymentować z przełącznikami. Przeważnie były dwóch rodzajów: małe srebrne trójstabilne klapki lub cylindryczne, przeznaczone do istotniejszych funkcji dwustabilne dźwigienki, które należało wyciągnąć, żeby uruchomić. Pomyślała, że nie będzie to łatwe w rękawicach skafandra. Dwustronne osłonki chroniły przełączniki, zapobiegając przed przypadkowym kopnięciem przez bujającego w powietrzu astronautę. Przeszła przez cały panel, ćwicząc nie działającymi przełącznikami i przyzwyczajając się do nich.

W panel wetknięto małe schematy obwodów i diagramy sekwencji działań. Zajrzała do podręczników. Tu, na przykład, był schemat odnoszący się do zestawu

przełączników kontrolujących przepływ wody z ogniw paliwowych. Szare linie wskazywały ruch wody do regulatorów zbiorników albo do układu asenizacyjnego. Wszystkie przełączniki opisano na schematach. Kiedy tylko zaczęła wiązać układy ze schematami, panel powoli przybrał w jej oczach wygląd logicznej całości, dostrzegając powiązania między przełącznikami i ich pogrupowanie. Siedząc samotnie w bezgłośnym Apollu, przechodziła kolejne strony podręczników, ucząc się pilotowania statku kosmicznego.

Poniedziałek, 11 czerwca 1979 roku Gwiezdne Miasteczko w Moskwie Sznur autobusów ominął śródmieście Moskwy, jadąc drogą szybkiego ruchu. Zmierzały na północny wschód, w kierunku Kalinina. Ruch był gęsty, głównie ciężarowy, a wzdłuż drogi stały bloki mieszkalne, wielkie, ponure monolity. Joe Muldoon siedział przy brudnym oknie. Za szybą miał najbardziej ponury widok, jaki oglądał w życiu.

Targali tyłki prosto z lotniska do Gwiezdnego Miasteczka. Muldoon był tu po raz drugi. Pierwszy przyjazd udał się znacznie bardziej. Wtedy Amerykanie – Muldoon, Bleeker i Stone, a także technicy z NASA i kierownicy programu – zatrzymali się w hotelu „Inturist”.

Nie był to pałac, ale stał w samym środku Moskwy i do Placu Czerwonego oraz

Kremla było

parę kroków. Każdego rana Sowieci przyjeżdżali po Amerykanów autobusami, wieźli

ich do

Gwiezdnego Miasteczka i wieczorem odwozili.

I w hotelu było piekielko, bar w podziemiu.

Piekielko okazało się magnesem dla obcokrajowców, jednym z niewielu miłych zakątków w tym mieście. Można było tam wpaść na innych Amerykanów, a poza tym Niemców, Kubańczyków, Czechów. Muldoon i chłopcy z NASA rządzą w piekielku jak u siebie.

Nie było żadnych awantur, jedynie kilka białych nocy i ciężkich poranków. Ale patrząc wstecz, widział, że piekielko nie było dla kierowników programu źródłem radości.

Nie mówiąc już o Sowietach.

Prawie słyszał ich utyskiwanie: – W tym barze Amerykance rozmawiają, z kim chcą!

Tak więc tym razem zaprowadzono inne porządki.

W okolicach Kaliningradu autobusy skręciły na wschód, w kierunku Szczełkowa. Architektura się zmieniła. Znikły utrzymane w sowieckim stylu bloki. Po obu stronach stały drewniane domy, pomalowane na żywe kolory i wykończone ozdobną stolarką. W powietrzu unosiła się woń palonego drewna. Co kilkaset jardów widniały pompy ręczne. Wszystko to było niby milutkie i rustykalne, ale rozpaczliwie prymitywne. Drewniane chaty i ręczne pompy obok ośrodka szkoleniowego kosmonautów. Autobusy skręciły w nieoznakowaną drogę w prawo, między sosny. Tuż za zakrętem stała budka strażnicza. Sprawdzono papiery kierowców i po kilku minutach autobusy wjechały na dużą polanę. Stało na niej kilka wysokich domów mieszkalnych, parę niskich budynków biurowych, sklepy. Po jednej stronie polany były małe jeziora, po drugiej kilkanaście ogromnych, kanciastych budowli.

Babuszki w szalach pchały na chodnikach wózki z dziećmi, podczas gdy hałas odrzutowców spływał nieustannie z powietrza.

To było Gwiezdne Miasteczko, zbudowane tylko po to, żeby gościć kosmonautów i służyć jako ośrodek szkoleniowy. Na Muldoonie zrobiło wrażenie czegoś pośredniego między kampusem uniwersyteckim a wojskowym obozem szkoleniowym. Kierowca wskazał basen służący do ćwiczenia stanów nieważkości i Muzeum Kosmonauty. W środku polany, twarzą do nadjeżdżających, stał pomnik Gagarina;

wielki,

heroiczny, inspirujący.

Muldoon się skrzywił. On nie miał nigdzie pomnika, chociaż zawędrował dużo dalej niż Gagarin. Ale z drugiej strony wciąż żył.

Mieszkanie było ogromne. Przypominało hotelowy apartament prezydencki. Muldoon szedł przez ciąg pokoi. Były zastawione ciężkimi, staromodnymi meblami; oglądał kanapy, przepastne fotele, stoły o grubych blatach. Na podłodze puszysty dywan, na ścianach tapety z wypukłymi wzorkami. Znalazł łazienkę i musiał się rozeźmiać. Nie było mydła, korków do wanny i umywalki. Wisiał tylko jeden ręcznik.

A w każdym cholernym kontakcie pewnie zamontowano urządzenia podsłuchowe. Wyjrzał na dwór. Białe sosny, druty kolczaste. Czarna limuzyna sunęła majestatycznie główną drogą dojazdową. „Pewnie KGB” – pomyślał Muldoon. „No, trudno powiedzieć, żeby było tu przytulnie. Zupełnie jak w pieprzonym obozie jenieckim”. Zatkanął wannę myjką i puścił wodę.

Włożył smoking i zszedł do baru.

Nie przypominał piekielka w moskiewskim „Inturiście”. Ale za kontuarem stał barman, Azjata o chudej twarzy, i polerował szkło. Muldoon zamówił piwo. Okazało

się zimne, czeskie i niezłe w smaku. Bar był pusty. Koszmarna muzyczka fortepianowa sączyła się z głośnika.

Przed kolacją, która miała odbyć się w sali bankietowej Miasteczka, zapowiedziano koktajl, wszystko dla uczczenia kolejnego etapu Programu Moonlab-Sojuz. Miał przyjechać sam Fred Michaels i Bóg wie ile sowieckich grubych ryb. „Musisz potraktować to na luzie, Muldoon” – powiedział sobie. „Pilnuj języka w gębie. Żadnych wygłupów, nie skręć bata sam na siebie”.

Wiedział, czego może się spodziewać na kolacji: stosów mięsa pływającego w tłuszczu. Cudownie niezdrowego żarcia.

Ktoś klepnął go w plecy.

–Mój przyjaciel Joe. Od razu pomyślałem, że cię tu znajdę. Witaj w Zwiezdnom Gorodku. Widzę, że wciąż ciągniesz te twoje ulubione szczynty. Barman! – Władimir Wiktorienko pstryknął palcami. Barman postawił na kontuarze butelkę wódki, dwa duże kieliszki i miseczkę soli. – Masz. Pij – rozkazał Wiktorienko, nalewając Muldoonowi. – Jak mleko z piersi matki.

Muldoon wziął szczyptę soli do ust i wychylił cały kieliszek; wódka była bez smaku, ostra, gryząca w gardle.

–Dziękuję, przyjacielu – powiedział po rosyjsku, nieco się zacinając. – Od razu wypiękniałeś.

Pomysł był taki, że na orbicie Amerykanie mają mówić po rosyjsku, a Sowieci po angielsku. Dla Muldoona nauka języka okazała się najtrudniejszą częścią całego cholernego programu.

Wiktorienko ryknął śmiechem. Wypił.

–Dzisiaj wieczorem będziemy pili w piątkę z tej butelki i złożymy podpisy na nalepce. Kiedy wrócimy z Księżycy, znów się spotkamy i uczymy nasz sukces tą samą butelką. – Nalał Muldoonowi kolejny kieliszek.

–Za misję – powiedział Muldoon.

–Och, nie. – Wiktorienko uniósł ręce z udawaną zgrozą. – Nie wolno mówić takich rzeczy. W Rosji to sprowadza nieszczęście. Siedemset godzin lekcji rosyjskiego i jeszcze cię tego nie nauczyli? Pst. Powinniśmy wypić za nasze przygotowania. To wystarczy. – W takim razie, za przygotowania. – Muldoon wychylił kieliszek. Władimir Pawłowicz Wiktorienko był legendarną postacią wśród kosmonautów – jak zresztą i wśród astronautów. Krępy, jowialny, pełen energii; jego wielka głowa o krótko ostrzyżonych, siwiejących włosach jakby wyrastała prosto z ramion, a policzki miał rumiane jak jabłka.

Zasługa wiader barszczu i skrzynek ziemniaków. Był mniej więcej z tego samego rocznika co Muldoon; zapewne zgłosił się do programu kosmicznego w pierwszym rzucie, w 1960 roku.

Jeden z pilotów misji Woschoda 3 z 1966 roku, podczas której przystosowana jednoosobowa kapsuła Wostoka zabrała cudem dwóch ludzi na orbitę i Wiktorienko patrzył, jak jego towarzysz odbywa spacer w kosmosie, wychodząc przez kiepską, sflaczałą służbę powietrzną.

Plotka głosiła, że Wiktorienko był pierwszym kandydatem Sowietów do zaniechanego programu lądowania na Księżycu. Muldoon próbował go w tej sprawie wysondować, ale tamten nie puścił pary z gęby.

A teraz był odpowiednikiem Muldoona, dowódcą sowieckiej załogi w Programie Moonlab-Sojuz.

Wiktorienko zapytał o Jill, żonę Muldoona, którą poznał i której zawrócił w głowie w Houston.

Muldoon tylko wzruszył ramionami.

Jill nie skakała do góry z radości, kiedy wrócił do służby czynnej i miał znów lecieć na Księżyc. „Księżyc? Na litość boską!”. Prawdę mówiąc, nie wiedział, czy jeszcze będzie na niego czekała, kiedy wróci z tej eskapady.

Nic nie mógł na to poradzić. Nie potrafił nie latać; dla niego było to coś stałego; fakt, z którym musiał żyć. Nawet gdyby w zamian musiał zrezygnować z Jill. Nie powiedział nic na ten temat, ale wyczuł, że Wiktorienko rozumie sytuację, bo kosmonauta nie wypytywał go więcej o żonę.

Muldoon się rozluźnił. Wódka robiła swoje i przepił ją kolejnym czeskim piwem. Bar zaczął się wypełniać – przeważnie ekipą inżynierską NASA, ale pojawiło się również kilku Sowietów. Wszedł Adam Bleeker, skinął Muldoonowi i podszedł do baru.

Muldoon uznał za krzepiące, że zespoły amerykański i sowiecki pracują ramię w ramię. Żeby do tego doszło, musiało minąć sporo czasu. Pomysł wspólnych lotów był torpedowany przez Sowietów, traktujących podejrzliwie Amerykanów – jak i przez USA, które uważały, że Sowietom tak naprawdę zależy na tym, żeby położyć łapy na amerykańskiej technologii.

Ale Muldoon uważał, że to wierutne bzdury. Przecież technologie Sojuza i Moonlaba/Apolla miały dziesięć lat; co tu, do diabła, było kraść? Poza tym Carter i Ted Kennedy naciskali bardzo na przeprowadzenie tego lotu; dla Cartera pokazówka z Moonlabem – zresztą oryginalny pomysł Nixona – stała się symboliczną pieczęcią pod układem SALT II.

Czasem Muldoonowi kręciło się w głowie, tak szybkie były te zmiany orientacji, a w miarę jak się starzał, stawały się coraz szybsze.

–Wiesz, Władimir, pracujemy już nad tym programem od kilku lat, ale mnie wciąż wydaje się dziwne, że tak tu sobie siedzimy i pociągamy wódkę w barze pod Moskwą. Nawet jeśli barman to człowiek KGB.

–W czym rzecz?

–Gdyby sprawy ułożyły się inaczej, leciałbym w myśliwcu z dwoma rakietami atomowymi pod skrzydłami, zamiast z kupą ludzi i szczoteczka do zębów, oraz piżamą w walizce.

–Rakiety atomowe – powiedział Wiktorienko. – Faktycznie. A tak jesteśmy drużaj.

Ale to dlatego, że jesteśmy lotnikami. To nas wyróżnia, ciebie, Joe, i mnie. Potrafimy wypełnić każde zadanie, które się nam zleci. Nawet najtrudniejsze. Kiedyś naszym zadaniem było przewieźć rakiety atomowe. A teraz naszym zadaniem jest uściskać sobie dłonie w kosmosie. I wypełnimy nasze zadanie, najlepiej jak potrafimy. Inni – gryzipiórki, nawet inżynierowie... oni nigdy nie pojmą takich rzeczy. Zawsze tak było. Wiesz, przypomina mi się, jak wprowadzano mnie do Programu Wostok – powiedział. – Wsadzono mnie do komory ciszy. Do skrzyni. Na kilka tygodni. Potem do komory cieplnej. A potem do komory niskich ciśnień. A potem szast-prast zabrano mnie na lotnisko, wsadzono do samolotu i kazano skakać ze spadochronem. Lekarze, te konowały, usprawiedliwiały się, że muszą wiedzieć, jak zareaguję na nagłe przejście z zamkniętej kabiny do nieogarnionej przestrzeni kosmicznej.

Śmiechu warte.

–Witam, pułkowniku Muldoon, podpułkowniku Wiktorienko. Cieszę się, że panów tu widzę...

To był Fred Michaels. Dyrektor NASA stał niecałe dwie stopy za plecami Muldoona, policzki pokrywały mu kropelki potu, za nim jego zastępca, Josephson, uosobienie gryziopórka.

Wiktorienko przywitał się jowialnie z oficjelami i wlał w nich po wódcę.

Tim Josephson odciągnął Muldoona na bok.

–Wybacz, że zawracam ci tym teraz głowę, Joe. Ale dziś wieczór musimy poznać decyzję twojej załogi.

–Decyzję względem czego? Otworzył teczkę.

–Wywołanie szyfrowe lotu twojego Apolla i Moonlaba/Sojuza. Jak wiesz, na wniosek Kongresu zorganizowaliśmy na ten temat konkurs wśród uczniów szkół podstawowych i średnich. – Zaczął kartkować zawartość teczki. – Przyszło siedem tysięcy odpowiedzi, dostarczonych przez szkolne zespoły, liczące w sumie siedemdziesiąt jeden tysięcy uczniów. Każda propozycja musiała być szczegółowo opisana przez zespół klasowy.

Kryteria wyboru: w osiemdziesięciu procentach jakość i pomysłowość propozycji, w dwudziestu czytelność podczas transmisji i jednoznaczność odwołania do amerykańskiej tradycji. I...

–Och, dajże mi święty spokój, Josephson. Na litość boską.

–Mam tu ostatecznie dwadzieścia dziewięć propozycji. Już jesteśmy z tym

spóźnieni. Myślałem, że może ty i załoga moglibyście się zebrać i przedyskutować

to dziś

wieczór, i...

Muldoon pochłonął kolejną wódkę.

–Odpierdol się – powiedział.

Josephson był wstrząśnięty. Zdradzały to oczy, mimo że ukryte za okularami.

Otworzył usta. Zamknął je. Opuścił na długą chwilę wzrok, starając się opanować. Kiedy podniósł oczy, miał kamienną twarz. pułkowniku Muldoon. Może przedyskutujemy to gdzie indziej. W pańskim pokoju? Michaels był wściekły, siny z

gniewu. Władimir Wiktorienko mrugnął do Muldoona.

Ach, do diabła” – pomyślał astronauta. – Jasne. Chodźmy. Dopił swój kieliszek.

–Słuchaj, Josephson...

–To ty posłuchaj. – Muldoon zdał sobie sprawę, że chociaż Josephson to tylko wypierdek mamuta, niemniej jednak całkowicie nad sobą panuje i kiedy znaleźli się sami, potrafi narzucić swoją wolę w sposób absolutnie niepodważalny. – Mam dość pańskich fochów primabaleriny, pułkownika, i pańskiej niekompetencji, która naraża na śmieszność Agencję i nasz rząd, nawet tu. Pan i ci pańscy kosmiczni harcerze powinniście być cholernie szczęśliwi, że w ogóle dostaliście ten lot. Słyszałem, jak wypowiada się pan publicznie.

Wiemy, że jest pan wściekły po ostatnim odwołaniu lądowań na Księżycu. Wiemy, że według pana ten wspólny lot to tylko reklamowa pokazówka. Wiemy, że uważa się pan za człowieka, którego „przykuto do kupy ruskiego złomu”.

Muldoon poczuł, że otwiera się przed nim przepaść.

–Słuchaj...

–Musiałem stawać przed Kongresem po twoich wypowiedziach na temat Agencji. Twoich, Muldoon. Astronaucci stają przed reprezentantami narodu i są traktowani jak bohaterowi. Mnie w tej samej sytuacji spotkało doszczętne upokorzenie. To było pierwszy i ostatni raz. Czy to jasne? Teraz bierz tę listę. Wpatrując się w zmrużone, lodowate oczy Josephsona, Muldoon zrozumiał, że całe jego życie i wszystkie aspiracje zależą od tej jednej chwili. „Droga na Marsa prowadzi przez tę szczelinę, przez ten kawałek kartki, wypociny siedemdziesięciu tysięcy gówniarzy i ich siedem tysięcy pieprzonych hasełek, w tym zasranym pokoju, na złej stronie planety” – pomyślał. „Ja naprawdę muszę to zrobić”.

A zresztą tamto uczucie księżycowej lekkości było dawno, dawno temu.

Wziął listę. Spojrzał na propozycje. „Armada. Blake. Cel. Dalej...”.

–Chcesz, to poszukam Phila i...

–Nie. Ja tu dowodzę. To. – Stuknął palcem w nazwę. – Niech będzie.

Josephson spojrzał. „Grissom”.

–Dowódca Apolla jeden.

Josephson przez chwilę uważnie wpatrywał się w Muldoona. Następnie kiwnął

głową.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Muldoon oplukał twarz w łazience. Wrócił do baru i zaczął upijać się na poważnie.

Czwartek, 10 kwietnia 1980 roku Ellington, Baza Lotnictwa Wojskowego koło Houston Ubranie się w szatni zajęło jej godzinę.

Już od samych przepisów bezpieczeństwa robiło się słabo ze strachu. Wtłoczono w nią setki danych dotyczących karabinków, zacisków, butli z tlenem, niedotlenienia i procedur bezpieczeństwa...

„Mój Boże – pomyślała – przecież mam być tylko pasażerem w tym cholerstwie”. Stała wbita w skafander przeciwprzeciążeniowy z maską tlenową, całą masą zapinek, spadochronem, awaryjną butlą tlenu, połączeniem interkomu, zestawami ratunkowymi w kieszeniach na wypadek awaryjnego lądowania w najbardziej nieprawdopodobnych środowiskach. W naszywanej kieszeni na nodze pojemnik na wymiociny. Pomyślała, że do szczęścia brakuje jej pilotki, której mógłby jej pozazdrościć Snoopy, kiedy odgrywał asa lotnictwa I wojny światowej. No, ale miała nawet własny hełm. Patrzcie na mnie, najświeższego bohatera i latającego kowboja – miała ochotę powiedzieć.

Wyszła na dwór. Stał tam Phil Stone, starszy astronauta, który miał dziś pilotować samolot z York. Stone był wysokim, wyniośle noszącym łysinę mężczyzną, który niedawno skończył pięćdziesiątkę. Uśmiechnął się od ucha do ucha i podał jej wielką urękawiczoną dłoń.

Witam na przejażdżce po kole diabelskim – powiedział.

W odpowiedzi uśmiechnęła się niepewnie.

W tyle na płycie stał sam T-38, lśniąca zabawka. Samolot szkolny był budzącą strach białą strzałą. Skrzydła niewiarygodnie krótkie, zaledwie odrostki od kadłuba, którego wąski kształt przypominał raketę. Nie chciało się wierzyć, było sprzeczne z intuicją, że taka mała, zwarta maszyna może utrzymać się w powietrzu i latać. „Doszłaś do ściany Natalie” – powiedziała sobie w duchu. „Mówisz, że chcesz być astronautą. Nabijasz się z pilotów, którym marzy się bohaterstwo. No, pięknie. Ale to znaczy, że musisz dawać sobie radę w takich sytuacjach”. Dwaj technicy pomogli jej wejść na skrzydło i zejść do kabiny. T-38 był tak ciasny, że ledwo się zmieściła. Siedziała w osobnej kabinie za Stone'em, pod własną szklaną bańką.

Stone wdrapał się do samolotu i spytał przez interkom:

–Natalie, słyszysz mnie?

–Jasne, Phil. Głośno i wyraźnie. I... Przerwał jej. – Ostatnie instrukcje bezpieczeństwa – powiedział. – Powiem ci, kiedy zamknąć limuzynę. Zrób to powoli, Natalie. Dalej. Twój spadochron jest nastawiony na natychmiastowe otwarcie po katapultowaniu. To właściwe ustawienie przy niskiej wysokości.

Powiem ci, kiedy zmienić ustawienie na dużą wysokość, na której trzeba odczekać po katapultowaniu; robisz to, mocując ten hak do tego uchwytu spadochronu... Warkot silników rakietowych urósł do ryku, głuszając słowa.

Samolot zaczął kołować.

Stone był spokojny, jego ruchy oszczędne i dokładne. Urządzenia sterownicze przed York poruszały się synchronicznie z urządzeniami Stone'a, pracując jak zaawansowana technicznie pianola.

York poczuła, jak puls jej rośnie, oddech pogłębia się, a smród gumy maski tlenowej staje coraz ostrzejszy; czuła pot gromadzący się pod goglami, na maltretowanych policzkach.

Pocieszyła się, że czeka ją przejażdżka, której wysokości, szybkości i zapewne niezwykłego piękna zaznało niewielu ludzi. Nawet gdyby miała opuścić jutro Wydział Astronautów, będzie mogła zabrać ze sobą to przeżycie. „Tak, ale jestem święcie przekonana, że mogłabym się bez niego obejść...” – powiedział przekorny głos w jej głowie.

Samolot bez ostrzeżenia dał susa w dół pasa, wciskając ją w fotel. Po kilku sekundach poczuła, że koła odrywają się od betonu.

Maszyna wzbijała się ostro w górę i ziemia znikła z pola widzenia York. Wyżej była warstwa chmur, postrzępionych cumulusów. Chmury runęły ku niej i wbiła się w mgłę. W przeciągu sekundy znalazła się w obszarze ostrego, czystego światła słonecznego.

Spojrzała w dół; ziemia była już daleko, odległy patchwork wyblakłych brązów, osłonięty szarymi chmurami.

T-38 szedł w górę jak rakieta, niemal pionowo. Po kilku sekundach niebo przybrało barwę głębokiego fioletu.

Powierzchnia była daleko, zmaląła, dzieła ludzkich rąk zmniejszyły się do dwuwymiarowych barwnych plam. Kiedy pomyślała, z jaką łatwością oderwała się od ziemi, ze zdumieniem uświadomiła sobie, że zaledwie sto lat temu nie było człowieka, który przeżyłby coś podobnego.

Astronauci naukowcy nie musieli już czołgać się przez czyściec nauki pilotażu. Ale

nadal musieli zapoznawać się z wielkimi prędkościami, doświadczać stanu nieważkości, przyspieszeń, poznawali symptomy kinetozy lotniczej i niedotlenienia. Ceną, którą musieli zapłacić, były regularne loty na tylnym siedzeniu Northurpa T-38, najbardziej zaawansowanego szkolno-bojowego samolotu odrzutowego świata. Zachęcano doświadczonych astronautów do zabierania naukowców nowicjuszy. A kiedy już się znaleźli w górze, mogli robić, co im się żywnie podobało. Ale York ufała Stone'owi. Doceniała fakt, że zrezygnował z części szkolenia Moonlab/Sojuz, żeby ją chwilkę poniańczyć.

–Co ty na to – powiedział. – Czterdzieści osiem tysięcy stóp. Wyżej, niż kiedykolwiek latałaś, Natalie. – Tak daleko była już stratosfera, warstwa wyższa niż największe góry. Tu nie dałoby się oddychać o własnych siłach. „Krawędź kosmosu, no nie?” – pomyślała. Witaj w nowej ojczyźnie, kosmiczna dziewczyno”. – Dobra – powiedział Stone. – Zacznijmy miękko. Zwolnimy ptaszka. Widzisz prędkościomierz? – Jasne.

Kiedy samolot zwolnił poniżej dwustu mil na godzinę, zaczął się dygotać i trząść, jakby powietrze składało się z niewidzialnych zbitych kłaków. Nie lubi, jak mu się ściąga wodze – zauważył Stone. – A więc... – Otworzył przepustnice i samolot runął przed siebie. Promienie słoneczne odbijały się od kadłuba, a roziskrzona planeta zakrzywiła się w dole. – Beczka sterowana – zapowiedział Stone. Ziemia zaczęła się przechylać. York miała wrażenie, że wcale się nie obraca, czuła tylko lekkie przyspieszenie wciskające ją w fotel. Horyzont się zaokrąglił, podniósł i siny fiolet stratosfery wślizgnął się pod samolot. Następnie maszyna wyprostowała się ostro. Figura akrobacji trwała może piętnaście sekund. – Beczka szybka – powiedział Stone. Tym razem samolot odwrócił się w sekundzie, ziemia, niebo i słońce zawirowały, rozszczepione światło przebiegło po kolanach i rękach York. Żołądek stawiał opór temu, co się z nim wyprawiało, jakby nagle napełnił się rtęcią. Po półtora obrotu samolot zawisł w pozycji podwoziem do góry. Kiedy się rozejrzała, dostrzegła, że Zatoka Meksykańska tworzy zamglone sklepienie. Siła grawitacji pociągnęła York ku sobie. „To minus 1 g” – pomyślała, czując, jak pasy wpijają się jej w ramiona, a hełm tłucze o osłonę kabiny. Krew nabiegła jej do głowy, poczuła, że ma zapchany nos, jakby dostała kataru.

–To jak stół z regulowanym blatem, Natalie – powiedział sucho Stone. Zrobił błyskawiczny półobrót, prostując samolot; maszyna wyrównała, lekko kołysząc się w powietrzu. Na sekundę znieruchomieli. York pomyślała, że dokładność i precyzja Stone'a są godne podziwu... A wtedy zanurkował w kierunku dalekiej ziemi, ryk silników wzrósł. – Lecimy po parabolicznej! – Stone przebił się przez hałas. „Więc powinnam być nieważka” – pomyślała York. Rozluźniła mięśnie ramion i patrzyła, jak jej dłonie wędrują swobodnie w górę. – Mój Boże – westchnęła.

Poczuła nieważkość w sobie, jakby narządy wewnętrzne się uniosły, wypełniając klatkę piersiową.

–Jest ci niedobrze? – spytał Stone.

–Trochę. – Sprawdziła, czy torebka nie wyleciała jej z kieszeni. Stone nie zamierzał wyprowadzać maszyny z lotu nurkowego.

–Nic ci nie będzie. Gdyby się coś działo, skup się na panelu sterowniczym, nie wyglądaj na zewnątrz.

–W porządku, ale...

Nie skończyła zdania, gdyż Stone wprowadził samolot w ciasną zmiękę. York rzucało we wszystkich kierunkach i rozjaśniony pejzaż zawirował wokół osłony. Następnie skierował samolot prosto w dół, przyspieszając w kierunku Zatoki. Ocean świecił się jak stalowa płyta, daleko przed twarzą York. Na dwudziestu tysiącach stóp Stone zadarł dziób samolotu ostro w górę. Silniki zawyły i przeciążenie wcisnęło York w fotel, głowa wrosła jej w kark i pole widzenia uległo zawężeniu, ograniczone czarnym tunelem.

T-38 powrócił na wysokość i światło znów przybrało fioletowy odcień.

Poczuła smak śliny głęboko w gardle, ostry, jak zardzewiałe żelazo.

–Phil, nie czuję się za dobrze.

–Jak musisz rzygać, zdejmij maskę tlenową. „Zdjęłabym, gdybym wiedziała, jak” – pomyślała.

–I zmień skład mieszanki na sto procent tlenu – dodał. – Włącz zimny nawiew. –

Kiedy usłuchała jego rady, nabierając głęboki haust tlenu, ciśnienie w gardle

zelżało. – A teraz

przeżyjesz coś, co ci się naprawdę spodoba.

–Proszę?

Na czterdziestu pięciu tysiącach stóp włączył dopalacz. Spojrzawszy w bok, York widziała, jak biała chmura kondensacji rozkwita za T-38. Wskazówka prędkościomierza wspięła się do sześciuset mil na godzinę i szła coraz wyżej i wyżej. Minęła jednego macha.

„Jezu” – pomyślała.

Nastąpiła prawie niewyczuwalna wibracja i złagodzenie lotu. Huk silników odrzutowych przeszedł w szept; York zdała sobie sprawę, że samolot porusza się z

tak wielką prędkością, że wyprzedza dźwięk, który tworzy.

Kabina była małą oazą spokoju, pewnego łatwego lotu; tymczasem York wiedziała, że grom dźwiękowy uderza w ziemię pod nimi. Kilka stóp przed nią siedział w swojej kopule Stone, jedyna żywa istota w odległości kilku mil oprócz niej, a samolot był izolowaną wysepką rzeczywistości, lśniącej farby, ciepłego powietrza i twardych powierzchni, tu, wysoko, w gardzieli nieba. York poczuła się w jakiś sposób bliżej Stone'a, jakby powstała między nimi swoista więź.

A teraz jak się masz? – spytał. W ciszy jego głos zabrzmiał bardzo wyraźnie, przenoszony przez interkom.

–Och, świetnie, Phil – powiedziała. – Świetnie. To jest... – Wiem. – Obejrzał się przez ramię. Okulary zakrywały mu oczy. – A na orbicie lecisz dwadzieścia razy szybciej, o wiele szybciej. Może teraz lepiej zrozumiesz, czemu niektórzy z nas mają takiego kręcka na punkcie latania. Skrzywiła się.

–Czy moja dezaprobata jest aż tak widoczna?

–Dla mnie tak. Nie mam o to do ciebie pretensji. Ale musisz się nauczyć rozumieć

punkt widzenia innych chłopaków.

Nagle poczuła się zepchnięta do defensywny.

–A powinien mnie obchodzić? Roześmiał się bynajmniej nie urażony. – Bardziej niż ci się wydaje, Natalie. Widziałem, jak się starasz. Myślę, że masz potencjał. Myślę, że tacy ludzie jak ty są nam potrzebni w programie. Ale musisz się nauczyć pracować w drużynie.

Nagle rzucił samolot w nowy ciąg beczek i lotów nurkowych. York wyjęła torebkę i siedziała, istna kupka nieszczęścia, wbijając wzrok w kolana, podczas gdy świat wirował wokół niej.

T-38 zbliżał się do pasa jak spadający odłamek skały. Natomiast samo lądowanie było łagodne i szybkie.

Obsługa naziemna pomogła York wyjść z kabiny. Mdłości ustąpiły, ale czuła się zdezorientowana, jakby zmaląła i stała się lżejsza; czuła napór niebios, gorącego, wilgotnego powietrza.

Stone poklepał ją po ramieniu.

–Dobrze się spisałaś – powiedział.

–Mało się nie zrzygałam.

–

–Ale się nie zrzygałaś. Mówiłem ci, że masz potencjał, York.

–No. Może.

Stojąc na płycie lotniska w Ellington, spojrzała na ołowiane chmury,

wspominając, jak

czuła się podczas tamtych kilku sekund nieważkości. Rozluźniła ramiona,

czekając, czy teraz

ręce uniosą się swobodnie.

Stone przyglądał się jej, oceniał.

Zażenowana wsadziła hełm pod pachę, skłoniła mu się krótko i poszła do szatni. Czwartek, 27 listopada 1980 roku Kosmodrom Tiuratam w Kazachstanie Niebo było puste, barwy żrącego błękitu. Za urządzeniami startowymi wiatr gnał piasek po nagim, płaskim stepie. Bert Seger był zadowolony, że jest bezpiecznie ukryty za szkłem schronu, trzy mile od poligonu raketowego. Z tyłu dobiegał go gwar rozmów innych gości – kierowników programu, polityków pośledniej rangi, pracowników naukowych, sław życia publicznego – którzy chyba byli przede wszystkim skupieni na kanapkach i napitkach, obficie zalegających stoły, i drobnych politycznych oraz dyplomatycznych korzyściach, które można było wynieść z tej wspólnej misji.

Seger uniósł lornetkę wiszącą na szyi i ustawił ostrość na zespole urządzeń wyrzutni.

Rakieta nośna, N-I, rysowała się samotnie w oddali. NjakNositel. Stała na budowli przypominającej gigantyczną werandę, nad krawędzią wgłębienia na gazy wylotowe. Ruchoma część budowli już zjechała w dół; trzy kwadransy przed startem wieże złożono na ziemi, odsłaniając samą raketę. Tworzyła pionową linię, wyłamującą się z tego rozległego płaskiego krajobrazu.

Seger widział odpowietrzniki paliwowe wielu członów N-I i pióropusze oparów snujące się w znieruchomiałym, ułożonym warstwowo powietrzu. Niższe trzy stopnie tworzyły wąski przycięty stożek, rozszerzający się u podstawy. Na nim górne stopnie

i sam statek kosmiczny, gładki cylinder. Wyższa część miała mniej więcej rozmiary i kształt Saturna 1B. Seger wiedział, że gdzieś w środku tego zespołu spoczywa statek kosmiczny Sojuz T-3, a z kolei wewnątrz niego dwaj kosmonauci przeczekują ostatnie minuty odliczania.

Cały ten interes wyglądał jak kawałek Kremla. Nikt nie mógł się pomylić i wziąć N-1 za projekt amerykański. Niemniej jednak, był przyrodnim bratem Saturna, stworzonym przez grupę niemieckich uchodźców*[Przyp tłum eufemizm autora. „Uchodźcy” byli jeńcami wojennymi.], którzy oparli się na tej samej faszystowskiej technice, którą von Braun i jego ludzie rozwinęli w White Sands. Kolejne dziecko V-2.

–Trzymaj. – Fred Michaels pojawił się przy jego boku; wręczył mu kieliszek wódki. –

Masz taką minę, że ci dobrze robi.

Seger popatrzył z powątpiewaniem na napitek.

–Dzięki, ale nie zalecam picia w dni startów, Fred. – Pij. To rozkaz. Bert, to ich start, nie nasz. Seger roześmiał się z przymusem i wziął kieliszek.

Racja. Pewnie mam szmergla na punkcie porządku. Oczywiście, Michaels miał rację. Sowietci i Amerykanie wymienili personel kontroli misji i amerykańscy kontrolerzy stacjonowali w Kalininie. A tu, w Tiuratamie, Amerykanie mieli dostęp tylko do schronu obserwacyjnego. Ale na tym koniec. Nie było mowy, żeby Seger czy ktokolwiek z personelu amerykańskiego miał jakikolwiek wpływ na przygotowanie startu. – Cieszę się tylko, że to nie nasi chłopcy siedzą tam na górze – powiedział. – Nie pozwoliłbym, żeby to cholerstwo poleciało. Fred, nawet nie zakwalifikowalibyśmy N-1 do lotów załogowych.

Michaels elegancki i opanowany wyjął staroświecki zegarek kieszonkowy i sprawdził czas.

–A więc ten sowiecki program kosmiczny to jedno wielkie mydlenie oczu, co, Bert?

Seger pociągnął łyček z kieliszka. Była w nim czysta wódka, ale alkohol zdawał nie mieć na niego wpływu.

–Kiedy się wie tyle, co my teraz, łatwo krytykować sowieckie przygotowania – powiedział. – Robią masę prób w halach montażowych. Ale kiedy już postawią ptaszka na wyrzutni, to jakby koniec. Do diabła, prawie się obchodzą bez monitoringu elektronicznego, na wyrzutni mają tylko parę końcówek komputerowych. W ten sposób szybciej dochodzą do startu, ale płacą cholerną cenę w zakresie niezawodności. Nic dziwnego, że ta rakieta miała tyle awarii. Masz

pojęcie, że mają kontrolę tylko względem osi prostopadłej? To cholerstwo nie jest w stanie zmieniać azymutu lotu i musieli pochylić całą wieżę, żeby nakierować...

–Powiedz mi to ludzkim językiem, Bert.

–Saturn 5 może się naprowadzić na orbitę za pomocą komputerów pokładowych. N- I nie może. Oni muszą nacelować ten interes, zależnie od tego, dokąd ma lecieć...

To był główny sowiecki kosmodrom, najbliższy ekwiwalent Ośrodka imienia Jacqueline B. Kennedy. Zbudowano go w Azji Środkowej, kilkaset mil na wschód od Morza Aralskiego; podczas gdy Amerykanie wykorzystywali Atlantyk jako poligon raketowy, Sowieci używali wielkiego pustego serca kraju. Najbliższym miastem był Tiuratom, mały węzeł kolejowy w odległości piętnastu mil, nadal biedny, nędzny i zapóźniony, mimo widowiskowego hotelu kosmonautów w środku.

Używana dziś wyrzutnia była izolowana nawet od reszty kosmodromu, usytuowana jakieś dwadzieścia mil dalej na wschód. „Nie ryzykują” – pomyślał Seger. „Trudno mieć o to do nich pretensje”.

Czuł się odcięty od reszty świata, bezradny. „Jestem bliżej chińskiej granicy niż Moskwy” – pomyślał.

No cóż, zrobił, co mógł, żeby ta wspólna misja się udała. Pokonał wiele trudności, by jego podopieczni i ich sowieccy koledzy mogli pracować razem efektywnie i bezpiecznie. Na przykład, szybko zdał sobie sprawę, że bariera językowa znacznie wykracza poza problemy zwyczajnych zjadaczy chleba, uczących się podstawowych słów i zwrotów obcej mowy i wyznaczył „łączników językowych”, tłumaczących żargon NASA na literacką angielszczyznę, dopiero potem przekładaną przez rosyjskich tłumaczy. Wyszły problemy z harmonogramem dziennym. Jego planista misji zjawił się w Rosji rok temu obładowany dokumentami. Jego sowiecki odpowiednik stawiał się na spotkanie uzbrojony w długopis. W ich biurach nie było żadnych dokumentów; na przykład nawet teraz była tylko jedna kopia sowieckiego planu wspólnego przedsięwzięcia, zapisana ręcznie na długich wstęgach papieru i przyklejona taśmą do ścian sowieckiej kontroli misji w Kaliningradzie. Seger nie miał pojęcia, czy była to jakaś ponura sowiecka fiksacja na punkcie kontroli dostępu do informacji, czy chodziło o banał brak fotokopiarek.

Teraz na monitorze telewizyjnym wyświetlano film o dwóch kosmonautach – Władimirze Wiktorience i Aleksandrze Sołowiowie – zrobiony kilka godzin wcześniej. Ubrani w skafandry kosmiczne wychodzili ze swoich kwater i wsiadali do autobusu. Nie różnił się niczym od autokaru turystycznego.

Seger poczuł szarpnięcie za serce, chęć otoczenia tych ludzi opieką. Zmówił krótką modlitwę za bezpieczeństwo kosmonautów i dotknął krzyżyka w klapie.

Przyglądający się temu Michaels uniósł brew.

–Musisz traktować to na luzie, Bert. Pewnie przechodzisz... jak to nazywają...? szok kulturowy. Do diabła, Bert, to nie są nasi chłopcy. Po prostu musimy zgodzić się z tym, że Sowieci wiedzą, co robią, na swój milutki sposób. Zresztą ten N-I sprawia jako takie przyzwoite wrażenie. Wystrzelili dwa bezzałogowe Sojuzy. Okrążyły Księżyc i sprowadzili je na Ziemię. A Muldoon, Bleeker i Stone są tam na orbicie lunarnej i czekają na tego ptaszka;

Sowieci naprawdę wyłażą z portek, żeby nie schrzanić niczego podczas tego startu.

–Może. Szkoda tylko, że nie dopuścili naszych chłopaków, żeby trochę przebudowali ich wyrzutnię.

Michaels zakrztusił się ze śmiechu.

–Marzenia ściętej głowy. A tak z innej beczki... nam też przydałby się jakiś sukces.

Sam wiesz.

To była szczerza prawda.

Z telewizora dobiegały dźwięki muzyki; był to jakiś powolny, nudny kawałek i spiker oświadczył szczekliwą angielszczyzną, że utwór jest przekazywany równocześnie na pokład Sojuza, dla rozluźnienia kosmonautów. „O rany – westchnął w duchu Seger – muszą się czuć, jakby utknęli gdzieś w windzie”.

Nagle spostrzegł, że zegary wskazują tylko minutę do startu. Uniósł lornetkę. Przewody elektryczne i paliwowe odpadły od ścian statku i N-I stał samotny; wielki, niezgrabny, kruchy. „Mój Boże” – pomyślał Seger. „Wygląda jak kociół do centralnego”.

Odpalenie nastąpiło za cztery sekundy.

Dym i światło buchnęły z szerokiej podstawy i rozpląnęły się po stepie, a ogień runął do okopów pod statkiem.

Seger obserwował rosnący blask. Szeroki pierwszy stopień składał się aż z trzydziestu silników raketowych. Saturn miał ich pięć.

Pierwsza chwila startu miała zasadnicze znaczenie. W przeciwieństwie do Saturna, N-I odrywał się od podłoża w sposób niekontrolowany, gdy rosła siła ciągu. Po prostu wznosił się od chwili, w której siły odrzutu przewyciężyły siłę przyciągania ziemskiego. I nie przewidywano możliwości zgaszenia silników.

Niewiarygodne. Ogromna rakieta uniosła się na kolumnie ognia. Jak katedra podnosząca się z fundamentów.

Kiedy tylko osiągnął wysokość równą swojej długości, szybko przyspieszył. Zgodnie z wyznaczonym kursem pochylił się, unoszony na rozbłysku światła. Teraz dźwięk dotarł do schronu obserwacyjnego i okno przed Segerem zagrzechotało; światło rozjarzyło się w pomieszczeniu, jakby małe słońce powstało na stepie. Dudnienie raket odezwało się głębokim echem w brzuchu Segera. Michaels pochylił się do swojego zastępcy.

–Wygląda na to, że będzie w porządku.

–Max-q!*[Przyp tłum szczytowy moment skuteczności, kiedy wszystkie układy danego urządzenia pracują z maksymalną wydajnością.] – krzyknął przez ramię Seger, pokonując hałas. – Musi przejść max-q! – Statek miał do pokonania barierę maksimum ciśnienia aerodynamicznego, co dotychczas stwarzało najwięcej problemów. Wcześniejsze awarie N-I w tym momencie zdecydowały w sposób zasadniczy o przegranej Sowiec w wyścigu na Księżyc. Na przykład, w trakcie próbnego odpalenia N-I przed startem Apolla 11, w 1969 roku, nastąpiły tak gwałtowne wibracje, że pękły przewody. Płynny tlen rozlał się po całej rakiecie. Silniki wybuchły; turbopompa rozerwała się na strzępy... Eksplozja dorównująca wybuchowi taktycznego pocisku atomowego była tak potężna, że zarejestrowały ją amerykańskie satelity zwiadowcze.

Zegary na ścianach informowały o sześćdziesiątej szóstej sekundzie lotu.

Myślę, że się udało. – Seger odetchnął. – Silniki powinny osiągnąć pełną moc.

–A więc najgorsze mamy za sobą?

Och, nie. Nie. W przypadku tego ptaszka będziemy spokojni dopiero wtedy, kiedy misja się skończy, Fred.

Michaels poklepał go po ramieniu i wrócił do innych gości.

Seger pozostał przy oknie jeszcze długo po tym, jak pozostali odwrócili się od wyrzutni i odgłosy startu ucichły. Obserwował malejące światełko na niebie i analizował w

myślach fazy startu.

Czas misji: 121/12:23:34

Gershon wypłynął z łącznika do tunelu dostępowego modułu dowodzenia. Wsunął się głową w przód do szczytu stożkowej kabiny Apolla. Zrobił zgrabne salto w powietrzu, zmieniając położenie o sto osiemdziesiąt stopni. „Góra” modułu dowodzenia była „dołem” w Apollo.

Dla Gershona ta zmiana była jednym z najdziwniejszych aspektów całej wyprawy.

Zamknął za sobą luk, nie ryglując zamków.

Usiadł na fotelu Stone’a, po lewej stronie kabiny, i przyczepił na rzep do panelu kontrolnego, który miał przed sobą, listę zadań. Z górnej kieszeni dresu z tkaniny beta wyjął tubkę soku pomarańczowego. Wysunął słomkę i pociągnął łyk. Założył słuchawki na głowę i upewnił się, że ma łączność z resztą klastera Aresa – tak York, jak i Stone odpowiedzieli przez interkom z przedziału misji – i wysłał wiadomość do Freda Heise’a, który tego dnia był kontrolerem łącznikowym. Jednak nie czekał, aż przekaz dowiecze się przez Układ Słoneczny i przyjdzie odpowiedź, tylko zabrał się do pracy. Zaczął włączać układy Apolla.

Podczas lotu na Marsa i z powrotem w Apollu działały tylko zasadnicze układy. Był połączony przez układ cumowniczy z głównym zestawem baterii słonecznych, tak że nie musiał zużywać własnego paliwa. Co jakieś pięćdziesiąt dni Gershon miał obowiązek dokonywać rutynowego przeglądu układów. Upewniał się, że będą działać, kiedy przyjdzie czas wrócić do domu, przez atmosferę ziemską.

Obowiązki zajmowały może czterdzieści procent jego uwagi. Wyjął z kieszeni kasetę i wsunął do odtwarzacza przy stanowisku Stone’a. W kabinie rozległy się delikatne dźwięki skrzypiec. Gershon zamknął oczy i oddał się muzyce.

Czterdziesta Symfonia Mozarta. „Cudowna” – pomyślał. Poczuł rozluźnienie i nawet kabina zaczęła wydawać mu się większa.

Zakładano, że weterani z Wietnamu powinni być wierni standardowemu wizerunkowi kosmicznego fana Jimiego Hendriksa. A w Houston wizerunek liczył się niezmiernie; kiedy było się jednym z dziesięciu facetów o równych umiejętnościach, walczących o jedno miejsce w załodze, takie nieuchwytnie sprawy, jak wizerunek, mogły zadecydować, czy dostaniesz to miejsce, czy przyjdzie ci znów czekać nie wiadomo ile. Tak więc Gershon nie rozgłaszał swojego uwielbienia Mozarta. Kiedy przechodził kolejne pozycje listy zadań, był sam w kabinie. Zamykanie wjazdu kłóciło się z regulaminem i za każdym razem musiał zgłaszać je Stone’owi. Ale Apollo był jednym z niewielu miejsc w całym klasterze, w którym mogłeś być sam. Stone to rozumiał.

Musiałeś mieć trochę miejsca dla siebie, kawałek czasu. To dziwne pomyśleć, że ich troje to jedyni ludzie na obszarze dziesiątków milionów mil, którzy równocześnie siedzą sobie na głowie przez niekończące się miesiące w tym zbiorze cynowych

puszek. Naprawdę można było się odseparować tylko w sraczu. A żeby nie skłamać, nie byli w zbyt przyjacielskich stosunkach. York rzadko się odzywała, Stone był tak wzorowym dowódcą, że człowieka aż cholera brała, a on sam wciąż za dużo gadał.

Ale to mu nie przeszkadzało. I podejrzewał, że reszcie też nie. W jego mniemaniu to całe pieprzenie w bambus o duchu integracji załogi było gównem. Celem misji nie było zrobienie z nich przyjaciół na śmierć i życie; mieli dolecieć na Marsa. Dla tego celu było ich stać na wytrzymanie drobnych tarć.

Byle tylko człowiek miał trochę czasu dla siebie, reszta to żaden problem.

Systematycznie sprawdzał zegarowe tarcze, wskaźniki, które miał przed sobą i porównywał je z danymi nominalnymi. Słuchawki były czułe na głos. Tak je wyregulował, że zatrzymały muzykę, gdy się odezwał.

Gershon lubił pracować w Apollu.

Podstawowy schemat był staromodny, ale od piętnastu lat, od czasu katastrofy Apolla 13, nie było żadnej poważnej awarii. Zresztą „staromodny” nie znaczyło wcale „zły”. Dla pilota różnica między „nowy” a „stary” sprowadzała się do różnicy między urządzeniem prototypowym a już używanym. „Staromodny” równało się „sprawdzony”. Gershon bardzo żałował, że na początku lat siedemdziesiątych zrezygnowano z Apolla i zabrano się do budowania nowomodnego statku kosmicznego. Chociaż pilotowanie wahadłowca mogłoby być całkiem przyjemne.

Dzięki usprawnieniom wprowadzonym przez Rockwella, model podstawowy zamienił się we wszechstronnie użyteczną, solidną ciężarówkę kosmiczną. Statek, który tkwił dziobem w łączniku przedziału cumowniczego misji, pozornie wyglądał tak samo, jak każdy inny Apollo, który wzbił się w przestrzeń: miał klasyczną konfigurację, cylindryczny moduł usługowy, wielką dyszę silnika z tyłu i płaski stożek modułu dowodzenia na szczycie. Ale ten Apollo – którego projekt inżynierowie Rockwella nazwali „zespół 5” – został skonstruowany zupełnie inaczej niż poprzednie modele, stare zespoły 2 latające na Księżyc w latach sześćdziesiątych i nawet późniejsze promy obsługujące orbitę ziemską, zespoły 3 i 4.

Pierwsze misje lunarne projektowano na krótkie dwa tygodnie. Ale Apollo Aresa miał przetrwać osiemnaście miesięcy w głębokiej przestrzeni kosmicznej. Różnice temperatur, które miał wytrzymać, podczas gdy Ares pokonywał Układ Słoneczny, były znacznie większe niż w trakcie wszystkich lotów na Księżyc. Tak więc główne układy zostały przeprojektowane od podstaw.

Moduł usługowy był w większym stopniu samowystarczalny i pobierał mniej paliwa przeznaczonego dla silnika głównego. Stary moduł miał otwory wentylacyjne odprowadzające nadmiar wody, produkowanej przez baterie pokładowe, Ares gromadził wodę w zbiornikach, żeby nie tworzyć chmury cząsteczek lodu wokół klastera. Całość rakiety miała więcej baterii, a moduł dowodzenia większą przestrzeń ładunkową. W górnej części łącznika zamontowano dukt służący wymianie powietrza między modułem misji a dowodzenia. I tak dalej.

Niezawodność była sprawą zasadniczej wagi podczas misji dalekiego zasięgu. Wiele układów Apolla miało rezerwy zabezpieczające – po prostu kopie, gotowe do zamiany w razie awarii – ale zwykły paradygmat projektowy, potrójne zwielokrotnienie, obowiązujący podczas wypraw na Księżyc, nie miał szans się sprawdzić podczas misji dalekiego zasięgu. Nadmiarowość, skutecznie minimalizująca ryzyko, skazywała przez długi czas konstruktorów na budowę statków kosmicznych o ogromnej wadze i wielkim stopniu komplikacji. Tak więc zastosowano inteligentniejsze rozwiązanie. Nie zrezygnowano całkowicie ze zwykłego zwielokrotnienia układów, ale poszczególne komponenty mogły przejąć obowiązki zepsutych komponentów podukładu macierzystego, a także innych podukładów, co zmniejszało groźbę prostej awarii prowadzącej do niewykonywania wielu funkcji – jak podczas lotu Apolla 13. Pomyślano również o tym, że awarię może usunąć załoga. Już na wstępie założono budowę modułową, dostępność poszczególnych komponentów, stosunkowo łatwą naprawę czy wymianę, umieszczając zawory odcinające, przełączniki oraz aparaturę badawczą i wykrywacze uszkodzeń. Niektóre komponenty miały własne mikroelektroniczne układy samoregulujące.

Obecność Apolla przez całą drogę na Marsa stwarzała również szersze możliwości akcji ratunkowej w razie awarii. Apollo powracający na Ziemię wraz z modułem misji miał zostać wprowadzony na bardzo spłaszczoną eliptyczną orbitę okołozemską o średnicach dwieście i sto tysięcy mil. Lecąc po tej trajektorii, rakieta miała się znaleźć w połowie odległości między Ziemią a Księżycem kosztem stosunkowo niewielkiego wydatkowania paliwa i załoga mogła wrócić na Ziemię samym modułem dowodzenia; jego powłoka rozgrzałaby się mniej, niż powracając z Księżyca. A w razie awarii Apolla załoga mogłaby przeżyć na wysokiej orbicie aż do przybycia statku ratunkowego, kolejnego Apolla, o kubaturze poszerzonej do przyjęcia pięciu osób. Gdyby w ogóle nie mogli dotrzeć na orbitę ziemską – na przykład – gdyby nawalił JS-2, pojedynczy silnik ostatniego członu rakiety nośnej MS-5B – mogli próbować bezpośredniego wejścia w atmosferę Ziemi z kursu międzyplanetarnego. Osłona ablacyjna modułu dowodzenia została pogrubiona i wzmocniona, tak że mieliby przynajmniej jakąś szansę przeżycia podczas wejścia w atmosferę. Szybkość byłaby większa tylko o jakieś piętnaście procent niż podczas powrotu z misji na Księżyc.

Gdyby z kolei w trakcie lotu zepsuł się układ życiodajny modułu misji, można by

nawet wycofać załogę do modułu dowodzenia i wykorzystać go jako schron, szalupę

ratunkową. Kiedy Gershon sam przebywał w module dowodzenia, ten wydawał się całkiem

przestronny; gdyby jednak musiała się w nim upakować cała trójka, sprawa wyglądałaby

inaczej i ciężko byłoby w nim spędzić tygodnie, czy nawet miesiące, stłoczeni jak śledzie w

beczce.

Ale lepsze to niż śmierć.

Każdy aspekt misji został zaprojektowany z uwzględnieniem możliwości awarii, stwarzając rozwiązania zastępcze na każdym etapie, tak aby znalazłszy się w sytuacji bez odwrotu, nie znaleźć się równocześnie w „strefie śmierci”. Planiści odnieśli stuprocentowy sukces.

Gershon słuchał Mozarta i nucił do wtóru, pracując. Oczywiście, obowiązkowe sprawdzanie układów co pięćdziesiąt dni było pańszczyzną, ale wszystko podczas tego pieprzonego lotu było dla niego pańszczyzną. Jak w trakcie każdego długiego lotu.

Jego chwila miała nadejść podczas sprowadzania MEM-a przez rozrzedzoną atmosferę samego Marsa. W gruncie rzeczy miał pracować na maksimum przez... ile...? czterdzieści, pięćdziesiąt minut całego lotu, trwającego ponad półtora roku. „Nie za bardzo cię obciążono, Ralph” – powtarzał sobie w duchu. Ale nie cierpiał z tego powodu. Taka była umowa i potrafił ją zaakceptować. Ponieważ dzięki temu odbywał podróż hen, na Marsa.

Pierwszy raz trafił na nazwę „Ares” w zniszczonej starej książce, wypatrzonej w sklepie ze starzyzną w Mason. Był to zbiór opowiadań science fiction napisanych przez niejakiego Stanleya Weinbauma. Tytułowa opowieść nosiła nazwę Marsjańska odyseja i występował w niej statek Ares oraz czwórka badaczy egzotycznego, tajemniczego Marsa.

Upłynęło sporo lat, ale czarodziejski świat Weinbauma ciągle żył w pamięci Gershona. Miał wrażenie, że nadal czuje pod palcami sztywne pożółkłe kartki rozlatującej się książeczki w broszurowej oprawie.

Kiedy się dowiedział, że zamierzają ochrzcić misję nazwą z Weinbauma, wiwatował na głos.

Dorastając, poznał cały kanon science fiction i pilotował wiele innych statków na Marsa. Bradbury używał zawołanych aluzji, mówiąc o srebrnej szarańczy – pulsujących ogniem, pełnych ludzi pociskach – spadając na powierzchnię pięknej, niezamieszkanego planety. Z drugiej strony, Ares Clarke'a był opisany bardzo szczegółowo. Miał kształt hantli, dwóch sfer połączonych stujardowym tunelem. W tyle były silniki atomowe obsługiwane przez roboty – a na przodzie kwatery mieszkalne, kabiny z wielką salą bankietową i pokładem widokowym...

Siedząc na fotelu z aluminiowych rurek i płachty płótna, Gershon pociągnął kolejny łyk soku i pogładził surowy panel, który miał przed sobą. Uśmiechnął się rozbawiony. „Ho, ho, sale bankietowe...” – pomyślał.

Myślał o technice stosowanej w Apollu, jak inni zapewne o klasycznych samochodach. Na przykład o corvecie. Apollo był piękną maszyną, która dobrze się spisywała i miała wspaniałe wyniki. I mimo że liczyła sobie już wiele lat, żaden ruski produkt kosmiczny nie dorastał jej do pięt. Pardon, do dyszy. Uważał za absolutnie właściwe, że pierwsza prawdziwa wyprawa na Marsa odbywa się nie w jakimś produkcie rodem z zapomnianych marzeń von Brauna z lat pięćdziesiątych, ale w tych poskładanych do kupy praktycznych puszkach z Programu Apollo. Niemniej jednak zdawał sobie sprawę, że ta podróż to spełnienie marzeń nie tylko jego, ale i innych. Kiedy Ares posuwał się długą spiralną trajektorią ku Marsowi, nie był sam; towarzyszyła mu flota statków upiórów, srebrzystych kształtów ze stron Clarke'a, Heinleina, Asimova, Bradbury'ego, Burroughsa...

Muzyka Mozarta unosila się w kabinie, a Gershon pracowicie odfajkowywał kolejne pozycje swojej listy zadań.

Część trzecia

APOLLO-N

Piątek, 28 listopada 1980 roku

Apollo-N, Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston

Rolf Donnelly wjechał na swoje miejsce parkingowe przy budynku numer 30, Ośrodka Kontroli Misji. Wysiadł, pogwizdując.

Jego stanowisko ozdobiono nową tabliczką: PRACOWNIK MIESIĄCA. Donnelly wybuchnął śmiechem. Niech żyje praca państwowa! Jesteś w kontroli misji i w charakterze premii za dobrą robotę dostajesz miejsce parkingowe! Wciągnął w płuca parne jesienne powietrze. To jego ostatni haust świeżego powietrza na długi czas. Jedną z kilku przykrości, związanych z pracą w budynku nr 30, to całkowity brak okien. Donnelly powoli minął ogromne kraty duktów klimatyzacji. Wiosną ptaki zakładały w nich gniazda, ale teraz nie było tam śladu życia. Nadal pogwizdując, skręcił do budynku. Był szefem lotu i niebawem miał poprowadzić misję Apollo-N.

Wielkie ekrany telewizyjne na froncie sali przekazywały widowiskowe obrazy z

Przylądka Kennedy'ego, wędrującego w górę metalu, kłębow dymu, płomieni

światlistych jak

słońce.

Saturn 5N gładko uniósł się z wyrzutni.

Podczas kilku pierwszych sekund lotu Apollo-N sala kontroli operacji misji, MOCR, była oazą spokoju, pewności siebie, niczym nie zakłóconej pracy. Ze swojego stanowiska w rzędzie dowodzenia i kontroli, trzecim od frontu, Donnelly widział wszystko; szeregi ciężkich stołów, stanowisk roboczych ze starymi, niezgrabnymi monitorami telewizyjnymi i klawiaturami przyśrubowanymi do blatów, obsługiwanych przez kontrolerów z jego zespołu oznaczonego kolorem indygo i w związku z tym noszących nazwę: Zespół Indygo. Stanowiska robocze były zasłane skoroszytami z litaniami procedur, plastikowymi kubkami, notatnikami.

–Wykonujemy obrót z pochyleniem! – poinformował obsługę naziemną Chuck Jones. Przekaz był prawie niezrozumiały, głos astronauty zanikał. – Wszystko wygląda dobrze.

Niebo jaśniej.

Na pomalowanych na brązowo ścianach wisiały naszywki misji, aż do Gemini 4, oraz

plakietki emerytowanych szefów lotu, w ramach, których barwy odpowiadały barwom zespołów. Na froncie sali wisiała wielka flaga państwowa. Sufit było niski, kolor ścian przygnębiający, ale monitory świeciły jasno.

Rakieta nośna minęła wieżę. Zespół Indygo gładko przejął kontrolę od sali startowej

na Przylądku Kennedy'ego.

Donnelly poczuł adrenalinę.

Saturn 5N pochylił się, kierując na wschód i zataczając tuk nad Atlantykiem. Rakieta pilotowała się sama, zmieniając kąt zwieszonych kardanowo silników, i idąc po zaprogramowanej trajektorii. Jak na razie członkowie załogi: Jones, Priest i Dana byli tylko pasażerami, ładunkiem atomowej rakiety.

Natalie York, kontroler łącznikowy zmiany, odezwała się do statku:

–Apollo, tu Houston... Jesteście dokładniutko na trajektorii.

–Odebrałem, Houston. Maleństwo pięknie zasuwa.

–Odebrałam.

Liczby przesuwały się z góry w dół na ekranach monitorów i kontrolerzy Donnelly'ego rozmawiali cicho między sobą przez interkom. York po raz pierwszy objęła funkcję kontrolera łącznikowego. Sprawiała wrażenie spokojnej, opanowanej; Donnelly był zadowolony. Lot układał się dobrze. Rolf Donnelly czuł to. Na razie mógł kiwać palcem w bucie.

Ta misja była wyjątkowa pod wieloma względami. Po raz pierwszy Stany Zjednoczone miały dwa ambitne loty jednocześnie i sześciu astronautów powyżej atmosfery:

Jones, Dana i Priest wspinali się na orbitę w pierwszej wyprawie Programu NERVA, posiłkującym się Saturnem 5N, a Muldoon, Bleeker i Stone przebywali już na orbicie księżycowej w Moonlabie, czekając na spotkanie z Rosjanami. NASA po raz pierwszy jednocześnie korzystała z obu MOCR.

I był to, oczywiście, pierwszy załogowy lot S-NB*[Przyp tłum Saturn Nuclear Booster], nowego trzeciego członu rakiety nośnej Saturn, z silnikiem atomowym NERVA 2.

Rząd kierowników, za Donnellym, był dziś pełny. Na przykład był tam Bert Seger,

tuż za plecami Donnelly'ego, ze swoim jaśniejącym na biało goździkiem w klapie. A w galerii, za szklaną ścianą na tyłach MOCR Donnelly zauważył samego Freda Michaela, pociągającego cygaro, obserwującego z przytłumionym niepokojem pojawiające się rzędy liczb. To był bardzo ważny i bardzo nagłośniony lot.

Ale Donnelly nie był zdenerwowany; przynajmniej na razie. Miał wielkie zaufanie do swoich ludzi. Aktualni kontrolerzy byli faktycznie kierownikami zespołów, trzech z pięciu, które pracowały w tylnych pomieszczeniach, porozmieszczanych wokół MOCR; żeby znaleźć się w tej sali, kontrolerzy musieli poprowadzić wiele misji z zaplecza. Sam Donnelly przeszedł identyczną drogę. Kontrolerzy często ulegali pokusom wyższych zarobków, proponowanych przez firmy przemysłu lotniczo-kosmicznego; świadectwo pracy z kontroli misji dodawało rumieńcom aktom osobowym. Ale to był zdrowy układ; dzięki niemu przeciętna wieku w MOCR nie była za wysoka.

Zresztą Donnelly nie miał takich ambicji. W MOCR było się bliżej ośrodka

decyzyjnego każdego lotu, niż nawet siedząc w kabinie statku kosmicznego. Stąd

wydawało

się polecenia, stąd Donnelly nadzorował przebieg misji. W jego opinii było to

lepsze niż

latanie.

Trwała pierwsza minuta lotu.

Wibracje startowe znikły.

–Coś ten cholerny ptaszek hałasuje inaczej, niż powinien...! – krzyknął Jones.

Jim Dana nie widział twarzy Jonesa, ukrytej w hełmie. Nie było czasu na zastanawianie się. Dana czuł rosnące przeciążenie, gdy pięć wielkich silników pierwszego członu Saturna kontynuowały pracę. „2, 3, 4 g...” – liczył w myślach i czuł, jak klatka piersiowa się rozpląszcza. Ale nie działało się więcej nic złego. Prawdę mówiąc, przeciążenie dziwnie go uspokajało. Następowало dokładnie według harmonogramu. Może Jones się pomylił? Do tej pory szło jak w symulatorach. „Prawie...” – dodał w myślach. Nagle poleciał na pasy. „Co u...?” – zaklął w myślach. Gładki ruch w górę uległ zakłóceniu. Czyżby silnik wysiadł? Ale w tej chwili został mocno ciśnięty w tył, w fotel, a potem znów w przód, z taką siłą, że mimo wielu warstw kombinezonu poczuł pasy wrzynające się w brzuch i tors. I znów w tył... – Miotanie statkiem! – krzyknął Jones. – Trzymać się pędzla, chłopcy, bo drabina leci!

Miotanie w przód i w tył następowało w odstępach pięcio-, sześćo-sekundowych i miało zdumiewającą siłę. Ile g? I nie ustępowało... Dana utracił ostrość widzenia. Wszystko wokół niego stało się zamazane i miał wrażenie, że jest okładany pięściami po piersiach, głowie i nogach. „Musimy przerwać lot” – pomyślał. „Nie przeżyjemy tego. Rozwali nas na kawałki”. Usiłował przekręcić głowę, zobaczyć, czy Jones sięga do dźwigni awaryjnej.

Miotanie statkiem nie było widoczne w MOCR.

W oczach pracujących tam kontrolerów praca pierwszego członu wyglądała normalnie. O perturbacjach lotu wiedzieli tylko inżynierowie w Huntsville, u Marshalla, w ich odpowiedniku kontroli misji, Ośrodku Wspomagania Działań Operacyjnych, OSO. Mike Conlig w Houston usłyszał ostrzegawczy szept przekazany zamkniętą linią łączności.

–S-IC jest miotany. Przyspieszeniomierze wskazują od plus 8 do minus 8 g. Conlig siedział po lewej stronie okopu – pierwszego rzędu MOCR w Houston – obarczony wyjątkową odpowiedzialnością. Był kontrolerem nowego członu NERVA, stąd jego pseudonim roboczy brzmiał: Silnik.

Miotanie musiało nastąpić, gdyż naturalna wibracja komory spalania silników F-1 nakładała się w nietypowy sposób na wibrację całej konstrukcji rakiety. „Chryste – pomyślał – przecież wstawiliśmy absorbery, żeby wytłumiać wibrację napędu; to nie miało prawa się zdarzyć”.

Najwyraźniej te dupki u Marshalla nie przeprowadziły wystarczającej ilości prób rezonansu całej nowej rakiety Saturn 5N z trzecim członem jądrowym. „To może wykończyć misję” – myślał dalej.

W tej samej chwili Huntsville kolejny raz odezwało się szeptem:

Spadek wysokości.

Conlig wstrzymał oddech i czekał.

Miotanie statkiem znikło tak nagle, jak się pojawiło.

Dana mógł odetchnąć, czując równomierny nacisk kilku g na piersiach. Spojrzał na wiszący tuż nad nim zegar misji. Dziesięć sekund – stwierdził. – Tyle to trwało. Dziesięć sekund.

Odwrócił głowę, żeby zobaczyć, jak radzą sobie pozostali; obrzeża jego pola widzenia zasłaniała czerń. Skupił się na twarzy Chucka Jonesa. – Chuck? Ben? W porządku?

Dłoń Jonesa mocno zacisnęła się na dźwigni awaryjnej; Dana był przekonany, że Chuck potrzebował diabelskiego wysiłku woli, żeby jej nie przekręcić. – Houston, mieliśmy miotanie statkiem. Ale wciąż się trzymamy, jak trzy wyschnięte groszki w puszcze.

–Odebrałam. – W głosie Natalie York było zdziwienie. Niewykluczone, że obsada w Houston nie wiedziała jeszcze, co musiała przejść załoga. Nie widzieli wskazań przyspieszeniomierzy. Dana miał tylko nadzieję, że obserwują inne wskaźniki. Ale teraz dalsze części sekwencji startowej runęły im na głowę lawiną procedur. – Trzecia minuta – krzyknął Jones. – Przygotować się do oddzielenia członu, chłopaki.

Dana potrząsnął głową i ciemność na krawędziach pola widzenia zaczęła się rozplýwać.

Pomyślał z niepokojem o dodatkowych naprężeniach, na które podczas oddzielenia członu będzie wystawiony S-NB, już nadwerężony miotaniem. Rolf Donnelly wcale nie był zachwycony miotaniem statku. Jak również faktem, że dowiedział się o nim dopiero z ustnych raportów załogi. W tej fazie lotu ludzie Marshalla mniej więcej kontrolowali całość; najlepiej rozumieli status swojego ptaszka. „Ale czemu nie przerwali misji podczas tego cholernego miotania?” – głowił się Donnelly. „Musi naprawdę im zależeć na wyniesieniu tego ich atomowego członu na orbitę”.

Wejście na orbitę zawsze było najtrudniejszą i najbardziej niebezpieczną fazą misji; fazą, która zużywała od cholery energii podczas doprowadzenia tych wszystkich ton metalu do prędkości orbitalnej, wynoszącej pięć mil na sekundę. Powrót był nieskończenie łatwiejszy, mogłeś wydatkować całą energię, jak ci żywnie podobało. Wejście było fazą największego ryzyka, fazą, podczas której Donnelly zawsze szykował się na maksymalne kłopoty.

Potrzebował więcej informacji i większego wpływu na ten lot niż do tej pory. Kłopot w tym, że Niemcy Marshalla rozwinęli swoje umiejętności w erze zautomatyzowanych, bezzałogowych statków. Kiedy V-2 znalazła się poza wyrzutnią, nie mogłeś już jej niczego nakazać. Nawet teraz myśl o kontrolowaniu ptaszka podczas lotu była im z gruntu obca. Tak więc Niemcy włożyli masę wysiłku w to, żeby zamienić swoich kontrolerów, żywych ludzi, w roboty – przedłużenie maszyny. Polecenia brzmiały:

–Żadnych improwizacji. Bądźcie zdyscyplinowani. Trzymajcie się procedur, płaci się wam za reagowanie, nie za myślenie.

Donnelly ślubował w myślach, że rozpocznie kampanię zmiany procedur. Nie chciał powtórzenia sytuacji, kiedy z braku laku musiał zaufać ocenie ludzi Marshalla.

Niemniej jednak – chociaż Saturn leciał nieco ponad planowanym szlakiem, wielką

trajektorią wyrysowaną na froncie sali – załoga jakoś przetrzymała miotanie i

wskaźniki pracy

były w normie. Całość przetrwała oddzielenie pierwszego członu, zużytego SIC, a

drugi

chyba pracował całkiem gładko.

„Może się nam upiecze...” – pomyślał.

Donnelly czuł oczy wwiercające się w jego plecy. W galerii pomiędzy VIP-ami, sławami życia publicznego, facetami z kwatery głównej, politykami i rodzinami załóg byli ludzie, którzy wiedzieli, że sprawy poszły inaczej niż powinny. Stał tam Fred Michaels we własnej osobie z nosem rozklejonym na szybie. Obok Michaelsa był Gregory Dana, ojciec Jima. Donnelly nie znał Dany seniora osobiście, ale wiedział, że w Langley nikt nie zna się lepiej na tej misji od starego. Ciśnienie, które facet wywierał, było gorsze niż wszystko, co mogła spowodować obecność stu Michaelsów. Donnelly niemal słyszał, jak tamten powtarza w duchu: „Do cholery, to mój syn tam leci”.

Donnelly piął się skutecznie w górę. Jego przyszłość rysowała się w różowych barwach – spodziewał się jeszcze kilku lat w tej sali, a potem wyższego szczebla kariery, fotela w zarządzie programu. Gdyby szczęśliwie zakończył tę skomplikowaną i trudną misję, jego akta ozdobiłby piękny wpis.

Uwielbiał swoją pracę. Chciał zajść dużo wyżej; chciał poprowadzić lot na Marsa.

nie chciał, żeby bieżąca misja się rozpadła.

Tymczasem jednak przyszedł czas odpalić atom.

Apollo-N zadrżał, kiedy sworznie wybuchowe zadziałały i oddzielił się zużyty drugi człon, S-2.

–No i jeszcze razik – powiedział Jones. Jego głos zabarwiony nosowym akcentem z Tennessee, był spokojny i rozluźniony. „Jakby zaliczał to codziennie” – pomyślał Dana.

No cóż, Chuck Jones mógł udawać, ile mu się tylko podobało, że wszystko jest luz blues, ale Dana był przekonany, że nawet on jest spięty jak sprężyna świeżo nakręconego zegarka, bo właśnie zbliżał się najważniejszy moment lotu. Trzeci człon tej rakiety to nie był stary, niezawodny S-4B, dzięki któremu udało się dotrzeć na orbitę ziemską i dalej; to był S-NB z pierwszym silnikiem NERVA. I zadaniem tego cholerstwa było wynieść ich na orbitę, gdyż w innym wypadku, o czym Dana świetnie wiedział, czekał ich przelot nad Atlantyką i twarde lądowanie na cholernej Saharze.

–Apollo, tu Houston, zaraz wchodźcie na orbitę – zawołała York. – Zaraz wchodźcie na orbitę.

Przez długie sekundy statek kosmiczny unosił się, nie przyspieszając. W końcu Dana poczuł pchnięcie w plecy.

–Zaskoczył. – Chuck Jones wyraźnie odetchnął. – No, co wy na to? Lecimy na cholernym atomie.

Praca NERVA w zupełności nie przypominała irytującego wstrząsu towarzyszącego odpaleniu drugiego członu sześć minut wcześniej. Teraz lot szedł jak po maśle, dwieście tysięcy funtów ciągu naparło z siłą 1 g w plecy Dany. Nagle Ziemia mignęła za jego iluminatorem. Apollo runął w dół.

Dana poleciał na pasy, tracąc oddech. „Mój Boże – pomyślał – co teraz?” Z kolei dziób statku skoczył w górę. Metal zajęczał i rozjarzone oblicze Ziemi przemknęło za oknem. Hełm Dany gruchnął o wąską ramę fotela. Niebieskie światło zalało osłonę.

–Ptaszek zmienił się w mustanga, Houston – powiedział sucho Chuck Jones. – Radźcie, co robić.

–Silnik, tu Lot. Mów, co masz.

W oczach Donnelly'ego, nazwanego dla potrzeb misji: Lot, ikonka Saturna na mapie nakresowej zachowywała się jak pijana, wędrując po wariacku wokół programowanej trajektorii. Równocześnie kilkanaście informacji zaatakowało jego uszy i wysłuchał wszystkich, także równocześnie, usiłując złożyć do kupy obraz tego, co się działo.

Ale zabrakło informacji od najważniejszej osoby. Nie odezwał się Mike Conlig.

–Silnik, tu Lot – powtórzył. – Masz coś do powiedzenia? Nawet bez raportu Conliga rozumiał istotę wydarzeń. SNB w gruncie rzeczy pracował zgodnie z programem. Zmiany kierunku lotu to skutki wcześniejszego miotania statkiem. Kiedy przyszła chwila oddzielenia członu, rakieta była skierowana za bardzo „w górę”. Tak więc z chwilą włączenia się SNB, samoczynne układy kontroli położenia uznały, że statek leci za daleko w przestrzeń kosmiczną. Doszło do zmiany pozycji dysz silników i dziób statku nakierował się na środek Ziemi. Przez długie sekundy układ sterowania walczył z ograniczeniami wychyłowymi silnika. Następnie SNB chyba uznał, że skierował się za bardzo w dół i znów zadarł dziób w górę...

I tak w koło Macieju, w obłąkańczym procesie sprzężenia zwrotnego, podczas gdy urządzenia kontrolne SNB starały się sprowadzić raketę z powrotem na nieosiągalny kurs.

Gdzie, do diabła, był Conlig? – Silnik, tu Lot. Silnik! Chryste – pomyślał Fred Michaels, obserwując rozwój wypadków z galerii w głębi MOCR – niech się dzieje, co chce, byle ptaszek doleciał gdzie trzeba i wrócił”. To nie była dobra pora na kraknę.

Nowa, reaganowska administracja nabierała kształtów po przytłaczającym zwycięstwie wyborczym i Michaels już widział czarne chmury nadciągające nad Agencję.

Był przekonany, że Ted Kennedy zostawiając Cartera na lodzie, skutecznie załatwił plantatora orzeszków, chociaż Carter i tak miał marne szanse wygranej. Teraz pojawił się Reagan, może i napalony na rozwój programu kosmicznego, kto wie, ale głośno obiecujący odbicie zakładników z Iranu i grożący szabelką Rosjanom, szykującym się z kolei do przywrócenia ichniego porządku w Polsce i prężącym muskuły w Afganistanie... Natomiast Michaels utracił pewnego popiecznika w Białym Domu, a karta w postaci Johna Kennedy'ego wyglądała na nieco zgraną.

W każdym razie lot Apollo-N zapewnił NASA poważne zainteresowanie mediów – po części przychylne, gdy zaprezentowano drobiazgowo zabezpieczenia Agencji przed utratą kontroli nad materiałami radioaktywnymi. Lot przebił nawet narodowe szaleństwo, wybuchłe po postrzeleniu J.R*[Przyp tłum J.R. Ewing, czarny charakter serialu „Dallas”. Szaleństwo dotyczyło pytania: kto dybał na życie J.R.?]. Michaels nie chciał, żeby ta życzliwa ciekawość zamieniła się w grozę po kolejnej katastrofie Programu Apollo; nie teraz, nie jutro, nigdy...

Bert Seger, kilka rządów za Michaelsem w galerii, wiedział, że to najbardziej kontrowersyjny lot NASA od czasu wojskowych lotów Skylaba A. Dzisiaj na Przylądku Kennedy'ego odbywały się marsze protestacyjne, ludzie szli z dziećmi i transparentami:

PAMIĘTAJCIE WYSPĘ THREE MILE. Ochrona Przylądka trzymała ich z daleka od wyrzutni i głównych trybun. Ale Seger gnający ochoczo z Tiuratom, na ten start, musiał przedrzeć się przez to całe zamieszanie.

Przez lata tkwił po uszy w programie, nie mając kontaktu ze światem. Bezpośredni widok tłumów gniewnych twarzy, w telewizji publicznej i w zamkniętych kanałach NASA, przyprawił go o głęboki wstrząs i niepokój.

Jeszcze bardziej zaniepokoiły go narzekania wewnątrz samej Agencji. Niektórzy astronauta, na przykład ten gaduła Joe Muldoon, zaczęli zbyt głośno mieć ozorami na temat gotowości do lotu NERVA czy raczej jej braku. Na szczęście Muldoon był teraz odsunięty na bezpieczną odległość, po drugiej stronie Księżyca. Ale pyskaty astronauta i inni zasiali ziarno wątpliwości w duszy Segera. Czy nie za bardzo wziął ludzi do galopu? Gdyby dziś coś nie wyszło, to już mniejsza z tym, że NASA dostałaby się pod pręgierz opinii publicznej. Wpadka groziła rozrzuceniem paliwa nuklearnego po całym wschodnim wybrzeżu.

Wczoraj, w budynku operacji na Przylądku Kennedy'ego, załoga Apollo-N wręczyła Segerowi drobny prywatny prezent, zdjęcie w ramce z brązu. Przedstawiało trzech roześmianych astronautów w skafandrach kosmicznych. U dołu podpisy całej trójki i tekst

„Dla Berta – z ufnością”.

–Silnik, tu Lot. Silnik, do cholery.

Głos Donnelly'ego brzęczał w słuchawkach Conliga jak osa. Utrudniał myślenie. Zasady misji były całkiem proste. W przypadku takiej awarii, w takim momencie fazy startu, Conlig jako kontroler napędu powinien nacisnąć przycisk wstrzymujący dalsze procedury. Ikonka Saturna w dalszym ciągu sunęła poza wyznaczonym torem.

„Ale...” –

pomyślał Conlig.

Ale odchylenie od trajektorii nie było tak groźne, jak na początku. I wcale nie koziołkowała.

SNB był sprytnym ptaszkiem. Miał sporą kontrolę nad swoją trajekcją za pomocą ruchowych dysz silników. Wyglądało na to, że rakieta robi wszystko, co w jej mocy, żeby się utrzymać wyznaczonej trajektorii. I że wciąż się to jej udaje. Conlig wiedział, że musi odpowiedzieć Donnelly'emu.

Ehm... Lot, tu Silnik.

Jezu Chryste, Silnik. Wal.

Conlig nabrał głęboko powietrza w płuca.

Lot, tu Silnik. Wygląda na to, że w tej chwili nieźle kontrolujemy ptaszka. Zaczęły przychodzić informacje od innych kontrolerów: kierowania, dynamiki lotu, układów, od facetów siedzących za Conligiem. Poza tym, że SNB oscylował wokół trajektorii, zachowywał się w normie.

–Jesteś pewien, Silnik?

Znaczyło to tyle co: jesteś całkiem pewien, że ptaszek jest pod kontrolą? Jesteś pewien, że nie powinienes zwrócić się o przerwanie lotu? Jesteś pewien, że wiesz, co robisz, Conlig?

Ten miał takie wrażenie, jakby ta sala, świat, zmniejszały się wokół niego, miażdżyły go; słuchawki paliły uszy, a ikona Saturna na mapie nakresowej była odbiciem jego własnego braku zdecydowania.

„Powinienem przerwać lot – pomyślał – ale maszyna leci”.

Donnelly wciąż naciskał.

–Jesteś pewien, Silnik?

–Na to wskazują dane, Lot.

–Odebrałem.

Znaczyło to: zaufam ci, Conlig.

Ten wpatrywał się w ikonkę, siłą woli usiłując wznieść ją w górę, w kierunku wyznaczonej orbity.

Wiedział, że nikt nie chce przerwać lotu, jeśli nie będzie do tego zmuszony. Odpalenie trwało dwie i pół minuty. Apollo-N został wyniesiony pięć mil wyżej i pięćdziesiąt dalej.

Następnie S-NB wyłączył silnik NERVA.

Jones sprawdził położenie statku za pomocą DSKY*[Przyp tłum Display Keyboard; uproszczona klawiatura i monitor. Urządzenie opisujące pracę statku kosmicznego].

–Natalie, możesz powiedzieć chłopakom Marshalla, że ich drański ptaszek pięknie wykonał zadanie. Z tym wyjątkiem, że wylądowaliśmy dupą do przodu. – Odebrałam – odparła lakonicznie York. – Przekażę, Chuck, dzięki. Mike Conlig czuł obecność Natalie, kontrolera łącznikowego, siedzącej kilka jardów za nim.

„Powinienem był przerwać lot – powtarzał w myślach – ale nie przerwałem. Upiekło mi się”.

Nie odwrócił się, nie mógł spojrzeć Natalie w oczy.

Donnelly poczuł częściową ulgę.

Zażądał raportów kontrolerów; wszyscy zgłosili, że układy statku działają w normie, mimo wszystkich przejść.

„Udało się” – pomyślał Donnelly. „Nigdy się nie dowiem, jakim cudem”. Bert Seger zdawał sobie sprawę, że mieli szczęście. Postanowił, że wsadzi tym facetom z Marshalla kawał gorącego żelaza w tyłki. Zasłużyli sobie za to, co się stało. S-IC uległ miotaniu. A nie powinien ich zdradzić, nie po dziesięciu latach testów, nie po masie lotów próbnych.

Seger wszedł do sali MOCR i pochylił się nad stanowiskiem Donnelly’ego. – Masz być pewien tego cholernego silnika Marshalla do ostatniej śrubki. Jeśli ci się coś nie spodoba, zaraz ściągaj chłopaków na Ziemię.

Piątek, 28 listopada 1980 roku

Apollo-N i Ośrodek Kosmiczny

im. Ł.B. Johnsona, Houston

Wsadzili swoje kombinezony do siatek i wcisnęli je pod fotele; teraz}im Dana miał na sobie tylko kalesony i dres z niepalnej tkaniny beta. Był sto mil w górze, tysiąc mil poza Przylądkiem i poruszał się z prędkością pięciu mil na sekundę. Siedział na środkowym fotelu, stopami w kierunku gwiazd i miał widok na ojczystą planetę przez iluminator modułu dowodzenia. Przepęlniał go zachwyt nad urodą oświetlonej słońcem Ziemi. Tworzyła lekko zaokrągloną ścianę jasnych barw, dzielącą wszechświat na dwie części.

Rozmigotane białe

pióropusze chmur leżały nad lądami i oceanami.

Siedzący po prawej ręce Dany Ben Priest uśmiechnął się do niego szeroko.

–Jak się czujesz?

–Jakbym się tu urodził.

Chuck Jones rozpiął pas i odepchnął się od fotela. Przepłynął do panelu sterowniczego.

–Niech mnie drzwi ścisną – powiedział. – Panowie, jesteśmy na orbicie. Witam w korpusie astronautów. Teraz musimy zrobić tylko jedno: sprawdzić, czy uda się nam tu pozostać.

Priest i Jones przystąpili do sprawdzania toru i prędkości lotu, nawiązując łączność ze stacjami naziemnymi i samolotami ARIA*[Przyp tłum Advanced Rangę Instrumentation Aircraft – samoloty lotnictwa cywilnego (pasażerskie) i wojskowego (tankowce) wyposażone w anteny paraboliczne i odbiorniki radiowe, służące jako ruchome stacje telemetryczne.].

Dana słyszał, jak Jones podśpiewywał, pracując. Tymczasem jego zadaniem było sprawdzenie, czy platforma kierowania jest ustawiona w linii. Uniósł się w powietrze i złożył swój fotel. W warunkach grawitacji ciasna kabina stawała się przestronna. Dana odepchnął się palcem od panelu sterowniczego; to wystarczyło, żeby opuścić się powoli do wnętrza wyposażenia.

Przesuwał się obok przewodów z chłodziwem i przedziałów magazynowych. Pierwszy raz od startu mógł rozprostować nogi. Głową dotykał podłogi, stopami włazu.

Poczuł mrowienie w brzuchu, piersi i kolanach; to były skutki miotania statkiem. Prawdę mówiąc, spodziewał się większego bólu; skafander ochronił go przed najgorszym. Dana spłynął do inercyjnego układu pomiarowego. Było to metalowe urządzenie wielkości i kształtu piłki plażowej. Trzy obudowane sfery utrzymywały platformę w pozycji poziomej. Całość przypominała stół w jachtowej mesie, zawieszony na przegubach kardanowych i zachowujący poziom niezależnie od kąta przechyłu jednostki. Układ informował, jaką pozycję zajmuje statek w stosunku do trajektorii referencyjnej. Kontrola ustawienia w linii była rutynowym obowiązkiem, widniała na liście zadań każdego lotu. Lecz teraz powstała poważna obawa, że miotanie Apollo-N i dzikie podrzuty podczas startu wytrąciły platformę z położenia nominalnego.

Żeby sprowadzić ją do poziomu, Dana musiał wpierw dokonać pomiarów gwiazd za pomocą małego teleskopu i sekstansu. Wybierał parę gwiazd ze standardowej listy i nakazywał statkowi znalezienie ich. Jeśli nie były dokładnie na celowniku teleskopu, Dana powinien dokonać korekty i komputer wprowadziłby nowe dane do platformy,

powodując jej zresetowanie.

Dana wybrał gwiazdozbiór Oriona z wyraźnym pasem trzech gwiazd w środku. Osłonił oczy przed blaskiem Ziemi i światła kabiny, po czym skierował teleskop tam, gdzie teoretycznie był Orion. W końcu dostrzegł trzy małe plamki i jasnego Syriusza w pobliżu, dokładnie tam, gdzie powinni być...

Uśmiechnął się szeroko. Ustawienie platformy było idealne. Może najgorsze mieli już za sobą i od tej pory lot będzie się toczył zgodnie z planem. Przecież pierwszy cel lotu już osiągnięto: udowodniono, że rakieta S-NB może wznieść się na orbitę, dźwigając statek załogowy. Kolejne zadanie misji to udowodnienie, że NERVA potrafi bezpiecznie kilka razy włączyć się i wyłączyć. Podczas tygodniowego lotu Apollo-N miał przelecieć po eliptycznych orbitach, przemierzając setki tysięcy mil w przestrzeni kosmicznej, połowę drogi na Księżyc. Załogę czekała masa zadań naukowych, pomiary promieniowania ultrafioletowego za pomocą bardzo czułego teleskopu, obserwacje gwiazd helowych, badania górnych warstw atmosfery, obserwacje i fotografie Ziemi. Wyposażenie mieściło się w module dowodzenia, a także na zewnątrz statku, we wnęce z instrumentami modułu usługowego. Ale Dana wiedział, że sprawy naukowe to normalna część misji. Prawdziwy cel był prosty: przekonać się, że cholerny NERVA działa, jest sterowalny ze statku i nie rozsiej radioaktywnych śmieci po całym kosmosie!

Kiery ustalał pozycje gwiazd, mierzył sekstanssem znany kąt między dwoma gwiazdami. Sprawdzał w ten sposób pamięć platformy; wyniki powinny zgadzać się do czwartej liczby po przecinku.

Pomiar wykazał dokładność rzędu 0,00003.

Tymczasem przyzwyczajał się do nieważkości. Kiedy wysunął ręce przed siebie, poczuł, że może wirować wokół swojej osi, jak liść klonu. To było cudowne uczucie. Rozpierała go radość.

Rolf Donnelly był w centrum sieci, do której sływały informacje, analizy i przewidywania, sieci, która rozciągała się na cały kraj; od Marshalla w Alabamie, przez Rockwella w Downey, gdzie znano działanie Apolla do najmniejszej śrubki, Boeinga, który dokonywał dokładnej analizy danych telemetrycznych pozyskiwanych z opasłego pierwszego członu S-IC, będącego właśnie dzieckiem Boeinga, po co najmniej kilkanaście grup tutaj, w MOCR, w pomieszczeniach zaplecza i w budynku numer 45. Donnelly wyobraził sobie muzykę linii telefonicznych, podczas gdy kontrola naziemna i załoga odhaczała kolejne pozycje na długich listach zadań dotyczących układów paliwowych, zawieszania i życiodajnych, żyroskopów i

komputerów, przekazując wyniki dalej, na cały kraj. Powoli docierały odpowiedzi, przefiltrowane i zebrane przez Zespół Indygo. Wyglądało na to, że miotanie S-IC było wynikiem niespodziewanego rezonansu Saturna 5N, nowej rakiety Saturn/NERVA. Ktoś powinien to przewidzieć, na długo przedtem, zanim złożono raketę.

Do cholery, co się stało z kontrolą jakości programu? – zachodził w głowę Donnelly.

Wszyscy zaangażowani w program działali pod ogromną presją czasu, to jasne. Niemniej jednak nad wszystkim powinna górować zasada: „Ja nie dam plamy”. Wyglądało na to, że jakieś dupki u Boeinga albo Marshalla zapomniały o tym. Tymczasem lot z silnikiem atomowym był ostatnim, podczas którego można było sobie pozwolić na jakiegokolwiek zaniedbania.

W każdym razie pytanie brzmiało: co teraz?

Logika nakazywała przerwać misję, sprowadzić załogę na Ziemię. Przecież ten statek kosmiczny nie był zaprojektowany na to wszystko, co przeszedł podczas startu. Ale Donnelly zaczynał jako fizyk i pozostał w głębi duszy naukowcem. Instynkt szeptał mu do ucha: mniejsza z regulaminem misji czy względami politycznymi – co mówią dane?

Awaria była winą Saturna, nie NERVA. Teraz Saturn był już odłączony, a Silnik zapewniał go, że wszystko wygląda świetnie, że miotanie wcale nie uszkodziło S-NB tak, jak można by się tego spodziewać. Poza tym S-NB udowodnił już, że działa po awarii – i to dobrze, sprawdzając tor lotu. Tymczasem zespoły zajmujące się innymi podukładami wciąż gładko odhaczały kolejne pozycje list zadań.

Za nim, w rzędzie kierowników i w galerii, pojawiały się kolejne grupki z kierownictwa, zamartwiając się na śmierć. Był tam Bert Seger z szefami zadań statku i zadań załogi; Donnelly dostrzegł za Segerem, w galerii, Tima Josephsona. Strategiczna waga misji była oczywista dla wszystkich; atomowa technologia NERVA musiała się sprawdzić – musiała udowodnić, że jest bezpieczna – bo gdyby nie udało się zmienić wrogiego nastawienie opinii publicznej i gdyby trzeba było okroić czy nawet zakończyć program atomowy, to, cóż... żegnaj, Marsie. Donnelly musiał podjąć właściwą decyzję. Zgodnie z tradycją tylko Lot czy Lekarz, szef opieki medycznej misji, mogli ogłosić jej przerwanie. Do tej pory nigdy szefostwo NASA nie uchyliło decyzji szefa lotu podczas trwania misji. I Donnelly nie chciał być pierwszym, któremu się to przydarzyło. Natalie York była kontrolerem łącznikowym, w związku z czym siedziała w rzędzie stanowisk przed Rolfem Donnellym. Rozejrzała się po twarzach wokół. Poznała tych wszystkich kontrolerów podczas intensywnych szkoleń przed misją, podczas skomplikowanych symulacji zintegrowanych i szaleńczych pijatyk później. To byli sami młodzi mężczyźni. Cechowała ich wysoka inteligencja i niestabilność emocjonalna, które utrudniały kontakty z otoczeniem, sprzyjając natomiast łatwym wybuchom i depresjom.

Wszyscy przeżyli ciężkie chwile podczas wchodzenia rakiety na orbitę i byli świadomi, że czas trudnych decyzji wcale się jeszcze nie skończył. Mike siedział w okopie, rząd przed nią, trochę na lewo. Garbił się nad swoją konsolą, uosobienie napięcia, włosy miał zmierzwiłone i przetłuszczane na karku. Był pogrążony w przyciszonej rozmowie z kolegą z Marshalla.

Przypomniały się jej wszystkie wątpliwości wobec Mike'a – pytania, czy jest w stanie sprostać takim napiętym sytuacjom, wywołanym awariami silników lub układów statków załogowych, komplikacjom piętrzącym się szaleńczo w trakcie misji... Chciała pogłodzić go, uspokoić, dodać otuchy. Ale wiedziała, że Mike uznałby to za natręctwo. Był teraz na własnej trajektorii, poza jej zasięgiem, jak rakieta Saturn/NERVA kierująca się w przestrzeń.

Zresztą powinna się skupić na swoich obowiązkach. Obecne zadanie było wielkim momentem w jej życiu. Już przestała być askanem. Teraz znalazła się na grafiku lotów i stanowisko kontrolera łącznikowego było jej pierwszym obowiązkiem w trakcie działań operacyjnych; trudno o większy wyraz zaufania.

Zadanie okazało się znacznie trudniejsze, niż się spodziewała. Kontroler łącznikowy jako jedyny mógł rozmawiać z załogą. Przez nią szła każda wiadomość z MOCR i spoza sali, musiała być nieustannie czujna, bez przerwy myśleć, filtrować i kojarzyć wszystkie otrzymywane informacje. Nikt nie napisał jej scenariusza; musiała go tworzyć na gorąco, w realnym czasie.

Uznała, że jak do tej pory radzi sobie. Ale taka była norma, za którą nie powinna się spodziewać się żadnych pochwał. Nikt nie zwracał na nią żadnej uwagi. Miało tak pozostać dopóty, dopóki czegoś nie schrzani...

„Obyś się tylko dziś nie pomylił, Mike” – pomyślała. „Na litość boską, tam, w górze jest Ben...”.

Jones i Priest spłynęli do wnek sypialnych w przegrodzie wyposażenia. Były to półki długości sześciu stóp, na tyle obszerne, że mieściły siatkowe hamaki. Między hamakami i ścianą była wolna przestrzeń szerokości jednej stopy.

Dana przypiął się do lewego fotela przed panelem sterowniczym. Wiedział, że i tak

będzie mu w nim lepiej niż w najwygodniejszej koi na statku. Ale jako pilot modułu

dowodzenia musiał mieć na głowie słuchawki, na wypadek kontaktu z Houston. A

gdyby

nawet Houston pohamowało swoją gadatliwość, pozostawał zawsze głuchy szum wyładowań

elektrycznych, który wcale nie pomagał zasnąć.

Żadne z tych utrudnień nie miało znaczenia.

„Moja pierwsza noc w kosmosie” – pomyślał.

Kabina szumiała, płonęła szarościami i zieleniami, tchnęła ciepłem. To było jak spełnienie chłopięcych marzeń o szałasie na drzewie. Luźna kartka listy zadań nadpłynęła nad jego głowę, niesiona przypadkowym prądem powietrza. Dmuchnął w jej kierunku, a ona zafalowała i odpłynęła.

Odwrócił się do iluminatora. Apollo-N sunął nad pasmem górskim. Dana widział zmarszczki powierzchni Ziemi, gigantyczną plastyczną mapę; chmury uderzały o zbocza gór, jak niespokojny wodny nurt.

Był oderwany od udręk i komplikacji życia tam w dole; rutynowych zajęć, zjadających czas szkoleń, spotkań z prasą, których serdecznie nie cierpiał, nie kończącego się czekania, które musiał wytrzymać, czekania na swój pierwszy lot. Wszystkie te problemy wydawały się płaskie, dwuwymiarowe jak powierzchnia Ziemi. Czuł w sobie ciepło miłości i chciał nim objąć Mary i dzieci, rodziców, całą jaśniejącą, ojczystą planetę. „Chryste, to dzieje się naprawdę” – pomyślał. „Urodziłem się po to, żeby się tu znaleźć. W porównaniu z tą chwilą nic się nie liczy – żadne inżynierskie sztuczki, odkrycia naukowe, nawet wizja wyprawy na Marsa. Ach, zostać tu na zawsze”. Sprawdzili wszystko, co się dało i wyglądało na to, że cała telemetria gra, stół inercyjny jest ustawiony w linii, sprawdzono podukłady i faceci z zaplecza, inżynierowie i wytwórcy z poligonów, powiedzieli, że tak, wiedzą, co się sknociło, i że nie, są pewni, że nie należy się więcej spodziewać żadnych złośliwych numerów losu. Mogę wam powiedzieć, jak osiągnąć zerowy poziom ryzyka” – pomyślał Donnelly.

„Przestańmy latać”.

Wstał i odwrócił się do Berta Segera, który stał za nim w rzędzie kierowników.

Bert, zalecam kontynuowanie misji. Wszystkie parametry są stabilne. Seger, z podkowami pod oczami po długim locie i nagłej zmianie stref czasowych, tylko kiwnął głową.

Dochodziła czwarta rano. Decyzja była oczywista. Donnelly usiadł. Poprzednio trzymał dłonie na programie lotu; teraz, kiedy je uniósł, zobaczył, że zostawił na

papierze idealne odciski spoconych raje.

Poniedziałek, 1 grudnia 1980 roku

Moonlab

To Adam Bleeker jako pierwszy z załogi Moonlaba dostrzegł zbliżającego się Sojuza.

–Hej, Phil. Chodź, zobacz.

Stone podpłynął do dużego okna mesy.

Sojuz T-3 rysował się bokiem na tle bladobrązowego Księżyca, który płynnie oddalał się w tle.

Sojuz miał kształt nadziewanej papryki, cylindra wykończonego kopułą. Część cylindryczna tworzyła zbiorczy moduł przyrządowy, czyli układy: elektryczny, życiodajny i napędowy. Z boków modułu sterczały dwa matowe panele baterii słonecznych, dwa skurczone skrzydła. Na ażurowej wieżyczce umieszczono paraboliczną antenę. Stone dostrzegł płaską podstawę statku kosmicznego; tam znajdował się toroidalny zbiornik paliwa i otaczające go małe dysze silników. Kopuła na szczycie papryki to był moduł powrotny: mieszkanie kosmonautów i kabina, która miała zawieźć ich z powrotem na Ziemię. Stone wiedział, że do lotów po orbicie ziemskiej powrotnik zostałby wzbogacony o duży jajowaty moduł orbitalny, miejsce pracy i przebywania załogi. Powłoka statku miała jasną niebiesko-zieloną barwę, dziwnie kontrastującą z ponurą jednostajnością Księżyca. Szczerze mówiąc, Sojuz wydawał się Stone'owi gównianym statkiem. Ogniwa słoneczne były to wielkie czarne kwadraty, prostacko wbite w baterie, obłożone z kolei grubymi drutami; Stone widział grudy lutu wielkości pięści, owoc pracy flejtucha spawacza.

Wykonawstwo było na poziomie wiejskiego kowala. Sowiecki statek wyglądał na twór z innej rzeczywistości.

Załoga odsunęła się od okna. Przed cumowaniem Sojuza zostało jeszcze trochę pracy.

Stone udał się przez dziurę w otwartej kratownicy podłogi i przesunął ześlizgiem do wieloportowego adaptera cumowniczego, w głębi zbiornika tlenu, głównego warsztatu statku.

Do adaptera podłączono trzy główne klastery. Apolla, który przyniósł załogę z Ziemi i był znany tysiącom szkolnych dzieci pod nazwą „Grissom”. Tegoż Grissoma przystosowano do zabrania pięciu osób załogi, a na wszelki wypadek miał dwie dodatkowe koje w dolnej wnęce ładunkowej modułu dowodzenia. Poza tym było „obserwatorium”, mały moduł laboratoryjny z czterema szerokimi bateriami

słonecznymi, zestawem do eksperymentów naukowych i sensorami. Był to przerobiony przez inżynierów Grummana powrotnik ładownika księżycowego; gdyby wydarzenia ułożyły się inaczej, astronauta Apolla 16 powróciłby nim z Księżyca.

Trzeci klaster adaptera był to krótki, płaski cylinder, człon łącznikowy Sojuza, umożliwiający wyrównanie ciśnienia między Sojuzem i Apollem, i zawierający także urządzenia cumownicze. Wiktorienko i Sołowiow mieli do niego zacumować, wyrównać ciśnienie i przejść do Moonlaba.

Stone zabrał się do finalnego sprawdzania łącznika. Wykonywał zadanie bez specjalnej irytacji czy poczucia bezradności. Łącznik był przynajmniej nowy, w przeciwieństwie do reszty Moonlaba, która miała już pięć lat i czego nie dało się ukryć.

Kiedy skończył, wrócił do mesy. Kolejno czekał go pomiar pozycji Sowieców za pomocą sekstansu.

Podczas gdy Stone dokonywał pomiarów, Sojuz przesunął się na tle Księżyca i uniósł

ku gwiazdom.

–Moonlab, tu Komarów. Moonlab...

–Słyszemy cię, Komarów – odpowiedział w imieniu Moonlaba

–

Muldoon. – Połączenie VHF działa jak ta lala. – Wiktorienko na pokładzie Sojuza używał angielskiego, Muldoon odpowiadał niezdatną ruszczyzną. Muldoon rozpoczął następnie czwórstronną konwersację między Moonlabem, Sojuzem i dwoma stacjami obsługi naziemnej, w Houston i Kalininie, sprawdzając łącza i stan układów.

Sojuz odwrócił się, ustawiając przed Moonlabem. Moonlab, tu Komarów. Jesteśmy gotowi do ostatniej fazy cumowania. Włączam światło pozycyjne.

Na górnej części kadłuba Sojuza zaczęło błyskać światełko, dobrze widoczne z Moonlaba.

–Widzę cię, Komarów.

–I ja ciebie, Joe. Trudno nie zauważyć takiego elegancika, jak twój Moonlab. Jesteśmy w pełni gotowi do cumowania, mamy na sobie skafandry. I na nich muszki, bo szykujemy się na uroczystą kolację u was.

Houston i Kalinin potwierdziły gotowość do połączenia statków. Sojuz powoli odwrócił się o sześćdziesiąt stopni wzdłuż długiej osi, układając do cumowania. Panele słoneczne sprawiały, że wyglądał niczym ptak przemykający wokół Księżyca, niesamowita metalowa jaskółka.

Zbliżał się powoli, z wahaniem, dokonując wielu poprawek wysokości i kątowych. W pewnej chwili nawet ostro się cofnął. Załoga Moonlaba i Houston umilkli; Stone słuchał przyciszonego, ale pełnego napięcia dialogu po rosyjsku między Komarowem a Kalininem.

Komarów był tak zwrotny jak krowa w tańcu. Seria Sojuz znakomicie spełniała zadania transportowe i można ją było do woli przebudowywać, ale w gruncie rzeczy była rówieśniczką Programu Gemini i brakowało jej wyrafinowania oraz mocy Apollów. Szczególnie bolesny był brak dokładnych sterów wysokości i komputerów przekładających rozkazy na wcześniej zaprogramowane czynności, wykonywane przez sekwencyjne układy adresujące.

Więcej, nieporadność manewrowa Sojuza doprowadziła do tarć w fazie planowania misji. Niektóre osoby ze strony amerykańskiej na w pół żartobliwie zaproponowały, żeby Sojuz wziął na siebie rolę partnera pasywnego i żeby Apollo zaciągnął potężnego Moonlaba, i przyłączył go do małego Sojuza...

W każdym razie wyglądało na to, że Sojuz w końcu przejdzie do finalnej fazy cumowania. Komarów zbliżał się, pokryty wielością urządzeń, jak jeź igłami. Wzniósł się i znikł w pola widzenia Stone'a, który słyszał Muldoona, meldującego po rosyjsku:

–Pięć jardów... trzy jardy... jeden...

Rozległo się stłumione dzwonienie, grzechot zatrząsków cumowniczych.

–Dobra robota, Wład! – zawołał Muldoon. – Dobrze się spisałeś, towarzyszc.

Prędkość zbliżania dokładnie stopa na sekundę.

–No, proszę. Teraz Apollo i Sojuz wymieniają uścisk dłoni w cieniu Księżyca. No nie?

Kosmonauci przeszli do małej śluzy i zamknęli ją szczelnie. Mieli tam przesiedzieć trzy godziny, czekając, aż ciśnienie opadnie i zrówna się z ciśnieniem Moonlaba. Stone przesunął się do tunelu w środku adaptera, blisko wejścia modułu Sojuza. Muldoon i Bleeker już tam byli, obładowani skrzynkami z przyrządami i butlami z tlenem.

Zadaniem Stone'a było sfilmować kamerką telewizyjną przywitanie załóg i przekazać

je na Ziemię.

Rozległo się lekkie stukanie. Muldoon otworzył właz.

Władimir Wiktorienko, szeroko uśmiechnięty, podał dłoń Muldonowi. – Witam, przyjacielu – powiedział. – Jestem bardzo szczęśliwy, że cię widzę. – Przełazi przez właz, krępy i tryskający radością, po czym uściskał się z Muldoonem. Wręczył mu zawiniątko z chlebem i solą, jak nakazywał rosyjski zwyczaj. Sołowiow poszedł w ślady dowódcy. Cała piątka tłoczyła się w adapterze cumowniczym, szczerząc zęby i ściskając się, cały czas sprawdzając kątem oka, czy są w polu widzenia kamery. Muldoon zaprowadził ich przez zabałaganionego Moonlaba do mesy. Wiktorienko i Sołowiow wygłosili obowiązkowe komplementy pod adresem amerykańskiego ptaszka, ale zdaniem Stone'a były tylko wyrazem uprzejmości. Pierwszym zadaniem każdej amerykańskiej załogi było poprawienie orbity Moonlaba za pomocą modułu usługowego Apolla. Pole grawitacyjne Księżyca było tak nierówne, że wszystko co pozostawało w jego zasięgu, z czasem opadało na powierzchnię. Kiedy Stone pierwszy raz zbliżał się do Moonlaba, kusiło go, żeby po prostu ulec tej sile. Po pięciu latach zewnętrzne poszycie Moonlaba było powyginane na wszelkie sposoby, a duże meteoryty wielkości pięści porobiły w nim dziury. Baterie słoneczne, również zniszczone przez meteoryty, pracowały mniej wydajnie, tak że prąd opadł do połowy mocy. Światła były słabe i wszędzie biegły skłone ad hoc dukty powietrzne, wyrównując brak wentylatorów. Stone miał już serdecznie dość niedogrzanych posiłków, letniej kawy i chłodnawej wody do mycia.

A wewnątrz przypominało pomieszczenie gospodarcze jakiegoś niezguły – zdaniem Stone'a, raczej skłone naprędce szalas podczas szkoły przetrwania niż laboratorium badawcze – każda powierzchnia podrapana i porysowana, każdy element oprzyrządowania łatany, każda ściana zastawiona rupieciami. Zresztą Moonlab od początku był jedną improwizacją bez szans rozwoju, i za każdym razem, kiedy kolejna załoga przybywała przeprowadzić nowy eksperyment lub wymienić jakiś element, po prostu przyśrubowywała urządzenia do wolnego kawałka ściany i zostawiała go na wieczność. Teraz, po pięciu latach, ściany narosły, jakby pokryte metalicznym korałem. Czasem nawet nie znajdowało się potrzebnych urządzeń i trzeba było szukać poprzednich załóg, żeby zlokalizować, co trzeba.

Dbano o higienę pomieszczenia – z tym nie było przebaczone – ale nazwanie go czystym byłoby już przesadą. Do cholery, tu przebywali najwyższej klasy piloci i naukowcy. Na litość boską, nie zamierzali tracić życia na sprzątanie, mieli robotę do wykonania.

Takie nastawienie

powodowało nieprzyjemne skutki.

Na przykład czarne algi, które wykończyły tusz. Nawet toalety nie były wentylowane jak należy. Stare ptaszysko rzeźbiło i dzwoniło, tak że w nocy trudno było spać. Mówiło się, że niektóre załogi długo przebywające w Moonlabie lądowały na Ziemi z uszkodzonym na trwałe słuchem. Panowały znacznie gorsze warunki niż podczas pierwszego lotu w przestrzeń. A wszystko to były koszmarne, ciągnące się konsekwencje decyzji Berta Segera jeszcze z 1973 roku, każącego zwlec tego Moonlaba z orbity okołoziemskiej. – „Może nie powinienem tak wybrzydzać na ten wielki traktor, Sojuz” – pomyślał Stone. „Przynajmniej Sowieci muszą się czuć u nas jak u Pana Boga za piecem, Moonlab jest nie gorszy niż moskiewski hotel”.

Niemniej jednak Moonlab był wielkim eksperymentem, jeśli chodziło o przetrwanie w kosmosie. Był statkiem kosmicznym drugiego typu. Typ pierwszy wcale nie podlegał naprawie w przestrzeni; używało się go, sprowadzało na Ziemię i porzucało lub doprowadzało do stanu użyteczności, jak Apolla. Typ drugi, jak laboratoria kosmiczne, z założenia podlegał remontom, ale z pomocą logistyczną pobliskiej Ziemi. Typ trzeci miał przetrwać lata bez pomocy logistycznej i był rozwiązaniem docelowym. Przewidywano, że wszystkie misje marsjańskie polecą na pokładzie statków trzeciego typu. Moonlabowi wiele brakowało do tego poziomu techniki.

Jednak bez doświadczeń w długotrwałym używaniu Moonlaba czy Skylaba nie było mowy o misji na Marsa.

Dotarli do mesy, w której stał plastikowy stół i krzesła z wysokimi oparciami w kształcie litery T, wszystko przymocowane do podłogi z gęstej kratownicy. Usiedli przy stole, zaplatając nogi o krzesła, a Stone zamontował wysoko kamerę telewizyjną. Rozpoczęło się prawdziwe przedstawienie.

Wymieniano się flagami, w tym wyniesioną przez Sojuza flagą Narodów Zjednoczonych, która miała wrócić w Apollu. Każda załoga wiozła połówki pamiątkowych medalionów z aluminium i ze stali, które Muldoon i Wiktorienko połączyli w jedno.

Wymieniono pudełka z nasionami: Amerykanie wręczyli białego świerka, a Sowieci szkocką sosnę, syberyjskiego modrzewia i jodłę Nordmanna. Przyszedł czas na rytualny posiłek. Gospodarzami tego dnia byli Amerykanie, więc kosmonauci zostali poczęstowani kartoflanką z torebki, chlebem, truskawkami i grillowanymi stekami. Podczas tego wszystkiego silono się na dobry nastrój i śmiechy. Następnego dnia kucharzami mieli być Rosjanie i – o czym Stone wiedział, ponieważ przetrenowano nawet spożywanie wspólnych obiadów – w menu była ryba z puszki, ziemniaki, mięso, topiony ser z tubki, zupa z torebki, puree jarzynowe i płatki; do tego orzechy, razowiec i suszone owoce.

Stone jedząc, spoglądał z powątpiewaniem na kamerę, wpatrzoną w niego z góry. W miarę jak ciągnęła się ta pokazówka, służąca dobremu image'owi kosmonautyki,

obecność zimno spoglądającego szklanego oka zdawała się ciążyć wszystkim coraz bardziej. „Jezu – westchnął w myślach Stone – mam nadzieję, że nikt się na nas nie gapi” – Oczywiście, jak mawiają filozofowie, najważniejsze podczas kolacji nie jest to, co jesz, ale z kim – odezwał się Wiktorienko. Wyjął z kieszeni dresu pięć metalowych tubek. Miały naklejki z napisem „Wódka”.

Astronauci posłusznie dali wyraz obowiązkowemu zachwytowi, a kiedy odkręcili tubki, okazało się, że jest w nich barszcz, co zaprezentowali do kamery.

„Sowiecki żart –

pomyślał Stone – ha, ha”.

Kiedy posprzątano po kolacji, transmisja powinna się skończyć i załogi mogły spodziewać się odpoczynku. Ale Bob Crippen, kontroler łącznikowy zmiany, zasygnalizował z Houston:

–Moonlab, mamy dla was niespodziankę. Proszę, panie prezydencie, jest pan połączony z Moonlabem.

W powietrzu rozległ się znajomy, brzękliwy głos mówiący akcentem z Georgii. – Dobry wieczór, panowie. A może tam u was jest przedpołudnie? Mówię do was z Owalnego Gabinetu w Białym Domu i jest to z pewnością najbardziej niezwykła rozmowa, od czasu kiedy John Kennedy rozmawiał z tobą, Joe, i Neilem Armstrongiem, przebywającymi na powierzchni Księżyca, jedenaście lat temu... Załogi siedziały przy stole, wpatrywały się w kamerę, wykrzywiając twarze w uśmiechu.

Carter bębnił dalej; jego zdumiewające banały zdawały się nie mieć końca. Sołowiow i Wiktorienko siedzieli jak na mękach. Carter był nudniej szy od Breżniewa. „To dałoby się jeszcze znieść – myślał Stone – gdybyśmy nie wiedzieli, że Carter jest na wylocie. I że zawsze robił, co się dało, żeby wsadzić nam kij w szprychy”. Carter zwracał się po kolei do każdego z obecnych.

–A więc, Joe, to chyba twój pierwszy lot od jedenastu lat. – Tak, panie prezydencie, pierwszy, od kiedy lądowałem na Księżycu. To cudownie móc znowu wrócić w kosmos.

–Czy masz jakąś radę dla młodych ludzi, którzy marzą, żeby polecieć kiedyś w przestrzeń kosmiczną?

Muldoon miał twarz jak wyrąbaną z drewna. Stone wiedział dokładnie, co tamtemu pcha się na usta: „A jakże. Nie spieprzcie sobie szansy, najeżdżając na Agencję”.

–No cóż, panie prezydencie, powiedziałbym, że najlepsze co mogą zrobić, to

zdecydować, czego chcą, i nigdy się nie poddawać, póki nie osiągną... „Muldoon da sobie radę, dopóki Carter go nie spyta, czy tęskni za żoną” – pomyślał Stone. Wszyscy w Houston wiedzieli, że Jill wyprowadziła się z domu parę miesięcy przed startem, ale jakoś udało się to ukryć przed prasą. Siedzący naprzeciwko Stone’a Wiktorienko wyjął kolejne pięć tubek z „wódka”. Bez słowa puścił je wzdłuż stołu. Stone otworzył swoją i powąchał zawartość. Wiktorienko kiwnął głową, nie spuszczając z niego oka, jakby mówił: – Tak, to naprawdę wódka. Ale widzowie pomyślą, że to barszcz. Ten żart bardziej ci się podoba? Stone opróżnił swoją tubkę jednym haustem i zmiażdżył gruby metal w dłoni. Banalne mowy i ceremonie ciągnęły się dalej, a zapomniane góry Księżycy rzucały fantastyczne cienie na blat stołu.

Środa, 3 grudnia 1980 roku

Apollo-N i Ośrodek Kosmiczny

im. Ł.B. Johnsona, Houston

Rolf Donnelly po raz ostatni sprawdził kontrolerów. – Masz nas tam podłączonych, INCO*[Przyp tłum instrumentation and communication, kontroler oprzyrządowania i łączności.]? – Potwierdzam, Lot.

–A co z tobą, Kierowanie*[Przyp tłum kontroler sterowania.]?

–Wygląda, że nie najgorzej.

–Naprowadzanie*[Przyp tłum kontroler naprowadzania, inaczej GUIDO, wyznaczający trajektorię statku.], zadowolony?

–Układy sprawne. FIDO*[Przyp tłum flight dynamics, kontroler dynamiki lotu.], a ty?

— Działamy. Trajektoria jest trochę zaniżona, Lot, ale to żaden problem.

–Silnik?

–Wszystko gotowe do odpalenia, Lot – powiedział Mike Conlig... Odebrałem.

Kontroler łącznikowy, jak załoga?

Dyżur łącznika pełniła znów Natalie York.

–Apollo-N, tu Houston, jesteście gotowi?

–Jak najbardziej, Houston – odpowiedział krótko Chuck Jones na linii kosmos-Ziemia.

–Odebrałem – powiedział Donnelly. – W porządku, wszyscy kontrolerzy, jesteśmy w

gotowości. Trzydzieści sekund do odpalenia.

–Apollo-N, bądźcie gotowi do odpalenia.

Apollo-N unosił się swobodnie nad ciemnym Oceanem Spokojnym; Ben Priest widział nisko w wodzie misę białego światła – odbicie Księżyca – i ginące w mlecznym obszarze światła jakiegoś statku.

Załoga leżała w fotelach jeden przy drugim, kolejny raz otulona w skafandry. Priest poczuł silniejsze bicie serca. „Zrobiliśmy wszystko, co się dało, żeby sprawdzić tego cholernego ptaszka – pomyślał – teraz pozostało nam tylko włączyć pełną moc”. Na dziesięć sekund przed odpaleniem konsola DSKY rozjaśniła się pulsującą liczbą 99. Chuck Jones wcisnął klawisz: DALEJ.

Liczby zmieniające się na konsolecie mówiły Mike’owi Conligowi, że atomowy rdzeń NERVA powraca do temperatury pracy. Płynny tlen już buchał z wielkiego zbiornika S-NB i wpadał do koszulki płaszcza ciśnieniowego i silnika, po czym prawie natychmiast docierał do radioaktywnego rdzenia, gdzie przechodził w gaz tak gorący jak powierzchnia gwiazdy.

Temperatura rdzenia poczęła się podnosić, jej wykres biegł w górę, jak powinien...

Nie, inaczej. Temperatura rosła za szybko... Conlig ze zdumieniem i rozczarowaniem patrzył, jak dane coraz bardziej odbiegają od zakładanych. NERVA zapłonął i statek kosmiczny zadygotał. Priest został wciśnięty w fotel. Napór był długi, łagodny. „Idealnie – pomyślał – jak w symulatorach”. – Tu wygląda na to, że wszystko idzie dobrze – zawołała Natalie York. – Śledzimy waszą trajektorię jak sępy. Jesteście dokładnie na linii. Zadaniem Priesta była obserwacja czytników ciśnienia i temperatury członu S-NB, silnika NERVA i wielkiego zbiornika tlenu. Jones monitorował wskaźnik pozycji i sztuczny horyzont, gotowy przejąć stery w razie awarii układów automatycznych. Dana odczytywał rosnącą prędkość z czytnika konsoli DSKY.

–Trzydzieści tysięcy stóp na sekundę... trzydzieści pięć... Mike Conlig czuł suchość w ustach. Ktoś wrzeszczał mu do ucha na zamkniętej linii łączności z zapleczem. Liczby, białe na zielonym, stały się całym światem.

Komputery pracowały nieustannie, odświeżając dane i niełatwo było się połapać. Musiał sprawdzać źródło danych w prawym górnym kącie ekranu, żeby mieć pewność, iż pracują właściwie, i nie dopasowują starych danych do sytuacji bieżącej, co groziło błędną diagnozą.

Ale tu nie było mowy o pomyłce. Rozumiał dokładnie, co wyraża milcząca parad liczb. Rdzeń NERVA był nadal przegrzany.

Usiłował przyspieszyć przepływ wodoru przez rdzeń. Wodór mógłby zabrać część nadmiaru ciepła.

Żadnej reakcji. Gorzej, jeden z czytników powiadomił go, że poziom przepływającego wodoru wręcz spada.

Może powstała awaria przewodu wodoru. Może zepsuła się pompa. A może był to jego stary wróg, kawitacja, gdzieś w cylindrach przepływu paliwa. Temperatura rdzenia rosła. Ktoś znów się darł na linii zaplecze-MOCR. „Cholera, cholera” – powtarzał w myślach. Będzie musiał przerwać odpalenie. A to oznaczało prawdopodobnie koniec misji; wątpliwe, żeby po takiej wpadce pozwolili mu jeszcze kiedykolwiek wypróbować silnik.

Wysłał polecenie do kontroli moderatora silnika. Chciał spowolnić reakcje w rdzeniu

NERVA i w ten sposób zmniejszyć temperaturę.

Brak odpowiedzi.

Gdyby temperatura przekroczyła próg krytyczny, mogłoby to doprowadzić do uszkodzenia prętów paliwowych a nawet topnienia prętów kontrolnych. Czy to właśnie następowało teraz?

Gdyby to była prawda, sytuacji nie dałoby się odwrócić w żaden sposób. Obserwujący zmieniające się liczby Conlig poczuł napływ paniki.

Priest dokładnie widział ścięte stożki wulkanów Hawajów, rozdarte blizny powierzchni. Ziemia wyraźnie się oddalała, jakby unosił się w windzie. To była emocjonująca

jazda.

Poczuł napływ uniesienia.

„Ten cholerny atom działa” – pomyślał.

Awaria rozwijała się ze zdumiewającą prędkością. Na oczach Conliga nastąpił wzrost mocy przegrzanego reaktora. Skutek był natychmiastowy. Wodór przepływający przez rdzeń napotkał zwiększony opór. Wszędzie pojawiły się pęcherze gazu. Pręty paliwowe zaczęły się topić. Ciśnienie w przewodach z gazem paliwowym nagle wzrosło i one równie zaczęły się topić. Cały rdzeń się zapadał.

Ciśnienie w reaktorze zaczęło rosnąć, ponad piętnaście atmosfer na sekundę.

Straszliwe ciepło rdzenia doprowadziło do reakcji chemicznych i egzotermicznych. Wzrost ciśnienia reaktora spowodował cofnięcie się strumieni wodoru. Ogromny napór na pompy spowodował rozerwanie zaworów sprzężenia zwrotnego. Kiedy pompy stanęły, ruch wodoru w rdzeniu zamarł ostatecznie. Otworzyły się główne zawory bezpieczeństwa reaktora, odprowadzając wodór poza statek. To przyniosło pewien skutek. Ale uwalnianie wodoru nie trwało długo; nie radząc sobie z ogromnym ciśnieniem i napływem wodoru, zawory niebawem również uległy zniszczeniu.

I teraz potężne ciśnienie zaczęło oddziaływać na sam płaszcz ciśnieniowy.

„Straciłem go. Straciłem reaktor” – tylko ta myśl tłukła się w głowie Conliga. Wystarczyło kilka sekund i jego życie się rozpadło. Próbował jakoś zareagować, coś wymyślić, zawiadomić Lot. Ale miał suchość w ustach i skurcz szczęk. Rozległ się wyraźny głuchy brzęk i moduł dowodzenia się zatrząsł. Brzęk, łomot, wstrząs po raz drugi.

Przypięty do środkowego fotela Dana czuł, jak cały statek dygoce. Wszędzie rozlegały się głuche brzęki i trzaski, jęki metalu poddanego naprężeniom; to były dziwne hałasy, jak gardłowy śpiew wieloryba.

W słuchawkach Dany rozległ się alarm główny, staccato pisków. Odwrócił się i ogarnął wzrokiem towarzyszy podróży. Jones wpatrywał się w panel kontrolny. Priest miał oczy jak spodki. „Niech mnie drzwi ścisną” – pomyślał Dana. „Nie wiem, co to było, ale na pewno nic przewidzianego programem”. Jones wyłączył alarm.

Wrażenie pędu ustało. Dana odebrał to jak lekką stłuczkę samochodową; poleciał w przód i łagodnie wylądował na pasach bezpieczeństwa. – Jim – powiedział Jones. – Pali się szyna główna A. Sprawdź to.

Dana spojrzął na swoją konsolę. Bezpiecznik podnapięciowy płonął czerwienią.

„Niech to diabli porwą” – pomyślał. „To ja pierwszy powinienem to zobaczyć”.

Był odpowiedzialny za śledzenie pracy układów modułu dowodzenia.

–Potwierdzam – powiedział. – Pali się bezpiecznik szyny głównej A. Ze zdziwieniem stwierdził, że mówi spokojnym głosem. Sprawdził wartości prądu; pojawiły się wyraźne zakłócenia.

Słyszał dzwonienia i piski. Dźwięki pracującego metalu. Statek nadal dygotał.

„Jakieś

cholerstwo w nas walnęło” – pomyślał Dana.

Ziemia zawirowała za iluminatorem. Powinny odpalić silniczki pomocnicze modułu usługowego, kontrolujące pozycję statku. Ale nie stuknęła żadna cewka. – Natalie, ptaszek chory – zgłosił Jones do Houston. – Mamy kłopoty. Rozpiął pasy i uniósł się do iluminatora po swojej lewej ręce. Dana wiedział, że działa zgodnie ze starym odruchem pilotów; w takiej chwili niezależnie od danych telemetrycznych czuł potrzebę, aby przejść się po ptaszku, poszukać wycieków, kopnąć w opony, przekonać się samemu, co się dzieje.

Dana wyjrzał przez iluminator po swojej prawej, ten, przy którym siedział Ben Priest.

Iskry, kawałki czegoś przelatowały obok modułu dowodzenia. Świeciły się, rozżarzone do czerwoności.

Poczuł w hełmie jakiś zapach. W dziwny sposób skojarzył mu się z Hampton; latami dzieciństwa, oceanem.

To był zapach ozonu.

Donnelly nie musiał nawet słyszeć konkretnych słów. Czuł, że coś się wydarzyło, widział to w zmianie postawy kontrolerów w całej sali, rozpoznawał po nagłym napięciu, które zabrzmiało w ich głosach.

Coś wysiadło. Ale na razie nie było jasne, co; tylko nagle pojawiła się wysypka objawów, zaobserwowanych przez kontrolerów.

–Mamy duży problem. – To odezwał się EECOM*[Przyp tłum Electrical and Environmental Command, kontroler układów elektrycznych, środowiska i układu życiodajnego.] Apollo-N. Krzyczał. – Mam wysokie ciśnienie w CSM EPS*[Przyp tłum Command Service Modules Electrical Power System, układ dostawy prądu do modułu dowodzenia i usługowego.]. Słuchajcie, chłopaki. Ciśnienie ogniwa paliwowego pierwszego i drugiego padło. – W żargonie kontrolerów oznaczało to: spadło do zera. – Siada ciśnienie zbiornika tlenu i temperatura.

–Tu Houston – odezwała się do załogi Natalie York. – Powtórzcie, proszę. – ...Mamy problem – powiedział Jones na zamkniętym obwodzie kosmos-Ziemia. – NERVA padł i widzimy pod napięciem szyny głównej A. – Odebrałam. Główna szyna A. Czekajcie, Apollo-N, rzucimy na to okiem.

Teraz odezwało się Naprowadzanie.

–Mamy reset komputera. Nie wiemy, dlaczego.

Komputer się resetował, uruchamiał ponownie w wyniku jakiegoś niezwykłego

wydarzenia, po tym, jak wpierv sam się wyłączył. Donnelly wezwał innych kontrolerów do potwierdzenia już otrzymanych raportów.

Załoga potwierdziła pod napięcie szyny głównej A. Prąd elektryczny Apollo-N płynął z trzech ogniów paliwowych w module usługowym – szynami głównymi A i B, które zaopatrywały wszystkie części statku. Alarm pod napięciowy oznaczał, że prąd statku słabnie.

Donnelly próbował wydobyć od EECOM potwierdzenie awarii.

–Widzisz pod napięcie szyny, EECOM?

–...Nie potwierdzam, Lot. Ale EECOM się zawahał. „Nie mówi mi wszystkiego, co wie” – pomyślał Donnelly. „Wciąż próbuje się połapać”.

Do cholery, co się tam działo? Wyglądało na to, że misja rozlatuje się na jego oczach.

Donnelly znów wcisnął klawisz łączności z EECOM. Potrzebował więcej danych.

–EECOM, załoga wciąż zgłasza pod napięcie.

–W porządku, Lot. Mam tu drobne przejścia z przyrządami. Daj mi je usunąć. „Przejścia z przyrządami. EECOM widzi pod napięcie, nie ma dwóch zdań – pomyślał Donnelly – ale nie wierzy w to, co donoszą mu przyrządy. Dostaje masę sprzecznych danych i uznał, że to rozległa awaria telemetrii. Chce się upewnić, zanim złoży mi raport”.

–Zakładam, EECOM, że wezwałeś wsparcie, żebyśmy mogli więcej się dowiedzieć.

–Mamy je tu.

–Odebrałem.

Teraz włączył się INCO.

–Lot, tu INCO. Antena dalekiego zasięgu przeszła w stan gotowości.

„O czym to, do diabła, świadczy?” – pomyślał Donnelly. – INCO, możesz mi podać, kiedy się to stało? – Gdyby się tego dowiedział, może znalazłoby się przyczynę całego zamieszania...

Zanim INCO zdążył odpowiedzieć, przyszło kolejne zgłoszenie.

–Lot, tu Kierowanie. Mamy zmiany pozycji.

–Jakie znów zmiany pozycji?

–Wygląda na to, że zawory RCS są zamknięte. Powinny być otwarte. „Problemy z sterowaniem” – myślał Donnelly. „Problemy z anteną. Problemy ze zbiornikiem tlenu i ogniwami paliwowymi”.

Nigdy poprzednio nie spotkał się z podobnymi objawami, podczas żadnej symulacji. Ale z drugiej strony nawet po dwunastu latach lotów Apollo-Saturn wciąż był układem eksperymentalnym. Nowe typy samolotów przechodziły więcej lotów próbnych niż wszelkie statki kosmiczne razem wzięte, zanim uznano je za gotowe do użytku. Z czym zatem miał do czynienia? To mogły być problemy z przyrządami, zniekształcenia odczytu, jak chyba podejrzewał EECOM. A mógł to też być wybuch modułu usługowego, obracający całą raketę bokiem. Lub mogło wybuchnąć coś innego i zniszczyć moduł usługowy.

INCO podał czas wydarzeń. Jego kłopoty z anteną rozpoczęły się kilka sekund po odpaleniu NERVA.

Pierwszy raz od kilkudziesięciu sekund Donnelly zerknął na wykres trajektorii.

Statek

kosmiczny wyraźnie zboczył z wyznaczonego toru, którym powinien lecieć, gdyby

NERVA

pracował bez zakłóceń.

Wyglądało na to, że S-NB się wyłączył.

–Kierowanie, chcesz potwierdzić zboczenie z kursu? – Potwierdzam, Lot. – Kierowanie również miał wiele problemów do rozwiązania jednocześnie, jako że statek zszedł z trajektorii i zmienił założoną pozycję. – Silnik, masz coś do zgłoszenia?

Mike Conlig nie odpowiedział. Donnelly widział, jak siedzi zgarbiony nad konsolą.

–Silnik?

–Załoga zgłasza woń ozonu – powiedziała York.

–

–Lot, tu lekarz. Mam przeciwwskazania. – Opiekę medyczną nad lotem sprawował lekarz z Oklahomy o gęstych jasnych włosach, siedzący rząd przed Donnellym, z chłopakami od układów, po lewej stronie przy Natalie York. Nosił znaczek z napisem:

WPIEPRZYĆ

IRANOWI. Mówił z napięciem, z naciskiem.

Donnelly przełączył się na zamknięty obwód.

–Jedź, lekarz.

–Lot, są oznaki skażenia radioaktywnego w kabinie statku. I zmiany w zasadniczych organach wewnętrznych załogi.

Donnelly zastanowił się nad krótkim raportem York. „Poczuli ozon” – myślał. „Tlen zjonizowany w wyniku skażenia radioaktywnego. Skażenia wywołanego przez NERVA.

Jezu

Chryste Wszechmogący”.

W takim razie problem był autentyczny. To nie żadne zniekształcenia odczytu „A Rosjanie tego roku wystrzelili na pokładzie Sojuza cholernego Wietnamca” – myślał

dalej. „Prasa nas ukrzyżuje”.

Z powodu dwóch równoczesnych misji Bert Seger nie postawił nogi w biurze przez trzy dni i teraz starał się wykorzystać czas na przejrzanie poczty. Zdążył poświęcić jej zaledwie kilka minut, kiedy dostał wezwanie przez linię interkomu łączącą z kierownictwem w budynku numer 2.

Pojawiły się jakieś kłopoty z Apollo-N i Seger był natychmiast potrzebny w MOCR. Z gniewem złożył pocztę. Ten NERVA! Nie skończyło się jedno cholerstwo, a zaraz wyskakiwało drugie.

Igła poziomemu napięcia szyny głównej A opadła poniżej skali. Zapaliło się więcej światełek ostrzegawczych.

Dana sprawdził ogniwo paliwowe numer jeden modułu usługowego, zasilające szynę A. Było nieczynne. Męcząc się, bo gruba rękawica nie ułatwiała manipulowania, zaczął przełączać układy modułu dowodzenia z szyny A na B. Pojawiło się kolejne czerwone światelko. Szyna B również wskazywała spadek napięcia. Sprawdził ogniwo paliwowe numer 3, zasilające szynę B. Ono też było nieczynne.

Jezu – pomyślał – straciliśmy moduł usługowy. To samo, co było z Apollem 13”.

Zgłosił raport, siląc się na spokojny ton głosu. Mary słuchała i pewnie dzieci. W porządku, Houston, próbowałem zresetować i ogniwa paliwowe numer jeden i trzy pokazują szare flagi. Napięcie zero.

–Odebrałam, Apollo-N. EECOM też.

Ziemia, piękna i nieporuszona, przesunęła się za iluminatorami. Po tamtym tajemniczym łomocie statek kosmiczny i silnik musiały wpaść w ruch wirowy. Dana wiedział, że kontrolne układy pozycji powinny wstrzymać to powolne obracanie się wokół osi, ale nie nastąpiła żadna korekta. – Chuck, myślę, że musiał się RSC modułu usługowego. – Odebrałem – powiedział Jones. – Houston, ani człon usługowy, ani S-NB nie dokonały automatycznej korekty lotu.

Jeśli moduł usługowy faktycznie wybuchł, był to koniec misji. Ale załoga przebywająca na niskiej orbicie okołoziemskiej wciąż mogła wrócić do domu. Podczas gdy statek kosmiczny wirował wokół swojej osi, chmura migotliwych lodowych kryształków minęła okno po prawej stronie Dany i znikła. Musiała ulecieć z rakiety. To był piękny widok; mieniła się na tle rozjaśnionej tarczy Ziemi. Zapłonęły kolejne światelka alarmowe; problemy mnożyły się i rozszerzały. Lekarz nieustannie mówił przez zamkniętą linię łączności, podając Donnelly’emu dane o skażeniu radioaktywnym.

–Lot, chcę przerzucić zasilanie akumulatorowe na szyny A i B, póki jakimś cudem

nie zlikwidujemy tych anomalii – powiedział EECOM. – Potwierdzamy spadki napięcia. Donnelly usiłował nie słuchać lekarza i przeanalizować sugestię EECOM. Wykorzystanie akumulatorów do kierowania modułem dowodzenia było rozwiązaniem zdroworozsądkowym, ale tylko na krótką metę. Akumulatory musiały być pełne, jeśli się myślało poważnie o ściągnięciu załogi.

–Może ograniczyć się do jednej szyny, co?

–Zaczekaj, Lot. – Po tych słowach EECOM pewnie porozumiał się ze swoim zespołem ekspertów na zapleczu.

Z wielu uwag, chociażby raportu załóg, wynikało, że NERVA w istocie wyłączył się sam po zaledwie kilku sekundach planowej pracy. – Silnik, masz mi coś do przekazania? Conlig nie odpowiedział. Jakby skamieniał. – Stan zdrowia załogi niebawem ulegnie znacznemu pogorszeniu – powiedział lekarz. – Chociaż pewnie jeszcze o tym nie wiedzą. Tak naprawdę, Lot, nie oczekuj, że będą funkcjonować normalnie dłużej niż kilka minut.

Odezwał się Kierowanie.

–Pozycja ptaszka ciągle się zmienia. Muszą to zatrzymać. Grozi blokada zawieszenia kardanowego.

–Słyszę cię, Kierowanie.

Blokada zawieszenia kardanowego oznaczała, że wirowanie statku przekracza tolerancję inercyjnego układu kierowania. Należało znów zresetować platformę po pomiarze sekstansem. Jeśli Donnelly byłby zmuszony do przeprowadzenia akcji ratunkowej i ściągnięcia załogi, potrzebował bieżącej kontroli położenia statku. Jednak nie wiedzieć czemu czuł, że utrata tej kontroli i nawet blokada zawieszenia kardanowego to najmniejsze z jego kłopotów.

–Houston, tu Apollo-N. – To był Jim Dana. Natalie York słyszała, że Jim przemawia

wysokim, łamiącym się głosem, ale chyba nie stracił nad sobą panowania. –

Widzimy jakiś

gaz ulatniający się z rakiety.

York dostała gęziej skórki.

–Odebrałam, Apollo-N – powiedziała. – Możesz mi powiedzieć, czy ulatuje ze

zbiornika S-NB czy z modułu usługowego?

–Nie potrafimy ustalić. Pewnie z obu miejsc.

Śledziła pełne napięcia rozmowy kontrolerów. Ciągłe opierali się na założeniu, że rozliczne anomalie to tylko usterka przyrządów lub wadliwe odczyty urządzeń telemetrycznych.

Lecz jeśli ze statku ulatniał się gaz, tamte wytłumaczenia odpadały. To po prostu nie mogły być tylko niesprawne przyrządy czy spięcie w przewodach elektrycznych. A poza tym zauważyła, że siedzący obok niej lekarz przeszedł na obwód zamknięty. Coś, jakieś gwałtowne i niszczycielskie zdarzenie, spotkało Apol-lo-N tam w górze, na niskiej orbicie Ziemi i statek kosmiczny ze stosem atomowym na ogonie był uszkodzony.

Zerknęła na Mike'a. Wciąż siedział zgarbiony nad konsolą i szeptał do mikrofonu słuchawkowego. „Czemu nie odezwie się do Lotu?” – zastanowiła się w myślach. Zdała sobie sprawę, że sama zaciska dłoń na cienkiej metalowej ramie konsoli.

Robiła

to tak kurczowo, że aż ręka ją rozbolała.

W gardle jej wyschło i chcąc się odezwać, musiała wpierw z trudem przełknąć ślinę.

„Ben jest tam, w górze” – pomyślała. „Do diabła, co się dzieje?”. Gregory Dana widział z galerii, jak ikona statku kosmicznego oddala się od zaprogramowanej trajektorii na wielkiej mapie nakresowej. Po nerwowej wymianie zdań kontrolerów zdał sobie sprawę, że jakaś katastrofa dotknęła statek Jima. Galeria stopniowo się wypełniała – podobnie jak sama MOCR – kiedy wolny personel wpadał z pośpiechem, reagując na rosnący kryzys. Obok Dany przystanął jeden z astronautów, Ralph Gershon, którego widywał kilkakrotnie przy okazji spotkań z Jimem.

Gershon rzucił wzrokiem na gorączkową krzątanicę w MOCR i parsknął z pogardą.

–Jezu. Ależ oni się kotłują. Zawsze to samo. „Co się stało?! Jak stoimy?! Co z

tym

poczniemy?!” Ospale debile. A tymczasem ptaszek dryfuje tam po niebie z

połamany

skrzydłami.

„Z połamany skrzydłami”.

To oznaczało, że powstały problemy z silnikiem atomowym, które natychmiast zaczęły się spiętrzać.

„Muszą odsunąć załogę od tego draństwa” – pomyślał Dana. Nie rozumiał, czemu jeszcze tego nie zrobiono.

Rozejrzył się wkoło. Nie wiedział, czy telewizja publiczna przekazuje wydarzenia w sali. A co, jeśli Mary, Jake i Maria oglądają to w domu? Co na to Sylvia? Gregory Dana zaczął bezgłośnie poruszać ustami. Modlił się.

„NERVA wybuchł” – pomyślał Jim Dana. „To musi być to”.

Leżąc na fotelu, wręcz czuł, jak radioaktywne cząsteczki drażnią jego ciało.

Bezgłośny wiatr znajdował sobie drogę do szpiku kości. Twarz i tors płonęły. Czuł żar i ucisk w skroniach, pieczenie powiek, jakby zlano je kwasem. Z każdym oddechem wciągał w płuca radionuklidy.

Gardło go rozboleło i zaczął kaszleć.

Środa, 3 grudnia 1980 roku Klub

Międzynarodowy w Waszyngtonie

Grupa dyrektorska czekała na zaproszenie na kolację w Klubie Międzynarodowym przy 19. Ulicy. Był obecny wiceprezydent elekt Bush, a także członkowie Senatu i Izby Reprezentantów, zajmujący kluczowe pozycje w komisjach Kosmosu i Kredytów Budżetowych; na razie wszyscy stali w grupkach, z napitkami w rękach. Fred Michaels, z pozoru zajęty rozmową i nawiązywaniem kontaktów, przebiegał w myślach wydarzenia dnia.

Pomysł zorganizowania grupy dyrektorskiej Michaels odziedziczył po swoich poprzednikach w NASA. Należeli do niej czołowi przedstawiciele programu kosmicznego:

Michaels i kierownicy NASA, członkowie zarządów najważniejszych dostawców:

Rockwella,

Grummana, Boeinga, McDonnella Douglasa i IBM. Był to elitarny klub i Michaels

dbał o to,

żeby spotkał się cztery, pięć razy w roku.

Dzisiejszy dzień uznał za udany. Obrady poszły dobrze i przemówienie kończące Busha napawało otuchą. Poprzednio Michaels martwił się utratą odchodzącego wiceprezydenta, Teda Kennedy'ego, który wraz ze swoim bratem zawsze popierał program kosmiczny. Ale dzisiaj odniósł wrażenie, że jeśli nawet Bush nie jest zdeklarowanym orędownikiem NASA, to przynajmniej można go nazwać sprzymierzeńcem Agencji. Tak, to był dobry dzień. Ale Michaels był spięty i czuł nieustanne burczenie w swoim wielkim brzuchu. Nie potrafił się rozluźnić, jak zawsze w trakcie trwania lotu. Wiedział, że każda z możliwych stu tysięcy awarii jest w stanie zakończyć misję, odebrać życie załodze i prawdopodobnie załatwić na dobre cały Program Mars – nie mówiąc o karierze zawodowej jego, Michaelsa. Do diabła, jak w tych warunkach można było w ogóle mówić o luzie? A tego wieczoru nie jedna, ale dwie amerykańskie załogi przebywały poza warstwą atmosfery; jedna okrążając Ziemię z atomem na tyłku, a druga oblatując Księżyc z Rosjanami. Co za sytuacja.

Niemniej jednak chyba S-NB funkcjonował na tyle sprawnie, iż Hans Udet – najwyższy stanowiskiem z Niemców Marshalla w tym przedsięwzięciu – uznał, że może pozwolić sobie na spędzenie tego wieczoru z dyrektorami. Michaels obserwował go, kiedy promieniował całą tą pruską charyzmą i wdziękiem, a

kongresmani rozlicznej maści jedli mu z ręki. „Udet jest pewny siebie” – powiedział sobie w duchu. „Do diabła, czemu ja mam się przejmować?”.

Wtedy właśnie zaczęły się telefony. Potem Michaels nie mógł sobie przypomnieć, kto pierwszy się dowiedział.

Zauważył, że prezes zarządu Rockwella prowadzi ożywioną wymianę zdań z pracownikiem. Następnie wszyscy dyrektorzy Rockwella wyszli z głównej sali i powrócili po dłuższej chwili, wyraźnie przygnębieni. Zaczęli zbierać resztę swoich ludzi. Michaels widział, jak wieści – których jeszcze nie znał – rozchodzą się po grupie dyrektorskiej niczym zarazki rozczarowania.

Następnie sam został wezwany do telefonu. Dzwonił Tim Josephson, siedzący w kwaterze głównej NASA, kilka przecznic dalej.

–Fred, załoga straciła NERVA. Stan układów wykracza poza normę. I... tak prawdę mówiąc, silnik mógł wybuchnąć.

–Jezu Chryste. A załoga? – warknął Michaels. – Co z załogą, do cholery, Josephson?

Głos wicedyrektora był bezbarwny, suchy.

–Stąd ciężko to powiedzieć, Fred. Dane są niepełne. Powiedziałbym, że możemy utracić załogę.

Kelner wezwał Michaela do kolejnego pilnego telefonu. Dzwonił Bert Seger, z Houston. Piskliwym, urywanym głosem podał więcej szczegółów; wyciek z reaktora NERVA, poważne uszkodzenie modułu usługowego, nieznaną zasięg uszkodzeń modułu dowodzenia...

Michaels przerwał te wyliczanki. Żaden amerykański astronauta do tej pory nie zginął w kosmosie. Żaden dyrektor Agencji nie utracił załogi. – Sprowadź ich do domu, Bert.

Michaels poczuł uścisk na ramieniu. To był Udet. Wysoki Niemiec uśmiechał się, rozgrzany alkoholem. Chciał przedstawić Michaela jakiemuś liczącemu się senatorowi.

Michaels odciągnął Udetę na bok i przedstawił mu najświeższe wiadomości. Uśmiech Udetę znikł. Niemiec zamknął się w sobie, stał sztywny, jakby kij połknął, jego twarz przypominała maskę. Precyzyjnym ruchem odstawił szklanekę na kelnerską tackę.

–Co musimy zrobić?

–Hans, zadzwoń do Białego Domu i powiedz im, co się stało. Powiedz, że skontaktuję się z nimi, kiedy tylko będę mógł. I potem spływasz stąd, do cholery, i wracasz do Marshalla.

Niemiec skinął głową i sztywnym krokiem wyszedł z sali. Michaels odprowadził go wzrokiem.

Wrócił myślą do poprzedniej rozmowy. Głos Segera w telefonie był daleki, słaby, o dziwnie fałszywym tonie; Michaels poczuł ukłucie niepokoju. „Ale przecież facet jest poddany nieprawdopodobnemu ciśnieniu” – pomyślał. „To oczywiste, że musi robić dziwne wrażenie. Byle tylko się nie rozleciał i sprowadził ptaszka na ziemię”. Stan Segera to było zmartwienie na potem.

„Chryste – myślał dalej Michaels – na pewno będę miał paru czubków na sumieniu, zanim skończymy ten cholerny interes”.

Powrócił do gości. Nie ulegało wątpliwości, że wieści zataczały coraz szersze kręgi.

„Do diabła – zaklął w duchu – wystarczy im popatrzeć na moją gębę, żeby się zorientować, co się dzieje”.

Dostrzegł, że jeden z obecnych nawet płacze.

Kelnerzy podawali obiad w sali bankietowej. Nikt nie zwracał na to uwagi. Michaels znalazł Busha i zamienił z nim kilka słów. Następnie poprosił o ciszę i oficjalnie przekazał wiadomości reszcie gości.

Po tym grupa dyrektorska szybko się rozeszła. Wytwórcy, których sprzęt znalazł się w strefie awarii, udali się na lotnisko, żeby lecieć do Houston.

Michaels przeprosił Busha, wyszedł z Klubu i kazał szoferowi zaleźć się do kwatery głównej NASA.

Środa, 3 grudnia 1980 roku

Apollo-N i Ośrodek Kosmiczny

im. Ł.B. Johnsona, Houston

Tej nocy w biurze Wydziału Astronautów było cicho. Przebywał w nim tylko Ralph

Gershon. Jako specjalista od MEM-a nie miał żadnych konkretnych zadań związanych z bieżącymi lotami. Większość pilotów przerabiała procedury trwających misji w symulatorach lub pracowała w fabrykach wytwórców, rozrzuconych po całym kraju. Ale Gershonowi obito się coś o uszy na temat zakłóceń lotu NER-VA. Poszedł do MOCR, ale okazało się, że nic tam po nim. Tylko wchodził innym pod nogi, a jego niepokój potęgował ogólny chaos. Tak więc zostawił jedynie wiadomość, gdzie się znajduje, na wypadek gdyby jednak okazał się potrzebny, i siedział w przypisanym mu pokoju, spokojnie przeglądając pisma przychodzące.

Zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę po pierwszym dzwonku.

–Ralph? Cieszę się, że cię złapałam.

–Natalie? Dalej ciągniesz zmianę?

–No. Rolf Donnelly prosił, żebym do ciebie zadzwoniła. I...

–Tak...?

–Jesteśmy zdania, że możemy stracić załogę.

Gershon słyszał krzyki dobiegające z MOCR, głosy pełne napięcia. York chciała, żeby Gershon powysyłał astronautów i ich żony do domów członków załogi.

Gershon zgodził się natychmiast i York się rozłączyła. Należało do tradycji sięgającej czasów Programu Merkury, że już jeśli ktoś miał dostarczyć złe wieści, to posłańcem winien być astro-nauta lub jego żona – osoba przyzwyczajona do ryzyka, napięcia i rozumiejąca uczucia kogoś, kto tracił męża, ojca czy syna.

Gershon wyjął notatnik z telefonami. Zaczął od znajomych załogi.

To była najcięższa misja w jego życiu. Podniósł słuchawkę.

„Ulatujący gaz”.

Nikt lepiej niż Donnelly nie rozumiał, co znaczy to zjawisko. – Dobra, Zespół Indygo, tylko niech wszyscy zachowają spokój – powiedział do mikrofonu. – Trzymamy się zasad misji i nie zapominamy o priorytetach. Najpierw rzeczy podstawowe. EECOM twierdzi na razie, że puszka wciąż jest szczelna. – Znaczyło to, że statek wciąż trzyma ciśnienie i załoga ma się gdzie podziać. – Mieliśmy do czynienia z takimi sytuacjami wiele razy w symulatorach... – „Ale nigdy w rzeczywistości, do cholery” – przemknęło mu w myślach. – ...i wiecie, że szczelna puszka to zawsze warunek numer jeden. Tak długo, jak przynajmniej on jest spełniony, mamy czas, żeby zrozumieć, co się naprawdę stało. Zaraz się do tego weźmiemy, ale niech mi nikt nie pogarsza sytuacji, zgadując w ciemno. Teraz, do roboty. To chyba przyniosło jakiś

skutek; atmosfera w MOCR, gdzie do tej pory widziało się rzędy zgarbionych pleców, trochę się rozluźniła. Donnelly pokiwał głową, gratulując sobie w duchu. Być może przeciął wrzód paniki, który właśnie zaczął pęcznieć. Wiedział, że musi pracować systematycznie. Zmierzał do „okrawania”, jak się mówiło w żargonie kontrolerów, ograniczenia opcji. Powinien zachować maksymalną ilość celów misji bez dalszego narażania życia astronautów, zgodnie z zasadą: Jak nie możesz posadzić ich na Księżycu, to niech przynajmniej zrobią tam parę rundek. I nie chciał wykluczać żadnej opcji, jeśli nie musiał tego zrobić, gdyż nie wiedział, co się jeszcze zawali, musiał zachować jak najwięcej otwartych dróg. Na przykład, gdyby się jednak okazało, że problemy dotyczą modułu usługowego, być może dałoby się wykorzystać silnik S-NB do nadania kierunku podczas lotu powrotnego.

Motto brzmiało: Uważaj, inaczej wdepniesz w gówno. Kłopot w tym, że jego możliwości szybko się kurczyły.

Usłyszał w tle, jak Natalie York mówi do załogi:

–Apollo-N, zaprzęgliśmy wszystkich do roboty. Jak tylko będziemy coś wiedzieć, dowiecie się pierwsi.

„Mądra dziewczyna” – pomyślał.

Dziękuję, Houston – odpowiedział Chuck Jones. Jego głos był chrapliwy i słaby. W reakcji na ten głos w MOCR zaległo krótkie, pełne niepokoju milczenie, mimo że na konsoli Donnelly’ego paliło się mnóstwo żółtych światełek, oznaczających stan alarmowy i gotowość.

Rozejrzał się po sali. Każdy z kontrolerów wpatrywał się w swój ekran, grzęznąąc coraz bardziej w problemach z jego działki. Jakby nie miały związku z całością. Nagle Donnelly poczuł ukłucie wątpliwości. „A może zajmuję się tym nie tak jak trzeba?” – zapytał sam siebie. Kontrolerzy w coraz większym stopniu tracili kontakt między sobą i ze statkiem kosmicznym tam, w górze. Część z nich prawdopodobnie nadal przekonywała samych siebie, że to tylko zgaśnięcie silnika i jakieś głupie usterki przyrządów.

„Ale wiemy, że to nieprawda” – pomyślał Donnelly. „Załoga słyszała łomot. I widziała ulatniający się gaz”.

Musiał znów przemówić do swoich ludzi, podtrzymać w nich ducha odpowiedzialności za zespół.

–Dobra – powiedział. – Niech wszyscy się zgłoszą. Retro*[retro fire, kontroler manewrów hamowania.], Kierowanie, Napęd, GNC*[Przyp tłum guidance, navigation, control, kontroler naprowadzania, nawigacji, sterowania.], EECOM, INCO, FAO.

Zapalcie

żółte.

Światelka na konsoli lotu jedno po drugim zmieniły barwy z zielonego – czyli biernego odsłuchu – na bursztynowe. Poza światelkiem Silnika. – Do cholery – warknął Donnelly. – Silnik, tu Lot. Zapal żółte. – Usłyszałem – powiedział szybko Mike Conlig. Zapaliło się ostatnie bursztynowe światło.

–W porządku, wiara, powiedzcie mi, na czym stoimy. Co, według was, jest najpilniejsze? Kto chce zacząć?

–Lot, tu Kierowanie. Ten dryf pozycyjny...

–Odebrałem. Kontroler łącznikowy, proszę poinformować załogę, że muszą przeprowadzić manewr, który zlikwiduje groźbę blokady żyroskopu. – Usłyszałam – powiedział York.

Bert Seger zbliżył się szybkim krokiem wzdłuż rzędu kierowników lotu, napięty, skoncentrowany, zdradzając każdym gestem nerwową energię. Zatrzymał się przy Donnellym.

Podłączył się do konsoli i słuchał tego, co mają do powiedzenia kontrolerzy. – Lot. – To był EECOM. – Myślę, że najlepsze, co możemy zrobić, to natychmiast obniżyć pobór mocy. Może da się sprawdzić telemetrię i potem podnieść pobór. Wedle Donnelly’ego był to cholernie optymistyczny pogląd. – Zaczekajcie z tym, EECOM. – Sam jak na razie chciał, żeby układy modułu dowodzenia dostały pełny zastrzyk mocy, co umożliwiłoby mu szybkie sprowadzenie załogi na Ziemię. – Dobra, kto następny?

Ten dupek odpowiedzialny za silnik, Mike Conlig, wciąż nie odzywał się słowem.

–To NERVA – powiedział mu do ucha Seger.

–Tak. Ja...

–Pieprzony atom wybuchł. I chyba rozerwał przy okazji moduł usługowy. To oczywiste nawet dla mnie. Rolf, za bardzo się grzebiesz. Musisz oddzielić ich od tego interesu

i sprowadzić do domu.

–Ale...

–Zrób to, Rolf, inaczej odsunę cię od konsoli szefa lotu. Donnelly przymknął oczy na jedną, jedyną sekundę. „Jezu – pomyślał – to koniec mojej kariery”. – Kontroler łącznikowy, proszę, przekaż załodze nowe instrukcje. Apollo-N nadal kiwał się we wszystkich kierunkach. Metal jęczał i Priest odbierał ruchy statku, jakby ktoś ścisnął jego brzuch w imadle.

–Musimy odrzucić NERVA – powiedział Chuck Jones. Nie mówił, rzeził. – Obroty tej

prędkości nas wykończą. Zrób to, Jim.

Dana nie zareagował.

Priest spojrzął w lewo.

Jim Dana chyba stracił świadomość. Pęcherze pokrywały całą twarz pod hełmem; kawałki skóry zwisały luźno, unosząc się w powietrzu. Chyba wymiotował; bańki rzadkiego brązowego płynu przylgnęły do osłony hełmu.

Priest sięgnął do konsoli stanowiska Dany. Oddzielenia Apollo-N od modułu napędowego, S-NB, było rutynowym manewrem, czymś, co każdy z nich mógł wykonać.

Ale

Priest miał w głowie chaos i konsola rozplywała mu się przed oczami. Nie wyczuwał przełączników przez rękawicę. Męczył się, próbując ją zdjąć, ale ciasno opinała mu rękę. W końcu ją zsunął i uniosła się swobodnie w powietrzu. Zdumiony spoglądał na nagą dłoń. Skóra przybrała jednolity kolor ciemnego brązu.

„Radioaktywna opalenizna” – pomyślał. „Jest się czym pochwalić”.

Nacisnął przełączniki.

Rozległy się ostre łomoty, moduł dowodzenia zadygotał. – Houston, przeprowadziliśmy rozdzielanie – zgłosił Jones. Ziemia przesuwiała się szybciej za iluminatorami, kiedy uwolniony Apollo-N wirując, odsunął się od S-NB. Po rozdzielaniu prędkość wirowania jakby zmalała; Priest pomyślał, że to może gaz ułatwiający się z S-NB w jakiejś mierze wzmacniał obroty statku. Jones operował silniczkami RSC modułu usługowego. Próbował zahamować nieustające i niepożądane wirowanie.

–Figa z makiem – powiedział. – Wciąż nic, Houston. W ogóle nie panujemy nad pozycją.

–Odebrałam, Apollo-N – powiedziała Natalie York. – Pracujemy nad tym.

Uważajcie na blokadę żyroskopu.

Na oczach Priesta ostrzegawczy czerwony krążek wsunął się w okienko żyroskopu, ostrzegając przed bliską blokadą.

–No, do diabła – zaklął Jones – nie wydaje mi się, żebym mógł temu zaradzić, Natalie.

Odrzucony atomowy silnik pojawił się w polu widzenia Priesta. Wąski czarno-biały cylinder wydawał się niemal piękny, gdy oddalał się od Apolla-N, ostro widoczny na tle lśniącej tarczy Ziemi, odbijając promienie słońca. Ale Priest dostrzegł, że płaszcz ciśnieniowy otaczający rdzeń stracił panel u podstawy zbiornika wodoru. Pokazała się plątanina rur i mylarowa izolacja. Sam zbiornik był rozerwany i nadal ułatwiała się z niego cienka struga gazu.

Priest zastanawiał się mgliście, czy powinien sfilmować moduł napędu kamerą telewizyjną.

Jones zaczął opisywać Houston wygląd S-NB.

–Brakuje całej strony tego cholerstwa. Widzę zwisające przewody, a zbiornik wodoru został całkiem rozszarpany u podstawy. Prawdziwa jatka... W miarę jak S-NB obracał się wokół swojej osi, Priest mógł obejrzeć całą podstawę zbiornika, aż do samego reaktora. Był tam punkt światła, rozżarzony do białości. „To ten cholerny rdzeń” – pomyślał astronauta. „Reaktor wybuchł i obnażył jądro”. Nie było śladu osłony biologicznej. Musiała zostać oderwana. Być może to właśnie były te rozżarzone do czerwoności kawałki, sypiące się gradem obok iluminatorów modułu dowodzenia.

Kiedy wpatrywał się we wrak, czuł wręcz gorąco na twarzy; gorąco promieniujące z rdzenia, jak z małego, uwięzionego słońca.

Spojrzał na wskaźnik radiacji umieszczony na jego DSKY. Rdzeń pluł teraz trzydziestoma tysiącami rentgenów na godzinę, niesłychanym deszczem promieniowania gamma i neutronowego.

Trzydzieści tysięcy. Niewiarygodna liczba. Wedle zasad bezpieczeństwa misji, granicą była jedna tysięczna rentgena na dzień. – Zdaje mi się, że spotkał nas nie lada przywilej – powiedział Priest. – Nikt w historii ludzkości nie znalazł się tak blisko odsłoniętego reaktora atomowego. Ofiary w Hiroszimie zginęły od gorąca i fali uderzeniowej, nie od skażenia radioaktywnego. Jones zaśmiał się chrapliwie i przymknął oczy.

–Program kosmiczny ustanawia kolejny rekord. O, dzięki ci, Panie.

Środa, 3 grudnia 1980 roku Timber

Cove, El Lago, Houston

Gregory Dana musiał się przedzierać, żeby wyjechać z JSC. Dziesiątki reporterów telewizyjnych, radiowych i prasowych zjawily się przed wartownią, żądając przepustek i dostępu na konferencję prasową, którą, jak można było się spodziewać, planowała NASA.

Parking naprzeciwko budynku numer 2, Biura Prasowego Agencji, był jednym z najbardziej ożywionych.

Nastał zupełny zmrok, zanim Dana pojawił się przed wiejskim domem przy Lazywood Lane.

Jim i Mary mieszkali w pięknym otoczeniu. Timber Cove było osiedlem domków jednorodzinnych, które urosło w latach sześćdziesiątych kilka mil od JSC. Przy czystych, wręcz pedantycznie uporządkowanych ulicach stały wiejskie domy skąpane w zieleni, jak powiększone drewniane zabawki, każdy w indywidualnym stylu, na kamiennej podmurówce.

Trawa rosła gęsta i chłodna, natomiast strzyżone sosny na trawnikach były koloru ciemnej zieleni, prawie czarne w świetle niskich latarni. W okolicy mieszkało pełno ludzi związanych z NASA. Jim lubił się przechwalać, że kiedyś jego sąsiadem był nie kto inny, a sam Jim Lovell z rodziną. Tu Dana przyjeżdżał za lepszych dni pograć w baseball z Jakiem i robić papierowe samoloty dla Mary, a także rozmawiać i wyklócać się w sprawach polityki i budowy statków kosmicznych ze swoim synem...

Przez kilka minut Dana siedział w samochodzie. Czuł, jak siły go opuszczają.

Opuścił

szybę, żeby chłodne powietrze owiało mu twarz.

Słyszał wodę chlupoczącą za domem, brzęk łańcucha, którym Jim cumował swoją płaskodenną łódkę.

Zdjął szkła i przetarł je wymiętym krawatem.

Później, nocą, Gregory zamierzał polecieć do Wirginii, żeby towarzyszyć Sylvii i przywieźć ją do synowej. Rozmawiał z nią kilkakrotnie przez telefon – ludzie z kontroli misji udostępnili mu linię – i wydawała się całkiem spokojna. Ale nie potrafił sobie wyobrazić, jak Sylvia zareaguje na dalszy rozwój wypadków.

„No, a jak ja reaguję?” – spytał siebie w duchu. „Czy w ogóle coś rozumiem? Mój syn, mój jedyny syn, jest teraz na orbicie Ziemi – być może bez żadnej szansy powrotu – i jego biedne, kruche ciało jest napromieniowane po tej piekielnej katastrofie rakiety atomowej Marshalla”.

Pomyślał, że to sytuacja, z którą ludzkie serce nie jest w stanie sobie poradzić. Po prostu nie zaprogramowano go na taką okoliczność. I pod warstwą rozpaczony czuł tępy, bolesny płomień gniewu, bo nic z tego nie musiało się wydarzyć – budowanie rakiety atomowej nie było wcale konieczne, żeby się dostać na Marsa.

Załżył z powrotem okulary, otworzył drzwi samochodu i wysiadł z niego.

Na frontowych drzwiach domu syna wisiał bożonarodzeniowy wieniec.

Był tak zdeprimowany, że przejście ścieżką sprawiało mu fizyczną trudność.

Spoglądał na swoje nogi, na brązowe trzewiki, kiedy unosiły się i opuszczały na żwirze, jakby

należały do jakiegoś robota.

Dotarł do drzwi.

Był tak wyczerpany, jakby wspinał się na ostrą górę. „To nie będzie takie straszne” – powtarzał sobie gorączkowo. „Wystarczy, że tylko zadzwonisz; nie musisz robić nic więcej”.

Seeger powiedział mu, że ktoś z Wydziału Astronautów zjawi się wcześniej.

„Przynajmniej więc nie będziesz musiał przekazywać złych wieści” – pomyślał.

Poza tym Walter Cronkite pewnie już wygłaszał ponure przepowiednie w CBS. „Nawet nie będziesz musiał o niczym zawiadamiać” – myślał dalej. „Więc tylko naciśnij dzwonek, do cholery”.

Ręce zwisały mu po bokach, ciężkie, słabe, bezużyteczne.

Środa, 3 grudnia 1980 roku

Apollo-N i Ośrodek Kosmiczny im. L. B. Johnsona, Houston

–Apollo-N, tu Houston. Zaraz sprowadzimy was do domu. Tylko się nie denerwujcie, ściągniemy was na dół. Obecnie układy modułu dowodzenia wyglądają dobrze.

Przydałoby

się, żebyście wyjęli apteczkę...

Głos Natalie pozostawał spokojny, opanowany i chociaż Priest czuł rosnący ból w piersiach i oczach, przepłynęła przezeń fala dumy. „Brawo, żółtodziobie” – pomyślał.

–Zdaje mi się, że musimy dać sobie z tym spokój – powiedział. – Wątpię, żeby ktoś

z nas mógł dosięgnąć apteczki, Natalie.

–To trzymajcie się, Apollo-N.

–Hej, wylupiaste ślepie – powiedział do Priesta Jones. – Mam w kieszeni odznakę Jima.

–Jaką odznakę?

**- Jego odznakę lotu. Złotą. Już nie
jest żółtodziobem. Chciałem**

–
mu jadać po odpaleniu. Wyciągnij rękę, co? Pewnie chciałby ją sobie obejrzeć.

Może później, Chuck. Myślę, że on śpi.

Jasne. Może później.

Wsluchujący się we wrzawę na liniach łączności wewnętrznej Donnelly czuł się sparaliżowany, nierzeczywisty, jakby całe tamto promieniowanie przeszło jego ciało.

Powrót zapowiadał się jak jeden wielki chaos. Faceci od układów pośpieszenie klecili improwizowaną listę zadań, której celem było takie skonfigurowanie modułu

dowodzenia, żeby doleciał do domu. Równocześnie faceci od trajektorii usiłovali dojść, dokąd sprowadzić ptaszka; wodowanie musiało być blisko okrętu marynarki wojennej, który mógł przeprowadzić akcję awaryjnego podnoszenia i miał odpowiednie zaplecze medyczne...

Zdał sobie sprawę, że nie odezwał się słowem, nawet na bezpośrednie pytania kontrolerów, od... kiedy? Może od minuty.

„Chryste, co za bałagan” – pomyślał.

Pod koniec zmiany York odwróciła się i poszukała wzrokiem Mike[^], ale jego miejsce przy konsoli zajmował już ktoś inny, jakiś technik od Marshalla, którego nie знаła. Mike wyszedł nie wiadomo kiedy i uświadomiła sobie, że nawet nie zadał sobie trudu, aby jej poszukać.

Zastanowiła się, czy nie spytać, dokąd mógłby pójść, ale nowy kontroler już pogrzył się po uszy w pracy.

Niektórzy pracownicy schodzący ze zmiany wybierali się do Śpiewającego Koła, zajazdu, w którym tradycyjnie odpoczywali. Zaprosili York, ale odmówiła. Po wyjściu szybko pojechała do Portofino. Nie zastała tam Mike'a. Krążyła po mieszkaniu, nie mogąc znaleźć sobie miejsca; czuła się osaczona przez garstkę rzeczy, która do niej należała, a zdjęcia Marsa na ścianie działały na nią przygnębiająco.

Wzięła kąpiel i położyła się na podwójnym łóżku, usiłując zasnąć. Było po jedenastej w nocy. Ale sen nie nadchodził; wydawało się jej, że czuje ucisk słuchawek na głowie, widzi cyfry płonące na ekranie tuż przed nią, słyszy głosy dobiegające z zamkniętych linii łączności. Spróbowała obejrzeć telewizję; oczywiście, każdy kanał był pełen informacji o Apollo-N, ale brakowało w nich treści.

„Ben tam jest”. – Tylko ta myśl krążyła jej po głowie.

Mike nadal się nie pokazywał.

Ubrała się, wzięła torebkę i pojechała do Śpiewającego Koła. Część kontrolerów z Zespołu Indygo nadal tam tkwiła. Koło stanowiło zwykle miejsce wesołych, hałaśliwych rozmów; był to bar z czerwonej cegły, zapchany podejrzanymi antykami i ludzie z kontroli misji wpadali tam odprężyć się po symulacjach albo uczcić milowe kroki kosmonautyki, na przykład wodowania. Ale tej nocy nikt nie rozrabiał. Ludzie siedzieli wokół zestawionych stolików, pijąc i cicho rozmawiając. York wiedziała, że pod tym względem kontrolerzy mają wiele wspólnego z oblatywaczami, kiedy tracili jednego ze swoich; siedzieli, rozmawiali o tym, jak i dlaczego doszło do nieszczęścia i się upijali.

Została z nimi do szarego świtu.

Kiedy Donnelly wreszcie zszedł ze stanowiska, sięgnął po dziennik lotu. Sprawdził czas trwania misji na zegarze ściennym, wpisał go do odpowiedniej kolumny i się podpisał.

Ręce mu się trzęsły i stawał koślawo litery.

Przejrzał dziennik. Kilka ostatnich stron było zupełnie nieczytelnych. Czwartek, 4 grudnia 1980 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston Było już po pomocy, kiedy Bert Seger zadzwonił do Fray ze swojego gabinetu.

Poprosił o przywiezienie czystej koszuli i bielizny. Zapisał sobie w myślach, że należy

przygotować dla niej przepustkę: kiedy wieści

o wypadku zaczęły się rozchodzić, JSC i Przylądek zostały zamknięte dla ludzi z zewnątrz.

Spytał o dzieci i nie usłyszał odpowiedzi. Następnie powiedział Fray, że ją kocha.

Odłożył słuchawkę.

Było oczywiste, że przez jakiś czas będzie pracował z Houston a może z Przylądka, kiedy moduł dowodzenia powróci i zostanie odnaleziony. Jeśli powróci. Fred Michaels już mu zapowiedział, że Car-ter zwołał komisję, mającą zbadać wypadek, przed którą NASA złoży pełne wyjaśnienie, za które z kolei w pełni odpowiada Seger. Sam Seger nie oczekiwał innego rozwoju wydarzeń. Zawsze wiedział, że wcześniej czy później jakiś astronauta zginie podczas pełnienia przez niego obowiązków.

Po prostu urządzenia, które budowali, nie były na tyle pewne, żeby zapewnić załogom stuprocentowe bezpieczeństwo. Większa część korpusu astronautów, nawet teraz, składała się z oblatywaczy; wiedzieli lepiej, niż ktokolwiek inny, jakie mają szansę przeżycia, i godzili się z tym. Ale Seger bardziej przejmował się obsługą naziemną. Ludzie na ziemi musieli żyć ze świadomością, że mogli postąpić inaczej. Motto obsługi brzmiało: „Ja nie dam plamy”. Co się działo, kiedy ktoś musiał sobie powiedzieć: „To ja dałem plamę”? Zadzwonił telefon. Tim Josephson chciał porozmawiać o nominacjach do wewnętrznej komisji śledczej NASA, która miała uprzedzić prace komisji prezydenckiej i służyć jej pomocą.

Seger musiał zadać sobie nie lada wysiłek, żeby skupić się na słowach Josephsona.

Uzgodnili tron komisji poza reprezentantem astronautów. – A co powiesz na Natalie York? – zapytał Seger. – Była kontrolerem łącznikowym, kiedy rakieta wybuchła, udowodniła, że potrafi zachować spokój, i myśli analitycznie w warunkach

stresu. Poza tym jest bliskim przyjacielem Priesty. Josephson zgłosił weto do kandydatury.

–York to wciąż żółtodziób. A poza tym jest związana z Mikiem Conligiem. Zapomniałeś o tym? Jak może ocenić sprawę, niewykluczone, że obejmującą wadliwe projekty lub błędne decyzje kierownictwa, w którą zamieszany jest jej chłopak? Rozważali innych kandydatów, bez powodzenia.

Josephson uciął dyskusję.

–Bert, powiem ci, kogo chce Fred. Joe’ego Muldoona.

–Muldoona? Zwariowałeś? Muldoon chlapie, co mu ślina na język przyniesie. – Zgadza się. Straszna z niego papla, ale dzięki temu ma reputację człowieka o niezależnych sądach, co jak raz jest potrzebne. I to lunonauta. Fred przewiduje dla niego dużo wolnego.

–Przecież Muldoon i tak jest teraz niedostępny. Ma lot. – Ale powinien wrócić za tydzień. To dość czasu... Klócili się jakiś czas, ale w końcu Seger ustąpił.

Nie podobało mu się, że ktoś tak prostacki i gadatliwy jak Muldoon będzie uczestniczył w dochodzeniu wymagającym nie tylko delikatności, ale dotyczącym równie

istotnej sprawy. Zapowiadało się, że ten incydent ujawni wiele brudów, szczególnie u

Marshalla, i zadygotał na myśl, jakimi sensacjami Muldoon, bohater astronauta, może karmić prasę.

Będzie musiał trzymać język za zębami.

Kiedy Josephson się rozłączył, była trzecia w nocy. Seger wiedział, że musi się przespać. Na takie okazje trzymał w szafie ściiennej składane łóżko.

Zdjął buty, ukląkł i zabrał się do modlitwy. Ale nie mógł się skupić; wciąż układał w myślach listę rzeczy, które należało zrobić, ustalał priorytety. Co dziwne, teraz, kiedy najgorsze minęło, rozplynęły się wątpliwości, które czuł we wcześniejszej fazie misji – powstałe pod wpływem wrogości manifestantów głoszących hasła antyatomowe. Był przekonany, że poradzi sobie z tym wszystkim. Że NASA sobie poradzi.

Do cholery, to była tylko awaria jakiegoś żelastwa. Awaria, którą mogli naprawić, kiedy się już ujawniła.

NASA przetrwała nie takie problemy; pamiętał, że zaledwie dwa lata po pożarze Apolla 1 Armstrong i Muldoon wylądowali na Księżycu. A po tym, jak Apollo 13 miał wybuch w drodze na Księżyc, nie tylko ściągnęli astronautów z powrotem, ale przeprowadzili następną misję, Apollo 14, która, niech to wszyscy diabli, okazała się najbardziej udana ze wszystkich do tamtej pory!

Pogładził złoty krucyfiks wpięty w klapę marynarki. Czuł się dziwnie lekki, w głowie mu szumiało. Przebrnął przez to; teraz o tym nie wątpił. Z bożą pomocą. Ale modlitwa przychodziła mu ciężko. Nie wiedzieć jakim sposobem czuł, że tej nocy Bóg jest od niego bardzo daleko.

Wreszcie zasnął około czwartej. Ale zerwał się i zaczął telefonować przez siódmą.

Czwartek, 4 grudnia 1980 roku

Apollo-N i Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston

Teraz ból był wszędzie, niewiarygodnie intensywny, komórki umierały w przerażającej męce, która osiągała poziom nie do zniesienia, po czym rosła jeszcze trochę.

Priest miał takie wrażenie, jakby każda miękka część jego ciała, w środku i na powierzchni, była zlane kwasem, jakbygnił do kości.

Nadal miał na sobie skafander kosmiczny i może to dobrze, gdyż ból był jednym rozległym swędzeniem; pewnie rozdrapałby się do żywego mięsa, gdyby mógł się dotknąć.

Od kilku dobrych godzin nie potrafił zahamować wypróżniania, a poza tym wymiotował do

hełmu, co było koszmarem każdego pilota. Z tym że teraz przynajmniej bańki wymiocin

przestały się unosić przed jego twarzą, przyłgnęły do czegoś; może do osłony hełmu, może do

włosów i skóry; tak naprawdę go to nie obchodziło, liczyło się tylko, że nie musiał o tym

myśleć.

Stracił również węch i to też było dobre.

Próbował obrócić głowę w lewo, chciał zobaczyć Chucka i Jima. Ale to mu się nie udało. Zresztą i tak nie odpowiedzieli mu ostatnim razem, kiedy się do nich odezwał. Od dawna wyglądali zadziwiająco spokojnie, zamknięci szczelnie w skafandrach i niewątpliwie sam też tak się prezentował; wszystko – rzygi, gówno i człowieczy ból – zostało starannie ograniczone do wnętrza skafandrów, kabina modułu dowodzenia była antyseptyczna i sprawna, gdyby nie liczyć szeregów jaśniejących światełek alarmowych na panelu kontrolnym.

Poza tym, tak naprawdę to nie chciał odwracać wzroku od swojego iluminatora. Iluminator był strasznie ważny, bo za nim rozciągała się pogrążona w nocy Ziemia.

Widział zorzę polarną; fale barw spadające nad biegunami, wysokie warstwy powietrza lśniące czerwienią i zielenią pod wpływem strumieni plazmy, wiatru słonecznego. I widział błyski, wysoko w atmosferze, a czasem smugi światła, które trwały na jego siatkówce przez długie sekundy – meteory, pyłki pozaziemskiego kurzu spadające w atmosferę...

Priest zwykł siadywać z Peteyem, kiedy ten był mały, wpatrywali się w deszcze meteorów zataczające łuk na nieboskłonie. A teraz patrzył, jak meteory płoną pod nim. „To wyprawa jak wszyscy diabli, Petey” – mówił wtedy. Noc rozjaśniały inne światła.

W sercu Ameryki Południowej dostrzegł wielki, rozchodzący się blask; pożar zjadał drzewa amazońskich lasów deszczowych. A kiedy Apollo-N żeglował nad pustyniami, Priest widział ostro błyszczące szyby naftowe i gazowe, nieruchome gwiazdy w ciemnościach.

Miasta nocą były zdumiewająco jasne. Czasem pokrywa chmur pochłaniała i rozszczepiała ich światło, tak że dostrzegał tylko rozległe niekształtne misy. A jeśli niebo było czyste, każdy szczegół był wyraźny, jakby leciał T-38, muskając dachy domów. Ulice i drogi układały się niczym koronki światła, żółtego i pomarańczowego, wysokie budynki lśniły jak skrzynki brylantów. Zapalone reflektory samochodów układały się w sznury bursztynów w miastach i na autostradach. Czuł to całe ciepłe światło bijące ku niemu z atmosfery...

–Musisz nam pomóc, Ben. Tylko ty mówisz do nas z góry. Więc trzymaj tak dalej.

–Aha.

„Tyle że to boli, Natalie” – dodał w myślach.

–Wiem, że ci ciężko, Ben. Weź się w garść. Pracuj ze mną. Dosięgniesz listę zadań przed włączeniem silnika? Jest na rzepie nad... – Proszę, Natalie, mów mi, co mam robić.

–Tak. Tak, pewnie. Po prostu rób, co powiem. Wszystko będzie świetnie. Dobra.

Uaktywnij przełączniki.

–Przełączniki aktywne.

–Włącz zawory wstępne.

Musiał wyciągnąć daleko rękę; ból rozplynał się wielkimi plamami po plecach i ramionach.

W porządku. Zawory wstępne włączone.

Minuta do odpalenia, Ben. Uzbrój sterownik translacyjny*[Przyp tłum decydujący o ruchu postępowym lub wstecznym].

Priest pociągnął dźwignię, aż pokazał się wyraźny napis: UZBROJONY.

–Uzbrojony.

W porządku, już. Przelew paliwa.

Priest pchnął sterownik translacyjny, Apollo-N zrobił susa przed siebie, słabe kopnięcie silników odrzutowych wymusiło ułożowe przemieszczenie się paliwa do wielkiego silnika modułu usługowego, SPS*[Przyp tłum Service Propulsion System.], przygotowując zejście z orbity.

–Dobrze. Bardzo dobrze, Ben. Trzydzieści sekund – powiedziała York. – Uaktywnić obwody SPS.

Priest odblokował i przekręcił dźwignię o 90 stopni.

–Uaktywnione.

–Powtórz, Ben.

–Uaktywnione.

Niech to diabli, nawet gardło go bolało.

–Piętnaście sekund. Udało ci się, Ben. Teraz się nie ruszaj. „Jasne – pomyślał – a co, jeśli SPS nie odpali? Bóg wie, w jakim stanie jest moduł usługowy po tym cholernym wybuchu NERVA, od eksplozji tracimy moc i telemetrię...”. I musieli założyć, że NERVA nie wyrządził zbytnej szkody układom modułu usługowego – na przykład naprowadzaniu elektronicznemu i komputerom – a podejrzewał, że te wszystkie latające rentgeny nie zrobiły za dobrze mózgowi statku. Spiął się, przygotowując na uderzenie w plecy.

–Dwa, jeden. Odpalenie. Nic.

Zadygotał, obolałe napięte mięśnie rozluźniły się spazmatycznie. – Dobra – powiedziała ze spokojem York. – Bezpośredni przełącznik zmiany prędkości, Ben.

–Bezpośredni przełącznik zmiany prędkości. – Wyciągnął rękę w kierunku przełącznika odpalenia i poruszył nim w górę i w dół, ignorując ból w ramionach. Rozległ się syk, poczuł kolebanie i skok statku. Został wciśnięty w fotel.

Przed nim zapaliło się zielone światelko.

–Silniki hamowania – szepnął.

Parcie na okaleczone plecy rosnęło i marzył o powrocie nieważkości. Ale to było próżne marzenie i leżał pogrążony w bólu, skazany na przetrwanie. – Potwierdzam hamowanie, Ben. – Głos York drżał. – Potwierdzam. My zrobimy resztę. Teraz się nie rozłączaj, proszę.

Ból go pokonał, zamulił głowę.

Ziemia za oknem się odsuwała. Wielki SPS pracował, zmieniając trajektorię statku.

–Żebyście wiedzieli, że ten stary SPS to cholernie fajny silnik, Houston – wyszeptał.

Nawet po tym, jak wybuchł pod nim atom, ten interes nadal pracował, wiernie dźwigając ludzi do domu. To ci dopiero.

Ktoś odezwał się do niego. Może Natalie. Teraz nie rozpoznawał jej głosu przez węgry bólu. Ostatnie zadania prawie zupełnie go wyczerpały. Albo ptaszek zanieś go do domu, albo nie; nie potrafił na to nic poradzić. Za cholerę. Teraz widział przed sobą twarz Natalie; poważną, wychudzoną, trochę za długą z tymi wielkimi, grubymi brwiami zmarszczonymi w skupieniu; przypomniał sobie jej twarz nad sobą, w mroku, tamtej nocy po wylądowaniu Marsa 9. Zupełnie nie potrafił wyobrazić sobie twarzy Karen.

Ale zabałaganił sobie życie – a w każdym razie to, co było jego żywym sercem. Był niedbały i niezdecydowany. Poświęcił wszystko dla kariery, dla tych kilku godzin w przestrzeni kosmicznej.

Zmieni to, kiedy wróci na Ziemię i odzyska zdrowie. „Na Boga, zmienię” – przysięgnął sobie w duchu.

Silnik umilkł z westchnieniem i Priosta spowił łagodny welon nieważkości, kilkuminutowej błogosławionej ulgi.

Wokół rozległ się przytłumiony łoskot. To sworznie wybuchowe u podstawy modułu dowodzenia, odpalone na rozkaz Houston, uwolniły moduł od zniszczonego członu usługowego.

Priest widział oddalający się element rakiety. Zapewne powinien odnaleźć aparat fotograficzny i zrobić temu draństwu zdjęcia. „Akurat” – pomyślał. Nie potrafił nawet zacisnąć dłoni w pięść; za każdym razem, kiedy tego próbował, przeszywał go ból jak eksplozja światła.

Coś unosiło się teraz nad atmosferą Ziemi; było złoto-brązowe i pełne spokoju.

„To

Księżyc” – pomyślał. Wyrósł dokładnie w środku iluminatora. Priest myślnami przeniósł się do Joe’ego Muldoona i jego załogi, przebywających tam, daleko, z Sowietami. Zapewne Muldoon będzie śledził jego wejście w atmosferę. Poczł łagodne szarpnięcie; świeży ból rozlał mu się po ciele. To pracowały silniczki kontroli pozycji modułu dowodzenia; Houston lub komputer pokładowy starali się utrzymać moduł w szerokim na czterdzieści mil korytarzu powrotnym. Warstwa bólu nie zdołała odgrodzić Priesta od rosnącego poczucia bezpieczeństwa. Na ile potrafił to osądzić, nastąpił moment, w którym automaty powinny rozpocząć sekwencję powrotną. Apollo-N wrócił do planu lotu, po raz pierwszy od wybuchu rdzenia NERVA.

–Masz gotowy wstępny zestaw danych, Retro? – spytał Donnelly. Chodziło o dane wprowadzane do komputerów sterujących modułem dowodzenia. – Jeszcze nie, Lot.

Robiło się cholernie późno. „Coś tu nie gra” – pomyślał Donnelly. „Czemu on nie chce mi powiedzieć, co to jest?”.

Poprzednio Rolf Donnelly uważał, że najniebezpieczniejszy moment powrotu nastąpi wtedy, kiedy moduł dowodzenia wbije się głęboko w atmosferę i przeżycie załogi będzie całkowicie zależne od stanu osłony ablacyjnej. Jeśli wybuch ją nadwerężył, statek musi pęknąć i spłonąć jak meteor. Donnelly był w tym względzie całkowicie bezradny;

jedyne co

mu pozostawało, to czekać i mieć nadzieję.

Jak dotychczas moduł dowodzenia ledwo musnął atmosfery, ale Donnelly’ego nagle, nie wiedząc czemu, ogarnął lęk, że zaraz utraci statek. Kontroler Retro był odpowiedzialny w okopie za kął wejścia modułu dowodzenia w atmosferę. Tuż przed oddzieleniem modułu usługowego Retro przekazał Donnelly’emu, że kął natarcia Apollo-N mieści się dokładnie w środku korytarza powrotnego. Wspaniale, to była sytuacja optymalna. Oznaczało to również, że dane przygotowane wcześniej przez Retro nadal trzymają się kupy. Ich zestawienie wskazywało ostateczny wektor, obowiązujący statek kosmiczny w trakcie pokonywania atmosfery.

Ale Retro nie przestawał przesyłać danych komputerom pokładowym modułu dowodzenia. I teraz, na minuty przed tym, jak atmosfera miała zacząć kęsać statek, Retro wyklócał się z FIDO, kontrolerem dynamiki lotu, który przekazywał mu najświeższe przewidywania trajektorii statku.

–Nie wierzę ci, FIDO! – wyrwało się Retro. Donnelly poczuł pieczenie w żołądku.

–Potwierdź, Retro. Zechcesz mi powiedzieć, co się tam dzieje? – Trajektoria ulega spłyceciu, Lot. Dziób skierowany za wysoko o trzy dziesiąte stopnia.

Nadal w korytarzu. Ale to już było paskudne spłycecie. Jeśli postępowaloby dalej, to Retro byłby zmuszony do korekty wprowadzanych danych. – Rozumiesz coś z tego, co się tam dzieje, Retro? – Nic, Lot. – Teraz w jego głosie pojawiło się napięcie i Donnelly widział, że Retro spogląda przez ramię FIDO, siedzącego obok niego, odczytując najświeższe dane. Czy zapowiadało się dalsze spłycecie trajektorii? To zależało od tego, jaka była przyczyna stanu rzeczy. Jeśli, powiedzmy, wyłącznik jednego z silniczków się zaciął i silnik nadal pracował, spłycecie miało się powiększać. Lecz gdyby, na przykład, uszkodzony kadłub przepuszczał paliwo lub chłodziwo, to wyciek nie mógł trwać wiecznie, więc w konsekwencji trajektoria powinna utrzymać się w granicach bezpieczeństwa. Kłopot w tym, że nikt nie widział, co się dzieje. Nikt nie był pewien rozmiarów zniszczeń modułu dowodzenia.

Jeśli Donnelly miałby stracić załogę, wolałby już niedolot, spłonięcie. Gdyby moduł dowodzenia otarł się tylko o atmosferę i pozostał na orbicie, krążąc wokół Ziemi przez lata czy miesiące z trzema radioaktywnymi trupami na pokładzie, trupem stałby się również program kosmiczny.

Donnelly kolejny raz zapytał kontrolerów o zdanie. Żaden z nich nie miał niczego do powiedzenia na temat trajektorii. Poza tym dane telemetryczne przestały być wiarygodne, bo wokół modułu dowodzenia utworzyła się zjonizowana warstwa.

To czysty poker” – pomyślał. „Niech Retro zagrywa. Zmieni te swoje dane, czy nie?”.

Tempo spływania maleje, Lot – odezwał się znów Retro.

Koniecznienie potrzebuję tego wstępnego zestawu danych, Retro.

No. – Kolejny raz Donnelly usłyszał napięcie w głosie Retro. Kontroler był bardzo młodym człowiekiem, a oto zbliżał się do kluczowego momentu w swoim życiu. Decyzja, którą podejmował, miała towarzyszyć mu na zawsze. Donnelly wyszeptał krótką modlitwę; był gotów na wszystko z wyjątkiem jednego – niezdecydowania, paraliżu. Tego, co zafundował mu tamten pieprzony dupek, Conlig.

–Spłycecie w normie. Utrzymuję w mocy wstępny zestaw danych.

–Powtórz, Retro.

–Utrzymuję w mocy wstępny zestaw danych. Nawet w przypadku dalszego spływania uniesiemy się nie wyżej niż o dziesiątą stopnia. Nagle Donnelly zdał sobie sprawę, że od dawna wstrzymuje oddech. Wypuścił go z sapnięciem.

–Odebrałem, Retro.

Za iluminatorem pojawił się opar, łagodny różowy blask, jak podczas wschodu słońca.

Początkowo Priest myślał, że ma to jakiś związek z silnikami. Ale potem zdał sobie sprawę, że to zjonizowany gaz, atomy z górnej warstwy atmosfery ziemskiej, oderwane od reszty po zderzeniu z osłoną ablacyjną Apollo-N.

Poczuł łagodny nacisk na dolną część ciała – subtelny, ale wystarczający, żeby znów rozpaść ból. Chyba krzyknął. Kabina wibrowała. Atmosfera Ziemi stawiała opór modułowi dowodzenia i Apollo-N zaczął ostro zwalniać.

Nagle nacisk wzrósł w błyskawicznym tempie, wbijając go w fotel. Czuł, jak skóra mnie się i pęka pod skafandrem. Miał wrażenie, że się rozplywa, że jego ciało rozstępuje się jak gnijący owoc.

Zimne białe światło zalało iluminator; mgła pochłonęła światła przyrządów. Ostatnie chwile przed zanikiem łączności wydawały się niemal rutynowe. Tak jakby była to kolejna misja, przebiegająca dokładnie według planu, a nie najniebezpieczniejszy i najbardziej niepewny powrót statku kosmicznego od czasów Apolla 13. Ciszę przerywały tylko od czasu do czasu świeże dane dotyczące trajektorii i pozycji modułu dowodzenia, meldunki sił ratunkowych, zgłaszających swoje położenie, i spokojny głos kontrolera łącznikowego, kiedy York starała się porozumieć z załogą. „Nigdy nie wiadomo” – pomyślał Donnelly.

Nagle dane telemetryczne z Apollo-N się urwały.

W MOCR zapadła cisza. Pozostawało jedynie czekać. Było możliwe, że ewentualne pęknięcia osłony ablacyjnej zalepią się same w żarze atmosfery. To było możliwe. Ale była to też kolejna niewiadoma. Z drugiej strony, zniszczona osłona mogła zawieść. Wtedy statek byłby skazany na zagładę. Skąpany w bólu Priest leżał na plecach, potrząsany, wciśnięty w fotel, podczas gdy cała kabina grzechotała, a za jego plecami wyskakiwał ogień z podstawy modułu dowodzenia.

Rozprażone kawałki osłony ablacyjnej, sypiące się za iluminatorem, były wielkie jak cholera. Może coś zepsuło się na amen. Może osłona przestała działać. „Jeśli naprawdę jesteśmy w atmosferze – pomyślał – jeśli to nie halucynacja;

jeśli nie

jestem już martwy”.

Tak czy siak, był bezradny jak dziecko.

Ben Priest spadał na Ziemię dupą do przodu, czekając na ciepło słońca, żeby przebiło się przez podstawę Apollo-N i go pochłonęło. Czekał na nie jak na zbawienie. – Sieć, do tej pory żadnego kontaktu z samolotami przyrządowymi?

–Na razie nie, Lot.

Minęły cztery minuty. Minęło pięć. Tyle wystarczało, żeby odzyskać łączność.

Zamknięte obwody łączności emitowały tylko szum wyładowań...

ARIA 4 namierzyła sygnał, Lot.

Odebrałem – powiedział Donnelly. Własny głos zabrzmiał mu obco w uszach. W MOCR zapanowało nieśmiałe poruszenie, ludzie prostowali zmęczone plecy, uśmiechali się niepewnie, ze znużeniem.

Opanowało ich dziwne uczucie, jakby połowiczna ulga. Namiar sygnału nie oznaczał, że załoga przeżyła – i nadal było możliwe, że elektronika układu spadochronowego jest w proszku – ale przynajmniej moduł dowodzenia nie zgorzał na węgielek. Donnelly słyszał, jak York wzywa załogę, raz za razem, cierpliwie z łkaniem w głosie.

Blask zelżał, przechodząc w zwykły błękit nieba i grawitometr był blisko jedyńki.

Priest spadał do oceanu z prędkością tysiąca stóp na sekundę. Poszczególne elementy sekwencji wodowania następowały jeden za drugim, odbierane wyostrzonymi, napiętymi do granic możliwości zmysłami.

Rozległ się ostry trzask; to z czubka stożkowego modułu dowodzenia wystrzelił spadochron. Kolejny trzask. Uwolnione zostały trzy spado-chroniki hamujące. Za iluminatorem rozwinęły się jasne wstęgi materiału. Odczuł uderzenie w plecy. Spadochrony hamujące złapały powietrze, stabilizując upadek modułu dowodzenia.

Rozległ się głośny syk. Zapewne otworzyły się przewody wentylacyjne, wyrównując ciśnienie kabiny z ciśnieniem zewnętrznym. Teraz w każdej sekundzie... Już! Kolejny huk. To musiały być spadochrony główne, trzy osiem-dziesięciostopowce, które łagodnie posadzą Apollo-N na oceanie. Spadochrony główne wypełniły się powietrzem i szarpnęły kabiną. Priest zatrząsał się w fotelu i ból wyszedł poza skalę.

Przez iluminator widział płytę niebieskiego nieba, strzępy chmur.

W głowie usłyszał suchy, przyjacielski, pewny siebie głos. – Apollo-N, Apollo-N, tu Szef Powietrzny Jeden, jesteście zlokalizowani na radarze, około trzydzieści mil na południowy wschód od jednostki ratowniczej. Apollo-N, Apollo-N.

Witajcie w domu, panowie, zaraz przyjmiemy was na pokład. Priest chciał odpowiedzieć. Ale był teraz zbyt daleko, zbyt głęboko zapadnięty w skorupę ciała.

Na wielkim ekranie w MOCR pokazał się telewizyjny obraz Apol-lo-N. Trzy sztaksle głównych spadochronów rozwinęły się bezpiecznie, trzy wielkie idealne kopuły w czerwieni i bieli.

Wiwaty były tak głośne, że zagłuszyły to, co Donnelly odbierał przez słuchawki, i musiał zarządzić spokój.

Słyszał w słuchawkach masę rozmów, dalekie głosy. – Tu Podnosiciel Drugi, widzę spadochrony. Równo ze mną, na czterech tysiącach stóp.

–Potwierdzam, mamy kapsułę w zasięgu wzroku... Priest uświadomił sobie mętnie, że teraz załoga powinna przystąpić do realizacji kolejnych zadań. Powinni na przykład zamknąć zawór wyrównawczy, przyszykować reflektory szerokostrumieniowe do zapalenia po wodowaniu i być gotowi do odrzucenia spadochronów głównych po zetknięciu z oceanem, żeby nie ściągnęły na dno modułu dowodzenia.

Ale nie było nikogo, kto by to zrobił.

Priest starał się rozluźnić, wchłonąć ból.

Poczuł potężne uderzenie, eksplozję zdumiewającego cierpienia umęczonego ciała.

Woda chlusnęła przez otwarty przewód wentylacyjny, zlewając go od stóp do głów.

Było jej tyle, że kadłub modułu dowodzenia musiał się chyba rozpęknąć. Moduł fiknął kozła. Priest czuł ten obrót, widział, jak ocean zmienia się miejscem z niebem.

Iluminatory zanurzyły się w słonej wodzie i kabinę zalał mrok. Priest zawisł na pasach, a wszystkie śmiecie lunęły deszczem w dół: strzępy papieru, torebki na urynę, zużyte myjki. „Druga pozycja stała” – pomyślał. „Do góry nogami. Chuck dostanie szału. Zapieprzyliś-my. Nikt nie odciął spadochronów głównych”. Wisiał w ciemnej, przewróconej kabinie jak gacek, czując ukojenie. Płonęły tylko choinkowe światełka panelu kontrolnego. Za moment pojemniki stabilizujące miały wypełnić się powietrzem i postawić kabinę do pierwszej pozycji stałej. Zamknął oczy. Niedziela, 7 grudnia 1980 roku Kwaterna główna NASA, Waszyngton Najpierw pokazał się wizerunek pięciu członków załóg w pilotkach a la Snoopy, siedzących wokół stolika mesy Moonlaba. Joe Muldoon zajmował centralne miejsce i trzymał w rękach kartkę peluru, cienkiego przebitkowego papieru.

–Tu załoga Moonlaba, nadająca na żywo z orbity lunarnej. Nasza piątka – nasi

goście,

Władimir Wiktorienko i Aleksander Sokołow a także Phil Stone, Adam Bleeker i ja

–

spędziliśmy dzień na realizacji zadań, zgodnie z programem lotu, robiąc zdjęcia i kontrolując działanie układów statku kosmicznego...

Tim Josephson, siedzący w swoim waszyngtońskim biurze i patrzący na mały odbiornik telewizyjny, stojący na biurku, złapał się na tym, że oddychanie sprawia mu fizyczną trudność. „Postaraj się, żeby to było bezbarwne, spokojne, rutynowe” – myślał. „To wystarczy, Muldoon”.

Pięciu astronautów po kolei raportowało krótko, co robili w ciągu dnia – w obserwatorium, z urządzeniami biomedycznymi, naprawiając psujący się sprzęt Moonlaba.

Zainteresowanie poprzednimi teletransmisjami z tej wyprawy – poza pierwszym „uściskiem dłoni” w kosmosie – było minimalne. Żadna z czterech wielkich stacji nie prowadziła transmisji na żywo i rodziny astronautów musiały przyjechać do JSC, żeby się dowiedzieć, co dzieje się tam, w górze.

Ale wszystko uległo zmianie, kiedy tylko NERVA wybuchł, budząc na nowo koszmarną fascynację ludźmi ryzykującymi życie w przestrzeni pozaziemskiej. „To nasza największa widownia od czasu Apollo 13” – pomyślał Josephson. „Nie zmarnuj tej szansy, Joe”.

–... Jesteśmy daleko od domu i trudno o tym nie myśleć. Gdyby Ziemia była, powiedzmy, rozmiarów piłki do koszykówki, wtedy Skylaby byłyby zabaweczkami okrążającymi ją w odległości cała lub dwóch od powierzchni. Ale Księżyc byłby tak duży jak piłka do baseballa, całe dwadzieścia stóp dalej, i w takiej odległości jesteśmy właśnie my.

Naszym celem jest przeprowadzenie badań naukowych. Jesteśmy na orbicie nachylonej, tak że widzimy dużo więcej Księżyca, niż było możliwe za starych czasów lądowania Apolla.

Wieziemy ze sobą cały zestaw aparatów fotograficznych, zarówno wysokiej rozdzielczości, jak i synoptycznych, mamy wysokościomierz laserowy i inne mierniki, które pozwoliły nam sporządzić mapę całej powierzchni Księżyca w różnych skalach. Dokonaliśmy paru znaczących odkryć. Na przykład, natrafiliśmy na ogromny krater uderzeniowy po niewidocznej stronie Księżyca, szeroki na tysiąc pięćset mil – to prawie jedna czwarta jego średnicy. Okazuje się, że Księżyc jest o wiele ciekawszym miejscem, niż myślano, nawet wtedy, kiedy Neil i ja już znaleźliśmy się na jego

powierzchni. W tej właśnie chwili przesuujemy się nad Morzem Spokoju. Jeśli spojrzycie na dysk Księżyca, jest ono tuż na prawo od środka. Tak więc możecie teraz znaleźć nas wzrokiem. Natomiast ja za pomocą wielkich teleskopów widzę czasem błysk naszego porzuconego ładownika. Teraz, w tych trudnych momentach, załoga Moonlaba chciałaby przekazać przesłanie dla wszystkich ludzi na Ziemi.

„O, Chryste – jęknął w duchu Josephson – coś mi tu śmierdzi. Co teraz?”. Adam Bleeker uniósł się z fotela do kamery. Wyciągnął groteskowo skrócone ręce i obrócił ją tak, że skierowała się ku iluminatorowi. Obraz zastygł; był słabej jakości, trochę zamazany, ale Josephson rozpoznawał wyraźny niebieski sierp Ziemi, wstający nad porytą, monochromatyczną pustynią Księżyca.

Następnie odezwał się Philip Stone:

Zostań ze mną, gdy wieczór szybko się skłania Panie, zostań ze mną, bo ciemność zapada; Gdy znikąd pomocy i słabnie oparcie, O, zostań ze mną, ucieczko bezradnych...

Wyostrzony na falach radia głos Stone’a był suchy, żwawy, prawie rzeczowy. Następnie odezwał się Sołowiow, wysokim, pełnym zdenerwowania tonem, złą angielszczyzną:

Już końca wypatruje krótki dzionek miniony; Ustaje ziemskie szczęście, chwały pozbawione; Wszystko wokół mnie niszczeje nadaremno, O, Ty, któryś niezmienny, zostań, zostań ze mną...

Co, do diabła, ten Muldoon wyrabiał? Kiedy astronauta Apollo 8 odczytali

fragment

Biblii z orbity księżycowej, pewien ateista oskarżył NASA o pogwałcenie

konstytucyjnego

rozdziału religii od państwa!, Sowieci całkowicie zakazali kultu religijnego! –

myślał

gorączkowo Josephson – a teraz kosmonauta czyta jakiś stary hymn*[Przyp tłum

napisany

przez anglikańskiego pastora, Henry’ego F. Lyte’a w 1847 roku.] z amerykańskiej

stacji

kosmicznej. Mój ty Boże. Co za bałagan”.

A jednak... a jednak...

Teraz czytał Adam Bleeker, z prostotą i przekonaniem:

Potrzebują Cię w każdej, co mija, godzinie; Co, jak nie Twa łaska, moc kusiciela zbije? Kto, jak nie Ty wesprze mnie przychylnie, W burzy i blasku słońca, o, zostań przy mnie...

A jednak było w tych słowach coś więcej niż w najbystrzejszych kalkulacjach jego, Josephsona. Stare i proste działały elektryzująco, żyły pełnią znaczeń; nie dało się zapomnieć, kim byli tamci ludzie, co osiągnęli, gdzie przebywali.

Z kolei odezwał się Wiktorienko, chropawą ciężką angielszczyzną:

Żaden wróg mi nie straszny, gdy Twa ręka blisko; Zło wagę straciło, łyzy nie pieką

goryczą. Gdzie śmieci żądło? Gdzie, grobie, twe Wiktorie? Triumf mój żywy, gdy

Tyś został

przy mnie...

Joe Muldoon przeczytał ostatni wers.

Unieś swój Krzyż przed mym wzrokiem ustatym; Rozświećl pomroki, wskaż mi niebios bramy;

Nieba ranek przychodzi, cień Ziemi

przeminie

W życiu, w śmierci, o, Panie, zostań wiecznie przy mnie.

**–My, załogi Apollo i Sojuza, kończymy, życząc dobrej nocy, powodzenia i niech
was**

Bóg błogosławi.

Wizerunek Ziemi się rozplynął.

**Tim Josephson poczuł niespodziewanie, że ma w oczach łzy. Pochylił się nad
papierkami, zażenowany i zadowolony, że nikt go nie widzi.**

Poniedziałek, 15 grudnia 1980 roku

Przylądek Canaveral

**Bert Seger rozłożył swoje obozowisko w hangarze O w bazie lotnictwa wojskowego
Stanów Zjednoczonych na Przylądku Canaveral.**

**Hangar miał służyć za miejsce oględzin modułu dowodzenia Apol-lo-N, po tym został
już wydobyty z wody i przywieziony na Przylądek. Oczywiście sam moduł był raczej
ofiara niż sprawcą wypadku. Niemniej jednak, był również jedynym kawałkiem
rakiety, do którego inspektorzy NASA mieli dostęp i spodziewano się, że dostarczy
wielu informacji na temat przyczyn wypadku. Tak więc zamierzano rozłożyć moduł
kawałek po kawałku.**

**Kiedy Seger po raz pierwszy znalazł się w hangarze O, stwierdził, że sprawy się
ślimaczą. Nikt nie dotknął niczego w środku Apolla – poza członkami zespołu
lekarskiego na statku podnoszącym, którzy w ubraniach ochronnych,
zabezpieczających przed skażeniem radioaktywnym, wyciągnęli ciała astronautów.
Zespół inspektorów na Canaveral trwał w letargu, niezdecydowany. Nie wiadomo,
jakie procedury postępowania zastosować, bojąc się zawalić mocno nagłośnioną
operację.**

**Tak więc Seger wykonał kilka telefonów, zajrzał do archiwów i porozumiał się drogą
radiową z Muldoonem, szukając zasad postępowania. Muldoon, nadal w drodze
powrotnej z Księżyca, dał swoje błogosławieństwo.**

Pierwszym zadaniem było umieszczenie pleksiglasowej platformy, mocowanej do wnętrza wjazdu, a sięgającej po rozłożeniu do końca modułu. Dzięki niej inspektorzy mogli się dostać do wnętrza modułu oglądać go, fotografować i demontować, nie dotykając elementów przeznaczonych do późniejszego zbadania. Poruszali się na czworakach, mając ruchy ograniczone kombinezonami ochronnymi. Następnie Seger ustalił porządek samego demontażu. Na przykład, obserwował wyjmowanie list zadań – przemoczonych wodą morską, żalosznych i podniszczonych – ze statku kosmicznego. Zespół demontażu przygotował na tę okoliczność i każdą inną towarzyszącą rozbiórce formularze badania wstępnego, w skrócie:

TPS. Opisywały one konieczne działania, numer listy zadań i jej położenie. Zanim ktoś wziął do ręki listę, inżynier odpowiedzialny odczytywał głośno instrukcje z TPS.

Inżynier jakości z

Rockwella dokonywał bezpośredniego oglądu i wzywano inspektora NASA. Potem wzywano fotografa. Technik Rockwella ostrożnie wchodził do środka i zachowując określoną procedurę, odczepiał listę z rzepu. Technik musiał zapisać wszystkie trudności towarzyszące zdjęciu listy, jak również wszelkie inne anomalie, zaobserwowane podczas dokonywanych czynności.

Wręczał listę zadań inżynierowi jakości Rockwella, który upewniał się, że to właściwa część wyposażenia, opatrzona właściwym numerem, po czym zapisywał obserwacje na swojej kopii TPS. Inspektor NASA brał listę i zapisywał swoje, niezależne obserwacje.

Fotograf uwieczniał część wyposażenia na kliszy. Inżynier wkładał listę do plastikowej torebki, pieczętował, opatrywał nalepką i zanosił na odpowiednie miejsce.

Jeśli inżynier nie mógł zabrać listy z winy jakiejś nieprzewidzianej przeszkody, wszystko musiało czekać, aż przesłano do komisji opiniującej zrewidowany TPS i uzyskano zatwierdzenie.

...I tak dalej, i tak dalej.

A tymczasem każda osoba pracująca w module musiała co kilka godzin splukiwać swój biały strój ochronny i przejść badania dozymetryczne. Była to niesłychanie męcząca, intensywna praca, wymagająca skrupulatności i tym bardziej utrudniona, że w module dowodzenia jednocześnie mogło znajdować się zaledwie dwóch, najwyżej trzech pracowników. Ale Seger upierał się przy procedurach i miał poparcie Muldoona. W taki sposób przeprowadzono oględziny Apolla 1 po pożarze i podobnie należało postępować w wypadku Apolla-N. Seger lubił się wgryzać w tego rodzaju

szczegółowe, drobiazgowo zadania. Czasem wracał myślami do wypadków poprzedzających lot. Nie potrafił opędzić się od wspomnienia wykrzywionych nienawiścią i wrogością twarzy ludzi, protestujących w dniu startu. Martwiło go również, że jego organizacja tak łatwo zatraciła spójność działania i to nawet w samej kontroli misji. Będąc szefem Wydziału Programowego, od lat poddawał swoich ludzi naciskowi, zarówno jeśli chodziło o budżety, jak i harmonogramy, i wyglądało na to, że trzymają się dzielnie; ale teraz zaczął się zastanawiać, czy pod powierzchnią nie czają się jakieś większe problemy, których nie dostrzegał. Do diabła, może nie chciał ich dostrzegać. No cóż, jeśli były takie zagadnienia, stawi im czoło. Żeby iść naprzód, mieć osiągnięcia, trzeba trzeźwo patrzeć, pokonywać rozterki. Najważniejsze, że załoga знаła poziom ryzyka, kiedy wchodziła na pokład statku z napędem NERVA. Zapłaciła najwyższą cenę. Teraz Seger miał dług wobec ich ofiary, musiał zadbać o to, żeby życie tamtych nie poszło na marne, żeby NASA wyciągnęła z tego naukę i poszła dalej. Seger spędzał wiele czasu w hangarze, ale nie tylko. Odbył masę rozmów telefonicznych z Fredem Michaelsem, Tomem Josephsonem i innymi. Chodziło o przyszły kształt programu.

Nie dało się zaprzeczyć, że wypadek musi zahamować rozwój programu. Ale Seger chciał nadrobić stracony czas, sprawdzając w praniu wszechstronny program kontrolny.

Twierdził, że następną misją powinien być lot załogowy Saturn/NERVA. Może powinni nawet wyznaczyć sobie jeszcze ambitniejszy cel, na przykład wysłanie S-NB poza orbitę Ziemi, wokół Księżyca.

Ale ku jego zaskoczeniu, Michaels sprzeciwił się pomysłowi. Powiedział, że jeśli nie będą musieli całkowicie zarzucić lotów z wykorzystaniem silnika atomowego, to powinni przeprowadzić kilka próbnych lotów bezzałogowych, a potem powtórzyć misję o charakterystyce Apollo-N. Jeśli lot Apollo-N miał się przydać (a jeśli nie, to po co zapłaciło za niego życiem trzech ludzi?), byli to winni programowi i pamięci utraconej załogi.

Seger uznał ten argument za emocjonalny.

Roztrząsali to godzinami. Czasami Segerowi doskwierało, że jego osobiste poglądy różnią się tak bardzo od poglądów Michaelisa i Josephsona. Musiał wręcz zadać sobie gwałt, żeby nie zostać w odosobnieniu. Ale teraz, kiedy minął pierwszy wstrząs po wypadku, odzyskał pewność siebie, poczuł się w siodle; wypadek był zamkniętą sprawą, mieszczącą w granicach ludzkiego pojmowania i ludzkiej odporności na ciosy, których nie szczędzi los, i nie można było pozwolić, żeby jedna tragedia stanęła na drodze większych ambicji.

Jednak kiedy próbował uciąć sobie drzemkę w biurze, nie mógł zasnąć. Każdego rana o siódmej był z powrotem w hangarze O lub też rozmawiał z ludźmi na

Przylądka, w Houston czy też z Marshalla, którzy na okrągło prowadzili dochodzenia, każdy w swoim zakresie.

Pod koniec pierwszego tygodnia poleciał do Houston i spędził wieczór z rodziną. Następnego dnia objechał z Fay Timber Cove i El Lago, odwiedzając żony i rodziny Jonesa, Priesta i Dany.

Następnie wrócił na Przylądek, gdzie znów rzucił się w wir dochodzenia.

Pracował z intensywnością przekraczającą wszystko, czego podjął się do tej pory. Tylko tak potrafił uporać się z tym, co czuł wobec tamtej katastrofy; musiał przepalić umysł i ciało żarem pracy, musiał zdobyć pewność, że nic podobnego więcej się nie zdarzy. I wiele wolnego czasu spędzał w kościele, modląc się i rozmyślając. Próbując pogodzić się z tym, co zaszło.

Czerpał z tego jakąś przyjemność. Kiedy uporał się z wątpliwościami, poczuł napływ siły, odwagi, pewności siebie. Modlił się każdego dnia i czuł, że Bóg mu pomaga.

Czasem potrzebował drobnej pomocy, żeby zasnąć. Kilku tabletek, szklaneczki,

dwóch czegoś mocniejszego. Pozwalał sobie na to. Jak powiedział żonie, był na

wysokich

obrotach; czuł się jak T-38 na do-palaczach.

Czwartek, 8 stycznia 1981 roku

„...Po przyjęciu pułkownik Priest cierpiał na mdłości, dreszcze, był podniecony i miał szklisty wzrok. Jego temperatura wynosiła czterdzieści stopni. Żeby uwolnić go od skafandra, musiano rozciąć materiał. Nieustannie wymiotował, miał spuchniętą twarz, szyję i kończyny górne. Dodajmy, że przedramiona miał tak nabrzmiałe, że nie dało się zmierzyć ciśnienia krwi normalnymi opaskami i pielęgniarki musiały je przedłużać. Był okresowo przytomny, czasami wypowiadał się spójnie i logicznie, ale ocenilem, że był na tyle osłabiony, że złożenie raportu w sprawie wypadku przekraczało jego możliwości.

Jego trudności z mówieniem i halucynacje sprawiały, że czuwający przy nim bliscy i część mojego personelu czuli się niezręcznie.

Dwadzieścia cztery godziny po przyjęciu zarządziłem pobranie próbek szpiku z mostka i kości biodrowej. W trakcie tych czynności Priest zachowywał się bardzo spokojnie.

Próbek użyto do oceny napromieniowania całego ciała. Czwartego i piątego dnia po

przyjęciu Priest cierpiał wielki ból z powodu uszkodzeń błony śluzowej w ustach, przełyku i żołądka. Schodziła mu płatami. Przestał spać i stracił apetyt. Począwszy od szóstego dnia, jego prawa goleń, na której skóra już pękała, zaczęła nabrzmiwać i wyglądał tak, jakby miała pęknąć; stwardniała i sprawiała choremu ból.

Siódmego dnia stwierdziłem poważną agranulocytozę – to jest spadek liczby granulocytów, leukocytów ziarnistych, odpowiedzialnych za odporność organizmu – i nakazałem podanie siedmiuset pięćdziesięciu mililitrów szpiku kostnego z krwią. Tymczasem Priest został przeniesiony do wysterylizowanego pokoju ze światłem ultrafioletowym. Rozpoczął się okres dysfunkcji jelit; dwadzieścia pięć do trzydziestu razy na dobę oddawanie kału, zmieszanego z krwią i śluzem; pojawiły się bolesne parcia, gazy i płyny w obszarze jelita ślepego.

Z powodu rozległych uszkodzeń jamy ustnej i przełyku, Priest nie jadł przez kilka dni.

Karmiliśmy go kroplówką. W tym czasie pojawiły się miękkie pęcherze na kroczu i pośladkach, prawa goleń nabrała si-nofioletowej barwy, spuchła, stała się lśniąca i gładka.

Czternastego dnia pułkownik Priest zaczął nietypowo łysieć; wypadły mu wszystkie włosy z tyłu głowy i na ciele. Osłabł, a okresy braku przytomności czy niespójności w mowie uległy wydłużeniu. W piątek, 2 stycznia, trzynastego dnia po wypadku, ciśnienie krwi Priesta nagle spadło.

Pięćdziesiąt siedem godzin później pułkownik Priest zmarł; jako bezpośrednią przyczynę śmierci wpisałem ostre zapalenie mięśnia sercowego. Po umieszczeniu pod mikroskopem wycinka serca Priesta, ujrzeliśmy masę porwanych komórek. Można zaryzykować twierdzenie, że Priest zmarł bezpośrednio w wyniku oddziaływania samego promieniowania, nie w wyniku wtórnych zmian biologicznych. Panowie, nie da się uratować pacjenta, którego tkanka serca ulegnie zniszczeniu.

Z trzyosobowej załogi Apolla-N tylko pułkownik Priest żył, po tym jak podniesiono kapsułę po wodowaniu. Promieniowanie rozerwanego rdzenia NERVA oddziało na pułkownika Priesta od tyłu, uszkodzając najbardziej plecy, łydki, krocze i pośladki.

Matka, żona i syn towarzyszyli mu w chwili śmierci”.

Raport komisji prezydenckiej powołanej do zbadania awarii Apolla-N; t. I.:

oświadczenie dra I. S. Kirby 'ego przed Zespołem Analizy Medycznej (wyjątek)

(Waszyngton,

DC; Drukarnia Rządowa, 1981 r.)

Styczeń 1981 roku

Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Clear Lake, Houston

Jedno z pomieszczeń zaplecza MOCR zamieniono na pokój badań podstawowych danych telemetrycznych otrzymywanych z Apolla-N przed wypadkiem. Ściany pokryły paski papieru z odczytami każdego czujnika podłączonego do członków załogi i urządzeń statku.

Właśnie tam Natalie York musiała siedzieć i wsłuchiwać się w taśmy z głosami z kabiny modułu dowodzenia, i przedzierać się przez stosy kartek, na których sporządzono zapis tamtych odgłosów.

Oczywiście, wszystko miało charakter kliniczny. Nawet naukowy. Chodziło o zgromadzenie danych. Czy astronauta mieli jakieś wcześniejsze wskazówki, że NERVA działa nie tak, jak powinien? Być może dałoby się to ustalić na podstawie dokładanej analizy taśm, znaleźć ślady prowadzące do przyczyn wypadku. Uznano, że York, pełniąc obowiązki kontrolera łącznikowego feralnego dnia, najlepiej się nadaje do interpretacji słów załogi. Musiała przesłuchiwać taśmy w nieskończoność.

Każde przesłuchanie oznaczało przeżywanie całego wypadku i zadawanie sobie tego sakramentalnego pytania: „Czy to ja dałam plamę?”. Gdyby tylko Mike się otrząsnął. Gdyby tylko sama miała więcej wyczucia i zrozumiała, co się dzieje – gdyby tylko ostrzegła Bena, że rdzeń wymyka się spod kontroli, mógłby przejść na ręczne sterowanie, wyłączając automaty modułu dowodzenia, zamykając to cholerstwo...

W końcu dotarła do punktu, w którym poczuła, że jeśli kolejny raz będzie musiała słuchać słabnącego głosu Bena, serce jej pęknie. „Chyba sprawy między nami pozostaną niedokończone, Ben” – pomyślała. „O, Boże”.

Nawet nie pozwolili jej go zobaczyć, zanim umarł.

–Mama?

–Przyjeżdżam, Natalie.

–Nie, mamo.

–Tylko nie próbuj mnie zatrzymać. Wiem, że mnie teraz potrzebujesz.

–Do czego?

–Wiem, ile Ben dla ciebie znaczył.

York zamilkła na długo, zastanawiając się nawet, czy nie przerwać rozmowy.

–Co dokładnie wiesz?

–Nie masz zbyt wielkiego doświadczenia w tym sprawach, prawda, kochanie? Kiedy zobaczyłam cię na tej parapetówce w Portofino... To było oczywiste, Natalie. Gdybym nawet nie była twoją matką, zrozumiałabym, co się święci. Wystarczyło mi tylko zobaczyć, jak się zachowujecie względem siebie. Za bardzo się staraliście nie zwracać na siebie uwagi.

A kiedy jednak jakoś wpadliście na siebie, to miało się wrażenie, że się znacie na wylot i każde z was instynktownie wie, czego trzeba drugiemu...

–

„Jezu – pomyślała – no cóż, chyba nie najlepsza ze mnie aktorka. Więc wszyscy o tym wiedzą?”.

W drzwiach rozległ się zgrzy klucza.

–Muszę iść, mamó. – Przyjadę.

–Nie.

–Ben Priest był żonaty, no nie? Czytałam w...

–Do widzenia, mamó. – Odłożyła słuchawkę.

Mike Conlig stał na środku pokoju i patrzył na nią. Trzymał torbę z nalepkami lotniczymi, zdradzającymi, że był u Marshalla. Widziała go po raz pierwszy od wypadku. Od ponad miesiąca.

–Sparaliżowało cię – powiedziała bez wahania. – Sparaliżowało cię! O czymś ty, do diabła, myślał, Mike?

Postawił torbę na podłodze i zaczął chodzić po mieszkaniu, nie zdejmując grubego płaszcza. Włosy Mike'a wymykały się z niepo-rządnie związanego kucyka, urosła mu broda.

–Nie sparaliżowało mnie – powiedział.

–Skoro wiedziałeś, że przytka cię na amen, to powinieneś zwolnić ten cholerny fotel – powiedziała York. Czowała ucisk w gardle, łzy wzbierające w oczach, ale, na Boga,

postanowiła wytrzymać to do końca bez rozklejania się. – Miałeś obowiązek! Ci ludzie polegali na tobie...

Zatrzymał się nad nią. Obrzydzenie wykrzywiło mu twarz. – Widzę cię pierwszy raz od miesiąca i od razu na mnie naskakujesz. Cholera, szczęśliwego Nowego Roku, Natalie. No dobra, zabiłem ich. To mi chcesz powiedzieć?

–Przecież ten cholerny NERVA nie był gotowy do lotu. No nie?

–Natalie, nie wiesz, o czym mówisz.

–Nie wiem...?! Siedziałeś nad tym układem chłodzącym przez lata i w końcu, kiedy na pokładzie było trzech ludzi, cholera się przegrzała i wybuchła... – Wiedziałem, co robię, Natalie.

–Wiedziałeś? Świadomie pozwoliłeś, żeby NERVA się roztopił? – Nie. – Pokręcił przecząco głową. – Nie, do cholery. Natalie, przerwać lot to najprostszą rzecz na świecie. Gdybym przerwał lot, byłby to koniec misji... – Ale nie trzech ludzi.

–...i może nigdy byśmy się nie dowiedzieli, co się zepsuło – ciągnął uparcie. – I znów musielibyśmy ryzykować, wysyłając następnych ludzi. – Szarpnął brodę krótkim, nerwowym gestem. – Wtedy... to działo się tak szybko... po prostu nie byłem pewien.

Myślałem, że sytuacja wróci do normy, że uda się nam uratować NERVA, zapanujemy nad wydarzeniami. To mogło się stać, Natalie, i nie bylibyśmy zmuszeni narażać życia następnych ludzi. Zresztą nie będziemy. To była sprawa zysków i strat. Była oburzona i wstrząśnięta.

–O Boże. Ty bezduszny dupku, zabiłeś ich.

–To nie tak. – Mówił płaczliwym głosem, pełen urazy, że nie jest rozumiany. – Słuchaj, NASA jest za ostrożna. Każde zabezpieczenie zwiększa stopień komplikacji i koszty.

Z mniejszymi zabezpieczeniami moglibyśmy dotrzeć na Marsa trochę wcześniej, przeprowadzić o wiele więcej badań, dowiedzieć się więcej i... – uderzył w ton wyzwania-...tak, stworzyć jednego czy dwóch męczenników... – Jak możesz mówić o męczennikach? Gdybyś nie zapieprzył, Ben mógłby teraz żyć. I inni też, do cholery.

–No, pewnie. Drogi Ben. O to w tym wszystkim chodzi, no nie? – Teraz był zły.

–A tobie o co chodzi? Parsknął.

–Wiem wszystko o tobie i twoim pieprzonym Benie Prieście, Natalie. Daj spokój.

Wiem od lat.

„Ty też?” – pomyślała.

Rozważała, czy nie zaprzeczyć, powiedzieć, że się myli. Ale Ben nie żył. To byłoby poniżej jej godności. Pokręcił głową.

–Nie chcę wysłuchiwać kiedy, jak, czy dlaczego. Guzik mnie to obchodzi. I wiesz co?

Nie wiem, czy kiedykolwiek mnie obchodziło.

Przyglądała mu się, kiedy chodził po pokoju. Był jak ktoś nieznajomy, obcy w jej mieszkaniu.

–Tak. Nigdy cię nie obchodziło, prawda? Nie mogę uwierzyć, że...

–Że co?

–Nie mogę uwierzyć, że kiedyś mi się wydawało, że cię kocham. To zaskoczyło go na moment i spojrzał na nią, ale po chwili maska gniewu znów wykrzywiła mu rysy. – No i co z tego. Może ci się wydawać, co ci się tylko podoba.

–Jak możesz to teraz rozgrzebywać? Na litość boską, Ben jest martwy!

–Wiem, że jest martwy! – wrzasnął. – Tak martwy jak moja pieprzona kariera!

–Tylko to dla ciebie się liczy?

Gniew zawładnął nim całkowicie.

–! No. No, może tak. To i fakt, że program atomowy jest załatwiony.

–Wynoś się – powiedziała York.

–Nie zrobisz omletu, nie tłukąc jajek, Natalie! Nie osiągniesz niczego, nie podejmując ryzyka! I dzięki temu, czego się dowiedzieliśmy podczas tego lotu, następnym razem się nam uda... jeśli pozwolą nam kontynuować program. – Miała wrażenie, że w jego głosie pod nutą gniewu drży bezbronność, błaganie o zrozumienie. – Chryste, Natalie, moglibyśmy już być na Marsie! Ale pieprzona NASA... Odwróciła się od niego.

–Wynoś się. Wyjdź, Mike.

Nie spojrzała na niego, kiedy wychodził.

Mike nie odbiegał daleko od prawdy i wyrażał przekonania wielu pracowników NASA. Gdyby tylko pozbyć się sentymentalnych zahamowań, właściwych szerokiemu ogółowi, i pozwolić nam poruszać się tak szybko, jak to możliwe... Mniejsza niezawodność oznaczała niższe koszty badań i wdrożeń; krótszy harmonogram.

To był podstępny, dziwnie uwodzicielski argument. „Maszyna jest wszystkim!” – odzywał się w jej głowie jakiś głos. „Och, jesteśmy zmuszeni wsadzać ludzi do tych maszyn i mamy z tym kilka problemów, niektórzy z nich wariują po tym, co przeżyli, a inni giną w podejrzanych, dalekich od bohaterstwa warunkach, cierpiąc ból Oak zginął kochany Ben, gnijąc w szpitalnym łóżku, miesiąc po swoim locie), ale cel uświęca środki”.

„A poza tym, nigdy nie zabraknie nam ochotników” – dodał głos. Co gorsze, NASA – dziecko zimnej wojny – nigdy nie mówiła prawdy o całej sytuacji, jeśli nie musiała tego robić. A już z pewnością takiej prawdy, która zaszkodziłaby jej wizerunkowi. Za wspaniałą fasadą kryła się masa zupełnie innych spraw: niebezpieczeństwa, ohydne warunki śmierci, ocierająca się o szaleństwo żądza inżynierów i załóg, żeby dalej latać.

„Nie tylko Mike jest taki” – pomyślała. „Nawet nie ma żadnych»onych«, których można by za to winić”.

Wszyscy astronauta byli w to zamieszani; wszyscy ci, którzy byli gotowi zgłosić się do najniebezpieczniejszej misji i przyłożyć rękę do zatarcia śladów nieszczęścia. Nawet sam Ben. Pracował przy NERVA; musiał doskonale wiedzieć, że napęd atomowy nie osiągnął jeszcze takiego poziomu sprawności, żeby zastosować go w rakiecie z ludźmi na pokładzie.

„Nawet ja – w końcu przyznała w duchu – nawet ja jestem winna. Zadręczam się, sprzeniewierzając zasadom naukowca, żeby tu być. Ale to nie wszystko. Uczestnicząc w programie, udzielając mu cichego wsparcia, zabiłam Bena” – myślała dalej. „Jego śmierć obciąża tak samo mnie, jak tego felernego NERVA”. Siedząc na fotelu, skuliła się, objęła nogi ramionami i opuściła bezwładnie głowę na kolana.

„A teraz muszę podjąć decyzję” – myślała. „Czy powinnam odejść? Może wykrzyczeć prawdę światu? Czy też może śmierć Bena zyska jakiś sens, jeśli zostanę?”. Coś wewnątrz niej, coś zimnego, twardego i egoistycznego, podsunęło jej pod rozagę, że to Ben zginął, nie ona. A Mars wciąż tam był, czekał na nią. Może używała logiki tylko do samoobrony; może próbowała znaleźć argumenty za pozostaniem w programie.

A być może dlatego wyrzuciła Mike’a i z takim gniewem przerwała jego wywód o męczennikach, ponieważ jakaś część jej duszy zgadzała się z jego brutalnymi wywodami.

Następnego dnia kazała wymienić zamki, spakowała rzeczy Mike'a i odesłała je do Huntsville. Mieszkanie w Portofmo wystawiła na sprzedaż. Wtorek, 20 stycznia 1981 roku Kwatera Główna NASA, Waszyngton Kiedy wersja robocza raportu wewnętrznego NASA wylądowała na jego biurku, Michaels zorganizował naradę z udziałem Segera, Muldoona i Udet. Zaprosił ich do swojego waszyngtońskiego biura.

Trójka przybyłych siadła w rzędzie po drugiej stronie biurka gospodarza. Muldoon napięty, zły, wiercił się na fotelu; Seger chętny, tryskający energią, był jakoś zanadto

ożywiony. Udet trzymał się na dystans, bladoniebieskimi oczami obserwował

Michaelsa i

innych.

Michaels uniósł raport i upuścił go na biurko.

–Próbowałem to przeczytać. Wiem, że będę musiał się z tego tłumaczyć, linijka po linijce. Panowie, chcę, żebyście przeprowadzili mnie przez ten pieprzony wybuch. Krok po kroku, raz za razem, aż zrozumiem. Jasne? Hans, masz ochotę zacząć? Udet skinął nieznacznie głową.

–Oczywiście, Fred. Awaria nastąpiła w czasie, w którym przygotowaliśmy S-NB do kolejnego odpalenia. Przypominam, że silnik funkcjonował bezbłędnie podczas pierwszego

zapłonu...

–Pamiętam.

–Spowalniacze były w pozycji umożliwiającej osiągnięcie przez rdzeń temperatury pracy, trzy tysiące stopni. Turbopompy ruszyły i wodór zaczął przepływać przez koszulki chłodzące i rdzeń. Zarejestrowaliśmy, że ciąg rośnie do poziomów znamionowych. Wtedy...

–I wtedy ciało się zesrało – powiedział sucho Muldoon. – Przepływ wodoru do koszulek chłodzących zaczął się rwać – oznajmił Udet. – Później okazało się, że nastąpiło uszkodzenie przewodów, którymi wodór sunął do silnika.

–Czy nie powinniście wygasić rdzenia, kiedy tylko się to stało? – spytał Michaels.

–No, to standardowa procedura – wtrącił Muldoon. – Rdzeń pozbawiony chłodziwa się przegrzewa.

–Mieliśmy ułamek sekundy na podjęcie decyzji – powiedział Udet. – To wszystko.

Gdybyśmy pozwolili na awaryjne wyłączenie rdzenia, moglibyśmy zupełnie stracić napęd i

mielibyśmy misję z głowy. I to być może bez żadnego istotnego powodu, jeśli problemy z

przepustowością rozwiązałyby się same. Chodziło o to, żeby

–

przedwcześnie nie wykluczać żadnej możliwości. Raport opisuje to wszystko.

–W porządku, Hans. Jedź dalej.

–Przestawiliśmy spowalniacze, żeby zredukować temperaturę rdzenia prawie do poziomu wygaszenia. Ale nie udało się nam osiągnąć temperatury docelowej... – No i masz swój pierwszy podstawowy feler projektu, Fred – powiedział Muldoon. Zarówno Udet jak i Seger pochylili się, żeby zaprotestować, ale Michaels uciszył ich ruchem ręki. – Mieliśmy tylko jeden układ kontrolny: spowalniacze reaktora i jedną możliwość zamknięcia go – dodał Muldoon. – Kiedy ta zawiodła, temperatura wymknęła się nam spod kontroli i nie było żadnego sposobu, żeby temu zapobiec. Michaels skinął głową.

–Hans?

Udet rozłożył ręce.

–Musimy dbać o równowagę niezawodności względem ciężaru całkowitego, Fred. Na tym polega dylemat każdego lotu: dźwigać jeszcze jeden układ nadmiarowy czy dodać gdzieś zawór? Naszym zdaniem, w tym wypadku układ spowalniaczy był wystarczająco niezawodny, że usprawiedliwiało to latanie bez obciążania się układem zapasowym. – Bert? Masz jakiś komentarz?

Segerowi błyszczały oczy. Wzruszył wąskimi ramionami. – Podjęliśmy najlepszą decyzję, na jaką było nas stać; przeprowadziliśmy wszystkie testy. Wyciągnęliśmy błędne wnioski. Następnym razem, kiedy wyślemy NERVA, wszystko będzie grało.

„Odpowiedź:»Tak bywa«nie usatysfakcjonuje komisji z Białego Domu” – pomyślał kwaśno Michaels.

–Jedź dalej, Hans.

–Tymczasem załoga zdała sobie sprawę, że ciąg siadł, ledwo zaczął działać – powiedział Udet. – Byliśmy zaledwie kilka sekund po blokadzie przepływu chłodziwa.

Następnie przepływ zwiększył się wyraźnie. Przypominało to nagły wylew z zatkanej rury.

Przepływ wodoru przekroczył wielkość znamionową i rdzeń został zalany.

Cofnęliśmy

moderatory...

–To kolejny punkt, w którym standardowa procedura nakazuje

–

zamknięcie reaktora – powiedział ostro Muldoon. – Margines kontroli spowalniaczy był teraz zbyt płytki; nie mieliśmy pełnej kontroli nad rdzeniem. Ale znów przeszliśmy na sterowanie ręczne, wyłączając automaty.

–Próbowaliśmy uratować misję – powiedział Udet. – W porządku. Ale trzymajmy się faktów; potem będzie czas na samousprawiedliwianie. Co dalej?

–Przepływ chłodziwa w rdzeniu ustał całkowicie – kontynuował Udet. – Być może w tej chwili przewód wysiadł na dobre.

–To kluczowy moment, Fred – zauważył Muldoon. – Masz reaktor, który już jest niestabilny. Przepływ wodoru doprowadził do izotermiczności rdzenia... to znaczy do tego, że miał wszędzie tę samą temperaturę... tak więc wszystkie zmiany zachodziły w całym rdzeniu równocześnie. I przepływ chłodziwa ustał całkowicie; temperatura rdzenia utrzymała się; przepływ wodoru przez koszulki się urwał.

–Tak więc rdzeń zaczął się grzać.

–Tak więc rdzeń zaczął się grzać. Jednolicie. I o wiele szybciej niż poprzednio.

–Próbowaliśmy go zamknąć – powiedział Udet. – Ale spowalniacze były za daleko wysunięte, żeby wywołać natychmiastowy skutek. Wodór w rdzeniu i koszulkach szybko się zagotował i zaczął rozprzestrzeniać...

–To doprowadziło do niekontrolowanej reakcji – powiedział Muldoon. – Bo reaktor miał dodatni współczynnik temperatury. Tak go zaprojektowano. Michaels westchnął i splótł ręce za głową.

–Załóżmy, że nie wiem, o czym mówicie. Muldoon wykrzywił się w uśmiechu. – Rozumiem cię. Mnie samemu trochę czasu zabrało wyobrażenie sobie, jak działał tamten interes. Słuchaj, powiedzmy, że temperatura rdzenia reaktora rośnie. I przypuśćmy, że rdzeń jest tak zaprojektowany, że kiedy się grzeje, reaktywność reaktora spada – to znaczy szybkość reakcji automatycznie ulega obniżeniu. To właśnie jest określane jako „ujemny współczynnik temperatury”. W tym przypadku masz ujemną pętlę sprzężenia zwrotnego, reaktywność reaktora obniża się i temperatura maleje. – W porządku. To rodzaj mechanizmu autokorekcyjnego.

–Zgadza się, cały interes jest stabilny. Tak projektuje się reaktory cywilne. Ale w przypadku NERVA współczynnik był dodatni, przynajmniej w ramach pewnego zakresu temperatur. Tak więc kiedy temperatura rosła, reaktywność reaktora także rosła...

–I szybkość rozszczepienia wzrastała, prowadząc do dalszego wzrostu temperatury.

–I tak dalej. I tak dalej. Michaels przewiercał wzrokiem Udet. – Już widzę te pieprzone nagłówki w gazetach, Hans. Dlaczego, do diabła, lataliśmy z niestabilnym reaktorem?

Udet pochylił się. Pobladł, gniew sprawił, że mięśnie karku nabrzmiały mu jak postronki.

–Musicie zrozumieć, że tu nie chodzi o zbudowanie reaktora, który będzie zaopatrywał gospodarstwa domowe. Tu nie chodzi o zagrzanie czajnika, NERVA 2 to wyczynowy silnik, model przeznaczony do lotu, który jest częściowo przedsięwzięciem eksperymentalnym. Stabilność to warunek, na którym nie zawsze nam zależy. Michaels zmarszczył brwi. „A to, że musisz odpowiadać na te dupkowate pytania, doprowadza cię do szewskiej pasji, no nie, Hans?” – zapytał w myślach i dodał na głos:

–Do czego nam potrzebna niestabilność? O co w tym chodzi? – To jak w wyczynowym samolocie, Fred – wtrącił się Seger. – Jednostka, która jest zbyt stabilna, będzie się ruszała jak świnia w błocie. Więc niestabilność może być czymś zaplanowanym. Jeśli ptaszek jest niestabilny, może błyskawicznie przeskoczyć z jednego trybu w inny; jeśli jesteś w stanie osiągnąć nad tym kontrolę, zyskujesz znakomitą sterowność.

–Ale to Jeśli” jest przez bardzo duże jot, Bert. I w sytuacji krytycznej ewidentnie nie byliśmy w stanie odzyskać kontroli nad tym, co się działo. Hans, dlaczegoś tego nie przewidział, ustawiając układ kontrolny?

–Bo... spowodowałyby... to... obciążenia... nie., do... przyjęcia. – Udet akcentował słowa, tłukąc pięścią o biurko.

Na myśl, że ten człowiek miałby stanąć przed komisją, Michaelso-wi zrobiło się zimno ze strachu.

–Idźmy dalej. Słucham?

Wypadki potoczyły się błyskawicznie – powiedział Udet. – Moc użyteczna zaczęła gwałtownie rosnać, podwajając się w ułamku sekundy. Pastylki paliwowe... węglík uranu w otocze węglowej, poddanej wcześniej pirolizie... rozsypały się w wyniku szoku termicznego, spowodowanego nagłym wzrostem mocy. Kanały przepływu chłodziwa uległy rozpuczczeniu.

Układ spowalniający przestał działać. Wodór wybuchł, rozerwał płaszcz ciśnieniowy i osłonę biologiczną...

–Dobra. – Michaelsa przeszedł dreszcz. – Wiemy, co się dalej stało. – „Jezu – pomyślał – ale bagno”. – Więc całe to cholerstwo zostało spowodowane przez felerne przewody wodoru.

Bert Seger skinął głową, po czym zaskoczył Michaelsa, stwierdzając:

–Tak prawdę mówiąc, to wcale nie taki zły scenariusz, jakiego można by się obawiać.

–„Nie taki zły”? O czym ty, do diabła, mówisz, Bert?

–Blokadę przyprływu wodoru spowodował jeden źle działający komponent.

Popękały sześciostopowe odcinki rur ze stali nierdzewnej o przekroju pięć ósmych cala,

przenoszące płynny wodór ze zbiornika do silnika atomowego. Tylko tyle. Więc to łatwo da się naprawić.

–Czemu ta cholerna rura pękła?

–No cóż, zastosowaliśmy innowację – powiedział Seger – która powinna chronić przed skutkami wibracji. Każdy kawałek rury miał dwa „mieszki” w drucianym oplocie,

absorbujące wibracje. Kiedy nową linię poddano na Ziemi próbom wibracyjnym,

działała

idealnie.

–Więc jakim cudem...

–Okazało się, że w atmosferze płynny wodór przepływający rurami powodował gromadzenie się lodu na oplocie. To zmieniało charakterystykę rury na tyle, że nawet największe wibracje podczas prób nie mogły zagrozić mieszkom. – Och – powiedział Michaels. – Ale w próżni lód nie mógł się zgromadzić. – I mieszki zaśpiewały jak grzechotniki – dodał Joe Muldoon. – Kiedy pierwszy człon Saturna zaczął się miotać, mieszki nie wytrzymały. Po prostu się rozleciały.

–Ale jakim cudem nie zauważyliście tego numeru z lodem, kiedy robiliście próby naziemne w próżni? – spytał Udet Michaels.

Udet spojrzał mu prosto w oczy. Był spokojny, całkowicie pewny siebie. – Nie wypróbowaliśmy tego komponentu w próżni. Nie przewidzieliśmy, że to będzie konieczne.

Michaels nie odwracał wzroku przez długą, długą chwilę, ale nie usłyszał nic więcej: żadnych danych, usprawiedliwień, przeprosin.

–No cóż, to znaczy, że siedzę w gównie po szyję. Joe? Muldoon pochylił się nad biurkiem i stuknął palcem w raport.

–W tym miejscu jesteśmy winni, Fred. Te cholerne mieszki okazały się komponentem krytycznym numer jeden; to znaczy, że awaria mogła spowodować stratę całego statku kosmicznego. Ale nie wypróbowaliśmy ich w prawdziwych warunkach lotu. A co gorsze, dokopaliśmy się teraz dowodów na kłopoty z mieszkami podczas próbnego, bezzałogowego lotu S-NB, chociaż wtedy nie utraciliśmy misji. „Jestem załatwiony na cacy” – pomyślał Michaels. Mogli przewidzieć błąd, a to był zawsze morderczy argument. I zawsze było możliwe, że jakiś dupny technik pętaczyna u Marshal-la albo na Przylądku napisał raport, przewidujący dokładnie awarię, która wystąpiła, raport, który niewątpliwie został wyśmiany i schowany pod sukno przez szefostwo NASA, raport, który niewątpliwie lądował właśnie w rękach jakiegoś kongresmana...

–Winni. Jezu. Ale nienawidzę tego słowa. – Wstał. Podszedł do okna i krzyżując ręce za plecami, spojrzał na Waszyngton. Smog łagodził i brudził światło nieba. – Nie zamierzam minimalizować skutków tego, co się stało, panowie. Abstrahując już od tego, że straciliśmy załogę, to autentyczna katastrofa. Lobby ekologiczne na całym świecie usiłuje dobrać mi się do gardła. Zostaliśmy nawet skrytykowani za sprowadzenie skażonego radioaktywnie modułu dowodzenia w atmosferę. Już przed lotem sprzeciwiano się energicznie wysyłaniu materiałów radioaktywnych w

przestrzeń kosmiczną. A teraz Rosjanie mają w górze pieprzonego Sojuza, który cyka zdjęcia rozżarzonego rdzenia, porzuconego przez nas na orbicie, latającego jak mu się żywnie podoba. Masz rację, Joe; nie mam co do tego żadnych wątpliwości... tak jak nie będzie ich miała opinia publiczna, Kongres i Biały Dom. To my jesteśmy winni.

Tak więc

teraz musimy zrobić u siebie porządek i to tak, żeby wszyscy to widzieli. Dobra,

panowie. Co

waszym zdaniem należy dalej uczynić?

Seger odezwał się pierwszy.

–Przede wszystkim nie należy ulegać panice, Fred. Rozumiem, co chcesz powiedzieć: wypadek, który nas spotkał, jest czymś, wobec czego nie możemy przejść obojętnie. Co do tego nie ma wątpliwości. Ale kłopoty są przyziemne i mają ograniczony zasięg. Musimy znów wysłać w przestrzeń S-NB, tak szybko, jak to możliwe, z ludźmi na pokładzie, i ze wszystkich sił zabrać się za Marsa. Nie wolno się nam poddawać.

To musisz przekazać Kongresowi, Fred.

„Nic nie znaczące ogólniki” – pomyślał Michaels. „Harcerstwo typowe dla Segera.

Zachowuje się jak stuknięty zapaleniak”.

–Hans? Udet westchnął.

–Bert ma rację. Musimy naprawić błędy w programie NERVA i iść dalej. Nie mamy innej możliwości, jeśli chcemy dotrzeć na Marsa. Sprawa jest tyleż prosta co dramatyczna.

–No, do diabła, nie zgadzam się – powiedział ostro Muldoon. – I z jednym, i z drugim z was. Myślę, że jeśli w ogóle dadzą nam latać po tym wszystkim co spieprzyliśmy, to będzie trzeba dokonać całościowego przeglądu programu: modułu dowodzenia, modułów napędowych, procedur zarządzania. Wszystkiego. – Ryzykujesz wylanie dziecka z kąpielą – powiedział rozgorączkowany Seger. – Skończy się na tym, że będziesz miał niedopracowany program, zbyt skomplikowany i za bardzo pozmieniany statek, co spowoduje, że przywali nas góra problemów, których nawet sobie nie wyobrażaliśmy. – Zmierzył szklistym wzrokiem Michaelsa. – Słuchaj, Fred, to koszmarny interes. Gorąco pragnąłbym, żeby się nie wydarzył, i spędzę resztę życia, usiłując pogodzić się z tym, co się stało. Wciąż pytam sam siebie: co zrobiłem

źle, co mogłem zrobić inaczej, żeby tamto się nie wydarzyło i tak dalej, i dalej. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby zapobiec takim wypadkom w przyszłości. Jednak prawda wygląda tak, że latamy na jednostkach eksperymentalnych. A oblatywacze giną, prowadząc takie jednostki. To nie nowina. Nie każda załoga wraca. I musisz się nauczyć z tym żyć.

Michaels mruknął coś pod nosem. Był jeden kłopot. „My może nauczymy się z tym żyć – pomyślał -! ale inni nam nie pozwolą”.

Kiedy Udet, Seger i Muldoon wyszli, długo stał przy oknie. To, że miałyby dojść do całkowitej rezygnacji z lotów załogowych, nie mieściło mu się w głowie. Tego rodzaju decyzja byłaby katastrofą dla amerykańskiego przemysłu lotniczo-kosmicznego – na skalę niepojętą w kategoriach politycznych. Ale uważał za wysoce możliwe, niemal pewnik, że NERVA zostanie uziemiony raz na zawsze.

A bez NERVA jak, do diabła, mieliby dostać się na Marsa w tym dziesięcioleciu czy w następnym? Czyżby byli skazani na pałętanie się po niskiej ziemskiej orbicie?... Poza tym chyba groziły mu bardziej bezpośrednie kłopoty. Wyglądało na to, że Seger rozłązi się w szwach. To niepokoiło Mi-chaela. Obie izby Kongresu zamierzały dokonać przesłuchań w sprawie wypadku, zaraz po raporcie komisji prezydenckiej. Michaels już wyczuł, jaki będzie ton tych przesłuchań; zamierzano oskarżyć inżynierów NASA – to znaczy przede wszystkim Segera – o zbrodnicze zaniedbanie. Z drugiej strony Michaels miał doniesienia, od Toma Josephsona i innych, że Seger pracuje po szesnaście godzin na dobę, a wolny czas spędza na kolanach w kościele. Traktował fizyczne zmęczenie i religię jak narkotyk. Ale nawet tego było za mało, bo – takie wieści też dotarły do Michaelsa – sięgał po środki uspokajające i szkocką, żeby się ogłuszyć.

Michaels obawiał się, że Seger znajdował się w tak wielkim stresie, iż nie powinien w tym stanie zeznawać. A poza tym, gdyby zaczął swoją śpiewkę o ograniczonych szkodach i że wszystko jest pod kontrolą, wtedy wszyscy w NASA wyszliby na zadowolonych z siebie drani, którym Kongres najchętniej wyciąłby wątroby. Nalał sobie drinka. „Do diabła – zaklął w myślach – czy w gruncie rzeczy nie zmierzaliśmy zbyt daleko i zbyt szybko?”.

Nie mógł zapomnieć szklistego rozgorączkowanego wzroku Berta Segera.

Wiedział, że musi podjąć nie byle jaką decyzję. Środa, 21 stycznia 1981 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston Dzień po spotkaniu w Waszyngtonie, Michaels zadzwonił do Sege-ra, do Houston. Namawiał go, żeby wziął na jakiś czas urlop.

Seger opierał się; czuł się zdalny do pracy i w pełni sił; dawał sobie radę ze wszystkimi sprawami związanymi z wypadkiem.

Zakończyli rozmowę na niczym.

Później, tego samego dnia, Tim Josephson, który pracował w Houston od czasu katastrofy, przyszedł do gabinetu Segera.

–Słuchaj, Bert, chcemy, żebyś poszedł na dłuższy urlop.

–Ale już omawiałem to z Fredem.

–Ja też. Już mam kopię roboczą twojego oświadczenia, które wyjdzie jutro.

Seger był wściekły.

–W takim razie możesz od razu ogłosić moją rezygnację. Josephson nie spuszczał z niego oczu, przyglądał mu się spokojnie, oceniał. – Bert, jesteś zestresowany. Nie myślisz poprawnie. – Ach, czyżby? Skąd, do diabła, to wiesz? Za kogo ty się masz, za lekarza, żeby wystawiać mi diagnozę? – Wpatrywał się w szczupłą, inteligentną twarz Josephsona. – Co tu się dzieje, Tim? „Zestresowany”... Co to, do diabła, znaczy? Mam wrażenie, że działasz, opierając się na plotkach, półprawdach i rzeczach, których nie rozumiesz. – Doprawdy? – spytał sucho Josephson.

–Doprawdy. Posłuchaj, ja i moi ludzie spisujemy się świetnie. Opracowujemy

tematy z facetami z Huntsville. Jeśli Bóg pomoże, przedrzemy się przez to. Bez

względu na

to, co słyszałeś, nie grozi mi szok.

–Nie w tym rzecz, Bert. Nikt nie chce...

–Słuchaj, Tim. Jeśli masz ochotę zaaranżować coś w rodzaju badania psychiatrycznego, to zrób to; przystanę na orzeczenie każdego kompetentnego psychiatry.

Jeśli będzie uważał, że powinienem zwolnić się na własną prośbę, wtedy przedyskutuję to z tobą. Ale nie pozwolę, żebyś ty, Fred Michaels, ani inny psycholog amator orzekał o stanie mojej psychiki. Zrozumiano?

Josephson chyba rozważył to, co usłyszał. Następnie skinął głową i zachowując nieprzenikniony wyraz twarzy, wyszedł z gabinetu. Seger pracował dalej; miał nadzieję, że to koniec tych głupot. Ale niebawem Josephson znów się odezwał i powiedział, że zorganizował tego wieczoru spotkanie z dwoma psychiatrami w Houstońskim Szpitalu Miejskim. Seger spędził z psychiatrami trzy godziny na szczerej rozmowie. Szybko przekazali mu swoje spostrzeżenia.

Był wyraźnie w stanie napięcia, ale nie stwierdzili żadnej psychozy. Nie było niebezpieczeństwa, że w razie dalszych nacisków się rozsypie. Wrócił do gabinetu w stanie uniesienia. Zadzwoił do Tima Josephsona i powiedział, że powinien odwołać oświadczenie do prasy. Następnie ukląkł w ciemniejącym gabinecie, modlił się i dziękował Bogu.

Wstrząsał nim śmiech; żeby nie skłamać, czuł się tak, jakby wyprowadził w pole psychiatrów.

Następnego dnia Fred Michaels znów zadzwonił. Zaczął opisywać mu nową pracę, na wyższym szczeblu, w Biurze Lotów Załogowych.

–Spędziłeś już długi czas na załatwianiu szczegółów, Bert, i wykonałeś cholernie dobrą robotę. Ale teraz będziemy potrzebowali pomocy w poprowadzeniu NASA przez następne kilka lat i trudności, które miałeś do tej pory, to nic w porównaniu z tym, co się zapowiada. Chcę, żebyś zajął się sprawami na wyższym poziomie, w sferze polityki. Chcę, żebyś poznał ludzi z rządu; mogę cię im przedstawić. To robota na szczycie góry, Bert.

„No – pomyślał – tyle że ta góra jest w Waszyngtonie”. Zawahał się. – W twoich ustach ładnie to brzmi, Fred. – „Ale wiem, o co w tym wszystkim chodzi” – dodał w myślach. – Fred, powiem jeszcze raz, co sędzę. Bez względu na to, czy pozbędziesz się mnie, czy nie, gruntowna zmiana programu to błąd. Oczywiście, musimy dokonać usprawnień, ale powinny być proste i ograniczone; jeśli pójdziemy dalej, ryzykujemy, że będziemy mieli niesprawdzone urzędnika i nowe problemy, których zupełnie nie potrafimy przewidzieć...

–Słuchaj, Seger, mam dość słuchania tego. Nie mogę się z tobą zgodzić. Po prostu, widzę to inaczej i nie sędzę, żeby twój pogląd był podzielany przez większość ludzi w NASA.

I wiem na pewno, że nie tak widzą to w Kongresie. – Co ty mówisz, Fred? Spotkałem się z twoimi dmuchającymi na zimno psychiatrami i...

–Wiem.

–Nie mam psychozy, Fred.

–Wiem o tym – powiedział szorstko Michaels. – I cieszę się ze względu na ciebie.

Ale nie w tym rzecz.

–A w czym?

–W tym, że w tej chwili nie jesteś odpowiednim człowiekiem do dalszego

prowadzenia programu.

Sejer sięgnął po spinacz, leżący na biurku, i zaczął go rozprostowywać i zginać.

Piątek, 30 stycznia 1981 roku

Cmentarz Arlington

Mimo grubego płaszcza Michaels miał dreszcze. Chmury na niebie wisiały niewiarygodnie nisko. „Dzięki Bogu, to ostatni” – pomyślał. Żałobnicy stali w rzędach; w pierwszym zrozpaczona rodzina Jima Dany. Biedny, załamany Gregory Dana, marzyciel z Langley, obejmował ramionami żonę i owdowiałą synową. Jak zwykle, przybyło kierownictwo NASA i inżynierowie, kongresmani i senatorowie. I sam wiceprezydent USA. Natomiast dokładnie w samym środku żałobnego zgromadzenia stał szereg astronautów. Z uniesionym głowami, wyprostowani, oddawali żołnierskie pozdrowienie nieżyjącym towarzyszom: Muldoon, York, Gershon, Stone, Bleeker i inni – mężczyźni, którzy latali w pierwszych misjach Programu Merkury, mężczyźni, którzy kiedyś chodzili po Księżycu, mężczyźni – i kobiety – którzy mogli chodzić po Marsie. Był tam też Władimir Wiktorienko, który poleciał z Joe’em Muldoonem na orbitę księżycową.

Muldoon uparł się, że Wiktorienko powinien uczestniczyć w ceremonii – bez względu na całą sytuację z Afganistanem – reprezentując korpus astronautów z drugiej półkuli Ziemi.

Zagrzmiała salwa honorowa i rozległa się powolna pieśń trębacza. Ceremonia ciągnęła się w nieskończoność, przejmująca i niesłychanie bolesna. Rozległ się ryk, który wstrząsnął ziemią. Zaskoczony Michaels spojrział w górę. Cztery T-38 lotnictwa wojskowego nadlatywały z południowego zachodu w ciasnym kluczu, nie wyżej niż pięćset stóp nad głowami patrzących. Samoloty lśniły na tle ołowianoszarego nieba. Kiedy przeleciały z wyciem silników, skrzydłowy odbił od reszty i wzniósł pionowo w niebo, znikając w ciągu kilku sekund w chmurach. Pozostałe T-38 poleciały na północ, płonąc dopalaczami. Michaels wiedział, jak nazywa się nowy szyk. „Utracony żołnierz”. Astronauci przy grobie, wszyscy, żółtodzioby i weterani, zadarli głowy w górę, śledząc lecące odrzutowce.

Kiedy ceremonia się skończyła, Michaels przedarł się przez rojny tłum czarnych płaszczy, docierając do Joe’ego Muldoona.

– Joe, muszę z tobą pogadać. Mam dla ciebie zadanie. – Muldoon milczał i przeszywał go wzrokiem. Stał nad Michaelsem sztywny, onieśmielający. Mięśnie rysowały się pod mundurem, twarz zastygła w pochmurną maskę. Michaels czuł, że ma przed sobą ognisko prawego, straszliwego gniewu. Wziął głęboki oddech. Właśnie ten gniew chciał spożytkować. – Jak na razie, zatrzymaj to dla siebie. Przenoszę Berta Segera. Daję mu kopa w górę w Biurze Programu. Znalazłem mu robotę w Waszyngtonie. – Nie przyjmie jej.

–Będzie musiał. Do diabła, człowieku, widziałeś go, jak wyglądał na tym spotkaniu

z Udetem. Muszę go zdjąć z pierwszej linii.

Muldoon pokręcił przecząco głową.

–Bert tyrał jak cholera. I w niczym nie zawinił...

- Szukanie winnych mnie nie interesuje – powiedział stanowczo

–

Jytichaels. – Zostawiam to tamtym, w Kongresie. Dla mnie ważne jest tylko, żeby popchnąć program z miejsca, w którym teraz tkwimy, do linii, która nazywa się „meta”. I wydaje mi się, że Bert Seger już zupełnie się do tego nie nadaje. – A kto się nadaje? – Ty.

Muldoon popatrzył na niego z rozdziawionymi ustami i oczami jak spodki. Wyglądał jak karykatura zdziwienia.

–Ja? Wolne żarty. Żaden ze mnie menedżer. Jestem gadatliwym dupkiem, którego mało nie uziemiłeś, nie zapominaj.

–Tak, czasem jesteś dupkiem – odparł zaczepnie Michaels. – Ale ufam twojej ocenie,

kiedy dochodzi do ważnych spraw. Na litość boską, jesteś lunonautą. I dobrze pokierowałeś

misją Moonlaba. Tamta transmisja...

–To była pokazówka.

–Nie pomniejszaj tego, co zrobiłeś. Tu, na Ziemi, to było katharsis. Myślę, że dzięki temu wielu ludzi, w NASA i poza Agencją, pogodziło się z tym, co się stało. I wykonałeś dobrą robotę podczas analiz po wypadku. – Westchnął. – Słuchaj, Joe, potrzebuję cię, bo jesteśmy w cholernym dołku. Wciąż nie wiem, jaki numer wykręci nam Reagan. Ale wiem, że w oczach kongresu wypadek wygląda fatalnie, naprawdę fatalnie. Bardzo prawdopodobne, że zabronią nam kontynuować program atomowy. A MEM nie jest jeszcze nawet sklecony; byliśmy dobrze do tyłu z harmonogramem, jeszcze przed tą całą jatką...

Potrzebuję kogoś

niecierpliwego, twardego, charyzmatycznego, ciebie, Joe, żeby ogarnął program, uwolnił to

całe cholerstwo z łap Marshalla, wykonawców i całej reszty oraz sprawił, że wszystko zacznie się układać.

Muldoon odwrócił wzrok i objął nim cmentarz.

–Pozwól, że coś wyjaśnię – powiedział spokojnie. – Jeśli wezmę tę robotę, to odchodzę z czynnej służby.

Michaels znów wziął głęboki oddech.

–Tak. Nie dasz rady pociągnąć obu harmonogramów. – Więc jeśli wezmę tę robotę, żeby ratować twoją dupę, zrezygnuję ze swojej szansy polecenia na Marsa.

- Nie zamierzam ci wmawiać, że jest

inaczej, Joe. Ale jeśli nie

–

weźmiesz tej roboty, to myślę, że są marne szanse, żeby ktokolwiek poleciał na Marsa.

Ani za mojego życia, ani za twojego. Muldoon przygryzł wargi.

–Prosisz mnie, żebym zapłacił cholerną cenę.

–Wiem.

–I to nie jest za bardzo w porządku, Fred – powiedział Muldoon. – Jak będą się czuli

ci wszyscy inżynierowie, menedżerowie i kadeci astronauty, kiedy postawisz nad nimi takiego

durnego napaleńca jak ja?

Michaels się uśmiechnął.

–Hm, za dawnych czasów Programu Apollo menedżerowie hasali po siatce organizacyjnej, nie zawracając sobie głowy takimi sprawami. Może przydałoby się odrodzić tamtego ducha. Nie powinieneś się przejmować kolorem wykładziny w gabinecie, Joe. A jak ktoś zacznie ci uprzykrzać życie rangami i statusem... no cóż, wal prosto do mnie.

–Do diabła, co to, to nie – warknął Muldoon. – Jak jakiś dupek z dwoma lewymi rękami zacznie mi rozkazywać...

–Znaczy się, bierzesz to?

–Znaczy się, że się nad tym zastanowię. Drań z ciebie, Michaels. Ruszyli w kierunku czekających limuzyn.

Wtorek, 3 lutego 1981 roku Jezioro

Tengiz, Kazachstan

Wiatr wiejący po stepie przesywał warstwy skafandra York. Próbowala się rozgrzać, chodząc. Ale wzmocniony drutem strój pomysłu Sowietów hamował ruchy i niebawem się zmęczyła, a „wyrostek robaczkowy”, zgrubienie na froncie, drażniło klatkę piersiową.

Ralph Gershon, który był obok niej, zapadł się w siebie. Hełm trzymał pod pachą, głowę wcisnął w kołnierz skafandra. Miał szklisty wzrok. York już wcześniej dostrzegła, że umiał chować się w swój własny kosmos, kiedy świat zewnętrzny robił się zbyt gówniany. No cóż, w tej chwili zazdrościła mu tej umiejętności. Makieta modułu dowodzenia Sojuza rozpierała się na kazach-skiej równinie. Wokół kapsuły stało kilka ciężarówek. Były zniszczone i niepomalowane. Obok Sojuza stała platforma transportowa. Pięćdziesiąt jardów dalej śmigłowiec sowieckiej armii wolno pracował wirnikiem. Z modułu dowodzenia ciągnęły się przewody, pozwijane w stepowym kurzu, dochodząc do wciągarki, połączonej ze śmigłowcem. W zimnym powietrzu rozchodził się lekki, prawie niewyczuwalny zapach piołunu. Ziemia była sprazona, twarda i żółta. Gdzieniedzie sterczały kępki trawy, gdzie indziej utrzymały się liszaje śniegu. Władimir Wiktorienko mówił, że z początkiem wiosny step jest zasłany kwiatami. Trudno było w to uwierzyć.

Nie miała pojęcia, co spowodowało ostatnią zwłokę. Technicy stali wkoło, wyraźnie nie przejmując się harmonogramem ani rozkładem zajęć. Wyglądało na to, że wszyscy w Związku Sowieckim mają taką postawę, nawet pracownicy programu kosmicznego. York próbowała być tolerancyjna, ale niezbyt to jej wychodziło. Nie miała nadmiaru czasu, żeby włóczyć się po stepie z bandą sowieckich obszarpańców. „Bierzmy się do rzeczy” – pomyślała. „Miejmy to z głowy”.

Władimir Wiktorienko zbliżał się do niej, niski, pękaty i zdecydowany, z hełmem na głowie.

–No, proszę – powiedział i klepnął ją w ramię. Spodziewała się uderzenia i udało się jej utrzymać równowagę. – Gotowa na przejażdżkę? A ty, Ralph? Gershon wysunął głowę ze skafandra, jak żółw ze skorupy. York wpatrywała się w kadłub modułu dowodzenia, czując rosnącą obawę. – Nie jesteśmy na to przygotowani. Gdzie włącz? Na górze Sojuza? – Tak, na górze. Wejść pierwszy. – Klepnął w ramię ją, potem Gershona. – Potem ty, potem ty. Zobaczycie. To będzie łatwizna.

Technicy rechotali. York czuła coraz większą niechęć.

–Ej, Władimir, czemu ci faceci się ze mnie śmieją? Uniósł brwi.

–Władiimir – powiedział, akcentując drugą sylabę. – Och, to nic. A właśnie, że tak. – Poczula wzbierający gniew. Płonęła tak od czasu Apolla-N, rzucając się na każdego, kto wszedł jej w drogę. Podejrzewała, że to dlatego wysłano ją aż tu, mimo że uczestniczyła w śledztwie po wypadku. Żeby nie przeszkadzała innym. Żeby

uspokoila się na stepie.

No cóż, sposób nie zadziałał.

Podeszła groźnie do jednego z techników, tęgiego faceta w za-tłuszczonej koszuli,

która opinała się na wielkim brzuchu.

–Co cię tak bawi, hę?

Wiktorienko podszedł do niej i wziął ją za ramię.

–Moja droga, spokojnie. Odtrąciła go.

–No, jasne. Dopóki te niewychowane dupki...

–Nie – powiedział i w jego głosie zabrzmiała stal.

–Czemu „nie”, do diabła?

–”Sojuz”. – Powiedział to tak jak ona, najlepiej jak było stać Amerykankę.

Nawet

York zdała sobie sprawę, że nie brzmi to zbyt poprawnie. – Dlatego się tak cieszą.

Podejrzewam, że podano ci błędną wymowę – dodał gładko. – Być może to „j” cię myli.

Widzisz, w rosyjskim „j” i „u” pisze się razem, jedną literą. I wymawia się razem. A że akcent pada na drugą sylabę, to „o” wymawia się jak mięciutkie „a”. A,ju” mówimy długo.

„Juuu”. No i oczywiście ostatnia spółgłoska prawie zanika. Nie ma żadnego „z”, tylko „s”.

Znów miękko: „sajuuus”. „Sajuuus”.

Spróbowała kilka razy i wielki brzuchaty technik klasnął z ironią w dłonie. – Lepiej – powiedział Wiktorienko. – No i widzisz, zadałaś sobie ten trud w moim kraju i postarałaś się wymówić właściwie jedno z paru rosyjskich słów, które amerykański astronauta powinien jako tako znać.

Technik nadal przyglądał się jej szyderczo. Spiorunowała go wzrokiem. Ci Rosjanie byli nawet bardziej przekonani o wyższości mężczyzn nad kobietami, niż ich amerykańscy koledzy.

Ale może chodziło o nie najler/sze stosunki międzynarodowe. Próbowała sobie wyobrazić, co muszą czuć ci mężczyźni, kiedy ich bracia walczą i umierają w Afganistanie – i co przechodzi im przez głowę, kiedy patrzą na nią, bezbronną, osamotnioną Amerykankę, zdając sobie sprawę z agresywnej antysowieckiej retoryki, dolatującej z Białego Domu od czasu, kiedy Reagan się tam wprowadził. Pewnie mieli prawo nie cierpieć ludzi jej pokroju.

Jej gniew się rozplynął. „Do diabła – pomyślała – może na to zasługuję”. – Zadygotała i próbowała przestać o tym myśleć. Sznurowa drabina opadła z Sojuza na ziemię. Uklękała na szczycie modułu dowodzenia. Technik położył ciężką dłoń na jej ramieniu, pomagając utrzymać równowagę. Moduł przypominał reflektor jakiegoś wielkiego samochodu, odwrócony o sto osiemdziesiąt stopni na tej równinie. Zielona farba kontrastowała uderzająco z gruntem barwy spłowiałego brązu. Z tego miejsca step wydawał się ogromny, zatrważający i opuszczony, jeśli nie liczyć grupki wokół kapsuły; niebo miało barwę szarostalową, przylegało szczelnie do ziemi jak pokrywa. W oddali zauważyła srebrny przebłysk, może wody. Zapewne było to jakieś zapomniane przez Boga słone jezioro.

Wiktorienko pierwszy wlaźł do kabiny. Powiedział York, żeby poczekała, zanim

ruszy w jego ślady. Miał sprawdzić sworznie mocujące fotele. Na ile potrafiła to ocenić, mówił serio.

W końcu wytknął głowę i skinął na nią. Technik zdjął jej ochraniacze na buty i osłonę zabezpieczającą hełm przed zadrapaniami.

Kabina z pozoru miała układ modułu dowodzenia Apolla, który, jakkolwiek było, miał tyle samo lat co ta technologia. Na dole trzy wygniecione, stykające się fotele. York nieporadnie zeszła na dół, opuszczając wpierw nogi. Władimir Wiktorienko był już na fotelu dowódcy, po lewej stronie kabiny.

Machnięciem ręki wskazał jej przeciwległy fotel.

–Rozgość się!

Opuściła się na sam dół, wijąc się, aż poczuła pod sobą kształty fotela. Był na nią za krótki i uciskał ją na wysokości ramion i łydek. Podobno fotele Sojuzów formowano do indywidualnych kształtów kosmonautów; w tym module treningowym wszystkie miały te same wymiary i były odrapane oraz zniszczone od wielokrotnego używania. Kapsuła była ciasna nawet w porównaniu z poznanymi już przez York symulatorami typu Apollo i zarzucona ekwipunkiem koniecznym po wylądowaniu. Były to spadochrony, żelazne racje, pontony, stroje umożliwiające przetrwanie w ciężkich warunkach pogodowych i nieprzyjaznym środowisku. Przyrządy umieszczono na panelu przed Wiktorienką: monitor, po prawej urządzenia do ustalenia pozycji, po lewej urządzenia do manewrowania. Mały iluminator z boku panelu ułatwiał bezpośrednią orientację optyczną. York rozpoznała kilka przyrządów. Ale to było bez znaczenia; nie mieli latać. Poza tym w symulatorze operacji lądowania większość przyrządów okazała się atrapami. Układ kapsuły był wyjątkowo niewygodny. Pełno ostrych krawędzi i rogów; niektóre z urządzeń znajdowały się tak daleko poza zasięgiem kosmonautów, że zaopatrzono je w pręty do szturchania w panele. Staroświecka technologia. Przy prawym łokciu York był mały iluminator. Wyjrzała przez niego, pragnąc zagubić się w obrazie szarego nieba i stepu.

Ralph Gershon zlął z góry. Szurał butami i kolanami po wszystkim, co się dało, po przyrządach, York i Wiktorience. Rosjanin ryczał ze śmiechu i żartobliwie odpychał Gershona.

Ten wsunął się w środkowy fotel i opadł na niego, wciskając York w ścianę.

Miażdżyli sobie nawzajem nogi. Nie miała gdzie się przesunąć.

–O, Jezu Chryste, Ralph.

Żując owocową gumę Gershon robił wrażenie rozbawionego. – Więcej pogody, York. Wcale nie jest tak źle. Przynajmniej uciekliśmy przed tym pieprzonym wiatrem.

Wiktorienko sięgnął przed nosem Gershona i zamknął wewnętrzny luk, grubą metalową pokrywą. Świsł wiatru, paplanina techników ucichły i York poczuła się odcięta od świata. Pogrzebana żywcem.

Usłyszała huk zewnętrznego luku, zatrząskiwanego przez techników.

Hałas śmigłowca opadł do przytłumionego buczenia. Czuła wzmożone bicie serca. Rozległo się dudnienie, a potem miękkie szuranie i drapania. To zapewne przewody ześlizgnęły się po kadłubie modułu.

Ralph Gershon wyjął gumę z ust i przykleił pod fotelem, jakby nigdy nic. Ryk silnika śmigłowca wzrósł. Promienie światła omiały przez krótki czas iluminator York – łopaty wirnika pracowały już nad modułem dowodzenia – i poczuła ostre szarpnięcie, jakby Sojuz zamienił się w ekspresową windę. Powietrze uciekło jej z płuc, ostre kanty fotela wbiły się w plecy i biodra. Uciekający za oknem krajobraz stepu kołysał się w tył i w przód, iak gipsowy model w symulatorze. Zobaczyła niewielki krąg inżynierów, machających czapkami.

Uniesione

twarzy przypominały zakurzone słoneczniki.

Żwir uciekał koncentrycznymi kręgami po stepie, byle dalej od kapsuły, i technicy odsuwali się chwiejnie, osłaniając oczy dłońmi. A potem ziemia znikła; świat zacieśnił się do krążka chmurnego nieba wypełniającego iluminator.

York zgrzała się w skafandrze. Czuła, jak pot zbiera się na ciele i ścieka strużką po krzyżu. Ale równocześnie niepojęte dziwactwo układu chłodzenia sowieckiego skafandra sprawiało, że marzły jej stopy. Usiłowała skulić palce u nóg, walcząc ze sztywnymi warstwami ubioru.

Miała wrażenie, że leżący obok Gershon składa się z samych łokci. Kamera telewizyjna – prostackie urządzenie, jak żywcem przeniesione z lat pięćdziesiątych – była przymocowana do ściany, tuż nad głową Gershona. York nie wiedziała, czy to coś działa, czy nie. Przed obiektywem wisiała na łańcuszku metalowa zabawka, kosmonauta; kołysała się wraz z kabiną, unoszoną przez śmigłowiec. Wiktorienko zauważył spojrzenie York.

–Podziwiasz mojego przyjaciela, Borysa? Ma nie byle jakie zadanie. – Wskazał palcem. – Widzisz tę kamerę? Cały czas jest nastawiona na Borysa. Ziemia widząc jego podskoki, jest w stanie ocenić, kiedy osiągniemy stan nieważkości. Pomysłowe, nie? – Kapsuła poleciała w prawo. York poczuła, jak ciężar dwóch mężczyzn wprasowuje ją w ścianę. Wiktorienko zahuczał z aprobatą. – To jak w Disneylan-dzie! Ha, ha! Ralph, Natalie, słuchajcie. Musicie sobie wyobrazić, że wracacie na Ziemię w prawdziwym Sojuzie, może po spędzeniu stu dni albo więcej na pokładzie naszej

cudownej stacji kosmicznej Salut.

Wytrzymaliśmy łagodne wstrząsy podczas wchodzenia w atmosferze marne 3 albo 4 g

dzięki

sprytnie opływowym kształtom modułu dowodzenia... i sadza pokryła nasz

iluminator w

wyniku tarcia rozgrzanego powietrza. Ale zrzuciliśmy osłony iluminatorów i

widzimy jasne

słońce, poranek wstający nad Kazachstanem. Teraz włączają się spadochrony, trzy

hamujące,

trzask, trzask, trzask, szybko jeden po

drugim, a potem główny, wielki biały żagiel nad naszymi głowami. – Wiktorienko demonstrował powolne kołysanie się, jak piórka, w powietrzu. – I tak lecimy sobie w dół, jak puszek śniegu, całe trzy tony... – Zamknęła oczy. Była pewna, że coś niechybnie się schrza-ni.

Pytanie tylko kiedy, w jakim stopniu i czy ona zdoła sobie z tym poradzić. Całość nie odbiegała od normalnych zajęć w symulatorze. To była sadystyczna gra, podczas której Wiktorienko był ich panem i władcą. I miał z tego frajdę. Drań. – A teraz zbliża się kulminacyjna chwila! – powiedział Wiktorienko. – Zetknięcie z planetą matką! Ale jej uścisk jest twardy. Więc rozumiecie, w podstawę waszych foteli wpompowano gaz pod ciśnieniem, żeby zamortyzować wstrząs. I niecałe dwa metry od powierzchni nastąpi odpalenie rakietowych silników hamujących, żeby złagodzić uderzenie. Oczywiście, my nie mamy silników hamujących, bo to tylko makieta treningowa... Może będziemy mieli szczęście i wiatr nas oszczędzi, w innym wypadku będzie nami rzucać... Rozległy się trzaski i radio przekazało krótką wiadomość po rosyjsku.

Wiktorienko

potwierdził odbiór i sprawdził czas.

–Trzy, dwa, jeden.

Zwolnione kable zagrzecgotały o kadłub. To śmigłowiec porzucił kapsułę.

Moduł dowodzenia spadł, ściągając ze sobą York.

Sojuz walnął o twardą powierzchnię z wielkim metalicznym plaśnięciem. Zderzenie było gwałtowniejsze, niż York się spodziewała. Niedopasowany fotel werznął się w plecy, wszystkie kanty wbiły się w ciało. – Niech to szlag trafi – wyrzęził Gershon.

„Przynajmniej jestem na Ziemi” – pomyślała. Rozejrzała się szybko po znieruchomiałej, niemal ucichłej kabinie; słyszała odległy hałas wznoszącego się śmigłowca.

„Czy to już?” – pomyślała. „Już po wszystkim? Żadnego rzucania, żadnego toczenia się po powierzchni... czy na pewno jesteśmy na Ziemi?”.

Wtem kapsuła płynnie przechyliła się w lewo, tak że York całym ciałem przygmiotła

Gershona.

–Niech to szlag trafi – powtórzył.

–Co to ma być, do diabła, Władimir?! – krzyknęła York. Za iluminatorem Wiktorienki z niepojętych przyczyn przez krótką chwilę zrobiło się ciemno. Rosjanin wyszczerzył wszystkie zęby w uśmiechu. – Najwyraźniej coś się schrzało.

Teraz kapsuła potoczyła się w drugą stronę, na prawo, i dwaj mężczyźni legli na York.

Za jej iluminatorem była mulista srebrnoszara woda, pełna banieczek powietrza. „A więc to tak” – pomyślała York. „Taką awarię nam zaplanowali. Sojuz miał wylądować na lądzie...”.

–Niech to szlag – powiedział Gershon.

–Witajcie w jeziorze Tengiz – powiedział Wiktorienko. – Jezioro Tengiz, słony zbiornik, całe dwadzieścia mil szeroki i zaledwie sto mil od... York zajęczała.

–Czy naprawdę musimy to przechodzić? Po co ćwiczyć wodowanie? Nie dość awaryjnego zdjęcia z orbity przez Sojuza?

–Wolelibyście, żeby spotkało was coś takiego bez przygotowania? Każde ćwiczenie odwołuje się do jakiejś przewidywanej sytuacji. Musicie to zrozumieć. Nasi kosmonauci uczą się ratować z wszelkich sytuacji zagrożenia życia. – Nie z takich, z których nie da się go uratować – zaprotestowała York. – Ale podczas misji tak naprawdę tylko kilka razy można się pożegnać z życiem, przeważnie zawsze jest jakieś wyjście. Obecny trening obejmuje tylko jedną ewentualność.

Oczywiście, za jej zaplanowanie musicie podziękować mojemu starymu przyjacielowi, Joe'emu Muldoonowi.

Gershon odkleił gumę spod fotela, zmiękczył w urękawiczonej dłoni i wsunął z powrotem do ust.

–Do diabła z Muldoonem – powiedział. – Iz tobą. Rosjanin przyglądał mu się wstrząśnięty i zafascynowany.

–Dobra, Władimir, zastosujemy się – powiedziała York. – Mów, co robić.

–Zestaw przetrwania – powiedział Wiktorienko. Rozpiął swój skafander.

York poczuła obezwładniający ciężar. Ale nie miała wyboru.

Zdjęła hełm i wcisnęła go pod fotel.

Zewnętrzna warstwa skafandra była z grubego sztucznego tworzywa, pełna kieszeni, szlufek na narzędzia i kłapek. Rozpięła go z przodu, odsłaniając zwinięte rulony materiału związane gumkami, „wyrostek robaczkowy”. Kiedy zsunęła gumowe taśmy, materiał się rozwinął.

Zewnętrzna warstwa rozłożyła się wokół niej jak balon, z którego upuszczono powietrze. York zabrała się do wewnętrznej warstwy – z elastycznego materiału, nie przepuszczającego powietrza.

W ograniczonej przestrzeni, w której sufit był zaledwie kilka cali od jej nosa, poruszanie się było praktycznie niemożliwe i York wciąż zahaczała rękami i stopami o przyrządy i przełączniki. W kabinie zapanował chaos, kiedy trójka wijących się kosmonautów walczyła z ubraniami i płatającymi się elementami wyposażenia, które wciąż przesuwały się wte i wewte, od ściany do ściany, od podłogi do sufitu. – Będzie wam łatwiej, jak sobie pomożecie! – krzyknął radośnie Wiktorienko.

–Odwal się – powiedział Gershon.

York zdarła z siebie skafander, zostawiając tylko ciepłą bieliznę, rajstopy i podkoszulek z długimi rękawami. Zaczęła wkładać zestaw przetrwania: czerwony sweter, kombinezon, kamizelkę, grubo watowane spodnie, kurtkę... – Ruszacie się jak muchy w smole! – warknął Wiktorienko. – Jak muchy w smole! Musicie działać jak jedna drużyna. Na Marsie, czterdzieści milionów mil od Ziemi, będziecie mieli tylko kolegów z załogi. Musicie szukać pomocy u siebie nawzajem, jak dziecko u matki, instynktownie, bez pytania. Rozumiecie? I pomoc musi być niesiona bez zastanawiania się i bez wahania. Musicie się tego nauczyć. Jutro wszystko pójdzie wam lepiej. – Chyba żartujesz – parsknęła York. – Musimy przechodzić przez to wszystko jeszcze raz?

Wiktorienko nakładał strój, nie przestając ich pouczać. – Posłuchajcie. Nasz trening, radziecki, jest cięższy niż wasz i niektórzy z NASA zaczęli to rozumieć. Pewne nasze ćwiczenia zakładają, że nie ma szansy na pomoc z zewnątrz. Nie ma ekipy ratunkowej! Bo na Marsie będziecie tylko wy! Wszystko to jest celowe. Bo kiedy człowiek zda sobie sprawę, że pomyłka może go kosztować zdrowie, a nawet życie, sytuacja się zmienia. Nagle wie, że musi się maksymalnie skupić. W kosmosie potrzeba wielkiej odwagi i pomysłowości, żeby działać jeszcze długo po tym, kiedy pierwszy lepszy frajer już by się poddał i tylko czekał na pomoc z zewnątrz. Moim zadaniem jest oduczyć was frajerskiej nadziei i zrobić z was ludzi. York była zmęczona, obolała i zirytowana do granic wytrzymałości. Kłopot w tym, że w NASA byli tacy, którzy akceptowali sowieckie twarde podejście; przeważnie chłopcy ze starej gwardii, lotnicy wojskowi, którzy uznali, że astronauta są rozpieszczani.

Na przykład

Joe Muldoon, stary kumpel Wiktorienki z orbity Księżyca. Już sobie wyobrażała, jak peroruje: „No, są rozpieszczeni. Zwłaszcza ten cholerny nowy miot, który nawet nie powąchał wojskowego drylu, a któremu marzy się lecieć na Marsa...”. – Wszystkie te supermęskie ćwiczenia nie pomogły Benowi Priestowi i reszcie, no nie?

Wiktorienko przyjrzał się jej z uwagą.

–Nie, nie pomogły Benowi Priestowi – powiedział łagodniejszym tonem. Podciągnął mankiety grubego swetra. – Słuchaj, Natalie. Jest taka stara rosyjska bajka. Młoda dziewczyna, Maruszka, była sławną tkaczką. Fama o niej dotarła aż do złego czarownika, nieśmiertelnego Kaszeja, który zakochał się w niej i zapragnął mieć ją dla siebie. Odrzuciła go, mimo jego czarów, gdyż była skromna i chciała pozostać w rodzinnej wiosce. Rozwścieczony Kaszej zamienił ją w ognistego ptaka o cudownym upierzeniu, a sam wszedł w postać czarnego sokoła. Sokół porwał w szpony ognistego ptaka i uleciał z nim w dal.

Maruszka wiedząc, że umiera, zapragnęła zrzucić swoje śliczne pióra. Opadły na ziemię tam, gdzie mieszkała. Oddała życie, ale jej pióra zyskały czarodziejską moc. Pozostały żywe, ale tylko dla tych, którzy cenią piękno i potrafią dzielić się nim z innymi... Tak samo jest ze śmiercią kosmonauty. Żaden z nas nie ginie na próżno, Natalie York. Moduł dowodzenia zakołysał się mocniej, o kilkadziesiąt stopni. Woda zagulgotała, chlustając o kadłub. York miała koszmarną wizję tonącej kapsuły, zabierającej ich w tych watowanych spodniach i reszcie stroju na dno wszawego słonego jeziora.

„Ale tu gorąco” – pomyślała. Krew biła jej do głowy; czuła tętno na szyi i na

skraju jej

poła widzenia wyrosła żółta mgła.

„Chryste, zaraz zemdleje” – pomyślała.

Nagle kabina znów się zakołysała i York poczuła żołądek. Ślina zebrała się jej w gardle. Nie, to nie zemdlecie – uzmysłowiła sobie.

Odwróciła się ku ścianie. Wymiociny zaraz obryzgały iluminator, ścianę i

spłynęły na

siedzisko fotela.

Poczuła dłoń na ramieniu.

–York. Dobrze się czujesz? – To był Gershon. Odpędziła go machnięciem ręki.

Chciała coś powiedzieć, ale wciąż miała skurcz w gardle. Smród dotarł do

Gershona. – O

Jezu. – Pochylił się, chowając głowę za oparcie fotela i też zaczął wymiotować,

głośno,

obficie.

Wiktorienko się roześmiał.

–No, popatrz, Borys, więc tylko ty i ja jesteśmy mariaki, jak należy, hę?

–Niech cię szlag – zajęczał Ralph Gershon.

Woda chlupotała o kadłub Sojuza, a kosmonauta Borys kiwał się na srebrnym łańcuszku nad York.

Natalie zastanawiała się, co się stało z gumą Gershona.

lutego 1981 roku

„...Bez wahania poświęciliśmy w całości ten artykuł wstępny raportowi komisji prezydenckiej zwołanej w sprawie katastrofy Apollo-N, który po tygodniach przecieków, plotek i zaprzeczeń został w końcu oficjalnie ogłoszony. Raport liczy trzy tysiące stron, waży dziewiętnaście funtów i nie przebiera w słowach. Wynika z niego jasno, że wypadek nie był spowodowany przypadkową awarią w sensie statystycznym, ale doprowadziło do niego niezwykle nawarstwienie błędów, połączone z wadami na etapie projektowania. Katastrofa Apolla-N wywołała gorącą narodową debatę, zainicjowaną przez sceptyczny Kongres, a skupiającą się wokół zagadnienia, czy nasz kraj powinien wydawać miliardy dolarów na wysyłanie ludzi w kosmos po to tylko, żeby zostawili na innych planetach flagę narodową i ślad swojego buta, kiedy mamy tak wiele problemów na Ziemi.

Badania opinii publicznej wskazują, że wielu obywateli pyta, czy taki program nie kosztuje zbyt wiele, i uważa, że wyprawa na Marsa będzie taką samą polityczną pokazówką, jak wyścig na Księżyc.

Tymczasem wielu wybitnych naukowców, takich jak profesor Leon Agronski, były doradca naukowy prezydenta Nixona, twierdzi publicznie, że mniej kosztowne próbniki bezzałogowe mogą nas nauczyć o wiele więcej o składzie Marsa i innych planet niż astronauty.

Z drugiej strony, zwolennicy programu kosmicznego wskazują, że przeciętny Amerykanin wydaje rocznie więcej na papierosy i alkohol niż na posłanie swoich rodaków na inne planety i że kontynuacja programu przyniesie niesłychane korzyści naukowe i techniczne.

Redakcja podtrzymuje sceptyczne stanowisko w tej sprawie. Najostrzejsza część raportu to bezpardonowe oskarżenie NASA i jej głównych wykonawców. Śledztwo komisji odkryło wiele braków w projektowaniu i doborze technologii, wytwarzaniu i kontroli jakości. Wskazano wiele innych zaniedbań, poza prostym i dającym się uniknąć defektem, który doprowadził do samej tragedii. Redakcja jest oburzona niewiarygodnym samozadowoleniem inżynierów NASA. Nawet uczeń liceum wie, że nie wolno posyłać w przestrzeń kosmiczną rdzenia atomowego, który jest z zasady niestabilny.

Wygląda na to, że nasz naród będzie kontynuował drogę na Marsa i dalej; sukcesy w podróżach kosmicznych stały się istotnym elementem wizerunku Stanów Zjednoczonych, niezbędnym, jeśli chcemy zachować naszą pozycję światowej potęgi w nauce i technice; wizerunku przekazywanego Związkowi Sowieckiemu, naszym

sojusznikom, nie-zaangażowanym krajom Trzeciego Świata i – co być może najważniejsze – własnym obywatelom. Nie powinniśmy też zapominać, że w myśl zimnych, politycznych kalkulacji skreślenie programu kosmicznego spowoduje drastyczne załamanie przemysłu lotniczo-kosmicznego, nieunikniony spadek miejsc pracy i zamknięcie zakładów pracy tego działu wytwórczości.

Lecz gdy zostawimy za sobą Apolla-N i postaramy się działać dalej, nie powinniśmy nigdy zapomnieć suchych faktów przedstawionych w raporcie komisji prezydenckiej, oskarżających kierownictwo NASA o wielką niekompetencję i zaniedbania...”.

Piątek, 27 lutego 1981 roku

Kwatera główna NASA, Waszyngton

Joe Muldoon zapowiedział się w waszyngtońskim biurze Freda Michaela. Pojawił się nieco po siódmej, przyleciawszy samolotem z Houston. Nie podnosząc się na powitanie, Michaels skinieniem ręki wskazał Muldoonowi fotel.

–Siadaj, Joe. Fajnie, że jesteś. Chcesz się czegoś napić?

–Jasne – powiedział niepewnie Muldoon, oceniając wzrokiem gospodarza. Na rogu biurka stała karafka i szklaneczki; Michaels nalał szczerze Muldoonowi i podsunął mu trunek. To był dobry burbon z Ken-tucky. Pokój był ciemny, tchnący powagą, światła przygaszono; najjaśniejszym punktem był telewizorek w kącie. Była pora wiadomości, ale Michaels wyłączył wcześniej fonię. Kiwał się w fotelu, opierając buty na blacie; wyszywana złotem kamizelka wisiała na nim rozpięta, a słabe światło pogłębiało i tak głębokie zmarszczki, kiedy – w typowy dla siebie sposób – czekał, aż Muldoon powie to, co ma do powiedzenia. Muldoon zaczął od opisanie, jak wchodzi w nową dla siebie rolę szefa Biura Programu.

–Wykonawcy NERVA zachowywali się tak, jakby to był ich własny pieprzony folwark, Fred. A te dranie z Marshalla nie kiwnęły nawet palcem w bucie, żeby zmienić stan rzeczy.

Michaels śledzący jednym okiem wiadomości, wruszył ramionami. – Może to trochę za ostro powiedziane, Joe. Narzuciliśmy im harmonogram napięty, jak jasna cholera. Może za bardzo napięty.

–Nie, nie w tym rzecz. Przeważnie po prostu olewali robotę. Na przykład, kiedy pierwszy raz przyjechałem do Michoud, na poligon doświadczalny S-NB, wlałem na techników, którzy doili piwo podczas lanczu. To po prostu oburzające, przecież robili urządzenia do lotu załogowego. I zobaczyłem faceta przetaczającego paliwo ze zbiornika naziemnego do wieży startowej. Spytałem go, dokąd płynie to paliwo. Powiedział:

„Zabij mnie, nie wiem”. Uwierzysz? Facecik pobierał paliwo jednym końcem przewodu i nie miał pojęcia, gdzie jest wetknięty drugi! Po tym wydarzeniu powiedziałem im, że od tej pory każdy inżynier ma znać na wylot układ, który obsługuje – musi wiedzieć, skąd przychodzi materiał, dokąd jest przesyłany i musi się orientować, co i jak może się spieprzyć pomiędzy, na każdym odcinku. Każdy z tych facetów musi mieć orientację od a do zet. Zrobiłem listę... mam dla ciebie kopię... jakichś trzydziestu nie pasujących X7z7y, które wpadły mi w oko przez pierwszą godziną tam, na miejscu. Marnotrawstwo materiałów, marnotrawstwo

czasu, brak rozgraniczenia stref wykonawstwa... Jasne, napięty harmonogram też działa przeciw nam. Ale kiedy wytwórcy olewają robotę, nie ma mowy, żeby dotrzymywali terminów. No i zaczyna się chodzenie na skróty podczas testów, żeby zdążyć na czas, a koniec jest taki, że dostajemy wszystko po terminie i samą łataninę. Michaels kiwał głową, drapiąc się w grube fałdy podbródka.

–No. Rozumiem. Dobrze się spisujesz, Joe. Właśnie po to cię wziąłem. – Fred, gdzieś pobłądził. Za czasów Programu Apollo nie było mowy o takich gównach; w całym kraju pracowało się jak ta lala. Teraz żeśmy się obsunęli. Michaels mruknął na znak potwierdzenia i pociągnął burbona. – Może. Ale wtedy wiele lutczy na nas pracowało. Cel, którego nie dało się lepiej zdefiniować, masa dobrej woli... chociaż Kongres ciął budżet... i, cholera, nie wiem... był w tym wszystkim jakiś duch przygody. Wciąż szliśmy do przodu, Joe, to była nadal wielka przygoda, to był czas nowego, rok za rokiem. I stale ciągnęliśmy pod presją czasu, stale się nam wydawało, że Rosjanie mogą nas wyprzedzić. Teraz jest inaczej – rozmyślał na głos. – Wszystko, co na nas pracowało, się zmieniło. Chociaż stworzyliśmy wizję wyprawy na Marsa, to od dziesięciu lat płączemy się po orbicie ziemskiej. I czym możemy się poszczycić?

Mamy tylko parę puszek po paliwie, które robią za warsztaty, żelastwo z Programu Apollo, wiszące wciąż w górze dziesięć lat po lądowaniu na Księżycu, unowocześniony moduł napędowy Saturna, który ani razu nie poleciał, i śmiercionośną zardzewiałą rurę pod nazwą NERVA.

- Racja, ale popatrz na to bardziej

pozytywnie, Fred. Skylab

-

w

A jest wciąż używalny, prawie dziesięć lat po wystrzeleniu. A gdybyśmy tak go porzucili? Pozwolili, żeby spadł na Ziemię? To byłaby strata jak cholera, a my zrobilibyśmy z siebie pośmiewisko. I Moonlab wciąż jest, gdzie był... – Dobra, dobra. Ale to nadal tylko odpadki z Programu Apollo. Od lat sześćdziesiątych kręcimy się w kółko. A tymczasem świat nie stoi w miejscu, Joe. Nie mamy tej przewagi, co przed dekadą. Rosjanie wciąż latają na Sojuzach i Salutach... – Ale my mamy nowocześniejszy sprzęt niż oni.

–Może, ale ich rekordy przebywania w przestrzeni pięknie dają nam w dupę. I nie tylko Sowieci pokazują, co potrafią. Nawet nasi kumple zajmują miejsca, któreśmy opuścili.

Europejczycy wysyłają swoje Ariane od paru lat, więc ani się obejrzymy, a zostaniemy w tyle w lotach komercyjnych nawet za tak zwanymi sojusznikami. – Potarł garbek nosa tłustymi palcami i przymknął oczy. – A, do diabła. Przeleciało kolejne osiem czy dziewięć lat i dalej próbuję przemodelować program kosmiczny, żeby nowy prezydent go łyknął. Dalej staram się przewidzieć, czym zaskoczy nas przyszłość i jak zachowa się nowa ekipa w Białym Domu. Może wy nie widzicie tego tak ostro, chłopaki; wiem, jak to jest, kiedy się tkwi po uszy w programie. Ale sprawy strasznie się zmieniły od 1971 i 1960, strasznie się zmieniły...

Muldoon mruknął na znak zgody.

–No, ja się rozglądam, Fred. Widzę zmiany. Mimo tej całej afery z Afganistanem, zimna wojna to już przeszłość. A przynajmniej ludzie chcą tak myśleć. I jeśli kosmos to była tylko taka zastępcza wojna...

–...To po co ona nam teraz? – Michaels uśmiechnął się nad szklaneczką. –

Dobrześ

to sobie wykombinował. Fajnie było grać tą kartą, kiedy nam odpowiadała, Joe;

być może bez

niej nigdzie byśmy nie polecili. Ale teraz ludzie mają jej po dziurki w nosie,

a my jesteśmy

splaceni. Ale z drugiej strony...

–No...? – ponaglił go Muldoon.

–Z drugiej strony może wciąż dałoby się wykorzystać parę aspektów tej sytuacji.

Wiesz, że Reagan zwiększa wydatki na wojsko.

Muldoon mruknął twierdząco.

–Jasne. A poza tym tnie podatki i resztę budżetu. – I nie myśl, że się to zmieni, nie za Reagana. – Michaels mówił z namysłem, kalkulując. – Haig twierdzi, że cała carterowska kampania na rzecz praw człowieka to była pomyłka; że musimy postawić się Sowietom, i że to oni są wciąż głównym zagrożeniem.

Co więc z tego dla nas wynika, Fred?

Michaels uśmiechnął się ze zmęczeniem.

Powinieneś widzieć takie aspekty, które są dla nas korzystne. Musimy tak się ustawić, żeby objęła nas ta część budżetu, która wzrośnie nie ta, która zostanie obciążona. Jeśli cała forsa ma popłynąć do obrony, to my musimy się znaleźć przy wodopoju. Będzie trzeba się trochę przeorientować. – Pociągnął kropelkę whisky. – No, a poza tym trzeba będzie podejść samego Reagana. To stary kabotyn. Wiesz, pracuję z nim i jego ludźmi, od kiedy dostał nominację na prezydenta. I tak mi się widzi, że Reagan zapatrzył się trochę na Johna Kennedy’ego. A może raczej chciałby, żeby ludzie w końcu dali sobie spokój z Kennedym, po tych wszystkich latach wynoszenia go pod niebiosa. Wiesz, że Reagan atakował w zeszłym roku Cartera i Teda Kennedy’ego za to, że nie utrzymali budżetu NASA na odpowiednim poziomie. Musiał to zrobić, bo taki jest program republikanów. No cóż, czas wziąć za słowo starszego pana. I może to bajoro, w którym się miotamy po tamtym interesie z NERVA, to jest jakaś okazja dla Reagana. Szansa, żeby wytyczyć nowe kierunki. Program kosmiczny do papierka lakmusowy nowego rządu, sposobność pokazania, co jest wart. Kennedy miał Księżyc, Nixon program dalekiej wyprawy na Marsa... Joe, tak myślę, że gdybyśmy wyszli z jakimś programem, z jakimś wyraźnym celem, który obiecywałby odbudowę naszego wizerunku i w perspektywie kilku lat przywróciłby krajowi przewodnictwo w przestrzeni kosmicznej... powiedzmy, pięciu czy sześciu, kiedy Reagan wciąż jeszcze byłby w siodle... on by to kupił. – Załawione oczy zaśniły. – I teraz jest czas, żeby się spać, kiedy jego rząd wciąż się kształtuje. Ale...

–Ale co?

–Ale Reagan to nie Kennedy. A Bush to już na pewno nie Johnson. Oświadczenie prezydenta nie wystarczy. Nie jestem pewien, czy uda się nam zebrać i utrzymać koalicję zainteresowanych popierających taki program. A poza tym, skoro NERVA okazał się niewypałem, to co my podsunie my Reaganowi, Joe? – Nalał sobie kolejną szklaneczkę. – Ach, Boże. Nie wiem, czy to jeszcze uciągnę. Mam za sobą i niekończących się opóźnień, przekraczanych budżetów i wykorzystałem spory kredyt zaufania w Kongresie. A teraz ten numer z NERVA. Nie mam pojęcia, czy stać mnie znów tam leżać i walczyć. Nie wiem, czy w ogóle powinienem jeszcze próbować.

Muldoon nagle zdał sobie sprawę, że Michaels myśli o poddaniu się, i kiedy to do niego dotarło, przeszedł go dreszcz, wstrząs. Jakim cudem nie zauważył tego wcześniej?

Bo nie chciał tego zauważyć.

Dla Muldoona NASA pozbawiona przywództwa Freda Michaela była czymś równie nie do pomyślenia, jak dla większości Amerykanów. Muldoon znał wystarczająco dobrze mechanizmy działania NASA, żeby wiedzieć, jakim człowiekiem powinien być dyrektor Agencji. Tu nie chodziło o naukowca czy inżyniera. To musiał być ktoś, kto rozumiał wielkie problemy polityki państwa i społeczeństwa. To musiał być menedżer, ktoś potrafiący doprowadzić do efektywnej i efektownej współpracy rozlicznych ośrodków władzy – politycznej i finansowej. To musiał być człowiek, który umiał się poruszać w korytarzach Kongresu, Pentagonu i Biura Budżetu.

I takim człowiekiem był Fred Michaels.

Michaels, jak przed nim James Webb, okazał się osobą zdolną do zbudowania politycznego lobby programu kosmicznego – a potem, co zasadnicze, utrzymania go przez lata. Ciągłość działania Michaela, jego niespożyta energia i poświęcenie prawdopodobnie znaczyły równie wiele jak wsparcie Kennedy’ego, dzięki któremu tryby NASA kręciły się jak należy przez wszystkie długie i pozornie bezowocne lata. Muldoon zdał sobie sprawę, że gdyby fotele w dyrekcji zajmowali ludzie mniejszego formatu, ciężkie czasy nastąpiłyby w NASA dużo wcześniej. „I teraz, w tym najfatalniejszym momencie, on chce się wycofać, dać z powrotem dyla do pieprzonego Dallas” – pomyślał.

Muldoon siedział w mrocznym gabinecie, słuchał Michaela i wpatrywał się w migocący ekran telewizora.

Przypomniał mu się tamten dawno miniony dzień, w którym ojciec wyznał mu, że jest śmiertelnie chory. Wtedy też ziemia usunęła mu się spod nóg, stracił pewność siebie.

„Coś mi się zdaje, że czas zmienić krótkie portki na garnitur dorosłego” – pomyślał.

„Ale co ja mam zrobić, do diabła?”.

Marzec-kwiecień 1981 roku

Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johsona, Houston

Z punktu widzenia Joe’go Muldoona dyskusja i proces decyzyjny dotyczące przyszłości programu kosmicznego uległy dramatycznemu przyspieszeniu w ciągu następnych kilku tygodni.

Reagan poprosił doradców Białego Domu o przedstawienie opinii. Zebranie wąskiego kręgu odbyło się w pokoju wychodzącym na południowy trawnik. Tim Josephson poinformował Joe’go Muldoona o przebiegu konferencji. Uczestniczyła w niej tylko garstka ludzi, przemawiająca i przedstawiająca argumenty przez dobre kilka godzin: dyrektor budżetu, Fred Michaels, Josephson, paru doradców i stary adwersarz Michaela, Leon Agronski.

–To było dla nas ważne, Joe. To mogło być najważniejsze spotkanie od czasów decyzji o locie na Księżyc. Ale większość czasu spędziliśmy, psiocząc na błędne decyzje, przez które wylądowaliśmy w tym bagnie. A Agronski kolejny raz ujadał, że loty załogowe to strata czasu... Wciąż mam wrażenie, że Reagan szuka czegoś pozytywnego, wykonalnego i realistycznego, co może nas wszystkich zjednoczyć; ale jak do tej pory do niczegośmy nie doszli. Grozi nam, że wyjdziemy na winnych sytuacji; Reagan znajdzie swoje cudowne środki podniesienia morale gdzie indziej i skończy się tak, że będziemy tylko wysyłać cholerne satelity szpiegowskie na niską orbitę.

Muldoon nie wiedział do końca, dlaczego Josephson nabrał zwyczaju dopuszczania go do konfidencji. Pozostawało mu podejrzewać, że Josephson dzwoni do kogo się da, wewnątrz i na zewnątrz NASA, próbując pomóc przetrwać Fredowi Michaelsowi w tych trudnych czasach.

Josephson powiedział: „Do niczegośmy nie doszli”. Muldoon wiedział, że to faktycznie prawda.

Tak więc Muldoon – który już pracował na pełnych obrotach w śledztwie w sprawie Apolla-N i dokonując zmian organizacyjnych – podjął własne poszukiwania w godzinach, które powinien przeznaczać na sen.

–Jaki powinien być ten nasz program? – Muldoon spytał Phila Stone’a. Przerzucił przy tym stos kserokopii, czasopism i książek, który zalegał mu na biurku. – Gdybym mógł jeść te propozycje, byłbym najtłustszym człowiekiem świata; jednego nam tylko nie brakuje: pomysłów. Może powinniśmy wrócić na Księżyc i zacząć wydobywać surowce? A może powinniśmy przyholować z przestrzeni asteroidę i z niej pozyskiwać minerały? Może powinniśmy zbudować kolonie w punktach libracji*

[Przyp tłum punkty ulegające pozornej zmianie położenia względem obserwatora, co jest spowodowane nieznacznymi różnicami prędkości ruchu Księżyca.] układu Ziemia-Księżyc. Może powinniśmy zbudować fabryki w kosmosie, wytwarzać kryształy, lekarstwa albo idealnie gładkie metalowe sfery. Może powinniśmy stworzyć wielkie wodne farmy, nad którymi zawsze świeci słońce. A może powinniśmy stworzyć wielomilowe baterie słoneczne, dające energię bez zanieczyszczania środowiska. Może powinniśmy szukać w górnych warstwach atmosfery płynnego tlenu...

W NASA nie brakowało wizjonerów, nowych pomysłów i wszelkiego rodzaju propozycji. Ale brakowało jedności. NASA zawsze była organizacją pozbawioną zdolności długoterminowego planowania; fragmentaryczne pomysły i plany rodziły się zarówno w szeregach, jak i w dowództwie i prawie wszystkie padały ofiarą wojen o wpływy. Stone machnął ręką.

–Wszystko to piękne, Joe. Ale nie widzę w tym niczego szczególnego.

–O co ci chodzi?

–Sowieci już nas wyprzedzili pod względem orbitalnego montażu wielkich układów i mają większe doświadczenie w długich lotach. Mamy do nich opóźnienia już na starcie.

Cokolwiek byśmy zrobili w tej sferze, łatwo dadzą nam łupnia. I jest coś takiego w tym wszystkim, w tych fabrykach i elektrowniach orbitalnych, że jest to takie... – Jakie?

–Bezpłciowe. Ponure. Ruskie. Joe, nigdzie nie zajedziemy z tymi pomysłami. I od czasów Programu Apollo nigdzie żeśmy z nimi nie zajechali. – Co więc nam pozostaje? Jakaś pokazówka?

Lot na Marsa. W każdym razie do tego sprowadzała się istota rzeczy przez ostatnie dziesięć lat, no nie?

Ale nigdy nie mieliśmy Programu Mars, czegoś takiego jak Program Księżyc w latach sześćdziesiątych. Istota sprawy polegała na tym, że rozwijaliśmy technikę krok po kroczku – silnik atomowy, nowa osłona cieplna, nowe techniki nawigacyjne, gromadzenie doświadczeń w drugich lotach i tak dalej. Gdybyśmy się zdecydowali, pewnego dnia można by to wszystko złożyć i mielibyśmy misję na Marsa, ale też wszystko ma budowę modułową i w razie konieczności może sprostać rozlicznym wymaganiom, zależnie od zmiennych potrzeb...

Stone gruchnął śmiechem.

–Musisz się ruszyć z za tego biurka, Joe. Zaczynasz tak mówić, jakbyś zapuścił

tam

korzenie.

Muldoon burknął coś po nosem i przetarł oczy.

–Zresztą nieważne. Jest pewne jak w banku, że na Marsa nie polecimy. Już ani za mojego życia, ani za twojego, Phil.

–Jesteś taki pewny? Mamy większość elementów. Wiemy, jak zorganizować misję dalekiego zasięgu.

–Pewnie, że jestem pewny. Pamiętaj, że cholerny atomowy silnik rozwalił się na orbicie. Rosjanie wciąż przesyłają zdjęcia tego cholerstwa, jak świeci nocą na niebiesko. Z tego, co słyszę, nie ma mowy, żeby znów nam pozwolono wykorzystać NERVA do lotu. AbezNERVA...

–Można się pożegnać z misją na Marsa. Chyba że się poleci na silniku chemicznym.

–No – warknął Muldoon. – Ale jak? Masz, spójrz na to. – Zaczął grzebać na biurku, aż znalazł Iśniący raport, pełen efektownych, kolorowych zdjęć. – To od Udet'a i jego chłopaków z Marshalla. Przerobili swój stary projekt, jeszcze z wczesnych lat sześćdziesiątych. Słyszałeś kiedyś o studium EMPIRE? – Nigdy.

–Robota Marshalla i paru dostawców, jeszcze w latach sześćdziesiąt dwa, trzy. Program Apollo-Saturn dopiero się krystalizował i inżynierowie pytali, co jeszcze, do diabła, możemy zrobić z tym interesem? I wpadli na pomysł EMPIRE – planetarnych i międzyplanetarnych wypraw załogowych. Spójrz na to. Niektóre z wariantów wymagały napędów atomowych, inne tylko chemicznych. W tym okresie sporządzono wiele takich studiów. Wkrótce potem każdy inżynier z przemysłu lotniczo-kosmicznego utkwiał po uszy w Programie Apollo i sprawa ucichła. Stone przekartkował raport. – Więc co Udet teraz chce z tym zrobić?

–Odgrzewa wariant z oblotem Marsa wyłącznie na napędzie chemicznym. Trzeba połączyć kilka trzecich członów S 4 B i posłać trajektorię minimalnego wykorzystania energii na zrobienie rundki wokół Marsa. Do realizacji potrzeba dwóch, może trzech startów Saturnów.

–Oblot Marsa? Do diabła, co to ma być za misja? Muldoon potarł twarz. – No cóż, mówi się o podróży trwającej z siedemset dni i całym jednym dniem sensownej pracy na Marsie.

–Z ekspresową prędkością międzyplanetarną...

–Och i jeszcze jedno. Oblatujesz niewidoczną stronę. Stone się roześmiał.

–Żartujesz.

–No cóż, takie misje proponowano wtedy, w sześćdziesiątym trzecim. Chodziło tylko o to, żeby polecieć. Nikogo nie obchodziło, co będzie dalej, kiedy się już doleci. Program Apollo w istocie sprowadzał się do tego samego. Stone odrzucił raport na biurko.

–Nie możesz tego zaaprobować, Joe. Wyrośliśmy już z takich pokazówek. Mam rację? Na dłuższą metę, pokazowe numery działają przeciwko tobie. Do cholery, Udet i jego

chłopcy powinni mieć tyle oleju w głowie, żeby o tym wiedzieć. Zresztą Kongres i tak by nas wyśmiał.

Muldoon wzruszył ostrożnie ramionami.

–Do diabła, to mogłoby ruszyć Reagana. Stone zastanowił się i rzekł:

–Spójrz na to tak. Co by o tym pomyślała Natalie York? Muldoon najpierw się roześmiał, ale po chwili spoważniał i spojrzał z namysłem na Stone’a:

–Wiesz, masz rację. York to dobry kamień probierczy. – Pomyślał skrycie, że chociaż potrafiła umęczyć człowieka jak wrzód na dupie, to jeśli nie akceptowała idei jakiejś misji, przeważnie nie warto było się w nią pakować. – W porządku. Więc musimy zaplanować misję z wyłącznym wykorzystaniem napędu chemicznego, która dostarczy załogę na orbitę Marsa w sensownym czasie i pozwoli wylądować na powierzchni. Ale w ten sposób wracamy do punktu wyjścia. Nie wygląda na to, żebyśmy mogli zrobić to na chemii.

Stone

wzruszył ramionami.

–Więc znajdź jakiś sprytniejszy sposób, żeby się tam dostać...- Na przykład jaki?

–Skąd ja mam wiedzieć? Joe, jesteś teraz szefem Biura Programu, na litość boską.

Masz tu wielu bystrzaków. Zapędź ich do roboty. Znow się zamyślił. – Może

Natalie York,

hę?

–No. Warto się nad nią zastanowić, no nie?

Muldoon wrócił do śledztwa w sprawie Apolla-N.

Tylko że kiedy tej nocy próbował zasnąć w ciasnym pokoiku w JSC, mając głowę nabitą rozlicznymi, sprzecznymi wymaganiami, które stawiała przed nim nowa i niełatwa

praca, nagle przyłapał się na tym, że myśli o pewnej konferencji, w której dawno temu brał

udział. Było to właściwie seminarium poświęcone wyborowi charakterystyki misji, zorganizowane w Hiltonie von Brauna, u Marshalla. Jakiś face-cik wyskoczył z dziwną

propozycją. (Muldoon przez przeważającą część konferencji odsypiał kaca i nie mógł sobie

przypomnieć szczegółów). Facecik mówił coś o grawitacyjnym wspomózeniu członu napędowego na paliwo chemiczne, o odbiciu się od Wenus w drodze na Marsa. Udet i

inne

dupki z Marshalla wyśmiali gościa.

Jak to dokładnie wyglądało?

O trzeciej w nocy wstał z łóżka, a poczłapał na bosaka do Wydziału Astronautów i zaczął bobrować w starych notatkach i dziennikach, usiłując powiązać rozpiezchłe wspomnienia.

O piątej znalazł to, czego szukał. Gregory Dana – stwierdził. – Jezu. Ojciec Jima Dany.

O siódmej był przy telefonie, szukał Dany.

I tak Muldoon zaczął ostrożnie maczać palce w rekinim oceana-polityki NASA.

Pociągając za odpowiednie sznurki, stworzył krótkoterminowy sojusz ludzi z NASA i wytwórców, który dopracowałby ideę wyklutą w jego głowie. Sam na razie sporządził na chybcika raport dla Michaelsa, podsumowanie dotychczasowych poszukiwań. Przekazał Timowi Josephsonowi kopię roboczą do wypolerowania, wzmacniając w ten sposób ich nie nazwane dwuznaczne porozumienie. A gdy wręczał raport Michaelsowi, posłał kopię Josephsonowi, żeby mieć pewność, iż treść raportu przecieknie od Białego Domu.

Natalie York reprezentowała Wydział Astronautów w grupie roboczej Joe'go Muldoona. Została wysłana do kwatery głównej NASA na spotkanie organizacyjne. Przed pojawieniem się na miejscu mało co myślała o zadaniu. Czuła jedynie wdzięczność wobec losu, że mogła wyrwać się do Waszyngtonu – daleko od żmudnego trudu treningu, który stracił na wartości w obliczu rozchwianego programu, daleko od pustego, nie sprzedanego mieszkania, daleko od wszystkich dziur w jej życiu, które zostawił po sobie Ben.

Ale już w Waszyngtonie stwierdziła, że uczestniczy w spotkaniu, o którym mogła tylko marzyć kilka miesięcy wcześniej i którego realizacji po katastrofie zupełnie sobie nie wyobrażała.

Muldoon wezwał personel ze wszystkich głównych centrów NASA, w tym Udeta i jego zespół z Marshalla, głównych inżynierów i menedżerów wszystkich głównych wytwórców NASA: Boeinga, Rockwella, Grummana, McDonnelli, IBM, innych. Ściągnięcie tak wiele personelu wyższego szczebla zahamowało inne programy, w tym badania po katastrofie Apolla-N oraz program naprawczy, tak że Muldoon naprawdę wyszedł daleko poza swoje uprawnienia.

Ale najwyraźniej uważał, że wcale się nie musi krępować w nowej funkcji i może pociągać za sznurki, jak mu się żywnie podoba.

Stojąc na podium zatłoczonej sali konferencyjnej, wyjaśnił cel sesji. – To spotkanie jest obliczone na dwa tygodnie – ogłosił. – Jego celem jest ustalenie jądra nowego programu kosmicznego. Ni mniej, ni więcej. Oczekuję, że będziecie pracować przez cały czas, w tym w weekendy; zamierzam uwolnić tę grupę od innych zobowiązań waszyngtońskich i przygotowałem pomieszczenia do pracy, stanowiska komputerowe i linie telefoniczne...

Mimo kategorycznego tonu Muldoona, York usłyszała pomruk na sali – „O czym on, do diabła, gada?” – pomyślała. „Co planuje? Bez pieprzonego napędu atomowego nie wybierzemy się nigdzie przez dziesięciolecie, chyba że na niską orbitę ziemską”. Ale nigdy nie widziała Muldoona w takim stanie. Wiedziała już, że trudny z niego człowiek: lunonauta obsesyjnie marzący o powrocie w kosmos, energiczny, z niewyparzoną gębą, kipiący od gniewu, którego nie szczędził nikomu, kto wszedł mu w drogę. Teraz zdominował salę pełną samych twardzieli, grubych ryb NASA.

Promieniował pasją, gniewem i pragnieniem odniesienia sukcesu.

Wyraźnie stał

**się człowiekiem większego formatu; po raz pierwszy zdała sobie sprawę z
przenikliwości**

Freda Michaela, który wybrał tego człowieka na szefa programu kosmicznego po

Bercie

Segerze.

Muldoon zakreślił program spotkania.

–Chcę, żebyście skupili się na podstawach charakterystyki czteroosobowej misji. Trzydziestodniowy pobyt na powierzchni, start w 1985. To będzie bardzo odmienny cel od tego, ku któremu zmierzaliśmy poprzednio; teraz dysponujemy tylko napędem chemicznym i planiści trajektorii będą musieli naprawdę główkować. Obowiązuje nas samo-dyscyplina. To podstawa. Celem jest nakreślenie programu bez fajerwerków, z myślą o tym, co musi i może być wykonane w ramach dostępnej techniki, nie z myślą o tym, co chcielibyście wykonać.

Plan, który stworzycie, również harmonogram, muszą być uczciwe; żadnych obietnic bez pokrycia, żadnych pobożnych życzeń...

York powoli zaczęła otrząsać się z odrętwienia i zdała sobie sprawę, o czym mówi Muldoon, w jakim celu zwołał tę grupą roboczą.

„Lot na Marsa” – pomyślała. „Może to wciąż realne”.

Po raz pierwszy od śmierci Bena poczuła drgnienie ciekawości. Po tygodniu – w środku kurzawy wydruków komputerowych, czasopism technicznych, slajdów, flipchartów, niedojedzonych kanapek i styropianowych kubków na kawę – Muldoon odniósł wrażenie, że coś zaczyna się wyłaniać, coś wykonalnego. Instynkt go nie zawiódł. „Naprawdę coś tu mamy” – pomyślał.

Zaczął rozumieć, czemu Michaels wybrał go do tej roboty. Program Mars zdominował rozwój NASA od 1972 roku... „Nie – zreflektował się Muldoon – wcześniej i inaczej”. Wykoślawił rozwój Agencji po epoce Programu Apollo i zaciążył na wszystkich innych programach.

Zapanowała obsesja jednego, wielkiego, nie nazwanego głośno celu: ludzie na Marsie!

Podporządkowano mu wszystko inne; loty orbitalne wokół Ziemi służyły testowaniu ludzi i sprzętu do wypraw dalekiego zasięgu, programy bezzałogowe skreślano albo przykrawano, żeby spełniały wyłącznie rolę pomocniczą.

Muldoon pojął, dlaczego Michaels tak bardzo mu zaufał. Bo też był monomaniakiem.

Jego własne obsesje dorównywały skali obsesji Agencji.

Był idealnym orędownikiem Sprawy.

Po kilku tygodniach zebrał dość materiałów, żeby przedstawić je dyrektorowi. Za pośrednictwem Josephsona zwołał zebranie u Michaela z udziałem Udet, Gregory'ego Dany, przedstawicieli wykonawców i nawet kilku obłaskawionych senatorów – samych gorliwych zwolenników nowego, wykluwającego się programu. Streścił proponowaną charakterystykę misji.

–Nie obejdziemy się bez członu napędowego zmiany orbity do przerzucenia statku z Ziemi na Marsa i z powrotem. Taką rolę zaplanowano dla S-NB. – Spojrzał na Michaela. – Ale poradzimy sobie nawet bez S-NB. Chodzi o technologię chemiczną. Możemy użyć udoskonalonego drugiego członu Saturna 5, S-2. Mamy studium projektowe Rockwella z 1972. Wynika z niego, że można udoskonalić S-2 do takiej roli, zaopatrując go w silnik główny wielokrotnego zapłonu, izolację, silniki rakietowe korekty pozycji, urządzenia cumujące...

–Ach – mruknął Michaels. – Dranie z Marshalla niezmiennie zmiatały te studia pod dywan, kiedy tylko wpadły im w łapy.

Udet nie odrywał wzroku od slajdu Muldoona i nie zareagował na tę uwagę.

–Należy sprawdzić, czy da się udoskonalić S-2 w wyznaczonym terminie –

powiedział

Dana.

Michaels skinął z powagą głową.

–Dostanie pan wyniki testów, doktorze. – Zrobił notatkę. Muldoon przedstawił następny slajd.

–Paliwo. Jeśli założymy, że użyjemy wodoru i tlenu, to z naszych obliczeń wynika, że będziemy potrzebowali tysiąca ton na wyruszenie z Ziemi, trzystu ton, żeby wyhamować na Marsie i następnie z niego wystartować, siedemdziesięciu ton, żeby wyhamować na orbicie Ziemi. To czyni tysiąc trzysta siedemdziesiąt ton na orbicie ziemskiej w chwili rozpoczęcia misji. Byłoby tego znacznie więcej bez wsparcia

grawitacyjnego doktora Dany. Wsparcie grawitacyjne zapewni oszczędność paliwa. Tak się składa, że maksimum tego, co możemy wynieść na orbitę za pomocą Saturna 5B, to czterysta tysięcy funtów, około sto osiemdziesiąt ton...

–Najpierw musi się okazać, że Saturn 5B potrafi latać – zauważył Dana. – Zdaję sobie z tego sprawę – powiedział Muldoon i zmienił slajd. – Ale to planowanie hipotetyczne, doktorze; mamy aż nadto czasu, żeby sprawdzić faktyczne możliwości. Oto przebieg misji. Najpierw umieścimy na orbicie pustego S-2. Zostanie zacumowany do nowego urządzenia, które nazwiemy: składany zespół orbitalny. To prosty interes, kratownica i silniki korekty pozycji, umieszczony blisko Skylaba. Następnie bezzałogowe 5B wyniosą na orbitę zewnętrzne zbiorniki paliwa. Każdy z nich będzie zawierać przy maksymalnym załadunku siedemset ton płynnego, bezpiecznie izolowanego wodoru i tlenu. Zbiorniki zacumuje się do zespołu orbitalnego.

Kolejne loty

Saturnów 5B wyniosą następne ładunki paliwa, które przetoczy się do zbiorników i samego członu S-2. W sumie trzeba będzie wysłać minimum dziesięć razy Saturny 5B. Pamiętajcie, użycie Saturnów 5B jest spowodowane jednym – tym, że nadają się do wielokrotnego użytku.

Możemy załadować cztery silniki na paliwo stałe i znów wysłać je w kosmos, co doprowadzi do zmniejszenia kosztów w ramach jednego startu. Już projektujemy takie urządzenia startowe, które pozwolą na szybki przeładunek i bezzwłoczne przygotowanie do startu elementów latających. Możemy też połączyć tankowanie z innymi celami, na przykład lotami próbnymi ładownika marsjańskiego. Przy okazji, MEM to zasadniczy niezaprojektowany element; za kilka tygodni roz-piszemy przetarg, jeśli otrzymamy aprobatę... Josephson przygotował serię dodatkowych prezentacji; były tablice i wykresy kosztów, harmonogramy badań rozwojowych i testów. Obliczenia finansowe opierały się na założeniu, że program będzie miał charakter stopniowy; najpierw loty próbne rozlicznych komponentów, działających w różnych konfiguracjach w przestrzeni wokółksiężycowej, potem dopiero wstępna seria trzech misji operacyjnych. Prezenterzy demonstrowali, że nowa technika może być również wykorzystana do powrotu na Księżyc, utworzenia bazy na Marsie oraz do orbitalnej misji wokół Wenus. Nowy program miał być bazą, nie tylko jednora-zówką na Marsa, ale szeroką ekspansją w ramach całego Układu Słonecznego. Michaels słuchał z zamkniętymi oczami, jakby zasypiał. Obwisła twarz wytrawnego polityka nie wyrażała nic.

Po zakończeniu prezentacji pomasował garbek nosa i worki tłuszczu pod załzawionymi oczami.

Poprosił Muldoona o pozostanie.

–Wykonałeś cholernie dobrą robotę, Joe. To, coś mi tu dostarczył, wygląda przekonująco. A Biały Dom już mnie naciska, żebym wyszedł z prozycjami w tym stylu. – Muldoon poczuł szybsze bicie serca. Michaels sięgnął do biurka, wyciągnął butelkę burbona i dwie szklanki; napełnił je na grubość palca. – Powiedz, co sądzisz o długoterminowych planach NASA.

Muldoon zastanowił się i zaczął formułować rozbudowaną, wyważoną odpowiedź.

Ale nagle uciał wszelkie wybiegi.

–O jakie długoterminowe plany chodzi?

–Dobrze kombinujesz – mruknął Michaels. – Te zespoły doradców w centrach decyzyjnych pładzą tony cholernych pomysłów. No i pięknie. Ale ja zawsze broniłem

się rękami i nogami przed sformułowaniem jakiejś jednoznacznej długoterminowej strategii Agencji. Przez cały czas, jak tu jestem. Wiesz czemu? Bo loty załogowe zawsze napotykają sprzeciwy, jak jasna cholera. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. I każdy plan, który stworzę... każde cholerne oświadczenie... to polityczny truposz, tylko cel, w który nasi przeciwnicy będą walić jak w bęben. Nauczyłem się tego wszystkiego od Jima Webba jeszcze w latach sześćdziesiątych. Webb bronił Agencji za wszelką cenę – nawet za cenę swojego dyrektorskiego fotela. On wiedział, co znaczy powodzenie Programu Apollo, a tym bardziej jego klęska lub zaniechanie. Od tego częściowo zaczęło się to całe bagno, w którym dziś tkwimy – Ale, Joe, musimy wyciągnąć wnioski z tamtej lekcji. Nawet jeśli znaczyłoby to, że musimy zaryzykować przyszłość Agencji...

Nalał jeszcze po miarce i mówił dalej, o taktyce, szczegółach propozycji, o możliwym poparciu armii, przemysłu lotniczo-kosmicznego, innych grup nacisku. Muldoon powoli zaczął sobie uświadamiać, że Michaels myśli na głos, wymacuje drogę. „Rozważa taktykę” – pomyślał. „Może jest zmęczony, ale jeszcze ma siły; przewiduje, co będzie musiał zrobić, żeby puścić maszynę w ruch. Kupił to”. Po spotkaniu z Michaelsem Udet odszukał Dana.

–Doktorze Dana. Musimy porozmawiać. Wierzę, że w głębi serca my dwaj mamy jedną ambicję.

–Kiedyś chyba bym tak powiedział – odparł Dana niepokojąco łamiącym się głosem.

Szkła okularów ukrywały wyraz jego oczu. – Ale teraz nie jestem tego pewien. Teraz jestem gotów pogodzić się z tym, że za mojego życia nie ujrzę ludzi lecących na Marsa... jeśli taka próba będzie się łączyć z ryzykiem nie do przyjęcia. „Tak, tak – pomyślał Udet – niemniej jednak przyjąłeś zaproszenie Muldoona do tej grupy roboczej. Gdyby to twoje marzenie było tak wątpliwe, jak twierdzisz, wcale byś tu nie siedział”.

Udet czuł dziwne uniesienie i ulgę; miał nieomal wrażenie jedności z tym niepojętym zgorzkniałym człowieczkiem. „Bitwa już jest wygrana, Hans” – odezwał się jakiś głos w jego głowie. „Ale nie postępuj pochopnie, bo to niebezpieczne”. Odrzucił głos ostrożności.

–Doktorze Dana. Myślę, że musimy podjąć pewien temat, którego nie poruszyliśmy. W jakiś dziwny sposób przepracowaliśmy wspólnie wiele lat. I mimo osobistych nieporozumień mamy wielkie osiągnięcia. Ja zbuduję ten statek. I to będzie pomnik na cześć pańskiego syna.

Dana odwrócił głowę, sztywno i błyskawicznie jak wieżyczkę działa.

–Mojego syna nic z tobą nie łączy, Udet. Niech ci się nie wydaje, że masz do

niego

jakieś prawa.

–Ależ w żadnym wypadku. Chciałem tylko...

–

–Co zaś się tyczy ciebie i mnie... więź między nami sięga głębiej, niż ci się wydaje.

Udet poczuł ukłucie strachu.

–Co chcesz przez to powiedzieć?

–Że byłem w Mittelwerk.

Dana podniósł swoją teczkę, skłonił się lekko i wyszedł. Całe uniesienie Udet, nastrój triumfu, znikły; poczuł się tak, jakby do tej pory nieświadomie bawił się naładowanym pistoletem.

Mittelwerk. On tam był, jeden z tysięcy ludzi, na których nie zwracał uwagi.

„Mój

Boże – pomyślał – ten absurdalny człowieczek ma nade mną władzę, która może nie mieć granic”.

Po naradzie u Michaela wydarzenia nabrały tempa, które zaskoczyło nawet Muldoona.

Nowa propozycja napotkała dający się przewidzieć sprzeciw ze strony Leona Agronskiego z MIT. Agronski zaatakował NASA za to, że w dalszym ciągu przykłada zbyt wielką wagę do lotów załogowych. Podniósł również zarzuty natury ekonomicznej. Z jego obliczeń wynikało, że podczas gdy badania i wdrożenia w zakresie kosmonautyki pochłonęły trzydzieści pięć procent wydatków państwa na wszystkie badania i wdrożenia, to podniosły jedynie o cztery procent cenę produktów amerykańskich. Ale Michaels przebił to dowodami, świadczącymi, że dwie trzecie całego wzrostu gospodarki od Wielkiego Kryzysu roku 1929 było związane z nowymi technologiami i że zwrot z inwestycji w NASA do roku 1980 wyniósł czterdzieści trzy procent. Zgodnie z oczekiwaniami Michaela, Agronski zaatakował również nowy program z pozycji naukowych. Michaels odparował te zarzuty, mówiąc, że NASA planuje kilka roboczomiesięcy na Marsie za cenę ułamka kosztów Programu Apollo, który zapewnił jedynie kilka roboczotygodni na Księżycu...

Tymczasem działając na innym froncie, Michaels rozpoczął negocjacje z szefem Ministerstwa Obrony, który podejrzewał – i słusznie – że Michaels ostrzy zęby na część miliardowych funduszy, które Reagan obiecał wojsku. Tak więc Michaels musiał uzyskać poparcie Obrony dla tego nowego cywilnego przedsięwzięcia w kosmosie. Jednak kłopot polegał na tym, że nie mógł wskazać armii bezpośrednich korzyści współpracy z Agencją. Widząc, że Sowieci wysłali na niską orbitę całą serię Salutów, wojskowi, a lotnicy w szczególności, walczyli zajadle o nowy program, ograniczony do lotów niskoorbitalnych, zwiadowczych i innego charakteru, pasujących do strategicznych założeń programu Reagana. Poza tym interesowało ich tylko przyspieszenie eksperymentów z bronią kosmiczną, służącą do zwalczania pocisków międzykontynentalnych. Michaels starał się przekonać Obronę, że Program Mars przyniesie jej pewne korzyści.

Wskazał, że rozwiązania techniczne misji – na przykład technologia tankowania na orbicie – mogą zostać wykorzystane do celów militarnych. A loty próbne posłużyłyby eksperymentom wojskowym.

Sprawa miała też szersze aspekty, związane z żywotnością przemysłu lotniczo-kosmicznego, co Michaels nie omieszkał wskazać. Nowa szeroka inicjatywa

kosmiczna dałaby gospodarce potężny – chociaż inflacjogenny – bodziec. Jeśli chodzi o stanowisko polityków, decydujących, dokąd popłyną fundusze rządowe, to Michaels grał na podejrzeniach, zrodzonych jeszcze w latach pięćdziesiątych, że żaden rodzaj sił zbrojnych nie jest tak bardzo pozbawiony kontroli władzy cywilnej, jak lotnictwo. Od początku starało się o własny program kosmiczny, niezależny od poczynań NASA, co w ostatnich latach doprowadziło do znacznego wypaczenia Programu Skylab. Wskazywał też, że misja załogowa na Marsa połączona z nowymi działaniami natury militarnej mogła być atrakcyjnie sprzedana opinii publicznej: „Nie dość, że USA potrafią same się obronić, to jeszcze są na tyle bogate i silne, że stać je na marzenia o innych planetach...”. Tak więc nowy program kosmiczny o charakterze cywilnym – bogaty w nowe technologie, ale pozostający poza zasięgiem Obrony, zwłaszcza USAF – mógł zaprezentować się atrakcyjnie w sferze politycznej.

I tak wysuwano kolejne argumenty, wedle programu ułożonego przez Michaela i Josephsona, który skupili wokół siebie sterników polityki państwowej, nadając programowi taki kształt, jaki im odpowiadał. W końcu wszystko to zawędrowało na wyżyny teorii gospodarki i areny politycznych siłaczy. Joe Muldoon, nieborak lunonauta, Pozostał na nizinach.

Następnie Michaels i jego personel, w tym Muldoon, zostali wezwani na konferencję w Białym Domu z delegacjami Obrony i Biura Budżetu. Po spotkaniu sam Reagan zwołał naradę ministrów, NASA, Budżetu, Obrony i oficjeli z MIT. Michaels był wyraźnie wyczerpany, ale Muldoon zdawał sobie sprawę, że jego zwierzchnik stara się jak może, żeby wykorzystać resztkę sił, która mu jeszcze pozostała, na spotkanie w Sali Ministerialnej. Michaels wiedział, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, ale nadal trzeba pokonać ostatnią przeszkodę.

Reagan stawiał zaskakująco bystre pytania, odnoszące się do szerszych aspektów propozycji. Muldoon miał wrażenie, że wypatruje jakiegoś elementu, który mógłby wykorzystać z korzyścią dla siebie. Dwadzieścia lat wcześniej właśnie tego samego szukał Kenne-dy. Michaels usiłował sprostać oczekiwaniom prezydenta; dawał do zrozumienia, iż Reagan – podobnie jak Kennedy – przekona się, że kongresowe szare eminencje są gotowe poprzeć wielką inicjatywę kosmiczną i że stanie się ona dźwignią służącą realizacji innych planów...

Ale Reagan kolejny raz pokręcił nosem na koszty i razem ze swoim personelem przecesał pogram, eliminując niektóre elementy. Muldoon mógł tylko przyglądać się bezradnie, jak w salonach Białego Domu jego przemyślany program doświadczalno-rozwojowy jest obierany do kości, jak nikt już nawet nie mówi o misjach na orbitę Wenus i tworzeniu baz na Marsie, a w miejsce trzech lotów na Marsa zostaje jeden. Wprost trudno było w to uwierzyć. W miarę upływu czasu Muldoon zdał sobie sprawę z jeszcze jednej sprawy, chociaż na jej temat nie padło ani jedno słowo. Mimo że konto NASA obciążała gigantyczna katastrofa Apolla-N, Reagan był skłonny zaakceptować nowy, ogromny program. Ale nie za darmo. I głowa Berta Segera, a

także reorganizacja Agencji to było jeszcze za mało.

W końcu Muldoon dojrzał, jakiej pokuty oczekiwano, jeśli NASA miała być oczyszczona.

Michaels porządził raport końcowy dla prezydenta, harmonogram nowej misji i program starań o akceptację Kongresu i Senatu.

Kiedy skończył, nie zostawił dokumentu sekretarkom. Przeciwnie, sam zaniósł go do Gabinetu Ovalnego i słaniając się z wyczerpania, osobiście wręczył go Reaganowi. Do okładki była przypięta rezygnacja z pełnionej funkcji.

Czwartek, 16 kwietnia 1981 roku

Biały Dom, Waszyngton, DC

„...Nasz wielki cel to dalsze kształtowanie pionierskiego ducha Ameryki i wytyczanie nowych granic. Rozwijająca się gospodarka pobudza nowe inicjatywy, rodzi nowe gałęzie przemysłu i sprawia, że już istniejące stają się bardziej konkurencyjne. Ma to największy wymiar tam, gdzie przebiega nasza następna granica, przestrzeń kosmiczna. Tam w sposób najbardziej skuteczny udowadniamy nasze technologiczne przywództwo i możliwości polepszenia życia na Ziemi. Epoka kosmosu liczy zaledwie ćwierć wieku. Ale postępy w nauce i technice już pozwoliły nam przesunąć granice cywilizacji.

Kiedy przekroczymy następne progi wiedzy i sięgniemy głębiej w niewiadome, zwiększymy nasze możliwości i zwielokrotnimy liczbę nowych miejsc pracy. Nasz postęp w kosmosie – kolejne wielkie kroki całej ludzkości – to hołd składany amerykańskiej pracy zespołowej i naszym umiejętnościom. Wszystkie najświetniejsze umysły w administracji, przemyśle i nauce połączyły swoje siły. Możemy z dumą powiedzieć:

Jesteśmy pierwsi, jesteśmy najlepsi i jest tak, dlatego że jesteśmy wolni. Wielkość Ameryki zawsze zależała od tego, czyjej obywatele mieli odwagę być wielcy. Dziś znów stać nas na tę odwagę. Możemy zrealizować nasze marzenia, sięgnąć do odległych gwiazd, mieszkać i pracować w kosmosie, utrwalając pokój, odnosząc korzyści gospodarcze i naukowe.

Moi doradcy pracują nad Państwowym Programem Kosmicznym, który zaprezentuję w tym roku. Ten program ustali zasadnicze cele Stanów Zjednoczonych, do których należeć będą: wzmocnienie bezpieczeństwa państwa, utrzymanie przewodnictwa Stanów Zjednoczonych w podboju kosmosu, rozszerzenie udziału prywatnego sektora gospodarki w inwestycjach dotyczących działalności cywilnej w kosmosie i dziedzinach pokrewnych, a także zwiększenie współpracy międzynarodowej, która posłuży interesowi narodowemu. Kiedy spoglądamy w przyszłość, musimy zapewnić naszą przewodnią rolę w podboju kosmosu pod koniec wieku i później. Posłuży temu nowy kierunek programu kosmicznego, wykorzystujący maksymalnie nasz obecny potencjał, technologię chemicznego napędu raketowego i naszą umiejętność długiego przebywania i pracowania w przestrzeni kosmicznej. Nadszedł czas realizacji tego potencjału. Dzisiaj, czerpiąc z założeń Programu Kosmicznego, zalecam NASA rozpocząć przygotowania do załogowego lotu na Marsa, który ma się odbyć w ciągu pięciu lat. Misja tego rodzaju pozwoli na ogromny jakościowy przeskok w sferze nauki i łączności, odsłoni kolejne tajemnice natury wszechświata.

Tak jak oceany otworzyły świat kliprom i jankeskim kupcom, tak przestrzeń

kosmiczna obiecuje ogromny rozwój przemysłu i handlu...”. Wypowiedzi publiczne prezydentów Stanów Zjednoczonych; Ronald Reagan, 1981 r.

(Waszyngton, DC, Drukarnia Rządowa, 1981 r.) s. 362.

Czwartek, 16 kwietnia 1981 roku

Kwatera Główna NASA, Waszyngton

Michaels wezwał Tima Josephsona do gabinetu. Rozluźnił krawat i otworzył świeżą butelką ulubionego burbona z Kentucky. Lecz kiedy usiedli w półmroku i zaczęli sączyć

trunek, trudno było o nastrój świętowania. Josephson miał wrażenie, że nigdy nie widział

Michaelsa tak wyczerpanego.

Uniósł szklaneczkę.

–Twoje zdrowie, Fred. Przez te ostatnie tygodnie odwalileś cholerny kawał roboty.

Michaels pociągnął łyk.

–No. No, zgadza się. Wreszcie wydusiliśmy z Reagana to, na czym nam zależało. A kiedy odejdę, zabiorę ze sobą większą część winy, która spoczywa na NASA za Apollo-N.

–Fred...

–To mi teraz przypadło w udziale, Tim – powiedział twardszym głosem Michaels. – Moje ostatnie zadanie. Tak się załatwia te sprawy. Ale największa rzecz jest dopiero przed wami. Realizacja planu.

,Zmierzył wzrokiem Josephsona. – I będziesz musiał wziąć się za to sam, Tim. Już przekazałem moją rekomendację Białemu Domowi.

Josephson spodziewał się tych słów, niemniej jednak ogarnęła go fala paniki.

–T...to cudowne, że tak we mnie wierzysz, Fred. Ale czyja się do tego nadaję? Do diabła, jestem facetem od zakulisowych rozgrywek, Tim. Zwykłym funkcjonariuszem, urodzonym wykonawcą.

–Jezu Chryste, myślisz, że o tym nie wiem? – warknął Michaels. – Ale wiem też, że nie ma lepszego kandydata. Po prostu musisz pokonać swoje słabości, Tim. I pokonasz je, jak tylko się weźmiesz do roboty.

Josephson ukrył uśmiech za szklaneczką burbona.

–Dzięki, Fred. Będzie mi ciebie brakowało.

–I masz oprzeć się na Muldoonie. Wykorzystaj go. Wasza dwójka powinna stworzyć drużynę, jak wszyscy diabli.

–Będę o tym pamiętał. Michaels zatopił wzrok w napitku.

–Wiesz, czasem myślę, że podczas tego wszystkiego zgubiliśmy coś po drodze.

Chodzi mi o to, że wcielaliśmy w życie pomysły facetów, którzy stali najdalej od

procesu

decyzyjnego... inżynierów z Langley, od Goddarda i Marshalla... ludzi, którzy

oddali całe

swoje życie, żeby zrealizować marzenia o lotach kosmicznych. Takich ludzi jak

Gregory

Dana. Bierzemy ich badania, raporty i wykorzystujemy je jak amunicję do naszych

politycznych gier. Ale zagubiliśmy wszystkie te wizje badania nowych światów,

wizje

nowego przeznaczenia ludzkości, wszystkie wysiłki tych ludzi, żebyśmy więcej

czuli i głębiej

myśleli...

Josephson pociągnął burbona.

–Ale czy mogło być inaczej, Fred? To samo było z Programem Apollo. Kiedy tylko lot kosmiczny staje się religią imperium, nabiera niezwykłej mocy, ale nie może sprawić, żebyśmy marzyli po staremu.

My, wszyscy zainteresowani... NASA, Biały Dom, Obrona... kombinujemy tylko, jak program kosmiczny może posłużyć naszym własnym interesom. Tak to jest. – Może. I wiem, że tych facetów w Langley szlag trafi, kiedy się dowiedzą, że ma być tylko jeden lot. Kto wie, kiedy znów uda się nam wysłać kolejną misję?

Pamiętam, jak

Johnson powiedział mi raz, że Amerykanie są fantastyczni, jak chodzi o zdobywanie nowych terytoriów, i do kitu, kiedy trzeba je utrzymać. Miał kupę racji. A zresztą, do diabła z tym.

Teraz możemy zapomnieć o tym całym politycznym gównie, Tim, i zacząć marzyć o Marsie.

–Kolejny raz uważnie zlustrował Josephsona. – Powiem ci, o czym myślałem. Teraz kiedy mamy ten milutki jasny cel, nasz nowy Program Apollo, ten jeden lot na Marsa, będziemy potrzebowali nowej nazwy. Coś, co zawrze całą istotę sprawy. – Pewne masz rację – przytaknął mu Josephson. – Prawdę mówiąc, powinniśmy to ustalić, zanim się wyda oświadczenie dla prasy. – No, ty teraz siedzisz w fotelu kierowcy – zauważył Michaels. – Co wybierzesz, Tim?

Josephson ściągnął wargi.

–Hm. Skąd wzięła się nazwa Apollo? To było, zanim się pojawiłem... – Wybrał ją Abe Silverstein w 1960. Tak się złożyło, że w tym czasie Abe był szefem Wydziału Lotów Załogowych... lub raczej poprzednika Wydziału. Silverstein lubił grzebać w klasycznych mitach. Rok wcześniej wybrał nazwę Merkury, bo podobał mu się pomysł nazwania programu imieniem niebiańskiego posłańca. A potem ludzie von Brauna nazwali swoją nową raketę nośną Saturn, tak więc kolejny antyczny bóg wydał się Silversteinowi naturalnym wyborem.

–Może, ale coś tu jest zagmatwane – powiedział Josephson, lekko się uśmiechając. – Czy nie było tak, że to von Braun nazywał swoje rakiety imionami planet? Stąd Jupiter potem Saturn...

–A daj że mi święty spokój! – wykrzyknął dobrodusznie Michaels. – Silverstein był inżynierem zatrudnionym do prac badawczo-rozwojowych, co on mógł wiedzieć? Pamiętał tylko z czasów szkolnych opowieść o bogu, który prowadził rydwan ze słońcem, ciągniony przez cztery skrzydlate konie. Tym bogiem był właśnie Apollo, syn Zeusa. Tak więc Silverstein tylko trochę poszperał, aby się upewnić, czy Apollo nie uczynił czegoś, co byłoby nie do przełknięcia dla amerykańskiej opinii publicznej, na przykład nie przeleciał swojej mamu-śki. Okazało się, że nie, i tak stało na Apollu. Josephson z namysłem przyjrzał się swojemu napitkowi. – No cóż, może powinniśmy trzymać się tej tradycji. Sam trochę się znam na mitologii klasycznej. Apollo miał przyrodniego brata. Innego wielkiego boga z Olimpu. Miał swój mit.

Dopiero później zaczęto go identyfikować z rzymskim bogiem wojny... Cieszyły go tylko walka i rozlew krwi a towarzyszyli mu dwaj synowie bliźniacy, Fobos i Daimos...

bogowie

przerażenia i trwogi...

Michaels mruknął z uznaniem.

–Ojciec przerażenia i trwogi. Facet pasowałby jak ułał do kongresu. Josephson się uśmiechnął. Nie mogło być mowy o innym imieniu. A prasa będzie nim zachwycona.

Część czwarta

Czas misji: 171/13:24:02

–Sześćdziesiąt minut do perycentrum*[Przyp tłum punkt orbity eliptycznej najbliższy ciału niebieskiemu, które ona opasuje.] – powiedział Stone. Cała trzyosobowa załoga była w pomieszczeniu platformy naukowej modułu misji. Osadziwszy nogi w strzemionach, siedzieli przypięci pasami bezpieczeństwa w sercu małego ośmiokątnego pomieszczenia, wyłożonego rzędami przełączników i monitorów. Nad głową York był mały iluminator. Ostre, przesuwane się światło, silniejsze niż jarzeniowe oświetlenie kabiny, padało na jej twarz. Widziała górną połowę szerokiej, bladej, oświetlonej częściowo tarczy.

„Mój Boże – pomyślała – to Wenus”.

Jej nieuzbrojone oko chłonęło dzienną stronę planety – o wiele jaśniejszą niż Ziemia, oglądana z podobnej odległości – przyćmiewającą gwiazdy. Wąska, nocna strona była całkowicie niewidoczna.

Trajektoria Aresa zbiegła się już z orbitą Wenus. Sunął od strony Słońca, wpadając w studnię grawitacyjną planety z prędkością pięciu mil na sekundę. Tarcza zwężała się na oczach York, kiedy odbite światło Słońca rzucało cienie na kolana astronautki. Pod ręką miała hasselblada przymocowanego do pulpitu roboczego. Porwała aparat, przycisnęła twarz do iluminatora i zaczęła robić zdjęcia. Wenus miała mniej więcej rozmiary Ziemi, ale wrażenia, które towarzyszyły jej oglądaniu, w niczym nie przypominały chwil spędzonych na orbicie okołozemskiej. York nie widziała żadnych szczegółów; powierzchnia planety była stale zakryta, spieczona pod grubymi warstwami dwutlenku węgla. Z tej wysokości chmury wydawały się idealnie gładkie, pozbawione jakichkolwiek zróżnicowań, jakby planeta była ogromną perłą;

idealną,

pełną...

Ale kiedy York wyteżyła wzrok, wydało się jej, że coś dostrzega, dokładnie na obrzeżu tarczy: delikatną skorupę, otaczającą główny zwał chmur, wyróżniającą się

na tle mrocznego nieba. Naciskała migawkę jak szalona. – Coś nie tak, Natalie? – zapytał sucho Stone.

–Chyba widzę warstwę oparu. Skorupę chmur kwasu siarkowego otulającą Wenus na tle ciemnego nieba.

–No. A tych zdjęć nie było w harmonogramie – upomniał ją Stone.

„Chryste!” – pomyślała.

–Niech będzie, do cholery. – Odłożyła z trzaskiem hasselblada. – Po prostu zobaczyłam coś, czego żaden człowiek do tej pory nie widział, to wszystko. Pomyślałam sobie, że warto zainwestować w ten widok jeden film. – Jeśli nie przelecimy obok tej ślicznotki po właściwej trajektorii, to nie będziesz miała szansy wywołania tego filmu – zamruczał Stone, nie odrywając oczu od migocących ekranów, które miał przed sobą. – Skupcie się, ludzie. „Pewnie, pewnie” – pomyślała. „Trzymać się procedur operacyjnych. I cholernego harmonogramu misji”.

Z powrotem skoncentrowała się na swoich ekranach.

Gershon wyszczerzył zęby w jej kierunku, oglądając się przez ramię. Plan przewidywał, że Ares przemknie wokół ciemnej strony planety. Dokona zwrotu o trzydzieści stopni i dostanie znacznego przyspieszenia. Kiedy czołgał się wokół Słońca bez wspomaganie silników, tylko w niewielkim stopniu wyprzedził Ziemię, więc teraz przesunął się między Wenus i ojczystą planetą. Miał wejść w cień Wenus, ale ani na moment nie zniknął z pola widzenia obserwatorów na Ziemi.

Podczas przelotu wokół Wenus wszyscy członkowie załogi mieli przydzielone zadania; Stone monitorował trajektorię klastera, Gershon śledził minisonde wypuszczoną z Aresa, która miała wejść w atmosferę Wenus, a York operowała paletą czujników modułu misji.

Jeden z monitorów przekazywał obraz górnych warstw chmur „widziany” promieniami ultrafioletowymi. Ujawniło się bogactwo szczegółów, niedostrzegalnych dla nieuzbrojonego oka; rozbudowane szaro – - niebieskie łuki i komórki, które wykręcały się i wydłużały wzdłuż równoleżników planety. Komputer generował kolory i niemal miało się wrażenie, że to chmury nad Ziemią.

Paleta czujników umocowana na wysięgniku, przypominającym ramię wstecznego lusterka, była zbiorem dziwnych grubych rur, anten i obiektów, zawiniętych w folię.

Znajdowała się tam kamera telewizyjna badająca chmury, urządzenie do analizy ultrafioletowych ech węgla, tlenu i wodoru, radiometr na podczerwień, badający temperaturę chmur, magnetometr, teleskopy wyłapujące cząsteczki naładowane.

Cztery rogate anteny radarowe mogły przeniknąć warstwę chmur i wykreślić mapę wycinka Wenus, nad którym sunął Ares. Czujniki już pracowały, zerkając z palety umocowanej do kadłuba modułu misji.

–Hej – powiedział Gershon. – Sonda wystartowała. Przechodzę jonosferę. Dwieście pięćdziesiąt mil nad powierzchnią. Zbliżam się z hiperboliczną do głównej warstwy chmur...

Co wy na to?

York wysunęła nogi ze strzemion i przepłynęła ku Gershonowi. Monitor znajdujący się w środku jego stanowiska jedynie śnieżył w tej chwili. Minisonda została wyrzucona dwadzieścia trzy dni wcześniej z komory u podstawy modułu misji i wprowadzona na powoli zwężającą się orbitę. Ares mijał Wenus w odległości kilku tysięcy mil; sonda usytuowana przed nim miała spaść prosto na powierzchnię, kilka minut przed maksymalnym zbliżeniem statku. Planowano, że trafi w środek dziennej strony, wypiętrzony region o nazwie: Isztar Terra.

Na razie znajdowała się w module spowalniającym, osłonie wypełnionej powietrzem, mającej kształt głębokiej, opływowej formy do pieczenia bab. Kamery telewizyjne sondy nie widziały przez osłonę, ale u góry znajdowało się coś w rodzaju luku fal radiowych, przez który komunikowała się z Aresem.

–Jestem w atmosferze, ale wciąż nad głównymi warstwami chmur. Wysokość pięćdziesiąt mil. Temperatura nie za wysoka, dokładnie biorąc, poniżej minus trzydziestu ośmiu. Ale to minimum, kiedy wejdę w główną warstwę chmur, zaraz powinno przygrzać. No i się rozlatujemy... Trzy, dwa, jeden. Zero. Patrz, Natalie. York wiedziała, że dokładnie w tej chwili forma na baby rozlatuje się na kawałki gdzieś w chmurach. Pilocik spadochronu otworzy pokrywę i nad sondą powinien rozłożyć się spadochron główny.

Na śnieżącym ekranie pojawiła się żółta, ruchoma plama.

Gershon wydał okrzyk zachwytu i powiedział:

–No i co wy na to? Wreszcie możemy się rozejrzeć. Obraz telewizyjny rozjaśniał się i ściemniał; sonda powoli wirowała wokół swojej osi.

Od czasu do czasu, przez opary kwasu siarkowego przebijało się Słońce. – Widoczność maleje. Do jakichś czterech mil – powiedział Gershon. – Ciśnienie około trzech czwartych ziemskiego na poziomie morza, a temperatura około plus dziesięciu.

Mniam. Błogo. A wysokość wciąż nie taka mała. Trzydzieści osiem mil.

„Trzydzieści osiem mil” – powtórzyła w myślach York. „Dwadzieścia tysięcy stóp”. Na tej wysokości była górna warstwa stratosfery Ziemi; panowało tam ciśnienie poniżej jednej setnej poziomu morza.

Mgła na ekranie przerzedziła się.

–Rany – powiedział Gershon. – Spójrz na to. Przed chwilą nic, a teraz widoczność na mile.

Przed oczami York wyrosła warstwa chmur: gruba, gęsta, koloru spranej żółci.

Chmury były kłębiaste, ziemskie. Niemal przyjazne. Wyżej było jednolite żółte

niebo; York

nadal potrafiła określić, gdzie jest Słońce.

Sonda wleciała w gęstsze chmury.

–Zbliżyliśmy się do dwudziestu ośmiu mil. Wreszcie mam za sobą to całe siarkowe gówno. Ale temperatura na zewnątrz sięga już dwustu stopni. I ciśnienie też wyższe niż w atmosferze. Trzy, dwa, jeden. Zero. Oddzielenie spadochronu. Obraz zadygotał, po czym znów się ustabilizował. Hermetyczny pojemnik – serce sondy – wydostał się z osłony i uwolnił od spadochronu. Mimo że sonda znajdowała się teraz na dwudziestu pięciu milach, opadała swobodnie, gdyż powietrze Wenus było już tak gęste, że upadek na powierzchnię nie mógł jej uszkodzić.

Sonda była sferą z grubego metalu. Na jej powierzchni umieszczono brzechwy, wprawiające ją w ruch wirowy, stabilizujący opadanie. Niewielkie grube iluminatory umożliwiały pracę instrumentom.

–...Hej – powiedział Gershon. – Patrzcie, co podaje spektrometr masowy. – Stuknął w ekran. – ¡ Widzi mi się, że w powietrzu są ciężkie izotopy wodoru. – I co z tego? Zwęził oczy.

–Woda, moja droga. Może oceany, w każdym razie kiedyś.

–

Dawno wyparowały w wyniku efektu cieplarnianego, kumulacji cholernego CO₂. Ale tam gdzie były oceany, było może...

„Życie” – dokończyła za niego w myślach.

Sonda powoli wirowała w gęstym powietrzu. Światło było słabe, czerwone, ale nie gorsze niż w chmurny dzień na Ziemi. Słońce było zupełnie niedostrzegalne; jego

obecność zwiastował jedynie odbijający się od zwałów chmur rozmyty, niemal groźny blask. I nagle zobaczyła powierzchnię; rybnie oko kamery przekazało panoramiczny widok, rozmyty przez zanieczyszczone powietrze. York dostrzegła rozpadlinę ciągnącą się przez cały ekran... nie, to nie była rozpadlina, to był długi na setki mil łańcuch górski zakończony płaskowyżem.

–Szybkość wiatru opadła do zera – powiedział Gershon. – Ciśnienie i temperatura wciąż rosną. Wenus nie ma powietrza, to coś bardziej przypomina potrawkę z kury mojej mamy. – Postukał w ekran. – To Isztar Terra. W każdym razie jej brzeg, dokładnie pod nami.

Kurs mamy idealny. Spójrz na to, Natalie. Wysoka siedem mil nad średnią i... -...i wielka jak Stany Zjednoczone. Wiem. – Isztar Terra była niebotycznym, nagim płaskowyżem, już namierzonym przez radary z Ziemi. Gdyby ktoś osuszył ziemskie oceany, tak wyglądałyby kontynenty.

York poczuła rosnące podniecenie. W końcu miała jakąś szansę geologicznej analizy podczas tej misji.

Wenus i Ziemia były bliźniakami. Tak więc zapewne Wenus miała gorące radioaktywne jądro, dokładnie jak Ziemia, której ciepło uciekało w przestrzeń. Na Ziemi odbywało się to na dwa sposoby: przez ruch wielkich płyt tektonicznych i działalność wulkaniczną. Ale mapy sporządzone przez radary i wyniki uzyskane dzięki prostackim sondom Rosjan nie wykazały na Wenus śladu płyt ani rowów tektonicznych, żadnych kraterów wulkanicznych.

Tak więc York i inni geolodzy byli przekonani, że dominującym procesem geologicznym, jeśli chodzi o odprowadzanie ciepła jądra, jest trwała, nieustanna działalność wulkaniczna. Po prostu na całej planecie musi być chmara wulkanicznie aktywnych miejsc oddających za Pośrednictwem atmosfery żar nienasyconemu pochłaniaczowi ciepła, którym był kosmos. Dlatego też York spodziewała się, że Isztar okaże się młodą w skali geologicznej powierzchnią, wyraźnie zniekształconą ruchami magmy – płynnej skały pod zestaloną pokrywą – i zasłaną nieustannymi wylewami lawy.

Ewentualne kratery meteorytyczne powinny być mocno zniekształcone, może nawet pogrzebane i niewidoczne pod świeżą powierzchnią. Wskazała na prawą stronę ekranu, na cieniste stożki wyłaniające się z mętnego tła.

–Popatrz. To musi być Maxwell Montes.

Tak nazywało się najwyższe pasmo górskie Wenus. Sonda zbliżała się ku niemu, jak jakiś opasy metalowy balon unoszony słabym prądem powietrznym. Pasma Maxwell Montes było miejscami bardziej strome niż jakiekolwiek wzniesienie ziemskie.

Otulone gęstym powietrzem i rozjaśnione rozszczepionym, brązowym światłem wyglądało z kosmosu jak wzniesienie na dnie oceanu.

Coś okrągłego pokazało się na skraju ekranu, na zboczu gór.

–Hej. Co to? – Widok znikł z ekranu niemal natychmiast, gdyż sonda nie przestała

wirować wokół swojej osi.

Gershon uśmiechnął się szeroko.

–Wybacz. Nie licz na żadną panoramę ani zbliżenie. To nie Discovery. „Okrąg?” – zastanowiła się w duchu. „Czy to może być krater? Co on tu, do diabła, robi?”.

Nos powiadał York, że coś jest nie tak. Czekwała podniecona, niecierpliwa, podczas

gdy kamera obracała się z torturującą powolnością. Obraz dygotał; widocznie sonda trafiała

na turbulencje w gęstym powietrzu.

Okrąg znów się pokazał, z prawej strony.

York prawie dotknęła nosem ekranu. Widziała niemal idealny okrąg z ciemnym obrzeżem; to musiał być krater meteorytowy otoczony pokładem lawy. Jak rana postrzałowa w środku plamy zeschłej krwi. Był tak wielki, że niemal na pewno liczył kilkaset milionów lat.

„I jest regularny” – pomyślała. Nie pokrywały go potoki lawy, nie zniekształciły ruchy podłoża.

Oznaczało to, że okres geologicznej martwoty Ishtar Terra obejmuje równie długi czas.

„Niemożliwe” – myślała gorączkowo York. „Jeśli to samo dotyczy całej powierzchni, to wszystkie dotychczasowe poglądy są diabła warte”. Żadnych ruchów płyt tektonicznych. I na dodatek beczynność wulkaniczna?

Sonda opadała i enigmatyczny krater znikł z pola widzenia jej kamery. – Dwie minuty od perycentrum – oznajmił Stone. York spostrzegła, że dowódca misji obserwuje wskaźniki instrumentów pokładowych, nie obrazy z sondy, pierwsze zdjęcia

powierzchni Wenus.

Sonda zmierzała ku nierównemu fragmentowi terenu, poznaczonego wielkimi, ostrymi głazami. York dostrzegła ślady erozji eolicznej, smugi pyłu, drobny żwir, spłaszczone wydmy. „W takim razie powietrze nie zawsze jest tu nieruchome” – pomyślała. – Zbliżamy się – powiedział Gershon. – Prędkość spadania dwadzieścia jeden stóp na sekundę. Zostało pół minuty.

Około piętnastu mil na godzinę. Sonda miała zderzyć się z powierzchnią jak powoli

toczący się samochód z nieruchomą przeszkodą – w sposób odczuwalny, ale niegroźny dla pasażerów.

–Dziewięć. Osiem...

Powierzchnia skoczyła w górę, obróciła się; York poczuła dziwny zawrót głowy.

–Dwa. Jeden.

Obraz na krótko rozpląnął się, potem wrócił do normy. Skalista równina znieruchomiła, przestała wirować. Wydawał się opadać lekko w bok, ale był to efekt przechylenia sondy. Gershon wydał okrzyk triumfu.

–Przyłożenie! – Pomachał rękami jak zawodnik futbolu amerykańskiego. – Witamy

miłego wiosennego dnia na Wenus. Ciśnienie powietrza jest łagodniutkie, wynosi dziewięćdziesiąt jeden atmosfer. Dzisiejsza maksymalna temperatura to sześćdziesiąt

sześć stopni Celsjusza...

„Dość, żeby roztopić ołów” – pomyślała.

Pochyliła się, wpatrując w ekran. Rybie oko kamery zniekształcało obraz. York nie dostrzegła horyzontu; widzialność nie przekraczała kilkuset jardów. Słońce było ukryte, ale niebo jaśniało wysoko. Jak Podczas smogu w Los Angeles. „Na żywo z powierzchni Wenus” – pomyślała York, czując przyływ uczucia do małej dzielnej sondy.

Teren był spłaszczony, połamany na płyty, zarzucone głazami. Płyty miały barwę rudoczerwoną, lekko błyszcząły. W dość mocnym świetle niektóre skały rzucały ostry cień.

Powierzchnia wyglądała jak glina, wsadzona bezmyślnie do przegrzanego pieca; popękana, rozdrobniona.

„Może to bazaltowe skały” – myślała York. „Wulkaniczne. Pewnie w wysokim stopniu alkaliczne. A te płyty wyglądają zupełnie jak osadowe. Ale tu nie ma wody! W takim razie może to osad z powietrza? Nie. Bardziej prawdopodobne jest pochodzenie wulkaniczne.

A skąd, u diabła, wziął się ten kamienisty śmietnik? Jaki mechanizm erozyjny tu działa?

Wiatr, opary kwasów? Bez ruchów płyt tektonicznych lub czynnych wulkanów jak, do diabła, ucieka ciepło wnętrza? Może nie ucieka” – spekulowała na ślepo. „Może jest uwięzione pod skorupą i nie wydostaje się równomiernie na zewnątrz, jak na Ziemi... Rośnie, aż osiągnie taką temperaturę, że litosfera nie jest w stanie go utrzymać”. Rozważyła dokładnie tę możliwość. Cała powierzchnia planety nagle, dramatycznie rozpuszcza się, uwalniając zgromadzone ciepło. Cała cholerna planeta zmienia skórę. Można by to nazwać katastrofalnym wulkanizmem, który ponawia się co jakieś pół miliarda lat i cały szereg zjawisk geologicznych, przebiegający w ciągu setek milionów lat jest wciśnięty w kilka tysiącleci.

Aż ją przytknęło. Taki scenariusz wydawał się czymś niesłychanym. „Prawdziwa z ciebie mistrzyni w stawianiu hipotez, Natalie” – pomyślała. „Wystarczył jeden cholerny krater meteorytowy i już!”.

Ale jak inaczej wytłumaczyć tę jedną jedyną ranę na Maxwell Montes? Zastanawiała się, czy powinna to ogłosić. Może nawet przekazać przez radio, zanim doleczą na Marsa?

Ale bez poparcia żadnymi dowodami? Opinie kolegów, którzy obowiązkowo sporządzali recenzje jej wszelkich prac, często nie były miłe. „Wykpią mnie” – pomyślała, wyobrażając sobie nagłówki gazet: „Szurnięta Kosmiczna Dama z Kalifornii...”. „Rozkład kraterów meteorytowych miałby tu znaczenie” – pomyślała szybko. Więcej, stanowiłby istotny dowód, potwierdzenie lub zaprzeczenie tej teorii. Na Marsie i na Księżycu były skupiska kraterów. Mars miał jedną półkulę młodszą, gładką i bez blizn, drugą poznaczona kraterami, starą. To samo było na Księżycu, który dzielił się na młodsze „morza” i starsze góry.

„Tu, jeśli mam rację, jest inaczej” – myślała. „Kratery powinny być równo rozłożone na całej powierzchni. Wystarczyłaby nam tylko w miarę szczegółowa mapa powierzchni i zwykłe policzenie kraterów. Wtedy by się okazało”. Ale taka mapa nie była dostępna teraz i nie zapowiadało się, żeby stała się dostępna wkrótce. Nie za życia York.

Podczas tego przelotu miano sporządzić najbardziej szczegółową mapę z dotychczas sporządzanych, posługując się metodą kartografii radarowej. Jednakże mapa miała objąć jedynie wycinek planety. Informacje o lokalizacji kraterów będą w najlepszym wypadku częściowe.

Walnęła pięścią w pulpit roboczy. Czowała, że Stone zerka na nią, zaskoczony, ale nie chciała spojrzeć mu w oczy.

„Do cholery – zaklęła w myślach – nie powinno nas tu być! Zwykły radar kartograficzny za pięćdziesiąt milionów dolarów, umieszczony na orbicie biegunowej, załatwiłby sprawę. A oni wydali więcej na zapasowy kibel do tej naszej puszkę po konserwach”.

Przez piętnaście lat loty załogowe wchłonęły większość budżetu NASA. Programy bezzałogowe podporządkowano potrzebom misji na Marsa lub też całkowicie zlikwidowano.

Utracono wspomagany grawitacyjnie lot na Wenus i Merkurego, program rozpoznania asteroid i komet, sondy badające planety Układu Słonecznego. Skreślono także wielki teleskop kosmiczny, orbitalne oko Ziemi.

Jasne, ludzie lecieli na Marsa. Ale wiedza ludzkości o Układzie Słonecznym nie posunęła się o krok od roku 1957; księżycy Jupitera i Saturna pozostały punktami światła na niebie, tarcze i pierścienie gigantycznych planet – rozmazanymi plamami w soczewkach okularów teleskopów.

„A ja przykładam do tego rękę” – pomyślała kwaśno. „Po wszystkich moich głośnych

oświadczeniach jestem teraz tak samo winna jak cała reszta. A może nawet bardziej, bo lepiej

zdawałam sobie sprawę z tej całej sytuacji”.

Ekran zaczął mocno śnieżyć.

Ciśnienie na powierzchni zmiażdżyło sondę.

York sprawdziła czas. Minęła zaledwie pięćdziesiąta piąta sekunda od wyładowania próbnika.

Gershon odepchnął się od konsoli.

–No i wiecie, jak tam jest. Ogłaszam oficjalnie, że Wenus to przesrane miejsce. Nagle w kabinie wyraźnie pociemniało. York spojrzała w górę. Kiedy Ares wsunął się w cień Wenus, ostatni srebrny odprysk światła się rozmył i przybrał kształt świetlnego pierścienia, który nagle rozjarzył się wieloma barwami („mam nadzieję, że kamery to rejestrują” – pomyślała York) a potem zbladł i zgasł. Teraz nad Aresem była dziura w przestrzeni kosmicznej, czerń pokrywy chmur Wenus; pusta, paląca, martwa.

York wróciła na stanowisko.

–Kamery telewizyjne gotowe do rejestracji źródeł światła – powiedziała. – I do pasmowej fotografii planetarnej. Paleta pracuje zgodnie z założeniami. – Perycentrum – nagle ogłosił Stone. – Co wy na to? Czas misji: sto siedemdziesiąt jeden dni, czternaście godzin, dwadzieścia cztery minuty. – Rzucił okiem na wskaźniki. – Jest ósmy września 1985 roku i oto mijamy Wenus, chłopaki. Odległość zmienna do powierzchni: trzy tysiące sto pięćdziesiąt pięć mil. Przelecieliśmy sto siedem milionów mil i zeszliliśmy z trajektorii nominalnej pięćdziesiąt mil. To się nazywa strzał w dziesiątkę. York spojrzała nad siebie, w mały iluminator. Jej oczy chyba oswoiły się z mrokiem, bo miała wrażenie, że widzi fragmenty chmur, zapewne rozjaśnione światłem gwiazd. Świat chmur wysuwał się ku niej, jak wielki brzemienny brzuch mlecznego koloru. Poniżej błysnęło, jak przepalona żarówka pod cienkim wełnianym kocem.

Przesunęła się do iluminatora i rozejrzała po otoczeniu.

–Jezu Chryste.

–Co? – spytał Stone.

„Widziałam coś takiego z orbity Ziemi” – pomyślała.

–To była błyskawica. Tam, pod chmurami. Gershon spojrzał na nią. – Śmieszne. Gromy i pioruny na Ziemi są spowodowane ruchem dużych cząstek, na przykład kryształów lodu, przeganianych prądami powietrza. Powietrze na Wenus to gęsta zupa. Nie ma żadnych dowodów na istnienie prądów powietrznych ani dużych cząstek. Więc skąd tu, u diabła, błyskawice? Zjawisko powtórzyło się: błysk o nieregularnie eliptycznym kształcie, nad obszarem wielkości dziesiątek mil kwadratowych. Przez chwilę York widziała budowę chmur, pokłady i krawędzie rozciągnięte ruchem obrotowym planety, oświetlone od dołu. – Nie zajmujcie się tym teraz – powiedział spokojnie Stone. – Jeśli to tam jest, kamery telewizyjne dokonają

rejestracji. Do diabła, Ralph, twoja mała gruba sonda mogła nawet to usłyszeć.

„Oczywiście, Gershon ma rację” – pomyślała York. Nie było żadnych bezpośrednich dowodów na istnienie wenusjańskich mechanizmów pogodowych, powodujących gromy i burze z piorunami, jak na Ziemi.

„W takim razie, co je powoduje, działalność wulkaniczna?” – zapytała samą siebie York, po czym przygnębiona wróciła na stanowisko. „Jeden cholerny rzut oka to za mało.

Tam jest ogromna planeta. Przydałby się rok na orbicie, całe spektrum czujników, sto sond.

Taki przelot przysporzy nam więcej pytań niż odpowiedzi”. – To dopiero – powiedział Gershon. – Mamy przyrost prędkości trzynaście tysięcy stóp na sekundę. Za friko. To więcej, niż dały nam dwa zbiorniki paliwa, kiedy wychodziliśmy z orbity Ziemi! I teraz lecimy z prędkością ponad dwadzieścia pięć mil na sekundę, najszybciej jak do tej pory...

–Co ty na to, Natalie – dodał Stone. – Poruszamy się najszybszym obiektem stworzonym przez człowieka w całej jego historii. To dopiero jazda dla kogoś, kto w ogóle nie chciał być pilotem.

York nie słuchała.

„Jesteśmy tu tylko po to, żeby cię okraść” – myślała. Ares nie był zainteresowany samą Wenus. „Zależy nam tylko na twojej energii”. Światło zalało platformę naukową. York spojrzała w górę. Rósł tam nowy sierp, gdyż Ares przesunął się nad dzienną stronę planety.

Nie mogła przestać myśleć o tamtym zdumiewającym obrazie: pojedynczym dziewiczym kraterze wybitym w łańcuchu górskim. Środa, 3 czerwca 1981 roku Siedziba Columbia Aviation, Newport Beach J.K. Lee pomyślał, że od dobrych paru lat nie widział tak byle jakiego świstka papieru, jak ogłoszenie przetargu na ładownik marsjański, MEM. Ogłoszenie przetargu było częścią standardowej procedury, której trzymał się rząd, przyznając duże zamówienia. To akurat wysłano do czternastu firm, w tym McDonnella, Boeinga, Rockwella, Lockheeda i Martina. Odpowiedź była wymagana w ciągu dziesięciu tygodni. Wtedy NASA miała dokonać oceny ofert, opierając się na wcześniej ustalonych przesłankach, takich jak stopień nowoczesności rozwiązań technicznych, umiejętności personelu, doświadczenie zgłaszającego w zakresie przewidzianym przetargiem i tak dalej.

Ogłoszenie przetargu na duży kontrakt samo w sobie było sporą księgą. Dokument, który J.K. Lee trzymał w dłoni – pobieżny, źle sksero-wany, częściowo uzupełniony odręcznymi przypisami – miał urodę krowiego placka. J.K. Lee wezwał do gabinetu Jacka Morgana.

Cisnął w niego wezwaniem.

–Przejrzyj to – powiedział. Jack był silnie zbudowany, siwiejący i miał łapy jak bochny chleba. Usiadł po drugiej stronie wielkiego metalowego biurka.

Przejrząwszy

ogłoszenie, odrzucił je na biurko.

–I co myślisz? – spytał Lee.

–Dupy bym tym nie podtarł. Jeszcze nie widziałem takiego napisanego na kolanie, amatorskiego ogłoszenia.

–Wiem. – Oczywiście, Morgan miał rację. Ograniczenia wagowe nowego ładownika

marsjańskiego wprost nie mieściły się w głowie, a pułap kosztów i data

zakończenia budowy,

zapewniająca start w roku 1985, były wręcz zatrważające. To ogłoszenie musiało

zostać

wypuszczone w cholernej panice, jako że NASA, na której wizerunku wciąż ciążyła

pamięć o

katastrofie Apolla-N, usiłowała sklecić jako taki sensowny program, dający

szansę lotu na

Marsa. – Zgadzam się

–powiedział Lee. – To kawałek gówna. Dziwi mnie, że go rozesłali. Niemniej jednak...

–Aha, niemniej jednak. J.K... ty chyba nie myślisz stawać do tego przetargu?

Lee opadł na fotel i położył nogi na biurku. – Czemu nie? – Bo go nie wygramy. Bo to byłoby wyrzucanie forsy w błoto. Nawet nie wiem, czemu nam to przysłali.

Lee przeczuwał, czemu.

Przypadkiem wiedział, że w komisji NASA przygotowującej ogłoszenie był Ralph Gershon. Od kiedy poznali się na tamtej wszawej konferencji Grupy Koordynującej ds.

Budowy MEM-a w cegielni Roc-kwella i udali samochodem na Mojave, a Lee wmawiał astronautce żółtodziobowi, że MEM powinien mieć budowę Apolla – a tak naprawdę kombinując cały czas na gorąco – utrzymywali ze sobą kontakt. Chyba powinien podziękować Gershonowi za przysłanie tego zaproszenia. – A zresztą i tak MEM-a dostanie Rockwell, to żadna tajemnica – uprzytomnił mu Morgan.

–No, ale przypuśćmy...

–Co?

–Nie wiem. Po prostu przypuśćmy.

–Jeden drobiaźdźek – powiedział Morgan. – Nie damy rady zbudować tego interesu, nawet gdybyśmy wygrali.

–Czemu nie?

–Bo nasza specjalność to kadłuby i awionika. W tym jesteśmy dobrzy. Na litość

boską, jak łapiasz się za statek kosmiczny, to zajmujesz się wszystkim:

zbiornikami,

silnikami, urządzeniami nawigacyjnymi, kontrolą i sterowaniem, osłoną cieplną,

układem

życiodajnym...

Lee tylko czekał na ostatnie słowa.

–Jesteśmy dobrzy w układach życiodajnych. Mamy ciebie.

–Pierdzielisz, J.K. – zawarczał Morgan. – Jeśli się spodziewasz, że nadstawię

moją

dupę na strzał ze strony Arta Cane'a z powodu twoich wyglupów, to czekaj tatka

latka. –

Wstał, wziął ogłoszenie i cisnął je do kosza na śmieci. – Jak zostało ci trochę oleju w głowie, to go stamtąd nie wyjmiesz.

–No. Nie wyjmę. Dzięki, Jack.

Kiedy Morgan opuścił gabinet, Lee rozparł się w obrotowym fotelu, rozłożył wygodniej nogi na biurku i zapalił papierosa. To wielkie biurko ze stali zbrojeniowej było jego znakiem firmowym; dostał je w prezencie od brygady, z którą pracował na projektem B-70. Od tamtej pory woził je ze sobą wszędzie.

Rozmyślał o Jacku Morganie.

Był lekarzem w lotnictwie podczas wojny koreańskiej i trafił do medycyny powietrznej drogą przypadku. Po wojnie pracował dla Rockwel-la – wtedy North American – i był pod ręką, kiedy pilot musiał się katapultować z eksperymentalnego naddźwiękowca, F-100. Przy tych prędkościach powietrze było twarde jak mur. Morgan pracował w zespole, który uratował pilotowi życie. Był to dopiero trzeci przypadek katapultowania się z samolotu naddźwiękowego w historii lotnictwa. Tak więc Morgan de facto stał się liderem na nowym polu medycyny.

Od tamtej pory stał się również jednym z najbardziej zaufanych ludzi Lee – czytaj: kumplem od kieliszka – i dołączył do niego, kiedy Lee dał sobie spokój z Rockwellem jeszcze w 1967, rozczarowany wyrzuceniem Stormy’ego Stormsa. Lee cenił rady Morgana. Co jednak wcale nie znaczy, że często za nimi szedł.

Po kwadransie pochylił się i nacisnął guzik interkomu.

–Bella, zorganizuj mi kilka spotkań.

–Taajest!, J.K.

Wstał z fotela i wygrzebał ogłoszenie z kosza.

Trzy dni później wparował do gabinetu szefa, Arthura Cane’a, prowadząc czwórkę swoich czołowych współpracowników. W tym Jacka Morgana. Nieśli sterty wykresów, projektów i slajdów, w sumie zorganizowaną na chybcika prezentację pod

nazwą:

„Dlaczego powinniśmy wystartować do przetargu na budowę MEM-a”. Cane siedział za wielkim biurkiem z orzecha włoskiego, mając przed sobą stos dokumentów przychodzących, na którym leżało ciężkie angielskie wieczne pióro w marmurowej obsadce.

Arthur Cane liczył sobie ponad siedemdziesiąt lat, nosił w mięsistym uchu wielki bakelitowy aparat słuchowy i nie miał ani jednego włosa na głowie. Wiek wiekiem, ale Lee nadal widział w oku starszego pana ten sam błysk dumy, kiedy obchodził parking firmy obok wielkich lśniących ścian tunelu aerodynamicznego, błysk dumy mówiący: „Spójrz na to. Mój własny tunel”.

Był jednym z weteranów, pracował przed wojną w Hughes Corporation i spędził moc czasu ze specami w Langley. Uwielbiał pracę nad zaawansowanymi konstrukcjami lotniczymi, badania dziewiczych obszarów wiedzy technicznej, dreszcz emocji towarzyszący tworzeniu nowych materiałów i układów, poszerzających granice ludzkich możliwości – ale w Langley czuł się sfrustrowany; budżet zawsze obcina-no i walczono o stołki. Tak więc kiedy Langley podporządkowano NASA, Cane odszedł i założył firmę – Columbia Avionics. Prowadził badania na własną rękę, słuchał własnego nosa, a wyniki odsprzedawał NASA i innym grubym rybom.

Szło mu świetnie. Ale nie pozwalał na zbyt szybki lub zbyt wielki rozwój firmy, jak również zrećcznie bronił się przed ofertami wykupu, ponawianymi regularnie przez dużych chłopców.

No cóż, dzisiaj Lee zamierzał poprosić o kilka milionów dolarów firmy na walkę o ogromny kontrakt. Gdyby Columbia go dostała, stałaby się innym przedsiębiorstwem.

„Muszę więc postarać się jak jasny gwint, żeby wyczuć, co Artowi w duszy gra” – pomyślał.

Lee zagaił. Jego wstęp był bezbarwny, neutralny i krótki. Później będzie dość czasu na to, żeby dać w surmy i walić w kotły.

Po Lee była Julie Lye, niegłupia młoda absolwentka MIT. Lee oderwał ją od normalnych zadań, żeby przydać propozycji naukowego ciężaru. Lye palnęła zwięzłą mówkę na temat informacji, których dostarczyły próbniki kosmiczne: o składzie atmosfery Marsa, o własnościach powierzchni. Bez uwzględnienia tych danych nie było mowy o wysłaniu ludzi na Marsa, utrzymaniu ich tam przy życiu i sprowadzeniu z powrotem. Miniwykład Lye był schludny, precyzyjny i zachęcający.

Cane przyglądał się jej bez wyrazu, z dłońmi złożonymi w daszek. Następnie zabrał głos Chaushui Xu, kolejny cudowny dzieciak, Amerykanin chińskiego pochodzenia

piszący doktorat z aerodynamiki, oparty na wynikach pracy w Columbi. Prezentacja Xu dotyczyła możliwości przedostania się przez atmosferę marsjańską wykorzystania doświadczeń Columbi do rozwiązania tych problemów. Powieki Cane'a nieco opadły, jakby zasypiał.

Xu zaczął się denerwować i trochę się pogubił. Ale Lee pozostał niespieszony; wiedział, że Cane ceni wiedzę nade wszystko, a ma przed sobą najbystrzejsze dzieciaki w firmie. Cane słuchał.

Xu dotarł do końca swojej prezentacji. Usiadł niepewny wrażenia, które zrobił. Kolejnym mówcą był Bob Rowen. Trochę starszy od innych, pracował z Lee nad starym projektem B-70 i z Lee oraz Stormsem nad późniejszymi zagadnieniami związanymi z X-15. Opisał, jak Columbia mogła sobie poradzić z awioniką statku kosmicznego. Niebawem stało się jasne, że MEM Columbi ma szansę okazać się najdoskonalszym statkiem kosmicznym, jaki kiedykolwiek zbudowano.

W połowie przemowy Rowena Cane demonstracyjnie wyłączył swój aparat słuchowy i zaczął przeglądać papiery na biurku.

Jack Morgan przechylił się do Lee.

–Chryste – szepnął. – Do diabła, co teraz zrobimy? Lee wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Ciągniemy swoje. Wierz mi, połknął haczyk. Jeśli coś by mu się spodobało, już by nas tu nie było.

Ostatni mówił Jack Morgan, który opisał, jak MEM Columbi utrzymałby przy życiu ludzi na Marsie przez miesiąc. Wyraźnie zirytowany zachowaniem Cane'a, Morgan przeleciał swoją część prezentacji najszybciej, jak tylko mógł i usiadł, ciskając z rozmachem rysunki.

Kolejny raz zabrał głos Lee. Podsumował wszystko, co powiedziano do tej pory, wygłosił krótką mowę o przyszłości i potem najzwyczajniej czekał. Zdawał sobie sprawę, że jego zespół zaczyna się niecierpliwić, siedząc w głębi gabinetu, ale Lee nie zjawiał się tu po raz pierwszy. Stał przed biurkiem Cane'a, nie przejmując się niczym.

Po pełnych dwóch minutach Cane odłożył wielgachne pióro. Włączył aparat słuchowy.

–J.K., jesteś człowiekiem niespełna rozumu. Nie mam pojęcia, czemu twoje nazwisko wciąż figuruje na liście płac mojej firmy.

Lee pochylił się nad biurkiem i wsparł kłykciami o blat.

–Do ciężkiej cholery, Art, my działamy w sektorze, który się nazywa: przemysł lotniczo-kosmiczny. I mamy najfajniejszą możliwość osiągnięcia czegoś nowego na tym polu od czasu Programu Apollo.

Cane przetarł oczy.

–Ten zakład buduje konstrukcje eksperymentalne. Jesteśmy poddostawcą dla firm dostarczających układy życiodajne. Nie jesteśmy żadnym gigantem. – Ale to nie znaczy, że tak musi być wiecznie – powiedział uporem Lee. – I może nie powinno.

–Zresztą i tak nie wygramy. – Cane sięgnął w kierunku pozornie bezładnego stosu i wyciągnął z niego dokument. – No, tylko popatrz. Popatrz, z kim mielibyśmy się zmierzyć.

McDonnell, Martin, Convair, General Electric, Boeing. Nie wspominając Rockwella, który za pewno wygra. Niektórzy z tych facetów już w 1972 zaangażowali się w badania podstawowe nad technologią służącą budowie MEM-a. Do cholery, wyprzedzają nas o całe lata. Lata.

Spójrz na to. Martin wydał trzy miliony dolarów z własnej kieszeni i ma już gotową analizę, która sięga czterech tysięcy stron. A my zaczynamy od zera. Lee machnął ręką.

–Słuchaj, jak wdamy się z tymi facetami w pojedynkę na projekty, wykończą nas na szaro. Ale pamiętasz, jak Bell schrzanił sprawę, kiedy zabrał się do tego zamówienia na X-15.

Bell zbudował X-1... samolot, na którym Chuck Yeager pokonał barierę dźwięku...

–Odrobiłem lekcję z historii lotnictwa, J.K.

–Przepraszam. W każdym razie Bell powinien wygrać kontrakt na X-15. Ale zaproponowali egzotyczny pojazd kosmiczny, który wyprzedzał o całe lata swoją epokę.

Rockwell wygrał, dając NASA to, czego dokładnie chciała, zwykłą maszynę rozporządzającą potężną mocą. A później, kiedy rozpoczęło się zgłaszanie propozycji do Programu Apollo, były takie firmy jak Martin i Douglas, które wydały miliony dolarów na cuda o soczewkowatych kształtach, jak żywcem wzięte z historii o Bucku Rogersie*[Przyp tłum powstały w latach dwudziestych komiks, którego bohater, Anthony „Buck” Rogers, ratuje świat przed gwiazdnymi awanturnikami w XXV

wieku.], kadłubopłaty i tym podobne cuda na kiju. Rockwell załatwił gości w przedbiegach, dając NASA dokładnie to, czego potrzebowała, to znaczy trzyosobową kapsułę Merkury.

–Tak, ale, J.K., tym razem naszym konkurentem w przetargu jest właśnie Rockwell – powiedział sucho Cane. – A ty mi mówisz, że jesteś lepiej zorientowany niż Rockwell i Martin z ich zespołami trzystu inżynierów i...

–No. No, jestem lepiej zorientowany. Bo ci faceci będą za bardzo zajęci

bronieniem

swoich ukochanych propozycji, nad którymi prześlęzeli lata, żeby skojarzyć,

czego ich

cholerny klient chce, Art...

Cane się zastanowił.

–Bystrzak z ciebie, J.K. Tylko ty potrafisz przerobić feler w atut, wykorzystać fakt, że nie wiemy, co, do diabła, należy wykonać. Więcej, widzi mi się, że faktycznie wierzysz w to, co mówisz.

–Pewnie, że wierzę. Słuchaj, mamy okazję, jaka nie zdarza się co dzień; możemy osiągnąć coś wyjątkowego. Columbia może polecieć na Marsa. A teraz... poprzecz mnie czy nie?

Art Cane przyglądał mu się uważnie małymi, bystrzymi, zażawionymi oczami. – Widzi mi się, że muszę ci pozwolić przystąpić do tego przetargu. Ale jeśli wydasz centa ponad dwa miliony dolarów, to przysięgam... dostaniesz takiego kopa, że ockniesz się dopiero na Marsie, cholera. A teraz wynocha z mojego gabinetu.

Czerwiec 1981 roku

Laboratorium Przyspieszeń

Marynarki Wojennej USA,

Johnson w stanie Pensylwania

Ośrodek Kosmiczny im. Johnsona, Houston

Koło ciężko zgrzytnęło i zaczęło się obracać. York miała takie wrażenie, jakby chciano sprasować jej klatkę piersiową o kręgosłup. Przypasana do fotela, próbowała pocieszyć się myślą, że według pilotów, którzy latali w kosmosie, to,

czego teraz doświadczała, było o wiele gorsze niż przeżycia poza Ziemią.

Ale to było żadne pocieszenie.

Koło osiągnęło 5 g; musiała zdobyć się na ciężki wysiłek, żeby łykać i wydychać powietrze. Klatka rzucała ją w przód i w tył, i z boku na bok – czuła się jak ziarnko grochu w kubeczku, wirującym na sznurku. „Prawdziwy lot jest o wiele spokojniejszy, Natalie...” – powtarzała sobie w myślach.

Miała listę zadań do zrealizowania i starannie przyciskała martwe guziki palcami w rękawicy.

Jej pole widzenia zaczęła ograniczać szara kurtyna, która jakimś cudem znalazła się w jej głowie. To był pierwszy symptom zemdlenia.

Przed sobą miała panel kolorowych światełek, informujący, jak długo udało się jej

przetrvać. Kiedy się rozluźniała, szara kurtyna stawała się wyraźniejsza; kiedy się naprężała,

kurtyna znikła. Starła się zignorować ból w klatce piersiowej; ale za każdym razem, kiedy

unosila ramiona lub poruszała głową, czuła mdłości. Był to wpływ siły Corio-lisa –

dotkownej siły inercyjnej towarzyszącej szybkiemu ruchowi rotacyjnemu. York była w połowie serii symulowanych powrotów z orbity ziemskiej. To szczególne ćwiczenie, najgorsze z całego zestawu, symulowało lot po ostrej trajektorii, jakby moduł dowodzenia zbyt szybko przecinał warstwy atmosfery, powodując straszliwą decelerację.

Kiedy osiągnęła 8 g, poczuła, że nie może unieść już ramion. Mogła tylko leżeć w swojej klatce i starać się wytrzymać jak najdłużej. Szara kurtyna zgęstniała i nie dała się odsunąć. „Oczywiście, że to gorsze niż podczas prawdziwej misji” – pomyślała. „Ci cholerni lekarze tak to zaprojektowali”.

Obraz zaczął zamazywać się jej w oczach. Miała trudności z odczytywaniem wartości podawanych przez instrumenty pokładowe. 12 g, o wiele więcej niż można by się spodziewać w trakcie lotu. Dość, żeby spłaszczyć gałki oczne. Biła głową o wnętrze hermetycznego hełmu. Światła laboratorium wirowały poza iluminatorami

makiety kabiny. 15 g. Teraz nie mogła w ogóle oddychać. Była pewna, że zaraz zemdleje. Ale to dopiero połowa cyklu – kołatało jej w głowie. I lekarze nie przestawali jej obserwować, widzieli każdy grymas spłaszczonej twarzy na monitorach kontrolnych.

W końcu przygniatający ciężar zelżał; nacisk na piersi ustąpił i zaczęła łykać powietrze wielkimi haustami.

Oczywiście, nikomu nie było w głowie narzekać głośno na zaawansowane technologicznie maszyny tortur, jak Koło, lub kwestionować podobieństwo tych ćwiczeń do zdarzeń w trakcie faktycznego lotu, czy też – co najgorsze – przyznać się, że miało się jakieś kłopoty z wykonaniem przepisanych zadań. Bo jak się narzekało, to Muldoon dowiadywał się o tym wcześniej czy później i w tym jakimś jego cholernym systemie ocen, służącym wyłanianiu załóg, pojawiała się notatka, i byłeś uziemiony na dobre. Nie było przebaczeń. Joe Muldoon w swojej nowej roli szefa Programu Mars przypisał sobie również dawną funkcję dyrektora operacji personelu latającego.

To właśnie Muldoon wyznaczał załogi misji. I każdy wiedział, że Muldoon jest w środku sporządzania grafiku załóg do pierwszych lotów programu, a w konsekwencji wyznaczenia samej załogi misji na Marsa. Jedyna rzecz, która liczyła się teraz w życiu – jedyna – to było wylądować na tym grafiku.

Tak więc York zamierzała zgrywać zucha, kiedy wyszła z klatki.

Oto jak mniej więcej wyobrażała sobie rozmowę z lekarzami:

–Jak poszło? Nie zemdląłeś, co?

–Ja? Daj spokój. Czułam się tylko trochę ociężała, jak w T-38 na dopalaczu, to wszystko...

Akurat.

Kiedy lekarze pomogli jej wyjść z klatki, stanęła na roztrzęsionych nogach i przekonała się, że plecy ma w krwawych bąblach popękanych naczynek krwionośnych, i że nigdy w życiu nie miała tak potężnego bólu głowy. Ale na pytanie o samopoczucie była gotowa odpowiedzieć:

–Bułka z masłem. Problemy...? Ja i problemy...?! Daj spokój.

Kiedy dochodziła do siebie pod prysznicem, dostała wiadomość od Muldoona. Ma wrócić następnym lotem do Houston, razem z resztą astronautów. Czeka ich spotkanie z Muldoonem.

To był niezwykle rozkaz, wręcz bezprecedensowy. Ale wiedziała, co oznacza. Wyszła z kabiny i zaczęła się wycierać ręcznikiem. Poczula, że serce bije jej trochę szybciej, i nie miało to żadnego związku z pobytem w laboratorium. „Ares” – pomyślała. „Zaczyna się”.

Zanim York dotarła na miejsce, salka konferencyjna na drugim piętrze budynku numer 4 była już przepelniona. Joe Muldoon siedział sam za stolikiem na podium, przerzucając przezrocza.

Przecisnęła się przez las astronautów w sportowych koszulkach i znalazła miejsce pod ścianą w głębi. Obok niej usiadł jeden z ludzi, którzy oblecieli Księżyc.

York wiedziała, że Muldoon zdaje sobie sprawę, iż nie ma takiej osoby w tej sali, która nie wisi mu na ustach.

Oczywiście, że York spekulowała na temat tego zagadkowego procesu, wyboru załóg,

i między innymi łamała sobie głowę nad pytaniem: czy tacy ludzie jak Muldoon rozkoszują

się posiadaniem władzy? Kiedy teraz go obserwowała i widziała, jak nerwowo stuka nogą o

podium i jak bardzo jest napięty, jakoś powątpiewała w to, że rządzenie i decydowanie o

losach innych sprawia mu przyjemność.

Co w jej opinii tylko dobrze o nim świadczyło.

Wszędzie wokół toczyły się rozmowy, rozlegały się ożywione, basowe głosy, może trochę zdenerwowane. Prześcigiwano się w okazaniu sztucznej wesołości i bez troski, jakby to, co za chwilę miało się wydarzyć, nie miało żadnego istotnego znaczenia i każdy chciał powiedzieć: „Och, to tylko grafik załóg najważniejszego nowego programu lotów. Hej, miałbyś ochotę zagrać w poniedziałek w piłkę?”. Muldoon wreszcie dźwignął się na nogi, wsparł ręce na biodrach, stając twarzą w twarz z całym korpusem astronautów. Niebieskooki, o siwiejących blond włosach, obciętych krótko, wyglądał trochę jak karykatura surowego sierżanta. Resztki konwersacji zamarły natychmiast i rzędy milczących twarzy skierowały wzrok na Muldoona.

Mówił bez mikrofonu, bez wstępów, a jego słowa docierały do każdego w sali.

–Faceci, którzy mają polecieć pierwsi na Marsa są tu, w tym pokoju. Słyszeliście już, że opracowaliśmy charakterystykę pierwszych lotów Programu Ares. – Włączył projektor i na ekranie za jego plecami pokazała się zwykła lista wydrukowana na maszynie do pisania. – Mamy tu osiem lotów, załogowych i bezzałogowych. Określiliśmy zadania misji, oznaczając je wedle klas od A do F. Są to głównie loty orbitalne wokół Ziemi, służące sprawdzeniu komponentów układów. Ale prowadzą one do finalnego lotu – misji klasy F – którego celem będzie dotarcie na Marsa. Z tego co tu widzicie, dwie misje klasy A będą to próbne loty bezzałogowe nowego układu napędowego Saturn 5B, wynoszącego pustego Apolla i pustego MEM-a. Misja B będzie to pierwszy załogowy lot Saturnem 5B po orbicie ziemskiej albo może księżycowej. Oczywiście, Spollo będzie z ludźmi, ale MEM znów pusty. Misja klasy C to kolejny testowy lot bezzałogowy, tym razem z MEM-em niemal całkowicie przystosowanym do działania. Misja D to pierwszy załogowy lot MEM-a po orbicie Ziemi.

To będzie długa misja służąca przetarciu się na długim dystansie. Dwie misje klasy E to loty próbne MEM-a z załogą, mające sprawdzić układy lądowania w warunkach księżycowych i może ziemskich. W tym okresie oczekujemy również, że sprawdzi się procedury połączenia na orbicie. W końcu, misja klasy F to sam lot na Marsa. Powinien być gotowy do startu na 21 marca 1985 roku. Jak nie, czekamy dwa lata na następną opozycję planet. Dokładne daty startów innych misji zostaną określone, zamierzamy wykorzystać powodzenie...

York przestała słuchać. Podejrzewała, że pozostali również. „Na tej liście jest

tylko

pięć lotów załogowych” – myślała.

Tylko pięć.

Muldoon usunął przezrocze, przez chwilę ekran był pusty. Potem bez ceremonii umieścił następne.

To była lista nazwisk.

–Nie jest właściwe na tym etapie wyznaczanie wszystkich załóg aż do misji klasy F.

Jestem pewien, że wszyscy to rozumiecie. Natomiast macie tu obsadę misji klas B, D i pierwszej F – załogi podstawowe pierwszych trzech lotów plus rezerwa... York wyciągnęła szyję jak wszyscy, mrużąc oczy, odczytywała słaby druk, źle oświetloną listę, poruszając bezgłośnie wargami. Załogi były trzy – albo czteroosobowe. Zobaczyła, że załoga Phi-la Stone’a – obejmująca Adama Bleekera i starszego astronautę, Teda Curvala – obsadzi misję klasy B, pierwszą ryzykowną próbę wzmocnionej rakiety nośnej Saturn 5B. Sami piloci USAF. York rozumiała logiczne

uzasadnienie tej decyzji, wyznaczenie oblatywaczy do próbnego lotu, ale to od samego początku narzucało zasadę całemu programowi, niedobłą zasadę, preferującą pilotów lotnictwa wojskowego. „Jak zawsze” – pomyślała. „Najpierw durni piloci kowboje”.

Jednak misja klasy D, lot długiego zasięgu służący przetarciu się w kosmosie, objął dwójkę specjalistów. „Ralph Gershon” przeczytała. I... „Natalie York”.

Starła się czytać dalej. Załogę Phila Stone’a z misji klasy B wyznaczono na rezerwowych...

„Natalie York”.

Czytała w kółko swoje imię i nazwisko, nie wiedząc na pewno, czy dobrze widzi, jakby wciąż cierpiała na niedowład wzroku po wyjściu z wirówki. „Jezu – myślała – to naprawdę ja, tam na ekranie, w podstawowym składzie. Polecę. Będę pierwszą Amerykanką w kosmosie”.

Była jedną z zaledwie trzech kobiet w korpusie astronautów i jedyną na grafiku Muldoona.

W sali ustąpiło napięcie; słychać było okrzyki, wymieniano uściski dłoni, tłuczono się po plecach. Nawet York zaliczyła kilka staromodnych klepięć. Wokół pełno było wymuszonych uśmiechów. Wiedziała, co kryje się za tymi grymasami; gdyby stało się inaczej, myślałaby tak samo – „Muszę szczerzyć zęby, udawać, że naprawdę cieszę się ze względu na ciebie. Ale to powinnam być ja, ty draniu, nie ty. I może się tak stanie, Boże spraw. Złamiesz nogę albo spieprzysz coś po drodze”. Muldoon uniósł dłonie, prosząc o ciszę.

–Powiedziałem wam, że nie uważam za właściwe wyznaczać załogi poza misję klasy E. Ale sądzę, że wybór nastąpi drogą normalnej rotacji załóg. Dzięki za uwagę; jeśli nie macie w tej chwili żadnych pytań, możecie potem wpaść do mnie, do gabinetu... Powiedział: „Drogą normalnej rotacji załóg”.

Na te słowa York poczuła wstrząs, jakby ją prąd kopnął i spopielił krótkotrwałą euforię.

Wiedziała, co to znaczy, podobnie jak wszyscy na sali. Znów wbiła oczy w grafik, szybko liczyła. „To znaczy, że polecę na orbitę Ziemi” – myślała. „Ale nie dalej. To Phil Stone poleci na Marsa. Nie ja”.

Tego dnia nikt z korpusu astronautów nie zamierzał więcej pracować. Chyba dlatego Joe Muldoon zaplanował ogłoszenie składów załóg o takiej, a nie innej porze. York pojechała do Śpiewającego Koła. Parking był wypełniony corvettami, a w lokalu dojrzała Phila Stone’a, Adama Bleekera i kilku innych byłych wojskowych już

metodycznie opróżniających wielkie dzbany piwa. Stone przysiadł się do niej i podsunął okrytą mgiełką szklankę piwa.

–Gratulacje – powiedział ciepło. – A więc w końcu lecisz w kosmos. Pierwsza amerykańska astronautka. Twoje, Natalie. Dalej, chłopaki – wzniosł parę toastów zimnym piwem, w czym udało się jej dotrzymać kroku. – No i jakie masz uczucia? – Mieszane – powiedziała bez ogródek. – W końcu lecę...

–Hej, dzielnie się spisałaś. Ile to lat minęło od twojego wejścia do Agencji? Do diabła, mamy gości, którzy czekali trzy, cztery razy dłużej, żeby dostać miejsce w załodze.

Cieszę się, że będziemy razem pracować w misji D. Naprawdę, Natalie.

–No. – Uśmiechnęła się na siłę. Stone przyglądał się jej uważnie.

–No, ale... – zawiesił głos.

–Ale, Phil, tak naprawdę to myślę, że to ty jesteś tym dupkiem, który polecie na Marsa, a nie ja.

Roześmiał się bez złośliwości i znów pociągnął piwa.

–Daj spokój, Natalie. Nikt nie wie, kto polecie na Marsa. Nie na tym etapie.

Jeśli

wstępne loty nie wypalą, nikt nie polecie.

–Oszczędź mi tych pocieszeń. Słyszałeś, co powiedział Muldoon: „Normalna rotacja załóg”.

System pochodził z najdawniejszych czasów Programu Merkury i stosowano go przez cały Program Apollo. Załogi przypisywano misjom wedle zasady: zabezpieczasz jedną, przeczekujesz dwie, lecisz. I tak Phil Stone i jego załoga tworzyli rezerwę misji D, lotu dalekiego zasięgu, do którego wyznaczono York. Gdyby trzymać się zasady rotacji, załoga Stone’a miała przeczekać dwie misje – klasy E – i polecieć w następną, klasy F.

Tak się składało, że misja klasy F był to lot na Marsa i lądowanie na

powierzchni

planety.

Stone rozłożył ręce na stole.

–System rotacyjny nie jest taki zły, Natalie. Przynajmniej zapewnia jakiś porządek.

Spójrz, Muldoon ma cholernie niewdzięczne zadanie. Każdy chce być w każdej załodze...

Gówno prawda, Phil. Ta cała rotacja to żadna cholerna maszyna. Nie tak trudno ją ustawić, żeby wyszedł taki układ załóg, jaki chcesz. Słuchaj, Natalie, każde rozwiązanie poza rotacją to policzek dla astronautów i cios w morale. Tak myślę i wydaje mi się, że stary, dobry Joe myśli tak samo. Każda załoga powinna liczyć na udział w locie – To jak ze dywizjonem myśliwców. Masz misję do przeprowadzenia i tyle a tyle lotów do przelecenia, i tylu a tylu pilotów, żeby obsadzić maszyny...

–Ale to nie żaden cholerny dywizjon myśliwców. Powinniśmy wybierać załogi wedle potrzeb.

–I myślisz, że powinnaś być wybrana do misji klasy F? Pociągnęła piwa. Jej irytacja rosła.

–To głupie nie wybrać najlepszych do kluczowej misji. Przyglądał się jej, rozbawiony.

–Aha, teraz powiadasz, że nie jestem najlepszy?

–Nie w tym rzecz, do cholery, Phil, i przestań traktować mnie z góry... Ale w tym momencie podszedł Adam Bleeker – członek załogi Phila, prawdopodobnie kolejny uczestnik wyprawy na Marsa – i rozpoczęła się kolejna runda ogólnego walenia po plecach i żartów.

Przez chwilę York uczestniczyła w szerszej rozmowie. Nie mogła się powstrzymać od haniebnej słabości i nie powrócić myślami do przydziału załóg.

Wypiła jeszcze trochę piwa; było cieplejsze i kwaśniejsze. Odstawiła szklankę i otarła wilgotne dłonie w papierową serwetkę.

Wyszła z baru. Zapewne połowa chłopaków była już tak wstawiona, że nawet tego

nie

zauważyli.

Musiała zrzucić to, co leżało jej na wątrobie.

Nie zastanawiając się, czy mądrze robi, pojechała prosto do JSC i wpadła jak burza do gabinetu Muldoona. Gospodarz siedział nad stosem papierów. – Witaj, Natalie. Masz ochotę na kawę? Mogę posłać Mabel... – Nie. – Nagle zdała sobie sprawę, że

cała dygoce i źródło tego dygotu mieści się gdzieś głęboko wewnątrz niej.

„To przez trzy lata frustracji w NASA” – pomyślała. „To przez zmarnowane życie Bena. To przez fakt, że mam trzydzieści trzy lata i przekreśliłam swoją karierę naukową tylko po to, żeby spędzić miesiące na niskiej orbicie okołoziemskiej, przyglądając się, jak komponenty MEM-a powoli zaczynają się sypać”.

„A może oni wszyscy mają rację” – nagle przyszło jej do głowy. „Może w gruncie rzeczy jestem tylko cholerną histeryczną babą”. Muldoon bacznie ją obserwował.

–Myślałem, że ucieszysz się, dostając miejsce w jednej z załóg podstawowych.

–Ucieszyłam się.

Odchylił się na fotelu i westchnął.

–Ale chcesz lecieć na Marsa. I jak każdy inny, zdajesz sobie sprawę, co wynika z systemu rotacyjnego.

–Do cholery, Joe, jestem bezdyskusyjnie najlepszym specjalistą od działań na powierzchni Marsa. Wiesz o tym. Powinnam znaleźć się w składzie misji klasy F, żebym mogła się tam dostać i żebym zrobiła to, czego muszę nauczyć wszystkich innych! Złożył palce w daszek.

–Mogę ci tylko odpowiedzieć, że zamierzamy trzymać się systemu rotacyjnego. Jeśli wyjdzie na to, że Phil Stone zabiera swoją załogę na Marsa, tak się stanie; a jeśli coś się spieprzy albo odwlecze i twoja załoga znów wyląduje w kolejce – dzięki normalnemu systemowi rotacyjnemu – wtedy dostaniesz swoją szansę. I może, jeśli będzie drugie albo trzecie lądowanie...

–Wiesz cholernie dobrze, że nie będzie drugiego lądowania. Wkładamy wszystko, co mamy, w ten jeden start. Nie zalewaj, Joe. Powinnam być w tym cholernym locie. I gdybym była mężczyzną, kolejnym Harrisonem Schmittem, już by mnie wpisano bez żadnych ceregieli. Ale jestem kobietą i dlatego nie lecę. – Natalie, to nie tak.

–Daj spokój, Joe. Raz oszczędź mi głodnych kawałków. Znów złożył dłonie.

–Oszczędzić ci głodnych kawałków?

–Oszczędzić.

–Nie zamierzam udawać, że sprawa różnicy płci nie stwarza nam problemów, Natalie.

„Sprawa różnicy płci”.

–Jakich problemów, na miłość boską? To, że nie dopasuję hełmu, bo trwała mi się nie zmieści? Joe mamy 1981 rok dwudziestego wieku..., Nie zwracaj mi głowy, Natalie. Słuchaj, mogłoby być inaczej, gdybyśmy zbudowali prom kosmiczny, gdybyśmy mieli wielkie, obszerne statki, wynoszące siedem, osiem osób na orbitę, gdybyśmy latali w kosmos rutynowo. Wtedy wysyłałibyśmy kobiety co miesiąc. Ale jest inaczej. Więc musimy sobie radzić. Jak masz męsko-damską załogę, potrzebujesz dodatkowych urządzeń. Rzecz rozbija się o higienę osobistą. Konieczność zapewnienia intymności. To wszystko wpływa na wagę statku. A zwiększona waga to nie jest dobra rzecz, kiedy planujesz osiemnastomiesięczną podróż w głąb kosmosu. – To wyznacz czysto kobiecą załogę. Wtedy nie będzie trzeba osobnych pryszniców, zgadza się...?

Muldoon chyba zaczął tracić cierpliwość.

–Słuchaj, Natalie, wiesz, że nie zajedziesz daleko z takimi argumentami. A ja nawet

nie jestem właściwym facetem do ich oceny.

–To kto jest? Wzruszył ramionami.

–Amerykańska kultura. Świat. Do diabła, nie wiem. Ja jestem tylko biednym dupkiem, który zarekomendował cię do misji klasy D. – Przyjrzał się jej z nieco większą sympatią – tak się jej przynajmniej wydało. – Natalie, posłuchaj mojej rady. Liczy się to, żeby być w systemie rotacyjnym. To centralna sprawa. I wyłazić ze skóry przy robocie. Wiem, że się na to zdobędziesz. Potrzebujemy cię w programie, Natalie. Do tej pory brakowało nam kogoś takiego, jak ty. Wiele o tobie myślimy. Jeszcze byś się zdziwiła, gdybyś wiedziała, jak wiele. I widziałem, jaki kawał roboty odwaliałaś, będąc kontrolerem łącznikowym podczas lotu Apollo-N.

Wzruszyła ramionami. Nie chciała, żeby przypisano jej jakieś zasługi za wypełnienie tamtego obowiązku.

–Potrzebujecie mnie w programie, ale niekoniecznie w statku na Marsa.

Zaczął przekładać dokumenty, druki rozstawienia załóg. – Może tak jest. Może biorąc pod uwagę cele naukowe, tak naprawdę byłabyś nam bardziej pomocna tu, w Houston, a nie tłukąc się wokół Marsa. Pomyślałaś o tym? Natalie, narzekasz, że masz wziąć udział w misji dalekiego zasięgu. Do diabła, rozumiem to. Gdybym był na twoim miejscu, też bym się pieklił. Ale dziś mogę sobie polatać tylko tym cholernym biurkiem. – W jego głosie była zawiść. Prawie rozpacz. – Dwie godziny na Księżycu to nie dość na całe życie.

Nie mogła się

powstrzymać, żeby nie powiedzieć:

–Może o dwie godziny za dużo dla twojej żony. Cisnął dokumenty na biurko.

–Niech cię szlag trafi, York, czemu ty musisz być taka uszczypliwa.

–Przepraszam, Joe. – Potrząsnęła głową. – Chyba po prostu jestem...

–Posłuchaj mnie – powiedział żarliwie. – Kto, do diabła, wie, co się wydarzy? Po prostu rób swoje. To samo, co tamta banda dupków, tyle że dwa razy więcej i dwa razy lepiej.

I daj mi coś, czego oni nie mogą mi dać, na przykład twoje doświadczenie geologa. Nie schodź mi z oczu. Bądź niezastąpiona. Kto wie, jak ułoży się sytuacja w 1986? Przez krótką chwilę czuła się dziwnie podniesiona na duchu – prawie pewna siebie.

„On ma rację” – pomyślała. „Zaszłam już daleko, może uda mi się pokonać te ostatnie przeszkody. Stać mnie na to”.

Ale wzrok Muldoona zaczął uciekać ku stosom papierów na biurku. Kolejny raz poszła w odstawkę, była sama wśród niewiadomych, a jej szansę na udział w misji – jej kariera, życie – kolejny raz ograniczyły się do zagadywania i nadziei. Ciepła fala pewności siebie ostygła tak szybko, jak się pojawiła. York wyszła z gabinetu Muldoona.

Czerwiec 1981 roku Siedziba

Columbia Aviation, Newport Beach

Kiedy Lee wstawał rano z łóżka, lubił, żeby ziemia paliła mu się pod stopami. Jennine robiła mu dwie filiżanki kawy, obie mocno słodzonej, tak że druga miała czas wystygnać i mógł przełknąć ją jednym łykiem, biegnąc przed dom do czarnego T-birda. pierwszym zadaniem było znalezienie miejsca do opracowania oferty Rozglądał się po zakładzie cały dzień.

Columbia zajmowała szereg starych niszczących budynków fabrycznych, między którymi wił się długi tunel aerodynamiczny. Zakład pasował idealnie do robót eksperymentalnych na małą skalę, którymi normalnie zajmowała się CA. Ale pękł już w szwach.

Lee potrzebował obszernej przestrzeni biurowej. Wreszcie jego wzrok spoczął na stołówce; był to jedyny obszar bez ścianek działowych, zdolny pomieścić ponad setkę ludzi. – To jest to. Bello, masz pozbyć się tych lad do wydawania posiłków i cholernych stołów na krzyżakach. Zamówiłem deski kreślarskie i biurka. – Zmrużył oczy, patrząc w górę.

–Nie dość światła. Każ przebić świetliki. I sprawdź obciążenie sieci

elektrycznej; nie chcę

żadnych zakłóceń. Będziemy mieli komputery.

–Taajest!, J.K. Ale...

–Co ty znowu z tym „ale”?

–Gdzie będziemy jeść? Lee machnął ręką.

–Całe cholerne Stany Zjednoczone są pełne McDonaldów. Nikt nie umrze z głodu.

–Taajest!, J.K.

Ogarnął wzrokiem stołówkę, zniszczone lady, porysowaną podłogę, wciągnął w nozdrza smród sosu pomidorowego. Nora. I zapowiadało się, że w tej norze będzie panował surowy reżim. Już rozesłał informację, że w okresie przygotowania oferty wszyscy mają być na stanowiskach roboczych o siódmej rano i nie będą ich opuszczać przynajmniej do dziewiątej wieczór. To tu skupi się ogromny wysiłek całego przedsiębiorstwa. Zespoły inżynierów w laboratoriach i tunelach aerodynamicznych będą sprawdzać, czy Columbię stać na to, co sobie wymarzyła,

czy maszyna, którą zbuduje, nie będzie miała sobie równych...

Ale cały ten wysiłek skupi się tu; w tym wielkim, zapuszczonym pomieszczeniu zostanie sporządzony ostateczny projekt ładownika rnrarsjańskiego. Zaczął przeczesywać firmę, sięgając po każdego, kto wydawał mu przydatny do realizacji oferty. Kiedy ktoś stawał dęba, po prostu powoływał się na Cane'a, i to zwykle wystarczało. Taką kulturę pracy narzucił Art.

Sam Cane mógł powątpiewać w sensowność uczestnictwa w przetargu, ale kiedy już podjęto wyzwanie, przestało być sprawą jednostki, a stało się wspólnym celem. W Columbii nie robiono nic na pół gwizdka, i Cane oczekiwał, że cała firma wesprze Lee najlepiej jak umie.

Przez pierwsze tygodnie Art Cane rozglądał się trochę za współnikami, potencjalnymi podwykonawcami, którzy mogliby wesprzeć ofertę Columbii. Doświadczenie zawodowe podpowiadało, że koalicja podwykonawców to niezbędny składnik poważnej oferty przy takim zamówieniu.

Zgodnie z rekomendacją Cane'a, Lee i Bob Rowen polecili do Cu-Iver City, siedziby Hughes Aircraft. Tam Cane zdobył otrzaskanie i wciąż miał pewne kontakty. Przygotował im spotkanie z wiceprezesem, Gene'em Tysonem. Jak się okazało, Hughes do tej pory nie włączył się do batalii ofert, nikt nie zaproponował mu współpracy. A ludzie Hughesa mieli wprawę w budowie układów sterowania i stabilizacji, tak więc dobrze byłoby ich mieć po swojej stronie.

Ale kiedy Lee i Rowen dostali się do Culver, Tyson kazał im czekać trzy godziny, a kiedy przedstawili swoją propozycję, on i jego zastępcy ich wyśmiali. Gene Tyson był tłustym mięczakowatym facetem, rozsiewającym opary wody kolońskiej i tytoniu. Doprowadził Lee do stanu wrzenia, kiedy po ojcowsku objął go ramieniem i odprowadził do drzwi.

–Posłuchaj mojej rady – powiedział. – Art Cane to wspaniały gość. Ale, J.K., tracisz nadaremno swój czas. Że nie wspomnę o moim. Nie masz żadnych szans wygrania tego kontraktu. Absolutnie żadnych. Jesteście tylko bandą laborantów. Lee wrócił do Newport, zionąc wściekłością – i był podłamany. Jeśli Huhges nie potraktował serio ich propozycji, to kto to, do diabła, zrobi? A udział w przetargu bez współnika był jak pakowanie się na ring z jedną ręką uwiązaną za plecami. Ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że zdoła przemienić również ten feler w atut.

–Spójrz na to tak – powiedział Artowi Cane'owi. – Pieprzyć ich. Pieprzyć Hughesa. I

resztę. Wystartujemy w pojedynkę. Pokażemy się NASA jako trener drużyny, niejako

drużyna. Tego im właśnie potrzeba. Kiedy masz Columbię za trenera, możesz dobrać

do

cholernej drużyny kogo ci się żywnie podoba. Niech klient sobie wybiera, kiedy będzie

gotowy; nie musimy im teraz nikogo narzucać.

Art Cane pokręcił głową.

–Wariat z ciebie, J.K. Wynoś mi się z gabinetu. Kiedy przystosowano stołówkę, Lee kazał zbudować podium i zorganizował sobie na nim miejsce pracy. Wyzaczył kierowników zespołów, ludzi z większym doświadczeniem i inteligencją, takich jak Bob Rowen i Julie Lye. Niemniej jednak nie zamierzał spuszczać z oka całości, wisiał jak sokół nad doliną, gotów w każdej chwili do interwencji. Niebawem projekt MEM-a zaczął przybierać realne kształty. Lee chciał, żeby to było coś łatwego do zbudowania i żeby komisja przetargowa NASA na pierwszy rzut oka zdała sobie z tego sprawę. Tak więc projektanci wyszli od tego, co Lee opisał Ralphowi Gershonowi tamtego wieczoru na pustyni Mojave. MEM Columbii miał kształt modułu dowodzenia Apolla, przysadzistego stożka wysokości trzydziestu stóp z osłoną ablacyjną tej samej średnicy u podstawy. Inżynierowie zabrali się do rozpracowywania projektu. Wewnątrz stożkowej, odpornej na ciepło skorupy, były dwa człony, tak jak w przypadku LM Apolla: człon ładowniczy i wzlotowy, z tym że pierwszy miał pełnić rolę platformy startowej drugiego, kiedy ten będzie powracał na orbitę. Lee ograniczył do minimum innowacyjność projektu. – Możecie wymyślać cuda niewidy, kiedy wygramy ten cholerny przetarg, nie wcześniej.

Na przykład, odrzucał wszelkie zmiany typowego kształtu modułu dowodzenia. Kąt stożka ustalono przed laty podczas prób w tunelu aerodynamicznym Laboratorium NASA im.

Amesa i wszelkie późniejsze loty Programu Apollo udowodniły słusność projektu, tak że Lee nie dopuszczał myśli, by ktokolwiek w jego ekipie wysuwał własne rozwiązania tego problemu.

Wedle pierwotnego pomysłu Lee, MEM miał wylądować na pięciu rozkładanych nogach. Zdecydował się na pięć, na wypadek gdyby Jedna uległa złamaniu. Silnik członu

ładowniczego, rakieta unosząca

MEM-a ostatnie kilka mil nad powierzchnią Marsa, sterczała z podstawy MEM-a, mając blisko umieszczone zbiorniki paliwa.

Wewnątrz szerokiej podstawy członu ładowniczego był przedział w kształcie pączka.

Jego część zajmowały zbiorniki paliwa, ale resztę przeznaczono na ciężar użyteczny. W połowie był to schron powierzchniowy, komora o wyraźnie zakrzywionych ścianach, służąca za pomieszczenia załogi i laboratorium podczas pobytu na powierzchni Marsa. Następnie szły wnęki obsługi operacji powierzchniowych: śluzy powietrzne, komory wyposażenia oraz garaż małego pojazdu marsjań-skiego.

Na szczycie członu ładowniczego mieścił się mniejszy stożek, kabina członu wlotowego. Była to bańka szklana umożliwiająca widoczność we wszystkich kierunkach.

Załoga miała lądować i startować w kabinie. Mieściły się w niej zaledwie cztery fotele. Ale były składane, tak że piloci mogli wstać i kontrolować ostateczną fazę lądowania.

Reszta członu wlotowego był to cylinder przytwierdzony do kręgosłupa członu ładowniczego MEM-a. Lee wyobrażał sobie w przybliżeniu fantazji, że człon wlotowy, unoszący się z Marsa, ma wyglądać jak lizak Kojaka, szklany lizak na patyku zbiorników paliwa i silnika raketowego. Pozostawi okrojony stożek; osmalony i zdekap-towany człon ładowniczy.

Tak ogólnie wyglądał szkielet całości i zespoły niebawem zaczęły przydawać mu ciała, budując podukłady.

ECLSS, układ kontroli środowiskowej i życiodajny: oczko w głowie Jacka Morgana, z molekularnymi filtrami do zatrzymywania dwutlenku węgla i urządzeniami filtrującymi zamknięty obieg wody. Układ prądowórczy: ogniwa paliwowe członu ładowniczego i osobno mniejsze ogniwa wlotowego. Naprowadzanie i sterowanie: układy naprowadzania inercyjnego, spotkania i radary lądowania, klastry rakiet steru pozycji i zawieszane kardanowo silniki główne, pozwalające na zmianę wektora ciągu. Łączność: dopracowane modele członu ładowniczego z wysuwanymi antenami, łącza telewizyjne z orbiterem i głosowe z Ziemią, łącza głosowe VHF z orbiterem i łącza do porozumiewania się z MEM-em podczas prac w przestrzeni kosmicznej...

Lee kazał swoim ludziom kraść pomysły skąd popadło. Na przykład, detale podukładów: włożyli ogniwa paliwowe, które służyły już w LM Programu Apollo, i radar fal drugich do synchronizacji spotkania z Programu Gemini. Co do paliwa, czy powinni wykorzystać czte-rotlenek azotu, Aerojet 50, stosowany przez Grummana w

LM? Był to hipergol, paliwo samoreagujące w połączeniu z utleniaczem, zwalniający od budowy układu zapłonu – ale miał niską wydajność, korodował zbiornik, żeby nie wspomnieć o jego własnościach toksycznych. Nie był to materiał, który przyjemnie magazynowało się rok lub dłużej, wlokąc MEM-a na Marsa. Przeprowadzono badania związków fluoru, ale niewiele z tego wyszło, bo fluor był bardzo opornym pierwiastkiem. W takim razie co...? Im dłużej pracowały zespoły, tym bardziej zmieniał się podstawowy szkic Lee. Na przykład, szklana bańka na szczycie członu ładowniczego. Dawała załodze pełną widoczność na sto trzydzieści pięć stopni w pionie; lądowało by się w czymś takim na Marsie jak jakimś cudownym śmigłowcem. Ale bańka z laminowanego szkła byłaby zbyt ciężka, a lżejsze materiały w rodzaju pleksiglasu straciłyby kolor i zmatowiały pod wpływem intensywnego marsjańskiego światła, nasyconego promieniami ultrafioletowymi. I, jak szybko zauważył Jack Morgan, całe to szkło przeciążyłoby układ kontroli środowiska. Tak więc zrezygnowano ze ślicznej bańki na korzyść małych iluminatorów opadających ukośnie jak w LM-ie.

Obok pięciu nóg szybko urosła szósta. Statek był szeroki u podstawy i większa liczba nóg zapewniała lepszą dynamikę lądowania. Żeby nie doprowadzić do nadmiernego przeciążenia nóg przy lądowaniu, wyposażono je w strefy zgniotu o budowie plastra miodu, tak że się uginały, absorbując wstrząs przy zetknięciu z powierzchnią... To był ekscytujący okres, pełen zapału i energii. Lee się nie oszczędzał; śmigał między zespołami jak burza, sprawdzał, był kanałem twórczej wymiany doświadczeń, porównywał wyniki, odrzucał masę, jak to oceniał, bezpłodnych pomysłów.

Czasem nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz spał czy jadł. Więcej, czasem dopiero ciśnienie w pęcherzu lub kiszki zmuszało go do zaspokojenia najbardziej podstawowych potrzeb.

Każdego dnia wracał do domu szarym zmierzchem i wyjeżdżał następnego szarym świtem.

To było niewiarygodne. Nawet nie widział kwitnienia jabłonki za domem. Prawie w ogóle nie spędzał czasu z dziećmi – licealistami Bertem i Gerrym. Trochę więcej spędzał go z Jennine, ale większość poświęcał najedzenie lub – jeśli mu się udało i potrafił się rozluźnić – na krótki sen. Kiedy czasem myślał o Jennine, trochę się martwił. Przez lata przyzwyczaiła się trochę do tych jego głupich godzin pracy. Chociaż nie miała pojęcia o samolotach i obchodziły ją tyle, co zeszłoroczny śnieg, rozumiała, że jego wybuchy aktywności są jak pożary prerii; nie trwają wiecznie i że dostanie go z powrotem. Przynajmniej na jakiś czas.

Ale tym razem była nieco bardziej napięta, chociaż nie potrafił sobie odpowiedzieć, dlaczego tak jest.

Pewnie dlatego że byli starsi niż dawniej. To raz. No, a chłopcy dawali w kość, to pewne.

Ale napięcie spowodowane MEM-em miało się skończyć. Jennine dostanie go z powrotem.

...A co, jeśli wygramy – kołatało mu czasem w głowie. – Wtedy to napięcie się nie skończy. Prawda, J.K.? Aż przyjdzie 1986 i człon wlotowy podniesie się z Marsa.

Wtedy

wszystko się skończy.

Ale praca zawsze wsysała go z powrotem, nie pozwalając zastanowić się dłużej nad niczym innym.

Nie tracił z oczu dwóch zasadniczych celów. Po pierwsze, chodziło o zmieszczenie się w ostatecznym terminie, po drugie, o utrzymanie wagi MEM-a w granicach warunków przetargu.

Mając na względzie cel pierwszy, Bella wydrukowała kalendarze, które porozwieszał po całym zakładzie i które co dnia aktualizował. CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ DNI DO ZŁOŻENIA OFERTY! I ROCKWELL JEST WCIAŻ PRZED NAMI! Lee był dumny z tego pomysłu.

–Taki kalendarz mieli w Zderzeniu światów. Pamiętasz, Bella? Kiedy budowali ten statek raketowy, żeby uciec z Ziemi.

–Taajest!, J.K.

Waga to był trudniejszy problem do rozgryzienia. Wszystkie projekty, nad którymi pracował Lee, miały tę samą wadę: każdy podukład nieuchronnie się rozrastał i komplikował, kiedy inżynierowie zaczynali rozpracowywać szczegóły. Tak więc Lee sporządził listę optymalnej wagi wszystkich komponentów i podukładów.

Każdego rana wzywał czołówkę współpracowników na naradę poświęconą problemom dnia, nazywaną przez niego: przypalanie na ruszcie. Wiedział, że coś takiego organizowano w Dowództwie Strategicznym Lotnictwa. Dokładnie za kwadrans ósma zamykano drzwi na klucz, odsuwano krzesła pod ściany i nie było żadnej kawy, żeby nikt nie mógł sobie przy sięść i się wyluzować. Następnie każdy dokonywał spowiedzi, mówił, co ma najważniejszego do zrobienia i jak zamierza się z tym uporać. Podczas przypalania na ruszcie Lee rozdawał podsumowania wagi komponentów, wskazując, jak bardzo przekroczono dopuszczalną granicę. Nie wskazywał maksymalnego ciężaru podukładów – chciał doprowadzić do najkorzystniejszych kompromisów w obrębie całego statku kosmicznego – ale

codziennie naciskał ludzi, żeby się zastanowili, co mogą zrobić, by ująć wagi swojemu komponentowi i dać innym zespołom trochę oddechu. Niemniej jednak ciężar całkowity nie spadał dość szybko i niebawem stało się to głównym zmartwieniem Lee.

Nie miałoby znaczenia, gdyby w okresie składania ofert trochę przekroczyli wyznaczoną granicę. W razie wygranej i tak trzeba by jeszcze rozwiązać masę szczegółów.

Ale jak na razie wyglądało na to, że MEM Columbii to bajka nie z tej planety. Ograniczenie wagowe ustalone przez NASA miały odpowiadać nowej konfiguracji, zakładającej czysto chemiczny napęd, wykorzystujący manewr przyspieszenia grawitacyjnego. W związku z tym musiano się trzymać ściślejszej specyfikacji, niż w przypadku wcześniejszych projektów, zakładających napęd atomowy. Lee zaczął się gryźć w duchu, że nie sprostą wymogom zamówienia.

W końcu najbliższy sojusznik zmusił go do wzięcia byka za rogi. Jack Morgan zaciągnął go w kąt hali, z dala od ogólnego zamętu. Co dla niego nietypowe, miał na twarzy wyraz powagi, nawet zgryzoty. – J.K., myślę, że mamy kłopot.

Przedstawił Lee obliczenia dotyczące układów środowiska i życiodajnego MEM-a. Opierając się na danych Programu Apollo, wyliczył, ile będzie potrzebował na Marsie jeden człowiek, żeby utrzymać się przy życiu – jedzenia, ubrania, powietrza, pojemników asenizacyjnych, przestrzeni życiowej, środków do prowadzenia EVA* [Przyp tłum Extra Vehicular Activities], czyli działalności poza statkiem. – Spójrz na to. I na to. – Morgan przedstawił całą serię opcji, zakładających różny budżet wagowy ECLSS. – Nie ma mowy, żebym zapewnił przeżycie czterem ludziom na powierzchni. Sto dwadzieścia roboczodniówek. To przerasta nasze możliwości. Lee poczuł, jak panika zaciska mu pętlę na szyi. Naprawdę wyglądało to tak, jakby nie byli w stanie sprostać wymaganiom zamówienia.

Nagle poczuł brak snu, wszystkich posiłków, których nie zjadł, wypaloną adrenalinę.

Ogarnęły go zawroty głowy i mdłości.

„Daj spokój, J.K.” – powiedział sobie w duchu. „Weź się w garść. Jeśli ty masz z tym

kłopot, ma go tak samo Rockwell, McDonnell i tamte wszystkie dupki. Postaraj się zamienić

to w swój atut”.

Morgan spoglądał na niego z zafrasowaniem.

–Dobrze się czujesz, J.K.? Wyglądasz jakbyś...

–Tylko nie rób mi tu z mojej hali gabinetu lekarskiego, Jack. – Chłopie, dajesz sobie tak w kość, że będziesz potrzebował szpitala, gabinet ci nie wystarczy. Mówię poważnie, J.K.

Lee dalej drażył temat:

–Nie możesz mi załatwić stu dwudziestu roboczodniówek na Marsie. Dobra. Ile możesz?

Morgan zastanowił się.

–Może siedemdziesiąt pięć procent tego. Powiedzmy dziewięćdziesiąt roboczodniówek.

„Żeby to obesrało” – pomyślał Lee. „To gorzej niż myślałem”. – A więc naszych czterech gości ma obcięty pobyt do... ilu to...? dwudziestu trzech dni?

–J.K., masz pobyt krótszy o jedną czwartą. Oni tego nie przełkną. Lee potrząsnął przecząco głową.

Zgadza się, nie przełkną. Ale musi na to być jakiś sposób. – Zamyślił się. – Hm, dziewięćdziesiąt roboczodniówek. A co, gdybyśmy zabrali tylko trzech gości? Wtedy w dalszym ciągu możemy im zapewnić pełne trzydzieści dni. Morgan natychmiast zaprzeczył ruchem głowy.

–To niemożliwe. W tym względzie warunki przetargu są jasne. NASA po to wydaje tę całą forszę na wysłanie swoich ludzi na Marsa, żeby praca na powierzchni szła pełnym cyklem całodobowym. Chce wprowadzić system zmianowy. „Czerwona” i „niebieska” zmiana będą...

–Co mi tam! Niech „czerwoni” się pieprzą z „niebieskimi”! – odwarknął Lee. – To nie jedyny warunek na wyrost tego obsranego przetargu. Zaczął szybko myśleć.

„Trzech gości zamiast czterech” – powtórzył w duchu. Uświadomił sobie natychmiast, że jeśli dałoby się to przepchnąć, doprowadziłoby do niesłychanych oszczędności w całym programie, nie mówiąc o zmianie projektu samego MEM-a. Na przykład, nie byłoby się skazanym na wleczenie takiej masy materiałów i urządzeń układu życiodajnego. Jedna czwarta całego interesu mniej! A wszystko to przy żadnym lub minimalnym okrojeniu operacji na planecie.

Z rosnącym podnieceniem zdał sobie sprawę, że gdyby mu się udało to – tak czy

inaczej – udowodnić, miałyby sakramencki plus w ocenie komisji przetargowej. Przelotna fala paniki opadła; poczuł się silny, sprawny, pełen zapału, znów naładowany adrenaliną. Złapał Morgana za ramię. – No, więc teraz musimy tylko sporządzić całodobowy grafik EVA. Słuchaj, Jack.

Masz zrobić tak...

Właściwie nie dało się tego nazwać symulatorem; była to zamknięta część jednego z większych laboratoriów Columbii, zaopatrywana w podstawowe składniki układu życiodajnego – pokarm i wodę – ale niehermetyczna. Morgan zapłacił trójce uczniów z wydziału ratownictwa medycznego Caltechu, za miesiąc przebywania w tych warunkach.

Każdego dnia przeprowadzali pozorowane działania EVA; nakładali atrapy

skafandrów kosmicznych i plecaki z ciężarkami, po czym niby przeprowadzali

eksperymenty

na powierzchni Marsa. Następnie

wdrapywali się po krótkiej drabince, symulując powrót do MEM-a, i oczyszczali się, ściągając z siebie nawzajem marsjański kurz, delikatny jak talk. Szukali optymalnej długości zmian, pracując i śpiąc przez różny czas. Cały zabieg był prostacki, ale owocny; pod koniec miesiąca uczniowie byli trochę znudzeni i na pewno wyczerpani, ale nadal sprawni umysłowo, poprawnie reagujący na bodźce i, prawdę mówiąc, w lepszej kondycji fizycznej niż na początku zajęć. Zresztą wyczerpanie nie było żadnym problemem; prawdziwa załoga miała w perspektywie cały odcinek powrotny; siedem miesięcy podróży na odsypianie zaległości. Morgan zdał sprawozdanie Lee i ten był zachwycony wynikami. Mógł się spodziewać, że jego pomysł z wysłaniem trzech ludzi zrobi na komisji przetargowej nieziemskie wrażenie, ale nie tylko tego. Miał jeszcze w zapasie szczegółowe propozycje zagospodarowania czasu na Marsie; sugestie na temat grafiku, konieczności wcześniejszego ustalenia przedziałów czasu pracy, snu i odpoczynku, i tak dalej, i dalej. „Problemy to zarazem nowe możliwości” – pomyślał. Czuł, że praca idzie do przodu, przynosi efekty i zbliża się chwila triumfu.

Kiedy wskazówka zegara zbliżyła się do dwunastej, Lee zaczął przesiadywać na próbach, podczas których poszczególne zespoły składały do kupy swój kawałek wystąpienia.

Zaczął wyobrażać sobie finalny produkt. Sam Lee – razem z Xu, Rowenem, Lye i Morganem oraz kilkoma innymi osobami – zajmie miejsce na podium w jakimś hotelu albo ośrodku konferencyjnym i dostanie sześćdziesiąt minut na prezentację przed całą masą inżynierów z NASA.

Im dłużej jednak słuchał poszczególnych fragmentów wystąpienia, tym lepiej rozumiał, że wysłanie w bój piątki, szóstki czy siódemki prezenterów nie ma wielkiego sensu.

Jeden człowiek powinien odwalić cały spektakl, od początku do końca, przedstawić każdy aspekt propozycji, każdy cholerny podukład, podczas gdy inni będą siedzieć z tyłu, gotowi udzielić wsparcia, kiedy posypią się pytania z sali. Tak więc zaczął zabierać materiały do domu – wersje robocze, dokumenty, notatki – i wkuwał na pamięć każdy kawałek rozwiązania, które zamierzał zaproponować. Z okularami do czytania na nosie brał nawet opracowania do łóżka i siadywał wysoko oparty o poduszki, włączwszy lampkę.

Jennine budziła się, coś tam mruzczała i wstrząśnięty stwierdzał, że jest czwarta rano lub inna zakazana pora. Miał godzinę do zerwania się z łóżka i rozruchu codziennego młyna.

Ale czuł się pełen energii. Nie mógł w to uwierzyć. Tak było dzień po dniu. Czuł się tak, jakby mógł fruwać.

W końcu kazał wstawić do gabinetu łóżko polowe. Uznał, że w ten sposób zaoszczędzi masę czasu.

Zadzwoił do niego Art Cane.

–Trochę zaczynam się tym martwić, ile wy ludzie mnie kosztujecie. Jak nie wygram

tego przetargu, będę musiał sobie wpisać diabelnie wysoką stratę. A tak przy okazji, jak

wygląda mój dwumilionowy budżet?

–Świetnie, Art.

Lee łągał w żywe oczy. Doskonale zdawał sobie sprawę, że dawno temu przekroczył granicę dwóch milionów i że kieruje się ku sumie trzy albo cztery razy większej. Z punktu widzenia Lee, jedną z najcudowniejszych cech Arta był kompletny brak zaufania do komputerowego prowadzenia księgowości. Z uporem maniaka sprawdzał co miesiąc cyferki, analizował je, dodawał i interpretował na piechotę. Dokładnie jak wtedy, kiedy zaczął prowadzić firmę.

Tak więc był opóźniony przynajmniej o miesiąc. A Lee już tak potrafił manipulować, żonglować wydatkami i należnościami, że pojawiały się w księgach trzydzieści dni

później.

Tak więc w sumie zyskiwał dwa miesiące łaski.

Tyle właśnie potrzebował. Za dwa miesiące miało nastąpić rozstrzygnięcie przetargu.

Lee doszedł do wniosku, że jeśli wygra, nikt nawet nie pnie, że złamał słowo i przekroczył koszty. A jeśli się wy-kopirtnie, Art i tak dorwie mu się do tyłka. Bez względu na wynik, liczyło się to, żeby mieć środki teraz.

Cane powiedział mu kiedyś:

–Właśnie dostałem telefon od McDonnella Douglasa.

–O, tak? I...?

–Chcą, żebyśmy połączyli siły i razem wystartowali do przetargu na tego MEM-a.

Co ty na to, J.K.? Pomyśl nad tym...

–

Cane przeszedł do szczegółów.

Lee natężył umysł.

Obiektywnie patrząc, była to propozycja niezwyklej wagi. Bardziej mogło się liczyć tylko podobne wezwanie od samego Rockwella. Mc-Donnell zbudował serie Merkury i Gemini, dwa pierwsze pokolenia amerykańskich statków załogowych, i trzeci stopień Saturna 5. Tak więc byłby dobrym, wiarygodnym wspornikiem. Poza tym Lee wiedział, że Apollo, twór Rockwella, wzbudził pomruki niezadowolenia w NASA, które nie ucichły do tej pory.

Spółeczność NASA, a Lee był pewien, że jej część znajdzie w komisji przetargowej, ciepło przywita powrót do dawnych dobrych czasów współpracy z McDonnellem. Jakkolwiek by patrzeć na tę współpracę, miała sens. – Nie jestem zainteresowany – przerwał Cane'owi wywód. Art zamilkł na dobrą chwilę.

–Słuchajże – powiedział w końcu. – Wiesz, że nie zamierzam uszczęśliwiać cię na siłę. To nie w moim stylu.

–Wiem o tym, szefie. Ale to nasza oferta. Pieprzyć McDonnella. Może później wynajmiemy ich jako podwykonawcę. Po co oni komu? – J.K...

–Muszę mieć twoje poparcie, Art.

W telefonie rozległo się basowe odchrząknięcie.

–Do diabła, Lee, wiesz, że cię poprę. Tylko mnie nie zawieź.

–Wiesz, że nie, Art. Teraz kończ tę gadaninę, mam robotę.

Poniedziałek, 5 lipca 1981 roku

Hala ćwiczeń personelu latającego, Ośrodek Kosmiczny im. J. Kennedy

Natalie York i Ralph Gershon siedzieli ramię w ramię w dwustoż-kowym symulatorze

numer trzy MEM-a. York miała na sobie kombinezon. Czuła się niewygodnie i było

jej za

gorąco. Wnętrze atrapy było realistyczne; z zewnątrz ruchomy symulator był

wielką brzydką

maszyną z pomalowanymi na biało urządzeniami hydraulicznymi, całkowicie

zasłaniającymi

kabinę.

W porządku, Ralph, przekazemy ci go po odpaleniu plus jedna minuta – powiedział instruktor symulacji.

–Zrozumiałem – wycedził przez zęby Ralph.

Wokół York obudziły się do życia elektroluminescencyjne wskaźniki i zegary, migotały igły, zajaśniały ekrany monitorów, informując o temperaturze silnika, ciśnieniu kabiny, poziomie paliwa i utleniacza.

Gershon siedział po lewej, w fotelu pilota, York po prawej. Iluminatory kabiny rozmieszczone wokół – na poziomie głowy załogi – były duże i okrągłe, tak że astronauta mieli wrażenie, iż siedzą w małym ciasnym kokpicie samolotu rejsowego. Łagodne, zielone światło instrumentów zalewało kabinę, tak że York cały czas czuła się jak w akwarium.

Za iluminatorem pojawiła się szkarłatna smuga, a potem łagodna, łososiowej barwy krzywizna, symulowany pejzaż Marsa. Wyglądał niczym plaster pomalowanego gipsu, nad którym jakimś cudem wisiała mała telewizyjna kamera, poruszana przez komputer. Niebo było czarne, bezgwiazdne, otchłanne. Pojawiające się jasnopomarańczowe bryzgi miały świadczyć o obecności rzadkich górnych warstw marsjańskiej atmosfery, odbijającej blask rakietowych sterów pozycji dwustożka.

–Przyjmijcie, że zmiana kierunku się udała – powiedział instruktor symulacji. – Zasoby paliwa trzy dziesiąte, manewr zakończony sukcesem. – W porządku – powiedział Gershon.

Poruszyły się wskazówki zegarów i skróty przeleciały przez ekrany monitorów. – Opróżniliśmy zbiorniki paliwa przednich sterów pozycji – oznajmiła Natalie Gershonowi. – Rekonfiguracja pomanewrowa sterów pozycji zakończona. Ruszają dodatkowe zespoły zasilania. Pracują dwa z trzech, zgodnie z konfiguracją znamionową. Gershon rzucił okiem na zegarowy wskaźnik.

–Nadzór, zła korelacja odczytu wysokości. Zamierzam dokonać korekty ręcznej.

Nie masz nic przeciwko?

–Nie mam, Ralph. Zgadza się.

–Wejście w atmosferę, Ralph – oznajmiła York. – Sto pięćdziesiąt osiem tysięcy stóp. Dziób czterdzieści stopni w górę.

–Przekonajmy się, co tym razem wymyślą.

–

–Robisz się paranoikiem, Ralph.

–Jeszcze się sama przekonasz.

Teraz gipsowy plaster przesuwiał się szybciej.

–Wzrost temperatury kadłuba wskutek tarcia – zgłosiła York. Obserwowała czujniki mówiące, jak rośnie temperatura dolnej części kadłuba. Dwustożek oparty na roboczym projekcie Rockwella był najbardziej zaawansowaną konfiguracją MEM-a z proponowanych przez dostawców. Miał spaść brzuchem w atmosferę, a potem lecieć jak samolot, tak więc cały spód wyłożono panelami odpornymi na wysokie temperatury. Stworzona bariera cieplna miała wchłaniać energię rzadkich molekuł marsjańskiego powietrza.

–Przygotujcie się na zanik łączności – sucho przestrzegł instruktor. – Do zobaczenia

po drugiej stronie, załogo.

–Mam nadzieję – powiedział Gershon.

Za iluminatorem York różowy blask plazmy nabrał intensywności.

–Ale bujda – powiedział Gershon.

–A mnie się podoba – zamruczała York.

Skupili się na układach wskaźników, które mieli przed sobą, porównując to, co widzieli, z listami zadań przypiętymi do konsoli. Teraz ich czynności stały się rutynowe, prawie nudne...

Z tym, że gdyby naprawdę zbliżali się do powierzchni Marsa, to poczuliby pierwsze poważne zderzenie z atmosferą planety. York zdała sobie sprawę, iż puls bije jej mocniej, tętnice szyjne pracują na zwiększonych obrotach. Ta symulacja, przeznaczona raczej dla inżynierów niż astronautów, była dość prostacka; nawet nie oparta na ruchu, jedynie imitowała prawdziwe zdarzenie. Ale wyobraźnia zaczęła pracować nawet w statycznej kabinie i York zrozumiała, jak naprawdę mogłoby wyglądać zejście z orbity i podchodzenie do lądowania na Marsie.

Nagle w dzieciennym odruchu zapragnęła, żeby to było naprawdę. Żeby jakoś dało się przyspieszyć lata treningów i przeskoczyć niepewność, oczekującą w przyszłości. „Och, żeby się tam znaleźć – westchnęła w myślach – och!” I dodała również w myślach: „Nawet gdyby to oznaczało, że będę miała za partnera Ralpa Gershona”.

Sto trzydzieści tysięcy stóp. Zbliżamy się do punktu uzyskania sterowności.

Gra – powiedział Gershon. Zaczął poruszać drążkiem i pedałami. Podczas tego komputerowo symulowanego lotu nurkowego dwu-stożek był już na tyle głęboko w atmosferze, że przednie raketowe stery pozycji stały się bezużyteczne z powodu ciśnienia, ale za to zwykłe stery były już sprawne. York zdała sobie sprawę, że dwustozek przemienił się w swoiste, niespotykane do tej pory połączenie statku kosmicznego i samolotu.

–Ciśnienie dynamiczne dwadzieścia funtów na stopę kwadratową – powiedziała York. – Sto dwadzieścia tysięcy stóp.

–Dobrze – powiedział Gershon.

Wyłączono ostatnie silniki. Statek zamienił się w szybowiec i utrzymywał pozycję oraz kierunek lotu tylko za pomocą sterów.

Blask za iluminatorem osiągnął maksymalną intensywność, z różowego i żółtego stał się biało-niebieski. Zmiany następowały w sposób widzialny, gdy komputer zmieniał filtry.

Gershon pracował dziwnie staromodnymi przyrządami sterowniczymi dwustozka.

–Coś opornie reaguje. – Pchnął drążek w przód. – Próbuję zejść niżej. Sterolotki poszły w górę, ogon w dół. Nic nie czuję. Cholera. Gra. Przesadziłem. Dobra, podnoszę go.

Wstrzymuję opadanie. Drażek w tył. Lotki góra, brak wznoszenia, ogon w dół. Gówno. Nie reaguje... Och. Wreszcie. Przewalam się na boki jak świnia w błocie. York wiedziała, że dwustożek miał być powolny, niezdarny i ciężki do prowadzenia w porównaniu z większością ziemskich statków powietrznych. Latanie dwustożkiem bardziej przypominało prowadzenie żaglówki; musiałeś przerzucić ster i czekać, aż napotka opór w nowej konfiguracji i tor lotu zwolna ulegnie zmianie. – Sto trzy tysiące stóp – oznajmiła.

–No i jazda – powiedział Gershon. – Zabieramy się do pierwszego skrętu. W elektronicznej wyobraźni komputera dwustożek pochylił się o osiemdziesiąt stopni w prawo. York obserwowała przechylający się pejzaż; krąg gipsu jakby zadygotał z winy niesprawnie działającej ka-rnery telewizyjnej, śledzącej wydarzenia za iluminatorem.

Dwustożek miał dokonać serii zwrotów w kształcie litery S, przelecieć żmijkąw górnych warstwach atmosfery Marsa. Trasa lotu to była kwestia rozplanowania wydatków; statek musiał pozbyć się całej energii orbitalnej, zanim dotarłby do miejsca lądowania, ale z drugiej strony musiał zachować energię niezbędną, żeby to lądowisko osiągnąć. Tak więc musiał zapewnić sobie noszenie, które zawdzięczał kształtowi kadłuba, wraz z energią kinetyczną lądowania, żeby jednocześnie ochłodzić rozgrzaną powłokę i dotrzeć do celu...

–Przesadziłem – zamruczał Gershon. – Osiemdziesiąt pięć stopni. Osiemdziesiąt sześć.

Kładę się na lewo, żeby wyrównać. No dalej, instruktorku. Tak chciałeś nas załatwić? Kładę się na lewo. Jedziemy. W porządku. Pierwszy skręt zakończony. Jedziemy dalej. Drugi skręt.

–Mówił napiętym głosem, jego ruchy były szybkie, mechaniczne.

„On traktuje tę grę za poważnie” – pomyślała York. W tym momencie dwustożek miał poruszać się z prędkością wielokrotnie przewyższającą lokalną prędkość rozchodzenia się dźwięku. Nadal płonął blaskiem, miał pędzić po marsjańskim niebie, wypisując ślad kondensacji po czystych niebiosach i posyłając wielkie miazdzące fale energii akustycznej po wymarłej, pustej powierzchni, nie niepokozonej przez miliard lat.

Musiała przyznać, że zapowiadała się widowiskowa faza misji. Marzenie każdego pilota.

Myślała smętnie, że takie przeżycia zapewniłby zaniechany program budowy promu kosmicznego. Spływanie w dół wielkimi, wdzięcznymi łukami byłoby cholernie przyjemniejszym doświadczeniem niż spadanie tyłkiem do morza w Apollu.

„Utraciliśmy wiele przepięknych rzeczy, rezygnując z promu” – pomyślała. – Sześćdziesiąt jeden tysięcy stóp – odczytała wskazanie wysokościomierza. – Odebrałem. Hamulec aerodynamiczny na sześćdziesiąt pięć procent. Zmierz dane powietrza.

–Odebrałam. – York przerzuciła atrapę przełącznika. Z prawdziwego dwustożka wyrzucone zostałyby rurki Prandtla, sondy ciśnienia całkowitego i statycznego. – Wygląda w porządku – powiedział Gershon. – Wychodzę z trzeciego skrętu. – Szeroko uśmiechnął się do York. – Hej, może wyjdziemy cało z tego draństwa. – Może. Pięćdziesiąt tysięcy stóp.

Wchodzę w czwarty skręt.

Gipsowa równina, obecnie nie zasłonięta udawaną płonąca plazmą, znów się przechyliła.

.– W porządku, wychodzę ze skrętu. Wychodzę... dalej, maleńki... wychodzę...

Niech

to szlag.

„Zaczyna się” – pomyślała York. Nie było takiej symulacji, żeby nie chcieli cię dopaść. Poczwała skurcz żołądka.

Wskaźnik orientacji koziołkował. Gershon pracował sterami i gorączkowo przeglądał listy zadań procedur alarmowych.

–Stery oporują. Ale za słabo. Kurwa! Co się dzieje? York wyjrzała przez iluminator. Gershon nie mógł wyjść ze skrętu. Krajobraz przekręcił się teraz o ponad dziewięćdziesiąt stopni. W wyobraźni komputera dwustożek leciał prawie do góry brzuchem.

–Zalecamy opuszczenie statku – powiedział ze spokojem instruktor symulacji, przerywając ciszę radiową.

–Wal się – odpowiedział Gershon. W dalszym ciągu przelatywał listy procedur, sprawdzał działanie instrumentów pokładowych, przerzucał przełączniki. York zdała sobie sprawę, że w takiej sytuacji piloci zachowują się podobnie. „Pracują według podręcznika” – pomyślała. „Zgodnie z logiką, ale trzy razy szybciej niż normalnie.

Spróbuj sposobu A. Jak A nie działa, spróbuj B. Jak nie B, to C...”. Ale teraz gipsowy pejzaż zupełnie przekręcił się do góry nogami, sztuczne kratery i kaniony utworzyły szkarłatny dach.

York ze wstrząsem uświadomiła sobie, że minęły zaledwie sekundy od początku kłopotów. Tyle tylko ci przysługiwało: sekundy na ustalenie powodów złożonej awarii,

obejmującej wiele układów.

Człowiek po prostu był skazany na przegraną.

Jeśli coś poszło nie tak, musiałeś związać manatki. Zaraz albo prawie zaraz. Albo byłeś

trupem. Nic dodać, nic ująć.

–Ralph musimy natychmiast przerwać zadanie.

Gershon nawet nie pofatygował się z odpowiedzią. Nadal gorączkowo pracował. Pejzaż wyraźnie obracał się dalej i był coraz bliżej. Dwustożek wszedł w korkociąg naddźwiękowy.

–Przerwij zadanie – powtórzyła. – Chryste, Ralph, jak wpadliśmy z korkociąg naddźwiękowy, jesteście załatwieni.

Światło w kabinie migotało, gdy sztuczne marsjańskie niebo przelatywało za iluminatorem. Nagle wyobrazila sobie komiczny obraz małej kamery telewizyjnej na ruchomym ramieniu, wirującej wokół gipsowej podłogi. Gdyby to było naprawdę, głowa latałby mi na wszystkie strony, tłukąc się o hełm, a bębrenki w uszach pękałyby od siły Coriolisa – pomyślała. – Gdyby to było naprawdę, statek może zacząłby się rozlatywać, jeszcze zanim straciłabym świadomość. – MEM, zalecamy przerwać zadanie. Zalecamy...

–Ralph! Jezu Chryste! Ralph!

Kabina zadygotała, rozległ się trzask, za iluminatorami wzbił się biały pył.

Pejzaż zamarł.

–Witajcie na Marsie – sucho oznajmił instruktor symulacji. – Właśnie obliczamy rozmiary krateru, który wyźlobiliście.

–Kurwa – powiedział Gershon. Zdjął hełm z głowy i cisnął o ścianę makiety kabiny.

Wygramolili się tyłem. Symulator z zewnątrz przypominał dziób małego lekkiego samolotu, odciętego na wysokości kokpitu. Przewody i kable zwisały z otwartej tylnej

ściany.

Technicy uśmiechnęli się szeroko na ich widok.

–Hej, Ralph, załatwiłeś naszą kamerę. Wbiłeś ją dokładnie w ten kawał gipsu. Co ty na to?

Gershonowi nie było do śmiechu. Odwrócił się do York. Palcem w rękawicy wycelował prosto w jej twarz.

–Nigdy, nigdy nie rozkazuj mi, kiedy lecimy!

Była raczej rozbawiona niż poruszona; już spotkała się z takimi wybuchami. Przeważnie radziła sobie z Gershonem, a on na swój obcesowy sposób wydawał się gotowy traktować ją jako równą sobie, chociaż dawniej, za czasów stażu kandydackiego, był jej wykładowcą. Niemniej jednak, często ponosiły go nerwy. Rozkazywać? Ja? Ty jesteś pilotem, Ralph.

–Do cholery, nie zapominaj o tym. – I zamaszystym krokiem poszedł na czuwanie.

Powoli podszedł do niej Phil Stone. Był ubrany w lekki niebieski kombinezon,

ręce

trzymał w kieszeniach.

.– Nie przejmuj się tym.

–Nie przejmuję. – Wzruszyła ramionami i zaczęła zdejmować rękawice. – Niebawem zacznę ryczeć na techników. A potem na instruktorów. A potem na ciebie i... Swoimi rękami dosięgnie samych szczytów władzy. Byłam po prostu pod ręką, na linii ciosu. Nie cierpi zawałać sprawy.

–Nie zawałał – odparł Stone. – Z tego nie dało się wyjść.

–Ten korkociąg naddźwiękowy...

–Napisałem książkę o korkociągach naddźwiękowych – powiedział i podejrzewała,

że za tą uwagą kryła się jakaś wojenna opowieść. – Znam się na nich. Ale nawet

wcześniej nie

możliście z tego wyjść.

–Co się stało?

–Nie zaczekasz na czuwanie? – Czuwanie przy zmarłym była to długa, męcząca, oficjalna odprawa.

–Niech chociaż dowiem się czego będzie dotyczyć.

–Wasz dziobowy raketowy ster pozycji obudził się sam z siebie. Dokładnie w tej samej chwili, w której zaczęliście czwarty skręt. Stery konwencjonalne nie mogły poradzić

sobie z dodatkową boczną siłą oporu.

Zastanowiła się nad tym.

–Ale instrumenty pokładowe nie wykazały żadnej pracy silników. A poza tym stery pozycji nie mogły już działać. Pozbyliśmy się paliwa. – Tak się wam wydawało. – Wyszczrzył zęby. – Jedno cholerstwo pod drugim, co? – Chryste. – Wsadziła rękawice do hełmu. – Czasem mam wrażenie, że tym facetom zależy, żebyśmy zawalili sprawę.

–Nie. Ale musicie ją zawalić może ze sto razy, tak żeby się wam udało ten jeden, jedyny raz, kiedy będzie trzeba. Poza tym to jest miejsce na zawalenie sprawy. Nikt jeszcze nie zginął w symulatorze. Zresztą to był głównie lot testowy prototypu, nie lot ćwiczebny pilotów.

York pomyślała, że to prawda. Więcej, symulator dwustożka był tak niepopularny, że

tylko prawdziwe świry symulatorowe, ludzie nabijający sobie czas ćwiczeń w symulatorze,

każdym symulatorze, rozpaczliwie spragnieni lepszej pozycji w systemie rotacji załóg, byli

gotowi w nim ćwiczyć.

Tacy ludzie jak Natalie York i Ralph Gershon.

–I nie spodziewam się, żeby ten interes w ogóle miał polecieć. Ma za wiele felerów.

Krążą żarty na temat procentu wypadków w symulatorze dwustożka...

–Szkoda tylko, że Ralph nie spojrzy na to z tej perspektywy. – Niewykluczone, że jest najlepszy ze wszystkich, których mamy – powiedział ze spokojem Stone. Była zaskoczona, słysząc taką opinię z jego ust. – Do końca się nie poddawał – ciągnął. – Próbował wszystkiego, co miał. Próbował wyjść z tego korkociągu. Był bliżej uratowania MEM-a niż wszyscy do tej pory. A tak przy okazji... też dobrze się spisałaś.

Wezwania do opuszczenia statku w tamtej chwili to było prawie najlepsze rozwiązanie.

–A jakie było najlepsze?

–To co zrobił Ralph. Chodź. – Klepnął ją w plecy. Poczowała ciężką dłoń przez warstwy skafandra. – Postawię ci kawę przed czuwaniem. Wyszli z hali treningowej.

Środa, 12 sierpnia 1981 roku Siedziba Columbia Aviation, Newport Beach Przylecieli do Newport News wieczorem przed prezentacją: Lee, Morgan, Xu, Rowen, Lye i wszyscy pozostali – nawet Art Cane, który zdecydował się sam otworzyć i zamknąć prezentację Lee, na dowód że firma stoi murem za ofertą. Pojechali w pobliże Langley, do Chamberlain Hotel przy Old Point Comfort, w którym miano dokonać prezentacji. Morgan podążył do baru i przyssał się do butelki siedemdziesięciopięcioprocentowego rumu Lemon Hart. Ale Lee poszedł z pudełkami slajdów do swojego pokoju. Poprzedniego dnia przeprowadził ostateczną próbę przed obliczem Cane'a i ze zgrozą stwierdził, że prezentacja wciąż jest za długa około dwadzieścia minut. Tak więc teraz otworzył pudełka i zaczął sortować slajdy, szacując, co dało by się wyrzucić. Około wpół do czwartej zjawił się Jack Morgan, pod dobrą datą. Jednym spojrzeniem ogarnął Lee ze slajdami rozrzuconymi po całym blacie wypolerowanego hotelowego biurka.

.– Na litość boską, J.K., odłóż to gówno i marsz do łóżka. Jak do tej pory nie przyszykowałeś prezentacji, nie przyszykujesz jej nigdy. Lee się poddał. Poskładał slajdy i poszedł do łóżka. Nawet zgasił światło i leżał w ciemności.

Ale widział swoje slajdy wyraźniej niż wtedy, kiedy leżały przed nim w całej okazałości.

Po jakiejś półgodzinie wstał, wziął prysznic, ogolił się i wrócił do pracy. Odezwało się zamówione budzenie, a kiedy wyjrzał przez okno, przekonał się, że planeta nie przestała się obracać i nastał dzień. Trzydzieści minut przed prezentacją Columbii, zszedł na dół do recepcji, spotkać się z resztą. Bob Rowen dźwigał gruby komputer. Była w nim całość wystąpienia, podzielona na kawałeczki i tak oznaczona, że w razie jakichś pytań Lee mógł szybko wskazać każdy problem.

Lee wylewnie uściskał wszystkim dłonie, starając się promieniować pewnością

siebie i przekonaniem o zwycięstwie.

Ale nagle poczuł skurcz w żołądku i wiedział, że zaraz zwymiotuje. Jack Morgan, który już wcześniej nie spuszczał z niego oka, zaciągnął go do toalety, gdzie Lee dostał gwałtownych torsji; wyrzucał z siebie rzadki, brązowy, ostry płyn. Samą kawę.

Morgan nic nie powiedział, ale Lee wiedział, co myśli. Że od dziesięciu tygodni ciągnął tylko na adrenalinie i kawie, mało co jedząc i prawie nie śpiąc. Morgan kazał mu ściągnąć spodnie i wbił w tyłek strzykawkę pełną witaminy B-12 i innych gównien. Ale zastrzyk zrobił swoje i Lee pozbierał się do kupy. Po kilku minutach mógł wyjść z toalety świeżutki jak nowonarodzone dziecko, czując się wprost doskonale.

Przybyli do sali balowej, w której miała odbyć się prezentacja. Komisja przetargowa siedziała w rzędach na podium; siedemdziesięciu najwyższych stopniem ludzi NASA.

Lee znał wielu z widzenia. Był tam Hans Udet z Marshalla i Grego-ry Dana z Langley – sławni przeciwnicy, siedzący sztywno ramię w ramię. Dostrzegł Ralpha Gershona przemykającego w głębi sali. Gershon skinął mu głową i uśmiechnął się szeroko. Joe Muldoon siedział prawie w środku, przewodnicząc sesji; Lee pomyślał, że chociaż Muldoon zawędrował na szczyty hierarchii, to garnitur z niebieskiego tenisu, w który się wcisnął, nadal wygląda na nim co najmniej dziwnie. Napięcie wisiało w powietrzu jak ozon.

Kiedy zespół Columbii zaczął zajmować miejsca, jego poprzednicy właśnie wychodzili z sali. To byli ludzie McDonnella, którego zaproszenie do przygotowania wspólnej oferty Lee odrzucił, co odbiło się niezłym hukiem w całym przemyśle lotniczo-kosmicznym. A wśród podwykonawców McDonnella był Hughes, który z kolei okazał się nieczuły na podchody Columbii.

W oczach Lee kontrast między dwoma grupami był uderzający. Kadra McDonnella-Hughesa emanowała elegancją i powagą. Byli to sami mężczyźni rasy białej o przylizanych fryzurach i z wyraźnymi brzuskami. Znajdował się tam, na przykład, Gene Tyson, jak zawsze roztaczający woń wody kolońskiej i drogich cygar, jakby żywcem wzięty z okładki „Fortune”. Natomiast Lee dźwigał własny projektor, oby mu Bóg wybaczył, a za całe wsparcie miał bandę dzieciaków po uniwersytetach i skacowanego doktora.

Lee widział kopię ostatecznego raportu McDonnella, studium za kilka milionów dolarów. McDonnell optował za dwustożkiem, wariantem przygotowywanym przez

Rockwella. Studium było przecho-lernie mądrym opracowaniem, tak opasłym, że nikt

Columbii nie miał sił ani czasu go przeczytać.

Tyson podszedł do Lee.

–Proszę, J.K. Nie spodziewałem się cię tu zobaczyć. – Och, tylko żeśmy tędy przejeżdżali – odciął mu się Lee. – I strzeliło nam do głowy, żeby coś sklecić i zobaczyć, czy będzie się trzymało kupy. Tyson roześmiał się pogodnie, poklepał Lee po ramieniu i odszedł. Art Cane zbliżył się do mównicy, powoli, z godnością i namaszczeniem, po czym w krótkich słowach oświadczył, że firma całym sercem popiera ofertę, jak też nawiązał do tradycji Columbii i wyznawanych przez nią wartości. Z kolei Lee wyszedł luźnym krokiem na front sali, uśmiechając się i rozsyłając ukłony. Wymienił krótki urzędowy uścisk dłoni z Cane'em, zajął miejsce na mównicy i poprosił o pierwszy slajd.

Światła sali przygasły i slajd się pojawił, dokładnie jak trzeba. Czwartek, 24 września 1981 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston Phil Stone i Adam Bleeker przyglądali się Natalie York ze skupieniem. Cała trójka znajdowała się w salce konferencyjnej, która pełniła obecnie rolę siedziby Komisji ds. Wyboru Lądowiska Aresa. Ściany pokrywały obrazy Marsa: fotografie z Marinera, mapy Urzędu Geologicznego USA, kolorowane przekroje planety, wyniki badań geologicznych. Długie stoły, ustawione w rzędach pod ścianami, były pokryte kolejnymi mapami, zdjęciami i folderami.

York rozwinęła jeszcze jedną mapę i przypięła ją do ściany, zakrywając to, co już tam wisiało. Mapa była jasnokolorowa, prosta i miała naniesione małe flagi. – Oto Mars – powiedziała York. – Na tyle szczegółowy, na ile to wam teraz potrzebne.

Trzeba poznać wroga, zgadza się? To mapa geologiczna planety, sporządzana dzięki danym Marinera. – „Tak szczerze mówiąc, określenie „mapa geologiczna” było na wyrost.

Miała

raczej charakter pomocy naukowej dla pierwszaków i była tak prosta, że nadawała się tylko

do celów operacyjnych. Byłaby bardziej przydatna, gdybyście planowali zbombardowanie

Marsa, nie badanie” – pomyślała York. – Dobra. Co przede wszystkim rzuca się

Warn w

oczy?

Stone uśmiechnął się szeroko.

–Widzę siedem naszych flag i siedem ruskich, wszystkie z oznaczeniami.

–Przejdziemy do flag. Najpierw geologia. Po prostu opiszcie, co widzicie.

Bleeker wzruszył ramionami i odezwał się bez dalszego naciskania. – Północ różni się od południa. Górna połówka jest różowa, dolna – żółta. Mniej więcej.

–Zgadza się. Logiczne założenie analizy geologicznej głosi, że żadna planeta zbudowana z ciał stałych nie jest ani homogeniczną masą, ani bezładną mieszaniną.

Wszystkie składają się z kawałków, zwanych jednostkami geologicznymi. Każda jednostka została uformowana w pewien sposób w pewnym okresie; każda ma swoją głębokość, szerokość i długość, i kiedy prowadzimy badania geologiczne, zawsze staramy się zajrzeć pod powierzchnię, żeby zrekonstruować trójwymiarową strukturę, ukrytą przed naszymi oczami.

Stosunki między jednostkami zdradzają nam ich wiek, przebieg procesów, które doprowadziły do ich powstania i także częściowo wielkość fragmentów ukrytych pod powierzchnią... – Stone ukradkiem spojrzął na zegarek. – Czy mogę liczyć na pełną uwagę szanownych panów? – spytała York.

Stone i Bleeker spojrzeli po sobie jak uczniacy, przyłapani na rozrabianiu.

–Nie mamy żadnych zastrzeżeń do tego, jak wykonujesz swoje zadanie, Natalie –

odparł gładko Bleeker – i cieszymy się niezmiernie, że to ty kierujesz pracami

Komisji

Wyboru Lądowiska...

–Niczym nie kieruję. Tylko pracuję w Komisji.

–Nieważne. Ale do lotu na Marsa został jeszcze rok i chyba nie będziemy mieli nic więcej do przebadania poza tym materiałem. Czy to nie może poczekać na później?

–

Wypowiedź Bleekera była jak zwykle spokojna, racjonalna i bezbarwna.

„Rok?” – odpowiedziała mu w myślach York. „Tak, ale mnie tam nie będzie, żeby

trzymać was za ręczki albo za was myśleć. Będę tylko parę minut świetlnych

dalej... I ten

facet ma wszelkie dane, żeby zostać specjalistą misji Programu Ares, mój Boże” –

westchnęła

w duchu.

Phil Stone uciszył Bleekera machnięciem ręki.

–Jedź dalej, Natalie. Jesteśmy zafascynowani stroną naukową wyprawy. Skupiamy się.

W porządku. Otóż tak – ciągnęła dalej – sondy przekazały nam, że możemy mówić o dwóch rodzajach krajobrazu na Marsie. Żółta pokrywa na południu jest poznaczona wieloma kraterami i wygląda bardzo staro. A różowa na północy to gładkie, młode równiny, planeta wybrzusza się poniżej równika; większość południowej części jest wyniesiona powyżej średniej, a większość północnej jest poniżej.

–Mówisz „bardzo stara” i „młoda” – przerwał jej Stone. – Co to znaczy w tym wypadku?

–„Młoda” to mająca jakieś pół miliarda lat. Równiny są wulkaniczne, to pola zastygłej lawy. A obszar kraterów liczy trzy do czterech miliardów lat. Jest prawie równie stary jak sama planeta.

–No, więc wróćmy do tych flag – powiedział Bleeker. – Zgaduję, że siedem ruskich flag to miejsca, które najbardziej zainteresowały Sowietów. – Tak. Jak widzicie...

–W takim razie pieprzyć je – rzucił swobodnym tonem Stone. – Zajmijmy się poczciwymi amerykańskimi opcjami. Zgaduję, że te białe paski na górze i na dole twojej mapki to czapy polarne.

–No.

–Tam nie ma flag.

–Nie ma. Musimy wykluczyć spore wzniesienia. – Statek kosmiczny miał zawisnąć, co naturalne, na równikowej orbicie parkującej; zmiana na biegunową kosztowałaby wiele dodatkowej energii.

–Ale to wielka szkoda, bieguny są bardzo ciekawe.

–Z czego są te czapy? Ze zmarzniętej wody?

–Może. Orbita Marsa jest bardziej eliptyczna niż ziemską. To prowadzi do różnicowania pór roku. Na południu lato jest krótkie i gorące, a zima długa i lodowata. I wygląda na to, że czapy różnią się składem. Tak, uważamy, że czapa na północy to zamrożona woda. Ale czapa południowa zapewne składa się z dwutlenku węgla, suchego lodu. Bieguny mają wiele zagadek. – Przecięła salkę, podchodząc do powiększonego zdjęcia.

Przedstawiało szeroki pas złoża w brązowym otoczeniu. – Co to ma być, u diabła? – spytał Bleeker. – Wygląda jak rozpuszczona czekolada.

–To nanosy, grube na trzydzieści, czterdzieści stóp, otaczające bieguny na setki mil; są z przemieszanego pyłu i lodu, nagromadzonych przez marsjańskie wiatry. Te pasy mówią nam, że proces gromadzenia się nanosów musiał się różnić w ciągu lat. W każdym razie w ciągu tysięcy lat. Ale co było przyczyną tego różnicowania? Marny trzy możliwe mechanizmy. Po pierwsze, zmiana ekscentryczności orbity Marsa. – A czemu? – zapytał Stone.

–Mars jest o wiele bliżej Jowisza niż my, a masa Jowisza może spowodować wiele perturbacji. Lub też może zmienia się kąt nachylenia planety.

–Chyba widzę przyczyny tego zjawiska – powiedział Stone. – Południowa półkula o ciężkim spodzie musi cholernie wpływać na moment inercyjny Marsa. Całe draństwo kolebie się jak bąk, wytrącony z pionu.

Uśmiechnęła się.

–Tak, w skali zjawisk geologicznych.

–A jaki jest ten trzeci mechanizm?

–Podejrzewamy, że z jakiegoś niepojętego dla nas powodu ulega zmianie ilość ciepła oddawanego przez Słońce.

Bleeker zmarszczył brwi.

–Ale to prowadziłyby też do zmian klimatu Ziemi. – Zgadza się. I dlatego te nanosy bardzo kuszą, żeby któregoś dnia odwiedzić marsjańskie bieguny. Słuchajcie, Mars jest jak zakurzone lustro. Za każdym razem, kiedy w nie spoglądamy, dowiadujemy się czegoś o Ziemi. Zamilkli na chwilę, rozważając jej słowa.

Była z siebie zadowolona. Nawet gdyby nie nauczyła ich niczego więcej, to już coś

osiągnęła, bo przekuwając balonik ich samozadowolenia, zmusiła Stone'a i Bleekera do zastanowienia nad znaczeniem przyszłego lotu.

Spojrzała na powiększenie zdjęcia bieguna. Było o wiele gorszej jakości niż zdjęcia późniejszych sond, rejestrujących ewentualne lądowiska w pasie równikowym. Paradoksalnie, właśnie program lądowania na Marsie sprawił, że wiedza o planecie, jako całości, uległa ograniczeniu.

I od tych dwóch facetów zależało, czy ten jej niewielki zasób się do czegoś przyda.

–Chyba utrudnienia związane z dużymi wzniesieniami wykluczają też lądowiska zaznaczone na południu, Natalie – powiedział Adam Bleeker. Chyba tak. Ale jest inne ciekawe miejsce. To Amphitrites Patera' stary wulkan, o wiele starszy niż wulkaniczne równiny na północnej półkuli. Nie do końca wiemy, jak został uformowany. Może w wyniku upadku wielkiego meteorytu, tak jak było z ogromnymi kraterami na południu. Widzicie te musztardowo-żółte plamy w środku południowych pól; to Argyre i Hellas – wielkie, stare baseny meteorytyczne, liczące ponad trzy miliardy lat. Hellas jest większy niż wszystko, co napotkaliśmy na Księżycu, większy nawet niż, na przykład, Marę Imbrium. To tam Sowietci skierowali Marsa 9. Stone gwizdnął.

–Więc warto było otworzyć sklepik przy pasie asteroidów. Obok Argyre była flaga amerykańska.

–Sugerujesz, że powinniśmy się zastanowić nad Argyre? – spytał Bleeker. – To niewykluczone. Argyre jest bardzo stary i bardzo głęboki. Ale te baseny są otoczone koncentrycznymi pierścieniami, łańcuchami górskimi, które byłoby bardzo trudno ominąć przy lądowaniu. Poza tym, zostają miejsca na zachodniej półkuli. Ten szkarłatny obszar, sięgający na północ to wzniesienie Tharsis, przeciętnie wyższe o pięć mil od sąsiednich terenów. A te szkarłatne plamki to wielkie płyty wulkanów. – Pokazała palcem. – Ascraeus, Pavonis i Arsia Mons, a tu, na północny zachód, jest Olympus Mons, kaldera szeroka na pięćdziesiąt mil i mająca trzysta siedemdziesiąt mil u podstawy. Olympus jest tak wysoki, że większa jego część wystaje ponad atmosferę. Sprzyja to powstawaniu chmur orograficznych, kiedy powietrze wznosi się w górę stoków...

–Jasne, ale słyszałem, że Olympus nie będzie sprawiał takiego wrażenia,

oglądany z

powierzchni – powiedział Bleeker.

Wzruszyła ramionami.

–Może. Spójrzcie na to. – Rozejrzała się po tablicy ze zdjęciami, wiszącej na ścianie,

aż znalazła to, którego szukała. Podsunęła je astronautom. Było to perspektywiczne ujęcie ogromnego wulkanu; z bliższej strony wyraźnie rysował się ostry klif. – To obraz komputerowy strony niewidocznej z Ziemi, ustalony na podstawie danych Marinera. Stone wskazał klif.

–Ile to ma wysokości?

–Ta skarpa? Och, ze trzy mile.

–Jezu! Trzymilowy klif?

–Mniej więcej.

Wpatrywali się w wizerunek, wytrzeszczając oczy. Bleeker uniósł ręce żartobliwym gestem.

Powstrzymała uśmiech. Na astronautach łatwo było zrobić wrażenie, wystarczyło tylko nacisnąć właściwy guzik.

–Widzę, że masz parę flag na tych wielkich wulkanach – powiedział Stone. – No. Olympus Mons jest najmłodszy i najwyższy; wylewa najmłodszą lawę na Marsie. Ale jest wysoki na siedemnaście mil...

–Za wysoki, żebyśmy zdążyli wytracić prędkość – powiedział Bleeker. – I, jak podejrzewam, inne wulkany rejonu Tharsis odpadają z tego samego powodu. – Niech będzie – zgodził się z nim Stone. – Na wschód od Tharsis widzę nierówny niebieski pas, ciągnący się wzdłuż równika. To chyba Dolina Marinera. – Tak. Valles Marineris. Wielkie kaniony; długie na dwa i pół tysiąca mil, głębokie na cztery mile i ponad sto mil szerokie. Wiemy że układ Valles Marineris nie został uformowany przez wodę. Mieści wiele indywidualnych „kanionów”. Tak więc woda ani nie mogła się w nie wlać, ani z nich wylać. Mamy tu mauzoleum geologicznej katastrofy, jak wielka rozpadlina tektoniczna w Afryce.

–Cała dolina wygląda tak, jakby wypłynęło z niej wzniesienie Tharsis – zauważył Bleeker.

–No. I to chyba nie przypadek. Może podczas formowania się wzniesienia doszło do wycieku magmy, spękania powierzchni. Nastąpiły trzęsienia ziemi i powstały rozległe rozpadliny tektoniczne.

–Rozumiem. Sugerujesz, że warto się zastanowić nad samym Valles Marineris – powiedział Stone.

–Może – odparła York. – Ta flaga jest przypisana do odgałęzienia zwanego Candor Chasma; dostrzeżliśmy uwarstwienie ścian tego kanionu, więc dałoby się ustalić

jego pochodzenie.

–Ale założę się, że teren nie jest łatwy do lądowania.

–Zgadłeś. Niektóre z mniejszych kanionów mają po kilka mil głębokości. Gdybyśmy mieli kilka miesięcy na zbadanie tego miejsca i jakąś maszynę do latania...

Ale nie będziemy jej mieli – przerwał jej Stone. – Dobra, Natalie. W ten sposób zostały dwa miejsca. Oba na granicy między starą powierzchnią na półkuli południowej i wulkanicznymi równinami na północy.

.– Tak. Ten jest na wschodniej półkuli... po drugiej stronie planety, patrząc od strony Tharsis... i ma nazwę Nilosyrtis Mensa. To, jak mówimy, „zryty teren”. – Znalazła fotografię przypominającą czar-no-białą mozaikę. Całą powierzchnia było jednolicie spękana. – Chryste – zdziwił się Stone. – To wygląda jak kuta miedź. – Uważamy, że starszy, południowy teren uległ erozji, tu, na granicy także jest nieregularny, ponakłuwany.

–Cholernie trudno by na tym wylądować – powiedział Bleeker.

–Tak. I trzeba by daleko trawersować, żeby uwiarygodnić badania.

–W porządku. Tak więc pozostaje nam do rozpatrzenia jedno lądowisko. Ostatnia flaga była po zachodniej stronie Tharsis, na granicy północy i południa, w środku zielonego pasa, przecinającego pionowo Valles. Ta zieleń wraz z niebieską koronką Valles tworzyła nieregularny krzyż, opasujący równik. – Wygląda na to, że ten region ukształtowała biegnąca woda. Wyłynęła tymi kanałami z Valles Marineris i zalała północne równiny. Stone się uśmiechnął.

–A więc to ta słynna rzeźba terenu, wynik erozji wodnej, o której opowiadałaś nam w Śpiewającym Kole.

–To obszar równikowy – powiedziała. – Tak więc macie pomieszanie starych i nowych obszarów geologicznych. A to dla nas ważne. Większość obszarów mieszanych jest zróżnicowana, spękana. Ale tu teren jest łaskawy dla lądujących. I jeśli na Marsie jest gdzieś woda, to tu. Może pod powierzchnią. A tam, gdzie woda... – Tam życie. – Stone wstał z krzesła i podszedł do mapy. Pochylił się, odczytując literki na fladze. – Mangala Vallis. Co to znaczy? – Wszystkie główne doliny nazwano w różnych językach „marsjańskimi”. Tu, na wschodzie Marineris, macie nawet dolinę Aresa... – A Mangala?

–

–To w sanskrycie. Najstarszym języku indoeuropejskim. – Tak więc „Mangala” to może najstarsze określenie Marsa w dziejach zachodniej cywilizacji. – Stone się

uśmiechnął. – Ładnie. – Rzucił wzrokiem na York. – Tak więc wylaziłaś ze skóry, żeby komisja wybrała Mangala Vallis. Oczywiście, przez wzgląd na działania operacyjne. Oto Mangala Vallis, miejsce, którego zupełnym przypadkiem jesteś najlepszym znawcą na świecie. Zgadza się, York? Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Bleeker również.

–Wciąż kombinujesz jak wysadzić mnie z siodła, Natalie? – spytał dobrodusznie Bleeker.

Przeszedł ją dreszcz. „Nic się nie ukryje przed tymi facetami” – pomyślała. „Ale

to

może wcale nie takie złe. Jeśli Bleeker będzie wiedział, że cały czas siedzę mu

na karku, to a

nuż potraktuje swoje przygotowanie geologiczne bardziej serio. A wystarczy, żeby

tylko raz

noga mu się powinęła...”.

Zaczęła zwijać mapy.

–Co o tym myślicie? Dam wam szczytki mojego artykułu do „Journal of Geophysical Research” na temat Mangali, przeczytajcie go i zapłaćcie, lotnicy. – Co teraz? – zapytał Stone. – Koniec zebrania? – Akurat. Dopiero zaczęliśmy, to była część rozrywkowa. Teraz przejdziemy do klimatologii marsjańskiej. Porównamy ją z ziemską i... Faceci pogderawszy, znów zajęli miejsca.

Dzień ciągnął się w nieskończoność, a w małej sali było coraz duszniej.

Październik 1981 roku

W końcu pięć czołowych firm przedstawiło oferty zbudowania Marsjańskiego Modułu Badawczego: Rockwell, McDonnell, Martin, Boeing i przedsiębiorstwo J.K. Lee, Columbia.

Dalsze prace komisji przetargowej były drugie i skomplikowane, chociaż z drugiej strony, całe zabiegi sprowadzały się do oceny punktowej poszczególnych projektów. Ralph Gershon nigdy nie widział czegoś podobnego. Podkomisje oceniały takie cechy jak „sprawność administracyjna”, „fachowość podejścia”, „kwalifikacje techniczne”... Sam Gershon zasiadał w trzech podkomisjach. I każda punktowała oferty w setkach kategorii. W oczach Gershona było to pozbawione sensu. Czy jakieś punkty naprawdę miały zdecydować o ostatecznym wyniku? Jeśli proces podejmowania decyzji ograniczał się do mechanicznego sumowania punktów, to niebawem jakiś komputer będzie mógł prowadzić NASA.

Gershon był święcie przekonany, że w tej wojnie ofert Columbia prezentuje najbardziej strawne podejście. Grube ryby zmarnowały większą część ostatniej dekady na badania, projekty i rozwinięcia projektów tak wymyślnych ładowników marsjańskich, jakich świat nie widział, i nie osiągnęły żadnego konkretnego wyniku. A tu zjawiała się ekipa Lee, spojrziała na problem świeżym okiem, nie zawracając sobie głowy tamtymi wszystkimi pierdołami i zaproponowała coś, co w parę lat byłoby gotowe do latania. Problem w tym, że punktowy system oceny nie opierał się na takiej intuicyjnej ocenie.

Chociaż techniczna strona projektu Columbii została dobrze przyjęta – a zwłaszcza podejście pod kątem bezpieczeństwa, sprawności działania i komfortu załogi, czyli krótko mówiąc czynnika ludzkiego – Columbia miała poważne tyły. Była tylko małą firemką zajmującą się eksperymentalnymi projektami. Po prostu nikomu nie mogło się pomieścić w głowie, że Columbia jest zdolna zbudować cały statek kosmiczny. Kiedy spłynęły pierwsze oceny sumaryczne, Rockwell znalazł się na pierwszym miejscu, Boeing i McDonnell ex aequo na drugim, a Columbia na ostatnim, na szarym końcu.

Na końcowej sesji plenarnej Gershon sprzeciwił się punktowej metodzie ocen. – Do cholery, macie wyniki z symulatorów. Mało sobie flaków nie wyprułem, żeby zmusić ten dwustożek do latania. Musimy wybrać oferenta, który ma największą szansę zbudowania czegoś, co zaskoczy...

Joe Muldoon przychylił się nieco do tych argumentów. Zmodyfikowano metodę punktową, co jako tako poprawiło pozycję Columbii. Ale w ostatecznym raporcie skierowanym do Tima Josephsona, Muldoon nie odstąpił od punktowej metody ocen: „Uważa się, że Rockwell International wyraźnie plasuje się na pierwszym

miejscu listy wykonawców Marsjańskiego Modułu Badawczego...”. Po zakończeniu zadania w komisji przetargowej Gershon udał się na Przylądek, do prac nad pierwszą z misji klasy A Programu Ares, bezzałogowego lotu próbnego unowocześnionego Saturna 5B.

Po kilku dniach wezwano go z powrotem do JSC, żeby złożył autograf pod ostatecznym raportem w sprawie MEM-a. Gershon przyleciał, niezłe wkurzony całą sprawą.

Wpadł na Muldoona, który spytał:

–Dokąd idziesz?

–Jest po wszystkim, no nie? Och, daj spokój, Joe. Wiesz równie dobrze jak ja, że Columbia to jedyna firma, która ma szansę zbudować coś w rozsądnym czasie. A my odstawiamy ją na bok.

–Oczywiście, że wiem. Ale to wcale jeszcze nie koniec.

–Żartujesz sobie ze mnie? Na litość boską, właśnie podpisaliśmy raport końcowy.

Nawet nie daliśmy tym chłopakom uczciwej szansy przedstawienia projektu. – Szybko się uczysz, chłopcze, ale wciąż za wolno. W tej grze podpisanie raportu końcowego to dopiero początek negocjacji.

–O co ci chodzi?

–Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

Kilka dni potem długi telegram wylądował na metalowym biurku J.K. Lee.

Ten wezwał Jacka Morgana i rzucił mu papier przed nos.

Morgan uważnie przeczytał wiadomość, cały czas zerkając na Lee.

Telegram był od Ralpha Gershona, jednego z astronautów w komisji przetargowej. Zawierał całą listę pytań dotyczących oferty Columbii, wiele bez ogródek, a pierwsze wręcz brutalnie szczerze. Urzędowe formułki kryły sens: „Na jakiej podstawie taka banda obsranych amatorów, jak wy, uważa, że ma szansę zbudować równie skomplikowany statek kosmiczny jak MEM?”.

–No cóż, to chyba koniec – powiedział Morgan, spoglądając na Lee. – Kop w tyłek na do widzenia.

Morgan nigdy nie widział Lee w stanie takiego załamania, w jakim znajdował się przez ostatnie kilka miesięcy po prezentacji projektu-Napięcie, brak snu i cała reszta

wtrąciła Lee w niesamowitą depresję.

Wreszcie wydało się, że przekroczył limit wydatków na przygotowanie oferty, i wiele osób w firmie miało mu to za złe. Podczas walki o MEM-a, Morgan zaczął się nie na żarty martwić, że Lee może sobie wyrządzić krzywdę. Nie mówiąc o tym, że już wyrządził krzywdę swojej rodzinie. Teraz kiedy cała sprawa z MEM-em się skończyła, Morgan zdawał sobie sprawę, że czeka go rozmowa z Lee na temat jego zdrowia. Może za pośrednictwem Jennine. Ale w tej chwili obiekt jego trosk siedział rozparty na fotelu i wydawał się zadowolony, pobudzony, a w oczach miał ten szklisty błysk uniesienia, który Morgan zwykł kojarzyć z okresami największej aktywności Lee.

–A właśnie że nie! – sprzeciwił się ostro. – Nie rozumiesz tego? Ten cholerny telegram świadczy, że wciąż jeszcze nie wypadliśmy z gry. Po co inaczej zadawaliby nam te pytania?

–Co zamierzasz?

–Oczywiście, odpowiedzieć. – Lee dźgnął palcem interkom. – Bella. Masz natychmiast zadzwonić po ludziach. Ściągnij tu migiem kierowników zespołów MEM-

a. I

zarezerwuj nam lot do Houston na... niech pomyślę... na pojutrze.

–Ale to niedziela, J.K.

–Ty znowu z tymi twoimi „ale”. Już ci raz mówiłem, daj sobie z nim spokój.

–Taajest!, J.K. Morgan był wstrząśnięty.

–Chyba nie mówisz poważnie. To niesłychane, żeby uczestnik przetargu składał prywatną wizytę w czasie oceny ofert.

–Co to ma być, jakaś zasada?

–No, niepisana. Lee uniósł brwi.

–Strasznie się tym przejmuję.

Po wizycie Columbii w JSC, zrewidowano po raz kolejny ocenę ofert i kierownictwo komisji przetargowej zawiozło propozycję Timo-wi Josephsonowi do Waszyngtonu. Ludzie Muldoona zarekomendowali Rockwella, opierając się na punktowej metodzie oceny, a Columbia w końcu zajęła trzecią lokatę. Dyrektor słuchał uważnie.

Następnie podziękował komisji i poprosił Joego Muldoona, Ralpha Gershona i kilku innych o pozostanie.

–Powiedzcie mi prawdę – przemówił suchym tonem biurokraty. – Czy poza czynnikami zaprezentowanymi przez komisję są jeszcze jakieś inne, które powinienem wziąć pod uwagę przy podejmowaniu tej decyzji?

–Jasne, że tak – powiedział Joe Muldoon. – Powinieneś jeszcze raz rozpatrzyć ofertę

Columbii, Tim.

–A czemu to?

–Bo w mojej opinii jest najstraszniejsza pod względem technicznym. Ma parę słabych punktów, ale to w gruncie rzeczy najspójniejsza propozycja. Przy dobrych podwykonawcach skromny wymiar organizacyjny Columbii nie będzie zawadą... Gershon usiłował zapanować nad uśmiechem. Kiedy w ciągu ostatnich kilku dni przyglądał się pracy Muldoona i Josephsona, doszedł do wniosku, że szefowanie organizacji ma wiele wspólnego z prowadzeniem samolotu. Jasne, korzystasz z instrumentów pokładowych, ale same dane, choćby najlepiej zinterpretowane i zanalizowane, to tylko jeden element przesądający decyzję; tak w sumie, nic nie mogło zastąpić tego tajemniczego wewnętrznego procesu, łączącego dane, doświadczenie i tego, jak czujesz prowadzony statek, kiedy wybór między możliwościami oznaczał życie lub śmierć. I to właśnie robili teraz Tim Josephson i Joe Muldoon. Nos mówił im, że oferta Columbii jest dobra, i ich nos mógł przeważać decyzję na korzyść J.K. Lee. Niemniej jednak Josephson miał przed sobą trudną drogę, jeśli zamierzał wystąpić wbrew urzędowej ocenie. Dwadzieścia lat wcześniej Jim Webb postąpił podobnie, decydując się na Rockwella przy budowie Apolla. Od tej pory mówiono po kątach o korupcji i tajnych układach.

Kiedy Gershon wyszedł, udając się na samolot lecący na Przylądek, decyzja wciąż jeszcze się ważyła.

Depresja Lee się pogłębiała. Chociaż nietypowa wizyta w Houston się udała, plotki dochodzące z Waszyngtonu były wyraźne i jednoznaczne: Rockwell jest murowanym wykonawcą MEM-a. „Do diabła, zawsze nim był” – myślał Lee. „Kogo ja próbowałem oszukać?”

Pewnego dnia przyłapał się na tym, że jest już dziesiąta, a on stoi przy oknie i gapi się w pustkę. Myślał o tym, żeby pojechać do domu. Mógłby poświęcić trochę czasu Jennine.

Robert miał grać tego popołudnia w szkolnej drużynie baseballowej. Może

najlepiej byłoby

pokazać się na szkolnych trybunach.

Wtem zadzwonił Joe Muldoon.

–Możesz wrócić dziś do Houston? Lee był kompletnie zaskoczony.

–Nie wiem. Loty...

–Najlepiej wieczór. Chciałbym się z tobą spotkać. W moim gabinecie w JSC. Może Muldoon uznał, że uprzejmiej będzie powiadomić Lee osobiście, chociaż czy w tym celu ciągnąłby go aż do Houston.

Pomyślał o Bercie i baseballu. Ta opcja wydawała się atrakcyjniejsza.

Wezwał Bellę i poprosił, żeby zamówiła bilet na lot do Houston. Do JSC dobrnął późnym popołudniem. Podczas lotu i jazdy z lotniska zbierał siły na najgorsze.

Muldoon zabrał go do gabinetu i zamknął drzwi. Wyciągnął rękę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Gratulacje. Chciałem zawiadomić cię osobiście. Wygraliście MEM-a.

Lee pierwszy raz w życiu nie wiedział co powiedzieć.

–Mogę zawiadomić moich pracowników?

Muldoon spojrział na zegarek, ciężkiego roleksa astronautów. – Nie możemy ogłosić tego publicznie aż do zamknięcia giełdy... A, do diabła z tym.

Pozwolił Lee na dwie rozmowy.

Lee skorzystał z aparatu w biurze Muldoona. Zastanawiał się nad zadzwonieniem do Jennine.

Zadzwonił do Arta Cane'a.

A potem zadzwonił do Gene'a Tysona i zaznał nie lada frajdy, wyrażając mu swoje głębokie współczucie.

Tego wieczoru Muldoon zabrał Lee na wypad do miasta, na kolację i dobrych kilka piw. Lee ululał się jak należy i miał pyszną zabawę. Ale o piątej rano już nie spał, oglądał poranne wiadomości telewizyjne i pakował się.

Zerknął na swoje odbicie w lustrze motelowego pokoju. – Na Boga – powiedział głośno. – Będę budował statek kosmiczny, który zawiezie trzech Amerykanów na Marsa.

Nagle dotarła do niego wiadomość z porannego dziennika. Saturn 5B eksplodował. Pokazano białą chmurę zabarwioną na pomarańczowo, silniki rakietowe na paliwo stałe idące po niebie wariackim torem, ciągnące smugi dymu. Komentatorzy wróżyli, że wypadek przesunie Program Ares o lata. „Mój Boże” – pomyślał Lee, zawiązując krawat drżącymi palcami i opuszczając z pośpiechem pokój.

„New York Times”, wtorek, 15

grudnia 1981 roku

...Dzisiaj ukryto ostatnie szczątki Apollo-N, rakiety która uczestniczyła w tragicznej misji kosmicznej. Znalazły swoje miejsce w podziemnym magazynie portu kosmicznego NASA na Przylądku Kenne-dy’ego w stanie Floryda. W Ośrodku Kosmicznym im. J. Kennedy rozmawiałem z Aaronem Raabem o problemach związanych z tym wydarzeniem. Raab urodził się w Tulsa w stanie Oklahoma, w 1946 roku. Został pracownikiem NASA w lipcu 1967 roku, zaledwie kilka miesięcy po innej tragedii, po pożarze Apolla 1, który wybuchł na wyrzutni, pochłaniając życie astronautów Grissoma, White’a i Chaffee’ego.

Raab dzielił ciężar obowiązków „kierownika ekipy porządkowej” po katastrofie Apolla-N.

Moduł dowodzenia Apolla-N – kapsułę o wadze jedenastu tysięcy funtów, która przywiozła na Ziemię astronautów Dane, Jonesa i Priesta – wylądowano ze statku wydobywczego w Port Canaveral, starannie rozmontowano i przygotowano do zbadania w tymczasowym magazynie. Tę część pracy wykonała brygada z Narodowej Rady Bezpieczeństwa Transportu, NTSB. Pod nadzorem Raaba i czujnym okiem komisji dochodzeniowej, wyznaczonej przez prezydenta Reagana, części modułu ułożono zgodnie z pierwotną konfiguracją, pomagając w ten sposób grupie dochodzeniowej. Spoczywały tak niemal przez rok, gdyż kiedy komisja już zakończyła prace i sporządziła raport, NASA przystąpiła do wewnętrznej oceny i odzyskiwania danych. Do przewożenia części użyto zaskakująco mało sprzętu: lekkiego dźwigu, wózka widłowego i dwóch odkrytych ciężarówek.

Ponieważ moduł dowodzenie wydobyto ze słonej wody, wymagał zabezpieczenia przed korozją. Podjęto także wyjątkowe kroki, żeby zabezpieczyć magnetofony Apolla-N i nagrane taśmy. Niebawem po wydobyciu, te materiały wysłano do Ośrodka Kosmicznego im.

L.B. Johnsona w Houston. Tam zajęli się nimi pracownicy IBM i astronaut-ka Natalie York – ci pierwsi, doprowadzając je do stanu użyteczności, ta druga, analizując nagrania.

Ostateczne miejsce spoczynku modułu dowodzenia może wydać się dziwaczne, niemniej jednak jest praktyczne. Statek kosmiczny spoczywa w cichym zakątku Przylądka Kennedy’ego, głęboko pod ziemią, w nieużywanej wyrzutni nr 31 pocisku Minuteman.

W

skład kompleksu wchodzi silos i cztery pomieszczenia do przechowywania sprzętu, mające charakter schronów.

Przygotowanie silosu nie było sprawą łatwą. Po dziesięciu latach nieużywania był bardzo zaniedbany. Różny sprzęt elektroniczny, służący do wystrzeliwania i naprowadzania pocisków, nadal zapełniał magazyny; brygada Raaba musiała przenieść sprzęt, zanim złożyła resztki Apolla-N. Choć nie przewidziano zabezpieczenia środowiska, podziemne pomieszczenia musiały być przynajmniej wodoszczelne; tymczasem okazało się, że pod koniec lat sześćdziesiątych pękła rura doprowadzająca wodę, zalewając na wysokość kilku stóp wyrzutnię nr 31. Tak więc zanim złożono szczątki Apolla-N, zamknięto wszystkie przewody wodne.

Kamerzyści NASA sporządzili wszechstronną dokumentację, a cała operacja była ściśle nadzorowana i pilnowana dwadzieścia cztery godziny na dobę z uwagi na zakusy łowców koszmarnych pamiętek.

–Złożyliśmy części, trzymając się ściśle porządku – powiedział mi Aaron Raab. – Podzieliliśmy je zgodnie z ich funkcjami i wymogami magazynowania. Przede wszystkim, w pierwszej kolejności złożyliśmy większe komponenty, a wszystko, co naszym zdaniem mogło okazać się przydatne w przyszłości, pozostawiono w miejscach łatwo dostępnych. Personel kontroli jakości z Przylądka wyznaczył lokalizację i położenie każdego elementu zapisanego w urzędowych rejestrach.

Każdego, kto by chciał dotrzeć do schronów, czeka żmudna praca, ale przyszli badacze będą mogli tam wejść i dotrzeć do poszczególnych komponentów po kilku dniach sprzątnięcia. Niemniej jednak, powiedział mi Raab, nie planuje się okresowego otwierania schronów i sprawdzania stanu zniszczonych części. Dzisiaj byłem obecny przy tym, jak Aaron Raab osobiście złożył kilka części modułu dowodzenia, wywołujących szczególnie bolesne wspomnienia. Następnie zabezpieczono ogromną dziesięciotonową betonową czapę długimi stalowymi prętami, które z kolei przyspawano do kołnierza schronu.

Rok po katastrofie Apollo-N spoczął wreszcie w spokoju...

Styczeń 1982 roku Waszyngton, DC

Kiedy Bert Seger objął nowe stanowisko w Waszyngtonie, był pełen entuzjazmu. Jakkolwiek by było, miał rangę zastępcy dyrektora i jako wysoki stopniem menedżer Biura Lotów Załogowych spodziewał się, że nadal będzie miał istotny wpływ na program. Lecz kiedy przejrzał nową strukturę organizacyjną i przekonał się, ile barier musi pokonać, żeby dotrzeć przed oblicze rozgrywających w tej grze, takich jak Joe Muldoon, zdał sobie sprawę, iż załatwiono go na szaro. Dano mu synekurę, odstawiając grzecznie, w białych rękawiczkach, na boczny tor podczas śledztwa w sprawie Apollo-N. Nigdy nie poczuł się dobrze w kwaterze głównej NASA. Dostał kilka drobnych zadań i miał swoje wypieszczone przedsięwzięcia do realizacji, które zajmowały mu czas, ale nie uwagę. Łapał się na tym, że siedzi bez końca w gabinecie i czyta gazety, oczekując telefonu.

Zaczął chodzić na długie spacery po Waszyngtonie. Miał ulubione ławki w wielkich publicznych ogrodach i odwiedzał muzea. Lubił ich ciszę i spokój, panującą tam beczasowość.

Wieczory nie były lepsze.

Fay nadal przebywała w Houston z synami i Seger przylatywał do nich co piątek. Fay nie chciała się przenieść, żeby chłopcy nie musieli zmieniać szkoły, i Bert niechętnie się z tym pogodził.

Każdej niedzieli czy każdego poniedziałku, kiedy zbierał się do powrotu, Fay przygotowywała mu bukietik goździków. Każdego dnia wkładał świeży kwiatek do butonierki, ale pod koniec tygodnia były już zupełnie zwiędłe i to nie było to. Miał dużo czasu na myślenie.

Wciąż wracał do wydarzeń tamtego lotu i wszystkiego co robił przez lata prowadzące do Apollo-N.

Czy podczas lotu mógł zrobić coś inaczej, coś, co uratowałoby życie Jonesa, Priesta i Dany? A podczas długich prac rozwojowych? Na ile przyłożył rękę do brakoróbstwa i niedbałości, które w końcu zniszczyły raketę?

Nie znalazł żadnych odpowiedzi. Po fakcie był w stanie wskazać tysiąc rzeczy, możliwych do wykonania inaczej. Ale nie chodziło o sa-mobiczowanie; wiedział, że kiedy patrzy się wstecz, wszystko jest możliwe. Stał na wysokości zadania na każdym etapie swojej kariery.

Ale to nie było żadne pocieszenie. Jakiś wewnętrzny głos powtarzał mu nieustannie:

„To stało się podczas twojej wachty”.

W korytarzu wynajętego mieszkania zawiesił małą fotografię w ramce z brązu. Byli na niej trzej astronauta w skafandrach. U dołu napis: „Dla Berta – z ufnością”. Wychodząc z domu i wracając, Seger zawsze spoglądał na ten napis. Trafił na podniszczony katolicki kościółek, ukryty zaledwie kilka przecznic od kwatery głównej NASA, i z czasem zaczął w nim przesiadywać. Uczestniczył w mszy trzy, cztery razy w tygodniu. Dawny, kojący rytuał przypominał mu dzieciństwo i dawał pocieszenie.

Był uderzony – nawet wstrząśnięty – biedą, którą widział w sąsiedztwie kościółka, zaledwie kilka ulic od kwatery głównej NASA, tu, w stolicy najbogatszego narodu planety.

Zaczął dostrzegać, że nazbyt długo przebywał zamknięty w NASA realizując z oślepiającą pasją jedyny cel swojej organizacji – lądowanie na Marsie. Być może wszyscy wokół niego byli tak samo opętani.

Pamiętał, jakim wstrząsem był dla niego widok tamtych intruzów na Przylądku, przeciwników rakiet o napędzie atomowym.

Tymczasem świat poza JSC nie przestał ewoluować i Seger poczuł się tak, jakby kokon NASA się rozpadł, a on sam wynurzył się na dotychczas nieznane ostre światło.

Poszedł do biblioteki i zaczął wertować stare numery gazet – po których dawniej ledwo prześlizgiwał się wzrokiem, poświęcając uwagę jedynie sportowi i sprawom związanym z NASA. Wpatrując się w ziarniste mikrofilmy, czuł się tak, jakby poznawał historię starożytną. Ale to przecież był świat, w którym żył, historia kraju, który go wspierał.

Seger miał wrażenie, że Stany Zjednoczone się rozlatują. Kraj był pogrążony w głębokiej recesji. Reagan narzucił radosny optymizm, uproszczoną wizję świata. Ale Seger miał wrażenie, że podziały w społeczeństwie rosną jak nigdy. Wyłaniały się dwie Ameryki: zamożni uprawiali groteskową pogoń za pieniędzmi, a biedni – szczególnie ci nie biali, zamieszkujący w miastach – żyli w zamkniętym kręgu narkomanii, zbrodni, nędznych warunków lokalowych i kulejącego szkolnictwa. Tymczasem Seger dowiedział się, że w środku recesji Reagan znacznie zwiększył budżet Pentagonu, wykładając najwięcej na rakiety atomowe. Następnego roku miano rozmieścić pociski średniego zasięgu w Europie. Już spotykało się to z powszechnymi protestami obywateli tych krajów. Protestowano również w Stanach. Ludzie znów zaczęli się bać. Urzędnik Ministerstwa Obrony mówił, że podwórkowe schrony uratują każdego podczas bombardowań. „Jeśli będzie dość łopat, wszyscy wyjdą z tego cało”.

Seger czytał wstecz numery gazet aż do opisu wycieku atomowego na Three Mile Island. Podobieństwa – administracyjne i techniczne – tamtej katastrofy i wypadku

Apollo-N ścięły mu krew w żyłach.

Kiedy patrzył na ogólny ton oceny NASA, także przeżył zaskoczenie. Ujrzał sceptycyzm, gniew, pogardę, urazę ludzi z zewnątrz. Przypomnił sobie, jak Eisenhower ostrzegał przed rozrostem władzy wojskowych i przemysłowców – dokładnie, przed rozdętym programem kosmicznym – ponieważ technokracja jest obca indywidualistycznemu duchowi Ameryki i wszczęcie narodowi tego pasożyta przyniesie wiele szkody. No cóż, Kennedy zaakceptował to ryzyko. I Seger miał wrażenie, że kraj teraz za to płaci. Dostrzegł, że w programie kosmicznym, jak w soczewce, skupiły się wszystkie wady tej polityki. Jaki w ogóle przyniósł pożytek? Oślawione korzyści dodatkowe okazały się minimalne i zapewne Ameryka dorobiłaby się ich i tak, gdyby powstała taka potrzeba. Zaczął dostrzegać, iż lobbing za lotem na Marsa służył usprawiedliwieniu istnienia NASA, utrzymaniu ogromnych zespołów po likwidacji programu księżycowego. Oczywiście, skierowanie funduszy pochłoniętych przez NASA na inne, ziemskie przedsięwzięcia też nie przyniosłoby niczego dobrego. Seger był pewien, że pieniądze i tak poszłyby w błoto. Ale nie w tym rzecz. Program kosmiczny był wielką, patykowatą, wątłą rośliną, obsesyjnie przekazującą całą swoją energię jednemu choremu czerwonemu kwiatowi, Marsowi, podczas gdy społeczeństwo, z którego roślina czerpała soki, ulegało stopniowej dezintegracji.

To było po prostu wstrętne. Tak jak inne chorobliwie ambitne programy: cywilny program atomowy, militarny program wyścigu zbrojeń... W oczach Segera misja na Marsa stała się uosobieniem bluźnierstwa. W miarę jak kształtowały się w nim te poglądy, osiągnął nieznaną do tej pory jasność myślenia, poczuł nieznaną do tej pory determinację. Oczywiście, był świadom, że reaguje w ten sposób na to, co stało się z Apollem-N.

Tamten incydent miał kształtować jego postawę do końca życia, formować myśli. A może po prostu był nadal w jakimś szoku. To nie miało znaczenia. Prawda pozostawała prawdą, bez względu na postać objawienia, i czuł, że jest na swojej drodze do Damaszku, widzi program kosmiczny z zewnątrz, we właściwej perspektywie, po raz pierwszy w swojej Karierze zawodowej.

To nowe spojrzenie było dlań wielkim pocieszeniem.

Podczas następnej mszy spytał księdza, czy mógłby wygłosić kazanie.

Czas misji: 313/11:33:22

313/11:33:22 CDR*[Przyp tłum Commander, dowódca.] „...Ze swojej strony pragnę wykorzystać tę teletransmisję, aby wyrazić podziękowanie i cześć tym wszystkim, którzy byli z nami. Ten lot doszedł do skutku, po pierwsze, dzięki wysiłkom ludzi z przeszłości, naukowcom całego świata, którzy doprowadzili nas do punktu, w którym możemy sprostać nawet takiemu wyzwaniu, jak podróż w głąb kosmosu, przez Układ Słoneczny. Następnie, dzięki narodowi amerykańskiemu, który postanowił kontynuować tę wielką wyprawę badawczą. Następnie, dzięki czterem dyrektorom NASA i ich odważnej realizacji tego postanowienia. Myślę, że nie rozminę się z prawdą, mówiąc, że po lądowaniach na Księżycu Ameryka była bliska zaniechania lotów kosmicznych i potrzeba było politycznej odwagi i wizjonerstwa, żeby doprowadzić nas do miejsca, w którym jesteśmy dzisiaj. I tak dochodzimy do samej Agencji i zespołów ludzi przemysłu, którzy zbudowali ten statek kosmiczny: człon napędowy Saturn, moduł misji, Apollo i MEM. Nasza podróż na Marsa może się wam wydawać prosta i łatwa. Chciałbym was zapewnić, że nie jest ani taka, ani taka. Układ napędowy Saturna 5B to niewiarygodnie skomplikowany kawał maszynierii, pracujący idealnie do ostatniego, najmniejszego elementu. Nie wiem, czy widzicie dobrze ten przełącznik, ale wiedzcie, że ten niewielki element współpracuje z ponad trzystoma częściami w samym panelu kontrolnym, a jest ich dużo więcej w module dowodzenia i MEM-ie. Poza tym są miriady automatycznych wyłączników, dźwigni, prętów i innych współpracujących urządzeń kontrolnych. MS-2, wielki człon raketowy u końca naszego klastra Aresa, jak do tej pory spisywał się bez zarzutu i za jakiś czas znów musi stanąć na wysokości zadania, w innym wypadku nie powrócimy na Ziemię... Zawsze wierzyliśmy, że całe wyposażenie będzie pracowało długo oraz właściwie, 4 zachowamy tę wiarę do końca podróży. Wszystko to jest możliwe tylko dzięki wysiłkowi i osiągnięciom wielu ludzi. Po pierwsze, tych Amerykanów, którzy złożyli te kawałki maszynierii w fabrykach. Po drugie, zespołów testowych, które pracowały drobiazgowo podczas montażu i prób pomontażowych. Po trzecie, astronautów, którzy latali przed nami, montując komponenty Aresa na orbicie ziemskiej. W końcu pracowników Ośrodka Lotów Kosmicznych imienia Lyndona Johnsona, kierownictwa, działu planowania misji, kontroli lotu i działu treningowego załóg latających. Ta operacja to coś w rodzaju wiadomości telewizyjnych; na ekranie widzicie tylko naszą trójkę, ale kamera nie pokazuje tysięcy innych – setek tysięcy. I każdy z nich wykonał perfekcyjnie swoją część zadania. 313/11:35:10 MMP*[Przyp tłum Mars Excursion Module Pilot, pilot marsjańskiego modułu badawczego.]
[niezrozumiałe]

313/11:35:12 CDR I każdy z nich wykonał perfekcyjnie swoją część zadania. Tym ludziom, a także wszystkim innym, którzy nas dzisiaj słuchają i oglądają, należą się nasze gorące podziękowania. I wreszcie nie wolno nam zapomnieć o tych załogach, tych astronautach, którzy stracili życie podczas realizacji tego programu kosmicznego. Składam w tym miejscu cześć zarówno Rosjanom, jak i Amerykanom.

Chcę wam powiedzieć, że boleję nad każdym utraconym kolegą i wiem, że żaden cel nie jest wart takiej ceny. Ale tamci dzielni ludzie swoją ofiarą przyczynili się do realizacji tej misji. Niech ich Bóg błogosławi. A teraz Ralph chce wam coś pokazać, pamiątkowy krążek, który zamierzamy pozostawić na powierzchni Marsa. Ralph...?

313/11:35:45 MMP Oto on. Pokażę go do kamery. Mam nadzieję, że go widzicie. Może go trochę obróć. Tym, którym nie udało się go zobaczyć, opiszę, jak ten pamiątkowy krążek wygląda. Przypomina trochę małą monetę. Ma około cala średnicy i jedną ósmą cala grubości. To diament monokrystaliczny. Wycięto w nim tekst laserem, tworząc warstwę grafitu, i przykryto ją warstwą diamentową. Krążek wykonano z diamentu, bo to najtrwalsza znana nam substancja. Może przetrwać miliony lat, długo po tym, jak MEM i inne nasze artefakty ulegną zniszczeniu. Jak wiecie, jest to jedyny planowany lot na Marsa w przewidywalnej przyszłości. Ale krążek jest jakby kapsułą czasu*[Przyp tłum pojemnik z informacjami o cywilizacji ziemskiej wysyłany w przestrzeń kosmiczną.] dla ludzi, którzy kiedyś udadzą się naszym śladem na Marsa, i, być może, wiadomością dla istot żywych, które mogłyby rozwinąć się na Marsie, inteligentnych istot marsjańskich. Ten pamiątkowy krążek jest jakby mikrofilmem, zawierającym ogrom informacji, zapisanych tak ciasno, że nie do odczytania gołym okiem. Ale mamy tu pozdrowienia od wszystkich narodów Ziemi, mapę Układu Słonecznego w bieżącej konfiguracji, a także informacje o budowie człowieka. W diamencie złożono też niewielkie próbki skał – ziemskich i księżycowych – oraz tkanki ludzkiej. Mamy tu też listę nazwisk czterystu tysięcy ludzi, którzy przyczynili się do realizacji Programu Ares. Uważamy, że jest właściwe pozostawić tam, na Marsie, pamiątkę naszej misji.

313/11:37:07 CDR Dobra. Natalie, z tego, co wiem, zamierzasz opowiedzieć ludziom o naszych sygnałach wywoławczych na dalszy ciąg misji. 513/11:37:11 MSP Dziękuję. Wiem, że czasem nasz żargon epoki kosmicznej potrafi namieszać ludziom w głowach jak jasna cholera.

513/11:37:15 CDR Jesteś na fonii.

513/22:37:17 MSP Potrafi nieźle namieszać ludziom w głowach. Ja czasem jestem bezradna.

Weźmy, na przykład, kalendarz misji. Liczymy dni od chwili, w której wystartowaliśmy na pokładzie naszej rakiety nośnej, Saturna 5B, z Ośrodka Kosmicznego imienia Jacqueline Kennedy. Tak więc dla nas jest dziś trzysta trzynasty dzień misji, ponad trzysta dni od opuszczenia Ziemi. Tymczasem dla was jest poczciwy wtorek, dwudziestego ósmego stycznia 1986 roku. A ten interes z sygnałami wywoławczymi to kolejny problem. Czemu czasem wywołuje się statki kosmiczne po imieniu, na przykład Eagle i Columbia podczas lotu Apolla 11, a czasem Houston zwraca się do nas nazwą programu, czyli: Ares? Odpowiedź brzmi, że czasem potrzeba konkretnych nazw, kiedy w locie uczestniczy więcej niż jeden

statek kosmiczny i trzeba je rozróżnić podczas rozmowy. I tak będzie w czasie tego lotu, kiedy za kilka miesięcy dolecimy do Marsa i wylądujemy na powierzchni w naszym MEM-ie. W przeciwieństwie do misji Apollów na Księżyc postanowiliśmy nadać imiona poszczególnym statkom kosmicznym dopiero po starcie, gdyż są potrzebne dopiero teraz. Chcieliśmy mieć coś do myślenia podczas długiego lotu na Marsa. 313/11:38:18 MMP Jasne. I tym się zajmowaliśmy. Zamiast oglądać taśmy wideo z Superbowl.

313/11:38:25 CDR [niezrozumiałe]

313/11:38:28 MMP Tak więc zaraz powiem wam, jakie nazwy wybraliśmy. Wiem, że słucha nas bardzo dużo dzieci w szkołach i mam nadzieję, że to ożywi lekcje historii, które macie, i będziecie mogły się przekonać, że to, co robimy dziś, podczas wyprawy na Marsa, to naprawdę dalsza część wielkich podróży, o których czytacie w waszych podręcznikach. Phil, gdybyś zechciał...

313/11:38:46 CDR Jasne. Postanowiliśmy nazwać nasz statek kosmiczny imieniem dawnych wielkich statków badawczych... hm... zgodnie z tym, co powiedziała Natalie. I jestem szczególnie zadowolony z nazwy nadanej naszemu modułowi misji... to jest tej części statku, w której mieszkamy podczas podróży... ponieważ to z niego obserwowaliśmy Wenus, kiedy przelatywaliśmy obok niej. I zdecydowaliśmy się nazwać go tak jak żaglowiec, na którym kapitan James Cook udał się w roku 1769 na Tahiti, żeby obserwować zaćmienie Słońca przez Wenus. Tamten statek nazywał się: Endeavour. Ralph... 313/11:39:17 MMP No. Następny jest nasz Apollo, którego wykorzystamy do powrotu na Ziemię. Wybraliśmy imię Discovery. Tak nazywały się dwa statki: pierwszym dowodził kapitan Henry Hudson w 1610 roku, kiedy poszukiwał przejścia północno-zachodniego między Atlantykiem i Pacyfikiem, a drugim kapitan Cook, kiedy odwiedzał Hawaje, Alaskę i zachodnią Kanadę. Wracamy do Natalie. 313/11:40:00 MSP A teraz MEM, moduł badawczy, pierwszy statek, na którym ludzie wylądują na Marsie. Zamierzamy nazwać go imieniem sławnego okrętu Stanów Zjednoczonych, który przebył drugą i bardzo udaną podróż bad-wczą po Atlantyku i Pacyfiku w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. 313/11:40:19CDR Tak.

313/11:40:21 MSP Nazywamy naszego MEM-a: Challenger”.

Poniedziałek, 11 stycznia 1982 roku

Ośrodek Kosmiczny im. George'a C. Marshalla, Huntsville w stanie Alabama Sala konferencyjna była niemal pełna, ale dla Udet'a zarezerwowano miejsce w pierwszym rzędzie. Zajął je i oszczędnym, dokładnym ruchem założył nogę na nogę. Gregory Dana był na mównicy, przecierał grube szkła okularów, przygotowując się do omówienia. Udet nie był zaskoczony wyborem Dany na przewodniczącego komisji śledczej.

Na wielkim ekranie za Daną był wyświetlany obraz: rakieta Saturn 5B na kilka minut przed startem z wyrzutni numer 39B w Ośrodku im. J. Kennedy. Pierwszy gruby człon MS-1C połyskiwał w słońcu bielą, z szerokimi statecznikami u dołu, opasany czterema wąskimi raketowymi silnikami pomocniczymi na paliwo stałe. Przypominał element bogato zdobionej świątyni Maurów. Drugi człon był to bielutki przysadzisty cylinder, nasadzony na MS-1C. Na nim srebrno-szary kocioł, kapsuła bezzałogowego Apolla o kształcie żelka. Przewody startowe biegnęły z wielkiej, rozbudowanej wieży startowej do rakiety, podając ciekły tlen i paliwo obu członom na paliwo płynne: wodór drugiemu i paliwo raketowe RP-1 – naftę – wielkiemu członowi pierwszemu. Opary spowijały górne poziomy silników pomocniczych, rozwiewając się zwolna, i Udet widział migotanie lodu na metalu i izolacji.

Niebo za rakieta było szaro-niebieskie, wokół wieży falowało rozgrzane powietrze.

Na ten widok Udetowi silniej zabiło serce. Zawsze ogarniał go chłopiący zachwyt, kiedy oglądał te wspaniałe urządzenia – te bohaterские maszyny – które sporządzone ludzkimi rękami, ze zwykłych ziemskich surowców, miały pomknąć w górę, ku planetom. I oczywiście, teraz ten zachwyt był spotęgowany świadomością tego, co za kilka sekund miało się wydarzyć rakiecie nośnej AS-5B04. Udet rozejrzał się wkoło. Joe Muldoon, siedzący na podium z Daną, miał prowadzić spotkanie; obecnych było wielu wyższych funkcjonariuszy NASA, a także personel z Marshalla, Houston i kwatery głównej NASA, w tym asystenci Tima Josephsona, a także liczny kontyngent wykonawców, odpowiedzialnych za układy, będące obiektem dzisiejszej analizy.

Ta prezentacja miała być podsumowaniem wstępnego wewnętrznego raportu NASA na temat awarii towarzyszącej wystrzeleniu rakiety saturn 5B AS-5B04 trzy miesiące temu.

Reakcja tego zgromadzenia i całego kierownictwa NASA na zawartość raportu miała zdecydować o finalnym kształcie wersji roboczej. Oficjalny dokument powinien ujrzeć światło dzienne w ciągu tygodnia.

W powietrzu unosiła się atmosfera napięcia, niepokoju i obawy. Po niedawnej

tragedii Apolla-N nikt w Agencji nie chciał mieć do czynienia z kolejną katastrofą, pierwszą utratą Saturna. Udet już słyszał głosy: „Kogo, do diabła, można by obwinie za tę wpadkę?”

Dana odezwał się cienkim, wąłym głosem. Udet poprawił się trochę na fotelu. – Na sześć sekund sześć dziesiątych przed startem zapalono sekwencyjnie napędzane naftą główne silniki F-1A i doprowadzono je do pełnego ciągu, podczas gdy cała rakieta była jeszcze przymocowana do wyrzutni. Odrzut silników głównych pchnął zespół Saturna w górę, napierając na sworznie kotwiczne, utrzymujące go na wyrzutni. Kiedy odpalono sworznie wybuchowe raketowych silników pomocniczych, uwolniły się nagle siły „rozciągające” ...

Na ekranie za Daną kłęby dymu i pary wydostawały się z podstawy rakiety. Po odpaleniu czterech silników pomocniczych dysze buchnęły żółto-białym ogniem. Kamera zadygotała, na dowód energii akustycznej wyrzucanej przez raketę, ale film był niemy i oślepiająca sekwencja startowa toczyła się w niesamowitej ciszy. Obraz zastygł. Kłęby dymu zamarły, przemieniły się w biało-szare wzgórza z jakiegoś stałego ciała, na przykład brudnego lodu.

Zastygły blask oświetlał rzędy twarzy wokół Udet. Strzałka wskazywała zatartą białą plamę u podstawy MS-1C, tuż poniżej litery A czerwonego napisu „USA” na szerokim kadłubie rakiety nosiciela. – Dane fotograficzne świadczą, że w sześćset osiemdziesiątej siódmej tysięcznej sekundy lotu szeroki strumień oparu trysnął z dolnej obudowy MS-1C, tuż powyżej oprofilowania silnika. – Dana zerknął przez ramię, marszcząc nos. – Jak tu widzicie. Dwie kamery wyrzutni, które Powinny dokładnie zarejestrować miejsce wytrysku oparu były niesprawne. Komputerowa analiza graficzna filmu z innych kamer wskazała, że pierwszy wytrysk oparu nastąpił na tym poziomie MS-1C, na którym przewód ze zbiornika utleniacza wychodzi ze zbiornika paliwa.

MS1C miał dwa wielkie zbiorniki niskotemperaturowe. Zbiornik tlenu wyżej, paliwa niżej. Grube przewody niosły płynny tlen przez zbiornik z naftą, do spalania w pięciu ogromnych silnikach F-1A u podstawy rakiety. Otóż Dana dawał do zrozumienia, że nastąpiła jakaś awaria tegoż przewodu zasilającego.

Film ruszył znowu, z niesłychaną powolnością; lodowe opary od niechcenia rozkładały się wokół Saturna. Białe strzałki w dalszym ciągu wskazywały groźne białe plamy u podstawy MS-1C.

–Zarejestrowano sześć kolejnych wytrysków oparu, między osiemset trzydziestą szóstą tysięczną, a drugą sekundą pięćset pierwszą tysięczną sekundy. Nastąpiły kolejne wytryski, około cztery razy na sekundę, odpowiadając sekwencji obciążenia konstrukcji w ruchu i wynikającego stąd rozciągania rakiety... „Przekłęte rozciąganie!” – zaklął w duchu Udet. – Widzicie również siatkę Macha* u wylotu F-1A,

kolejny symptom rezonansu rakiety. W trzeciej sekundzie siedemdziesiątej piątej setnej ostatnie opary były widoczne poniżej raketowych silników pomocniczych. Potem przestały być widoczne, zmieszały się ze spalinami raketowymi i otaczającym powietrzem. Jak ustalono, inne opary w tym obszarze pochodziły z topniejącego lodu z dołu MS-1C lub był to dym z dysz raketowych odbijający się od wygłuszających zbiorników wodnych u podstawy wyrzutni... Film zaczął biec z normalną prędkością.

Saturn odchylił się od wieży startowej i przekręcił na plecy, zgodnie z sekwencją startową. Między czterema oślepiającymi gwiazdami dysz silników pomocniczych na paliwo stałe pokazał się blady, niemal bezdymny ogień głównych silników napędzanych naftą i tlenem.

–W tym momencie z danych telemetrycznych dowiedziano się po raz pierwszy o znaczącej redukcji dopływu paliwa do głównych silników MS-1C. Obraz znów zastygł. Widzowie się poruszyli, wzdrygnęli; nagle rombowy układ fal uderzeniowych.

Wstrzymanie hipnotyzującej sekwencji startu podziałało jak ukłucie. Strzałka wskazywała pięć dysz silnika głównego.

–Pierwszą widoczną oznakę redukcji ciągu głównego silnika dostrzeżono na powiększonych klatkach filmu obrazujących pięćdziesiątą ósmą sekundę siedemset osiemdziesiątą ósmą tysięczną lotu. To właśnie ta klatka i tu... o tu... widać, jak zmniejsza się pióropusz spalin z prawej dyszy F-1A.

Klatkę później na filmie z tej samej kamery można dostrzec tę redukcję już bez powiększania. – Dysza silnika ściemniała, jego czterej bracia równie wyraźnie niedomagali. – Mniej więcej w tym samym czasie dane telemetryczne wskazały różnicę ciśnienia komór silnika głównego. W skrajnie prawej było ono najniższe, co potwierdziło spadek przepływu paliwa.

W sześćdziesiątej drugiej sekundzie lotu układ kierujący zareagował na zróżnicowanie ciągu silników głównych...

Film powoli toczył się dalej; silniki główne migotały lub zgasły, ale silniki pomocnicze na paliwo stałe nadal płonęły ogniem. Naprężenia oddziałujące na raketę były ogromne, gdy silniki pomocnicze starały się wyrównać utratę silników głównych. Zmiana pozycji rakiety była niezauważalna gołym okiem. Jednakże Udet wiedział, że w tym momencie skazany na zagładę Saturn walczył już o życie. Dana odchrząknął i poprawił szkła; jego gesty były drobne, dokładne, prawie nieśmiałe.

–Analiza wykazała, że podstawową przyczyną awarii, oczywiście w tym momencie lotu, była zła praca układu zaworów zasilających u podstawy zbiornika tlenu MS-1C, decydujących o przepływie utleniacza do silników głównych. Badania wykazały, że w

pewnych okolicznościach zawory tego typu migoczą i na dobrą sprawę zamykają dopływ utleniacza, co prowadzi do całkowitego zamknięcia silników F-1A. Jak zaobserwowano to tutaj. Okazało się, że częstotliwość domniemanego migotania jest bliska częstotliwości rozciągania w czasie startu i rozchwiania rakiety, spowodowanego niestabilnością spalania silników pomocniczych na paliwo stałe...

Udet potarł garbek nosa, starając się opanować rosnącą irytację. »Wiemy o tym» – pomyślał. »Mój zespół u Marshalla i niezależni od niego wykonawcy ustalili, że jest to podstawowa przyczyna błędu w godzinie awarii».

Saturn już przechodził wibracje z powodu rozciągania, cykle trzech lub czterech drgań na sekundę tuż po starcie. Następnie jeden z silników pomocniczych wpadł w wibrację wzdłużną o podobnej częstotliwości. Podobne oscylacje zauważono wcześniej. Ale zbieżność częstotliwości drgań okazała się fatalna, gdyż doprowadziła do powstania fal stojących w układzie zaworów kontrolujących dopływ płynnego tlenu do silników głównych... »Wiemy to wszystko i już pracujemy nad rozwiązaniem tego problemu» – myślał Udet. »Czy nie ma pan nic mądrzejszego do dodania, doktorze Dana?». Ale Dana ciągnął dalej; opisywał, jak wstępne testy przeprowadzone na etapie projektowania MS-1C wykazały możliwość migotania – chociaż nie spowodowało to zmiany projektu – i nawet odwołał się do kłopotów Apolla-N, kiedy podobne problemy z rezonansem doprowadziły do miotania rakieta.

Nawiązanie do fatalnego, niefortunnego zdarzenia w trakcie lotu Apolla-N uświadomiło jasno Udetowi, jakie będą wnioski raportu. Oczywiście, to było śmieszne; każdy świadom stopnia złożoności budowy takiego statku jak Saturn – skonstruowanego z milionów ruchomych części – zdawał sobie sprawę, że na etapie projektowania nie da się zapobiec wszystkim możliwym problemom. Nie było na to czasu ani środków; jedyny realistyczny sposób postępowania to minimalizacja ryzyka i ocena, co jest do przyjęcia, a co musi ulec zmianie. Gdyby czekać na idealną rakieta, nigdy by się nie poleciało!

Udeta ogarnęło ogromne zmęczenie. Miał już sześćdziesiąt osiem lat. I czasem – zwłaszcza od śmierci von Brauna – zastanawiał się, czy batalia jest nadal warta trudu, czy wciąż ma siły na niekończące się przekonywania Amerykanów do wielkich rakieta, które dla nich budował.

Odziedziczył część monarszego autorytetu von Brauna, kiedy Wern-her odszedł na emeryturę dziesięć lat temu. Odziedziczył nawet gabinet Wernhera, tu, na jedenastym piętrze siedziby Marshalla. Ale nie miał żadnych złudzeń; wiedział, że nie jest drugim Wernherem.

»Amerykanie wielbili von Brauna; płaszczyli się przed nim – myślał podle Udet – jak przed swoimi kaznodziejami i sprzedawcami samochodów». I wyglądało na to, że sprawa przeszłości Niemiec – ewentualnego uczestnictwa w »zbrodniach wojennych»

w okresie Peenemunde nie miała dla Wernhera żadnego znaczenia. No cóż, Wernher już nie żył. I Udet miał inną pozycję. Wiedział, że choćby nie wiem, jak wyłaził ze skóry, to i tak zawsze będzie uchodził za odpychającego, zięjącego pogardą pruskiego arystokratę. Amerykanie mu nie ufali i wyglądało na to, że zawsze mieli do niego znacznie gorszy stosunek niż do von Brauna.

Tymczasem obserwował bezradnie, jak Gregory Dana osiąga coraz wyższy status i władzę w organizacji. Był ojcem tragicznie zmarłego bohatera, Jamesa, a jego kiedyś ośmieszoną charakterystykę misji wybrano do nowego Programu Mars. To wystarczyło, żeby znalazł się na piedestale narodowej sławy.

A teraz suchym, pozbawionym emocji, bezdusznym prokuratorskim tonem niweczył w dalszym ciągu pracę całego życia Udetą.

Jego ponury, karłowaty bliźniaczy brat.

–W mniej więcej siedemdziesiątej ósmej sekundzie nastąpiła seria zdarzeń, która błyskawicznie przerwała lot. Dane telemetryczne świadczą o szerokiej różnorodności działań układów rakiety, co potwierdzają dowody fotograficzne, z których widać, jak Saturn walczył z niszczącymi go siłami.

W siedemdziesiątej ósmej sekundzie i dziewiątej dziesiątej dolny pręt łączący silnik pomocniczy numer cztery z MS-1C został nadwerężony lub oderwany. To uszkodzenie zostało wyraźnie spowodowane nietypowym naprężeniem konstrukcji w wyniku awarii silników głównych. SRB numer cztery wpadł w ruch wirowy, wisząc na pręcie górnym. Na wirowanie wskazuje różnorodność zachowań silników pomocniczych, wykonujących nieskoordynowane ruchy w kilku płaszczyznach jednocześnie. W siedemdziesiątej dziewiątej sekundzie i czwartej dziesiątej zaobserwowano typowy wytrysk białego oparu kolistego kształtu uciekającego z boku MS-1C. Był to początek rozpadu konstrukcji zbiornika paliwa MS-1C, czego kulminacją było oderwanie się rufowego sklepienia zbiornika. Spowodowało to uwolnienie się wielkich ilości paliwa raketowego ze zbiornika i wyzwoliło uderzenie o mocy około dwóch milionów ośmiuset tysięcy funtów ciągu, tak że zbiornik paliwa runął przez obudowę silnika w kierunku S-2.

Mniej więcej równocześnie wirujący silnik pomocniczy numer cztery uderzył o dolną część zbiornika płynnego tlenu MS-1C. Ta konstrukcja pękła w siedemdziesiątej ósmej sekundzie sto trzydziestej siódmej tysięcznej, o czym świadczy biały opar pojawiający się w tym obszarze...

Obrazy przesuwaly się na ekranie, klatka po klatce, z szybkością współmierną do suchej analizy Dany. Były rozmyte, zasłonięte falami rozgrzanego powietrza i tumanami uciekających oparów, lecz dało się zobaczyć, jak silnik pomocniczy wiruje, dziurawiąc stożkowym czubem bok pierwszego członu.

Nie przewinęła się kolejna klatka, a cały obraz znikł, pochłonięty w rozżarzonej bieli.

–W przeciągu milisekund nastąpiło powszechne, niemal wybuchowe zapalenie się paliwa, uciekającego z dna uszkodzonego zbiornika. W tym punkcie trajektorii, na wysokości czterdziestu dwóch tysięcy stóp, wybuch paliwa całkowicie zasłonił poruszającego się z prędkością 1,92 macha Saturna. Zniszczeniu uległ również układ sterowania statku kosmicznego Apollo i wybuchło jego paliwo samozapalne; czerwono-brązowe kolory tego wybuchu są widoczne na krawędzi głównej kuli ognia. O, tu. W tym momencie pękł również drugi człon, dolewając do kuli ognia milion funtów paliwa i utleniacza. Rakieta poddana wielkim obciążeniom dynamicznym rozpadła się już na kilka części, które wyłoniły się z kuli ognia; na filmie można wyróżnić moduł przyrządowy, wlekący masę przewodów startowych, i sekcję silnika głównego pierwszego członu nadal ciągnącego z sobą opary... Górne sekcje Saturna nie wybuchły. Odskoczyły od reszty rakiety i uderzyły w powietrze, które przy tych prędkościach ma twardość muru. Saturn po prostu roztrzaskał się o powietrze.

Ekran pokazywał teraz obraz, który pojawiał się w odbiornikach telewizyjnych przez całe dni: ogromna pomarańczowo-szara kula ognia wisi nad Florydą, cztery raketowe silniki pomocnicze wylaniają się z chmury wybuchu, nadal płoną i suną szaleńczymi kursami po niebie, ciągnąc za sobą zastygłe błyskawice, warkocze białego dymu. – W sto dziesiątej sekundzie po starcie, szef bezpieczeństwa poligonu zniszczył rakiety pomocnicze – kontynuował Dana. – Gdyby był to lot załogowy, wieża awaryjna powinna odciągnąć moduł dowodzenia Apollo po utracie silników głównych. Gdyby jednak układ ratunkowy zespołu startowego zawiódł, to sądząc po dowodach w postaci elementów znalezionych w Atlantyku, można by założyć, że załoga kapsuły została wyrzucona z kuli ognia nietknięta. Nie ma powodu przypuszczać, że moduł dowodzenia zostałby zniszczony w wyniku wewnętrznego wybuchu, wysokiej temperatury lub pożaru. Prawdopodobnie najgroźniejsze dla niego byłoby zderzenie z lustrem wody, wyzwalające poważne siły, a nie sam wybuch...

To stwierdzenie sprawiło, że sala po raz pierwszy zareagowała. Rozległy się

głosy

sprzeciwu.

Udet zerwał się na równe nogi.

–Muszę zaprotestować przeciwko temu, co sugeruje ton ostatniej wypowiedzi. Mamy tu do czynienia z czystymi spekulacjami. AS-5B04 nie był statkiem załogowym, dzięki Bogu, a gdyby było inaczej, to nie mamy powodów przypuszczać, że układ ratunkowy zespołu startowego mógłby zawieść. Nie widzę więc żadnego celu w stawianiu tak szczegółowych hipotez, do tego publicznie, dotyczących lotu

załogowego. – Czuł jak pomarańczowe światło kuli ognia – nadal obecne na wielkim ekranie – odbija się na jego okularach i kościach policzkowych.

–Pozwolisz, że na to odpowiem, Gregory? – spytał Joe Muldoon, siedzący przy stoliku prowadzącego konferencję. Dana bez oporu przekazał mu głos. Muldoon odwrócił się do widowni. Światło stolikowej lampki rozjaśniało od dołu szczupłą twarz. – Otóż, Hans, nie wydaje mi się, żeby sytuacja pozwalała nam ominąć tę kwestię. Musimy omówić implikacje faktycznych zdarzeń w przypadku lotu załogowego. I musimy rozpatrzyć też fakt, że wcześniejsze próby z 5B udowodniły, iż silniki na paliwo stałe powodują rezonans destabilizujący...

Udet nie potrafił nad sobą zapanować.

–Ale utrata AS-5B04 nie była spowodowana awarią silników pomocniczych na paliwo stałe!

–Ale problemy z silnikami pomocniczymi na paliwo stałe przyczyniły się do tego

–

powiedział Muldoon. – Widzieliśmy to. I mam wrażenie, że cały ten model jest z założenia bardziej ryzykowny niż stare konfiguracje na paliwo płynne. Pamiętaj, że wychodziliśmy cało ze startów Saturnów 5, podczas których kompletnie wysiadały silniki. Ale jak siedzisz w górze na tych cholernych silnikach pomocniczych na paliwo stałe, których w ogóle nie da się wyłączyć po odpaleniu, to już nie martwi cię, czy polecisz, tylko w którym kierunku. Nikt z nas nie twierdzi, że powinniśmy wstrzymać loty udoskonalonych Saturnów; musimy tylko z całą szczerością rozważyć konsekwencje ich kompromisowych konfiguracji. Bo jak nie wypierzemy teraz naszych brudów, to ci faceci w Kongresie załatwią nas na cacy. – Muldoon rozejrzył się wkoło, zwracając do wszystkich. – Słuchajcie, wiecie w jakiej sytuacji jesteśmy; tego roku deficyt budżetowy jest tak wysoki, że nie ma dnia, żeby ktoś nie wyskoczył z propozycją cięć – w tym dotyczących także naszego Programu Ares. Można się bronić, że to nie fair, że nasze potknięcia są wyolbrzymiane, zaprzeczają wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, podczas gdy wpadki innych agencji są tuszowane. Ale nasza Agencja jest zawsze na widoku, taki jest charakter naszej pracy, czy się nam to podoba, czy nie. Tak więc musimy być czyści jak łąza. Pytaniami zajmiemy się na zakończenie, teraz chciałbym, żebyśmy omówili dalej...

Udet nadal stał i nie mógł dobyć głosu z gardła. „Kompromisy” – tłukło mu się w głowie. „Mówisz o kompromisach. Szliśmy na kompromisy od zarania. Fundusz Saturna 5B był od początku o połowę mniejszy niż żądaliśmy. O połowę! Bez kompromisów nie latałoby się teraz w kosmos. A ty bełkoczesz o konsekwencjach utraty jednej, jedynej rakiety!”

Czuł, że nie jest w stanie tego dłużej znieść. Przepraszając, przepchnął się między ludźmi i dobiegł do przejścia. Długimi krokami zmierzał w głąb sali. „Dobry Boże – myślał – czy naprawdę stać nas tylko na te brednie z szukaniem winnych? Proszę tylko – i zawsze prosiłem – o to, żebyście dali mi odpowiednie narzędzia i skończą tę robotę. Spełnię marzenie. Nawet mając połowę środków, znajdę wam rozwiązanie!

Ale nie dokonam – nie mogę dokonać – cudu; nie mogę wam zagwarantować idealnego bezpieczeństwa i sprawności działania. Ludzie, kiedy to zrozumiecie?” Droga do drzwi wydawała się bardzo długa. Nikt nie chciał spojrzeć mu w oczy.

nie widział Dany stojącego cierpliwie na podium, ale obecność tamtego

doskwierała

mu jak rana w boku.

Sobota, 5 czerwca 1982 roku Newport Beach

W końcu coś w niej pękło.

To była ich rocznica ślubu, na miłość boską. I chociaż J.K. miał dla niej kwiaty i kartkę z życzeniami i pocałował ją rano w policzek, Jen-nine wiedziała z długiego doświadczenia, że to jego sekretarka, Bella, zapisywała mu takie wydarzenia w kalendarzu, kupowała za niego kwiaty i wszystko inne. Sam J.K. nie kiwnął nawet palcem. Wieczorem mieli iść na kolację. Robili to może dwa razy w roku. Ale J.K. nie wrócił do domu. To nie było nic niezwykłego. Kiedy Jen-nine zadzwoniła do niego do pracy, połączyła się z Bellą, która uprzejmie ją powiadomiła, że nie ma go w Columbi. To był szyfr znaczący: „jest na mieście z chłopakami”. Co okazało się prawdą. J.K. wrócił po jedenastej pod dobrą datą i zaparkował T-birda w poprzek podjazdu. – Nie powinieneś jeździć w takim stanie – powiedziała Jennine. Nienawidziła tego kłótliwego tonu, który w takich chwilach pojawiał się w jej głosie. – O, Boże, kolacja. Złotko, wybacz – wymamrotał. – Na śmierć zapomniałem.

Pójdziemy jutro. W porządku?

„Nie, ty idioto – odpowiedziała mu w myślach – nie w porządku. I w tej chwili

mam

wrażenie, że nigdy nie było w porządku”.

Poszła do łóżka.

Po jakiejś godzinie położył się obok. Czule pogładził ją po twarzy i sunął ręką po jej ciele, aż namacał pierś.

Odsunęła się. Była za bardzo napięta, zbyt zdenerwowana. A poza tym czuła odór rumu w jego oddechu, bijący z porów ciała.

Ale przynajmniej był w domu. Na tę myśl złagodniała, oddalając się w sen. „Przynajmniej jest w domu” – myślała dalej. „Może rano uda mi się go przekonać, żeby przynajmniej raz na jakiś czas nie zaczynał tak wcześnie”. Zanim zasnęła, zadzwonił telefon. J.K. natychmiast go odebrał.

–Tu Lee.

Śledziła budowę MEM-a. Tak po prawdzie, jako że J.K. przeważnie poświęcał wieczory w domu na pracę i rutynowo organizował spotkania w interesach we własnym domu – i to zawsze bez ostrzeżenia – nie mogła jej nie śledzić. Kiedyś J.K. zabrał ją do Bostonu, gdzie firma Avco robiła osłonę ablacyjną MEM-a. To było fascynujące miejsce. Ten ablacyjny interes był z żywic epoksydowych, które inżynierowie Avco nazywali: Avo-cat 502-39. Inżynierowie zbudowali dla nich tytanowy plaster miodu który miał być przymocowany do spodu kapsuły, i pistoletami wtryskiwali szczeliwo do każdej pojedynczej komórki. Trzeba to było wykonać ręcznie; inżynierowie pełzali po powierzchni, aż wypełnili wszystkie dwieście tysięcy otworów. Jeśli badanie rentgenologiczne wykazało powstanie pęcherza, komórkę oczyszczano wiertłem dentystycznym i napełniano ponownie.

Jennine przyglądała się temu zza szyby. To było coś zdumiewającego, jak scena ze średniowiecznego warsztatu, praca żmudna, powolna i w całości wykonywana ręcznie.

Jennine zastanawiała się, co myślą ludzie, którzy to robią, wiedząc, że to, czego dotykają ich palce, kiedyś, pewnego dnia, wejdzie w atmosferę Marsa. Avco zaczynał kontrolę jakości ręcznymi palnikami, a kończył lotami nurkowymi w atmosferę Ziemi...

Ale J.K. rzadko kiedy zadawał sobie ten trud, żeby podzielić się z nią swoją pracą, to

były wyjątki, nie reguła. Przeważnie była skazana na znoszenie jego nieobecności, milczące

obsługiwanie spotkań w interesach.

Jennine wyszła za J.K. dawno, w 1955 roku.

Wtedy przygotowywał magisterium na wydziale inżynierii aero-nautycznej w Caltechu, Kalifornijskim Instytucie Technologii, daleko w Pasadenie. Wzięli ślub w

katolickim kościele, nieopodal domu rodziców Jennine w Nowym Orleanie. Zaczynała karierę jako sekretarka dużej kancelarii prawniczej w śródmieściu. Ale poświęciła to wszystko, żeby być u boku J.K., wspierać go i jego karierę tysiąc mil dalej. W 1955 tak się robiło.

Rodzice Jennine dali im pieniądze, żeby mogli wynająć samochód na kilka tygodni, więc pojechali na wschód, przez Vermont, oglądać, jak jesień barwi liście. Teraz zawsze, gdy przychodziła jesień, Jennine myślała o swoim miesiącu miodowym. Kiedy się skończył, polecili na zachód i J.K. zawiózł ją do Pasade-ny, do małego domku, który wynajmował.

Na miejscu czekała na nich banda kumpli J.K. Spodziewała się jakiegoś przyjęcia powitalnego. Ale nie, okazało się, że tunel aerodynamiczny Caltechu ma jakiś feler.

Więc J.K. cmoknął ją w policzek i odjechał do laboratorium, zostawiając ją na podjeździe z całym bagażem. Pokazał się dopiero o świcie. Jak się okazało, tamten miesiąc miodowy w Vermont, dwadzieścia siedem lat temu, to były ich ostatnie wspólne wakacje.

A ten jego przekłety Program Mars okazał się najtrudniejszym przedsięwzięciem, nad jakim J.K. kiedykolwiek pracował. J.K. był w głębi serca technikiem i menedżerem-praktykiem, osiągającym najlepsze wyniki w niewielkich zespołach, działających w jedynym miejscu. Ale teraz nadzorował pracę o krajowym zasięgu, jedno z najbardziej złożonych przedsięwzięć technicznych w historii przemysłu lotniczo-kosmicznego, i całego przemysłu w ogóle.

Już to, co działo się w samej Columbii miało szeroki zasięg; a do tego dochodzili ci wszyscy podwykonawcy, z którymi firma musiała sobie radzić: Honeywell zajmował się układem stabilizacji i sterowaniem (nie Hughes, co J.K. podkreślał z lubością), Garrett Corporation – układem środowiska kabiny, Rocketdyne, firma córka Rockwella, dostarczał główny układ napędowy, Pratt i Whitney prowadzili prace badawcze nad ogniwami paliwowymi i tak dalej.

J.K. chciał uniknąć tysięcy nieskoordynowanych zmian, które w dużej mierze paraliżowały prace rozwojowe nad Apollem Rockwella, jeszcze w latach sześćdziesiątych.

Tak więc narzucił reżim kontroli zmian. To doprowadziło go do niekończącego się konfliktu z astronau-tami – w tym z Joem Muldoonem – którzy od czasów Programu Apollo przyzwyczaili się do rządzenia.

I tak to szło.

Kiedyś J.K. pokazał jej plan prac rozwojowych MEM-a, na którym umieszczono

wszystkie zadania w porządku logicznym. Był to gęsty wydruk komputerowy,

prostokąci i

cienkie łączące je strzałki.

–Co z tym wszystkim zrobisz?

J.K. zarżał z radości i strącił plan do kosza.

–Nic! Nie miałem czasu, żeby to przeczytać!

Całe to przedsięwzięcie było jak potwór, z którym J.K. się siłował, Próbując obalić go na łopatkę.

Widziała, że ugina się pod ciężarem tego draństwa. Ale generalnie nie myślał o tym, żeby znaleźć spokój i ukojenie przy niej, w domu. Wręcz przeciwnie. Jeździł do miasta z Bobem Rowenem, Jackiem Morganem i podobnymi im. Odwiedzał takie modne lokale Newport Beach jak Balboa Bay Club; wracał do domu nad ranem, zionąc wódą, i odsypiał pijaństwo. Nie uważała go za alkoholika; picie to był jeszcze dowód, że J.K. nigdy nie zachowywał się rozsądnie, przewidywalnie, ale nieustannie skakał między skrajnościami.

A następnego rana wracał do biurka, bez względu na to, czy miał kaca, czy nie, z dwoma filiżankami mocno słodzonej kawy w żołądku. Noc była tak cicha, że słyszała nie tylko J.K., ale i jego rozmówcę z drugiej strony słuchawki.

–J.K., lepiej tu przyjedź – szeleściła swoim owadziim głosikiem Julie Lye. –

Siedzę

na próbie ciśnienia zbiornika utleniacza. Mieliśmy awarię. Katastrofa. Zaglądam

do komory

prób. Było tam siedem ton związków azotu. Teraz zostało tylko kilka kawałków

tytanu,

przyklejonych do ścian.

–Dobra. Zaraz tam będę.

J.K. zaczął trajkotać polecenia, szukając równocześnie spodni. Lye miała rozpocząć od dokładnych oględzin miejsca wybuchu. Sam rozrzut części mógł wskazać przyczynę rozerwania zbiornika. Potem miały przyjść kolejne testy. Należy napęlić

inne zbiorniki wodą nie azotem. W ten sposób będzie wiadomo, czy awaria miała podłoże mechaniczne – na przykład wadliwy spaw – czy chemiczne, na przykład jakaś reakcja chemiczna zbiornika z paliwem. I Lye ma dopaść wytwórcę zbiorników, oddział General Motors gdzieś w Indianapolis. Niech wytwórca przeprowadzi identyczne próby. Dzięki temu dowiedzą się, czy awarię spowodowało jakieś uszkodzenie w czasie transportu, czy czynniki wynikłe na miejscu...

Był już w drzwiach sypialni, ale nadal warczał polecenie za poleceniem. Cisnął słuchawkę na widełki i biegiem opuścił dom.

Nie pożegnał się z nią.

Leżała bez ruchu, próbując zasnąć. Nadaremnie.

Czuła, jak coś w niej pęka, jakby była jednym z cholernych zbiorników J.K., napompowanym poza granice wytrzymałości.

Wstała z łóżka i bosą poszła do łazienki. Trzymała tam parę buteleczek środków uspokajających.

Spojrzała na siebie w lustrze. Ujrzała zmęczoną, starzejącą się kobietę o obwisłej skórze i siwiejących mysich włosach, z wyrazem wiecznej zgryzoty na twarzy. Napchała się pastylkami jak galaretkami. Patrzyła na siebie w lustrze, na te pigułeczki znikające w drobnych, wiecznie skrzywionych ustach, jakby oglądała kogoś innego, może w telewizji. Nic nie czuła.

Kiedy połknęła wszystko, wyrzuciła fiolkę do kosza i wróciła do łóżka.

Ale sen nie chciał przyjść nawet wtedy.

Po jakimś czasie sięgnęła po telefon i zadzwoniła na numer domowy Jacka Morgana. Cudem był pod ręką, nie zalewał się rumem w jakimś barze. Powiedział mu, co zrobiła.

Około szóstej rano wpadł biegiem J.K., z rozwichrzonymi włosami, bez krawata i z koszulą sterczącą ze spodni.

Jack Morgan siedział na łóżku, w płaszczu narzuconym na piżamę i rozcierał Jennine ręce.

–Gdzieś się podziewał, do cholery? Dzwoniłem do ciebie godzinę temu. J.K. zaczął opowiadać o zbiorniku tlenu, kałużach zanieczyszczonego azotu i całej reszcie, ale Jack tylko spojrzał na niego ze złością. Tak więc J.K. przerwał tę litanię i zaczął rozkazywać.

–Dzwoniłeś do szpitala? A co z płukaniem żołądka? – To było dla niego typowe.

Spóźnić się, a potem komenderować wszystkimi wokół. – Ona nie potrzebuje płukania żołądka – warknął Jack. – Ale będzie bardzo długo spała. Już powinna zasypiać. A potem idzie do szpitala na obserwację. – Skinieniem głowy wskazał nocny stoliczek. – Tu masz numer.

J.K. oszołomiony i niespokojny usiadł przy łóżku. Wziął Jennine za rękę i zaczął ją pocierać, jak robił to Jack, wzdłuż przedramienia. Dłonie miał ciepłe, ale mu się trzęsły i masował nieporadnie, raz za słabo, raz za mocno. Wykrzesła uśmiech na twarzy i to chyba dodało mu otuchy, pocieranie zaczęło mu iść lepiej. – Aleś narobiła – wybąkał łamiącym się głosem. – Aleś narobiła. – Posłuchaj – powiedział Jack Morgan. – Wyjmijże tę głowę z tyłka, J.K. Musisz zacząć myśleć o własnej rodzinie. Nie mówiąc o tym, że musisz zacząć myśleć o sobie. Albo Jennine machnie na ciebie ręką i nikt nie będzie miał o to do niej pretensji. Ja sam ją stąd odwiozę. Wrócę za parę godzin. Trzymaj się, Jennine. – Zapiął płaszcz po chwili usłyszała trzask drzwi.

J.K. wyglądał na załamane. Zdała sobie sprawę, że to co się stało, było dla niego jak grom z jasnego nieba.

–No tak – powiedział sztywno. – Więc to chyba było wołanie o pomoc, hę? „Och, J.K.” – pomyślała. Psychologia dla ubogich. Zamknęła oczy i przypomniała się jej własna twarz i sznureczek pigulek, spadających między wargi. „Naprawdę stać mnie już tylko na odruchy?” – zapytała się w duchu. J.K. siedział przez chwilę w milczeniu, rozcierając jej przedramię. A potem zaczął bełkotać o awarii zbiornika.

–To było niesamowite – powiedział. – Zbiornik wybuchł dopiero, kiedy napełnili go azotem. No, więc zdaliśmy sobie sprawę, że musiała nastąpić jakaś reakcja chemiczna. Ale zbiorniki wybuchały tylko tu, w Newport. Przeprowadzaliśmy identyczne próby u wytwórcy, w Indianapolis, i zero. No więc wzięliśmy pod lupę azot. Pochodzi z wielkiej rafinerii pracującej pod nadzorem lotnictwa wojskowego.

1zgadnij, co znaleźliśmy? Materiał, który mieliśmy w Newport, był z późniejszego transportu niż materiał w Indianapolis. Nasz był czystszy. W Indianapolis mieli zanieczyszczenia, niewielką domieszkę wody. I tak przekonaliśmy, że kiedy azot jest zbyt czysty – ponad dziewięćdziesięcioprocentowy – wywołuje korozję! Zżera tytan!

Ale dodaj kroplę wody, jak było z partią w Indianapolis, i po kłopotcie. A zresztą, do diabła z tym. I tak chyba przejdziemy na mieszankę tlenowo-metanową do naszego paliwa. Sprawuje się dobrze, jest nietoksyczna i można ją magazynować w przestrzeni miesiącami, nawet nie jest samozapłonowa...

Jennine leżała, słuchając, z ręką w dłoniach J.K. Był pochłonięty swoją opowieścią,

tym technologicznym zaniedbaniem i całą resztą czuła, jak ręka mu podskakuje do wtóru opowieści, gdy nie zwracał już wcale uwagi, że trzyma jej dłoń, spoczywającą bezwładnie w jego dłoniach.

Myślała o tym ogromnym przedsięwzięciu, częściach marsjańskie-go statku, przylatujących do montowni Newport ze wszystkich stanów; zbiorniki paliwa i utleniacza z Buffalo i Boulder, przyrządy pokładowe z Newarku i Cedar Rapids, zawory z San Fernando, elektronika z Kalamazoo i Limy. I zapewne każdy z tych elementów ciągnął za sobą niewidzialny ślad – pijaństwa, zawałów serca i rozbitych małżeństw. Przyszła jej do głowy dziwna myśl, że J.K. naprawdę powinien zrozumieć, co się z nią stało.

„To próba niszcząca, J.K.” – pomyślała. „Ot, wszystko. Próba niszcząca”. Wtorek, 10 sierpnia 1982 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston – Szykujesz się skreślić mnie z obsady lotu.

Joe Muldoon opadł na oparcie swojego biurowego fotela, który zaskrzypiał pod jego ciężarem. Na biurku stała opróżniona puszka Dr Peppera, nie pasująca do eleganckich przyborów do pisania i skórzanej podkładki. Złapał puszkę i zmiażdżył ją szybkimi ruchami.

–To nie tak, Natalie. Mówiłem ci; wolałem raczej wyjaśnić ci to wszystko osobiście, niż żebyś dowiedziała się w inny sposób...

–Doceniam to. Ale szykujesz się skreślić mnie z obsady lotu. – Nie ty jedna w JSC będziesz zawiedziona. Słuchaj, mówiłem ci; straciliśmy tego cholernego Saturna 5B i musimy jeszcze bardziej ograniczyć budżet... do cholery, Natalie, cały kraj ma od roku recesję, to przecież nie moja wina... więc z powodu tego wszystkiego musimy ciąć harmonogram. I wciąż musimy zmieścić się w terminie, jeśli mamy polecieć na Marsa. Załoga pierwszej misji klasy E poleci, będzie teraz w obsadzie misji, którą nazywamy D prim, łączącej cele starych klas D i E. I...

–Więc, Joe, nie ma misji klasy D, mojego długoterminowego lotu. Wiem więcej o Marsie niż ktokolwiek inny w korpusie. I ty szykujesz się skreślić mnie z obsady lotu.

Widać było, że Muldoon stara się nad sobą zapanować. – Natalie, musisz mi uwierzyć. To nic osobistego. Tyle, że ja wcale nie uważam tego za jakąś stratę. Właśnie dlatego że wiesz tak dużo, jesteś mi o wiele bardziej potrzebna tu, na Ziemi, niż płacząca się w jakiejś puszcze od konserw po niskiej orbicie ziemskiej i patrząca, jak farba żółknie na ścianie. Potrzebuję cię tu, Natalie. Żebyś uczyła nas o Marsie. Żebyś przypominała nam, po co w ogóle tam lecimy.

Zastanowiła się nad jego słowami, starając opanować gniew.

–Dobra. Co mi pozostaje? Ale dalej będę trenowała, siedziała w symulatorach i

wykorzystywała każdą okazję, żeby doskonalić umiejętności. A jak mi tego

zabronisz, to

zaraz stąd wyjdę i nie wracam. I będę miała gdzieś, czy potrzebujesz mnie w roli

ekspertki od

Marsa, czy nie.

Podniósł rękę.

–Dość. Umowa stoi, Natalie.

Zwężyla podejrzliwie oczy, gdy nowa myśl zaświtała jej w głowie.

–PRK – powiedziała. Zglupiał.

–Hę? – spytał.

–Poprawka o Równouprawnieniu Kobiet. Odrzucili ją w czerwcu. – Poczula, że ogarnia ją jakiś irracjonalny gniew. – Zmienia się klimat polityczny. To dlatego myślisz, że możesz mnie utracić?

–Niech to szlag, Natalie, to nie ma nic do rzeczy! – Pochylił się nad biurkiem, wyraźnie zły i bezradny. – Wiesz, ty i inne kobiety miałyby tu dużo lepiej, gdybyście nie rościły sobie tych waszych babskich pretensji do świata. Przeszywała go wzrokiem. Siedział wyprostowany na swoim fotelu, elegancki, napięty, zirytowany i patrzył na nią szczerze, bez cienia wyrachowania w niebieskich oczach.

Naprawdę uważał, iż robi jej przysługę taką radą. Nie dostrzegał niczego złego w

tym, co

powiedział.

Była tak wzburzona, że bała się otworzyć usta.

Później, w obskurnym mieszkaniu, które wynajmowała w Timber Cove, próbowała się upić, ale nadaremno.

Jej życie w równym tempie schodziło na psy. W wieku trzydziestu czterech lat była już za stara na czynnego naukowca, a zaległości w karierze akademickiej były już prawdopodobnie nie do odrobienia; poświęcała tyle czasu programowi kosmicznemu – wszystkie te godziny w symulatorach i na treningach przetrwania – że nie wystarczało go na badania naukowe i wiedziała, że wyniki jej prac, z każdym rokiem

coraz krótszych, nie zapewniającej godziwej pozycji na uniwersytecie, nawet gdyby na niego wróciła.

I po co to wszystko? Właśnie utraciła swoją jedyną szansę – już mizerną –
zdobycia

prawdziwego doświadczenia kosmicznego.

Była dalej od Marsa niż kiedykolwiek.

Wyglądało na to, że schrzaniła sprawę, jakby całe jej życie było tylko pasmem cholernych wpadek, jedna po drugiej.

Mike Conlig należał do zamierzchłej przeszłości. Ale wciąż była sama. W zasadzie
jej

to odpowiadało.

Ale, Boże, tęskniła za Benem.

Poniedziałek, 6 grudnia 1982 roku Siedziba Columbia Aviation, Newport Beach
Symulator MEM-a w Newport był paskudną kupą części, bez ładu i składu, nie
przypominającą w ogóle eleganckiego statku kosmicznego. Przypominał skasowane
auto, otoczony ciężkimi bryłami komputerów w kącie tego grzmiącego echami,
odnowionego zakładu.

Ralph Gershon wylazł z niego, wkurzony jak diabli.

–Ten pieprzony interes to kicha – powiedział. – Jedna wielka kicha. J.K. Lee czekał
przy włązie. Okrągłą twarz inżyniera przecinały zmarszczki niepokoju.

–Chryste. Mów, w czym rzecz, Ralph.

–Słuchaj, symulator ma wyglądać jak produkt. W tym cała rzecz. Nie ma sensu
szukać lewego dżojstika tutaj, kiedy naprawdę będzie – J.K., musisz dotrzymać
kroku naszym modyfikacjom. – Do diabła, wiem, Ralph. Ale co mogę poradzić?
Projekt jest wciąż niezdefiniowany jak cholera, pojawiają się setki zmian, więc
symulator nie może wyglądać tak, jak będzie faktycznie...

–Och, jest jeszcze gorzej – powiedział Gershon. Zdjął rękawice i wcisnął je do
helmu. – Ten interes w ogóle jest bez sensu. Twoje zmiany nie trzymają się kupy. –
Spojrzał na niespokojną, zdradzającą stres twarz Lee, i poczuł, jak współczucie
walczy w nim z gniewem. – Słuchaj, J.K., nie mogę nie zrobić piekła z powodu tego
urządzenia. Do cholery, taką mam robotę. Nie da się zdobyć prawdziwego

doświadczenia, dysponując tak schrzanionym symulatorem. Więcej, z mojego punktu widzenia sam symulator stanowi poważne zagrożenie dla postępów przedsięwzięcia. Lee odciągnął go od symulatora i zapalił papierosa. – O, Chryste, mnie to mówisz? Cały szkopuł w tych zmianach, Ralph. One mnie zabijają. – Opowiedział, jak cały przemysł lotniczo-kosmiczny brnie w kierunku Marsa.

Rozległa, ogólnokrajowa sieć umiejętności i doświadczenia z wolna skupia się na pojedynczym problemie i wszystko to przepływa przez ten jeden zakład. – Zajmujemy się sprawami, nad którymi nikt do tej pory się nawet nie zastanawiał. Nie dziwota, że za pierwszym razem nic się nie zgadza. Z całego kraju spływają do nas tygodniowo żądania tysięcy zmian. I za każdym razem, kiedy coś zmieniamy, musimy zmienić każdą część mającą związek z tym zmienionym komponentem. I powiem ci, gdzie siedzą najwięksi przestępcy. – Zmierzył wzrokiem Gershona. – To twoi kołesie z Wydziału Astronautów.

Gershon się roześmiał. Nie był zaskoczony.

Astronaucci nadal mieli znaczną władzę – oficjalną i nieoficjalną. Jakkolwiek było, ryzykowali własne tyłki. Lee usiłował ich podporządkować procedurze zmian, jak wszystkich innych, żeby całość produkcji trzymała się jakiegoś porządku. Ale zdawał sobie również sprawę, że musi dbać o dobre humory tej kluczowej grupy. Tak więc urządził prywatny pokój gościnny dla astronautów, nieopodal swojego gabinetu, z prysznicem i kilkoma składanymi łózkami, w którym mogli odetchnąć i ukryć się przed prasą. I zabierał ich do domu, – gdzie Jennine musiała przyrządzać im zwykone kolacyjki, i trząsał się nad nimi jak kura nad jajkiem, wynosząc ich pod niebiosa. A oni wyjeżdżali przekonani, że udział J.K. Lee w programie kosmicznym to najwspanialsza rzecz pod słońcem, od czasu wynalezienia zapieć na rzepy.

„Przynajmniej dopóki J.K. Lee nie wypnie się na kolejną modyfikację” – pomyślał Gershon.

Wtem Lee spostrzegł coś innego, w dalszym miejscu zakładu. Gwałtownym krokiem podszedł do operatora sześciotonowej tokarki rewolwerowej, który odcinał cienkie warstwy z jakby misternej aluminiowej rzeźby. Wyglądała pięknie, jak dzieło sztuki. Gershon, który niby był ekspertem od układów MEM-a, nie mógł zidentyfikować części ani określić jej funkcji. Lee porwał rysunek techniczny, z którego korzystał tokarz. Następnie cały podniecony wezwał Gershona. Operator tokarki unikał wzroku astronauty, wyraźnie zażenowany. Gershonowi zrobiło się go żal.

–Spójrz na to – powiedział Lee, wymachując rysunkiem przed nosem Gershona.

–O co chodzi?

–Mamy trzymać się zasady, że każdy rysunek, na którym zrobiono ponad dziesięć

zmian, musi być sporządzony raz jeszcze. Na litość boską, na tym musiano zrobić ze sto. I to jeszcze nie jest najgorsze. – Sięgnął po komponent, modyfikowany przez operatora. – To gówno jest przestarzałe! Wiem, że jest! Jeszcze zanim wyszło z zakładu! – Cisnął część na podłogę, gdzie wylądowała z głośnym brzękiem.

Ogłupiały tokarz wytarł ręce w szmatę i rozejrzał się za brygadzystą. Lee odszedł, trzęsąc się ze zdenerwowania; Gershon ruszył za nim, niosąc hełm pod pachą.

Lee miał niezwykle napiętą skórę, jakby naciągniętą ukrytymi sprężynami, a przy tym wyraźnie się garbił. Zjadały go nerwowa energia i adrenalina. Gershon spędzał wiele czasu w Newport podczas prac rozwojowych nad MEM-em. Był doświadczoną świnką morską chłopaków od medycyny kosmicznej, wlaził do luków i wylaził z luków, schodził po drabinie do zapiaszczonych dziur zabarwionych na czerwono jak powierzchnia Marsa.

Spędzał godziny w sklejkowych makietach statku kosmicznego, próbując sobie wyobrazić, że to prawdziwe wnętrze, że jest samiuteńki po drugiej stronie Układu Słonecznego i sprowadza statek na powierzchnię Marsa. Dokładnie jak Pete Conrad* [Przyp tłum właśc. Charles Conrad (1930-1996), dowódca Apolla 12 (1969 r.), trzeci luno-nauta.].

Chciał znać MEM-a lepiej niż wszyscy inni i był już blisko celu. Uświadomił sobie, że cały zakład, cała Columbia Aviation, pracuje jak wyścigowy samochód na stuoktanową benzynę, popychany nieustanną, niszczącą energią J.K. Lee. Firma poddana niesłychanej presji i świadoma niezwyklej złożoności przedsięwzięcia, nieustannie sprawiała wrażenie, że zaraz się załamie.

Niemniej jednak Gershon wciąż wierzył, jak w czasach ogłoszenia przetargu, że tutejsza wizja MEM-a – zainspirowana i realizowana pod przewodnictwem J.K. Lee – daje najbardziej realną szansę zbudowania sprawnego produktu, który za kilka lat mógłby przewieźć ludzi na Marsa.

Gershon sam był wymagający wobec Columbii. Ale w gruncie rzeczy życzył firmie powodzenia. Do cholery, zależało mu na poleceniu na Marsa, nie na zawieszeniu skalpu J.K.

Lee na ścianie u siebie w domu.

Ale kiedy tak sobie rozmyślał, potknął się o drut, rozciągnięty na podłodze.

Kiedy

spojrzał w dół, zobaczył inne druty, luźne części i porzucone narzędzia; kawałki statku

kosmicznego, rozrzucone niczym drewniane szczątki pchane niepowstrzymaną falą zmian

specyfikacji.

Poniedziałek, 21 lutego 1983 roku

Baza Lotnictwa Wojskowego Ellington, Houston

Gershon z hełmem pod pachą obszedł pojazd ćwiczebny. Natalie szła obok niego.

Wiatr unosił jej włosy, przeciwsłoneczne szkła zakrywały oczy.

Ralph Gershon nie mógł się powstrzymać od komentarza:

–To ma być MLTV? To kara boska.

Ted Curval, członek załogi podstawowej Phila Stone'a, był doświadczonym astronautąpełniącym tego dnia rolę koordynatora zajęć. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

–Pojazd ćwiczebny do lądowania na Marsie numer trzy. Piękny urodą silną jak cios, no nie?

Marsjański latający pojazd ćwiczebny był otwartym szkieletem na sześciu nogach. Gershon widział w środku skierowane na dół silniki, otoczone klastrem zbiorników paliwa.

Dysze sterowania umieszczono w czterech rogach ramy, jak kiście metalicznych jagód.

Pojazd miał też dwie spore rakiety wspomagające, również skierowane w dół. Kokpit pilota był to fotel wyrzucany, częściowo osłonięty aluminiowymi ściankami. Z boku miał wielki napis „NASA”, pod czarną cyfrą „3”. Cały interes liczył może z dziesięć stóp wysokości, a rozstaw nóg wynosił dwanaście stóp. Nie miał kadłuba i bebechy były widoczne: silniki, rakiety, zbiorniki paliwa, przewody, okablowanie i cała reszta. Wyglądał jakoś obrzydliwie, jak ofiara oskórowania.

W nisko wiszącym świetle poranka skomplikowany cień ptaszka rozciągał się na szerokim pasie startowym.

–Kara boska – powtórzył Gershon, wracając do Curvala. – To coś jak z pieprzonego cyrku.

–Mnie to mówisz? – powiedział Curval. – Ale ze wszystkiego do tej pory najbardziej

przypomina pojazd ćwiczebny MEM-a. Jeśli chcesz prowadzić MEM-a, to musisz nauczyć się sterować jednym z tych cudów, chłopcze. – Szczerzył zęby, wyraźnie rozbawiony.

Należał do starców w korpusie astronautów. Miał za sobą typowy życiorys: pilot oblatywacz marynarki wojennej, nawet instruktor w Pax River, wiele godzin w kosmosie. W niekończącej się batalii do najwyższego szczebla drabinki wejściowej Aresa, miał tę wielką przewagę, że przyjęto go do NASA wcześniej niż Gershona i zaliczył już sporo treningów na prawdziwym, latającym MLTV-ie. Natomiast cały wielki dorobek Gershona, osiągnięty dzięki wszystkim zabiegom i godzinom spędzonym w Columbi, to było trochę godzin w naziemnym ośrodku treningowym Langley, zaopatrzonym w wiszącą na linach makietę MEM-a.

Tak więc Curval należał do załogi Phila Stone'a i spodziewał się lotu na Marsa.

A

Ralph Gershon był wciąż wypatrującym szansy aut-sajderem. Ale mniejsza z tym. Bo dzisiaj Ralph Gershon miał dodać do swojej listy osiągnięć lot na MLTV-ie. Więc pieprzyć Teda Curvala i wszystkich innych zadufanych dupków. Jeśli by ktoś spytał Gershona o zdanie, to konkurs był nierozstrzygnięty, póki ptaszek nie wypruje z wyrzutni 21 kwietnia 1985 roku.

Gershon wsadził hełm. Wskoczył do środka MLTV-a. Jeden zwrot ciała i opuścił się na fotel.

–No i co wy na to? Dokładnie jak dla mnie. Curval podszedł bliżej.

–Hej, Gershon... Gershon przypinał pasy.

–Fotel to model Weber 00, zgadza się?

–Wyłaź stamtąd, człowieku. Nie powinienesz...

–A silnik to General Electric CF-702V, turbinowy dwuprzepływowy. Daj spokój, Ted, znam ten sprzęt. Przyjechałem tu polatać, nie słuchać twojego głędzenia. – Ogarnął wzrokiem deskę rozdzielczą: kilka przyrządów, monitor, para słuchawek. Jak w symulatorze.

Nagle zamrugał; mocne słońce świeciło mu prawie prosto w oczy i zapiekły go. Na pleksiglasowej owiewce widział delikatną siatkę oznaczoną liczbami... Wtem oczy zabolowały go nie na żarty. – Rany. – Zasłonił się ramieniem. Poczłł nieznośne swędzenie i rozplakał się jak bóbr.

–Po pierwsze, mógłbyś zamknąć osłonę hełmu – powiedział sucho Curval. – Poczłłesz ignolinę. Cieknie ze sterów pozycji. Jesteś pewien, że wiesz, co robisz, facet?

Gershon zatrzasnął osłonę i zacisnął powieki.

–Pozwól mi skręcić kark, Ted. To mój kark. Czemu miałby cię obchodzić? – Dobra – wycedził wreszcie Curval. – Dobra, wygrałesz. Curval z York u boku podeszli do ciężarówki, pełniącey rolę wieży kontrolnej, i wdrapali się na nią. Gershon usłyszalł w słuchawkach hełmu suchy głos.

–Dobra, Ralph. Oto, co będziemy robić. Podniesiesz tego MLTV-a na pięćdziesiąt stóp, zrobisz dwa kółka i wracasz do domciu, grzecznie i posłusznie. Masz się tylko w nim poczuć. A potem na ziemię i płukanie oczu. Jasne? – Pewnie.

Gershon włączył silnik i usłyszał ryk za plecami. Pył zerwał się z ziemi i

poleciał mu

w twarz. Opary trysnęły z dysz sterów pozycji,

jakby były to jakieś niesamowite silniki parowe, owoc marzeń inżyniera z epoki wiktoriańskiej.

Nawierzchnia pasa uciekła. Wznoszenie było krótkie, pewne. MLTV przypominał hałaśliwą windę.

Gershon wydał okrzyk zachwytu.

–Jupijooo! To se polotomy!

Z czterech kuzynów MLTV-a numer trzy, dwa rozbiły się w ciągu ostatniego półrocza. Piloci się katapultowali i wyszli bez szwanku. Nikt nie znał przyczyny awarii. No cóż, pionowznosy cieszyły się niedobłą sławą maszyn nieprzewidywalnych, więc może jakiś procent niepowodzeń był nieunikniony. Pozostawała nadzieja, że wypadki nie świadczyły o błędzie samego projektu.

Tak czy siak, MLTV-a czekały jeszcze obowiązkowe loty próbne. Nikt się do nich na razie nie palił, skoro wizja lądowania na Marsie pozostawała odległą sprawą. Nikt poza kimś, komu tak rozpaczliwie zależało na znalezieniu się na liście kandydatów, że był gotów na wszystko.

Gershon podniósł MLTV na jakieś sześćdziesiąt stóp i zwolnił wznoszenie.

Zasady sterowania dziwnym pojazdem były całkiem oczywiste. Siedziałeś na ogonie. Za stabilność pozycji odpowiadały cztery silniki korekcyjne, RSC, na ignolinę, małe rakiety wciśnięte w kąty ramy. Przekonał się, że nawet nie musi pracować manetkami RCS, kiedy chce utrzymać pojazd w poziomie; rakiety odpalały same, klekocąc elektromagnesami i sycząc gazem.

Przetestował urządzenia sterownicze. Mógł dokonać pełnego obrotu wokół osi pionowej, w obu kierunkach. Znów krzyknął zachwycony, kiedy świat zawirował wokół niego. I miał też pewien zakres pochylenia bocznego oraz w przód i w tył, ale kiedy tego spróbował, skierowany w dół silnik raketowy zmieniał pozycję i Gershon leciał do przodu, w bok albo w tył nad pomalowaną płytą lotniska... – Hej, spokojnie! – wrzasnął mu do ucha Curval...co ewidentnie znaczyło, że tak należy latać MLTV-em. Ale nie należało za bardzo się przechylać, inaczej samoczynnie włączały się silniczki korekcyjne pozycji.

Nisko wiszące słońce zakłuło go w oczy, które nadal łzawiły i miał kłopoty z

odczytem instrumentów pokładowych.

Zatrzymał się jakieś sto stóp nad ziemią, przed platformą kontrolną.

–Może byś tak wrócił przemyć oczy, Ralph – zasugerował Curval.

–Jaki to ma udźwig paliwa?

–Na jakieś siedem minut.

–A ile trwa sekwencja lądowania?

–Ralph...

–Ile?

–Trzy, cztery minuty.

Sprawdził czas. Był w górze nie dłużej niż dwie minuty. Miał dość czasu.

Skierował MLTV-a prosto w górę.

–Ralph, wracaj na ziemię!

–Wrócę tylko w jeden sposób, koleś, a to jest lądowanie silnikiem.

–Nie przećwiczyłeś tego.

–Przećwiczyłem pięćdziesiąt razy w symulatorze. Daj spokój, człowieku. Wiem, co robię. Ten ptaszek chodzi jak zegarek. Daj mi go sprowadzić na dół. Curval mówił tak, jakby się dusił.

–Do cholery, ty dupku, rozwalisz tę szkoleniówkę i sam cię zaskarżę.

Gershon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Jasne. – Co, w gruncie rzeczy, mógł mu zrobić Curval? Nic. Tak długo, jak on był w

górze, a tamten na dole.

Wzbił się na trzysta stóp.

–To dość wysoko, żeby zacząć lądowanie?

Słyszał wyraźnie, jak Curval robi kilka wdechów na uspokojenie. – Znajdź przycisk

sekwencji automatycznego sterowania. Gershon znalazł go i wcisnął. Silnik odrzutowy przygasł i MLTV opadł. Ale rozległo się niesłyszane przedtem gardłowe wycie silników rakietowych i szkoleniówka wyrównała wysokość.

–Dobra – powiedział Curval. – Otóż tajemnica MLTV-a polega na tym, że ma dwa niezależne układy napędowe. W tej chwili silnik turboodrzutowy zmniejszył obroty

i

wyrównuje dwie trzecie twojego ciężaru. Więc gdyby wszystko było wyłączone,

opadłbyś

pod ciężarem 1/3 g – dokładnie jak na Marsie. Kapujesz? Turboodrzutowy na tyle

wyrównuje

grawitację, żebyś się czuł jak na Marsie.

–Jasne.

–Ale nie spadasz, bo właśnie włączyły się dwa rakietowe silniki nośne na ignolinę, które masz pod tyłkiem. Właśnie silniki nośne tworzą układ lądowania MLTV-a i musisz nimi sterować, żeby znaleźć się na ziemi. Pracujesz przepustnicą, aż wylądujesz. Jakbyś próbował usiąść rakieta międzykontynentalną na ogonie. – W porządku.

–Masz tam jeszcze dwa urządzenia sterujące, Ralph. Pozycji po prawej i ciągu po lewej. Chcesz wypróbować te maleństwa?

–Jasne.

Te urządzenia sterujące były znane Gershonowi z symulatorów. Ster pozycji pracował skokowo, za każdym obrotem pokręta, silniczki korekcyjne odpalały i przechylały MLTV-a o stopień. Regulatorem ciągu był przełącznik; za każdym jego przerzuceniem rakiety nośne z rykiem zwiększały prędkość o stopę na sekundę.

Po lataniu w trybie swobodnym, obecne prowadzenie szkoleniówki okazało się zaskakująco trudne. Gershon poruszał się, jak w jakimś kleistym lepkim płynie. Ponieważ siła grawitacji była o dwie trzecie słabsza, musiał przechylać ptaszka trzy razy dalej niż poprzednio, żeby go pchnąć. Zmiana pozycji trwała i trwała, ponieważ maszyna reagowała z opóźnieniem. Przekonał się, że wykonanie najprostszego manewru należy przemyśleć dobrą chwilę wcześniej.

Taki rodzaj latania – balansowanie na rakiemie – był trudniejszy, niż się spodziewał,

trudniejszy niż sądził po ćwiczeniach w symulatorze. Wszystko, czego przez całe życie z wielkim trudem nauczył się w kokpitach samolotów, teraz okazało się bezużyteczne.

–Dobra, facet. Masz tam komputer obsługujący program PGNS*[Przyp tłum Guidance and Navigation Software Package, Pakiet Programu Naprowadzania i Nawigacji.].

Jak jesteś taki napalony kowboj symulatorowy, nie musisz mi opowiadać, co trzeba podrzucić komputerowi, żeby sprowadził cię na ziemię. Wystarczy, żebyś nakierował maszynę i skręcił...

–Wiem. Daj spokój, Ted. Paliwo mi się kończy. Daj sprowadzić maszynę na dół. – W porządku. Najpierw spójrz przez owiewkę i wybierz miejsce lądowania. I zobaczysz liczbę na monitorze.

Gershon wyteńczył wzrok. Dostrzegł grube „trzy” wypisane na płycie lotniska, jakieś ćwierć mili dalej; to było odpowiednie miejsce lądowania dla MLTV-a numer trzy. Sterem pozycji przechylił MLTV-a, aż liczba na owiewce zrównała się z podpowiedzią monitora.

–Trzydzieści osiem – zawołał do Curvala.

MLTV popłynął ku celowi. Program PGNS wyznaczał trajektorię, której koniec znajdował się na „trójce”, czy raczej nad nią.

–Nie znam się na matematyce, która za tym stoi – przyznał się Curval – ale musisz

znać podstawy, Ralph, żeby zrozumieć, na jakich zasadach logicznych opiera się praca tego interesu.

–Znam je.

–W istocie PGNS działa na tej samej zasadzie, co stary ładownik księżycowy. I na pokładzie MLTV-a jest dość wyposażenia, komputer i radar, żebyś mógł lądować silnikiem.

Twój komputer ustala bieżącą pozycję, prędkość i wektor celu... który będzie wisiał tuż nad ziemią... i wyznacza śliczną łagodną krzywą między tymi dwoma punktami. Masz się jej trzymać. Co kilka sekund dokonuje korekty obliczeń i podaje inną

krzywą. A liczby wyświetlane na monitorze mówią, na co masz patrzeć na siatce. Miejsce lądowania powinieneś widzieć tuż za znakiem siatki.

–Kojarzę. – Sunął nad lotniskiem równo, bez przeszkód. – Jak chcesz zmienić miejsce lądowania, to musisz obrócić się, używając sterów pozycji, namierzyć miejsce celownikiem owiewki i PGNS rozpocznie korektę.

Włączysz

**przycisk POZYCJA STAŁA i zawiśniesz na chwilę, jak będziesz chciał. A prędkość
zniżania**

się możesz zmniejszyć...

–Wiem jak, Ted. Chciałbym...

W słuchawkach rozległ się głos York:

–Ralph. Tu Natalie. Chyba powinieneś przerwać manewr.

–Hę? Dlaczego?

–Szybko opadasz. Jesteś za nisko.

**Rzucił okiem na niewymyślne wskaźniki. Wyglądało na to, że wszystko idzie jak po
maśle. To prawda, że schodził szybko i był już**

**nisko, ale robił to celowo; wiedział, że przez paplaninę Curvala stracił masę
czasu, a**

nie chciał lądować bez paliwa.

–O co chodzi, York?

**–Chyba zaraz doprowadzisz do przeciążenia PGNS. – Daj spokój. Wszystko tu
chodzi jak ta lala.**

**–To nie takie proste. Ralph. – Zaczęła mówić o zgraniu wielomianów, krzywych
wyższego rzędu i innych pierdołach. Wszystko to wpadało Gershonowi do głowy
jednym**

uchem, a wypadło drugim.

Po prostu przestał jej słuchać.

Płyta lotniska sunęła w dół. Przemykał nad nią, podczas gdy PGNS gładko pracował;

Gershon prawie nie musiał dotykać sterów. Czuł uniesienie z powodu odniesionego powodzenia, radość sukcesu. „Znów się czegoś nauczyłem, mamuśka” – pomyślał. „Wszedłem na kolejny szczebel tej pieprzonej drabiny na Marsa”. Po prostu ten pierwszy raz da maszynie wylądować samej. Pokazał, co jest wart, nie chciał bardziej zrażać sobie Curvala. Może udałoby mu się przekonać tamtego, żeby kazał uzupełnić paliwo w zbiornikach MLTV-a i pozwolił mu jeszcze raz polecieć.

Następnym

razem spróbuje wylądować kilka razy.

Wielkie, kochane „trzy”, odwrócone do góry nogami, zaczęło rosnąć mu w oczach, przesłonięte kurzem wzbijanym przez silniki nośne. Włączył się silnik główny. MLTV odchylił się w tył, redukując prędkość. Gershon sprawdził liczby; dane monitora zmieniały się gładko, odpowiadając temu, co widział przez pleksiglasową owiewkę.

Silniki nośne zmniejszyły ciąg i MLTV zaczął siadać.

Może faktycznie trochę za szybko.

York nadal ujadła mu do ucha. Musiał to przemyśleć. Obserwował trajektorię i próbował wyobrazić sobie, gdzie wyląduje.

Na pewno coś było nie tak, jak powinno. Lądował za szybko. Odczekał jeszcze kilka sekund, pytając instynktu. Tak, trajektoria była ciasną, opadającą krzywą, która kończyła się jakieś kilkaset jardów przed „trójką”. No i co z tego? Może ten PGNS był trochę zwichrowany; może cała ta cholerna siatka na owiewce wymagała przekalibrowania. Jeśli zawisłby gładko w powietrzu, ale blisko celu, mógłby zwalić winę na spieprzone instrumenty pokładowe...

Ale nie zanosilo się na to, żeby miał gładko zawisnąć. Silniki nośne się

wyłączyły i

runął w dół, ku ziemi.

York i Curval darli się na całego.

Przyglądał się powierzchni, która zebrała się do wybuchu, wrednie obnażając każdy szczegół. Kawałki kamyków i betonu zarysowały się ostro w słońcu poranka.

Wyłączył automatycznego pilota.

Nie tracił czasu na wyrównanie pozycji; tylko podkręcił silnik turboodrzutowy i oderwał się od płyty lotniska. Poczłł nagłę przyspieszenie, dobrych kilka g, na tyle mocne, że uratowało go do nieprzyjzaznego uścisku ziemi.

Podniółł się może na sto stóp. Potem zmniejszył ciąg i łagodnie wylądował.

York pobiegła w kierunku siedzącego na płycie lotniska MLTV-a. Obsługa techniczna w białych strojach ochronnych otoczyła szko-leniówkę. Ralph Gershon już wysiadł. Fryzurę miał spłaszczoną przez hełm, a twarz, która wyłoniła się zza osłony hełmu, była okrągła i świecąca od potu. Oczy miał jak królik, chyba z powodu dawki ignołiny, której zakosztowały wcześniej.

–Ty dupku – powitał go Curval. – Powiedziałem ci, że jak rozwalisz sprzęt... – Wyrastał nad Gershonem, zaciskając dłonie w potężne pięści. Obrzucał go przekleństwami.

York wiedziała, że ten gniew jest do pewnego stopnia usprawiedliwiony; gdyby Ralph zabił się w trakcie swoich kowbojskich wyczynów albo rozwalił na strzepy tak kluczowy element wyposażenia, jak MLTV, opóźniłoby to bardzo realizację całego programu. York uznała, że Gershonowi należy się nacieranie uszu i przez chwilę stała z boku. Następnie wsunęła się między dwóch mężczyzn.

–Tak naprawdę, to nie była wcale wina Ralpa – powiedziała. Curval odwrócił się do niej, wciąż zionąc gniewem. – To sprawa programu lądowania. Myślę, że jest jakoś felerny, Ralph. Mało się nie zabił. – Odwróciła się do Curvala. – Możemy to udowodnić, przelecimy kilka razy trajektorię Ralpa w symulatorze.

–Co ty, do diabła, wiesz o programowaniu? – zagrzmiął Curval. Westchnęła. Nie za duzo. Ale może pamiętasz, że jestem tą dziewczyną po studiach, z chudą dupą, ale za to z wielką głową. To nie moja specjalność, ale miałam dość do czynienia z matematką, żeby poznać rutynowe działania PGNS. Słuchaj. – Gestykulując opisała lądowanie MLTV-a. – PGNS próbuje znaleźć równą krzywą między daną pozycją przy danej prędkości, a miejscem lądowania. To nie żadne czary. To matematyka. No, ale matematyka ma swoje granice. Program wykorzystuje wielomiany. Powinien wykreślić gładką krzywą.

Powinien, ale jednak tworzą się lekkie odchylenia, oscylacje, wywijasy. Im wyższego rzędu wielomiany, tym więcej wywijasów. Ale nie ma nieskończonej ilości krzywych; to jak próba wybrania szablonu z zamkniętego zestawu, żeby pasował do zadania. I im bardziej skomplikowane dane podajesz programowi, tym bardziej wielomiany muszą się wyginać, żeby utrafić między punkt aktualny a docelowy. Rozumiesz? – Więc czemu to nie gra? – spytał Gershon z udawaną niewinnością. – I czemu muszę

się na tym znać?

Wielkim wysiłkiem woli powstrzymała się od wybuchu. – Bo ten program nie ma pojęcia, że twoim punktem docelowym jest ziemia! To nie żywy człowiek. Tak naprawdę jest głupi jak but. PGNS tylko znajduje krzywą łączącą dwa punkt w przestrzeni. Nie obchodzi go liczba wywijasów między nimi. Ale gdy jeden z nich przypadkiem przecina ziemię i znów się wznosi... Curval gwizdnął.

–To dlatego Ralph leciał bardzo nisko i prędko...

–Najlepsze rozwiązania wielomianowe, na jakie stać PGNS, są wyższego rzędu.

Pełne wywijasów.

–Otrzaskanie ze śmigłowcem – zamruczał Gershon. York nie miała pojęcia do czego odnosiła się ta uwaga.

–Proszę...?

–Trzeba być otrzaskanym ze śmigłowcami. MLTV to fajny ptaszek i całkiem łatwy do prowadzenia. Ale ma się nijak do samolotu i buntuje się przeciw wszystkim odruchom doświadczonego lotnika. – Widać było, że nie słuchał tego, co przedtem mówiła. A może zaakceptował tylko tyle, ile uznał za stosowne, i myślał o kolejnej sprawie, o następnym stopniu niebotycznych schodów na Marsa. – Jeśli MEM będzie się zachowywał podobnie, to każdy otrzaskany ze śmigłowcami będzie miał przody. Proste jak drut. – A ty masz, jak przypuszczam?

–Nie. Ale to tylko kwestia czasu.

Z hełmem pod pachą wrócił do MLTV-a; niski, zdecydowany pełen determinacji.

Curval podrapał się po ostrzyżonej po wojskowemu głowie.

–Co za dzień. Co za dupek.

„Może – pomyślała York – ale wygląda mi na takiego dupka który polecą na Marsa”.

Listopad 1983 roku Newport Beach

Kiedy Gershon wszedł do niskiego budynku z polnego kamienia, biura menedżerów Columbii, czuł wyraźnie napięcie wiszące w powietrzu. To właśnie w tej wielkiej ponurej sali konferencyjnej miał się odbyć CARR*[Przyp tłum Contractor 's Acceptance Readiness Review, odbiór zamówienia.], najważniejsze wydarzenie w życiu statku kosmicznego, porównanie produktu ze specyfikacją, po której stawał się własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Lub nie. A ponieważ statek kosmiczny numer 009 był pierwszym MEM-em przeznaczonym do lotu załogowego – klasy D prim – na Columbia Aviation ciążyła ogromna presja.

Zjawilo się kilkunastu najwyższych rangą menedżerów NASA i sporo najważniejszych pracowników Columbii, zaangażowanych w przedsięwzięcie: Chaushui Xu, Bob Rowen, Julie Lye i inni. Ludzie, których Gershon już nieźle poznał. Ale CARR się opóźniał.

J.K. Lee, mający przewodniczyć obradom, jeszcze nie pokazał się w pracy. Więcej, mówiło się, że nie pokazał się wcale od piątkowego popołudnia. Był poniedziałek rano, a wszyscy wiedzieli, że Lee normalnie pracował przez weekend. Gershon miał jak najgorsze przeczucia. Ta nieobecność była zupełnie nie w stylu Lee. Wziął kawę i torebkę orzeszków ziemnych z jednego z wszechobecnych automatów. Nie przeprowadzono jeszcze próbných lotów ani jednego elementu, świadczyło wyraźnie, iż budowniczy MEM-a mają opóźnienia i nie trzymają się kosztorysu, a samemu produktowi zapewne daleko jeszcze do doskonałości. Columbia mogła się spodziewać ostrej krytyki ze strony NASA, Kongresu i rozlicznych podwykonawców. Nie dość tego. Gershon wiedział, że Joe Muldoon był tak zniecierpliwiony niedbałą, jak uważał, organizacją przedsięwzięcia, iż jakiś czas temu nastąpił na Columbię „brygadę tygrysa”, aby dokonała przeglądu całości prac. Była to procedura zapożyczona przez NASA z lotnictwa wojskowego. Brygada miała prawo buszować do woli po całej firmie, wtykać nos w każdy szczegół i każdą myśią dziurę. Gershon wiedział, że dzisiaj na miejscu będą również inspektorzy NASA, przeprowadzający rutynową kontrolę, dla których CARR nie był żadną świętością, i którzy mieli już prawie gotową wersję roboczą całościowego raportu. Tak więc tego dnia personel Columbii miał na karku nie tylko zwykłych kontrolerów NASA, tylko czterystu pracowników Agencji, buszujących gdzie im się żywnie spodobało, a do tego „brygadę tygrysa”, dowodzoną przez Phila Stone'a, i CARR. Presja, którą musieli wytrzymywać J.K. Lee i jego ludzie, już wcześniej była prawie nie do zniesienia.

Teraz urosła

poza granice ludzkiej wytrzymałości.

J.K. Lee wreszcie wpadł na salę w przekrzywionym krawacie i ze stosem papierzysk

pod pachą. Gershon zauważył, że coś nie gra z jego lewym ramieniem. Trzymał je jakoś dziwnie sztywno w bok. Cisnął papiery na mównicę i przez kilka minut witał się z pracownikami NASA, ściskając wylewnie dłonie.

Następnie podszedł do mównicy i poprosił o ciszę. – Dobra – zagaił. – Rozpoczynam CARR statku kosmicznego numer 009. To spotkanie dotyczy konkretnie 009 i tego, czy może już opuścić tutejszy zakład, i przejść procedury kontrolne oraz montaż z rakieta nośną na Przylądku. Nie zawracajmy sobie głowy modyfikacjami projektu; zajmijmy się oceną statku kosmicznego w jego obecnym kształcie. – Rozejrzał się po sali. – Nie chciałbym, żebyśmy na tym spotkaniu poruszali stare żale.

Wiemy, że budowa idzie wolno. Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Przyznaję, że nawet nie zakończyłem wszystkich testów, tak że ten CARR jest w pewnym sensie prowizoryczny. Ale bez względu na sytuację i tak zamierzam go przeprowadzić... To wzbudziło szmery niezadowolenia, ale nikt głośno nie zaprotestował.

Gershon sięgnął po gruby stos dokumentów.

Lee kipiał energią i sprawnie prowadził spotkanie. Większość poruszanych spraw była drobnego kalibru i omawiano je już na poprzednich sesjach. Lee starał się nie dopuszczać do rozwlekłych dyskusji nad poszczególnymi punktami, ucinał kłótnie i reasumował oceny.

Niemniej jednak lista spraw była na tyle długa, że Gershon uznał, iż spotkanie przeciągnie się na wiele godzin, może nawet na następny dzień. Jednocześnie uznał, że Lee jest w dobrej formie. Był podminowany, to prawda, ale nie pozwalał sobie i innym na gadulstwo. Rozsądzał spory, śmiejąc się i żartując. To przyczyniało się do dobrej atmosfery, rozluźnienia i konstruktywnego podejścia.

Wszyscy

byli w świetnych humorach.

Ale to lewe ramię chyba jednak dawało mu kość. Często je masował, aż na wysokości pachy. Poza tym często przysiadł, nawet niedługo stanie wyraźnie go męczyło. Na lancz podano kanapki. Gershon zmiotł ich cały talerz. Lee odnalazł astronautę i zaprosił go na spacer po zakładzie. Gershon docenił ten gest i przyjął zaproszenie. Przez lata nie krył krytycznych poglądów na temat wyników prac Columbi. Ale Lee najwyraźniej nigdy nie zapomniał przysługi, którą oddał mu Gershon, posyłając w pierwszej kolejności zaproszenia do przetargu na budowę MEM-a, i chociaż teraz względy polityczne nakazywały mu uśmiechać się do grubych ryb z NASA, to jednak zdecydował się poświęcić czas jemu.

Dotarli do pomieszczenia czystego, antyseptycznej hali montażu czterech MEM-ów.

Lee i Gershon musieli wpisać się do księgi gości, nałożyć białe fartuchy, miękkie plastikowe kapcie, a na głowy plastikowe czepki z gumką. Brygadzysta pouczył ich, że mają się poruszać po wyznaczonych ścieżkach i trzymać z dala od statków, jeśli łaska. Białe ściany biegły we wszystkich kierunkach, rozjaśnione jarzeniowym światłem. Grupki robotników, wszyscy w czepkach i kapciach, pracowały przy wielkich komponentach.

Rozlegały się ciche rozmowy, brzęk metalu, warkot maszyn. Wielkie wciągarki i dźwigi zwisały ze wzmocnionego stropu, pustego i potężnego. Pomieszczenie czyste bardziej przypominało Gershonowi odlewnię rzeźbiarza niż fabrykę; nie czuło się tu ducha rutynowej pracy. Miano zbudować tylko kilka MEM-ów, tak więc wszystko było nowe, wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju. A w środku hali zaczęły się rysować cztery stożkowe kształty, jakby krystalizując z jakiegoś superkoncentratu. „Wyglądają jak religijne budowle – pomyślał Gershon, widząc gładź srebrzystych, lśniących ścian, tajemnicze dysze i otwory – jak rząd czterech piramid”.

„Oto widomy znak sukcesu Lee” – myślał dalej. Mimo tego całego jego chaotycznego zarządzania, burzy modyfikacji, opornych podwykonawców, dziwacznych żądań klienta, inżynierskich zagadek oraz przekroczeń kosztów, J.K. Lee tworzył coś czarodziejskiego; cztery marsjańskie statki materializowały się na podłodze fabryki w Newport Beach.

Obok każdego statku była tabliczka: „To jest kosmiczny statek załogowy. Wasze zaangażowanie w codzienny trud przy ich budowie zapewni bezpieczny powrót ludziom, którzy w nich polecą”.

Lee wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Ukradłem to od McDonnella – powiedział. Wciąż masował ramię i wyglądał na skonanego. Utracił intensywną energię, którą Gershon zawsze z nim kojarzył. Może to CARR tak go wyczerpał.

Zatrzymali się przy jednym z czterech błyszczących stożków. – Statek kosmiczny 009 – powiedział Lee. – Obiekt dzisiejszego CARR; pierwszy załogowy MEM. To ci dopiero.

MEM górował nad Gershonem, wysoki na całe trzydzieści stóp, jak jakieś opasłe metalowe tipi. Lśniące żaroodporne poszycie kadłuba było w wielu miejscach niekompletne, obnażając podukłady jak w jakimś przekrojowym modelu. Rozpoznawał ogólny rozkład statku. W osi tipi był wąski szyb członu wlotowego – statek kosmiczny wewnątrz statku – z kanciastą, przyciętą kabiną załogi na czubku.

A u podstawy MEM-a był gruby półtorus pełniący rolę schronu napowierzchniowego, z wygiętym tunelem dostępowym, sięgającym w górę ku kabynie członu wzlotowego. Naprzeciwko schronu, dla zrównoważenia ciężaru, umieszczono zbiorniki paliwa i utleniacza – wielkie kule członu ładowniczego i przysadziste cylindry członu wzlotowego, pogrupowane w niesymetryczne klastry, jak ogromne lśniące jagody. Obok ustawiono platformę roboczą. Od niej biegły do wnętrza statku kładki z falistej blachy stalowej. Wewnątrz widziało się robotników w białych strojach roboczych, jak leżąc na brzuchach, trudzili się przy przewodach, pulpitych kontrolnych, duktach i rurach, czołgali się wewnątrz lśniącej maszyny jak robaki.

Gershon przykucnął, zaglądając pod poszycie. Widział wielkie szafy magazynowe na skafandry do badania powierzchni Marsa i ekwipunek EVA. Dwadzieścia cztery pulpity sterownicze i pięćset przełączników pokrywały bladozielone ściany schronu. Wszędzie płonęły światelka ostrzegawcze. Tu i tam z otwartych pulpitych zwisały luźne przewody, ale część pulpitych i światel już działała i paliły się łagodnym światłem, rzucając gęste cienie na stoły robocze i wyposażenie.

Gershon mógłby narysować rozkład tego wszystkiego z zamkniętymi oczami. Po wielu latach współpracy z Columbią, po wielu godzinach w symulatorach tu, na Przylądku i w Houston, znał położenie każdego cholernego przełącznika. Miał nawet prawo rościć sobie pretensję do autorstwa połowy tych pulpitych.

W powietrzu unosiły się wonie przewodów, smarów, ozonu, opiłków metalu. MEM był nieskończony, ale żywy, o wiele bardziej niż jakikolwiek symulator. Był jak kabina pilotów nowego lśniącego samolotu.

I był po domowemu zaciszny. Był ucieleśnieniem chłopięcych marzeń, połączeniem warsztatu, stacji radiowej i klubu.

Gershon poczuł, że z ochotą spędziłby miesiąc na Marsie w tym czymś, z wielką ochotą.

Jeśli dostałby taką szansę.

Wybuchło jakieś zamieszanie i Gershon wyprostował się, żeby zobaczyć, o co chodzi.

Jack Morgan podszedł z pośpiechem do Lee i Gershona, trzymając w dłoni jakiś dokument.

–J.K.! Widziałeś to?

Gershon dostrzegł, że to robocza wersja oceny budowy MEM-a, sporządzona przez „brygadę tygrysa”, zespół Phila Stone’a. Fotokopia miała pieczętkę: „Poufne”. Gershon zgadywał, że jakiś sympatyk z NASA po kryjomu przemycił tekst

pracownikom Columbii.

Lee błyskawicznie przejrzał dokument.

–Jezu Chryste – jęknął. – Jezu Chryste.

Jack Morgan stał bez słowa, zaciskając i rozluźniając dłonie. Lee trząsał się wyraźnie.

Lewe ramię mu podrygiwało, jakby pod wpływem ostrego bólu. – Posłuchajcie tego. „Jestem bardzo niezadowolony z postępów programu i odnoszę generalnie złe wrażenie z prowadzonych prac... Nic nie wskazuje, by w przyszłości można było liczyć na poprawę poziomu wykonawstwa...” Pedalski gryziپیórek! „Moi pracownicy i ja zupełnie utraciliśmy wiarę w umiejętności, kompetencje i zdolności firmy Columbia Aviation... Z całą powagą zapytuję, czy Columbia jest szczerze zainteresowana dalszym wykonywaniem prac na odpowiednim poziomie...”.

Jacka Morgana opuścił gniew, kiedy dostrzegł dziwne zachowanie Lee, i spytał z niepokojem:

–J.K., co ci jest w to ramię? Lee pomachał rękami. – Pieprzyć moje ramię! Posłuchaj tego: „Sądzę, że NASA musi podjąć bardzo drastyczne kroki, a może nawet poszukać nowego wykonawcy...”. Morgan się nachmurzył i złapał Lee za prawy łokieć. – To ty mnie posłuchaj, dupku. Zaraz idziesz do mojego gabinetu. Lee próbował się wyrwać, ale Morgan go nie wypuścił i ruchem głowy nakazał Gershonowi złapać konstruktora za drugie ramię.

Gershon z wahaniem ujął Lee za kościsty łokieć. Wypchnęli J.K. Lee z pomieszczenia czystego; cała trójka minęła wybałuszających oczy techników, nadal w kapciach, czepkach i białych kitlach. Lee wymachiwał raportem i krzyczał niczym starotestamentowy prorok. – ”Po prostu nie jestem w stanie dalej współpracować z niedbałym wykonawcą, który przystawia nóż do gardła rządowi, realizując wielomiliardowe zadanie państwowej wagi...”.

A pieprzyć cię, ty kurwo, panie Philu Stone!

Dotarli do gabinetu Morgana i gospodarz wyciągnął przenośny aparat EKG.

Lee spojrzał na urządzenie.

–Co to?

–Podwiń rękawy, J.K.

–Mam serce jak dzwon. – Lee rzucił się na podłogę i ku zdumieniu Gershona zaczął

robić pompki. – Popatrz tylko! – wrzeszczał do Morgana, wykręcając głowę. – Gdybym miał atak serca, już byłbym gotów.

Jack Morgan zignorował te wygłupy. Pochylił się, złapał Lee za kołnierz i po prostu postawił go na nogi. Pchnięciem usadził go na fotelu i założył mu elektrody do EKG.

Lee nie wypuszczał z ręki raportu Stone'a.

–Popatrz na to! Dołączył nawet listę osób, których należy wywalić! Jesteś na niej, Jack, i ja! Parowa!

Morgan odczytał wynik badania. Spojrzał na Lee.

–Jedziesz do szpitala – powiedział.

–Sranie w banię – warknął Lee. – Mam teraz pieprzonego CARR-a. – Poderwał się i ruszył do drzwi.

Morgan po prostu zasłonił je własnym ciałem. Skinął głową na Gershona. – Zadzwoń do pana Cane'a – rozkazał. – Powiedz mu, że musi porozmawiać z Lee. – Odwrócił się i krzyknął do sekretarki, żeby ściągnęła pogotowie. Niepewny, nie wiedząc, w co się pakuje, Gershon sięgnął po słuchawkę.

Lee dalej czytał raport.

–Patrzcie, co za gówno. Niedotrzymywania terminów. Opóźnienia w projektowaniu.

Przekraczanie kosztów. No, no. Czy oni nie rozumieją, jakie to skomplikowane? Albo tego, jaki chaos robią ich ludzie, kiedy narzucają nam jedną zmianę po drugiej? Nie wystarczy szukać winnych w papierkach, trzeba najpierw popatrzeć na cały ten złom. Pewnie, że mamy opóźnienia w stosunku do harmonogramu. Ale to jakiś żart. – Odwrócił się do Morgana. – To pieprzone polowanie na czarownice. Nic innego. Polowanie na czarownice. Gershon podał mu słuchawkę.

–Art Cane chce z tobą rozmawiać.

Dwaj sanitariusze przybiegli korytarzem. Pchali wózek inwalidzki. Oszołomiony J.K.

Lee rozejrzał się wkoło, nadal w kapciach i czepku z pomieszczenia czystego. Sanitariusze wsadzili go na wózek, nie zwracając uwagi na protesty, i szybko wywieźli z pokoju.

Morgan trzęsącymi się rękami zapalił papierosa. Gershon zdał sobie sprawę, że też cały drży.

–Chryste – powiedział. – Nie wiedziałem. Morgan ściągnął czepkę z głowy. –

Naprawdę? Do diabła, nie jedyny J.K. mało nie wyzionął ducha w tym pieprzonym programie. Nie słyszałeś o tym? Nazywają to: syndrom Aresa. To był podręcznikowy zawał; Lee dostał go zaraz po tym, jak pogotowie dostarczyło go do szpitala.

Kiedy doszedł do siebie – po kilku dniach, w szpitalnym łóżku – w pierwszej kolejności kazał zainstalować w pokoju linię zabezpieczoną przed podsłuchem i zaczął wydzwaniać do zakładu.

Okazało się, że zapanował tam jeden wielki chaos. Niemożliwe stało się faktem; wersja ostateczna raportu Phila Stonek okazała się jeszcze bardziej miażdżącą niż wersja robocza. W tej sytuacji prasa spekulowała jak szalona na temat nowego wykonawcy MEM-a.

Spekulacje osiągnęły wkrótce taki punkt, że zaczęły żerować na sobie samych – Lee widział nawet artykuł na temat artykułów dotyczących kłopotów z MEM-em. Miał wrażenie, że jego ludzie poświęcają więcej czasu tym całym prasowym śmieciom oraz plotkom z NASA i krążącym po własnym zakładzie niż budowanemu statkowi. No cóż, gdyby ktoś pytał Lee, o co tu chodzi, odparłby, że o zastraszenie.

Przecież

NASA nie mogła się wycofać z umowy, jeśli w dalszym ciągu chciała wylądować w 1986 roku na Marsie, tak więc stosowała zwyczajne zastraszania, szantaż korporacyjny. Ale Columbia musiała zareagować.

Pod nieobecność Lee, Art Cane zarządził wewnętrzny audyt. Przez kilka dni grupa ludzi o szerokich kompetencjach dokonywała przeglądu całego programu, rozmawiając z setkami pracowników. Wszystko było poufne; sprawdzano nawet pokoje, w których odbywały się rozmowy, czy nie ma w nich urządzeń podsłuchowych. Niby miało to uspokoić pracowników, ale Lee wiedział, że napędzi im niezłego pietra. Pierwsze rezultaty audytu wyglądały równie miażdżąco, jak efekty pracy zespołu Stone'a.

Lee leżał bezradny w szpitalu i wszystko się w nim gotowało. „Ten cholerny program wciąż działa” – myślał. „A oni rozpirzają mi organizację bez żadnego powodu. To polowanie na czarownice”.

Robiono je w komfortowych warunkach, podczas gdy Lee przebywał poza zakładem.

Wszyscy jego ludzie martwili się o swoje stanowiska i o przyszłość samego Lee.

Tak więc zadzwonił do Morgana i zawiadomił go, że chce wyjść ze szpitala. Oczywiście, Morgan zaprotestował. Lee był w szpitalu niewiele ponad dwa tygodnie.

Morgan przyjechał do szpitala i przywiózł ze sobą Jennine, by wyperswadowała Lee wychodzenie.

–J.K., musisz tu poleżeć jeszcze co najmniej dwa tygodnie, może miesiąc. Lee dostał szau. Gniew na własne ciało, które go zdradziło, krążył w nim jak czterotlenek azotu, jak jakaś wybuchowa spalająca substancja. Zerwał się z łóżka i znów zaczął robić pompki.

–Widzisz? – wyrzęził. – Na litość boską, co jest z tymi ludźmi? Nie widzisz...

Ale Jennine zaczęła krzyczeć. Ukryła twarz w dłoniach i się rozplakała.

–Przestań. Przestań, J.K.

Osiągnięto kompromis. Obiecano wypuścić go ze szpitala trzy tygodnie po zawale. Umowa zakładała, że ma siedzieć w domu przez co najmniej kilka tygodni, pracując, jeśli naprawdę będzie taka potrzeba.

Próbował oglądać telewizję. Leciał w niej jakiś koszmarny przygnębiający film pod tytułem „Dzień po”, o ataku nuklearnym na Lawrence w stanie Kansas. Wszyscy mówili, że powinien to obejrzeć.

Po godzinie projekcji walnął pilotem o ścianę. A zresztą zawsze nie cierpiał Jasona Robardsa.

Minęły dwa dni. Nie mógł dłużej wytrzymać odosobnienia i wyciągnął T-birda z garażu.

Jennine nie próbowała go zatrzymać. Tylko się mu przyglądała, jak wyruszał. Źle się czuł, widząc jej pełne cierpienia spojrzenie.

Kiedy dojechał do zakładu, zastał w nim jeden wielki galimatias. Było jeszcze gorzej, niż się spodziewał. Ludzie z NASA wciąż pałętali się po wszystkich cholernych budynkach, a Art Cane obijał się o ściany swojego gabinetu, przekonany, że niebawem utraci umowę na MEM-a.

W tej sytuacji Lee usiłował zebrać swój program do kupy. Najpierw wykopał wszystkich ludzi z zewnątrz, NASA i całą resztę, którzy jego zdaniem wcale nie byli konieczni do dalszych prac nad MEM-em. Zajęło mu to dzień i oczywiście napotkało wiele sprzeciwów ze strony grubych ryb z Agencji, ale i tak dopiął swego.

Trochę mu doskwierało, że Art Cane nie okazuje mu wyraźnego poparcia. Następne kilka dni poświęcił na przedarcie się przez dwa raporty z audytów, wykreślając zagrywki polityczne, wodolejstwo, błędy i zwykłe, cholerne głupoty.

A było tego

do licha i trochę.

Audytorzy tak z firmy jak i z zewnątrz poszli na łatwiznę; czepiali się opóźnień w harmonogramach, błędów w dokumentacji i zaniedbywania procedur. W oczach Lee harmonogramy na papierze były świetnym pomysłem – wprawiały szefostwo w stan błogości, trzymały cię w jakich takich ryzach czasowych i w ogóle nie były takie grupie – ale tak na poważnie, to Columbia nie wiedziała, co usiłuje zbudować, co dadzą wyniki ostatnich testów ani jakimi nowymi żądaniem zarzucają zespoły projektowe z Marshalla, z Houston i Bóg wie jeszcze skąd. Budując coś takiego jak MEM, po prostu nie dało się trzymać harmonogramu i nie należało się tego spodziewać. A opóźnienia na pewno nie świadczyły o poziomie kompetencji, czy niekompetencji. Tak przynajmniej widział to Lee. Opóźnienia dowodziły jedynie złożoności rozwiązywanych problemów.

Na litość boską!, Columbia budowała statek kosmiczny i wystarczyło tylko wejść

do

pomieszczenia czystego, zobaczyć te cztery piękne eksperymentalne obiekty, by zrozumieć,

że tak naprawdę J.K. Lee

idzie do przodu, chociaż wokół niego szaleje ten cały biurokratyczny tajfun. Zadał sobie ten trud, by odcedzić z raportów zdroworozsądkowe wskazówki, twórczą krytykę i wyciągnąć wnioski do dalszej pracy. Na przykład, audytorzy dostrzegli niedbałe zabezpieczenie hal produkcyjnych, marnotrawstwo materiałowe i tak dalej. No cóż, z tymi zarzutami nie zamierzał dyskutować. Natychmiast posłał komu trzeba notatkę służbową, wezwał ludzi, zjechał ich równo i zażądał doprowadzenia stanu rzeczy do porządku.

Po kilku dniach ślęczenia nad tymi wypocinami gryzipiórków, odwiedził Arta Cane'a i cisnął mu na biurko dwa grube raporty. Każdy akapit każdego raportu był zaznaczony ołówkiem kopiowym i albo przyjęty do wiadomości – wtedy z odfajkowany grubasnym ptaszkiem, albo uznany za rzadki idiotyzm – wtedy po prostu przekreślony. Cane przejrzał to wszystko, choć bez entuzjazmu. Niemniej jednak uznał uwagi Lee i nakazał mu urzędowo odpowiedzieć na zarzuty.

Następnie Lee zwołał wszystkich pracowników związanym z budową MEM-a do wielkiej starej stołówki. Uzbierało się tego z tysiąc luda. Stołówka nadal służyła za główną salę narad i na ścianach wisiały wielokolorowe harmonogramy i wykresy postępu. Lee nakazał powiększyć zdjęcie pierwszego MEM-a, statku kosmicznego numer 009, tak że zakryło ścianę za jego plecami – wielka srebrna piramida pięknie się prezentowała – i stanął na stole przed swoimi ludźmi. Wsparł ręce na biodrach i potoczył surowym spojrzeniem po morzu ściągniętych zmartwieniem, uniesionych ku niemu twarzy. – Słuchajcie, wiem, że ostatnio nie było wam lekko. Wiem, że mieliście tu pełno gości, którzy łazili wam po piętach i gadali, że nie odróżniacie dupy od łokcia. I faktycznie pewne sprawy nie szły jak należy. Ale teraz robimy z nimi porządek i to jest zdrowe podejście. I wiem w głębi serca... i wy też wiecie... że tak naprawdę nasze sprawy idą w dobrym kierunku.

Wiem też, że sprawy ze statkiem kosmicznym idą jak należy. Jak NASA chce mieć lot w kwietniu, misję D prim, pierwszy lot załogowy, to my będziemy gotowi... Macie zapomnieć o wszystkim poza tym pierwszym lotem. Skupimy się na tym jednym statku kosmicznym i będzie cacy; bo kiedy dzięki naszym wysiłkom ten pierwszy lot odbędzie się jak należy, cała reszta programu zaskoczy szast prast, jeden element po drugim. I wiem jeszcze jedno. – Rozejrzał się po twarzach, które wszystkie jakby się wygładziły i wyglądały młodziej. Poczul falę tkliwej opiekuńczości. – Jeszcze jedno. Wiem, że nie mogła mi się trafić lepsza grupa współpracowników. A teraz

wracajcie do pracy i twórzcie historię. No cóż, to była tradycyjna mówka Lee, kolejna wersja przemówienia, które wygłaszał w ciężkich czasach, pracując nad wieloma przedsięwzięciami. Standardowa zachęta.

Podczas

roboty nad B-70 nawet wzbudziła wiwaty.

Ale chociaż tym razem wiele osób kiwało głowami, to nikt nie wiwatował; a kiedy Lee skończył, ludzie po prostu odwrócili się i powlekli się na stanowiska. Zszedł z chyboącego się stołu, wspomagany przez Jacka Morgana. Czuł przygnębienie, ten tępy ucisk w dołku. Czuł się osamotniony i jakoś bezbronny. Może to znów serce go zdradzało.

„Do diabła z tym” – pomyślał. Wspierając się trochę na Jacku Morganie, zaczął przemierzać zakład, starając się wyłapać problemy, drąc się na pracowników i dając ostrą jak należy szkołę szefom zespołów.

Wtorek, 8 listopada 1983 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston Joe Muldoon miał ciężki orzech do zgryzienia.

Już od jakiegoś czasu wisiała nad nim pewna decyzja, a dzisiaj przyszedł dzień jej publicznego ogłoszenia.

Przed sobą na biurku miał kartkę papieru, a na niej skróty: CDR (dowódca), MSP (specjalista), MMP (pilot marsjańskiego modułu badawczego) i nazwiska pierwszej załogi

Programu Ares,

„CDR: Stone. MSP: Bleeker. MMP: Curval”.

Niecałe półtora roku przed datą startu Aresa, naciskano NASA ze wszystkich stron, żeby dokonała wyboru załogi, a z kolei NASA naciskała Joego Muldoona, odpowiedzialnego za ten wybór.

Zapowiadało się, że społeczność naukowa dostanie kota na wieść, iż wszyscy trzej astronauta załogi podstawowej na Marsa to byli wojskowi. Kandydatura Adama Bleekera na specjalistę misji była w opinii jajogłowych czystym obłąkaństwem. Nie miało znaczenia, że jak na pierwszorocznika spisywał się świetnie na zajęciach z podstaw geologii, prowadzonych przez York, i że to inteligentny, kompetentny oraz doświadczony astronauta. Państwowa Akademia Nauk i Urząd Geologiczny USA odpowiadali na to zgryźliwie, iż NASA ma w pełni kwalifikowanego specjalistę od

budowy Marsa w osobie Natalie York, ale nawet nie rozważa desygnowania jej do misji. Nie mówiąc o tym, że pominięto wszystkich innych uczonych korpusu – geochemików, geofizyków i biologów.

„Co jest, Program Apollo jeszcze raz?!” – rozlegał się chóralny wrzask środowisk naukowych.

No cóż, York udowodniła, że nawet będąc pod presją, potrafi wykonać kawał dobrej roboty, na przykład jako kontroler łącznikowy Apolla-N, a jej zasób doświadczeń z symulatorów budził szczere uznanie. Zapewne dałaby sobie radę podczas lotu. Muldoon wiedział, że wyznaczenie York na MSP na pewno przymknęłoby jadaczki lobby naukowego. Poza tym miałyby to jeszcze ten dobry skutek uboczny, że zamknęłoby inne jadaczki – lobby mniejszości – które narzekało od dawna i bardzo głośno, że NASA świadomie dyskryminuje wszystkich, którzy nie są mężczyznami rasy białej.

Sporządził więc nową listę, żeby się jej przyjrzeć:

„CDR: Stone. MSP: York. MMP: Curval”.

Ale York była nowicjuszem.

Pamiętał, co sama powiedziała jeszcze w czasie rozmowy kwalifikacyjnej: „Musimy dostarczyć na Marsa naukowca. Ale martwy naukowiec to żaden interes”. A przecież tu nie mówiło się o przejażdżce kolejką linową, ale misji dalekiego zasięgu, wymagającej złożonych, wymagających technologii, bez opanowania których można było tylko zaszkodzić sobie i innym.

Kiedy czasem uświadamiał sobie, do czego się tu szykowali, miał zawrót głowy. Planowali wysłać trójkę ludzi w paru puszkach konserwowych na odległość czterdziestu milionów mil, a potem czekać z nadzieją, że wystarczy połączyć dwie rzeczy – cud techniki, który Lee miał poskładać do kupy w tej swojej rozpadającej się szopie, udającej fabrykę, i umiejętności latania w atmosferze ziemskiej, nabyte w ciągu jednego pokolenia – żeby ta trójka wylądowała bezpiecznie na powierzchni obcej planety, dostarczając tam te wszystkie rury, kamery telewizyjne i inne cudeńka. Skala i zuchwałość tego zamierzenia zdumiewały go, kiedy próbował je ogarnąć. A przecież był człowiekiem, który chodził po Księżycu... Może, jak twierdziło wielu, zamierzali polecieć za daleko, za szybko...

Zbywał ten sąd wzruszeniem ramion. Tak czy siak polecą. Osobiście uważał, że najważniejsze jest dostarczyć kogoś na Marsa, zakres działań naukowych może być skromny, a one same wręcz prostackie. W jego opinii najlepszym sposobem osiągnięcia celu, zmaksymalizowania szans było posłanie trzech najlepszych lotników; ludzi, którzy potrafili sprostać najbardziej niezwykłym wymaganiom, jakie

narzuciła im rodzima planeta. Miał nadzieję, że na Marsa to wystarczy... Poza tym, chociaż był pod wrażeniem osiągnięć York, to czuł w niej coś, co nie dawało mu spokoju. „Ta jej cała pasja” – pomyślał. „York przyszła do NASA z wielkim żalem do świata i ten żal nie zmalął, wręcz przeciwnie. To jej cholerne wieczne marszczenie brwi” – myślał. „Reszta załogi po miesiącu dostałaby od tego furii”. York nie była gotowa. A szkoda.

Skreślił ją z listy kandydatów.

Poza tym tak naprawdę łamał sobie głowę nie nad kandydatem na MSP ale nad tym, kto powinien być pilotem MEM-a.

Kontrolerzy misji i inni fachowcy nie szczędzili niepocholebnych opinii na temat Teda Curvala.

Z jednej strony Curval był jednym z najlepszych pilotów, z którymi Muldoon pracował do tej pory, a Phil Stone, jego dowódca, stał za nim murem. Ale z drugiej zachowanie faceta nie przystawało trochę do rzeczywistości. Był pieprzonym arogantem. Uważał, że fotel Aresa należy mu się jak psu zupa. Myślał chyba, że wystarczy wpaść na trening, trochę się poobijać, umieć wczłgać do MEM-a, kiedy przyjdzie pora, i wszystko będzie pysznie. Jego wyniki w symulatorach były żalodne.

Muldoon naciskał Stone'a. Stone był dowódcą załogi, więc to on powinien wziąć pilota MEM-a do galopu. I Muldoon wiedział, że Stone polecił instruktorom symulatorów, by pomogli Curvalowi, ile się tylko da.

Wszyscy rozumieli, że obsługiwanie urządzeń, których stopień komplikacji znacznie przekracza wszystko, w co do tej pory były wyposażone statki kosmiczne, jest niezwykle ciężkie. Ale nikt nie mógł wybawić Curvala od tej orki. Tymczasem facet nie robił żadnych, ale to żadnych postępów. Chyba nawet nie zdawał sobie sprawę, że jakieś postępy po prostu wypada robić.

Muldoon na swój użytek porównywał Curvala z innym dobrym pilotem, Ralphem Gershonem.

Miał na niego oko nie od wczoraj. Ralph udowodnił, że jest gotów do każdej roboty, którą się mu zleci. Muldoon śledził wyniki Gershona w symulatorach i dowiedział się – jak na ironię od samego Teda Curvala – że Gershon walczył o dostęp do MLTV-a, a kiedy już dorwał się do maszyny, osiągnął fantastyczną wprawę w pilotażu. I spędzał cholernie dużo czasu w Newport Beach, biorąc udział w powolnych, żmudnych pracach rozwojowych nad MEM-em.

Gershon stopniowo dochrapał się pozycji stuprocentowego kandydata do fotela pilota MEM-a.

Z pewnością był tego świadomy – zapewne nawet to sobie zaplanował – ale nie było w tym nic złego. Był to tylko dowód, że Gershon zdaje sobie sprawę, jak działa system selekcji i wyciąga właściwe wnioski dla siebie.

Kontrast między nim a tym pyszałkiem Curvalem był uderzający. W opinii Muldoona, Curval miał znacznie większy potencjał jako pilot niż Gershon, tyle że wcale nie zdawał sobie z tego sprawy.

Poza tym posłanie Gershona na Marsa zamknęłoby gęby innemu lobby mniejszości. Pierwszy amerykański Murzyn w kosmosie... Z tym że Muldoon nie zamierzał w żaden sposób ulegać tego rodzaju naciskom. Gdyby uznano, że Gershon jest promowany bezpodstawnie – gdyby wyznaczono go do misji z pominięciem lepiej wykwalifikowanych gości – tego samego dnia na biurku Muldoona wyładowałoby sto rezygnacji. A on by tylko je ładnie obwiązał sznureczkiem i posłał Josephsonowi – ze swoją własną na wierzchu. Stać go było na bezstronność.

Bardziej trapiło go to, że Gershon jest żółtodziobem. I, oczywiście, dochodziła sprawa

jego równowagi psychicznej. To był ten szkopuł, który w ogromnej mierze decydował, że

facet do tej pory nie zakosztował przyjemności lotu w kosmos, mimo tak długiego stażu w korpusie.

Jakkolwiek było, Gershon zaliczył Wietnam.

To była inna wojna, niż te, które pamiętali starsi koledzy. Gershon był samotnikiem, kawalerem, zbyt nieobliczalnym i ekscentrycznym dla wielu facetów – szczególnie starszych gości, którzy na swój sposób byli głęboko konserwatywni. Tak więc Gershon był elementem ryzyka. Ale jakkolwiek na niego patrzeć, pewnie posadziłby MEM-a w sytuacji, w której masa innych facetów przerwałaby manewr albo nawet wyryła dziurę jak cholera w pocziwym Marsie.

A jeśli Muldoon wrzuciłby go do misji bliskiego zasięgu klasy D prim, pozwolił na lot

próbnym MEM-em po orbicie okołoziemskiej, Gershon szybko pokazałby na co go stać

i

pozbył się wizytówki nowicjusza.

Muldoon napisał trzy nazwiska.

„CDR: Stone. MSP: Bleeker. MMP: Gershon”.

To wyglądało całkiem nieźle. Załoga nadal składała się z pilotów. I to samych wojskowych pilotów. Gershon miał błyskotliwość, której brakowało Curvalowi, i która mogła zdecydować o wielu sprawach, kiedy zacznie się ostatni etap, czterdzieści milionów mil od Ziemi. Poza tym Muldoon wiedział, że Gershon w przeciwieństwie do Curva-la, przyłoży się do nauki i pozna na wylot każdy element misji, te wszystkie nudne, gówniane sprawy też. Na przykład geologię.

Dodatkowo należało się spodziewać, że tacy spokojni i zrównoważeni goście jak Stone i Bleeker, dadzą sobie radę z ewentualnymi wyskokami Gershona. „A więc Gershon” – zdecydował w duchu.

To w żadnym wypadku nie mogło uciszyć utyskiwań naukowców, ale trudno, do cholery, będzie musiał przyjąć na siebie całą krytykę. Bleeker był w porządku i nie było nawet mowy, żeby go skreślić.

Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że skoro w załodze będzie już nowicjusz Gershon, to odpadała możliwość dokooptowania Natalie York, nawet gdyby Gershon zyskał trochę doświadczenia podczas D prim. Jeden żółtodziób lub wczorajszy żółtodziób w załodze to prawie nadmiar szczęścia, dwaj to śmiech na sali. Sięgnął po słuchawkę i poprosił Mabel o zawiadomienie Stone’a Bleekera, Gershona i Curwała.

Rozważył, czy zawiadomić York. Uznał, że nie ma takiej potrzeby.

Czwartek, 12 lipca 1984 roku

Pustynia Cheney-Palouse

(obszary strzaskanej powierzchni),

Macali w stanie Waszyngton

Chociaż nie było jeszcze dziesiątej, słońce mocno dawało w kość Philowi Stone’owi.

Czuł rzęsisty pot pod kołnierzykiem, pilotką i ciężkim plecakiem. Miał wrażenie, że ziemia składa się wyłącznie z czarnej skały, a cały żar z pieca bezchmurnego nieba skupia się na nim. Na mile wokół były tylko skały, chwasty i żwir.

W plastikowym portfelu u boku Stone’a dyndała paczka powietrznych fotografii

obszaru, a także parę ogólnych map Urzędu Geologicznego USA. Rozpiął portfel; rozejrzał się wkoło, usiłując dopasować teren do zdjęć. Były tak samo niewyraźne jak fotografie powierzchni Marsa z Marinera.

Pejzaż był niesamowity. Rzeźbiony, pełen pagórkowatych wzgórz i kanionów, miejscami wrytych w dziewiczej skale. Stone nigdy nie widział czegoś podobnego. – Nie mam pojęcia, gdzie, do diabła, jesteśmy – przyznał szczerze. – To cholernie trudne. Z bliska wszystko wygląda inaczej.

Adam Bleeker wędrujący obok Stone'a, także w pilotce, z plecakiem i w marsjańskich butach na nogach, zatrzymał się. Ciągnął dwukołowy wózek MET, modułarny transporter wyposażenia. Pochylił się, opierając dłonie na kolanach. Jego blond włosy wydawały się płonąć w słońcu.

–Ja kojarzę, gdzie jesteśmy – powiedział ze zmęczeniem.

–Hę?

–Jakąś milę od linii Union Pacific. Właśnie słyszałem gwizdek lokomotywy.

–

W słuchawkach Stone'a zatrzeszczał głos Natalie York, niesiony falami radiowymi. – Powtórz proszę, EV 2, nie odebrałam. – York odgrywała rolę kontrolera łącznikowego, pławiąc się w luksusach namiotu.

Bleeker się wyprostował. Spotkał się wzrokiem ze Stone'em i zaklął bezgłośnie..– Odebrałam, Natalie – powiedział Stone. – Trochęśmy się zmęczyli tym łażeniem po Marsie. Mam wrażenie, że w szybkim tempie zużywamy nasz zapas powietrza. – No, to dla odmiany pociągnijcie ze smoczka, bobasy. Bleeker znów zaklął bezgłośnie, ale Stone ruchem dłoni nakazał mu spokój. – Ona ma rację, do cholery. Daj spokój. – Sięgnął za głowę. Dwie krótkie plastikowe rurki sterczały z plecaka. Wsadził jedną do ust i pociągnął; letni Tang trysnął na język.

Bleeker pociągnął łyk wody ze swojej rurki, przepłukał usta i wypluł ją na czarne skalne podłoże. Z sykiem uciekła w głąb skały i znikła. – Weź może Tanga – poradził mu Stone.

–Po Tangu bierze mnie na pierdzenie.

–No, ale musisz uzupełniać potas, który wypacasz. To dla twojego serca...

–Hej, bohaterowie, gotowi do dalszych wyczynów? – Jesteśmy twoi, Natalie – powiedział Stone. Wyprostowali się i ruszyli przed siebie.

Podeszli do rozległego pokładu żwiru i gliny, przez który przeciskała się skała, jak szerniała

obnażona kość. – Znaleźliśmy coś jakby less, Natalie – powiedział Stone. –

Warstwę osadową

doliny rzecznej. – Zdał sobie sprawę, że ciężko oddycha i zauważył, że Bleeker, walczący z

ciężkim MET-em, przepocił gruntownie cały T-shirt. – Chyba powinniśmy zacząć rozstawiać

SEP-a.

–Odebrałam, EV 1.

„Pewnie, że odebrałaś” – pomyślał Stone. Siedzenie na tyłku i odgrywanie naukowca było o niebo łatwiejsze niż wleczenie się noga za nogą po tym przeklętym wulkanicznym polu bitwy. Na dodatek, tu pracowało się gorzej niż na Marsie; skafander kosmiczny miał być klimatyzowany, na Boga.

–Adam, czemu się dalej nie ruszasz. Idź tam, przez less. – W porządku. – Bleeker odłożył rączkę MET-a, poprawił plecak i ruszył przed siebie. Jego niebieskie, marsjańskie kalosze były brudne i zabłocone.

Stone wygrzebał z MET-a rękawice. Były sztywne i wzmacniane drutem, udając nadmuchiwany hermetyczny ekwipunek, który miał nosić na Marsie. Założył je i wyjął z

wózka SEP-a. Złożony SEP – eksperymentalny zestaw powierzchniowy, zestaw narzędzi

naukowych – wyglądał jak ciężkie hantle i ważył tyle, ile prawdziwy zestaw w warunkach

marsjańskich.

Bleeker pokonał może dwieście stóp lessu.

–Tutaj – krzyknął. – Tu jest dobrze. Płasko. Stone ruszył ku niemu.

–Dobra, Natalie, zabieram się do rozstawienia SEP-a.

–Odebrałam.

Utrzymać hantle w sztywnej rękawicy daleko od ciała było naprawdę trudno. Po jakichś trzydziestu stopach zatrzymał się i położył SEP-a na powierzchni. Bleeker wybuchnął śmiechem.

–To tylko sklejka, Phil.

–Do cholery – wrzasnął na niego Stone – musiałeś leżeć tak daleko?

;- Wiesz, że musiałem. – Oczywiście, Bleeker miał rację. Na Marsie trzeba będzie wyjść poza obszar zanieczyszczony kurzem, wzbitym przez SEP-a lub MEM-a. Stone

zjął

rękawice i cisnął je w kierunku MET-a; miał je gdzieś. Bleeker zagwizdał. –

Wolno ci robić

takie numery, kapitanie?

–Zaskarż mnie.

Zaniósł atrapę SEP-a do Bleekera i położył ją na ziemi; razem zaczęli rozstawiać instrumenty.

Rozkładanie SEP-a przypominało szykowanie domowego grilla. „Odkręć śruby – powtarzał w myślach Stone – wyjmij pakunki ze styropianu. Uklep równo powierzchnię – to akurat nie było łatwe, less był twardy i pokryty żwirem – i rozłóż przyrządy. Upewnij się, że każdy jest skierowany tam, gdzie powinien i w odpowiedniej odległości od innych.

I nie

zakurz ich, do cholery”.

Kiedy skończyli, SEP przypominał dziwną, wieloramienną gwiazdę. W środku była radioizotopowa bateria, wokół rozmieszczone na ziemi przyrządy, połączone cienkimi, pomarańczowymi przewodami.

Był tam sejsmograf mający wygląd srebrnej puszki, sterzący pionowo maszcik meteorologiczny – SEP był pomyślany jako stacja meteo astronautów – i magnetometr o wyglądzie delikatnego złotego liścia. 2 przodu para wysokich, cienkich, kolorowych kamer stereoskopowych. Natomiast na szczycie całego interesu tkwiła delikatna antena fal krótkich, wymierzona tam, gdzie patrząc z Marsa powinno się widzieć Ziemię. Podczas wędrówek po Marsie astronauta powinni rozmieścić SEP-y w rozmaitych miejscach. Liczono gorąco na to, że będą przesyłać dane długo po tym, jak Stone i jego załoga powrócą na Ziemię. To byłaby piękna pamiątka misji i, patrząc na rozłożoną atrapę z drzewa balsa i tektury, Stone poczuł dumę ze swojej pracy, dobrze wykonanego zadania.

–W porządku, Natalie, SEP rozstawiony – powiedział. – Co dalej? – Odebrałam. Wedle waszej listy zadań, którą tu mam, jeden z was powinien rozstawić CELSS-a, a drugi zebrać próbki.

–A kiedy lancz? – spytał żalonym tonem Bleeker. Stone roześmiał się. – Zrobię ci przysługę, Adamie – powiedział. – Ty rozstawiaj CELSS-a, a ja połączę za tymi cholernymi próbkami.

Powlekli się z powrotem do MEM-a i Stone pociągnął kolejny łyk zwietrzałego, pozbawionego smaku Tanga.

„Wolałbym oglądać olimpiadę, mając na stoliku zapas zimnych piw” – pomyślał. Ale to było marzenie ściętej głowy. Miał wrażenie, że od kiedy wszedł do Agencji, nic tylko trenował i trenował.

Pomógł Bleekerowi wyjąć z MET-a atrapę CELSS-a. Skrót oznaczał „system życiodajny kontrolowanego środowiska”, a odnosił się po prostu do małej nadmuchiwanej szklarni z plastiku. Zapakowana miała postać kręgu. Stone i Bleeker położyli ją na ziemi i Bleeker zaczął pracować małą nożną pompką, napełniając żebrowanie szklarni;

niebawem

wyrośla kopuła wysokości czterech stóp.

Bleeker nie skończył pompować, a spocił się jeszcze bardziej niż poprzednio.

–Mój Boże, Phil, w tych butach można skonać przy tej cholernej pompie.

–Chcesz ganiać za kamieniami?

–

–Nie, nie – powiedział Bleeker. – Wolę już mój przeklęty warzywnik.

Wyjął z MET-a prostą aluminiową łopatę i bez entuzjazmu zaczął dziobać ziemię. Później miał wstawić do kopuły mały zraszacz i zasadzić rośliny – soję i ziemniaki. Pomysł był taki, że bogate w dwutlenek węgla powietrze Marsa będzie docierało do roślin przez przepuszczalne ściany szklarni, które równocześnie ochronią je przed nadmiarem ciepła słonecznego. Skromne badania Sowieców wskazywały na to, że gleba marsjańska zawiera większość elementów, potrzebnych do uprawy roślin, poza fosforem i wodą, tak więc Bleeker miał ją użyźnić.

Zestaw CELSS służył tylko do celów eksperymentalnych; pierwsza ekspedycja nie miała żywić się roślinami uprawianymi na Marsie. Rzecz sprowadzała się do udowodnienia, że jest to możliwe, co przetarłoby drogę technologiom przyszłości, misjom dalekiego zasięgu – i nawet pierwszej stałej kolonii w nieokreślonej przyszłości. Ares miał również zabrać zestaw do innego długofalowego eksperymentu, miejscowej produkcji paliwa. Załogę czekał montaż urządzeń do pozyskiwania tlenu z gęstego marsjańskiego powietrza i ewentualnie wodoru oraz tlenu ze zbiorników wody ukrytych pod powierzchnią. Gdyby okazało się, że można wyprodukować na Marsie paliwa i utleniacze na podróż powrotną, ciężar i koszty przyszłych wypraw zmniejszyłyby się o ponad połowę.

Stone ruszył z MET-em, oddalając się od Bleekera mniej więcej w kierunku północnym.

–Dobra, Natalie. Schodzę teraz z tej warstwy lessu. Zbliżam się do pokładu jakby luźno sprasowanego żwiru. Widzę porysowania. Wzdłużne, jak ślady pazurów.

Wygląda na

to, że płynęła tędy woda...

–Czemu się nie zatrzymasz, żeby wziąć próbki? – zawołała York.

–Odebrałem.

Wybrał płaskie miejsce i ustawił tam gnomon kalibrujący. Obszedł go, starannie fotografując ze wszystkich stron. Następnie wziął się za testy mechaniczne. Przyłożył do ziemi metalową płytkę, a następnie wcisnął cylindryczną sondę. Włożył pobraną próbkę do ręcznej zgniatarki mającej wygląd dziadka do orzechów. Pracując, przekazywał York odczyty. Po sporządzeniu pełnej dokumentacji zebrał próbki z powierzchni. Pracował szczypcami, grabkami, łopatką, a także młotkiem, którym odłupał duży fragment skały.

Był zaskoczony tym, co widział. Przez ostatni rok co miesiąc wyruszał w teren na rozpoznanie geologiczne i nabrał pewnego doświadczenia. Ale nigdy nie napotkał podobnego obszaru.

Większość treningów EVA przeprowadzano na położonych wysoko pustyniach zachodu USA. W Nowadzie, na obszarze pół mili kwadratowej, stworzono takie warunki, jakie Sowieci zaobserwowali na Marsie. Przeczesano piasek i ułożono wielkie głazy.

Umieszczono tam nawet makietę MEM-a z pomalowanego drewna. Był w nim przedział, mieszczący pojazd marsjański w rzeczywistych wymiarach. Pojazd dało się sprowadzić na powierzchnię i rozłożyć, tak jak prawdziwe urządzenie. To było coś fajnego;

Stone z ochotą pognałby pełnym gazem taką marsjańską terenówką po zaaranżowanym, ale zupełnie przypominającym Marsa terenie...

Ale to, co tu oglądał, zupełnie zbijało go z pantafelów. Jak, do diabła, ten gówniany kawałek stanu Waszyngton, po którym musieli ciągnąć ten pieprzony wózek golfowy rodem z Programu Apollo, miał się do tego, co oczekiwało ich na Marsie? Po jakiejś półgodzinie załadował MET-a starannie wyselekcjonowanymi – i bezwartościowymi do ostatniego odłamka – próbkami powierzchni stanu Waszyngton. – W porządku, Natalie, chyba wystarczy.

–Dobra robota, Phil. Jeszcze zrobimy z ciebie zapalonego geologa. Ale wciąż nic nie wiem o morfologii twojego stanowiska.

Prychnął i zabrudzoną ręką otarł pot z czoła.

–Daj mi święty spokój.

–Nie wygłupiaj się, Phil. Próbkami to nie dosyć. Chyba już to wiesz. Dla geologa najważniejszy jest wygląd obszaru poszukiwań. Powiedz mi, co widzisz. Stone ruszył przed siebie. Rzemienie plecaka wrzynały mu się w ramiona, ale kiedy zadał sobie ten trud i rozejrzał spokojnie, dostrzegł pewien wzorzec, logikę układu powierzchni i zapomniał o zmęczeniu i niewygodach. – Widzę różnicowy teren. Skąpa macierzysta, materiał osadowy, który został usunięty, i materiał zalegający. Jakby zostawiony przez wodę. – Dobrze.

–Teren bezwartościowy. Jak marne pastwisko; rzadka roślinność; trudno spodziewać się czegoś innego na nagich skałach. Myślę, że to bazalt. W każdym razie pochodzenie wulkaniczne. Makroforalny w skale macierzystej to przeważnie kanały. Są prawie proste, mają rzadkie zakosy. Przypominają doliny rzek, ale poszerzone i pogłębione.

Może to tereny polodowcowe? – Wielkie języki lodowców spłaszczyły i pogłębily doliny, docierając aż do skały...

–Nie spekuluj, Phil. Cholerni astronauty z Apolla cały czas spekulowali i zamieszali

wszystkim w głowach. Patrz.

–Jasne. – Spekulujący piloci oblatywacze na Marsie. Pierwsze miejsce na liście nocnych koszmarów Natalie York. – Widzę też anastomozę kanałów. I izolowane wzniesienia między nimi.

Zajęty pracą Bleeker uniósł głowę i spojrzał z niedowierzaniem na dowódcę.

–Anasto... co? – zawołał.

Stone wyobraził sobie przygnębienie York po tym pytaniu. To że Bleeker ledwo liźnął geologii, nie było dla niej żadnym zaskoczeniem. Facet nie miał ostatnio łatwego życia; poza wyprawami w teren takimi jak ta, mającymi przygotować do lądowania na Marsie, szykował się również do misji klasy D prim, która w przyszłym tygodniu miała znaleźć się na orbicie okołoziemskiej.

No, ale z drugiej strony był przewidziany na specjalistę do spraw powierzchni Marsa.

–Anastomoza, dupku. Masz wszystko w „Kolorowance małego geologa”. Chodzi o zjawisko łączenia się kanałów. Spójrz. Widzisz? Tamte kanały dzielą się i łączą.

A tam nowe

kanały odcięły część wyżyny.

Przypominała obcięty wierzchołek skały, sterczący nad równiną.

–No. Dobra, widzę. A jak powstał ten kanał?

–Phil...

–Dobrze, dobrze, Natalie. Nie zadawaj mi takich pytań, Adamie. Nie będę spekulował.

„No, ale to mogła być działalność lodowców” – pomyślał. „Na pewno. Co innego, do diabła, mogło tak bardzo zniszczyć teren? Może przepływ lawy?” – A inne makroformy? – spytała York.

Stone wspiął się na szczyt skały, zmagając z ciężarem jeżdżącego plecaka, i

rozejrzał

wkoło.

–Kolejne wzniesienia, wycięte z osadów. Są...

–Jakie?

–Gładkie. Opływowe. – Wygładzone brzegi nadawały im charakter wysp, wylonionych z wysychającej rzeki. – I widzę jakby łachy żwiru sięgające jakichś trzydziestu

stóp wysokości. Przypominają nadmorskie wydmy. Uformowały się za wyniesieniami

lessowymi lub skalnymi. Jak ogony. W skałach są wyżłobienia. Podłużne. Te wyżłobienia

sięgają poza same wzniesienia i łachy żwiru. – Podszedł do gliny i piasku. –

Jest tu więcej

lessów. Widzę...

–Co?

–Pofałdowania. Lessowe. Wyglądają jak małe diuny. Są zbudowane warstwowo. Chyba rzeka tu wyschła. – Podszedł do skały. – Widzę dziury w powierzchni skalnej. Okrągłe, głębokie na kilka cali, szerokie na stopę i rozszerzające się ku górze. Nierówne na brzegach.

–Wyżłobiły je zapewne kamyki niesione turbulencjami... – Całe to miejsce wygląda jak dno rzeczne. No. W gruncie rzeczy ma topografię wyschniętego dna rzeki, ale powiększonego. Kanały, łachy i wyspy. Wszystko ukształtowane ogromnymi masami płynącej wody...

–Rozejrzał się z podnieceniem, oceniając wygląd powierzchni innymi oczami, oczami Natalie York: głęboko wycięte, połączone kanały, wielkie pokłady lessu, wyrzeźbione wyspy. – Chryste. To o to chodzi, Natalie? To dlatego nas tu ściągnęłaś, żebyśmy to zobaczyli? Czy to powódź uformowała cały ten region? – Znow spekulujesz, Stone.

–Och, daj spokój, Natalie.

–Dobra. Masz rację, Phil. Przynajmniej ta hipoteza ma najwięcej zwolenników.

Bleeker porzucił na wpół złożonego CELSS-a i podszedł do Stone'a.

–Co to jest?

–W późnym plejstocenie... – powiedziała Natalie – może jakieś dwadzieścia tysięcy lat temu., większa część Idaho i Zachodniej Montany była dnem ogromnego jeziora.

Nazywało się Missoula, miało tysiące mil kwadratowych i ograniczała je lodowa tama. W

końcu

–

tama pękła i uwolniła katastrofalną powódź, która zalała ten obszar. Popłynęły dziesiątki milionów jardów kwadratowych na sekundę, tysiąc razy więcej niż niesie

Amazonka...

–Jezu – powiedział Stone.

–No. Stare koryta nie mogły sobie poradzić z nagłym przyrostem stanu wód i uległy rozszerzeniu oraz pogłębieniu. W setkach miejsc powstały też kanały pośrednie, sięgające aż do skały macierzystej. Tysiące mil kwadratowych terenu zostały zmiecione do bazaltowej skały. Szczątki niesione przez wody pokryły rozległe tereny. Powstały setki katarakt, basenów i kanionów wyrzeźbionych w skale, izolowane ostrogi i wzniesienia, łachy żwiru sięgające czterdzieści jardów w górę. To jest właśnie strzaskana powierzchnia, Phil. Na naszej planecie mamy tylko parę podobnych obszarów, tak wyraźnie ukształtowanych przez wielkie, katastrofalne powodzie.

Bleeker zepchnął z czoła pilotkę i podrapał się po głowie.

–Fascynujące, Natalie. Ale nie rozumiem, jaki to ma związek z nami. – Dobra. Phil. Dałam ci jeszcze jeden plik fotografii. Jest w lewej kieszeni plecaka Adama.

Stone sięgnął we wskazane miejsce i wyjął plastikowe opakowanie czarno-białych fotografii. Szybko przejrzał zdjęcia, pokazując je równocześnie Bleekerowi. Równiny pokryte kraterami, obrazy Marsa. Kanał przecinający stare, twarde podłoże południowej półkuli. Zespół kraterów, na który nałożyły się połączone kanały. Krater z opływową wydłużoną wyspą, może żwirową łachą; równoległe do wyspy idą wyżłobienia...

Stone nie bardzo wiedział, co o tym myśleć.

–Chcesz powiedzieć, że Marsa nawiedziły katastrofalne powodzie, jak było na

obszarze strzaskanej ziemi tu, w stanie Waszyngton? York zawahała się.

–Taka jest moja opinia. Podobnie sądzi wielu geologów, od kiedy poznali fotografie Marinera. Od 1973 badałam obszar, który oglądacie na tych zdjęciach. Chyba znam go jak nikt na Ziemi. Mam wrażenie, że analogie między obszarami strzaskanej powierzchni na naszej planecie i morfologią marsjańską są zbyt wyraźne, aby były przypadkowe. – Ale nie wszyscy się z tym zgadzają? – strzelił na chybił trafił Stone.

–

–Nie wszyscy – przyznała. – Niektórzy uważają, że woda na Marsie nie mogłaby spowodować tak ogromnych zmian terenu, jakie obserwujemy na obszarze strzaskanej powierzchni na Ziemi. Tak mówi na przykład Schumm. – Kto? – spytał Bleeker.

–Schumm twierdzi, że to sprawa napięć powierzchni planety. To pęknięcia, na które nałożył się później działalność wulkaniczna i erozja eoliczna. – Ten Schumm gada jak typowy dupek – oświadczył Stone, nie spuszczać wzroku z fotografii. – Trzymam z tobą, Natalie.

–Ale jeśli te kanały na Marsie powstały w wyniku powodzi, to skąd, do diabła, wzięła się tam woda? – spytał Bleeker. – I gdzie się podziała? – Założę się, że ona ma też teorię na ten temat – zamruczał Stone.

–Nie słyszałam, EV 1.

–Jedź dalej, Natalie.

–Z podziemnych zbiorników. Ograniczonych od spodu grubą warstwą skały macierzystej... sięgającą może na dziesięć mil... i od góry grubą czapą lodową w regolicie.

Cokolwiek doprowadziło do wyniesienia Tharsis... może proces konwekcyjny płaszcz... musiało spowodować zaburzenia uskokowe, które w rezultacie skończyły się powodzią.

Ciśnienie wody przeważało ciśnienie skał. Wystarczyło tylko pęknięcie czapy lodowej i woda trysnęła na powierzchnię.

–Mój Boże – westchnął Stone. – Oceany ukryte w marsjańskiej skale. Jak możemy sprawdzić, czy masz rację, Natalie?

–Trzeba tylko żeby trzech facetów wylądowało tam MEM-em i zrobiło parę głębokich wykopów.

Stone zaczął sobie uświadamiać, ku czemu to wszystko zmierza. Kolejny raz przejrzał zdjęcia.

–Co to za fotografie?

–To jeden z najwyraźniej szych kanałów wypływowych. Mangala Vallis, Phil. Obszar strzaskanej powierzchni; wasze lądowisko.

Stone uśmiechnął się szeroko.

„Ta sama śpiewka – pomyślał – Mangala Vallis. I tak się dziwnie składa, że Natalie

York, światelko przewodnie Komisji do spraw Wyboru Lądowiska i ewentualnie podróżniczka na Marsa, zna ten obszar jak nikt inny na świecie. A Adam Bleeker wciąż nie

ma pojęcia, co to jest anastomoza. Mam nadzieję, że facet wie, że jest ktoś, kto dyszy mu w kark”.

Czas misji: 349/11:14:03

Dwadzieścia dni po tym, jak weszli na orbitę planety, Mars rozrósł się do ogromnego dysku. Tam, gdzie przebiegały granice między światłem i mrokiem, ujawniły się zmarszczki i występy powierzchni: oświetlone Słońcem kratery i kaniony. Widziała je gołym okiem.

To zdumiewające, jak wiele obszarów potrafiła rozpoznać. Prawie jakby już kiedyś tam była. Oto wielkie wgłębienie Valles Marineris – rana widoczna nawet z odległości miliona mil – i polarna czapa na północy, nabrzmiewająca zamarzła wodą jeszcze przed nadejściem zimy, a także wielkie czarne kaldery wulkanów Tharsis. Mars był niewielką planetą. Niektóre elementy rzeźby powierzchni – Tharsis, kaniony Marineris, Syrtis, na południu wielkie lodowe zapadliny Hellas – rozciągały się na obszarze całego globu, gigantyczne, dominujące krzywiznę. Po części Mars wyglądał zgodnie z jej oczekiwaniami. Jak wielkie globusy pokryte fotomozaikami w JPL. Ale były też zaskakujące różnice. Mars okazał się nie tyle czerwony, co brązowy,

przeważały na nim subtelne odcienie brązu, ochry i rdzy. Półkule północna i południowa bardzo się różniły; młodsze lądy na północ od równika były jaśniejszej barwy, niemal żółte.

Trajektoria Aresa biegła pod takim kątem względem linii łączącej go ze Słońcem, że Mars był częściowo niewidoczny, gdyż gruby wycinek nocnej półkuli był odwrócony do statku kosmicznego. Ochro we cieniu pogłębiały się, kiedy promienie Słońca padały na powierzchnie Marsa pod ostrym kątem. Planeta przybrała postać kulki, mandarynki, będąc jedynym rozjaśnionym obiektem jak niebo długie i szerokie, nie licząc Słońca i innych gwiazd.

Na tak dalekim etapie misji York przeżywała okres głębokiej depresji, zawieszona między planetami, oglądając poza ścianami statku jedynie Słońce i gwiazdy, przytłoczona jałowymi rutynowymi obowiązkami długiego lotu. Uciekła w głąb siebie, wykonując obowiązki jak na automatycznym pilocie, stroniąc od towarzystwa kolegów. Podejrzewała, że cierpią podobnie, ale chyba znaleźli sposób na tę sytuację; Gershon rozmiłowany w otaczającej go maszynerii, Stone opiekujący się roślinkami. Już myślała ze zgrozą o drodze powrotnej; oczami wyobraźni widziała ją jak groźną czarną barykadę.

Ale to była przyszłość. W tej chwili wyłaziła z nory ku ciepłemu ochrowemu światłu Marsa.

Kiedy się tylko dało, siedziała przy iluminatorze, wpatrując się w zbliżającą kulę, identyfikując miejsca, których nie widział przedtem gołym okiem żaden człowiek, jakby przypisywała sobie coraz więcej praw do Marsa.

Poniedziałek, 6 sierpnia 1984 roku Statek kosmiczny MEM 009, niska orbita okołozemska Kiedy zbliżała się chwila odpalenia silników, Bleeker włączył na małym przenośnym kaseciaku Born in the USA. Muzyka pochłonęła metaliczne trzaski i zgrzyty urządzeń MEM-a.

–Zbiorniki paliwowe układu lądowania pod ciśnieniem.

–Odebrałem – powiedział Gershon.

–Zawory lądowania otwarte, zamykające zamknięte. Kontrolerem łącznikowym był Ted Curval.

–„lowa”, tu Houston – powiedział. – Niecałe dziesięć minut według naszych obliczeń. Wszystko wygląda dobrze. Tylko przypominam. Przełącznik trybu pracy radaru w komputerze naprowadzania ma być taki jak na powierzchni planety numer 59... Zakładamy, że układ sterowania pracuje w trybie autopilot. – Stop, zresetować przyciski, zresetować fazę odrzucenia członu – powiedział Gershon.

Bleeker nacisnął swoje przyciski.

–Reset.

–Zalecamy kierować się wskazówkami PGNS – powiedział Curval. – Możecie odpalać zgodnie z harmonogramem.

–

–Odebrałem. Jesteśmy gotowi do startu...

MEM i Apollo unosiły się sto mil nad Ziemią. Gershon i Bleeker realizowali listę zadań przed odpaleniem silników. Apollo z pilotem modułu dowodzenia, Bobem Crippenem, był efektowną srebrną zabawką, widoczną na tle błyszczącego kobierca Ziemi, a MEM był wielkim lśniącym stożkiem. Przytłaczał Apolla, otoczony porzuconymi panelami osłony cieplnej oraz płachtami folii.

MEM 009 rozstawił szeroko sześć przysadzistych nóg ładowniczych. Ale nie miał wylądować.

Gershon stał w pasach obok Bleekera w ciasnej kabince członu wlotowego MEM-a. W pomarańczowym skafandrze czuł się za wielki, nieporadny. Przed sobą miał kwadratową tablicę przyrządów, wypełnioną po brzegi tarczami zegarowymi, przełącznikami i instrumentami pokładowymi. Każdy z dwóch członków załogi dysponował zestawem ręcznych urządzeń kontrolnych. Kolejne rozłączniki pokrywały ściany, a po podłodze biegły nagie wiązki przewodów i rur. Kabina miała dwa trójkątne iluminatorki po bokach głównej tablicy, z naniesionymi cieniutkimi siatkami, pomocnymi podczas lądowania na Marsie.

Niebieskie światło Ziemi padało przez iluminatory, rozlewając się na tablicach kabiny.

Za sobą Gershon miał trzy rozkładane fotele, użyteczne podczas dużych przyspieszeń, w tym dwa złożone. Podczas lotu połączonego z lądowaniem na Marsie, w kabinie miał być trzeci członek załogi, specjalista geolog, nie pełniący żadnych funkcji w trakcie jednorazowego lotu.

Wnętrze kabiny było użytkowe, funkcjonalne, z rzadka pomalowane, obnitowane.

Wiązki przewodów związano ręcznie, jak w jakimś domowym warsztacie. MEM był statkiem eksperymentalnym, efektem tysięcy roboczego-dzin rzemieślniczej cierpliwej pracy i opierał się na konserwatywnym projekcie, na urządzeniach sprawdzonych w działaniu. Ta rzucająca się w oczy zgrzebność konstrukcji kosmicznych najbardziej zaskakiwała ludzi przyzwyczajonych do ulizanej elegancji produkcji masowej. Nic tu nie przypominało scenografii Star Treka.

Ale w oczach Gershona był prawdziwy, niemal zwyczajny. Czuł się rozradowany samym faktem, że jest w kosmosie, więc myśli, iż ten – zbudowany ludzkimi dłońmi – statek wyląduje na Marsie, miała w sobie coś cudownego.

Oczywiście, tak długo, jak skurczysyn się słuchał.

–Dwie minuty – zapowiedział Curval. – Dokładnie dwie minuty do odpalenia. – Odebrałem – powiedział Bleeker. Wyłączył magnetofon. Zerkając na swoją tablicę przyrządów, Gershon spostrzegł, że człon wlotowy jest już pod napięciem, nie pobiera prądu z akumulatorów niższego członu. Po raz pierwszy miał stać się niezależnym statkiem kosmicznym.

W tym teście, symulującym start z powierzchni Marsa, cały niesamowity zespół MEM-a miał się rozczłonkować, oddzielając patykowaty człon wlotowy od przypiętych zbiorników paliwa.

Gershon wiedział, że inżynierowie Columbii i Marshalla najbardziej bali się tej chwili.

Pieprzona maszyna mogła wysiąść na tyle sposobów, że aż się słabo robiło. Na przykład, odpalenie silnika mogło nastąpić w momencie, w którym dysza wciąż jeszcze tkwiła w bebeczach członu ładowniczego MEM-a. Mogły cofnąć się gazy w przewodzie wlotowym, powodując nadciśnienie, zanim człon wlotowy uwolni się od reszty. I co wtedy? No cóż, niebawem mieli się przekonać, jak to wszystko działa.

–Sterowanie zgodne z PGNS. Strefa tolerancji minimalna, tryb sterowania auto.

–Auto – odpowiedział Gershon.

–Minuta – zapowiedział kontroler łącznikowy.

–Przełączyć sterowanie na odrzucenie członu. Gershon uzbroił mechanizm odpalenia.

–Dobra, przełącznik główny gotowy.

–Odebrałem.

–Pozwolenie wykonania manewru, „lowa” – powiedział Curval.

–Odebrałem. Gotowi. Bleeker odwrócił się do niego.

–Gotowy? – spytał.

–Jasne.

–Ten skurczysyn może dać nam kopa – przypomniał mu Bleeker. – Dobra, Ralph. Za

pięć sekund naciskam ODRZUCIĆ CZŁON i ODPALIĆ SILNIK. A ty naciskasz DALEJ. – Odebrałem.

–Jedziemy. Dziewięć. Osiem. Siedem. Sześć. Pięć. Za iluminatorkiem przed twarzą Gershona przesunął się lśniący niebieski horyzont Ziemi, skomplikowana trójwymiarowa rzeźba chmur nad oceanem.

Na monitorze przed Gershonem zapaliła się liczba: 99, pytanie, czy chce kontynuować

manewr. Spojrzał na Bleekera.

Bleeker przerzucił przełącznik główny.

–Odpalam silnik członu wzlotowego.

Gershon wcisnął przycisk DALEJ. Pod podłogą kabiny rozległy się głośnie huki i brzęki. Pirotechniczne gilotyny odcinały śruby, trzpienie, przewody, rury doprowadzające wodę, łączące człony MEM-a.

Gershon poczuł równomierny ciężar na ramionach. – Pierwszy człon wlatuje – powiedział Bleeker. – Lecimy. – Dodał z uśmiechem: – Pięknie.

Po nieoczekiwanym, niewiarygodnym przeniesieniu do załogi podstawowej, Gershon z radością przyjął lot próbny klasy D prim. Może jego pierwsza przejażdżka w kosmos nie miała być najbardziej efektowną i wyczynową fazą testów MEM-a – ta przyjemność miała przypaść misji klasy E, zakładającej sprowadzenie wzmocnionego MEM-a przez atmosferę Ziemi i posadzenie go na słonych równinach wokół Bazy Lotnictwa Wojskowego Edwards.

Zadanie przydzielono doświadczonej załodze Johna Younga. Ale misja klasy D prim, jedenastodnio-wa próbna przejażdżka po orbicie Ziemi, była niewątpliwie ważniejsza.

Niesprawdzony statek kosmiczny miał przejść każdą fazę misji na Marsa poza wejściem w atmosferę i końcowym lądowaniem na silniku; zakładano też sprawdzenie wielu procedur alarmowych, które mogły uratować przyszłe misje. Gershon i Bleeker oddalili się już setki mil od Apolla – w statku, w którym nikt do tej pory nie próbował przeprowadzić kosmicznego spotkania i który nie miał na tyle silnej osłony ablacyjnej, żeby wejść bezpiecznie w atmosferę Ziemi. A na dodatek cały lot miał przebiegać na niskiej orbicie ziemskiej, gdzie łączność i nawigacja stawiały przed załogą poważniejsze wyzwania niż, powiedzmy, podczas lotu na Księżyc. Udany lot zapewniłby MEM-owi status statku załogowego i do przepróbowania zostałyby tylko osłona ablacyjna. Gershon i Bleeker zaliczali lot dla koneserów, prawdziwych oblatywaczy.

A poza tym Gershon był szczęśliwy, że może zająć się pracą, zejść z oczu mediom, po tym, jak ogłoszono jego awans do załogi marsjań-skiej i pojawiły się nagłówki:

„Pierwszy

Murzyn w kosmosie, pierwszy czarny brat na Marsie”. Próbował sobie z tym radzić, ale napór mediów był bezpardonowy, nie pozwalał się skupić. Chociaż nie dotyczył jego. Bo jeśli by go ktoś pytał, to czuł się Ralphem Gershonem, nie czymś symbolem. I to mu wystarczało.

Jednakże misja miała wiele zasadzek; problemy piętrzyły się od samego początku. Wystąpiły już przed startem. Gershon widział, jak ludzie J.K. Lee rwą sobie włosy z głowy, przepychając statek kosmiczny numer 009 przez finalny przegląd przedstartowy w budynku montażu pojazdów kosmicznych na Przylądku. Momentami Gershon był przekonany, iż start w ogóle nie dojdzie do skutku. Potem, kiedy już znaleźli się na orbicie i otworzyli łącznik między Apollem a MEM-em, Gershon znalazł się w burzy włókna szklanego. Wyfrunęło z izolacji ściennej.

Gershon i

Bleeker spędzili pierwsze godziny w MEM-ie ściągając to gówno odkurzaczem, a kiedy

skończyli, było we włosach, w ustach, na rzęsach, tak że wyglądali jak parka niefachowo

oskubanych kurcząt.

Następnie musieli złączyć całego MEM-a, przeprowadzając całościowe testy podukładów. Każdy z tych cholernych testów stwarzał im problemy, trzeba było lokalizować awarie i sprawdzać, sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać. Na przykład, układ kontroli środowiska schronu powierzchniowego wydzieliał dziwny kwaśny smród. Po długich poszukiwaniach okazało się, że to powoli fajczy się kawałek izolacji za tablicą przyrządów. Układ zasilania elektrycznego miał kilka poważnych awarii, po prostu odcinał całe sekcje przyrządów. Układ sterowania inercyjnego zachowywał się jak świnia, przewalał się w swojej metalowej kuli, nieustannie tracąc orientację. A wielki układ anten MEM-a zaklinował się tak, że przez chwilę nie dało się rozmawiać z Apollem, ani z Ziemią...

Podczas tego wszystkiego stosunki na linii załoga-Ziemia uległy naprężeniu, bo kiedy siłowali się ze statkiem, Bleeker, pełniący rolę dowódcy, stawał się coraz bardziej uczulony na fakt, że Houston niechętnie reaguje na jakiegokolwiek sugestie pominięcia elementów naukowych i propagandowych – które, zdaniem astronautów były na samym końcu listy zadań, a już na pewno po celach czysto inżynierskich.

Tak więc Bleeker nieoczekiwanie stanął okoniem i wdał się w bitwę z kontrolerami lotu. Odwołał transmisję telewizyjną i skreślił całe fragmenty programu.

W pewnym momencie kontroler łącznikowy powiedział załodze, że kontrolerzy zamierzają posadzić moduł dowodzenia w tajfunie i Gershon podejrzewał, iż nie był to tylko żart.

W końcu miał tak serdecznie dość kłopotów, że wyjął z szaf żywnościowych, i zawiesił między trójkątnymi iluminatorami MEM-a, plastikową torebkę z sokiem cytrynowym, doskonale widoczną dla kamer pokładowych, żeby pokazać, co załoga myśli o swoim nowym statku*[Przyp tłum w USA cytryna symbolizuje partactwo.]. Słyszał teraz tylko brzęk kulowych zaworów silnika modułu wzlotowego. Ten hałas był dziwnie uspokajający, niósł poczucie bezpieczeństwa i świadomość, że misja rozwija się zgodnie z planem.

Ziemia odsunęła się od Gershona, w miarę jak człon wzlotowy wspinał się na miejsce spotkania z New Jersey, czekającym Apollem; lot przebiegał gładko jak jazda luksusową przeszkloną windą.

Gershon nie był przeciążony obowiązkami. Ponieważ silnik członu wzlotowego zaprojektowano bez rezerwy – musiał działać – urządzenie miało maksymalnie uproszczoną budowę i jedynie dwie ruchome części: zawory kulowe, wpuszczające paliwo i utleniacz do komory spalania. Napędzany tlenem i metanem silnik był także pozbawiony przepustnicy; wystarczyło tylko przerzucić przełącznik główny i włączyć zapłon, a silnik palił się równomiernie przez jakieś dziesięć minut, zgodnie z projektem unosząc załogę z Marsa na orbitę parkingową.

Gershon opadł na pasy. Za iluminatorem widział odpadający człon ładowniczy; okrojony stożek z wielkim wyżłobieniem w środku. Ciągnął za sobą odcięte gilotynami kable i przewody. Odpalenie silnika zerwało foliową izolację i teraz jej płyty oddalały się od członu ładownika jak kręgi na wodzie.

J.K. Lee stał w galerii MOCR, paląc jednego papierosa za drugim. Każdy obraz przesłany w ciągu ostatnich kilku dni z orbitującego MEM-a ukazywał wyraźnie plastikowy woreczek z sokiem cytrynowym, unoszący się pod teleskopem zestrajającym. Wiedział, że ten zjadliwy komentarz załogi, zapewne Ralpa, jest adresowany do niego. Ale to nie wytrącało go z równowagi ani nie gasiło uniesienia. Skądże! Pewnie, załoga szamotała się z różnymi problemami, ale tego można było się spodziewać; po cóż innego był ten lot testowy, jak nie po to, żeby wyłowić problemy? Tak szczerze mówiąc, Ralph Gershon sprawił mu drobny zawód, nie dostrzegając tej prostej prawdy. Ale dla Lee ważne było, że ogląda swój statek, tam wysoko na orbicie; usterki były nieistotne; to był jego statek, dostarczony terminowo, chociaż nie dawano mu żadnych szans. Przenikał go żar triumfu. Żeby dopiąć swojego, musiał walczyć ze wszystkimi – kierownictwem NASA, dostawcami,

astronautami, połową Columbii, nawet własnym zdradzieckim ciałem. Ale mu się udało i widomy znak spełnienia był teraz wysoko na orbicie, powiększony na ogromnych ekranach MOCR i w telewizorach na całym świecie. Co za zwycięstwo! To była cudowna chwila, której już nic nie miało dorównać, nawet ten moment, kiedy inne z maleństw J.K., wyklute w pomieszczeniu czystym w Newport, wbije nogi w kurz Marsa.

Pieprzona cytryna Ralpa nie robiła na nim żadnego wrażenia. Roześmiał się głośno, nie przejmując tym, że robi z siebie dziwo-wisko i wyjął kolejnego papierosa.

–Dwudziesta szósta sekunda – powiedział Bleeker. – Zaraz się trochę kiwniemy.

Idzie

jak po maśle, wszystko gra.

Gershon przygotował się na zmianę pozycji. MEM powinien teraz uznać, że osiągnął wysokość pięciu tysięcy stóp nad powierzchnią Marsa i zacząć unosić dziób, zgodnie z programem spotkania z resztą klastra na orbicie planety. Horyzont przechylił się w prawo.

Gershon już wcześniej czuł przeciążenie, teraz pasy mocniej we-rznęły mu się w ciało.

Zmiana pozycji nastąpiła dokładnie o czasie. Ale była głębsza i towarzyszył jej większy wstrząs, niż Gershon oczekiwał.

Przechylił rósł; pokrywa chmur za oknem przekoziółkowała już o dziewięćdziesiąt stopni.

–Co jest, kurwa?! – krzyknął Bleeker.

Jesteś na fonii, Adamie – przypomniał mu Ted Curval. „Tamci nie wiedzą, co się dzieje” – uświadomił sobie Gershon. Lśniący pejzaż przesunął się nad jego głową, cienie przemknęły po tablicach rozłączników. Opary tryskające z silniczków RSC zamigotały za iluminatorem.

Ale stery automatyczne nie odzyskały kontroli. Szli coraz szybszym korkociągiem. – Jezu – powiedział z goryczą Bleeker. – Kontrolę szlag trafił. Za chwilę oślepnę.

Gershon zdał sobie sprawę, że Bleeker ma rację; wpadli w orbitalny korkociąg.

Niebawem MEM fikał pełnego kozła co sekunda i Ziemia tylko migotała za oknami.

Światło Słońca migotało w kabinie, wzmagając poczucie dezorientacji. Obrazy w

polu widzenia Gershona zaczęły się zacierać, kiedy spojrzął na tablicę z instrumentami pokładowymi. „Czas zarobić na tę przejażdżkę, chłopcze” – pomyślał.

Zaczął przerzucać przełączniki, próbując metodycznie wyizolować awarię. Może to silnik kontroli pozycji uległ zablokowaniu; nim Gershon zajął się najpierw. Z każdą chwilą nasilała się groźba całkowitej blokady układu naprowadzania; musiał odzyskać kontrolę ręczną, zanim to nastąpi.

Zaczął pracować klastrami RSC, używając Ziemi jako punktu odniesienia; działał silniczkami przeciwnie do kierunku obrotu członu wlotowego, żeby ustabilizować lot.

Przez jakiś czas obroty były coraz szybsze, jakby silniki RSC w ogóle nie oddziaływały na człon. Gershon zaczął odczuwać zawroty głowy i mdłości. Również

Bleeker

przerzucał w szaleńczym tempie wyłączniki. W razie gdyby nie odzyskali panowania nad

MEM-em,

groziło im zemdlenie i nawet gdyby statek się nie rozleciał, to i tak Apollo nie byłby w stanie połączyć się z wirującą lową.

W końcu udało się im wyłączyć układy sterowania, zarówno podstawowy jak i oddzielenia od układu ładowniczego. Kiedy klastry RSC nie musiały już walczyć z pilotami automatycznymi, powoli zwalniały wirowanie.

Gershon musiał rozejrzeć się po otoczeniu, żeby ocenić, czy człon odzyskał stabilność, korkociąg chwilowo na dobre załatwił mu błędnik. – Jezu – westchnął Bleeker. Mówił tak, jakby każde słowo kosztowało go sporo wysiłku. Mało nie zwymiotował do hełmu. – Miałeś rację, Ralph. Ten statek to wóz drabiniasty.

Gershon nie odrywał wzroku od ziemskiego horyzontu. Zawroty głowy powoli ustawały.

–Nie – powiedział. – Wóz drabiniasty będzie cię długo wiozł, ale dowiezie. Ten skurczysyn jest po prostu niebezpieczny.

Curval przekazał im z Ziemi, że Bob Crippen już skierował swojego Apolla z wyższej

orbity i leci ich zabrać.

Sierpień 1984 roku Houston, Newport Beach

J.K. Lee płatał się po MOCR do końca misji, do chwili, w której załoga Bleeker powróciła na Ziemię w module dowodzenia. Art Cane czekał na niego przy budynku numer 30.

–Art! – zawołał Lee i radośnie uśmiechnięty podszedł do szefa. – Nie wiedziałem, że przyjedziesz.

Cane stał w koszuli z krótkimi rękawami w parnym zaduchu Houston i wyglądał jak wiekowe, odarte z liści drzewo... – Nie zamierzałem przyjeżdżać. Wsiadaj do samochodu, J.K.

Wspomniany samochód to była wynajęta przedłużana limuzyna z barkiem. W środku panował przyjemny chłód, ulga po upalnym dniu. Lee wsiadł i zapalił papierosa. Cane skinął szoferowi i samochód ruszył płynnie przed siebie.

Lee zmierzył wzrokiem Cane'a.

–Takie ekstrawagancje to nie w twoim stylu, Art – zauważył. Cane wzruszył ramionami i rozluźnił krawat.

–Jestem starym człowiekiem, J.K. Co mogę powiedzieć? Nie daję rady w tym teksaskim upale, muszę mieć klimatyzację. – Złożył starannie marynarkę na kolanach, a następnie położył na niej ręce. – No, więc tak, J.K. Wiesz, pod jaką byliśmy presją.

–Pewnie.

–Ten cholerny przegląd „zespołu tygrysa”. A potem CARR 009, opóźnienia w transporcie ptaszka na Przylądek i te kłopoty z felernymi zbiornikami paliwa. A teraz to zamieszanie na orbicie.

–Ale wszystko zostało rozwiązane, Art. – Lee zachłystując się, opisał, jak problemy z utratą sterowności zostały już zlokalizowane i przypisane złemu oznaczeniu przełącznika w kabinie MEM-a. – ...Kiedy odpalił silnik członu wlotowego, przekaźnik zasygnalizował układowi sterownicemu, że powinien szukać modułu dowodzenia i kierować się na niego, jak podczas połączenia awaryjnego. Ale, oczywiście, Apollo był wtedy kawał drogi dalej. – Roześmiał się. – No i MEM zaczął się obracać, szukając za wszelką cenę kochanego modułu dowodzenia...

Cane uniósł dłoń. Skórę miał tak luźną, że wyglądała jak łapka oskubanego kurczaka.

–No – powiedział. – Ale to nie była wina załogi, no nie? Chodzi mi o to, że oni ustawili ten przełącznik jak należy. To myśmy go źle opisali. Więc to był nasz błąd, nie ich. – Pokręcił głową, wychudły i stary. – Jezu Chryste, J.K., jak, do diabła, mogłeś pozwolić na wypuszczenie czegoś takiego z fabryki? Tamci goście mogli się zabić. – Och, daj spokój, Art. To nie było nic poważnego. Naprawi się migiem. Wszystkie nasze usterki były trywialne. Po to jest lot próbny, żeby zlokalizować usterki. Teraz mogę zabrać dokumentację lotu D prim, zapisy rozmów z załogą i wyniki testów do Newport Beach i migiem naprawi się, co trzeba. – Po locie swojej maszyny czuł się pełen entuzjazmu, energii, jak nowo narodzony. – Teraz musimy ustanowić nowy rekord. 009 będzie miał najmniejszą liczbę usterek ze wszystkich statków kosmicznych dostarczonych na Przylądek. Do diabła, czemu nie? Tworzymy historię, Art. Jak mam już D prim za sobą, to następna będzie...

- Posłuchaj mnie, J.K. – przerwał

mu Cane. – Nie rozumiesz

–
 pewnych rzeczy w tym interesie. Ja nie mówię o konkretnych usterekach. Mam na
 myśli... – Zakreślił łuk w powietrzu. – Efekt kumulacyjny. To wytrąciło Lee z

równowagi,

choć nie znał określenia.

–Kumulacyjny?

–Sprawy się nakładały, jedna na drugą. Chodzi o coś takiego, jak wizerunek. Było
bardzo wiele komentarzy. Porównywano urządzenia Programu Apollo... sprawdzone
urządzenia, które działały bez zakłóceń i zapewniły astronautom bezpieczny powrót
na Ziemię... i MEM-a, który sprawił tyle kłopotów. Wciąż słyszę głosy: „Może jednak
powinno się podpisać kontrakt z Rockwellem”. Kiedy słyszysz coś takiego, to już cię
nie ma, nie masz się co spinać. Nawet nie ma co naprawiać konkretnych usterek. To
na nic. Siedzisz w bagnie po szyję, a najróżniejsze pytania zaczynają się sypać jak z
rękawa. Zaczyna się podważać kompetencję mojej firmy. – W słabym głosie Cane’a
słychać było bezradność i gniew. – Kiedy już raz zdecydują, że jesteś gównem wart,
nie ma cię. – Odwrócił się do Lee; smutek i gniew zmięły mu twarz, załamane oczy
lśniły. – I tak właśnie zdecydowano na nasz temat, J.K.

NASA, Kongres, prasa uznali, że jesteśmy gównem wari. Że ja jestem gównem wart.

Ból w tych słowach dosięgnął Lee.

–Och, Chryste – jęknął. – Art, nie jest tak źle.

–Wiesz, że mówią o podpisaniu kontraktu z kim innym. – Nie mogą tego zrobić –
powiedział z energią Lee. – Sam to wiesz. Musieliby całkiem zrezygnować z
harmonogramu.

Gniew Cane’a rósł.

–Mówią o przyznaniu zlecenia Aerojetowi, Boeingowi, McDonnellowi, Martinowi i
może sprowadzeniu do Newportu menedżerów Rockwella... Lee się roześmiał.

–Stara śpiewka.

–To żaden pieprzony żart, J.K. – warknął Cane. – Może NASA tego nie robi. Może nie jest w stanie. Ale mówi się o tym. I w tym rzecz. Do cholery, czy ty tego nie rozumiesz?

NASA chce nam udowodnić... i Kongresowi, i prasie... że traktuje to wszystko śmiertelnie poważnie. W NASA już poleciały głowy. Wiedziałeś o tym? Głowy facetów, którzy zamiast mieć na nas oko, trzepali kapucyna. – Jednym tchem wyrzucił z siebie listę nazwisk, ludzi z Marshalla i Houston.

–

–No, ale pomyśl, Art, ci faceci to głównie typy z za biurka. To, czy zostaną, czy polecą, nie robi najmniejszej różnicy. Liczą się inżynierowie. Sam to wiesz. – To co wiem, się nie liczy. Nie rozumiesz tego, J.K.? Oni demonstrują w ten sposób swoje opinie. Tobie może wydawać się abstrakcyjne, że to wszystko tylko gra, ale wierz mi, w Kongresie traktują rzecz poważnie. Teraz kolej na nas. Nie możemy nie zareagować.

Musimy wykonać jakiś gest.

Nagle z Lee opadła cała euforia. W jednym błysku zrozumienia pojął, co Cane zamierza powiedzieć.

–Och, Chryste, Art. Och, nie. Nie możesz tego zrobić. Cane położył długie palce na ramieniu Lee.

–Wybacz, Lee. Nie mam wyjścia, muszę to zrobić. Widzę opóźnienia i przekroczenia budżetu. Potknięcia w produkcji. Lot próbny okazał się fiaskiem. Do tego, cholera, fiaskiem, za które mało nie zapłaciło życiem dwóch ludzi. Lee patrzył na tył ostrzyżonej po wojskowemu głowy kierowcy, na drogę numer jeden NASA, biegnącą za oknem samochodu. Próbował się skupić na tym, co tu i teraz, zapachu skórzanej tapicerki, chłodzie klimatyzowanego wnętrza. Ale czuł się odrętwiały, jakby był w jakimś skafandrze, jak Adam Bleeker i jego załoga. – Mało nie zapłaciłem życiem za to cholerne przedsięwzięcie, Art. – I moim małżeństwem – dodał w myślach. – Wiesz, jak blisko mety jesteśmy, no nie? – Tak, J.K., ale...

–Tak blisko. – Podniósł dwa palce rozsunięte na ułamek cala. – I to ja cię tu dociągnąłem. Cała cholerna koncepcja, projekt MEM-a oparty na starym Apollu, wszystko to było moje, Art. I to ja stałem z batem nad ludźmi. Od samego początku. Zbudowaliśmy ten statek i to będzie najlepsza maszyna, jaka kiedykolwiek poleciała w kosmos. A ty ściągasz mnie z siodła, tylko dlatego że jakaś banda waszyngtońskich opierdalczy i nierobów, którzy nie potrafiliby znaleźć własnej dupy, nawet gdyby się macali dwoma rękami... – Kończ, J.K.

–Kto ma mnie zastąpić? Bob Rowen? Może Jack Morgan? Albo... – Nie. Nikt z

wewnątrz. J.K., zdecydowałem, że jeśli mamy cię zastąpić, to potrzebujemy kierownika programu, jak się patrzy. Gościa z górnej półki, który by mógł ci dorównać...

–Kto to? Komu dajesz moją robotę? Cane odwrócił wzrok.

–Gene’emu Tysonowi.

Lee wybałuszył oczy na Cane’a, a potem wybuchnął śmiechem. Tysonowi, przyłizanemu tłustemu zastępcy prezesa Hughesa, który go wyśmiał, kiedy Lee walczył o

kontrakt na budowę MEM-a.

–Gene’emu Tysonowi. Nabijasz się ze mnie?

–Gene to świetny inżynier i porządny człowiek.

–Jasne, Art. Ale to nie... Cane spojrzał na niego.

–Co nie? Nie „J.K. Lee”?

–Tak jest, do cholery. Zresztą to na nic. Moi ludzie nie będą z nim pracować.

Oni by

mnie nie...

„Zdradzili” – dodał w myślach.

Cane zakaszłał i znów uciekł wzrokiem.

–Tyson już się zgodził wziąć tę robotę – powiedział. – I rozmawiałem z twoimi ludźmi.

–Co... nabijasz się ze mnie...

–Z Morganem, Xu, Lye, Rowenem i...

–I poszli na to?

Cane wzruszył ramionami.

–Nie powiem, żeby skakali do góry z radości. Ale... „Ale przyjęli to do wiadomości” – dokończył za niego w myślach Lee. „I sukinsyny nawet słowa mi nie powiedzieli”.

–Posłuchaj mnie, Art. Nie rób tego. Mamy świetny statek. I świetne umiejętności.

Musimy tylko wyszlifować parę elementów i wracamy na kurs, wracamy do takiej samej roboty, którąśmy się zajmowali do tej pory, aż dolecimy na Marsa. Nie trzeba żadnych ulepszeń, Art. Naprawdę w to wierzę.

–Wiem, że ty w to wierzysz. – Teraz głos Cane’a był twardszy, zimniejszy. – Rzecz w tym, że nie zostało wielu ludzi, którzy by się z tobą zgodzili. Lee poleciał do domu i powiedział Jennine, co się stało. Poczul ukłucie gniewu, urazy.

–Pewnie jesteś zadowolona. Pewnie to dla ciebie dobra wiadomość. Jej zmęczona, obwisła twarz nie objawiła irytacji.

Och, J.K. – westchnęła Jennine. Podeszła do niego i uściskała go. Po chwili poczuł, że napięcie go opuszcza, i uniósł ręce, żeby ją objąć. Nazajutrz pojechał do zakładu. Zaparkował T-birda na stałym miejscu parkingowym, jakby nigdy nic.

Bella siedziała za swoim biurkiem, cała we łzach. Tylko uścisnął jej ramię. Bał się, że kiedy otworzy usta, głos mu zadrży.

Czekali na niego w gabinecie, ustawieni w rządę przed starym metalowym biurkiem:

Morgan, Xu, Lye, Rowen. Mieli nietęgę miny i nikt nie potrafił spojrzeć mu w oczy.

W gabinecie unosiła się woń mdląco-słodkiej wody kolońskiej i zatęchłego dymu tytoniowego.

Za biurkiem stał Gene Tyson.

Lee podszedł prosto do niego i uścisnął mu dłoń. – Gratulacje, Gene. Art bardzo w ciebie wierzy. Dostałeś robotę jak cholera, ale masz tu najlepszych ludzi w naszym przemyśle i wiem, że dasz radę. Tyson odwzajemnił uścisk.

–Będę miał się na kim wzorować – powiedział z nieudawanym przekonaniem. Wielka mięsista twarz była pełna powagi. – Oczywiście, będę potrzebował twojego wsparcia podczas przekazania zadania. J.K... – Rozejrzał się po gabinecie. – Nie musisz się stąd wyprowadzać. To niekonieczne. Chodzi mi o to, że... – Nie. – Lee uwolnił się z uścisku miękkiej dłoni. Palce miał mokre od potu tamtego.

–Nie, dobrze jest, Gene. Daj mi tylko dzień, żebym się wyniósł.

–Oczywiście.

Następnie Tyson zdobył się na akt wielkoduszności i opuścił pomieszczenie.

Po jego wyjściu gabinet wydał się pusty, niepotrzebny. – Do cholery, J.K. – powiedział nagle Bob Rowen i jego wielka twarz pod siwym jeżem, okrągła jak księżyc w pełni, nagle zmięła się niepokojąco, jakby miał zalać się łzami. – Nie chciałem, żeby to tak wyszło. Wiesz sam. Ten MEM to twój statek. Lee wziął go za ramiona i potrząsnął łagodnie.

–No cóż, teraz jesteś na boisku, chłopie, i wysoka piłka leci prosto na ciebie

–

powiedział cicho. – I tak mi się widzi, że w naszym przemyśle nie ma takiej drugiej pary rąk, która lepiej nadawałby się do tego, żeby ją przejąć. – Wiele przeszliśmy razem, J.K. Od samego starego B 70.

–Chryste, przecież nie lecę jutro na Marsa. Będę w fabryce przez większość

czasu. –

To była prawda, Cane zaproponował mu pracę w nadzorze, gwarantując posadę i rangę

wiceprezesa. – Wiecie, że kiedy tylko będziecie mnie potrzebować, wystarczy podnieść

słuchawkę.

W końcu Bobowi stanęły łzy w oczach.

–Wiem, J.K. O, Jezusie.

Lee czuł, że lada chwila też się rozklei. „Kolejna próba niszcząca” – pomyślał. Cofnął się i klasnął w dłonie. Hałas sprawił, że wszyscy w końcu spojrzeli na niego.

–Dobra, chłopaki. Macie robotę. Więc bierzcie się za nią. Jego ludzie próbowali się pożegnać, wygłosić jakieś przemówienia żałobne. Wygonił ich z gabinetu.

Kiedy odeszli, stał chwilę bez ruchu, patrząc na wielkie biurko. Wyglądało jak kawałek trafionego pancernika, unieruchomionego na środku obojętnej, niebiesko-szarej

wykładziny.

Nagle poczuł, że dłużej nie wytrzyma.

Wyszedł, zamykając drzwi za sobą. Poprosił Bellę, która otwarcie szlochała, żeby spakowała jego rzeczy i wysłała na adres domowy. Na dworze czekał Jack Morgan.

–Ruszamy – powiedział. – Przyda mi się dzień wolny. Jedźmy do Balboa Bay i napijmy się Lemon Hart.

To wyglądało na świetny pomysł. Ale nagle w środku parkingu coś ostudziło zapał Lee, jakby znalazł urwaną nić.

–Nie – powiedział. – Dzięki, Jack, ale nie.

–Proszę...? – W głosie Morgana pojawił się zawodowy lekarski niepokój połączony

z

osobistym zaskoczeniem.

Lee uśmiechnął się szeroko.

–Nic mi nie jest. Chodzi tylko o to... Morgan klepnął go w ramię.

–Nie zwracaj sobie tym głowy. Następnym razem, co?

–Jasne.

Lee podszedł do T-birda. Miał wrażenie, że Morgan go zrozumiał. „Chodzi tylko o to, że chyba powinienem pojechać do domu, do Jennine” – pomyślał. Poniedziałek, 13 sierpnia 1984 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston Ubrany w niebieski dres Bleeker siedział na wąskim tapicerowanym krześle po drugiej stronie biurka Muldoona. Duże jasne oczy astronauty zawsze wydawały się Muldoonowi pełne spokoju. Jak okna kościoła. Ale teraz wokół tych oczu pojawiły się zmarszczki, a z twarzy uciekł ostatni ślad rumieńca.

Kiedy przemówił, głos miał ściśnięty, ale opanowany.

–Więc powiedz mi, Joe. Zrobiłem coś nie tak jak należało? – Nie. Oczywiście że nie. Wiesz o tym. – Muldoon poklepał brązową tekturową teczkę. – To tylko lekarskie gówno... Słuchaj... Chcesz się napić? – Wyciągnął dolną szufladę szafki. – Mam tu butelkę bimberku i...

–Nie, dzięki, Joe. Powiedz mi po prostu, dobrze? Muldoon otworzył teczkę. Zawierała wstępne wyniki badań Bleeke-ra po misji klasy D prim. Zaczął przerzucać wykresy metabolizmu, karty napromieniowania, podpisane formularze i całą resztę, zastanawiając się od czego zacząć. – Do diabła, Adam. Wiesz, jak to jest z lekarzami.

Wychodzisz od nich i wyrok może być tylko dwojaki: jest świetnie albo...

–Jesteś uziemiony. I ja zostałem uziemiony. To masz zamiar mi powiedzieć, Joe?

–

Muldoon zniecierpliwiony uderzył w teczkę.

–Adam, spędziłeś diabelnie dużo roboczogodzin w przestrzeni, na Skylabie, Moonlabie i teraz podczas D prim... – Bleeker pochylił głowę. – Po prawdzie, to jedna z głównych przesłanek kwalifikujących cię na Aresa. Zgadza się? Wiemy, że poradzisz sobie z misją dalekiego zasięgu, bo już to pokazałeś. I masz doświadczenie z MEM-em, nową techniką... Ale wiesz, że za długie przebywanie w kosmosie trzeba płacić. I twój czas zapłaty przyszedł.

–Więc o co chodzi? O spadek masy mięśniowej? – Po raz pierwszy Bleeker okazał drobny niepokój. – Czy o coś z sercem?

–Nie – zaprzeczył szybko Muldoon. – Na ile potrafię zrozumieć ten bełkot, z

twoim

sercem wszystko gra. Adam, zawsze świeciłeś przykładem, jak chodzi o reżim

ćwiczeń. Po

każdym locie miałeś tylko nieznaczny spadek masy mięśniowej i szybko dochodziłeś

do

formy.

–Więc co to jest? Odwapnienie?

–Nie to. Adam... chodzi o napromieniowanie.

–Trzymam się normy – powiedział szybko Bleeker. Muldoon stłumił westchnienie. – Tak. Ale w twoim wypadku normy się zmieniły, przyjacielu. Trzeba to oddać lekarzom, że się uczą; nadal nie wiedzą za dużo o skutkach długookresowego słabego promieniowania, ale wciąż dowiadują się o nowych zagrożeniach organizmu...

Słuchaj, co

wiesz o wolnych rodnikach? – Bleeker zmarszczył czoło. – Wolne rodniki to

kawałki molekuł

– tłumaczył Muldoon. – Wysokoenergetyczne. Jak jony... tyle że z jeszcze większą energią. Są

silnymi utleniaczami, co znaczy, że przepadają za wodorem. Nawet wrywają atomy wodoru

z pobliskich molekuł. I mogą spowodować chaos, jeśli zaczną buszować w twoich komórkach. Tak się składa, że wszyscy mamy w ciele wolne rodniki. Są niezbędne do

metabolizmu. Ale jest równowaga. Twoje ciało produkuje wolne rodniki, absorbuje je i

wszystko trzyma się kupy. Ale jeśli jesteś wystawiony na mocne promieniowanie, na światło

albo ekstremalne temperatury...

–Wtedy wolnych rodników przybywa.

–Zgadza się. Równowagę szlag trafia. – Muldoon znów zajrzał do wyników. – Te maleństwa się mnożą. A osiągają równowagę energetyczną, kradnąc elektrony sąsiadom. Ale wtedy ci z kolei zamieniają się w wolne rodniki. Ciało ma układ odpornościowy zwalczający te sprawy, ale może zostać pokonany lub unieszkodliwiony. I wtedy uszkodzenia rosną, zależnie od tego, co cię dopadnie. Promieniowanie może doprowadzić do raka, jeśli podstawa DNA jest zniszczona; jeśli białko jest zniszczone, twój organizm traci panowanie nad swoimi funkcjami, a jeśli błony lipidowe popękały, możesz dostać wewnętrznych krwotoków.

Bleeker nie znał określenia.

–”Błony lipidowe”, Joe? – spytał.

Muldoon starał się udzielić odpowiedzi prostym językiem; mówił o tym, że wolne rodniki mają wpływ na starzenie się, wywołują różne odmiany raka, niszczące choroby serca, wątroby i płuc, że w warunkach nieważkości ich przyrost prowadzi do innych problemów, na przykład zakłócenia mechanizmu równowagi ucha wewnętrznego, degeneracji kości... – Słuchaj, Adam, zostawiłeś kiedyś masło na

słońcu? Bleeker się zastanowił.

–Zjełczało.

–No i masz. To wpływ działania wolnych rodników. Bleeker nie odrywając oczu od Muldoona, zaczął poprawiać mankiety mechanicznymi, oszczędnymi ruchami. Astronautę zawsze cechowały wewnętrzny spokój i równowaga. Muldoon podejrzewał, że to dzięki temu przetrzymał tę całą zawieruchę wokół katastrofy Apolla-N.

Może psychologowie mieli rację, że brakuje mu wyobraźni. Ale teraz na oczach Muldoona rosło w Bleekerze napięcie, skrywane pod powierzchnią. Jak zareaguje na to, co zaraz padnie, na najgorszą wiadomość życia?

–Słuchaj, Adam. Musisz zrozumieć. Nie jesteś chory. To tylko dlatego, że zawężono normy po badaniach wolnych rodników. To dotyczy wszystkich. Masz za sobą długie przebywanie w przestrzeni, więc okazało się, że wykraczasz poza normę. Gdyby ta sprawa z wolnymi rodnikami wyskoczyła kilka miesięcy wcześniej, pewnie zostałbyś też skreślony z D prim. Słuchaj, możliwe, że te wolne rodniki coś ci zrobiły. A możliwe, że nie.

Albo...

–Sprawdziłem się w kosmosie i na Ziemi, Joe, masę razy. Spójrz tylko, jak się spisałem podczas D prim. Zasłużyłem na tę cholerną wyprawę.

–

–Wiem o tym, ale...

–I wiem, jak wyglądają wyniki badań. Lekarze mówią o ryzyku. O możliwościach i procentach. Nic na pewno. A poza tym, to nielogiczne. Załoga Aresa spędzi w przestrzeni o wiele więcej czasu niż mi się uzbierało.

–Ale zaczyna z niższego pułapu, Adamie. Nawet Phil Stone.

–Joe, mnie ryzyko nie obchodzi. Chcę lecieć bez względu na wszystko.

–Nawet gdyby miało cię to kosztować życie?

–Nawet wtedy.

Bleeker uniósł głowę i Muldoon widział te duże oczy jak kościelne okna, spoglądające na niego otwartym, szczerym, zdecydowanym spojrzeniem. „Muszę je zniszczyć tu i teraz” – pomyślał Muldoon. „Muszę go pozbawić nadziei.

Wszelkiej nadziei”.

Nie zamierzał mu opowiadać pod jaką był presją – ze strony lekarzy misji, nawet ze strony samego dyrektora Josephsona. Nie zamierzał się za nikim kryć. – Nie w tym rzecz, Adamie – powiedział, usiłując wykrzesać stanowczy ton w głosie. – Nie mogę ryzykować, że zachorujesz w połowie drogi na Marsa. Nie mogę ryzykować, wysyłając cię. Bo byłbyś zagrożeniem misji.

Bleeker się uśmiechnął. Policzki drgnęły mu nieznacznie jeden raz. Następnie podniósł się sztywno, nadal obciągając mankiety. – Doceniam, że tak to załatwiłeś, Joe.

–Och, rany. Na miłość boską, nie musisz być dla mnie uprzejmy. Adamie, jeszcze pogadamy. Wiesz, że teraz będziesz mi potrzebny. Nie mamy wiele czasu na uporanie sobie z tą sytuacją. A później... do diabła, tu, na Ziemi, człowiek wciąż może wiele osiągnąć. – Roześmiał się trochę wymuszenie. – Spójrz tylko na mnie. Wciąż jesteś w drużynie, Adamie.

–Jasne. Znam swój obowiązek, Joe. Zrobię wszystko, co będzie trzeba. „Żeby szlag trafił tę robotę” – pomyślał Muldoon. „Oto najbardziej kompetentny człowiek w Wydziale, a ja muszę go wywalić”.

–No. Wiem, że zrobisz. Bleeker się odwrócił.

–Przy okazji. Kto mnie zastąpi? Już zdecydowałeś? Joe Muldoon się zawahał. Jego uregulowany system rotacji załóg rozsypał się już po odstawce Curvala, a teraz lekarze dołożyli swoje z Adamem. Ogarnął go idiotyczny gniew na lekarzy, menedżerów, psychologów i tę całą resztę, która wydzieriała mu decyzje kawałek po kawałku. Już porozmawiał z Philem Stone'em, dowódcą Misji Ares. Stone bronił Bleekera do upadłego. Ale kiedy pogodził się z tym, że Bleeker jest skreślony, zaskoczył Muldoona. Nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, kto powinien zająć wolne miejsce.

–No cóż, Joe, musisz wybrać najlepszego specjalistę – powiedział. – Mającego

największą wiedzę, znacznie większą niż Adam, to pewne. I najbardziej

zaangażowanego,

takiego, który spędził masę czasu w symulatorach i był wszędzie tam, gdzie

załoga

podstawowa. I...

–Co?

–I kogoś, kto patrzy inaczej na świat, na tę misję, niż my, tacy starzy kowboje, jak ja i ty. Z innej perspektywy. Może kogoś, kto potrafiłby lepiej to wyrazić... – Choćby miał lecieć pierwszy raz, Phil?

–Do diabła, tak, Joe. Choćby miał lecieć pierwszy raz. Wtedy Muldoon niespodziewanie się uśmiechnął. Wiedział, że kandydat, o którym mowa, spędził wiele czasu ćwicząc z Ralphem Ger-shonem w MLTV-ie, różnych symulatorach i na treningach przetrwania. Fakt, to był tylko zbieg okoliczności, gdyż oboje byli outsajdera-mi. Niemniej jednak udowodnili, że umieją razem pracować, choćby nie było im pisane zostać przyjaciółmi od serca.

„Ci cholerni psycholodzy dostaną szału, kiedy się dowiedzą, że będą mieli dwóch narwańców i tylko jednego spokojnego gościa, Phila Stone’a, który w razie czego ich rozdzieli...” – pomyślał. „No i bardzo dobrze”. – Tak – powiedział Bleekerowi. – Tak, już zdecydowałem. Ale, Adamie...

–No...

–Ona jeszcze o tym nie wie.

Poniedziałek, 13 sierpnia 1984 roku

Ramada Inn i NASA, Houston

Władimir Wiktorienko zdjął już buty i teraz pociągał słodową whisky z minibaru wypełnionego szczeniaczkami. Siedział w Houston, zajęty kolejnymi etapami przygotowań

do Programu Ares. Słuchał wiadomości lewym uchem i zastanawiał się, co zrobić z resztą wieczoru.

Spikerka – młoda kobieta oszałamiającej urody – powiedziała, że właśnie ogłoszono skład załogi Aresa.

Wiktorienko zakrztusił się i upuścił buteleczkę.

Usiadł prosto, ocierając alkohol z warg. Miał wrażenie, że się przesłyszał. Ale nie; oto ujrzał zdjęcie samej Natalie. Siedziała na nijakim tle, patrząc fotografowi nad ramieniem i nerwowo ścisnęła przestarzały model dwustożkowego MEM-a. Podniósł słuchawkę i wybrał numer York.

–Maruszka! Właśnie się dowiedziałem! Lecisz na Marsa! Głos York był płaski i pozbawiony emocji.

–To nieprawda.

–Co? Ale widziałem wiadomości...

–No. Jak też. Ale nie mam żadnej wiadomości z NASA. Dopóki do mnie nie zadzwonią, nic nie wiem.

Wiktorienko ruszał ustami jak ryba na piasku. „Lecisz na Marsa!” – huczało mu w głowie. „Powinnaś śpiewać, tańczyć!”. Milczenie w słuchawce się przedłużało. – Maruszka? Jesteś sama?

–Uhm.

„Oczywiście” – dodał w myślach.

–Czy pozwolisz, że przyjdę i będę ci towarzyszył, aż dostaniesz telefon? Może

będzie ci różniej.

–Jeśli masz ochotę. Nie musisz. Świetnie się czuję, Władimir.

–Oczywiście.

Odłożył słuchawkę, zgarnął pół tuzina szczeniactków z barku i wybiegł z pokoju.

York siedziała sama na kanapie w wynajętym mieszkaniu. Miała włączony telewizor.

Była ubrana w sportową koszulę i spodnie. Na ścianach pokoju dziennego przypięła stare

zdjęcia z Marinera, a mały stolik był cały zarzucony niedokończonymi materiałami

i

opracowaniami na temat właściwości powierzchni jakiegoś zapomnianego przez Boga

i ludzi

regionu Marsa.

Wiktorienko wpadł do mieszkania.

–Masz prezencik. – Wyjął z kieszeni buteleczki i ustawił je rzędkiem na telewizorze.

–To po co?

–Dla ciebie, kiedy dostaniesz dobrą wiadomość. A może złą. Usiadł obok i wziął ją za rękę, po czym razem patrzyli w telewizor, nie odzywając się do siebie. Początkowo trzymała się sztywno, ale po chwili przytuliła się do niego i czuł zimny pot na jej dłoni.

Zadzwonił telefon. Wiktorienko drgnął.

York odczekała kilka dzwonków. Następnie wysunęła dłoń z uścisku Rosjanina i podeszła do aparatu. Ruszała się powoli, precyzyjnie odmierzonym krokiem, jakby miała na sobie niewidzialny skafander.

–Tu York. – Usłyszał, jak odetchnęła cicho. – O, cześć, mamó. Nie. To nieprawda. No, może. Znam tylko wiadomości z telewizji, tak jak ty. NASA do mnie nie dzwoniła. Dopóki tego nie zrobi... Nie, nie sądzę, że powinnam do nich dzwonić. Wiedzą, gdzie jestem. Będę po prostu czekać, aż... tak, może powinnas się rozłączyć, mamó.

Zadzwoń, jak tylko się dowiem. Pa. Tak, ja też. Pa.

Odłożyła słuchawkę. Odwróciła się do Wiktorienki i wzruszyła ramionami. W telewizji leciała powtórka jakiegoś wiekowego sitcomu; Wiktorienko miał kłopoty ze śledzeniem błyskawicznych dialogów, a strona wizualna była żalosna i nieśmieszna.

York siedziała w milczeniu, lekko drżąc. Chyba nawet nie mogła się skupić na programie.

Zadzwoił telefon. Znow wstała.

–Tu York. Tak jest. – Umilkła na długo. – Tak jest. Dziękuję. Zrobię wszystko, na co będzie mnie stać. Jasne. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę. Wiktorienko bał się puścić parę z ust. York podeszła do telewizora, z którego wciąż dolatywały sztuczne śmiechy, towarzyszące idiotycznemu programowi. Sięgnęła po jedną

z buteleczek, odkręciła zakrętkę, cisnęła w głąb pokoju i wypila duszkiem zawartość.

Wiktorienko nie mógł spokojnie wysiedzieć. Zerwał się na równe nogi i jedynym susem dopadł York. Złapał ją za łokcie.

–No i...? No i, Maruszka?

Spojrzała na niego bezbrinnie spod tych przedziwnie gęstych brwi.

–To prawda – powiedziała. – Wład, to prawda. Dzwonił Joe Muldoon. Wiktorienko chciał tańczyć, krzyczeć, porwać ją w ramiona i okręcić się w kółko...!

Ale ona tylko stała, patrzyła na niego i bawiła się pustą buteleczką. Więc powiedział sobie w duchu, że zachowa spokój i dostosuje się do niej. Zadzwoiła do matki. Potem zaproponowała, żeby trochę poczekali, na wypadek kolejnych telefonów.

Było to niesamowite, ale wrócili do poprzedniej sytuacji. Siedzieli na kanapie, Wiktorienko trzymając drżącą dłoń York, i oglądali prze-głupi, pozbawiony sensu sitcom.

–Nie mogę tego znieść, Władimir – odezwała się po jakimś czasie.

–Czego?

Zrobiła nieznaczny gest; Wiktorienko wyczuł, że Natalie zbiera wszelkie siły, żeby nie wybuchnąć.

–Tej niepewności. Tych gór i dolin. Braku kontroli nad własnym życiem. Mój Boże, Wład, po tym, jak odwołano misję dalekiego zasięgu, myślałam, że już nigdy nie polecę na Marsa. I teraz... ten grom z jasnego nieba... to. Uścisnął jej rękę.

–Nigdy nie byłaś w wojsku, Maruszka. Wojsko tak załatwia sprawy. W wojsku nie ty decydujesz, nie jesteś panem samego siebie. Może twoja cywilna NASA ma bardziej wojskowy charakter niż jest gotowa to przyznać. Zadzwoił telefon. To był Adam Bleeker, którego miejsce zajęła York. Zamieniła z nim tylko kilka cichych słów.

–Jak się trzyma? – spytał Wiktorienko. Wzruszyła ramionami. Siedzieli chwilę dłużej, ale nie było więcej telefonów. Wiktorienko uznał, że ci idioci w Wydziale Astronautów niewątpliwie zwierali szeregi, karząc York – i zapewne Gershona – za to, że zajęli miejsca ich kumpli, niedawnych żelaznych kandydatów. W końcu, zdecydował, że wystarczy tego dobrego.

–Dość! W Rosji takie sprawy załatwia się fajniej. Chodź. Idziemy na miasto. Zjemy coś, w grillu, Pizza Hut, meksykańskim zajeździe. Gdzie chcesz. Na mój koszt! Na koszt Związku Sowieckiego, Maruszka!

Początkowo się opierała, ale Wiktor był uparty. Kiedy wychodzili z mieszkania, przybiegł korytarzem młody tusty człowiek z magnetofonem. Nad ramieniem płonął mu reflektor.

–Panno York! Tu Wiadomości telewizyjne KNWS. Jak się pani czuje w roli pierwszej

kobiety na Marsie?

Część piąta

ARES

Czas misji: 369/09:27:25

Dziwnie cętkowane, ochrowe światło padało przez mały iluminator modułu dowodzenia obok niej; to był Mars, tak wielki, że nie mieścił się już w oknie.

Przesuwał się

za szybą jak olejny obraz.

–Trzy minuty do zaniku sygnału – zawiadomił kontroler łącznikowy, John Young.

–Odebrałem – powiedział Stone.

Załoga siedziała rzędem w Apollu. York było gorąco i niewygodnie w skafandrze, a kanciasty rozkładany fotel nieprzyjemnie ograniczał ruchy, inaczej niż podczas długiego pobytu w module misji, gdzie zresztą nosiła koszulkę z krótkimi rękawami.

–Ares, to Houston, wedle naszej oceny możecie przejść na orbitę Marsa. Wszystko

gotowe. Dwie minuty do zaniku sygnału. Bądźcie spokojni, macie najlepszy statek

na

świecie.

–Dziękuję, John. Doceniamy waszą troskę.

„Jasne” – pomyślała York. Ale zapewnienia Younga wcale nie dodawały jej otuchy. W tej chwili Ares spadał swobodnie na Marsa. Nawet gdyby zawiodły silniki wielkiego MS-2, wciąż mieli dostateczną prędkość, żeby uciec ze studni grawitacji Marsa i powrócić na trajektorię swobodnego powrotu na Ziemię. Ale gdy Stone i kontrola misji zdecydują się na MOI, wejście na orbitę Marsa, to już nie będzie odwrotu.

MOI było chwilą prawdy, chwilą w której Ares wreszcie miał odciąć długie, kruche więzy grawitacji i niebiańskiej mechaniki, mogące sprowadzić go z powrotem na Ziemię.

Nie dość tego, miał spaść na tylną stronę Marsa, w jego cień, i poza strefę radiowej łączności z Ziemią. Od tego momentu Stone mógł polegać tylko na informacjach instrumentów pokładowych, gdyby chciał ocenić prawidłowość manewru. Opóźnienie czasowe i ogrom skalistej planety sprawiały, że załoga była skazana na samą siebie podczas krytycznego etapu misji.

Wedle najdokładniejszych przewidywań Ziemi, mieli wejść w obszar MOI plus minus dziesięć mil nad Marsem.

Tyle że kto, do licha, wierzył przewidywaniom?

Tym razem silniki MS-2 szykowały poważne przeciążenie. Tak więc wszystkie nadal lecące moduły rakiety – człony silników dodatkowych MS-2 i MS-4B, MEM, moduł misji i Apollo – były ustawione jak po sznurku, wzdłuż wektora ciągu. Po zamknięciu silników i bezpiecznym wejściu na orbitę Marsa – jeśli się na nią dostaną – członkowie załogi mieli dokonać kompleksowej rekonfiguracji modułów, szykując się do lądowania. To był piekielny pomysł, żeby rozkładać i składać całą raketę na orbicie Marsa, uznała York... – Minuta do zaniku sygnału – powiedział Stone.

–Minuta – niemal równocześnie zawtórował mu John Young. Pilnował zgrania

transmisji w czasie z lokalnymi wydarzeniami. – Ares, tu Houston. Zza węgła

wszystkie

wasze układy wyglądają dobrze.

–Odebrałem, John.

York słyszała napięcie w głosie Stone'a. Gershon siedział na środkowym fotelu, milczący, zamyślony, jak nie Gershon.

Ochrowe światło zmieniło kąt padania. Podniosła wzrok.

Ares leciał nisko nad Marsem.

Niecałe trzysta mil poniżej sunął cętkowany, zniszczony pejzaż. York widziała Arabię, jasnożółty okrąg, a po prawej nieregularną nie-biesko-czarną plamę, wulkaniczny płaskowyż nazywany Syrtis Major Planum. Był to pierwszy obszar Marsa wyodrębniony podczas obserwacji teleskopowej z Ziemi. A teraz sama oglądam Syrtis, lecąc nad nią tyłkiem do przodu – pomyślała. Plama miała wielkość dłoni. Włoski zjeżyły się jej na karku. Byli tak blisko, że Syrtis rosła na jej oczach, w miarę jak Ares zagłębiał się w studnię grawitacyjną Marsa. Naturalne światło w kabinie zmieniało się w sposób widoczny.

Mars wypinał swój brzuch. Był niewielką planetą; mimo niskiej wysokości York dostrzegała jego krzywiznę, co w przypadku Ziemi byłoby niemożliwe. York próbowała analizować widok, rozdzielić panoramę na zespoły geologiczne...

Ale

miała przed sobą zniszczony, umęczony pejzaż. Powierzchnia wydawała się zsiniała

od

ciosów przedwiecznych

meteorytów, jakby mała planeta nie mogła rozprościć nagromadzenia porfiry.

„Pozostawione na wieczność siniaki na obliczu trupa” – pomyślała. To był

zaskakująco

smutny pejzaż, całkowicie martwy.

–Trzydzieści sekund – powiedział Stone.

York na moment odwróciła się do swojego stanowiska. W trakcie pierwszego przelotu, platforma naukowa pracowała pełną mocą, zbierając informacje o powierzchni i atmosferze. Nawet szczątkowy sygnał radiowy podczas zaniku łączności, kiedy Ziemia była zasłonięta atmosferą Marsa, zapewniał sporo informacji o składzie marsjańskiego powietrza.

Pierwsze obserwacje były istotne. Gdyby wejście orbitalne nie poszło tak jak trzeba i misja ograniczyła się do przelotu, wtedy te wycinkowe dane stanowiłyby prawie cały zysk z wyprawy.

Statek zniżył lot i minął linię między nocą a dniem. York przez moment widziała sznur kraterów oświetlony ostatnimi promieniami Słońca; zniszczone wiatrami brzegi rzucały długie cienie na starą twardą powierzchnię.

–Ares, tu Houston, niebawem zanik sygnału – powiedział Young z odległej kontroli misji. – Powodzenia we wszystkim, chłopaki.

–Dzięki serdeczne – odparł Stone. – Do usłyszenia po drugiej stronie, John.

Dziesięć,

dziewięć.

„...Światłocienie kraterów przepadły i Ares wpłynął w jednorodny cień, nad obszar zanurzony w nieprzeniknionym mroku. Układ Słoneczny jest pełen pustych, nierozjaśnionych planet” – pomyślała. „Ziemia to wyjątek”.

Czuła się samotna, bezbronna. Oddalona od domu.

–Trzy. Dwa. Jeden.

Z maskownic stanowiska naukowego, z głośniczków słuchawkowych lunęły trzaski. Zanik sygnału nastąpił dokładnie o czasie. To znaczyło, że są na dobrej trajektorii.

Gershon wybuchnął śmiechem.

–Co wy na to? – spytał. – Dokładnie jak trzeba. Hej, Phil. Ciekawe, czy oni po prostu nie skasowali połączenia. To byłoby niesamowite, co? Już widzę, jak John mówi:

„Nie zapominajcie, że to banda spiętych dupków. Niech się dzieje, co chce, po prostu wyłączcie to draństwo...”

York widziała profil Stone’a za zagłówkiem fotela. Uśmiechał się, ale to był sztywny uśmiech, ściągnięte wargi odsłaniały prawie całe szczęki. – Wróćmy do listy zadań MOI, Ralph. Niebawem dziesięć minut piętnaście sekund do MOI.

York wykręciła głowę w górę, wpatrując się w okrągłą plamę czerni Marsa. Wyobraziła sobie mapę planety. Ares podróżował nad He-sperina Planum, wulkaniczną równiną na wschód od Syrtis, blisko równika.

W czerni migotały jakieś ślady, zarysy bieli. Światło gwiazd odbijało się od zlodowaciałego dwutlenku węgla.

Poprzednio widziała nocą płomienie ognisk koczowników na wielkich pustyniach Ziemi. Były wielkości główki od szpilki. Ale na mars-jańskiej pustyni nie płonęły żadne

ogniska. Ze wszystkich planet Układu Słonecznego tylko Ziemia znała ogień, tylko jej

atmosfera była bogata w tlen.

–Pięć minut do odpalenia silnika.

Zapieczętowana w skafandrze, tonąca w syku tlenu, zgrzycie wentylatorów, szelestach

własnego oddechu, York czuła się odcięta od świata. „Fatalnie to wykombinowali”

–

pomyślała. „Przydałoby się potrzytać kogoś za rękę”.

–Dobra, Ralph – powiedział Stone. – Włączyć sterownik przyspieszenia.

–Włączony.

–Uzbroić ręczny sterownik rotacji numer dwa.

–Uzbrojony.

–Dobra. Gotowość do sprawdzenia układów telewizyjnych.

–Ciśnienie rośnie pięknie – powiedział Gershon. – Wszystko gra... Sto stóp poniżej wielki człon wejścia orbitalnego MS-2 budził się z długiej międzyplanetarnej hibernacji. Grzejniki w wielkich super-zimnych zbiornikach podnosiły temperaturę, ciśnienie rosło, prowadząc do wypchnięcia paliwa i utleniacza. Stone i Gershon przeprowadzali testy sekwencji, w wyniku której wodór i tlen miały połączyć się wybuchowo w komorach spalania czterech silników J-2S.

W iluminatorze widziała wycinek koła; jaśniał szkielecią bielą w świetle gwiazd, wyraźny, ogromny.

–...O, mój Boże.

Skrępowany sztywnym skafandrem dowódca wykręcił się i zerknął przez ramię.

–Co się dzieje?

–Spójrz na to. To chyba Hellas. – Najgłębszy krater pometeorytowy na Marsie był biały. W zamarzniętym jeziorze dwutlenku węgla na dnie krateru Sowici posadzili Marsa 9.

–Jeszcze się go naoglądasz – mruknął z wyraźną przyganą Stone. Odwrócił się i kontynuował z Gershonem odczytywanie listy zadań przed wejściem orbitalnym. – Trzydzieści sekund. Wszystko w normie. Wszystko gotowe do MOI. Położył dłoń w rękawicy na wielkim plastikowym przycisku ręcznego odpalenia silnika.

York wiedziała, że cały manewr jest zautomatyzowany, kontrolowany przez komputery zespołu przyrządowego klastra, wielki pączek elektroniki za modułem misji.

Wszystko było pod nadzorem niezliczonych komputerów, które w nieskończoność sprawdzały się nawzajem, pilnowały, testowały. Trudno było sobie wyobrazić jakąś awarię.

Niemniej jednak Stone trzymał łapę na przycisku, gotowy do przejęcia dowodzenia w razie potrzeby. W oczach York było to komiczne, a równocześnie bohaterkie.

Wzruszające.

–Dwadzieścia sekund – zapowiedział Stone. – Przygotować się, załoga. – Wszystkie układy gotowe do MOI – powiedział Gershon. York sprawdziła swoje przyrządy pokładowe.

–Odebrałam, gotowe.

Szybko się upewniła, czy ma odpowiednio zaciśnięte pasy na piersiach i oparła głowę o bawełniany zagłówek. Wygładziła skafander pod plecami i nogami, prostując wszelkie zgniecenia i fałdy.

Czuła bicie serca, zimny pot występujący na policzkach i szyi.

–Dziesięć sekund – powiedział Gershon. Dłoń Stone’a czuwała nad przyrządami.

–Osiem sekund.

–Mam dziewięćdziesiąt dziewięć – powiedział Stone. Pchnął przycisk. – Wciskam DALEJ.

York zdała sobie sprawę, że od jakiegoś czasu wstrzymuje oddech. Wypuściła go.

–Sześć sekund – powiedział Gershon. – Pięć, cztery. Ułaż. Rozległ się krótki grzechot i

York poczuła nieznaczne kopnięcie w okolicach krzyża. Osiem rakietek na paliwo stałe

umiejscowionych wokół podstawy MS-2 lekko pchnęło człon, pomagając osiąść paliwu

w

zbiornikach.

–Dwa, jeden – odliczał Gershon. – Odpalenie.

Łagodne pchnięcie ułażowe zamarło i zastąpiło je gładkie, równomierne parcie odczuwalne plecami, karkiem, udami.

Parcie szybko rosło. Panowała niesamowita cisza. Odwrócona tyłem do kierunku ciągu York odbierała to tak, jakby coś ją podnosiło i ciskało w przód, w nieznaną przyszłość.

–Piętnaście sekund ciągu – powiedział Stone. – 0,5 g. Przeciążenie rośnie. Po roku zerowego przeciążenia napór siły ciężenia już wydawał się nie do wytrzymania. „To byłoby na tyle z tymi wszystkimi ćwiczeniami” – pomyślała. „Na cholere się przydały”.

Poczuła drżenie. Wibracja objęła ściany i wyposażenie. Zagrzecotał luźny sprzęt. Z tyłu rozległ się jakiś brzęk; to źle umocowany element wyposażenia przeleciał przez całą długość modułu dowodzenia.

–1 g – powiedział Stone. – 2. Przeciążenie rosło, zgniatało tors York. – Jezu – powiedział Gershon. Musiał przekrzyczeć brzęk ścian i urządzeń. – Osiem minut tej przyjemności.

–Dasz radę – warknął Stone. – 2,5 g. Idzie świetnie. Suniemy jak drogą krajową numer jeden. 3,6. Trzymać się, załoga.

Nie mogła oddychać. Miała wrażenie, że skafander zaciska się, prasuje jej żebra. To było niesamowite, przerażające doznanie, jakby znalazła się w miażdżonej windzie.

Ciemność pojawiła się na obrzeżu jej pola widzenia. Byli całkowicie samotni, w środku malutkiego urządzenia okrążającego powierzchnię pustej planety, a ich przeżycie zależało od poprawnego działania maszyn. – 4,3 g! – krzyknął Stone. Jego głos wibrował wraz z całym statkiem. – Już. To maksimum. Dolatujemy do perycentrum.

Stone i Gershon przystąpili do odczytu statusu manewru. – Czas odpalenia cztery cztery pięć. – Cztery minuty czterdzieści pięć sekund; połowa drogi. – Błędy w granicach dziesiątych: X minus przecinek jedna dziesiąta, Y minus przecinek jedna dziesiąta, Z plus przecinek jedna dziesiąta... – Statek trzymał się wzorca manewru, prędkość mierzona wzdłuż każdej z linii wyznaczających położenie w przestrzeni odbiegała od nominalnej nie więcej niż o stopę na sekundę. – Brak znoszenia. Przyspieszenie minus sześć przecinek osiem dziesiątych. Paliwo trzydzieści dziewięć przecinek osiem dziesiątych. LOX dokładnie trzydzieści dziewięć, zapas pięćdziesiąt. Osiągamy pozycję.

Docelowo dwieście dziewiętnaście przecinek dziewięć na dwanaście tysięcy sześćset jednaście przecinek trzy...

York przetłumaczyła sobie te dane. Manewr był udany. Klaster wchodził prawie idealnie na orbitę eliptyczną: o wymiarach dwieście na dwanaście tysięcy mil. – Hej, Natalie. – To był Gershon.

–Co?

–Spójrz w górę.

Z trudem odchyliła głowę. Hełm ograniczał jej ruchy, a poddana sile przyspieszenia czaszka wydawała się być betonową kulą, rozrywającą mięśnie karku. Za okienkiem ujrzała sponiewieraną południową równinę Marsa. Wybrzuszoną powierzchnię rozświetlał dokładnie w środku łagodny, różowy blask. Wyglądało to tak, jakby dalekie światło padało na wielką ochrową kulę do kręgli. To było światło MS-2.

Po raz pierwszy w historii planety, liczącej cztery miliardy lat, sztuczny blask rozjaśnił marsjańską noc.

Piątek, 17 sierpnia 1984 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston
Pytania napływały z morza intensywnego światła, które wręcz paliło twarz York. –
Jak się czujecie w roli członków załogi? Co z chłopakami, których pokonaliście? Kto
będzie pierwszy na powierzchni? Jak człowiek czuje się w kosmosie...? Trójka
astronautów – pod czujną opieką Joego Muldoona i Ricka Llewellyna, szefa biura
prasowego NASA – siedziała na chybotliwym podium. Za sobą miała rozświetlone
logo NASA, a na stole przed sobą dziecinny model MEM-a Columbi. Sala
konferencyjna w biurze prasowym była pełna, a przed stołem coś, co starcy nazywali
„dopadł kozioł kozę”, niewiarygodna plątanina mikrofonów i obiektywów, napierająca
na twarze astronautów.

Do tej pory świat nie interesował się York, nie zadawano jej pytań o pochodzenie,
motywy postępowania, nadzieję i obawy. Teraz wszystko było ważne, wszystko, co
wydarzyło się w jej życiu, każda cecha osobowości. Wyglądało na to, że pytania będą
padać w nieskończoność. Miała ich serdecznie dość.

Zazdrościła Philowi Stone’owi wdzięku, z jakim radził sobie z najgłupszymi,
powtarzającymi się w kółko pytaniami, kiedy tak siedział. Wyglądał jak modelowy
bohater astronauta, przystojny, krótko ostrzyżony i wypowiadał się z lekkim
akcentem mieszkańca środkowego zachodu. A Ralpa Gershona prasa już polubiła
za zaraźliwy uśmiech – pisano o nim: atrakcyjny, niebezpieczny i nieżonaty
astronauta. Także za żarty i niepokojącą siłę, którą emanował, chociaż Rick Llewellyn
wyraźnie się denerwował, kiedy Ralph tylko otwierał usta, chociaż czuło się odcień
rasistowskiej protekcjonalności, z którą go traktowano. Takie przynajmniej było
wrażenie York.

Tak więc tamci radzili sobie z nową sytuacją, natomiast York miotła się pod presją
mediów, ale też budziła ich największe zaniepokojenie, chociaż powody tej ciekawości
były doprawdy idiotyczne.

Zacząło się zaraz następnego dnia po ogłoszeniu składu załogi. Wszystkie media
sięgnęły po to samo wiekowe zdjęcie z archiwów NASA, na którym trzymała
przestarzały dwustożkowy model MEM-a. „Ta spokojna, skupiona i zaangażowana
kobieta naukowiec...”, „Rudowłosa Natalie York, lat 37, niezamężna i bezdzietna...”,
„Zapytaliśmy kosmetyczkę Marcie Forbes, co poradziłaby pierwszej amerykańskiej

astronautce.»No cóż, zaczęłabym od tych brwi, rozumie pani...«”, „Ta trzydziestopięcioletnia mieszkanka Los Angeles o bujnych włosach...”, „Bujnowłosa brunetka średniego wzrostu, Natalie York, podobno nie cieszy się wizją zainteresowania mediów...”, Ciemne gęste włosy i latynoska uroda nadają Natalii wdzięk i tajemniczość, cechy jakże naturalne u pierwszej Amerykanki na Marsie...”

Włosy, brwi i zęby. Można było oszaleć.

Już odnaleziono jej matkę, którą zaciekawienie mediów wprawiło w ekstazę, oraz Mike’a Conliga i jego nową rodzinę, którym w tej sytuacji do ekstazy było bardzo daleko.

Gdyby jeszcze NASA jakoś ją przygotowała na to wszystko. Gdyby przeszła chociaż podstawowy kurs komunikowania się z mediami. Nie. Usłyszała tylko: „Nie skompromituj Agencji”.

Niektóre pytania były trudniejsze, dociekliwsze. – Czy przypadek Adama Bleekera nie wskazuje, że nie jesteśmy jeszcze gotowi posyłać ludzi na tak niezwykle długie wyprawy? Że nie wiemy jeszcze wystarczająco wiele o wpływie stanu nieważkości na ludzkie ciało? Że tak naprawdę, misja Aresa jest nieodpowiedzialnym wyskokiem?

–Z pewnością ma pan rację, mówiąc, że nie wiemy jeszcze dość wiele – odparł gładko Muldoon. – Ale jedyny sposób, żeby dowiedzieć się więcej, to ruszyć się z miejsca, pracować w warunkach nieważkości i badać jej wpływ na człowieka. Z pewnością czekają nas również niebezpieczeństwa, ale godzimy się na nie, gdyż są częścią naszej pracy. To cena bycia pionierem. Powinien pan wiedzieć, że Adam był załamany po tym, jak wykluczono go z lotu. Ryzyko zdrowotne nie miało dla niego żadnego znaczenia. Wiem też, że każdy w Wydziale Astronautów zgłosiłby się na ochotnika na jego miejsce... – Ralph, czy zechciałbyś opowiedzieć o nalotach na Kambodżę? – A więc tak... wszystko to już podano do publicznej wiadomości i nie mam nic więcej do dodania. To wszystko było dawno temu. – Ale jak się czujesz, biorąc pod uwagę fakt, że musiałeś fałszować raporty i tuszować łamanie prawa przez dobrych kilka lat, zanim... – Przeczytasz o tym w moich pamiętnikach, Will. Śmiech.

–Co z Apollem-N?

Muldoon pochylił się do mikrofonu.

–To znaczy, o co panu chodzi?

–Zwiedzałem JSC jakiś czas temu. Widziałem wielkie maszyny, dzięki którym dokonano bohaterских wyczynów, widziałem sporo odznak Apolla 11. Kontrola misji robi wręcz wrażenie pomnika narodowego. Pięknie.

Ale to tak wygląda, jakby tragedia Apolla-N nigdy się nie wydarzyła, tym bardziej pożar Apolla 1. Co z wami, ludzie? Jak możecie udawać, że wszystko gra, że nie wydarzyło się nic złego?

–Niczego nie udajemy – powiedział Muldoon. – Myślę, że nie ma takiego dnia, żebyśmy nie wspominali tego wypadku.

–Tak to nazywacie? „Wypadek”? Do diabła, to nie był zwykły wypadek, to był wybuch w kosmosie.

–Musimy się uczyć na własnych błędach, iść dalej i starać się, żeby nieszczęścia, które nas dotknęły, nie poszły na marne. Nie stać nas na bezsilną rozpacz ani rezygnację z zamierzeń.

–Słuchajcie, mieszkam na przedmieściu. Wszędzie wokół JSC widzę parkingi albo centra handlowe imienia Apolla-N. Na litość boską, jest nawet park ku pamięci Apolla-N.

Czy nie sądzicie, że tego rodzaju spontaniczna i widoczna reakcja szerokiego ogółu zasługuje na coś więcej z waszej strony niż „naukę na błędach”...? „Niech tam, do cholery” – pomyślała York. Niektórzy w JSC uważali, że nazywanie centrów handlowych i tym podobnych jest w złym guście, w jakiś sposób urąga pamięci tamtej tragedii. York się z tym nie zgadzała; ludzie uznali, że należy zareagować na tamto wydarzenie tak, nie inaczej i upamiętnili je po swojemu. Co z tego, że wznosili parkingi i sklepy? Co innego, do diabła, mieli budować?

Ale równocześnie znała na tyle dobrze punkt widzenia pilotów, żeby go zrozumieć. Przyjmowali do wiadomości śmierć tamtych, przestawali myśleć o Apollu-N i szli dalej. Ben zrobiłby to samo. Komuś z zewnątrz trudno było to zaakceptować, ale taka była kultura współzycia w NASA.

Z tym, że York nie była pilotem. Po śmierci Bena rozpatrywała na dziesiątą stronę swoją rolę w tym wszystkim. Jakby już wcześniej nie miała masy wątpliwości, nie czuła rozdwojenia.

Rozwiązała to w swym własnym sumieniu, postanawiając, że wszystko co uczyni od tej pory, będzie czynić dla Bena. Po prostu.

Podniosła się jakaś, wyraźnie wojowniczo nastawiona, dziennikarka. – Natalie, jako naukowiec co masz do powiedzenia tym ludziom, którzy uważają, że ta cała ekspedycja na Marsa to bzdura, bujda? Że wcale nie polecisz, ale na rok zostaniesz odcięta od świata w jakimś studiu w Newadzie, objając się o ściany makiety MEM-a?

To przelało czarę goryczy. York dostała białej gorączki. Pochyliła się tak blisko mikrofonu, że jej głos zahuczał z głośników.

–Słuchajcie, naprawdę nie mam czasu na takie brednie. Na litość boską, przygotowujemy się do lotu w głęboką przestrzeń. Nie po to rezygnujemy z naszego czasu, narażamy się na jeszcze większą presję, żeby odpowiadać na takie kretyńskie pytania...

Phil Stone zakrył dłonią mikrofon.

–Rozumiem uczucia Natalie – powiedział gładko. – Wierzcie mi. Sugestia, którą usłyszeliśmy, jest po prostu niepoważna. Myślę, że najlepiej udowodnię autentyczność naszej misji, kiedy powiem, że łatwiej jest polecieć na Marsa niż udać, że się na niego leci.

To wzbudziło śmiech i sytuacja została opanowana. York starała się uspokoić oddech.

Wiedziała, że czeka ją kazanie Ricka Llewellyna.

–A co z seksem?

–To znaczy? – spytał Stone.

To pytanie zadał mężczyzna, szczerzący szeroko zęby reporter w wymiętym trenczu a la Colombo.

–Co z seksem? Wszyscy jesteście zdrowymi, dorosłymi ludźmi... tworzycie pierwszą męsko-żeńską amerykańską załogę i będziecie skazani na ten ciasniutki moduł misji przez półtora roku. A Ralph i Natalie są wolni... No, dajcież spokój. Dwaj faceci i jedna kobitka. Co za sytuacja.

York poczuła, że policzki jej płoną. „Powinnam wyjść, dać sobie z tym spokój – pomyślała i równocześnie skonstatowała – no, z tym i z misją”. Gershon uśmiechał się od ucha do ucha, wielce rozradowany tym wszystkim.

Stone zesznurował wargi.

–Sądzę, że zna pan oficjalne stanowisko NASA. Jest w naszych instrukcjach.

„Członkowie załóg powinni unikać bliskich związków między sobą”. – Uśmiechnął się

autoironicznie, całkowicie panując nad sytuacją. – Też mi pomocna wskazówka. –

Kolejny

śmiech. – Ale powiedziałbym, że w gruncie rzeczy wcale nie jest taka głupia. Do

cholery,

wszyscy jesteśmy dorośli. Ale seksualne kontakty członków załogi... albo, co gorsza, wysoce

emocjonalne więzi... naraziłyby na szwank równowagę stosunków całości i przyczyniły się do

załamania

poczucia odpowiedzialności za wszystkich członków misji. Jeśli się weźmie pod uwagę, jak negatywnymi skutkami grozi tego rodzaju związek... mam tu na myśli zazdrość, preferencyjne traktowanie, lekceważenie stosunków służbowych, wzajemne oskarżenia i żale, kłótnie i tak dalej... to założę się, że tego rodzaju wstrzeźliwość będzie normą podczas przyszłych lotów załóg męsko-żeńskich. Gershon zadarł głowę. – Normą na jak długo? – spytał.

–Lepiej przyłóż się do treningu z psychologami, Gershon. Kolejny śmiech.

Kolejne

rozładowanie sytuacji.

York miała nadzieję, że rumieniec znika z jej policzków. Jednak nie można było nie podziwiać umiejętności Stone'a. Skrzętnie pilnował, żeby nikt nie podejrzwał autentycznych stosunków panujących w NASA. Karmił reporterów tą samą mdłą papką, tymi samymi półprawdami, które serwowano światu od czasów Programu Merkury. „I ja też jestem tylko częścią maszyny” – pomyślała. „Wspólnikiem w tym samym odwiecznym oszustwie. Teraz jestem astronautką; moje ludzkie potrzeby oficjalnie już nie istnieją”.

Jednakże pytanie ostatniego reportera, chociaż może niepoważne, było wcale bystre.

NASA była niesamowita w sprawach techniki, ale zdumiewająco nieporadna tam, gdzie chodziło o potrzeby miękkich różowych ciał, które ładowała do lśniących maszyn wymarzonych przez von Brauna – nie potrafiła nawet dostrzec, że takie potrzeby istnieją.

Pytania napływały, zahaczając o różne tematy. A wszystkie szukały odpowiedzi na jedno zasadnicze, chociaż banalne pytanie, które każdy chciał zadać astronautce: jak człowiek czuje się tam, w kosmosie? Na Księżycu. Na Marsie. Początkowo wydawało się jej głupie; naiwne, zbyt oczywiste, bez odpowiedzi. A to, że powracało pod

różnymi postaciami na każdej konferencji, wprawiało ją w irytację.

Dzisiaj starał się na nie odpowiedzieć Joe Muldoon. – Jestem zupełnie zwyczajnym facetem. Ale chyba można powiedzieć, że dokonałem czegoś wyjątkowego. Pozwólcie, że powiem wam, co czułem. Kiedy patrzysz na Ziemię z orbity, zapominasz o swoich kłopotach; rachunkach do zapłacenia, niesprawnym samochodzie. Natomiast zaczynasz myśleć o ludziach, ludziach, których znasz, na których ci zależy, i którzy są tam, w tej niebieskiej misie wypełnionej powietrzem. I jakoś sobie uświadamiasz, że bardzo ci na nich zależy... – W sali zapadła cisza i słychać było tylko Muldoona. York spoglądała na pytających, twardych, cynicznych dziennikarzy, którzy utkwili wzrok w astronautcie. Nawet reporterka, która pytała o udawany lot, słuchała pilnie, pragnąc zrozumieć. – Kiedy widzisz, jak Ziemia oddala się za twoją malejącą kapsułą... Kiedy stajesz na Księżycu i widzisz, jak ten globik zakrzywia się pod twoimi stopami; kiedy przepełnia cię świadomość, że jesteś tam tylko ty i twój towarzysz wyprawy i że wystarczy unieść rękę, żeby zakryć całą Ziemię...

W tej sali była grupa ludzi, którzy dokonali czegoś nadzwyczajnego; wzbili się ponad atmosferę, nawet chodzili po wyzbytej powietrza powierzchni Księżyca – dokonali niewyobrażalnego, rzeczy, do których ewolucyjne dziedzictwo zupełnie ich nie przygotowało.

I York zaczęła dostrzegać, że coś w dziennikarskiej gromadzie – zamaskowane tymi wszystkimi żartami, śmiechami i kpinami – nie pozwalało im potraktować tego obojętnie. Coś pierwotnego. Jakby chcieli powiedzieć: – Wyście tam byli. My nigdy nie będziemy. Nie mówcie, że jesteście zwykłymi facetami. Jak tam jest? Powiedzcie. Kiedy astronautci rozmawiali z szerszym kręgiem ludzi – chociaż, Bóg wie, z jakiego powodu nawet tak wytrawny rozmówca jak Mul-doan, nigdy nie mógł się obejść bez tych „Jakoś” i innych „przepełnionych świadomości” – w ich wypowiedziach usiłowało się przebić coś podstawowego i prymitywnego, jakaś treść ukryta pod słowami. One nie wystarczały.

York często miała wrażenie, że ludzie chcą się zbliżyć i dotknąć astronautów. Jakby byli bogami. Lub też jakby informacje, doznania, wspomnienia mogły być przekazane przez skórę.

Ale ona nie potrafiła nic dodać. Bo jak? Jej pułap wyznaczył T-38. Czuła się jak przebieraniec, siedząc skąpana w światłach reflektorów obok człowieka, który pochylił się i przesiał między palcami księżycowy pył.

Październik 1984 roku

„...Jakże często debaty o przyszłości **PODRÓŻY KOSMICZNYCH** wahają się między historycznymi ekstremami! A wszystkie toczą się w najbardziej **AMORALNYM** okresie naszych czasów.

Podczas gdy yuppie obnoszą się ze swoimi roleksami i sportowymi bmw i gdy nasz iluzoryczny „wzrost” ekonomiczny jest napędzany jedynie ogromnymi prezydenckimi **WYDATKAMI NA CELE WOJSKOWE** – co samo w sobie jest inflacjogenne i z czym misja na Marsa stała się nieodłącznie związana, dzięki politycznym sponsorom **NASA** – a co prowadzi do ogromnego **DEFICYTU**, który zostawimy w spadku naszym dzieciom – przepaść między dochodami najbogatszych i najbiedniejszych rośnie do rozmiarów niewidzianych od dwóch dziesięcioleci.

Ten właśnie **DEFICYT** dowodzi cynicznej manipulacji gospodarką przez rząd, który dlatego zwiększa jego ciężar, aby nie dopuścić do zwiększenia pomocy społecznej ani innych programów, kiedy w roku 1988 zakończy się prezydentura **Ronalda Reagana**. To paradoksalne, ale dehumanizacyjny kontakt człowieka z **KOSMOSEM** może nas doprowadzić w skrajnym przypadku do pełniejszego zrozumienia **LUDZKICH UCZUĆ**, które astronauta muszą odrzucić. Więcej, może nas nauczyć prawdziwszego spojrzenia na świat:

–**POGARDY** wobec naszych produktów, **SZACUNKU** wobec siebie samych.

To nowe spojrzenie może nas doprowadzić do **BOGA**. Ale jakże często rządowe agencje informacyjne i organizacje publiczne, zarówno popierające inicjatywę kosmiczną, jak i będące jej przeciwnikami, rysują opinii publicznej jednakowo fałszywy obraz kontaktów człowieka z **KOSMOSEM**. Uosabiają go bliźniaczy idole:

–**MELLONOLATRIA** (technofilia), czyli bezpodstawną cześć wobec technologii, **MIZONEIZM** (technofobia), czyli równie bezpodstawne uczucia negatywne: strach i nienawiść wobec technologii.

To najlepsza przesłanka, żeby natychmiast pozbyć się pojazdów raketowych z ich zabójczymi **ATOMOWYMI** sercami...!”.

(Wyjątki z: **B. Seger**, pastor Kościoła Św. Józefa z Kopertino, „Mello-nolatria i mizoneizm, bliźniaczy bożkowie kosmosu”. Wszelkie prawa zastrzeżone)

Poniedziałek, 3 grudnia 1984 roku

Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston

Ralph Gershon stał w luku makiety **MEM-a**. Przejrzysta osłona hełmu nie kryła

twarzy astronauty.

–Dobra, Natalie – powiedział. – Teraz podejdź.

–Odebrałam, Ralph.

York ruszyła ostrożnie po sztucznej, marsjańskiej powierzchni w kierunku MEM-a.

Uprząż opasująca tors natychmiast szarpnęła ją brutalnie i uniosła kilka stóp w powietrze. York straciła równowagę. Skafander był jak balon, napompowany do poziomu trzy

i pół funta na cal kwadratowy. Usztywniał całe ciało, więc była równie sprawna jak potrącony

manekin.

Poleciała na nos.

Upadła na czworaki. Przed sobą miała niby powierzchnię Marsa, a faktycznie wysuszoną, houstońską glebę posypaną różowym żwirem. Astronaucci nazywali ją niezbyt trafnie: skalne wysypisko. Była raczej płaska, ponieważ konserwatywna frakcja planistów misji chciała posadzić MEM-a w takich warunkach. – Niech szlag trafi tę uprzęż.

–Mnie to mówisz, Natalie? Pomóc ci?

–Nie. Nie, dam sobie radę, do cholery.

Była połączona z symulatorem ciężenia marsjańskiego, noszącym wdzięczną nazwę:

Piotruś Pan. Składał się lin, które łączyły uprzęż z drągiem wiszącym nad jej głową. Liny przechodziły układem wielokrążków, dzięki czemu osoba ćwicząca była o dwie trzecie lżejsza. Dokładnie jak na Marsie. Z tym wyjątkiem, że na Marsie nie miało być żadnych idiotycznych lin, które ni stąd, ni zowąd szarpałyby ją przy każdym kroku. Teraz żeby wstać musiała się odepchnąć od powierzchni i zdać na działanie wielokrążków, rozpaczliwie wierzgając nogami i licząc na to, że znajdzie grunt pod nogami i znów nie runie, tym razem na tyłek.

W końcu stanęła, chwiejąc się na nogach i rozprostowawszy ręce dla utrzymania równowagi. Hełm nie zagłuszył ironicznych oklasków obsługi technicznej. – Nie przejmuj się dupkami – poradził jej Gershon.

–Odebrałam. – Zaczepnęła oddechu. – Idę dalej, Ralph.

–Tylko równo i spokojnie, Natalie. Właśnie, grzeczna dziewczynka... Zrobiła powolny, wymierzony krok. Odrywanie nóg od ziemi było 0wiele łatwiejsze niż stawianie ich z powrotem. Przemieszczała się płytkimi łukami nad powierzchnią, lądując z cichym zgrzytem żwiru. Przypominało to pływanie w lepkim płynie. Poruszała się w zwolnionym tempie, jak we śnie, utraciwszy poczucie równowagi.

W końcu chyba nabrała nieco rozpędu. Ciężar plecaka utrudniał ruchy; jego bezwładność nieustannie zmuszała do drobnych korekt, jeśli chciała poruszać się w linii prostej, a zmianę kierunku musiała przewidywać kilka kroków wcześniej. MEM dryfował przed nią, odległy i nieosiągalny, skąpany w filmowych reflektorach iluminacyjnych. Luk makiety był szeroko otwarty 1jarzeniowe oświetlenie wnętrza zdradzało konstrukcję z twardego drewna i sklejki.

Nieopodal MEM-a była makieta pojazdu marsjańskiego. Zamontowana na dziobie kamera telewizyjna obracała się, śledząc ją czarnym szkłem obiektywu. Pod spojrzeniem maszyny York czuła się jak goryl w klatce.

Oczywiście, Ralph nauczył się chodzenia po Marsie, jakby się z tym urodził. Co istotne, mimo że była to symulacja drugiego spaceru po Marsie, dopiero ten zakładał poważne zajęcia. Zaplanowano, że pierwszy na powierzchnię Marsa wyjdzie Phil Stone. Miał dostąpić tego zaszczytu jako dowódca. Celem pierwszej godzinnej przechadzki było przetestowanie układów skafandra i ogólnej mobilności człowieka na Marsie, stanu MEM-a po wylądowaniu i usunięcie wszelkich ewentualnych felerów układów łączności. Na Stone'a nie czekało wiele zadań o charakterze naukowym, jedynie zebranie próbek powierzchni.

Oczywiście był tajny harmonogram.

Uwaga Ziemi – i wszystkich sponsorów NASA w Białym Domu, jak i w kongresie – będzie skupiona na tym pierwszym spacerze, pierwszych kroczkach człowieka na Marsie*[Przyp tłum aluzja do słów N. Armstronga, schodzącego z drabinki ładownika księżycowego: „To niewielki kroczek człowieka, ale wielki krok ludzkości”]. Tak więc w tej pierwszej godzinie odbędni się wszystkie ceremonie – wbijanie flagi, fotografie pierwszych odcisków stóp, mowę Reagana (który na razie płał się w triumfie po miażdżącym zwycięstwie na Teddym Kennedym). Za radą Joego Muldoona, nauczonego doświadczeniem po własnym locie, wszystko podczas tego pierwszego spaceru miało znaleźć się na listach zadań i być określone w czasie, w tym rozmówka z Reaganem. Liczono na to, że po oficjalce resztę czasu przeznaczy się na poważną robotę.

Zdaniem York miało to sens. Wiedziała, że pewnych rzeczy nie da się uniknąć. Niemniej jednak czasami wydawało się jej dziwne, że NASA planuje badanie Marsa,

uwzględniając godziny najwyższej oglądalności w telewizji. W końcu dotarła do MEM-a. Poślizgnęła się trochę, hamując u stóp drabinki, prowadzącej do luku.

–Natalie, tym razem chcielibyśmy, żebyś spróbowała wyjąć SNAP-a*[Przyp tłum System of Nuclear Auxiliary Power, radioaktywny generator dodatkowy.] z pojemnika – przemówił przez słuchawki instruktor symulacji. – Odebrałam. – Starła się ukryć irytację w głosie. Polecenie oznaczało, że musi brnąć dalej, do makiety pojazdu marsjańskiego. Wykręciła się na pięcie jak kukielka, aż wreszcie stała twarzą w kierunku pojazdu, po czym ruszyła niezgrabnie po trzeszczącej powierzchni.

Makiety SEP-a*[Przyp tłum Surface Exploration Package, powierzchniowy zestaw badawczy.] rozstawiono już na powierzchni, srebrno-złote pudła połączone siecią kabli elektroenergetycznych i łącz przepływu danych. Niektóre z kabli wciąż leżały luzem, na przykład przewód anteny przekazującej sygnał na Ziemię. SNAP był zamknięty w pudle, leżącym nieco z boku. York miała aktywować generator, wsuwając do niego niewielką, plutonową kapsułę. Ta z kolei była przymocowana do uchwytów z tyłu pojazdu. Miała kształt wąskiego cylindra wysokości jednej stopy i była umieszczona w grafitowym pojemniku.

York sięgnęła po manipulator. Pociągając za uchwyt rączki, otworzyła niewielkie szczęki i próbowała ująć kapsułę. Napompowane, elastyczne rękawice nie ułatwiały pracy.

Równie dobrze mogłaby próbować zamknąć w dłoni gumową piłkę. Kiedy w końcu rozwarła szczęki manipulatora, musiała użyć dwóch rąk, żeby naprowadzić go na kapsułę.

W końcu spróbowała wyjąć kapsułę z pojemnika. Ale cholerstwo ani drgnęło.

Szczęki ześlizgnęły się z kapsuły i York zatoczyła się w tył. Słyszała własny

rzęzący

oddech, brzęk lin o uprzęż.

–Masz jakieś propozycje, Ralph?

–Nie ruszaj się. Spróbuję, może coś da się zrobić z tym skurczysynem. Zawisła na linach, podczas gdy Gershon wyłaził tyłem z MEM-a. Nie podpięty do symulatora walczył z ciężkim skafandrem, poruszając się z trudnością, nieporadnie.

Zszedł po drabince i przejął manipulator. Z pomocą York złapał kapsułę paliwową.

Pociągnął, nawet odchylił się w tył, wbijając pięty w wysuszoną powierzchnię.

Ale kapsuła

ani drgnęła.

–Ej, chłopaki, chcecie przerwę? – zawołał instruktor symulacji. – Pewnie się zaklinowało.

–Nie ma mowy – powiedział Gershon. – Natalie, zróbmy to po chłopsku. Trzymaj ten manipulator.

–Dobra. – Przejęła manipulator powoli, ostrożnie, żeby nie zwolnić uchwytu na rączce.

–W porządku. – Sięgnął po młotek geologiczny, wiszący na pętli u pasa. – Ciągnij, maleńka.

Trzymając manipulator dwoma rękami, odchyliła się w tył i pociągnęła. Gershon zaczął walić w pojemnik, unosząc młot wysoko w górę; obracał się górną połową ciała, wkładając całą siłę w uderzenia.

York czuła drżenia pojemnika.

–To nie skutkuje, Ralph.

–Musi poskutkować.

Okręcił się jak młociarz i trzymając narzędzie oburącz, zadał ostatnie potężne uderzenie.

Grafit rozleciał się na dwoje.

Kapsuła paliwowa wypadła. York zatoczyła się w tył, przebijając nogami, żeby nie stracić równowagi. Tym razem liny pomogły i nie rozłożyła się na ziemi. Kapsuła toczyła się po ziemi jak upuszczona pałeczka sztafety.

Gershon doskoczył niezgrabnie do York. Hełm przysłaniał mu połowę twarzy.

–Hej. Nic ci nie jest?

–Pewnie, że nic. Co z kapsułą?

Pochylili się nad metalowym cylinderkiem, leżącym w różowym żwirze. Wzdłuż jednego spojenia wyrosła linia grubości włosa.

–No, co ty na to – powiedział Gershon. – Załatwiliśmy ją. Napromieniowaliśmy Marsa.

–E tam, to tylko atrapa. Prawdziwy pojemnik pewnie będzie twardszy.

–Chryste, oby.

–Dobra, ludzie – powiedział instruktor. – Oboje macie za wysokie tętno. To na razie koniec. Fajrant. Wracamy do zajęć za godzinę.

Jorge Romero wpadł jak burza do komory symulacyjnej. – Niech to szlag jasny trafi – wypalił. – Znów to samo, Natalie! Rozwaliłaś mojego cholernego SEP-a! I przekroczyłaś czas o pół godziny! York uwolniona od lin i uprząży siedziała na pojeździe marsjańskim z hełmem na kolanach i kubkiem kawy w dłoniach. Uśmiechnęła się do geologa. – Och, nie przejmuj się tak, Jorge. To tylko symulacja. Romero – drobny, skoncentrowany, zaróżowiony z wściekłości – chodził wte i wewte po sztucznej marsjańskiej powierzchni, wzbijając obłoczki żwiru.

–Ale to trzeci raz z rzędu załatwia się na amen mojego SEP-a... York

przechodziła

bardzo intensywny trening, przepełniony bez reszty trudnymi zajęciami. Trwały

przez długie

tygodnie, osiemnaście

godzin na dobę. Czuła, że lada chwila straci cierpliwość, jeśli Romero w końcu się nie uspokoi. Język świerbił ją, żeby powiedzieć: – Nie mam czasu na dzielenie włosa na czworo, Jorge.

Ale geolog zasługiwał na przyjaźniejsze potraktowanie. – Słuchaj, wiem, jak się czujesz – przemówiła w końcu. – Ale musisz potraktować to ulgowo, Jorge. Podczas zwyczajnej wyprawy naukowej w teren masz czasu ile dusza zapagnie, możesz analizować próbki dni czy tygodnie, ile tylko chcesz. Tu jest inaczej.

Spacery po Marsie mogą trwać tylko kilka godzin. Będą nawet krótsze niż chodzenie po Księżycu w czasach starego Programu Apollo. Musimy więc planować każdy krok. Te symulacje są opracowane szczegółowo jak... – machnęła ręką-... balet. Do tej pory nigdy tak nie pracowaliśmy. Instruktorzy mówią, że działamy w „czasie rzeczywistym”. Romero nadal się wkurzał.

–Niech ich cholera weźmie. Zaraz napiszę notatkę służbową do Joego Muldoona. Ciągłe ktoś coś załatwia na amen. Ci latający kowboje po prostu nie będą umieli zrealizować misji jak należy.

–Ale po to właśnie są ćwiczenia w symulatorach, Jorge. Oczekuje się od nas, że

będziemy niszczyć sprzęt. – Przyłapała się na tym, że uśmiecha się mimo woli, więc szybko się opanowała. – Wybacz, Jorge. Naprawdę wiem, co czujesz. Rozumiem to. Spojrzał na nią z wściekłością.

–Och, czyżby? Więc jeszcze się nie zadomowiłaś w obozie latających kowbojów?

Drgnęła.

–To nie fair, do cholery.

Chyba trochę się zmitygował. Siadł na pojeździe. Wydawał się jeszcze drobniejszy przy jej nadętym białym skafandrze.

–Natalie – powiedział. – Chyba powinnaś o tym wiedzieć. Odchodzę z programu.

To ją zaskoczyło.

–Nie możesz. – Romero był głównym ekspertem od geologii Marsa. Jeśli zrezygnowałyby ze współpracy, ranga naukowa misji poszłaby bardzo w dół. – Daj spokój, Jorge.

–Nie, mówię poważnie. Już prawie zdecydowałem, że to zrobię. – Rozejrzał się z

kwaśną miną po rozsypanym piasku. – Prawdę

–

mówiąc, dzisiejszy dzień przelał czarę goryczy. I gdybyś zachowała jakąś resztkę osobistej godności, Natalie York, też byś odeszła. – Jorge, czyś ty zwariował? Masz geologa na Marsie. Czego więcej chcesz, na litość boską?

–To nieprawda. W najlepszym wypadku będziesz od obsługi technicznej. Natalie, Ares to cudowna maszyna, ale dla latających kowbojów. Pod względem naukowym to replika Apolla. Spójrz na to. – Ogarnął ruchem dłoni symulator. – To cały sprzęt, którym będziesz dysponować na Marsie. Średniowiecze. MET. Ten cholerny wózek do jeżdżenia po wydmach ma udźwig... jaki?... kilkaset funtów? Nie mogę patrzeć, jak się męczysz z tym żalonym manipulatore. – Mówił przez ściśnięte gardło, rumieniec wrócił na policzki. Teraz dostrzegła, że jest naprawdę zły. – Natalie, wystarczy dobrze się rozejrzeć i zobaczysz, jak rozdzielono inwestycje. Czy wiedziałaś, że wydali więcej na wynalezienie superwytrzymałego materiału na flagę niż na cały mój SEP? – „Latający kowboje”. Romero wypowiadał to określenie z obrzydzeniem. Kiedyś sama mówiła o nich tym tonem. Ale teraz dostrzegła, że konieczna jest równowaga. Program kosmiczny, zwłaszcza coś tak ryzykownego, jak pojedynczy lot Aresa na Marsa, musiał łączyć wysiłek lotników i naukowców. Bez tych pierwszych ci drudzy nic by nie działali. Próbowwała to jakoś wyjaśnić.

–Daruj sobie, Natalie. Roztrząsałem to setki razy. Nie przekonasz mnie. A co do ciebie... –

Zawahał się.

–Tak...? Mów, Jorge.

–Myślę, że się sprzedałaś, Natalie. Poparłem twoje zgłoszenie do NASA. Do diabła, wepchnąłem cię tu. Miałem nadzieję, że wniesiesz coś innego. Ale stałaś się naiwna. Teraz mamy drugi Program Apollo, te same cholerne błędy. Ale tym razem to twoja wina. Przynajmniej częściowo. I moja. Żałuję.

Zsunął się sztywno z pojazdu i odszedł.

Ale jego atak był naprawdę zaciekle. York poczuła, że cała trzęsie się pod skafandrem.

Ośrodek

Styczeń 1985 Kosmiczny im. Houston

roku L. B. Johnsona,

Im bliżej startu, tym bardziej zadania treningowe obciążały załogę; ale to nie wszystko, przybywało obowiązków ze sfery public relations. Astronauci mówili na nie:

„zajęcia barowe”. Zwykle prezes jakiejś izby handlowej potrzebował astronauty, żeby wymieniał uściski dłoni na przyjęciu, pozował do fotografii i pracował nad przychylnym nastawieniem do NASA.

York niezbyt nadawała się w tej roli i wolała unikać świateł reflektorów, dlatego jeździła z misjami dobrej woli do różnych zakładów i fabryk związanych z wykonawcami i bezpośrednio z NASA. Gershon spędzał dużo czasu w Newport, gdzie nawet teraz inżynierowie Columbii pocili się, usuwając usterki MEM-a, wynikiłe podczas misji klasy D prim oraz innych prób i doprowadzając go do doskonałości. York wysłano do Marshalla.

Zakwaterowano ją w Sheraton Wooden Nickel w Huntsville, miejscu, które w przewodniku turystycznym zyskało miano Raketowego Miasta. Następnego dnia po przyjeździe paru rozemocjonowanych młodych inżynierów zabrano ją na obchód po fabryce.

Marshall znalazł się w NASA po wydzieleniu z Wojskowej Agencji Pocisków

Balistycznych, ale jego wojskowe korzenie pozostały widoczne; zdradzał je chociażby fakt, że ośrodek zajmował kilka tysięcy akrów arsenału Redstone. Pokazano jej malowniczy ogród raketowy w Ośrodku Szkoleń Kosmicznych i oprowadzono wokół wielkiej platformy używanej do testów silników F-1 Programu Saturn. Tu składano człony Saturnów i, co wydało się jej przedziwne, stąd transportowano je drogą wodną na Przylądek; płynęły barkami po rzekach Tennessee, Ohio i Missisipi, do Zatoki Meksykańskiej, po czym wzdłuż wybrzeża na Florydę, aż do kanałów Kennedy'ego.

Większość dnia spędziła z dwudziestką inżynierów w starej sali konferencyjnej von Brauna. Większość to byli młodzi Amerykanie, co rozwiało jej uprzedzenia, gdyż wcześniej uważała, że Marshall jest zdominowany przez Niemców. Każdy z inżynierów dostał pół godziny na omówienie swojej specjalności, podczas gdy reszta nie opuszczała sali, przyglądając się to mówiącemu, to jej. York wydało się to dziwne. Czy ci ludzie nie mieli nic lepszego do roboty, niż gapić się na nią, oglądając slajdy raket? Zabrano ją na przyjęcie do ekskluzywnego klubu pracowników, zwanego Marsjańskim.

Tam zaczęła trochę lepiej rozumieć tych ludzi.

Tworzyli izolowaną grupę, skazaną na przebywanie w środku stanu Alabama, i loty kosmiczne były jedynym sensem ich życia. W ich oczach astronauta był wart o wiele więcej szacunku niż w oczach, powiedzmy, mieszkańców Houston, zwłaszcza jeśli należał do załogi Aresa, statku będącego wcieleniem wieloletniego marzenia von Brauna. Astronauta w Alabamie urzeczywistniał to wszystko – i dodawał im otuchy w obliczu nie kończącego się kryzysu finansowego NASA i nie dającej się przewidzieć przyszłości ośrodków. Później udała się do zakładów Michoud w Nowym Orleanie, gdzie budowano wielkie zewnętrzne zbiorniki paliwowe. Tam spędziła więcej czasu, gdyż już wcześniej podsunęto jej myśl, by podjęła się obowiązków specjalisty od zbiorników. Magazyny zakładów były ogromnymi jaskiniami, tak wielkimi, że mieściły wielkie, cylindryczne człony zbiorników. Przyglądała się wytwarzaniu grodzi, ogromnej kopuły wieńczącej zbiorniki. Grodz dostarczano w aluminiowych elementach zwanych „klinami”, których kształtowanie wymagało precyzji znacznie przekraczającej możliwości prasy hydraulicznej. Tak więc formę wraz z arkuszem aluminium opuszczano na dno zbiornika wodnego o pojemności sześćdziesięciu tysięcy galonów, a nad nim rozkładano materiały wybuchowe. Fala uderzeniowa formowała kliny.

Rozmiary przedsięwzięcia wprawiły York w podziw i zdumienie. Im lepiej poznawała zbiorniki, tym bardziej była nimi zafascynowana, chociaż żaden element misji nie miał tak prostego zadania jak one.

Każdy zbiornik zawierał dwa potężne kopulaste kanistry, na paliwo i utleniacz, połączone cylindrycznym pierścieniem. Pokrywa była z pianki poliuretanowej

grubości czterech cali i odblaskowej osłony, co w sumie miało zapobiegać samoczynnemu wzrostowi temperatury paliwa. Wewnątrz umieszczono siatki nieważkościowe i klatki deflekcyjne, co utrudniało falowanie cieczy w trakcie zapłonu. Płyny były tak ciężkie – ważyły ponad dwa miliony funtów na zbiornik – że jedno większe zafalowanie mogło wytrącić z równowagi cały klaster. Były tam też deflektory antywirowe, mające kształt ogromnych łopat śrub napędowych. Zapobiegały powstawaniu gigantycznych wirów – odpowiednika zjawiska towarzyszącego wypuszczaniu wody z wanny – które mogły zassać pęcherze oparów do rur zasilających... Jako że od statku kosmicznego wymagano ekstremalnej niezawodności, sprawnego działania w skrajnych warunkach, każdy element Aresa był o niebo bardziej skomplikowany niż wyobrażali to sobie ludzie spoza Programu. Identyczne wymagania dotyczyły nawet tak pozornie niewinnych maleństw, jak zbiorniki. A że możliwości testowe były ograniczone, do rangi zasadniczej urastała identyfikowalność wytwórcy, znajomość historii najskromniejszego elementu, począwszy od pokładu surowca, z którego go stworzono. Wszystko to miało pomóc analizie po ewentualnej awarii.

Ten stopień szczegółowości umykał świadomości ludzi – w tym decydentów w kongresie – którzy krzywili się na cenę komponentów zamawianych przez NASA. – Chcecie wydać taką masę forsy na zwykłe puszkę z paliwem?

–mawiali.

Kiedy w najgorętszych godzinach wstępnej fazy programu zjawiała się w takich miejscach jak Michoud, wszystko stawało się nieważne: zniechęcenie wywołane rezygnacją Romero, sceptycyzm, a nawet otwarta wrogość części tytułów prasowych. Jak mogłabym odmówić zaproszenia do Saturna? – myślała. Ten statek miał ją wynieść ją na Marsa, żeby dokonała niezwykle ważnych eksperymentów. Zainwestowano w nią miliard dolarów, miliard oczu będzie pilnować, czy wykonuje dobrą robotę. W takim Michoud rosło w niej przekonanie, że cena, którą płaciła – podporządkowanie się tej całej smętnej kulturze życia Wydziału Astronautów, rezygnacja z kariery naukowej, kompromisy w sferze naukowej misji, zmarnowane życie osobiste – była tego warta.

„...Widzimy, że załogowa misja kosmiczna może być traktowana, jako złożony bio –

i

socjotechniczny układ składający się z części sztucznych i ludzkich. Dokładne

zrozumienie

wymiarów psychologicznych

i interpersonalnych misji marsjańskiej ma kluczowe znaczenie, gdy zastanawiamy

się nad zminimalizowaniem ewentualnej awarii ludzkiej połowy układu, niezależnie od elementów strukturalnych, mechanicznych i elektronicznych. Wymusza to też konieczność przestrojenia całego układu. Stresy natury psychologicznej i interpersonalnej mogą być zredukowane przez takie a nie inne ukształtowanie środowiska, zmiany składu załogi, taki a nie inny ramowy układ sytuacji i zadań...”

W trakcie przygotowań do misji York najbardziej nie znosiła pseudonaukowych wykładów ekspertów psychologii, ćwiczeń grupowych z wcielaniem się w role, a także indywidualnych i grupowych analiz psychologicznych, które załoga musiała przecierpieć.

Były albo rozdzierająco nudne, albo głęboko żenujące, a najczęściej i takie, i takie.

York miała niewielkie doświadczenie w psychologii i psychiatrii, i była rozczarowana, widząc, jak wątle myślenie stoi za tym wszystkim – nawet w programie kosmicznym, w którym wcale nie liczone się z kosztami. Niektóre teorie, które zastosowano wobec niej i kolegów z załogi, wydawały się w najlepszym wypadku spekulacjami. Poza tym rzucało się w oczy, że poziom badań psychologii grupy – w przeciwieństwie do psychologii jednostki – jest nadal prymitywny.

Oprócz tego, co ważniejsze, doświadczenia z lotów długookresowych były tak skromne, że brakowało dowodów, które poparłyby proponowane zasady postępowania i techniki zachowań.

Po prostu, misja kosmiczna dalekiego zasięgu w rodzaju Programu Ares była czymś bezprecedensowym. Tak więc, przewidując, co może zaszkodzić stanowi umysłów załogi, psychologowie musieli zdać się na analizy przypadków, które miały miejsce w sytuacjach analogicznych – w podwodnych habitatach i okrętach atomowych, w polarnych stacjach badawczych i odosobnionych kanadyjskich osiedlach. Sięgali po dane odnoszące się do deprywacji sensorycznej, zachowań w warunkach bezsenności i społecznej izolacji. York czasami miała wrażenie, że te analogie posuwają się za daleko. Przyzwyczała się do myśli, że lot Aresa zmusi przemysł lotni-czo-kosmiczny do najwyższego wysiłku. Niepokoilo ją, że również takie dyscypliny, jak psychologia osiągną granice swoich możliwości.

Po prostu tak fundamentalny aspekt misji, jak przeżycie załogi, nie był przewidywalny na sto procent.

Później zaczęła dowiadywać się od Władimira Wiktorienki, jak podchodzą do tych spraw Sowieci.

Zwracali uwagę na drobiazgi: na przykład, sowieccy planiści dobierali prowiant wedle upodobań załogi. Podobnie kolory ścian i sprzętu. Dostarczano kasety z muzyką preferowaną przez poszczególne osoby. Zabierano nagrania prostych

dźwięków z ojczystej planety: śpiew ptaków, szum morza, deszcz. Zachęcano nawet kosmonautów do zabierania w przestrzeń żywych elementów, być może po części włączając je do biologicznych eksperymentów: rośliny, trawy, kijanki – kropelki życia, jak mówił Wiktorienko, skrawki wielkiego oceanu ziemskiego życia.

Astronauci amerykańscy wyrażali się z pogardą o Sowietach, uważali ich za zapóźnionych technicznie. Ale pewne aspekty sowieckiego podejścia spodobały się York.

Tamci nauczyli się prostych, praktycznych, swojskich sposobów traktowania różowych ciał w rakietach.

Zaczęła wprowadzać pomysły Wiktorienki na zajęcia z psychologii ze Stone'em i Gershonem.

–...Rzekłbym, że już sam rozmiar programu reklamowego jest nieporównywalny z niczym, co oglądaliśmy od czasu Apolla 11. Oczywiście, najbardziej zaangażowany jest Głos Ameryki. Oceniamy, że audycje rozgłośni mogą dotrzeć do dwudziestu siedmiu procent mieszkańców Ziemi poza USA. To największa operacja w jej historii. Informacje przedstartowe obejmą dziesięć tysięcy czterdzieści pięć minut nagrań i tekstów w języku angielskim, rozsyłanych do placówek Agencji Informacyjnej USA (USAI) na całym świecie.

Podczas kluczowych faz misji, Głos Ameryki będzie nadawał komentarz na żywo w siedmiu głównych językach i podsumowania w trzydziestu sześciu. Poza zwykłymi zestawami, które dostarczamy na cały świat przed lotami załogowymi, wysyłamy również specjalny przedstartowy materiał prasowy. Jest tam dziewięćdziesiąt różnego rodzaju artykułów, materiał do „Life’u”, opisujący was i wasze rodziny, czterdziestoo-śmiostronicowa kolorowa broszura „Człowiek na Marsie” w nakładzie czterystu dwudziestu dwóch tysięcy egzemplarzy, a także milion dziewięćset tysięcy pocztówek z astronautami, czyli waszą trójką. Poza tym spodziewany się wysłać do placówek USA milion odznak z Aressem, dziewięć pełnowymiarowych skafandrów do spacerów po Marsie, sto dwadzieścia pięć kiosków w kształcie Aresa – oświetlonych, z muzyką, plakatami i przezroczami. Mamy dziesięć tysięcy map Marsa, osiem tysięcy czterdzieści plastikowych Saturnów, dwieście pięćdziesiąt sześćdziesięciocalowych Marsów... Wyliczenia ciągnęły się w nieskończoność, slajdy wprawiały w oszołomienie. Jak na przemowę osoby odpowiedzialnej za public relations w NASA, informacja Ricka Llewellyna była dziwnie bezbarwna, nie inspirująca. Skupienie pierzchało po kilku zdaniach. Przypominało to początkowe zajęcia naziemne: wszystkie te schematy blokowe, ciągnące się w nieskończoność popołudniowe wykłady. Ale w istocie demonstracja Llewellyna zapowiadała coś niesłychanego. – Już w tej chwili planujemy, że po powrocie urządzimy wam, załogo, tournée po całym świecie. W ciągu czterdziestu ośmiu dni odwiedzicie trzydzieści pięć krajów, spotykając się z grupami opinio-dawczymi z prasy, telewizji, świata

nauki, studentami, nauczycielami, a także politykami. Pojedziecie do Meksyku, Kolumbii, Brazylii, Hiszpanii, Francji, Belgii, Norwegii, Anglii...

Dawno temu, podczas planowania misji, podaliśmy ośrodkom medialnym na całym świecie zasadnicze tematy związane z waszym lotem. Po pierwsze, oczywiście, Ares reprezentuje na Marsie ludzi, jest ziszczeniem odwiecznego marzenia, w naturze człowieka leży podejmowanie trudnych wyzwań, ple, ple, ple, cała ta gadanina. Następnie, historycznie biorąc, Ares powstał dzięki pracy i osiągnięciom wielu naukowców, Newtona, Goddarda i von Brauna. Wiecie, o kim mówię. A dzisiaj Program Ares ma silny wydźwięk międzynarodowy, są zagraniczni badacze, jest swobodny dostęp do próbek i danych, są stacje śledzenia na całym świecie, Rosjanie pomagają w waszym treningu i tak dalej. Na dodatek, rzecz jasna, zdobywanie kosmosu służy ludzkości – tu jest spory materiał na temat korzyści dodatkowych – i chociaż Program Ares sam w sobie jest spektakularnym osiągnięciem w przestrzeni pozaziemskiej, to liczycie na to, że wiele technologii użytych przy jego realizacji pomoże rozwiązać trudne problemy na Ziemi...

„Program Ares jako okno wystawowe technokratycznych rozwiązań” – pomyślała kwaśno York. „A jednak w końcu wszystko podciągnięto pod ten sam strychulec, co Program Apollo”.

Ale nastrój był nieco mroczniej szy niż w latach sześćdziesiątych. Reagan mówił o wojnach gwiazdnych, kosmicznej broni laserowej i inteligentnych pociskach. Kosmos znów stał się areną prężenia mu-skułów. I rząd Reagana bez zmrużenia oka wykorzystywał Program Ares, żeby uspokoić narodową i międzynarodową opinię publiczną czującą na militarne wykorzystanie techniki kosmicznej. Ares stał się w mediach drugą stroną wojen gwiazdnych, wyśnioną połową amerykańskiego programu kosmicznego, połączoną ze swoim groźnym bratem bliźniakiem. Może taka była intencja rządu jeszcze w roku 1981, kiedy zaaprobował zmianę charakteru misji, dokonaną przez Joego Muldoona. York dostrzegła w tym rękę Freda Michaela, nadal pociągającego za sznurki, nawet ze swojej emerytury w Dallas. Michaels narzucił Reaganowi – a także opinii publicznej i Kongresowi – przekonanie, że Program Ares jest nieodłącznie związany z SDI*[Przyp tłum Strategie Defense Initiative, program „wojen gwiazdnych”]. Tak długo, jak Reagan wpompowywał miliardy dolarów w zbrojenia, część z nich wpływała do NASA na podtrzymanie Programu Ares. Michaels sprytnie to sobie wykombinował. „Nawet jeśli postąpił ze szczerem amoral-nie” – pomyślała.

„Nie ma takiej rzeczy, dobrej czy złej, która nie byłaby usprawiedliwiona, jeśli posłużyła dobru misji”.

Tymczasem każdy element medialny związany z misją – każda sztuczka, każda zabawka, każdy wizerunek – miał wielorakie znaczenie: Ares jako symbol geopolityczny, Ares jako reklama technokracji.

Taka zapewne była kolej rzeczy. Bo naprawdę rząd asygnował pieniądze na podróże kosmiczne tylko z jednego powodu: dla politycznych korzyści. I oto ona, Natalie York, wielki sceptyk w sprawach kosmosu, została przemieniona w jeden z wielkich symboli olśniewającego – i zabójczego – przemysłu kosmicznego. Spojrzała na ekran, na tysiąc reprodukcji własnej twarzy, i przeszedł ją dreszcz.

Odwiedziny, konferencje prasowe, sesje zdjęciowe w warunkach naturalnych trwały. To, co York miała do powiedzenia, było ściśle określone, wtłoczone jej do głowy przez pracowników Biura Prasowego. „Potrzebujemy was! Spisujcie się jak należy!” I wszędzie, gdzie jeździła, byli ludzie; tysiące ludzi, zawsze wpatrzonych w nią, uśmiechniętych, oddalonych, ale przepelnionych jakimś dziwnym pragnieniem. Jakby chcieli jej dotknąć. I zawsze ją oklaskiwali.

Nie myślała wiele o przyszłości. Dla niej „po misji” było tak odległe, że równie dobrze mogło nie istnieć; jakby całe jej życie miało się skończyć z chwilą, w której wejdzie do modułu dowodzenia.

Ale jej życie miało potoczyć się dalej samoistnie. I w pewnym sensie nic, co czekało ją na Marsie – nawet cenne badania geologiczne – nie mogło dorównać jednemu prostemu faktowi: temu, że po prostu tam będzie.

Myślała o wyrazie twarzy dziennikarzy i widzów, kiedy wpatrywali się w tych, którzy byli w kosmosie, na Księżycu: „Kiedy wrócę, będą na mnie patrzyli tak samo. Nawet teraz już tak na mnie patrzą. I mają do tego prawo; lecę za ich pieniądze”. A co z nią samą? Czy stanie się kimś podobnym do Joego Muldoo-na, kimś w rodzaju żywego ducha, a jej życie ulegnie przemianie z powodu tej krótkiej, przypominającej marzenie senne i nie mającej nigdy się powtórzyć marsjańskiej przerwy?

Zaczęła dostrzegać mroczniejszą stronę fascynacji astronautami. Jasne, ludzie chcieli

obejrzeć kobietę – tę niby zwyczajną osobę – która miała w ich imieniu znaleźć się na Marsie,

dokonać tego niesłychanego kroku ewolucji.

Ale myśleli również, że może zginąć.

Poniedziałek, 18 lutego 1984 roku Marin w stanie Ohio

Cmentarzyk był absolutnie małomiasteczkowy; schludny, zadbany, lśniący rzędami białych nagrobków. Otwarty grób przypominał ranę w uprawnej glebie, czekającą na zaszycie.

Obecni i przyszli astronauta wśród żałobników – Joe Muldoon, Phil Stone i inni – wyglądali absolutnie na miejscu w czarnych odprasowanych mundurach, wyprostowani po wojskowemu. Byli przecież małomiasteczkowymi bohaterami w każdym calu. Dzień był przepiękny, niebo błękitne, bez chmurki, słońce świeciło ostro, zapowiadając wczesną wiosnę.

York czuła się odrętwiała, pusta, niezdolna wykrzesać w sobie żal i rozpacz po umarłym.

Peter Priest zmarł nędną śmiercią w wieku dwudziestu pięciu lat. Przedawkował kokainę. „Przesrał sobie życie – pomyślała brutalnie – i niczego nie osiągnął;

do diabła, nad

czym tu rozpaczać?”

Nie czuła się winna, że nic nie czuje. Dzieciak pewnie powitałby wrogo ten najazd waśniaków, pewnie nie tak wyobrażał sobie swój pogrzeb. To wszystko był pomysł jego matki.

York pamiętała chłopca, który biegał wokół poligonu rakietowego lata temu. Co znaczył jego zgon? Czy coś łączyło to wydarzenie z tamtym dniem na Równinie Szakali – z programem kosmicznym w ogóle tą jedną wielką obsesją, która pochłonęła również ojca tego chłopca?

A jakie światło rzucało to koszarne, paraliżujące wydarzenie na jej dwuznaczny związek z Benem?

Nie powinna tu przyjeżdżać. Ale Karen Priest zaprosiła ją osobiście: – Ben często mówił o tobie. Wiem, że należałaś do grona jego dobrych przyjaciół. Będę zaszczycona, jeśli przyjedziesz tu wspomnieć Peteya, najlepiej jak możemy... Na litość boską, Petera – pomyślała wtedy. – Chciał, żeby mówić na niego „Peter”. To naprawdę niewielka prośba.

Co dziwne, Karen nie była tak załamana, jak York się tego spodziewała. Można by pomyśleć, że odejście Petera było częścią dawnej umowy z mężem i już wcześniej pogodziła się z tym faktem.

Gdy York nie czuła nic w takich okolicznościach, to odrętwienie wydawało się jej nieludzkie. Może pełne determinacji dążenie do jednego celu sprawiło, że wpadła w obsesję.

Stała się w środku pusta, co, zdaniem wielu ludzi, spotkało również sam program kosmiczny.

Po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić, co czuje Karen Priest, co znaczy pochować męża i syna w odstępie kilku lat. „Może NASA powinna mi zrobić symulację takiej sytuacji” – pomyślała z goryczą.

Ceremonia dobiegła końca. Grupa rozproszyła się, ludzie ruszyli do samochodów, miejscowi do podniszczonych fordów, ludzie z programu kosmicznego do wielkich wynajętych chevroletów.

York wiedziała, że Karen zaprasza ludzi na stypę, ale nie mogła dłużej znieść tego, co czuła: braku żalu, potwornej pustki.

Podszedł do niej jakiś mężczyzna – niski, grubawy brunet.

–Cześć. – Był starannie ogolony i uczesany, w drogim płaszczu. Uśmiechnął się do

niej. Chociaż wyglądał znajomo, początkowo go nie rozpoznała. Odsunęła się, studiując

uważnie twarz. Dla ludzi z prasy nie było rzeczy niemożliwych i mogli się dostać nawet na

prywatną ceremonię. Ale nie chciała mówić niczego, co posłużyłoby do zacytowania w

mediach. Uśmiech na twarzy mężczyzny przygasł. – Nie poznajesz mnie, co? Mój Boże,

Natalie. No cóż, pewnie te moje łachy...

To był Mike Conlig.

–Mike. Jezu. Do diabła, co się z tobą stało?

Uśmiechnął się z pewnym zażenowaniem i przeciągnął dłonią po gładko wygolonym podbródku.

–Nie podoba ci się?

–To niesamowite, jak się zmieniłeś, Mike.

–No cóż, jak mus to mus.

–Wciąż jesteś w Oakland? – Conlig opuścił NASA po katastrofie Apolla-N i zatrudnił się w Oakland Gyroscope.

–Pewnie. – Spojrzał na nią z namysłem, jakby rozważając, jak przyjmie nowiny. – Dobrze mi idzie. Akurat robimy części do Saturna 5B. Może kiedyś byś nas odwiedziła.

–Pewnie – odparła niewiażąco.

–Już odszedłem z wytwarzania. Do kierownictwa. – Roześmiał się autoironicznie.

–

Mówi się, że mam zostać wice od technologii. Uwierzyłabyś? A ty... jak ci leci?

„Mnie? Wciąż się bawię w astronautkę” – odpowiedziała mu w myślach. – Och, świetnie – powiedziała nieporadnie. – Jeśli czytasz prasę, to pewnie wiesz o mnie więcej niż ja sama.

–No. Gratuluję, Natalie. Gratuluję tego, że osiągnęłaś, co chciałaś... – W jego głosie odezwało się zażenowanie i wycofał się w ogólniki. – To fantastyczne, jak skoczyło zainteresowanie misją, od kiedy ogłoszono twoją nominację. Oczywiście, że śledziłem wiadomości. Przez lata program lotu na Marsa miał wielu przeciwników, nie da się ukryć. Ale teraz wygląda na to, że jest na odwrót. To jak ze sprawą Apolla 11... – Chyba miał rację, potwierdziło to wielu ludzi. Ogólny opór w stosunku do lotu załogowego zmalął, chociażby na krótko, kiedy opinia publiczna poznała trójkę ludzi, którzy mieli podjąć tę wyjątkową podróż. Gdy lot kosmiczny przestawał dotyczyć tylko królestwa rakiet oraz celów naukowych i obejmował sprawy ludzkie, ogół reagował pozytywnie. Ale York wiedziała, że Muldoon, Josephson i inni już się martwili, iż to dobre nastawienie ulegnie zmianie po zakończeniu Programu Ares. – Myślę, że to twoja zasługa, Natalie – powiedział z wahaniem Conlig.

–Jak to moja?

–Zapewne dlatego że jesteś kobietą. I dlatego że jesteś kimś jasno rozpoznawalnym, wyraźnie określonym. Nie jednym z tych cholernych niemych robotów, które posyłali na Księżyc. Tak mi się zdaje, że ludzie po cichu zawsze życzili programowi kosmicznemu powodzenia. Żeby te rakiety doleciały jak najdalej. Chęć zdobywania nowych światów to w gruncie rzeczy głęboko ludzkie pragnienie. I, do diabła, stać nas na jego realizację, teraz, kiedy Reagan mówi o wydaniu biliona dolców na zbrojenia. Ludzi odrzuca tylko ta zimna, nieludzka maska, którą NASA zawsze pokazuje. Ale teraz wszyscy życzymy wam powodzenia, bo jesteś jedną z nas. Wiesz, o co mi chodzi? – Conlig przyglądał się jej uważnie, ze skupieniem.

–Niech mnie diabli porwą, Mike. To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałeś.

Spotkali się po raz pierwszy po tamtej ostatecznej kłótni, w dniu katastrofy NERVA.

Dzielnie się zachował, przyjeżdżając na ten pogrzeb. Jeśli jej uczucia wobec Bena były tak niejasne, pełne poczucia winy, Bóg jeden wiedział, co musiał przeżywać Mike. Ale chyba nie czuł się skrępowany. Może jakoś wytłumaczył sobie to, co się stało, swój udział w katastrofie. Jeśli tak, zazdrościła mu. – Może byś ze mną podeszła – zaproponował. – Poznałabyś Bobbie.

–Twoją żonę, tak? Obejrzał się raz i drugi.

–Nie poznałaś jej. – Wskazał na szczupłą blondynkę z dzieckiem na ręku przy sznurze samochodów. Pomachała im.

–Masz dziecko.

–Dwoje. – Conlig uśmiechnął się szeroko. – Maleństwa nie wzięliśmy, jest u babci.

Dzieci też nie znasz. Do diabła, Natalie. I pomyśleć... „Że mogły być moje” – dokończyła za niego w myślach i ucięła ten wątek. Conlig litościwie nie drążył tematu.

Stosunkowo łatwo wymigała się od poznania Bobbie. Mike się zmienił, stał się wyrozumiały.

Uzyskał od niej kilka obietnic – miała przyjechać z wizytą, odwiedzić zakład produkcji żyroskopów. Rozstali się, podawszy sobie dłonie. York ruszyła do samochodu, nie wiedząc, co myśleć.

Conlig okazał się człowiekiem o wiele bardziej opanowanym niż kiedyś. Determinacja, obsesyjne parcie do celu znikły. Może te cechy spełniły swoje zadanie, umieszczając go w miejscu, które było mu pisane, i zostały odrzucone, jak zużyty człon rakiety.

Conlig idealnie pasował do wzorca, który sobie wybrał – prosperującego, ambitnego czterdziestolatka.

Założył rodzinę. Zapuścił korzenie. Odrzucił obsesyjne cele młodości, związane wyłącznie z techniką. Przyłączył się do gatunku ludzkiego. Wyrósł. Stał się typem człowieka, któremu zawsze przyglądała się tylko z zewnątrz, nie wyobrażając nigdy siebie w tej skórze.

„Do diabła, jakie wnioski wynikają z tego dla mnie?” – spytała się w duchu. Zaczęła

rozumieć, że Program Mars wypaczył całą drogę podboju kosmosu. W tej chwili NASA istniała tylko w jednym celu – żeby umieścić ich troje na powierzchni Marsa i sprowadzić z powrotem na Ziemię. Do diabła, nic innego się nie liczyło – żadne potem.

I Program Mars wykoślawił jej życie, jakby była pomniejszonym modelem świata.

„Do cholery, może byłabym szczęśliwsza jako poszukiwacz złóż u jakiegoś

nafciarza,

i to szczęśliwsza o całe niebo” – pomyślała. Ale czerwony blask Marsa oślepił ją

i żeby

dotknąć planety poświęciła

wszystko: karierę, badania naukowe, może szansę założenia rodziny, nawet przyszłość po zakończeniu misji.

Nowy Mike Conlig był typem dorosłej osoby, którą mogła się stać. Gdyby nie ten cholerny Mars.

Kiedy wsiadała do samochodu, ogarnęła ją czarna depresja. Wtorek, 26 lutego 1985 roku Ośrodek Kosmiczny im. L.B. Johnsona, Houston W budynku numer trzy mieściła się stołówka JSC. To, że York była astronautką wyznaczoną do lotu na Marsa, nie miało znaczenia, w kolejce musiała stać jak cała reszta.

Usiadła przy stoliczku przy oknie. Lancz był typowym urzędniczym posiłkiem – bitki w kleistym sosie, ryż i do tego oranżada.

Stołówka była jednym ze starszych budynków JSC, wielkim, ponurym, z małymi

oknami i płytkami u sufitu, w stylu wczesnych lat sześćdziesiątych. York czuła

się w nim tak,

jakby znów uwięziono ją w liceum.

Naprzeciwko usiadł Adam Bleeker.

–Można? – spytał.

Zmusiła się do uśmiechu. Nie zauważyła, że się zbliżał. Jego spokojna twarz, jak zwykle, nie wyrażała żadnych uczuć. „Może naprawdę jest taki w środku jak na zewnątrz” – pomyślała York.

–Nie. To znaczy... do diabła, tak, oczywiście tak, Adamie. Proszę. – Skinął

głową i

usiadł, stawiając tackę. Miał jarzynową lasagne, dzisiejsze danie

wegetariańskie; nabił na

widelec płat makaronu i podniósł go do ust. W blasku dnia jego oczy miały barwę

intensywnego błękitu. Nie dało się w nich niczego odczytać. York szukała tematu

do

rozmowy. – Jesteś zajęty? – spytała.

Skrzywił się, gryząc makaron.

–A jak inaczej? Nie uwierzyłabyś, ale bardziej zajęty niż wtedy, kiedy miałem lecieć. Prawie nie wychodzę z symulatorów.

–To chyba świadczy, jak bardzo...

–... mnie potrzebujecie. Wiem, Natalie.

–

–Słuchaj, Adamie, wiem, jak musisz się czuć. Na litość boską, trenowałeś od czasu lądowań na Księżycu. I wykolegował cię taki żółtodziób jak ja... – Uczyłem się medycyny kosmicznej – powiedział nieoczekiwanie. – W wolnym czasie.

Ta uwaga nie a propos zaskoczyła York. Może Adam był bardziej rozchwiany, niż

się

to wydawało.

–Naprawdę? Dlaczego? Zmierzył ją wzrokiem.

–A ciebie to nie ciekawiło? Ja wcześniej nigdy nie traktowałem tego poważnie. Wiesz, na co wpadłem? Jako członek załogi lecącej w kosmos jesteś w świetle prawa pracownikiem federalnej agencji radiologicznej. Co ty na to? Przepisy Urzędu Zdrowia i Bezpieczeństwa Pracy regulują, jakie dawki promieniowania możesz dostać w kosmosie.

–I co z tego wynika? Założę się, że gdybyśmy trzymali się zasad, to nie

wylecieliśmy poza orbitę Ziemi.

Roześmiał się.

–Tak się składa, że masz rację. Na niskiej orbicie okołozemskiej jesteś do pewnego stopnia chroniona magnetosferą. Poza nią jesteś bezbronna. Ale NASA przewidziała wyjątek:

„nietypowe misje badawcze”.

–Więc są kryci.

–No. Jak lotnictwo wojskowe. I CIA. – Spojrzał na nią, nie zdradzając, o czym myśli. – Wiesz, tam, poza osłoną magnetosfery, ryzyko rośnie nieprawdopodobnie. Podczas wydarzeń związanych z aktywnością słoneczną, na przykład rozbłysków, chowasz się w przeciw słonecznym schronie burzowym, ale jest stałe promieniowanie tła, promieniowanie kosmiczne tła galaktycznego. A kobiety są...

–O pięćdziesiąt procent bardziej podatne na ryzyko związane z promieniowaniem niż mężczyźni. Wiem, Adamie – powiedziała.

Patrzył jakby w głąb siebie, nie widząc jej.

–Wiesz, tam, w górze, czuje się różnicę. Dopiero to poznasz, Natalie, ja nie potrafię tego opisać. Czujesz krew napływającą do serca, w naczynia. Wracasz z kurzymi nogami, jak na to mówimy. Wszystko to mija. Ale potem nagle zaczynasz się szybko starzeć...

Wiesz,

Natalie, ja nie jestem jedyny.

–W jakim sensie, jedyny”?

–

–Jedyny, któremu się to trafiło. Na ile wiem, nikt z aktywnej służby nie został uziemiony konkretnie z powodu napromieniowania. Ale część starej gwardii, ci którzy latali w latach sześćdziesiątych, mają już oznaki osteoporozy. Raka. Stuka im pięćdziesiątka czy sześćdziesiątka, a oni umierają z przyczyn nieznanych normalnej populacji. Przeleciał ją chłód; odłożyła widelec.

–Ale tamci faceci mieli za sobą tydzień, dwa lotów...

–No. Ale człowiek adaptował się do życia na Ziemi przez cztery miliardy lat. Przez chwilę mieliśmy złudzenie, że latanie w kosmos to pestka. Ale my naprawdę

ryzykujemy swoje życie, masz pojęcie? Chociaż z drugiej strony, niektórzy jakby lepiej się adaptują. Na przykład, wracają na Ziemię z minimalną atrofią mięśni. Może będziesz miała fart, Natalie.

Może okażesz się odporna...

–Gdybyśmy żyli w racjonalnym świecie – powiedziała York – charakterystyka Programu Ares byłaby inna. Ten cały nasz plan to relikw z lat sześćdziesiątych. – Właśnie. Kiedyś liczyło się, aby dolecieć, nie to, co się robiło, kiedy się już doleciało. Gdybyśmy byli inteligentni, nie planowalibyśmy trzydziestodniowego postoj; miałabyś na badania rok. Jak już się znajdziesz na powierzchni Marsa, będziesz stosunkowo bezpieczna. Podczas tego króciutkiego lotu wchłoniesz prawie tyle samo remów, co w trakcie dwóch misji energooszczędnych na Marsa, które zapewniłyby ci pięćset dni na planecie.

Podczas jednej misji otrzymasz niemal maksimum tego, co możesz wchłonąć przez całe życie.

–Zgodnie z zasadami Urzędu Zdrowia, tak?

–Właśnie. A poza tym długi postój na Marsie i tak byłby dla ciebie lepszy, gdyż dałby ci czas na podreperowanie kondycji po długim przebywaniu w warunkach nieważkości... Zresztą, do diabła z tym. – Dziobnął jedzenia. – Wiesz, można powiedzieć, że nie jesteśmy jeszcze do tego gotowi. Rozważamy opcję lotu na Marsa od trzydziestu lat. Od czasów samego von Brauna. I wciąż mamy te same problemy podstawowe... chodzi mi o energię potrzebną na wydostanie się ze studni grawitacyjnej Ziemi i na przebycie przestrzeni międzyplanetarnej. I tak naprawdę nie trafiliśmy na żadne bardziej inteligentne rozwiązania, niż von Braun. Wciąż wystrzelujemy wielkie rakiety wodorowo-tlenowe, bo nie mamy pojęcia, co innego można by zrobić.

Czuła się zadowolona, słysząc te uwagi w ustach kogoś takiego jak Bleeker. Może kultura NASA zmieniała się powoli. Chociaż Bleeker rozważał to takim tonem, jakby zastanawiał się nad wynikami baseballa. – Nigdy nie potrafiłam cię rozgryźć, Adamie – wyznała szczerze. – Wiesz, często myślałam podobnie jak ty. Że jeszcze nie jesteśmy do tego gotowi... Skinął głową, uśmiechając się lekko.

–Tak mi się wydawało.

–Ale to i tak mnie nie powstrzyma.

–Wiem. Mnie też by nie powstrzymało, gdyby pozwolili mi lecieć. – Nie próbujesz

odwieść mnie od tego? – Chciała nadać pytaniu lekko żartobliwy ton, ale nie była pewna, na ile skutecznie.

–Próbowałem, gdybym uważał, że mi się uda – odparł poważnie. – Chociaż nic by mi to nie dało. – Potrząsnął głową i spytał nagle: – Wiesz, co było dla mnie najgorsze?

–Co?

–Kiedy musiałem wytłumaczyć mojemu synowi... nazywa się Billy... że nie lecę na Marsa. Cholerny świat – powiedział i wyjrzał przez okno na zamglone houstońskie słońce.

Nie potrafiła znaleźć innego tematu rozmowy. Bleeker zjadł jeszcze trochę lasagne.

Czas misji: 371/01:32:30

Gershon po raz ostatni wprawił w ruch silniczki kontroli pozycji. Chciał się upewnić,

że są sprawne. Stuknęły bezpieczniki.

–Wszystko działa na medal, chłopaki.

Twarz Stone'a za porysowaną osłoną hełmu była zastygła, niemal ponura. – Dobrze. No, to bierzmy się za to, do diabła – rozkazał. Gershon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Rozległ się klekot sworzni wybuchowych. Challenger uwolnił się od reszty Aresa.

Rakietki hamowania na paliwo stałe u podstawy MEM-a odpaliły całym klastrem.

Challenger wszedł na nową, niską orbitę Marsa.

Przypięta do rozkładanego fotela York próbowała się rozluźnić. Challenger miał utrzymać pozycję w trakcie kilku obrotów planety, podczas gdy obaj piloci i pracownicy kontroli misji będą sprawdzać układy.

Kabina członu ładowniczego MEM-a, ukryta w stożkowej górnej osłonie ablacyjnej, tworzyła mniej więcej pionowy cylinder, wznoszący się nad York. Trzy rozkładane fotele wciśnięto jeden obok drugiego u podstawy członu. Po bokach były pulpity nawigacji i kierowania z wielkimi sztucznymi horyzontami, z sufitu sterczał teleskop osiowania.

Główne iluminatory kabiny miały kształt dużych, wciętych w dół trójkątów, tak że stojący piloci mogli obserwować miejsce lądowania. W górze było małe prostokątne okienko, któremu odpowiadał otwór w górnej części osłony ablacyjnej. York tkwiła unieruchomiona między pilotami i patrzyła w to okienko, jak więzień w świetlik celi. Podczas gdy wewnątrz modułu dowodzenia Apolla tchnęło ciepłem – pełno w nim było brązów, popielatości i zieleni – ściany tej kabiny były głównie z niemalowanego aluminium.

Wydawało się cienkie, delikatne i w jakiś sposób niewykończone. Widoczne były linie nitów łączące całość. W oczach York ta surowość wnętrza świadczyła o przyspieszonym wykończeniu, niedopracowaniu technologicznym w porównaniu z Programem Apollo. Patrząc w iluminator, widziała Aresa oddalającego się od MEM-a. Po raz pierwszy od czasu manewru spotkania na orbicie Ziemi, oglądała raketę z zewnątrz. Grube, wierne silniki MS-2 nadal stanowiły ośrodek ciężkości rakiety –

choć dawno temu odrzucono dwa zbiorniki zewnętrzne – a przed nimi widniał wąski człon MS-4B, który miał ich umieścić z powrotem na orbicie Ziemi. Cały Endeavour, cylindryczny moduł misji ze skrzydlatym zestawem baterii słonecznych, został już oddzielony od MS-4B, odwrócony i zacumowany dziobem; chodziło o uwolnienie MEM-a z osłony u podstawy modułu misji. Tymczasem Discovery, ich Apollo, cumował teraz przy bocznym pierścieniu cumowniczym, zwisając z boku modułu misji niczym jagoda z gałęzi.

Po powrocie Challengera na orbitę Marsa, MEM miał zostać porzucony, a pozostałe moduły – człony silników, moduł misji i Apollo – kolejny raz ułożone w linii prostej i odpalone w kierunku Ziemi.

Klaster był zbiorem prostacko połączonych cylindrów, pudeł i paneli, które poprzekładano po wejściu na orbitę Marsa. Cała ta robota konstruktorska na orbicie – przemieszczanie modułów, jakby to były klocki lego – doprowadzała York do szału. Na litość boską, kiedy oddzielili moduł misji od silników, odcinali się od jedyne go źródła napędu, które mogło ich zawieźć do domu! Ale zdawała sobie sprawę, że każdy etap zabezpieczały procedury alarmowe, dające możliwość stworzenia takich konfiguracji, że lot na Ziemię był możliwy, nawet gdyby z lądowania wyszły nici.

„To wszystko symptom marnej techniki, naszej nieporadności, do której musimy się przystosować” – myślała. „Któregoś dnia będziemy mogli podróżować w kosmosie w jako tako komfortowych warunkach, nie musząc przez cały czas rozkładać i składać tego cho-lerstwa”.

Złożona rakietą nie miała w sobie nic z precyzyjnej, lśniącej zaba-weczki, daleko jej było do elegancji, którą emanowały statki na orbicie Ziemi. Po roku w przestrzeni oślepiająca biel przeszła w bladą żółć; ocienione obszary kadłuba upodobniły się brązowymi plamami do zniszczonej skorupy Marsa. Klaster wyglądał staro, napiętnowany przebywaniem w przestrzeni kosmicznej.

Kiedy Ares znikł z pola widzenia York, za oknem została czerń.

Czerń i od czasu do czasu wąski pas żółtobrązowego pejzażu.

Challenger przeleciał nad zaciemioną sferą Marsa. Trzydzieści sekund do DOI* [Przyp tłum Insertion into descent orbit, zejście na orbitę lądowania.] – powiedział Stone. – Wszystko sprawne. – Potwierdzam, sprawne – powiedział Gershon.

York widziała dłoń Gershona zawieszoną nad przyciskiem odpalenia. Oczywiście Challenger był skarbem Gershona, a następne kilka minut, przeznaczone na lądowanie, kulminacją dziesięciu lat pracy. Gershon był zdenerwowany, spięty, oczekujący. Symulatory przypominały nakręcone sprężyny, w każdej chwili grożące awarią. Takie zresztą było ich zadanie; oswoić załogę i kontrolerów z niezliczonymi

katastrofami, które groziły misji, i nauczyć pokonywać trudności. Teraz, kiedy przyglądała się Gershonowi, również miała wrażenie, że ogląda sprężynę, którą nakręcono, ale w innym celu. „Będzie musiał mocno zacisnąć zęby, żeby nie przejść na ręczne sterowanie, i nie posadzić samodzielnie tej zardzewiałej rury” – pomyślała. Ale z punktu widzenia York to było dobre rozwiązanie. – Piętnaście sekund – zapowiedział Stone. – Dziesięć sekund do DOI. No i proszę, załoga. Osiem. Sześć, pięć, cztery.

Urękawiczona dłoń Gershona zacisnęła się na przycisku odpalenia.

–Dwie, jedna.

Rakiety kolejno odpaliły. Rozległ się zduszony grzechot. Daleko za plecami załogi nastąpił wstrząs.

–Jest światło silników hamowania. – Gershon błysnął zębami w uśmiechu. – Pięknie!

Moje złotka!

Challenger jakby został mocno popchnięty w tył. York wiedziała, że rakiety na paliwo stałe zawsze pracują o wiele mocniej niż na paliwo płynne. Odpalenie trwało; Stone odliczał czas. Oddziaływanie rakiet dających czterdzieści tysięcy funtów ciągu było zbyt słabe, żeby wstrząsnąć masą MEM-a, więc nie czuło się szarpania, wibracji, wyraźnego zwolnienia. Jedynie równomierny opór, któremu towarzyszył nieprzerwany syk płonących silników hamujących. Opór nagle ustał. Zestaw rakiet hamujących wyłączył się dokładnie z harmonogramem.

Wydawało się, że nie nastąpiła żadna zmiana. Challenger jak na razie pozostawał na orbicie Marsa i York nadal była nieważka. Unosiła się na tyle, na ile pozwalały pasy bezpieczeństwa.

Ale MEM opadał. Zbliżywszy się na jakieś trzydzieści mil do Marsa, miał wejść w atmosferę, która już zwiąże statek z planetą.

Challenger musiał wylądować na Marsie.

Nagle York uświadomiła sobie, jak mała i krucha jest kapsuła. Czekają ich zupełnie inne lądowanie niż na Ziemi. Tam opadałeś ku zamieszkałej planecie, ku oceanowi pełnemu statków, które tylko czekały, żeby cię zabrać na pokład. Tu było tylko ich troje, ściśniętych jak sardynki w małej łupinie opadającej w kierunku martwej planety. Byli tak daleko od Ziemi, że nawet jej nie widzieli.

To nie był

koniec podróży, nie lecieli do domu;

oddalali się jeszcze bardziej, docierali do granic możliwości i ryzyka, tak daleko od Ziemi, że kontrola misji nie mogła nawet w nimi rozmawiać w czasie rzeczywistym.

Wspinali

się na jeszcze wyższy szczebel drabiny.

Ale York zamiast lęku czuła przede wszystkim ulgę. „Kolejny próg ryzyka za nami”

–

pomyślała. Im dalej się posuwali, tym mniej rzeczy mogło zawieść.

–Niebawem odrzucenie silników hamujących – zapowiedział Gershon.

Stone odliczał czas.

–Trzy, dwa, jeden.

York usłyszała przytłumiony huk, kiedy ładunki wybuchowe odcięły sworznie, trzymujące mały zestaw silników hamujących u podstawy Challengeera. Coś załomotało o ścianę. To był dziwny odgłos, jak kroki wielkiego ptaszyska; pewnie obejma raketek zaszurała o kadłub.

Po usunięciu silników hamujących, Challenger opadał swobodnie jak kula armatnia. Osłona ablacyjna nadawała mu kształt tępego stożka, klasyczną formę modułu dowodzenia, chociaż MEM był prawie trzy razy większy od modułu dowodzenia Apolla. Gershon uniósł dziób statku, tak że opadał w gęstniejące powietrze tępą rufą, osłoniętą najgrubszą warstwą tytanowego zabezpieczenia. Kiedy odpalał silniczki kontroli pozycji, za górnym iluminatorkiem ulatywały obłoczki szarej mgły. Ta mgła, niewielkie opary przezroczystej bieli, zaczęła się utrzymywać, nawet gdy Gershon zwalniał przyciski odpalenia.

Przybrała barwę różową. Rozległ się cienki gwizd. To atomy marsjańskiego powietrza rozlatywały się na kawałki pod wpływem zderzenia z osłoną ablacyjną Challengeera.

Gershon wydał dziki okrzyk.

–Już blisko! – zawołał podekscytowany. – Poczciwy tatuś Mars prowadzi nas za rękę!

–Cholera – powiedział Stone zdławionym głosem. York poczuła pierwsze oznaki oporu atmosfery; łagodny nacisk na brzuch, ciężące nogi.

Na stanowisku Gershona zapaliło się światełko.

–Jest! – krzyknął. – 0,5 g. Teraz zacznijcie się na serio. Trzymajcie się. „0,5 g” – powtórzyła w myślach York. Taki był tradycyjny próg oporu atmosferycznego. Osiągali to 0,5 g w atmosferze Marsa. Opór rósł gwałtownie, brutalnie. „Rzuca bardziej niż w symulatorach” – pomyślała York. „Ta atmosfera powinna być rzadsza, do cholery”. Wyglądało na to, że warstwy atmosfery miały bardziej złożoną, bardziej skomplikowaną budowę, niż myślano.

Ból w piersiach stał się prawie nie do zniesienia.

York trzymała oczy szeroko otwarte, starając się zapamiętać każdy szczegół. „Każda uncja mojego bólu powie jakiemuś badaczowi atmosfery więcej o Marsie” – pomyślała.

Przecież nie było wykluczone, że tylko ich troje z całej ludzkości miało przeżyć lądowanie na tej planecie.

W tej chwili jednak jakoś nie czuła, że warto się tak męczyć.

Usłyszała ostry trzask bezpieczników silników kontroli pozycji.

Gershon obserwował monitor naprowadzania.

–Lecimy jak po sznurku. Sto czterdzieści siedem stopni... Challenger znalazł się dokładnie w korytarzu wejścia w atmosferę.

Dopuszczalny błąd naprowadzania wynosił zaledwie pół stopnia, niecałe pięćdziesiąt

mil.

–Dochodzimy do 1 g... jest.

Tylko 1 g? – pomyślała York. Czuła się tak, jakby jej skafander był z ołowianych rur,

jakby jakiś grubas usiadł jej na piersiach. „To ma być normalna grawitacja ziemską?” – zadała

sobie pytanie. Po roku nieważkości ciężar wydawał się nie do zniesienia, jakby przez całe

życie miała nosić ciężki plecak.

–1,5 – powiedział Stone.

York zajęczała. Zapadała się coraz głębiej w fotel, ramiona miała wciśnięte w korpus; lekki dotyk Gershona i Stone'a przemienił się w niewyobrażalny ciężar. – Trzymajcie się, załoga – powiedział Stone. – 1,8. Przeszliście gorsze chwile w Kole.

2,1.

Gershon pracował przy tablicy naprowadzania, rękę trzymał nad sterem pozycji. – 2,5 – recytował Stone. – Sześć dziesiątych...! Pięć dziesiątych. Trzy dziesiąte. Hej, nie mówiłem wam.

Światło w małym iluminatorze stało się białoszare, zimne i ostre, tak wyraziste jak światło dzienne Ziemi. Ten rozszczepiony, niesamowity blask opływał Gershona i Stone'a; pomarańczowe skafandry przy-blakły, odblaski na osłonach hełmów ukryły twarze. Wyglądali, jakby znaleźli się wewnątrz wielkiej, pozawijanej świetlówki.

Ciężar na piersiach i nogach York malał. Czują, jak pierś zaczyna pracować, powietrze swobodniej napływa do płuc.

Coś przeleciało za iluminatorem; małe, jasne, żółte. Płonęło. Był to kawałek osłony ablacyjnej podstawy statku, unoszący ze sobą część zabójczej energii cieplnej. Przeleciały kolejne fragmenty, duże jak pięść lub większe, niektóre tłukąc o kadłub. York poczuła napływ paniki. „Jezu – pomyślała – nie wytrzymamy tego dłużej. Mars ma pierwszą szansę nas zabić. Skorzysta z niej czy nie?” Z powierzchni Challenger pewnie wyglądał jak ogromny meteoryt, rozżarzony, rozplomieniony i skwierczący, zostawiający rozszczepiony ślad na ciemnym, marsjańskim niebie.

Silniczki kontroli pozycji znów prychnęły, unosząc dziób Challen-gera.

–Jedziemy – powiedział Gershon. – Podniesienie. MEM miał pewną zdolność manewrową. Jego środek ciężkości był kompensowany, tak więc obracając się wokół swojej osi i podnosząc dziób, odbijał się od grubszych warstw powietrza, jakby był kamieniem, którym ktoś puszczał kaczki na wodzie. – Trzy, dwa, jeden – powiedział Gershon.

Teraz York poczuła nagłe spadanie, które szybko się wyrównało; przypominało to zjazd na dół toru ogromnej kolejki górskiej.

–Co wy na to – powiedział Gershon. – To dopiero zabawa. Zaczynamy manewr najazdu.

Challenger wspinał się krótką chwilę, wytracając ciepło przed kolejnym opadaniem.

Stone postukał w szklaną tablicę.

–Hej. Wysokościomierz działa. Sześćdziesiąt tysięcy stóp. York poczuła włoski jeżące się na karku. „Sześćdziesiąt tysięcy stóp” – powtórzyła w myślach. Nagle miara wysokości przeszła od mil – oznaczenia stosownego w przypadku statku kosmicznego – do stóp, odczytywanych z wysokościomierza ciśnieniowego. Jak w

samolocie. „Prawie wylądowaliśmy” – pomyślała York. Rozległ się kolejny huk rakietek kontroli pozycji. Kapsuła kolejny raz zadarła dziób w górę. Blask za małym iluminatorem znów przygasł do szarości, potem stał się bladoróżowy, cielisty.

–Wektor wznoszenia w fazie ślizgu! – zawołał Gershon.

MEM opadał, zanurzając się w gęstniejące warstwy powietrza z prędkością dochodzącą do pięciuset stóp na sekundę. Ale teraz przyspieszenie było równe, stosunkowo

łagodne, maksymalne temperatury i przeciążenia załoga miała za sobą. Teraz York czuła się

naprawdę jak w symulatorach.

Gershon odpiął pasy i odrzucił je w tył.

–Wszyscy zmiana – powiedział. Odepchnął się od fotela i wstał. Stone poszedł w jego ślady. Załoga miała stać w ostatniej fazie kontrolowanego opadania. York niechętnie odpięła swoje pasy. Stała ostrożnie przy fotelu, trzymając się uchwytów ściennych.

Ledwo czuła nogi. Po roku w kosmosie prawie zapomniała, jak się stoi. Błądnik oszalał i aluminiowe ściany kabiny wirowały wokół niej. Czuła się niesłychanie ciężka.

Ktoś położył jej dłoń na ramieniu. Stone.

–Nie przejmuj się – powiedział. – To minie.

Niby tak. Ale po długookresowej misji obsługa naziemna wynosiła cię z kabiny i niosła do wózka, zanim znalazłaś się w szpitalu... Stone klasnął w urękawiczone dłonie.

–Zwijajmy się – powiedział. Odwrócił się do stanowiska, podobnie jak Gershon.

Zaczęli recytować pozycje z kolejnej listy zadań. Teraz obowiązkiem York było wspomagać pilotów. Pracując dźwigniami, złożyła fotele, wyrównując podłogę kabiny, następnie przymocowała elastyczne pasy bezpieczeństwa do bioder pracujących kolegów.

Z kolei sama zajęła odpowiednią pozycję, stając w kącie małej kabiny i przypięła się do pasów. „Do lądowania na Marsie tylko miejsca stojące” – pomyślała. Rozległ się ostry trzask. Ostre, płaskie światło Słońca zalało kabinę. Stożkowa osłona ablacyjna

już wypełniła swoje zadanie. Teraz rozczłonkowała się i odpadła, odsłaniając skomplikowane kształty zbiorników paliwa i anteny. Z dołu statku wyskoczył czop, uwalniając dyszę ładowniczego silnika hamującego. Sześć przysadzistych nóg u podstawy MEM-a prostowało się z grzechotem, wynurzając z wnętrza. Challenger zmieniał konfigurację, szykując się do lądowania. York widziała to, co pokazywało się w zakątkach iluminatorów pilotów: światło Słońca, fioletowe niebo i żółtobrązowy zakrzywiony pejzaż.

„New York Times”, poniedziałek,

4 marca 1985 roku

Hitlerowski ekspert opuszcza USA, zagrożony oskarżeniami o zbrodnie wojenne Hans Udet, urodzony w Niemczech raketowy ekspert NASA, zrezygnował z obywatelstwa USA i powrócił do Niemiec, po tym jak wczoraj ujawniono, że grozi mu odpowiedzialność przed sądem za zbrodnie wojenne.

Udet należał do jednego z zespołów Wernhera von Brauna, pracującego nad raketami V-2 podczas drugiej wojny światowej. Po wojnie przybył z Ameryki z von Braunem, żeby pracować nad programem kosmicznym Stanów Zjednoczonych. Po odejściu von Brauna na emeryturę, Udet stał się jednym z najwyższych rangą menedżerów NASA, a ostatnio kierował pracami rozwojowymi nad unowocześnionym członem silnikowym Saturn 5B. 5B będzie wykorzystany do wystrzelenia misji załogowej na Marsa i już kilkakrotnie wyniósł na orbitę Ziemi komponenty statku mars-jańskiego.

Ministerstwo Sprawiedliwości poinformowało Udetą, że musi zrezygnować z obywatelstwa USA i opuścić kraj, gdyż grozi mu oskarżenie, iż przebywał w obozie pracy przymusowej w Nordhausen, w Niemczech, gdzie wyrabiano V-2. Wygląda na to, że Ministerstwo działało na podstawie informacji, które były w posiadaniu rządu od czterdziestu lat.

Udet prawdopodobnie nie został oskarżony o popełnienie zbrodni, ale o to, że był ich

świadomy i nie powiadomił o tym fakcie władz amerykańskich, kiedy starał się o obywatelstwo USA. Udet utrzymuje, że jest niewinny, ale twierdzi, że jego wiek i sytuacja

finansowa nie

pozwalają na podjęcie długiej batalii prawnej, do której doszłoby po zaskarżeniu go

przez rząd.

Udet opuścił USA w styczniu, po osiągnięciu porozumienia z Ministerstwem Sprawiedliwości.

Najwyżsi rangą koledzy w NASA wypowiedali się w obronie Ude-ta, nazywając działanie Ministerstwa Sprawiedliwości „cynicznym” i „podłym”. Uważa się, że Ministerstwo Sprawiedliwości nie kiwnęło palcem w tej sprawie, dopóki Udet był użyteczny dla rządu, służąc wiernie Ameryce przez całe życie.

Pośród tych, którzy w szeregach NASA prowadzili kampanię na rzecz Udetą, był dr Gregory Dana, ojciec astronauty, Jamesa Dany, zmarłego w następstwie katastrofy Apolla-N.

Naukowiec sam był robotnikiem przymusowym w Nordhausen, co gazeta donosi za jego pozwoleniem...”.

„New York Times”, piątek,

8 marca 1985 roku

Frederick W. Michaels, lat 16,

dyrektor NASA

„Fred Michaels, dyrektor NASA podczas burzliwej dekady po zakończeniu Programu Apollo, zmarł we wtorek we własnym domu, w Dallas w stanie Teksas. Miał 76 lat. Urodzony w Dallas w roku 1909 Michaels otrzymał licencjat z pedagogiki na Uniwersytecie Chicagowskim w 1933 roku. Studiował prawo i w roku 1939 przyjęto go do palestry Dystryktu Columbia. Poza czterema latami spędzonymi w Biurze Budżetu pracował w latach 1939-1963 w firmach prywatnych. W tym okresie osiągnął stanowisko prezesa zarządu Umex Oil Company, zastępcy prezesa zarządu Morgan Industries i członka zarządu Southpaw Airlines. Został zatrudniony w NASA w 1963 roku. Jako dyrektor NASA pracował od roku 1971 do 1981, kiedy to zrezygnował w wyniku katastrofy misji próbnej Apolla-N i śmierci członków załogi. Rządy Michaelsa w NASA charakteryzowała polityczna zręczność. Był człowiekiem o wiele bardziej praktycznym niż jego poprzednik, wizjonerski, ale nieskuteczny Thomas O. Paine. Michaels skutecznie poradził sobie z wewnętrznymi konfliktami, które trapiły poszczególne ośrodki od chwili przyłączenia ich do NASA, jak i zewnętrznymi naciskami ze strony świata polityki, przemysłu lotniczo-kosmicznego, ośrodków uniwersyteckich i komisji budżetu Kongresu. Michaelsa krytykowano za brak wizjonerskiego spojrzenia na przyszłość Agencji. NASA pod jego kierownictwem przybrała podobny kształt, jaki miała za czasów Jamesa Webba (1906), w erze Programu Apollo, kiedy to wszystkie działania, chociaż same w sobie nie pozbawione znaczenia, liczyły się tylko w kategorii jednego celu – którym, w przypadku

Michaelsa, było wylądowanie na Marsie. Wygląda na to, że NASA cierpiała na taki brak dalekowzrocznej strategii przez większość lat siedemdziesiątych, a kiedy po katastrofie Apolla-NERVA powstały jasne zarysy nowej misji, ograniczyły się wyłącznie do Programu Ares, przypisując mu wszystkie siły i środki, co w sposób niebezpieczny ograniczyło rozwój Agencji. Następcy Michaelsa staną przed nie byle jakim wyzwaniem, jeśli zechcą utrzymać tak wielką organizację i tak znaczny zasób pracowników, po osiągnięciu obecnego celu.

Zapewne historia spojrzy jednak dużo łaskawszym okiem na osiągnięcia Michaelsa niż czyni to wielu współczesnych. W epoce malejącego budżetu i rosnącej wrogości wobec cywilnego programu kosmicznego USA, Michaels poszedł w ślady Webba, budując i utrzymując przy życiu polityczną koalicję wspierającą kosmiczny program lotów załogowych, który, jego zdaniem, był najważniejszym celem Agencji. Jak zauważył w tym tygodniu były prezydent John Kennedy na wieść o śmierci Michaelsa, bez zręcznej ręki nieżyjącego dyrektora Agencji, program kosmiczny obecnej doby uległby załamaniu. Warto wspomnieć, że sam pan Kennedy popierał nominację Michaelsa w 1971 roku.

Bez względu na to, co sądzymy o rocznym locie człowieka na Marsa, jest z pewnością ironią losu, iż główny architekt tego spektakularnego wyczynu nie dożyje jego realizacji.

Pan Michaels pozostawił żonę, Elly, trzy córki, Kathleen Lau, mieszkankę Wilmette w stanie Illinois, Ann Irving, mieszkankę Pal Desert w stanie Kalifornia i Jane Devlin, mieszkankę Rockville w stanie Mary-land, i ośmioro wnucząt”.

Marzec 1985 roku Cocoa Beach w

stanie Floryda

To była ostatnia konferencja prasowa w Houston, po której mieli bezpośrednio jechać na Przylądek. Ale że załoga weszła już w fazę kwarantanny, pojawili się na podium w maseczkach, których nie zdjęli aż do wejścia za plastikowy ekran. Dla wyczerpanej York było to dziwaczne i bezsensowne, a powtarzane w nieskończoność pytania i odpowiedzi pozbawione znaczenia. Artykuł z pierwszej strony „Life’u” z 28 marca nosił tytuł: Gotowi na Marsa. Zawierał opis życia domowego astronautów: Stone gra w piłkę z synami, Gershon siedzi za kierownicą samochodu, York... hm, York jest w swoim gabinecie, przegląda korespondencję, informuje o zmianie adresu, pakuje rzeczy przed wysłaniem do magazynu, uśmiecha się niepewnie do kamery. Już stworzyła swój wizerunek. „Oddany naukowiec. Niezamężna kobieta samotnie radzi sobie z życiem. Błyskotliwa wizjonerka skupiona na swoim celu”.

Tak naprawdę, to nie potrafiła już obiektywnie ocenić dziennikarzy, rozpisujących się na jej temat. Wszystko to było zadymką, która szalała wokół niej. Artykuł w „Life’ie” mógł być znacznie gorszy. Reporter stanął na wysokości zadania, mając do czynienia z bezbarwnym materiałem.

Na kilka dni przed startem wyprowadzili się z Holidaya w Cocoa Beach do sypialni załogi, na pierwsze piętro budynku lotów załogowych Ośrodka Kosmicznego im. J. Kennedy.

Biorąc pod uwagę wszystkie wymogi, było tam całkiem wygodnie. Załoga miała do dyspozycji salę gimnastyczną i kantinę. A same pokoje, oddalone od pomieszczeń biurowych, były wręcz luksusowe, jak na NASA; przechodziło się do nich przez zamykane na klucz drzwi i wkraczało do apartamentu z wykładziną na podłodze, oświetleniem regulowanym ściemniaczami i oddzielnymi sypialniami dla całej trójki. Był to ten sam apartament, w którym mieszkali przed startem luno-nauci z Programu Apollo.

Pokoje były urządzone indywidualnie, stały w nich nawet telewizory. W dwóch na ścianach wisiały akty, w trzecim pejzaż.

York dostał się pokój z pejzażem. Powiesiła na ścianie swoje ziarniste powiększenia z Marinera 4.

Astronauci byli odcięci od świata. Służyło to zabezpieczeniu przed infekcją – i przed ciekawością mediów. Prawo wstępu miał tylko upoważniony personel. Zakaz dotyczył także rodzin i przyjaciół.

Zresztą York i tak nie miała ochoty się z nikim spotykać. Raz zadzwoniła matka i mówiła o swoich sprawach. Nie planowała przyjazdu na start; miała ją filmować jakaś lokalna stacja telewizyjna, gdy będzie oglądać wydarzenie na małym ekranie. Ale widziała, że Stone i Gershon niebawem dostaną fioła od siedzenia w zamknięciu, chociaż odetchnęli z ulgą, zszedłszy z oczu mediom. To był głupi zakaz. Czemu nie dopuszczano rodzin? Oczywiście, musiałyby przejść jakąś kwarantannę. Ale przecież nawet krótki kontakt z dziećmi i małżonkami bardzo uspokoiłby załogę.

Niezależnie jednak od tego, jakie były plusy i minusy odosobnienia, York poczuła wielką ulgę. Kiedy wielkie ciężkie drzwi budynku lotów załogowych zamknęły się za nią, cisnęła bagaże na podłogę, runęła na łóżko i spała nieprzerwanie dziewięć godzin.

Czas misji: 371/02:03:23

Ralph Gershon miał sucho w ustach. To była reakcja na czysty tlen, wpompowany do skafandra.

Stone stał po jego prawej, milcząca York za nimi. Gershon przebiegł wzrokiem wskaźniki. Już podniósł ciśnienie zbiorników silników lądowania, uaktywnił właściwe programy komputerowe i wziął namiar przez teleskop osiowania, sprawdzając trajektorię Challengera. Houston milczało, ograniczając się do słuchania. Było tak daleko, że nie mogło w niczym pomóc.

Challenger odwrócił się na plecy, skierowawszy radar lądowania ku powierzchni.

Ekran radaru był sprawny, ale jak na razie pusty. Gershon nie miał bladego pojęcia, co jest pod nim; przez iluminator widział tylko jaskrawe, fioletowo-różowe niebo.

–Niebawem trzy minuty trzydzieści sekund do odpalenia – powiedział Stone. – Już!

Trzy trzydzieści.

Gershon uzbroidł przycisk silnika lądowania.

Sam był gotowy. Dowodził po raz pierwszy od rozpoczęcia misji. To dawało mu poczucie swobody, mocy. Wreszcie był w pełni odpowiedzialny za los załogi i maszyn.

Poza tym przechodził tę procedurę tysiąc razy – w symulatorze i ćwiczebnym MLTV-ie. Mógł działać z zamkniętymi oczami.

„Pewnie, że możesz” – powiedział sobie w duchu. „Ale to Mars, przyjacielu. Może ta wielka stara planeta tam w dole ma inne poglądy na sprawy, niż ci się wydaje”. A teraz ten MEM musiał spisać się lepiej niż każda z poprzednich jednostek próbnych.

–Sześćdziesiąt trzy do PDI*[Przyp tłum Powered Descent Initiation, rozpoczęcie lądowania kontrolowanego.] – powiedział ze spokojem Stone. Sygnał „63” był to zabytek z epoki Programu Apollo; komputer pytał w ten sposób o gotowość. – Jedź – powiedział Gershon. – Mam gotowość. Stone nacisnął przycisk DALEJ.

–Odpalenie.

–Dokładnie o czasie.

Gershon początkowo nie czuł niczego. Ale wskaźniki zegarowe powiadomiły go, że silnik członu lądowania gładko i równo osiągnął dziesięć procent mocy. Po pół minucie miał pełny ciąg.

Gershon nadal nie czuł niczego, ale kabinę przenikała ostra wibracja o wysokiej częstotliwości. Było to nieprzyjemne wrażenie, jak podczas borowania zębów wysokoobrotową wiertarką. „Znów inaczej niż w symulatorach” – pomyślał. Challenger sunął w dół jak po sznurku, skutecznie wytracając prędkość. – AGS* [Przyp tłum Abort Guidance System, układ naprowadzania i zmiany trajektorii.

] i PGNS prawie identyczne – powiedział Stone. Działał teraz jako nawigator, przekazywał Gershonowi dane, świadczące o zgodności odczytów wspierających się układów:

podstawowego

1naprowadzania do lądowania. – Jest trzecia minuta... trzecia mija... wszystko w normie. Wysokość trzydzieści dziewięć tysięcy pięćset. – Ale tylko dwa komputery statku podawały wysokość; ekran radaru lądowania nadal był pusty. Stone mógł również odczytać dane z wysokościomierza, chociaż to urządzenie pracujące w ciśnieniu nieznannej atmosfery marsjańskiej, miało charakter eksperymentalny i wedle zasad misji jego dane były nieważne. – Nadal wszystko w normie – powiedział Stone. – Dochodzi czwarta minuta...

Wszystko w

normie w czwartej minucie.

–Odebrałem – powiedział z napięciem Gershon.

–Dane w porządku. Trzydzieści trzy tysiące...

Ale teraz stanowisko Gershona zapłonęło światłami ostrzegania i alarmowymi.

Radar

lądowania powinien już działać; powinien podawać obraz uzyskany na podstawie wysyłanych

promieni, odbijających się od powierzchni.

Ale ekran pozostawał pusty.

–Co z tym cholernym radarem, Ralph? – zapytał Stone.

–Wyłącz go i włącz jeszcze raz.

–No. – Stone spróbował.

–Dalej, maleńki – powiedział cicho Gershon. – Pokaż obrazeczek. – Ale sytuacja nie uległa zmianie. – Dalej!

–Czy mówienie do niego coś daje? – spytała sucho York.

–Zamknij się, Natalie – powiedział Stone, oderwany od zajęć.

Gershon poczuł ukłucie wściekłości. Inne dane były nadal w porządku. Prędkość wyglądała znakomicie, AGS i PNGS zgodnie podawały wysokość. Ale bez radaru – nawet

gdyby wysokościomierz działał – pilot był załatwiony. Zasady misji mówiły: „Przy braku

obrazu radarowego do wysokości dziesięciu tysięcy stóp przerwać manewr”. –

Wyłącz, włącz

przełącznik automatyczny radaru.

Sztywny z wściekłości Ralph wykonał polecenie.

–Już, zrobione.

Światła ostrzegania nie przestawały płonąć. Żadnego obrazu. Gershon odwrócił się do

Stone’a i spojrzał mu w oczy.

–Piękny dzień na lądowanie – powiedział.

Znaczyło to: – Pieprzyć zasady. Pieprzyć radar. Pieprzyć Houston; są tak daleko, że

będziemy na powierzchni, zanim się dowiedzą,

co jest grane. Dobrnęliśmy za daleko. Mówię, możemy lądować, choćby na oko, jeśli będzie potrzeba. Pieprzyć to.

Stone odpowiedział mu takim samym spojrzeniem, jakby mówił: – Niech cię szlag trafi, ty zimny draniu. Co zamierzasz?

Gershon czuł, jak kabina się unosi wokół niego; niebo i delikatne krawędzie czerwonego pejzażu przesunęły się za wielkim iluminatorem. Challenger zaczynał unosić dziób, zbliżając się do powierzchni.

–Dwadzieścia cztery tysiące stóp – powiedział Stone. – Niebawem redukcja ciągu.

Już.

Teraz podstawowy układ naprowadzania miał zredukować ciąg silnika lądowania do sześćdziesięciu procent. Gershon czuł równomierne opadanie wibracji. „Dokładnie o czasie” – pomyślał.

–To poszło gładko – powiedział. – Przyjemniej niż w symulatorze. – Dwadzieścia dwa tysiące. Wszystko sprawne. Poza radarem. Prędkość zmalała do dwunastu tysięcy stóp na sekundę.

Dwanaście tysięcy. Prędkość samolotowa. Gershon położył dłonie na sterach. „Lecę w atmosferze Marsa” – pomyślał. Wyrzał przez iluminator. Światło gwiazd uległo całkowitemu zaćmieniu i niebo stało się wysoką kopułą brązowej barwy. Nadal widział powierzchnię.

Popękany pejzaż prześlizgiwał się w dół. Widzialność była dobra; poszczególne elementy nie zlewały się ze sobą; dostrzegał cienie stwarzane przez niskie poranne słońce.

Challenger zbliżał się do miejsca lądowania z południowego zachodu, lecąc szerokim łukiem nad południową półkulą zasłaną kraterami. Przypominało to symulację lądowania na Księżycu, gdzie w jednych kraterach były kolejne, niektóre tak stare i wielkie, że prawie zniszczone do cna. Ale tu na dnie kraterów były wydmy, a ściany jednego starego olbrzyma wyglądały tak, jakby zapadły się pod strumieniami rwącej wody. „To nie Księżyc” – pomyślał Gershon.

Pejzaż był opuszczony, lekko zaoblony, groźny. To była pusta planeta, bez obsługi naziemnej... „Tam nie ma świateł pasa, chłopcze” – pomyślał. „No, ale z drugiej strony nikt nie strzela ci w dupę”.

–Siedem minut trzydzieści – powiedział Stone. – Szesnaście i pół tysiąca stóp.

Zbliżamy się do wysokiej bramy. Radar wciąż nie odpowiada. „Wysoka brama” był to punkt trajektorii, w którym Gershon powinien po raz pierwszy dostrzec miejsce lądowania. Wytężył wzrok.

Wyznaczone lądowisko było nieco na północ od urwiska przy ujściu doliny wypływowej. Dolina zgodnie z opisem York wyglądała jak wyschnięte dno rzeki. Gershon oglądał to miejsce na zdjęciach orbite-rów i modelach gipsowych, aż poznał

Je jak własną kieszeń.

Ale kiedy nadlatywało się w świetle nisko wiszącego Słońca, statkiem zadzierającym dziób o ponad pięćdziesiąt stopni, w blasku migocącym na trójkątnym iluminatorze...

Nic nie wyglądało jak powinno. Powierzchnia była zróżnicowana, wymęczona, coraz to inna. Każdy cień był głęboki i czarny, elementy brązowego pejzażu zdawały się wyskakiwać w górę, a kontrasty oświetlenia powiększały różnice wysokości. – Piętnaście tysięcy stóp – powiedział Stone. – Radar wciąż pusty. – „Niech to szlag” – zaklął w duchu Gershon. – Dobra, Ralph, przejdźmy procedurę przerwania manewru. – W głosie Stonek była rezygnacja. – „Niech to diabli porwą” – pomyślał Gershon. „On się poddaje”. – Podnosimy dziób, aktywujemy program wznoszenia... odliczanie do przerwania manewru lądowania zaczyna się na ośmiu tysiącach stóp... – Nie. Nie przerywajcie – nagle wtrąciła się Natalie York. Stone spojrzał na nią.

–Hę? – spytał.

–Nie przerywajcie. Może weszliśmy w strefę ślepoty radarowej.

–A co to niby ma być ta „strefa ślepoty radarowej”? – zapytał sucho Stone. – Obszar popiołów wulkanicznych – odparła. – Pumeksu. – Naparła na pasy, usiłując dojrzeć zniszczony pejzaż przez iluminatory pilotów. – Materiał o niskiej gęstości, z niewielką zawartością kamieni. Promienie radaru nie mają się od czego odbić i radar ślepie.

–A może to radar jest spieprzony – powiedział Stone.

–Nie przerywajcie lądowania. Stone i Gershon wymienili spojrzenia. – Dziewięć tysięcy – powiedział Stone. – Ekran radaru nadal pusty. – Gershon zdał sobie sprawę, że już złamali zasady misji. – Ralph... – zaczął Stone. W tym momencie zgasły światelka ostrzegawcze. Na ekranie radaru wyskoczył obraz powierzchni. York odetchnęła głośno.

–Jezu. – To był Gershon. Walnął pięścią w swój pulpit sterowniczy. – Odzyskaliśmy cholerną sprawność.

–Nie da się ukryć – powiedział z napięciem Stone. Gershon odwrócił głowę, spoglądając przez ramię na York.

–Coś mi się zdaje, żeśmy przelecieli nad tym całym pumeksem. Odpowiedziała mu spojrzeniem bez wyrazu.

–Mnie też się zdaje.

Nie miał pojęcia, czy to jej gadanie o pumeksie było czystą bujda. York nie

wydawała mu się zdolna do takiej pokerowej zagrywki, ale nie dałby głowy za swoje wyobrażenia. Nie wiedział też, czy Stone byłby naprawdę gotów przerwać lądowanie, czy też pozwoliłby mu siadać na oko.

Po prostu okazało się, że nie zna tak dobrze swoich towarzyszy podróży, jak mu się wydawało.

–Osiem tysięcy – recytował Stone. – Prędkość maleje, tysiąc stóp na sekundę.

Jest

zdolność lądowania.

–Odebrałem.

Gershon ujął przyrządy sterownicze. W prawej miał ster pozycji – dżojstik z czerwonym, pistoletowym uchwytem – a w lewej przełącznik nazywany kontrolerem ciągu, który zwiększał moc silników redukujących szybkość spadania. Wszystko to było podłączone elektronicznie do podukładu sterowania, który miał wykonywać za niego większość roboty.

Włączył i wyłączył silniczki rakietowe; bezpieczniki zagrzechotały uspokajająco.

Oddał sterowanie komputerowi.

–Ręczne sterowanie pozycji działa – powiedział. Poczuł napływ pewności siebie. Radar był sprawny i rakiety kontroli pozycji pracowały jak należy. Wiedział, że kiedy przyjdzie czas i przejmie stery statku podczas ostatecznej fazy lądowania, wszystko pójdzie jak z płatka.

–Siedem tysięcy – powiedział Stone. – No i jedziemy. Wysoka brama. Dokładnie na nią.

Prowadzony przez komputery Challenger zadarł jeszcze bardziej dziób. Gershon poczuł to. Sprawdził, co ma przed sobą. Pędzili nad horyzontem. Pojawiła się skarpa, grzbiet wyznaczający granicę obszaru kraterów. Za grzbietem teren wyglądał inaczej; wygładzony jak muł, jak dolina zalewowa... Pod dziobem wyrosła dolina, zmierzająca ku północy z południowego płaskowyżu.

Przypominała wyżłobienie w drzeworycie. Wielki szeroki krater ciągnął się ku

północnemu

wschodowi.

Przypominało to mapy i modele na zapleczu JSC.

–Mam! – wrzasnął ochryple Gershon. – Mam Mangalę. Tłusta jak gęś.

Ujął stery Challengeera, gotowy do lądowania.

MEM unosił się teraz na silnikach rakietowych, jak międzykontynentalna rakiet balistyczna próbująca się na ogonie.

–Trzy tysiące stóp. Siedemdziesiąt stóp na sekundę. Wszystko sprawne – powiedział Stone. – Sprawność do lądowania. Prędkość wiatru dziesięć stóp na sekundę. Wiatr. Kolejny niepewny element, którego nie było podczas lądowania Apolla na Księżycu. Ale wiatr o prędkości dziesięciu stóp na sekundę nie powinien odegrać żadnego znaczenia.

Podaj LPD*[Przyp tłum Landing Point Designator, wskaźnik miejsca lądowania.] – powiedział Gershon.

–Czterdzieści trzy.

Patrzył teraz przez swój iluminator, wzdłuż linii oznaczonej numerem czterdzieści trzy. Wyobrażał sobie, jak niewidzialne wielomianowe krzywe rysują się w wyobraźni komputera, łącząc z miejscem lądowania i tworząc gładką przezroczystą autostradę w marsjańskim powietrzu. „Tylko żadnych wywijasów wyższego rzędu” – pomyślał. Chociaż sprzęt i programy miały taki sam nieporadny ludzki interfejs, jak układy Programu Apollo, to były na znacznie wyższym poziomie niż przestarzałe gówny, z którego Gershon musiał korzystać w MLTV-ie.

Dostrzegł miejsce, w które kierował go komputer. Było o milę dalej, zgodnie ze wskazaną linią siatki, i zbliżał się do niego bardzo szybko... „Cholera” – zaklął w duchu.

Podporządkowany PGNS Challenger zmierzał kilka mil za wielkie urwisko, na południe od ujścia głównej doliny wypływowej, tak jak planowano. Ale Gershon dostrzegł, że teren jest tam nierówny, pofałdowany, jakby pozebrowany łachami żwiru. A dokładnie w środku tego wszystkiego rozsiadł się niski, zniszczony krater meteorytowy, dopełniony z tyłu wyspą osadową o nierównym kształcie.

–Obszar strzaskanej powierzchni – powiedział. – Natalie, będziesz zachwycona. Wygląda na to, że miałaś rację. To zupełnie przypomina dno jakiejś cholerycznej rzeczki...

Ale nie mógł posadzić MEM-a w tym gównie.

Bezpieczniki zagrzechotały i Challenger zadygotał. Komputer cały czas korygował trajektorię, korzystając z danych radaru. Jednak Gershon był zaskoczony częstotliwością pracy rakietek pozycji; włączały się o wiele częściej niż w

symulatorze. Stone w dalszym ciągu przekazywał odczyty wysokości i prędkości. – Siedemset stóp, zniżanie trzydzieści jeden stóp na sekundę. Sześćset. Zniżanie dwadzieścia dziewięć. Pięćset czterdzieści stóp. Zniżanie dwadzieścia pięć. „Czas się zdecydować, Ralph” – pomyślał Gershon.

Przejął stery, podporządkowując sobie PGNS.

Nacisnął ster pozycji i szarpnął mały kontroler ciągu, zwalniając opadanie MEM-

a.

Challenger sprawnie zareagował, zagrzechotały bezpieczniki. Nagle pilotował statek. Reakcje były wyraźne i bezzwłoczne. Rakiety odpaliły i MEM pochylił się w przód. Gershon poczuł, że kładzie się na pasy. Challenger unosił się nad powierzchnią Marsa, posłuszny rozkazom pilota.

Gershon czuł na sobie wzrok Stone’a.

–Niska brama – powiedział Stone. – Pięćset stóp. Pochylenie trzydzieści pięć stopni.

Zniżanie dwadzieścia jeden stóp na sekundę.

MEM nadal opadał, ale teraz również sunął nad nierównym, zniszczonym powodzią terenem. „Muszę lecieć na północ” – pomyślał Gershon. „Dalej od tego górnianego starego terenu. Północ to będzie to. Gładka równina lawy, poza obszarem zalewowym”. Oblatywacze mieli powiedzenie: „Nie wiesz, nie spiesz się z lądowaniem”. Ralph Gershon leciał przed siebie bez pośpiechu, szukając dobrego miejsca lądowania. – Czteryście stóp, zniżanie dziewięć stóp na sekundę. Trzysta pięćdziesiąt stóp, zniżanie cztery. Trzysta trzydzieści stóp... Pilnuj paliwa, Ralph. „Pilnuj paliwa” – powtórzył w myślach Gershon. „Jasne”. Planiści misji wysłali go tak daleko, każąc okrążyć Słońce i lądować na obcej planecie pierwszy raz w historii człowieka, i dali paliwa na dwie minuty latania nad powierzchnią.

„Ale sam tego chciałeś, Ralph” – powiedział sobie w myślach. „No nie? O to

właśnie

chodziło przez ten cały czas. Żeby przelecieć kawał drogi i wylądować na nowej

planecie, tak

jak Armstrong”.

Poczuł silniejsze bicie serca.

Dostrzegł nieźle miejsce, ale kiedy się do niego zbliżył, okazało się zarzucone wielkimi głazami. Może był to raj dla Natalie York, ale pułapka dla MEM-a. Dalej teren był gładszy, ale Gershonowi wydawał się kruchy, pełen koryt małych potoków i naniesionego materiału. Gershon już sobie wyobrażał, jak noga MEM przebija powierzchnię i całe cholerstwo wali się na bok.

Znów odchylił w tył Challengeera, zmniejszając prędkość. Przeleciał nad kolejnym polem głazów. Pochylił statek w lewo, omijając to miejsce. „Na tej całej cholerniej planecie nie znajdzie się jednego dobrego pasa startowego” – pomyślał.

Pot ściekał mu z czoła i zalewał oczy; zamrugał, żeby coś zobaczyć. Leciał nisko, horyzont błyskawicznie zamykał się wokół i szybko zbliżał, groźnie eksponując szczegóły. Ale Gershon w dalszym ciągu nie widział porządnego lądowiska.

–Trzysta stóp, zniżanie trzy i pół, prędkość pięćdziesiąt cztery.

–Jak paliwo?

–Siedem procent.

„Cholera” – zaklął w duchu. Szło mu gorzej niż w symulatorach. Poza tymi wypadkami, kiedy się rozwalił.

„Tam” – pomyślał. Po prawej był płaski teren, jakby mały płaskowyż, sam pył. Z jednej strony wielkie stare głazy, z drugiej zryty obszar. To płaskie miejsce było wielkości parkingu, miało kilkaset stóp kwadratowych, ale powinno wystarczyć. Miał swoje lądowisko.

Pchnął dźwignię. MEM odwrócił się w prawo. Gershon namierzył miejsce lądowania na siatce iluminatora i wydał polecenia komputerowi. Wyobraził sobie te niewidzialne krzywe, czarodziejskie wielomiany York, wystrzeliwujące przed siebie, żeby połączyć go z miejscem lądowania.

–Dwieście stóp. Prędkość trzynaście, zniżanie cztery. Prędkość jedenaście.

Schodzimy

równiutko. Są światła zniżania.

Cień Challengeera przemknął ku Gershonowi po nierównej powierzchni Marsa. Miał kształt grubego nieregularnego stożka; widział zjeżoną szczecinę anten, a u podstawy talerzowe końcówki nóg, z których sterczały długie sondy kontaktowe. Niewiele dzieliło MEM-a od jego cienia.

Z powierzchni poderwały się wielkie zwały brązowo-żółtego kurzu i zawisły w

powietrzu. „Pył i cienie. Tego nie było symulatorach” – pomyślał. „To chyba naprawdę, Ralph”.

Przed nim zapłonął napis: POZIOM LĄDOWANIA. Końcówka paliwa. Jeśli będzie zbyt nisko w momencie wyczerpania się paliwa, to znajdzie się w strefie śmierci; za nisko, żeby przerwać manewr, za wysoko, żeby bezpiecznie wylądować. MEM po prostu runie na powierzchnię i rozwali się jak wielkie aluminiowe jajo. Postanowił nie przejmować się napisami. „Psu na budę te światełka” – pomyślał.

„Człowiek da sobie radę”.

PGNS zakończył program lądowania i Challenger rozpoczął ostatnią fazę zejścia. Gershon wybrał jako punkt orientacyjny mały potoczek, tuż za miejscem lądowania, i nie odrywając od niego wzroku, zabrał się do wytracania prędkości. MEM musiał wylądować dokładnie pod kątem prostym do powierzchni, bez żadnych odchyłów. Inaczej groziło mu połamanie nóg.

Wokół statku unosiły się teraz tumany pyłu, utrudniając widoczność i zakrywając iluminator wielkimi żółto-brązowymi jęzorami.

–Trzydzieści sekund.

–Znoszenie boczne?

–Wszystko gra. Wysokość sto. Zniżanie trzy i pół. Pył był wszędzie wokół. Przybywał coraz gęstszymi tumanami, zamiatając powierzchnię. Pędzące chmury utrudniały Gershonowi ocenę ruchów statku, podobnie jak czasem zachowywała się mgła ścieląca się po pasie startowym. Ale dojrzał wielką skałę i skupił na niej wzrok. –Sześćdziesiąt stóp. Zniżanie dwie. Dwie w przód. Dwie w przód. Dobrze. Zmniejszył szybkość ładownia, aż Challenger opadał ku powierzchni Marsa powoli jak piórko.

–Pięćdziesiąt stóp. Trzydzieści. Zniżanie dwie i pół. Ale kurzymy. „Widzę, do cholery” – pomyślał Gershon. Coś zносиło MEM-a w tył. Gershon nie miał pojęcia, co. A ten kierunek znoszenia był naprawdę fatalny, bo pilot nie widział, gdzie leci.

Gershon nacisnął i

zwolnił przycisk rakietek.

–Dwadzieścia.

No, pięknie, udało mu się zlikwidować znoszenie w tył, ale teraz pojawiło się znoszenie boczne. „Niech to diabli” – zaklął w myślach. Był wściekły na siebie.

Pilotował

ptaszka jak łamaga.

–Cztery stopnie w przód. Trzy w przód. Lekkie znoszenie w lewo. Krótki cień. Cień się zbliżył i chmury pyłu urosły na całą wysokość MEM-a, tak że całkowicie zasłoniły powierzchnię. Gershon usiłował utrzymać pion. Opadł na ślepo.

–Cztery w przód. Trzy w przód. Zniżanie pół. Znoszenie w lewo. Gershon poczuł lekkie uderzenie.

–Światła kontaktu – powiedział Stone. – Na Boga, światła kontaktu!

Gershon przez sekundę wlepił wzrok w Stone'a.

Potem szybko wyłączył silnik lądowania.

Wibracja towarzysząca pracy silnika przez cały czas w końcu wygasła. Gershon powinien wyłączyć silnik zaraz po zapaleniu się światła kontaktu; silnik pracujący zbyt blisko powierzchni mógł ich podnieść i przewrócić...

Challenger opadł ostatnie pięć stóp i z solidnym łomotem uderzył w Marsa. Gershon poczuł lądowanie w kolanach. Cała kabina zagrzechotała. – Cholera – powiedział.

Stone zaczął recytować pozycje z listy zadań po wylądowaniu. – Silnik stop. Oba stery w trybie automatycznym. Sterowanie ręczne silnika lądowania wyłączone. Zapłon silnika rozbrojony...

Podjęli pierwszą decyzję przesądzającą pozostanie na powierzchni.

Zamknęli szczelnie statek i wyglądało na to, że mogą chwilę odsapnąć. Za iluminatorem Gershona rozciągał się piaski krajobraz zakończony bliskim horyzontem. Widać było wydmy, pył, zaścielające powierzchnię drobne odłamki skalne.

Panował kompletny bezruch. Nie było domów, ludzi, drzew, brakowało skali odniesienia.

Niebo było żółto-brązowe, Słońce małe, żółte i niskie. Światło miało barwę różowo-brązową i Ger-shon widział, jak odbija się od osłony hełmu i skóry policzków. Światło Marsa rozjaśniało jego twarz.

Stone uśmiechał się szeroko.

–Houston, tu Mangala Vallis – powiedział. – Challenger wylądował na Marsie. – W jego głosie było uniesienie i pewność siebie.

Gershon, Stone i York wymienili uściski dłoni, pokleпали się nawzajem po plecach i

po hełmach.

–Houston, prześlijcie moje serdeczne pozdrowienia Columbia Aviation – powiedział Gershon. – Stary wóz drabiniasty dowiózł nas gdzie trzeba. J.K., to twoja zasługa, człowieku o stalowym spojrzeniu.

Sprawdził wskaźniki. Paliwa pozostało na czternaście sekund. „I bardzo dobrze” – pomyślał. „Czternaście sekund to kupa czasu. Armstrongowi zostało ze dwadzieścia i nikt nie rwał sobie z tego powodu włosów z głowy. Zresztą upłynie kawał czasu, zanim ktoś tu wróci i spisze się lepiej ode mnie”.

Czwartek, 21 marca 1985 roku Baza

lotnictwa wojskowego Patrick

Joe Muldoon, mrużąc oczy, spoglądał z okienka samolotu, który leciał z Houston do

Patrick.

Chociaż do wschodu słońca pozostało jeszcze kilka godzin, lotniska bazy wojskowej i cywilne Orlando przyjmowały sznury prywatnych samolotów. A każda droga na półwysep wyglądała jak gęsta świetlna koronka. Poczuł, że żołądek skręca mu się z supeł z niepokoju.

Może było zbyt późno, by obejrzeć start z bliska. Ale nie miał szans wyrwać się wcześniej. Tej nocy nie zmrużył oka, a poprzedniej było niewiele lepiej. Logistyka startu, sprawy z prasą, sprawdzenie połączeń między ośrodkami kontrolnymi NASA, załatwianie przepustek dla VIP-ów, którzy jak zwykle budzili się z ręką w nocniku, sprawa rozlokowania kamer telewizyjnych i reszty mediów – wszystko ciągnęło się w nieskończoność, problemy komplikowały się coraz bardziej i stawały coraz trudniejsze do rozwiązania.

Niech to szlag trafi, czyżby miał słuchać startu przez radio w jakimś wynajętym samochodzie, wciśnięty w korek drogowy?

Stewardesa zaproponowała mu drinka przed lądowaniem. Odmówił, jak i poprzednio.

Na drinkowanie będzie dość czasu potem.

Zaraz po wylądowaniu szybko opuścił samolot. Czekał na niego młody facet w garniturze, unoszący wysoko karton z jego nazwiskiem. – Pan Muldoon?

–No.

–Jestem z KSC. Helikopter czeka na pana. Tędy, proszę pana.

–Dzięki Bogu.

Powinien odebrać bagaż. Wahał się nie dłużej niż sekundę. Do diabła z ciuchami;

w

razie potrzeby świeżą koszulę się kupi.

Szybkim krokiem przecięli płytę lotniska. Młody człowiek nie przerywał mówić.

–Mamy śmigłowce do przewożenia najważniejszych ludzi, którzy mogliby utknąć w korkach. – Był zagoniony, oszołomiony, pod presją. Biedaczysko zapewne eskortował VIP-

ów przez całą noc.

–Aż tak fatalnie, co?

–Niech to diabli, proszę pana, tak. Wszystkie drogi na wyspę Merritt zatkane. Zrobił się jeden wielki parking. W życiu czegoś takiego nie widziałem, proszę pana. Muldoon ocenił go wzrokiem w szarym świetle brzasku. Dzieciak. Najwyżej dwudziestodwuletni. A więc w 1969 miał około sześciu lat. „Nie pamięta” – pomyślał.

Naprawdę nie widział niczego podobnego.

Muldoon czuł się stary, przykuty do Ziemi, skazany na nią. Dokładnie jak po wodowaniu w 1969. Praca przy Programie Ares była prawie na ukończeniu i czuł ponowny napływ depresji, którą zwalczał przez te wszystkie lata, nie dopuszczając do siebie żadnej myśli nie związanej z tym wielkim zadaniem.

Wylądował tam raz, dawno temu, i już nigdy więcej nie miał wejść na tę powierzchnię

przypominającą zaśnieżone pole.

Przyspieszyli kroku. Śmigłowiec czekał.

Budynek lotów załogowych, Cocoa Beach

Ktoś zastukał ostro, po wojskowemu w jej drzwi. Przewróciła się na bok i włączyła lampkę na stoliku nocnym. Była czwarta piętnaście. – Pobudka. Noc była bezchmurna i pogoda zapowiada się ładna...

–Dzięki, Fred.

Fred Haise przyszedł dokładnie o czasie. „Pobudka 04:15” głosił pierwszy wpis na liście zadań Programu Ares.

„Zegar ruszył” – pomyślała. „I będzie szedł przez osiemnaście miesięcy”. Odgarnęła

przykrycie i wstała z łóżka. Zaścieliła je schludnie. Miało jej tu nie być przez jakiś czas i nie chciała zostawić po sobie bałaganu. Włączyła telewizor. Spojrzała z niego jej własna, zastygła twarz, podczas gdy komentator mówił o tłumach gromadzących się na Przylądku. Wyłączyła urządzenie. Nie spieszyła się pod prysznicem. Rozkoszowała się ostrymi igłami wody, pianą spływającą po ciele. Zmieniła wodę na zimną i stała, dygocąc przez drugie sekundy, czując jak krew przepływa żywej naczyńkami krwionośnymi. Mycie się pod prysznicem w stanie nieważkości nie było łatwe; miała przecucie, że równie czysta poczuje się dopiero po powrocie na Ziemię.

Wytarła się szybko. Włosy miała przycięte krótko i nie musiała korzystać z suszarki.

Nałożyła sportową koszulkę, spodnie i adidas.

Koszula była niebieska, jednokolorowa, jeśli nie liczyć plakietki z logo misji. Był to krąg z napisem „Ares” i nazwiskami ich trojga. W środku był stylizowany rysunek rakiety, pędzącej ku czerwonej gwiazdce; opary dymu układały się w orła z amerykańskiego godła, odprowadzającego surowym spojrzeniem statek kosmiczny. Od początku uważała, że odznaka jest do kitu, przeładowana. Ale ludzie z Biura Prasowego NASA uznali, że tchnie patriotyzmem, a że Stone’owi i Gershonowi było całkowicie obojętne, co noszą na koszulkach, stanęło na nieszczęsnym orzełku z rakieta. Teraz ten żenujący kicz wisiał nad prawą piersią York. Wyszła z pokoju. Gershon i Stone czekali na korytarzu. Stali w niemal identycznych pozach: oparci o ścianę, założywszy ręce na piersiach i cicho rozmawiali.

Uśmiechnęli się na

jej widok.

Podeszła do nich. Spontanicznie wyciągnęła ręce. Stone i Gershon ujęli je, a potem ku jej zaskoczeniu podali ręce również sobie. Przez kilka sekund cała trójka stała w kółku na środku wyłożonego wykładziną korytarza, uśmiechając się do siebie.

Wyspa Merritt

Bert Seger wyobrażał sobie, że jego dwa zaprzężone w muły wozy zakorkują ruch. Ale wszystkie cztery pasy drogi państwowej numer 1 i tak były całkowicie zatkane. Nawet poza autostradami pojazdy poruszały się wolniej niż muły i była obawa, że zwierzęta zaczną brykać, zniecierpliwione żółwim tempem samochodów. Część ludzi już uznała, że nie ma szans dotrzeć blisko miejsca startu. Wdrapywali się na dachy samochodów i rozstawiali trójnogi aparatów. Sznurek czarnych twarzy wyglądał z każdego wozu Segera na unieruchomione pojazdy. Seger wiozł ze sobą kilkanaście najbiedniejszych waszyngtońskich rodzin, wyznawców małego Kościoła, który założył w stolicy. Teraz jednak zwątpił w skuteczność swojego gestu. Wszystkie przydrożne stacje benzynowe i jadłodajnie były otwarte przez całą noc, pełne ludzi; nastolatków, piechoty morskiej, robotników fabrycznych, małżeństw z klasy średniej i szalejącej dzieciarni. To był prawdziwy przekrój Ameryki. Seger obliczył, że lot na Marsa kosztował każdego Amerykanina, mężczyznę, kobietę i dziecko, około pięćdziesięciu dolarów i wyglądało na to, że spora część tej masy przybyła tu dziś, sprawdzić swoją inwestycję, zanurzając się w tym płaskim, prymitywnym pejzażu. Seger ze ściśniętym sercem zdał sobie sprawę, że głos protestu jego małej grupki utonie w tej ludzkiej powodzi. Chociaż z drugiej strony nie trzeba było się wcale wysilać, żeby dojrzeć, iż wysyłanie trzech Amerykanów na Marsa to błąd, bowiem wielu obywateli cierpiało, nie potrzebując wcale sztuczek, do których on sam przykładał niegdyś rękę.

Dowiedział się, że wśród najbiedniejszych wciąż zdarzały się przypadki niedożywienia; tu na Przylądku, u samego podnóża platformy startowej rakiety lecącej na Marsa! Jeśli takie fakty nie zwracały niczyjej uwagi, to być może jego drobny protest faktycznie był pozbawiony wszelkiego znaczenia.

Ale nie zamierzał się poddawać. Tu nie chodziło o rozgłos. Chociaż może jednak powinien był wykorzystać stare kontakty w NASA, żeby dostać się bliżej wieży startowej.

Wystarczyłoby trochę nagłośnienia w telewizji, a cała wyprawa miałaby jakiś sens.

Ktoś na wozach zaczął śpiewać, a resztą przyłączyła się do chóru. Muły wlokły się w tempie karawanu. Seger po kilku słowach rozpoznał tekst. To był hymn, który astronauta recytowali z orbity, upamiętniając śmierć kolegów. „Zostań przy mnie...” Ciekawe, gdzie Fay. Może oglądała telewizję w Houston. Nie widział się z nią, od czasu telefonicznej rozmowy, podczas której poinformował ją, że zakłada kościół.

Może mu

wybaczyła, że tak ją porzucił.

Saturn 5B pokazał się na horyzoncie – biała kreska, oświetlona ze wszystkich stron.

Segera ogarnęło nieoczekiwane wzruszenie. Zacisnął dłoń na krucyfiksie wpiętym w klapę marynarki tak mocno, że metal wbił się mu w dłoń.

Budynek lotów załogowych, Cocoa

Beach

York zgłosiła się do sali gimnastycznej, w której pielęgniarka zważyła ją, zmierzyła

temperaturę, puls, ciśnienie i zrobiła spirometrię. Badanie było szybkie, dokładne, ale w jakiś

sposób powierzchowne. Jakby pielęgniarka, uśmiechnięta czterdziestolatka, tak naprawdę nie

była zainteresowana wynikami. W gruncie rzeczy NASA wiedziała już wszystko o zdrowiu

York; kawałki jej ciała, wycinki tkanek i próbki płynów ciała, leżały w kilkunastu ośrodkach

NASA, cenne jak odłamki skał księżycowych.

Ale badania miały sens na innych poziomach. To wszystko było częścią rytuału. „Jak ubieranie się księdza przed mszą” – pomyślała. Dzisiaj różniła się od reszty ludzkości i związku z tym musiała być inaczej traktowana.

Poszła do kantyny. Tam musiała usiąść obok kolegów z załogi, przy stole tworzącym krzyż z innym, dłuższym stołem. Za nią wisiała kurtyna, a na stole stał flakon kwiatów o krzykliwych kolorach, ze wstążką z napisem „Ares”, i zakomponowana z jedwabiu oznaka misji. Przy długim stole siedziały dwa rzędy ludzi. Patrzyli na nią, rozdzieleni monotonnym rzędem przypraw.

„To jak śniadanie w dzień weselny” – pomyślała. Menu było kolejnym rytuałem: żadnego wyboru, tylko stek, jajka, sok, grzanka i kawa. Każdy astronauta, od Ala Sheparda włącznie, był skazany na ten sam posiłek przed Lotem.

York jadła na siłę. Stek był gruby, twardy i smakował jak guma. Walczyła o zmianę tej części rytuału. O tej porze wystarczyło by jej całkiem trochę musli z mlekiem. Ale lekarze wygłosili jej kazanie na temat diety „ubogoresztkowej”.

Chodziło o redukcję wagi ekskrementów. W teorii brzmiało to pięknie, ale w praktyce sprowadzało się do przymusu zjedzenia kawału krwistego miecha. Obserwowała innych obecnych. Był dyrektor Josephson, główni menedżerowie z ośrodków NASA i firm wytwórczych. Poznała Gene'a Tysona z Columbi, firmy, która zbudowała MEM-a. Tłusty, zadowolony z siebie biznesmen uśmiechał się od ucha do ucha.

Byli tam starsi stażem astronauta, Bob Crippen, Fred Haise i inni. Byli też Ted Curval i Adam Bleeker, uśmiechnięci i sypiący żarcikami, jakby nigdy nic; ale York odnosiła wrażenie, że te ich uśmiechy są sztuczne, a z oczu przebija jakaś twardość. Stone i Gershon byli w dobrej formie. Zachowywali się jak dwaj dzielni piloci myśliwców, żartujący z innymi pilotami, pełni autoironii, dowcipni. Skromni, dzielni, rozluźnieni. Prawie znudzeni. Jakby chcieli w ten sposób powiedzieć: – Ot, dzień jak codzień.

Dobrze to odgrywali.

Ale pod powierzchnią – wystudiowaną nonszalancją, delikatnym brzękiem sztucców o porcelanę, śmiechami – atmosfera w kantine była wyjątkowa. Napięta do granic możliwości.

York nie przychodziło do głowy nic zabawnego. A w miarę jak ciągnął się ten koszmarne posiłek, zaczęła się bać, że gdy już się odezwie, głos się jej załamie.

Dziabnęła jajko, ale stwardniało i tylko trochę oślizgłego żółtka rozlało się po talerzu.

Fred Haise wciąż zerkał na zegarek. Jak każda pozycja harmonogramu, śniadanie

było

ograniczone w czasie.

Zwolniono załogę do sypialni.

York umyła zęby. Sięgnęła do zestawu prywatnego. Wyglądał jak zwykła, tyle że duża, kosmetyczka na zamek błyskawiczny. Nie zamierzała brać ze sobą wiele: kalendarz, żółtkę zdjęcia z Marinera 4. Ale okazało się, że podczas jej nieobecności kosmetyczka spęczniała. Wsunęto jej pocztówkę ze świętym Mikołajem. Poznała jaj ojciec twierdził, że jego ojciec miał ją przy sobie podczas pierwszej wojny światowej. Była kartka z życzeniami od matki i prezent od kolegów z liceum: broszka w kształcie orbitalnej elipsy z niewielkim rubinem, imitującym Marsa.

Była też przysadzista, niekształtna figurka: mały kosmonauta o twarzy troglodyty, uśmiechnięty pod spłaszczonym hełmem. Do hełmu przymocowano łańcuszek. York

uśmiechnęła się wesoło.

–Cześć Borys – powiedziała.

Oczywiście, że zamek w drzwiach tego pokoju był zaporą do sforsowania; zapewne przekupiono sprzątaczkę, żeby przesz muglowała te wszystkie rupiecie. York nie sprawiało to różnicy. Tak naprawdę miała tylko jeden drobiazg do zabrania. Podniosła koszulę. Od wewnętrznej strony, pod odznaką misji, przypięła wcześniej srebrną broszę żółtodzioba, wręczoną jej wiele lat temu przez Bena Priesta na Równinie Szakali.

Wsunęła broszę do zestawu prywatnego. Kosmetyczka była z materiału beta, niepalnego syntetyku, sztywnego jak wąż strażacki. Zestaw był zwykłym pakunkiem, ale również jego przygotowano z myślą o locie w kosmos. Po raz ostatni rozejrzała się po pokoju, ogarnęła wzrokiem wąskie łóżko, małe okno, telewizor na stoliczku. Ze zdziwieniem poczuła uścisk w sercu, jakby zostawiała rodzinne gniazdo. A przecież to nie był jej dom; przebywała tu zaledwie kilka miesięcy. Niemniej jednak było to ostatnie miejsce na Ziemi, o którym mogła powiedzieć, że jest jej. Ostatnie miejsce, w którym spała przed startem. Wzięła ołówek i podpisała się na drewnianych drzwiach. Władimir Wiktorienko powiedział, że taki jest zwyczaj kosmonautów.

Następnie zdecydowanym ruchem otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Rzeka Bananowa

Gregory Dana zatrzymał się na noc w Holiday Inn. Miał szczęście, że dostał pokój.

Wszystkie motele w środkowej Florydzie zarezerwowano od lutego. Niektóre nawet kazały sobie płacić za używanie w nocy leżaków przy basenie. Ale kierownictwo Holidaya pamiętało Dane i dało mu pokój, z którego zwykle korzystał podczas roboczych wizyt na Przylądku.

W holu kupił nalepki na zderzaki, koszulki i odznaki dla Jake'a i Marii. „Byłem Przy Starcie Aresa”. Wnuki były z Sylwią i z Mary w Hampton. Nastolatki wyglądały jak skóra zdarta z ojca i tego rodzaju śmieci wcale ich nie ruszały; ale to z kolei nie ruszało Dany.

Niech mają to dla swoich dzieci.

Wynajął na ten dzień małą motorówkę kabinową i wyruszył dobrze przed świtem. Popłynął w dół rzeki. Zmierzał w kierunku kotwicowiska trzy mile na południe od wyrzutni.

Oczywiście, mógł dostać przepustkę na trybunę lub też śledzić wydarzenia z dowolnego ośrodka NASA. Ale to miejsce wydawało mu się bardziej odpowiednie. Wolał być sam. Chciał tego właśnie dnia powspominać Jima – tego dnia, w którym Jim mógł być jednym z trzech podróżników na Marsa, wciśniętym w czubek wielkiej rakiety na wyrzutni numer 39A.

A poza tym chciał być na wodzie. To dlatego został w Hampton tak długo. Zawsze podobało mu się, że ten kosmiczny port jest na granicy lądu i morza. Jakby trzy żywioły – ziemia, woda i powietrze – spotkały się w tym miejscu, w którym długi szereg ponurych wież startowych opierał się naturze mimo erozji płaskiego krajobrazu. Tak więc postanowił oglądać start z wody. A poza tym zdawał sobie sprawę, że z kotwicowiska będzie miał lepszy widok niż z trybuny dla VIP-ów. Zaczął kluczyć kanałem, między tysiącami jachtów, domów na wodzie, płaskodennych łódek, katamaranów i kajaków. Droga wodna była prawie tak samo zatkana jak lądowe. Dotarcie do miejsca widokowego miało zabrać mu sporo czasu, ale nie musiał się spieszyć.

Słońce przebijało się przez niskie chmury nad Zatoką.

Budynek operacji załogowych, Cocoa

Beach

Ubieralnia była wielkości dużego apartamentu hotelowego; białe ściany, brak okien, sterylność sali operacyjnej. W środku trzy rozkładane fotele. Na podłodze leżały pomarańczowe skafandry, puste hełmy wyglądały niczym rozdziawione usta. Białe światło oślepiało; pomieszczenie wyglądało jak futurystyczne laboratorium, a skafandry przypominały kokony gigantycznych insektów, poddanych sekcji. Technicy w białych strojach ochronnych, czepkach i maseczkach chirurgicznych podeszli do załogi, bijąc brawo. Niektórzy mieli to łagodnie zamglone spojrzenie, które przez ostatnie kilka miesięcy szło za York podczas objazdów po kraju. Było to pierwsze prawdziwie techniczne pomieszczenie, do którego dzisiaj weszła.

Poczuła falę gorąca w brzuchu.

Bała się, że się potknie. Była wdzięczna Philowi Stone'owi, który siedł tuż przed nią, że daje przykład swoim zachowaniem; wystarczyło tylko naśladować spokojny rytm jego kroków, a wszystko wracało do normy.

Pielęgniarki wzięły ją za parawan. Musiała się rozebrać. Zabrano jej rzeczy osobiste, zachowujące ciepło ciała. Przyglądała się, jak je pakowano i zadawała sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś je zobaczy.

Przez chwilę stała naga, pozbawiona wszystkiego, zawieszona między ziemią a niebem.

Przetarto jej klatkę piersiową gazikami z płynem odkażającym i zapięto na biodrach pas z czujnikami biomedycznymi, od których szły przewody do czterech srebrnych elektrod przymocowanych do piersi. Elektrody były małe, zimne i twarde. Następnie musiała natrzeć tyłek balsamem, zanim włożyła pojemnik na ekskrementy, dużą plastikową pieluchę z otworem na odpływ moczu w dole. To było upokarzające, ale obowiązkowe. Jeśli na orbicie nastąpiłaby jakaś awaria, powrót na Ziemię mógł zabrać dobrych kilka dni. – Przez cały ten czas będziesz skazana na skafander – usłyszała. – A będziesz zmuszona się wypróżniać, choćbyś jadła same steki. Wkładaj więc tę cholerną pieluchę.

Tak więc York rozpoczęła wyprawę na Marsa, wcierając maść cynkową w swój chudy tyłek.

Potem włożyła coś w rodzaju suspensorium, a następnie rodzaj grubego sportowego topa, po którym przyszła bielizna sięgająca do kiści rąk i kostek. Dopasowano cewnik. Odchodził do rurki biegnącej do urządzenia zbierającego mocz,

które przypominało wyglądem termo for.

Teraz podeszli do niej dwaj technicy ze skafandrem. Był to gładki, pomarańczowy pancerz ze zwisającym nogawicami i rękawami, ozdobiony logo NASA i odznaką misji.

Technicy kazali jej usiąść i zaczęło się prawdziwe ubieranie. Skafander miał trzy warstwy. Wewnętrzna była z lekkiego no-meksu gładkiego jak jedwab, a zewnętrzna z odpornej tkaniny typu beta. Warstwa środkowa, zestaw ciśnieniowy, był to worek z neopre-nu, poprutykany rurkami i zaworami; pełny stwarzał ciśnienie równe jednej czwartej ciężenia ziemskiego. Skafander wyposażono w bloczki, liny i złącza, pomagające się poruszać, kiedy urządzenie było pod ciśnieniem. York czuła się, jakby wkładała na siebie drugie ciało, z gumowymi żyłami, bloczkami zamiast stawów, linami zastępującymi mięśnie.

Wyprowadzono ją zza parawanu i posadzono na fotelu. Stone i Gershon już siedzieli na swoich miejscach, jeden obok drugiego. Najwyraźniej dopasowanie kondoma trwało krócej niż cewnika.

Pomagało jej sześciu techników. Na wysokości klatki piersiowej miała niebieskie i czerwone łącza, z których biegły metalowe rury. Teraz podłą – czono je do konsoli dostawy powietrza wielkości małej kanapy. Na dłonie wsunięto gumowe, czarne rękawice, a na nogi ciężkie, wysokie buty. Druga para techników nałożyła jej na głowę ciasno przylegającą pilotkę, umocowując pod brodą mikrofon.

Pomyślała, że to wszystko, całe to dotykanie jest wyrazem jakiejś nadopiekuńczości.

Może w tych przygotowaniach był jakiś podtekst, coś głęboko ukrytego, sięgającego czasów prymitywnych. Kogoś, kogo wysyła się na niewyobrażalne niebezpieczeństwo, należy wpięrow ukoić, wyręczając w najprostszych czynnościach. Ostatnia dwójka techników przyniosła hełm. Było to wielkie złote akwarium z cienkim metalowym brzegiem.

Po raz ostatni wciągnęła do płuc antyseptyczne powietrze, posłuchała mruczenia techników, poczuła na twarzy lekki powiew z klimatyzatora. Potem założono hełm. Metal zazgrzytał o metal na wysokości karku York. Była zapieczętowana. Dźwięki z zewnątrz przygasły, pole widzenia uległo zniekształceniu za krzywizną szkła. Słyszała głośny szmer oddechu i łomotanie krwi w arteriach szyjnych.

Teraz była skazana na półgodzinne czekanie w pozycji leżącej. Konsola dostawy powietrza wpompowywała do skafandra tlen, oczyszczając organizm z azotu. Technicy krzżeli się wokół. Sprawdzali łącza, uśmiechając się z drugiej strony szkła.

Mieli szerokie, nierzeczywiste twarze. Pomyślała, że przypominają mrówki robotnice

wokół trzech królowych kopca.

Ralph Gershon kazał technikowi zarzucić ręcznik na hełm i leżał na fotelu, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Wyglądał zupełnie tak, jakby ucinał sobie drzemkę.

Po odczekaniu, technicy nałożyli na buty żółte ochraniacze i unieśli ją z fotela.

Podłączyli przewody powietrzne do przenośnego układu wielkości walizki i wręczyli go jej do ręki.

Ustawili się w szereg – pierwszy Stone, potem York, Gershon ostatni – i ruszyli na krótki spacer z budynku lotów załogowych do vana przewożącego na wyrzutnię. Samo chodzenie wymagało wysiłku. Nie dość, że skafander był ciężki, to York musiała jeszcze z każdym krokiem pokonywać ucisk na nogach i pasie; przypominało to napieranie na elastyczną linę, hamowało ruchy, zniechęcało.

Ironia sytuacji polegała na tym, że te obszerne, niewygodne, przestarzałe i datujące się na czas Programu Apollo stroje, miały być potrzebne jedynie podczas pokonywania atmosfery ziemskiej, w czasie startu i w czasie powrotu. Przez większość lotu miały spoczywać w module dowodzenia Apolla. W MEM-ie były znacznie nowocześniejsze skafandry przeznaczone do EVA na Marsie.

Korytarze były wypełnione ludźmi. Astronauci, menadżerzy, personel pomocniczy NASA, rodzina i przyjaciele, wszyscy oklaskiwali ich bezgłośnie. York szła korytarzami uśmiechających się twarzy. Szyba hełmu rozmywała i zniekształcała rysy. Mijali rodzinę Stone'a, Phyllis i dwójkę chłopców. Stone zatrzymał się, postawił swój układ powietrzny i wyciągnął ręce w uścisku. Objął żonę, przyciągając ją do szerokiego, elastycznego skafandra i pozwolił chłopcom złapać za palce rękawic. Poglądził ich po głowach i przesłał całusy. Przy ogromnym skafandrze chłopcy wydawali się drobni i chudzi.

Ale York wiedział, że skafander oddzielał Stone'a od rodziny; ich dotyk nie docierał przez gruby plastik rękawic, ich głosy dobiegały do niego niewyraźne i zniekształcone.

Wewnątrz skafandra rozlegał się tylko syk powietrza, szmer oddechu. Stone stał zaledwie o kilka cali od swoich bliskich, ale równie dobrze mógł być tysiące mil dalej.

Wyszli z budynku.

Nie było jeszcze szóstej. Ludzie z prasy stali za barierkami i York zalał potop fleszów, rozbłyskujących ze wszystkich stron. To była ostatnia sesja zdjęciowa, zanim mieli stanąć na obcej planecie lub umrzeć.

Do vana prowadziła mała kładka. Ku zaskoczeniu York, przy drzwiach samochodu zobaczyła Władimira Wiktorienkę. Miał na sobie paradny mundur lotniczy.

Phil Stone wyprężył się i zsalutował Wiktorience. York usłyszała w słuchawkach:

–Moja załoga i ja jesteśmy przygotowani i zgłaszamy gotowość do rozpoczęcia Misji Ares.

Wiktorienko odpowiedział salutowaniem. Nie słyszała odpowiedzi, ale ją znała: – Daję pozwolenie na lot. Życzę powodzenia i miękkiego lądowania. Stone wszedł do vana i technicy pomogli mu zająć miejsce.

Teraz do Wiktorienki podeszła York. Jego uśmiech złagodniał i zgadła z ruchu warg,

że Rosjanin powiedział:

–Maruszka.

Poczuła, jak coś w niej pęka, coś czemu nie pozwalała się wydostać od ранnego przebudzenia.

Wypuściła z ręki układ powietrzny, nie patrząc, gdzie leci, i podeszła do Władimira.

Objął ją mocno, tak że poczuła to przez wszystkie warstwy skafandra. Mundur lotnika się zmiął.

Cofnął się i zdobyła na uśmiech.

–Znalazłam Borysa. Dziękuję.

Znów coś powiedział. Wsadził rękę do kieszeni i wyjął kłębek stepowej trawy.

Pokazał go jej i wcisnął w kieszeń rękawa skafandra. Po raz ostatni uścisnął jej ramiona i

pomógł technikom wprowadzić ją do vana.

Newport Beach

Był ładny, przejrzysty wiosenny ranek.

J.K. Lee wyszedł na werandę i wciągnął głęboko powietrze w płuca; czuł zapach młodych roślin, traw, kwiatów i całej tej zieleniny. Rozkaszał się.

Płuca z latami przyzwyczały się do zapachów fabryki: nafty, smarów, ozonu, gumy, rozgrzanego metalu. Teraz, kiedy wynurzył się z fabrycznego kokonu, czuł się dziwnie na planecie, której atmosfera była mu obca.

Zapalił papierosa i poczuł się raźniej w gęstniejącej chmurze nikotyny i smoły.

Zapowiadał się dobry dzień na koszenie trawy.

Poszedł do szopy z narzędziami i zaczął krzątać się wokół kosiarki, smarować ostrza i sprawdzać przewody. Szopa była ciepła i ciemna, wypełniona zapachem murszejącego drewna.

Słyszał głosy komentatorów z Przylądka, dolatujące z okien wszystkich okolicznych domów. Start mówił o sobie wszędzie, jakby przeniknął materię całego okręgu. Materię wszystkich okręgów Ameryki tego czwartkowego poranka. Jennine zawołała go do telefonu.

Podawała mu słuchawkę. Dzwonił Jack Morgan. Pytał, czy Lee i Jennine chcą do niego wpaść i obejrzeć start przy piwie. Lee rozważył propozycję, ale podziękował.

Dzisiaj chciał

skosić trawnik.

Tak naprawdę miał nadzieję, że NASA przyśle mu zaproszenie żeby obejrzał start z Przylądka. To byłby miły gest. Nie pojawił się. Przez chwilę pogwarzyli z Morganem o starych czasach. Morgan nie pracował już w Columbii, został samodzielnym konsultantem do spraw medycyny kosmicznej i zarabiał o niebo więcej, wynajmując się Columbii jako wolny strzelec. Dzięki temu pozostał dłużej związany z firmą niż Lee. Frustracja towarzysząca nic nie robieniu w końcu zaczęła doprowadzać Lee do szaleństwa, więc zrezygnował ze swojej synekury i poszedł na wcześniejszą emeryturę.

Art Cane zmarł jakiś czas temu, niecałe półtora roku przed tym, zanim MEM 014, najświetniejszy produkt jego firmy, miał wylądować na Marsie. I teraz Gene Tyson – ten zadowolony z siebie szakał, który kiedyś przejął posadę J.K. – był głową Columbia Aviation.

Było, minęło. Lee wrócił do kosiarki i w końcu wyprowadził ją na słońce, a kiedy zaczął kosić, grzechot spalinowego silnika pochłonął wątłe głosy z Przylądka, dobiegające ze wszystkich domów.

Po chwili znów zjawiała się Jennine. Słońce padało na jej siwe włosy; lśniły jak srebrne. Przyniosła mu szklankę lemoniady, a potem wzięła go za rękę i zaprowadziła do domu.

Telewizor był, oczywiście, włączony.

A na ekranie była ona, znajoma rakietą Saturn 5B, wiązka srebrnych igieł. Falowanie powietrza w gorących temperaturach poranka zdradzało odległość kamery od wyrzutni. J.K. przyglądał się pękatom płaszczeni MEM-a w środku rakiety, nad grubym pierwszym członem i jego silnikami, pod szczuplejszym modułem misji i statkiem kosmicznym Apollo.

–Stań tam – nagle powiedziała Jennine. W dłoni trzymała pola-roida.

–Co?

Wskazała wolną dłonią.

–Przy telewizorze. No, stańże. Pomyślał o trawniku skoszonym do połowy. I podszedł do stolika z telewizorem.

J.K. Lee powoli uniósł dłoń, salutując obok telewizyjnego obrazu marsjańskiego statku, podczas gdy żona fotografowała go polaroidem.

Wyrzutnia 39A, wyspa Merritt

Większa część ośmiomilowej podróży z budynku lotów załogowych do wyrzutni biegła ogólnodostępną szosą, drogą państwową numer 1, wijącą się wzdłuż wybrzeża. Została wyłączona z normalnego ruchu przez lokalną policję, niemniej jednak van i towarzyszące mu pojazdy posuwały się niewiarygodnie powoli szeroką, pustą autostradą. Stone patrzył ze stoickim spokojem przez okna, a Gershon postukiwał palcami o uda.

KSC był wielkim, pustym kompleksem, poprzecinanym siatką dróg i rowów odpływowych pełnych aligatorów. Trzypiętrowe kłocze budynków były kwadratowe i przysadziste, zniszczone przez deszcze i słońce – tak brzydkie, że Houston mogłoby uchodzić przy nich za szczyt urody – typowe państwowe centrum badawcze. W niskim, porannym słońcu wszystko było płaskie i zakurzone, bez wyrazu. Od czasu do czasu za kordonem wyrastały grupki ludzi, normalnych obywateli.

Machali astronautom i klaskali. York czuła się odrętwiała, odgradzona od świata. Po wschodniej stronie horyzontu rysowały się zamglone wyrzutnie, kanciaste wieże, górujące nad zarośniętymi trawą plażami. Wiele wyłączonych z użytku wież niszczało; wyglądały jak spłowiałe relikty w tym pokrytym marną roślinnością i w ogóle marnym terenie, w sercu rozpadającego się pasa ładu, pochłanianego przez morze. Van skręcił z drogi głównej i ruszył drogą dojazdową wyrzutni. Po raz pierwszy tego dnia York zobaczyła Saturna: centralną, połyskującą białą igłę, wąską i potężną, z klastrem czterech przysadzistych rakietowych silników pomocniczych.

Potężna kanciasta wieża otaczała całość, a podstawa wyrzutni miała kształt ośmiokąta. Ogromne reflektory poszukiwawcze rozświetlały cały zespół, pomagając światłu dnia. Widziała lód gromadzący się na ścianach kriogenicznych zbiorników paliwa. Z centralnej kolumny unosiły się obłoki oparów i rozsnuwały po kompleksie wyrzutni.

Słońce wychynęło zza cienkiej chmury i rozlało na niebie kolor pomarańczowy i złoty. Światło skąpało wyrzutnię i Saturn lśnił jak perła obok swojej wieży dostępowej.

Van podjechał do betonowej podstawy. Drzwi się przesunęły i technicy pomogli York wyjść na płytę wyrzutni.

Z bliska gigantyczna rakieta przytłaczała ciężarem, hipperrealistyczną wyrazistością w rozmytym świetle poranka. Wydawała się wykonana chałupniczymi metodami, w przydomowym warsztacie; spojona wielkimi nitami połyskiwała białą farbą kadłuba. Zdawała się mówić: – Mnie mógł stworzyć tylko człowiek, natura nie potrafiłaby urodzić czegoś równie skomplikowanego.

Do podstawy wyrzutni przymocowano tabliczkę: NAPRZÓD, ARES! York spojrzała na drogę ciągnika, biegnącą do montażowni statku, VAB-u. Czarno-biała bryła montażowni rozsiadła się na horyzoncie; nie dało się ocenić jej rozmiarów. Drogę ciągnika zbudowano z wielkich żółtych otoczków, ułożonych w nieskończoność prosto jak strzełił. Ciągnęła się wzdłuż kanału, którym płynęły barki dostarczające do VAB-u ogromne człony Saturna.

Gąsienice zryły nawierzchnię drogi; ślady przypominały odciski stóp dinozaurów. Nagle przeszedł ją dreszcz. Uświadomiła sobie, że to, co ćwiczyli i o czym rozmawiali przez miesiące, niebawem nastąpi. Naprawdę zostanie wsadzona do kabinki na szczycie rakiety, zapieczętowana i wyrzucona w kosmos. „Mój Boże – pomyślała – to na poważnie”.

W ciągu ostatnich tygodni odwiedziła wyrzutnię wiele razy. Przyzwyczała się, że przyjeżdża do hałaśliwego, zatłoczonego miejsca, jak do strefy przemysłowej: maszyny się kręciły, windy sunęły w górę i w dół wież, ludzie dzwonili, łomotali, gadali. Dzisiaj było inaczej. Poza załogą i jej opiekunami w promieniu trzech mil nie było żywej duszy.

Ścisk w budynku lotów załogowych i świadomość obecności milionowego tłumu wokół Przylądka nie zrobiły na niej takiego wrażenia, jak to betonowe bezludzie. Stała na jego środku, mając przed sobą przytłaczającą masę Saturna 5B. A obok stała niewidzialna śmierć i York czuła na sobie jej miażdżące, porażające spojrzenie. Słyszała jedynie szmer tlenu z układu powietrznego, kiedy szła za Stone'em do stalowej siatki szybu windy u podstawy wieży startowej.

„Może to moje ostatnie chwile na Ziemi” – pomyślała. „Tu i teraz, na tej zasranej

betonowej płycie. Może faktycznie zaczynam umierać i od śmierci dzielą mnie tylko te tony żelastwa”.

Ośrodek Kosmiczny im. Jacqueline B. Kennedy

Atlantycka bryza poruszyła flagi za drewnianymi trybunami, nieopodal VAB-u. Tłum widzów liczył ponad dwadzieścia tysięcy, w tym pięć tysięcy gości wyjątkowego kalibru i cztery tysiące dziennikarzy. Były sławy, politycy, rodziny i przyjaciele załogi. Ponadto w zasięgu siedemdziesięciu pięciu mil od miejsca startu znajdował się dalszy milion osób.

Na trybunach był John Fitzgerald Kennedy. Siedział na wózku inwalidzkim, w

wielkich okularach przeciwsłonecznych i wyglądał o wiele starszej niż na swoje sześćdziesiąt osiem lat. Przybyła reszta załogi Muldoona i ludzie z Biura Prasowego kazali całej trójce – Armstrongowi, Muldoonowi i Collinsowi – ustawić się za wątlym eksprezy-dentem.

Za nimi

połyskiwał na horyzoncie Saturn.

Po wypełnieniu obowiązków public relations Muldoon usiadł. Spoglądał na wschód, w niskie słońce. Powietrze było czyste, jak to o poranku, na niebie wisiało tylko kilka rozrzuconych chmur; można było powiedzieć z osiemdziesięcioprocentowym prawdopodobieństwem, że warunki pogodowe będą optymalne.

Okna samochodów ustawionych wokół wielkiego bloku VAB-u, po lewej ręce Muldoona, połyskiwały jak pancerze żuków. Przed sobą Muldoon miał pas trawy, kamerzystów, maszt flagowy i wielki cyfrowy zegar do odliczania. Dalej kanał dla barek, za nim sznur drzew. A jeszcze dalej – na horyzoncie, w niewyraźnej porannej mgle – kanciaste niebiesko-sine kształty dwóch zespołów startowych, typ 39. Prawa wieża, 39A, była zespołem startowym Aresa.

Gdyby spojrzeć w prawo, ujrzałyby kolejne wieże, nagie, oddalone jeden od drugiego szkielety, „szereg balistyczny” jak na niego mówiono, ciągnący się wybrzeżem Atlantyku.

KSC zmienił się jak cholera od czasów pierwszego lotu Muldoona, w Gemini. Nawet z daleka widziało się, że program zszedł na psy. Zatrudnienie spadło o połowę. Zespół startowy, z którego korzystał Program Gemini, LC-19, stał nadal, wykorzystywany tylko do wystrzeliwania bezzałogowych Tytanów, ale z dwudziestu sześciu zespołów startowych używano tylko dziesięć. Płyty wyrzutnigniły, wieże rdzewiały i były demontowane; urzędnicy NASA sprzedawali miejscowym handlarzom złomu bezużyteczne elementy. Ale zespół numer 39 pozostał. Kiedyś Muldoon startował z niego w Apollu. A teraz czekał tam Ares, gotowy do lotu.

Z tyłu dwie starsze panie wspominały przyjęcia, z okazji startów wydawane przez lata w ich ogrodach na Florydzie. Rozjarzone statki załogowe sunęły po nocnym niebie, dokładnie nad ich głowami.

NASA przygotowała szereg składanych baraków dla prasy. Kręcili się przy nich reporterzy w koszulkach z krótkimi rękawami, niosąc kserokopie harmonogramu startu i foldery na kredowym papierze, dostarczone przez wykonawców. Po lewej ręce Muldoona lśniły panoramiczne okna, w pomieszczeniach wielkiej stacji telewizyjnej mrowiło się od ludzi.

Z megafonów dobiegały głosy astronautów na linii powietrze-Zie-mia i kontrolerów

podających aktualne dane z kontroli misji w Houston i pobliskiej sali startowej na Przylądku.

Funkcjonariusz Biura Prasowego zawodzącym głosem wyliczał główne momenty startu.

Reporterka obok wachlowała się zmiętą broszurą dla prasy. Muldoon, sztywny i spocony w ciemnym garniturze z kamizelką, czuł się stary, spragniony i pełen napięcia, którego nie miał jak rozładować, skazany na siedzenie w jednym miejscu.

Mgła rzedła na horyzoncie. Biała igła Saturna wyłaniała się z niebieskich oparów na wyrzutni 39A.

Ośrodek Kontroli Startu (LCC),

Przylądek Canaveral

Kiedy Rolf Donnelly po raz pierwszy zjawił się w pracy na Przylądku, był zdziwiony widząc, jak bardzo LCC różni się od houston-skiego MOCR. Salę startową również wypełniały komputery i ściennie ekrany śledzenia, ale było tam też sześćdziesiąt monitorów pokazujących raketę z różnych kątów widzenia. A w galerii za okopem było ogromne panoramiczne okno, za którym rozciągał się widok wyspy Merritt i jej wież startowych sterczących z piachu trzy mile dalej. Sala na Przylądku nie była odgradzona od świata jak MOCR.

W chwili startu blask raketowego światła rozjaśniał pomieszczenie. Panowała również inna atmosfera. Kontrolerzy byli niezależni od facetów z kontroli misji. Decydował o tym charakter pracy, którą wykonywali. Byli w gruncie rzeczy obsługą techniczną, odpowiadającą za pierwsze sekundy lotu; musieli podnieść raketę z Ziemi, odwalić brudną robotę podczas startu.

To właśnie podobało się Donnelly'emu. Przyjechał na Florydę z całą rodziną, niebawem po fiasku Apollo-N. Miał nadzieję, że odbuduje swoją karierę. Niestety, jednak jego obawy okazały się słuszne. Część tego gówna, które obryzgało wszystkich związanych z Apollo-N, przyłgnęła do niego na stałe. No cóż, nie był już szefem lotu; Zespół Indygo był wstydlivym wspomnieniem, a wizja olśniewającej kariery rozplynęła się na zawsze. Ale nadal był w centrum wydarzeń, nadal był wykorzystany, nadal w NASA.

Do startu pozostało pięć minut i kontrolerzy przeszli do ostatecznej kontroli

przed

włączeniem sekwencji automatycznej.

–Sterowanie?

–Sprawne.

–EECOM?

–Sprawny.

–Silniki wspomagające?

–Sprawne.

–Silniki hamowania?

To była działka Donnelly’ego.

Spojrzał na swój pulpit. Widział go jak przez mgłę.

–Sprawne.

„Na Boga – pomyślał – leć, Ares, leć!”

Ośrodek Kosmiczny im. Jacqueline B.

Kennedy

Śmigłowce przesunęły się nad płytami wyrzutni. Muldoon wiedział, że to Bob Crippen i Fred Haise. Sprawdzali warunki meteo. Na dziesięć minut przed startem ruszyły ostatnie procedury kontrolne, decydujące o wstrzymaniu startu, i kiedy okazało się, że wszystkie układy są sprawne i gotowe, wydarzenia potoczyły się nieubłaganie, jak kamień strącony z urwiska. Na trzydzieści sekund przed startem Muldoon powstał wraz z resztą widzów, odwracając się twarzą do Saturna. Poza oparami, które wlatywały z superzimnych zbiorników, wyrzutnia była nieruchoma jak część fabryki. Na moment wszystko zastygło.

Pióropusze pary z wodnego układu wygłuszania fali dźwiękowej wzbily się po bokach wąskich silników pomocniczych. Odpadły ostatnie pomosty. „Zapłon silnika głównego” – pomyślał Muldoon.

Oślepiające białe światło trysnęło z podstawy Saturna. Uniósł się zaskakująco szybko, ciągnąc za sobą kolumnę białego dymu z płonącym pomarańczowym rdzeniem. Rakieta nośna była drzazgą olśniewającej bieli, dźwiganą na rombach falującego żółto-białego światła – ognia silników pomocniczych na paliwo stałe.

Muldoon pomyślał, że tę olśniewającą jasność raketowego światła można było obejrzeć tylko gołym okiem; olśnione przesłony kamer telewizyjnych zamykały się do minimum, nie dopuszczając blasku. Niebo w telewizorach miało teraz barwę granatu, dym – matowej popielatości.

Rakieta sunęła ostrym łukiem, oddalając się od wieży; manewr odchylenia od pionu był gwałtowny, widoczny. Całą wieżę zatopiły kłęby dymu. Saturn przekłuwał cienką chmurę jak igła materiał. Lustro kanału zafalowało, odbijając światło rakiety.

Po jakichś dziesięciu sekundach lotu do patrzących doleciał dźwięk. Muldoon poczuł w brzuchu i klatce piersiowej basową wibrację, a potem spłynęła z nieba seria ostrych gromów; to były fale wstrząsowe z silników rakiety nośnej; wielkie nieliniarne fale, które zapadały się i uderzały o siebie. Basowe dudnienie zagłuszało okrzyki i oklaski widzów.

JFK uniósł wysuszoną piąstkę. Wyglądał na tle światła rakiety jak chiński cień. Muldoon czuł ogromny napór wyzwalonej energii, podobnej do tej, której doświadcza się w bliskości wielkiego wodospadu. Ale ta energia była kontrolowana przez ludzi. Przeszedł go dreszcz triumfu, głębokiego uniesienia i... ulgi. Dokonało się. I pomyślał ze zgryźliwą autoironią, że po tym ostatnim wysiłku może zabrać się na serio do marynowania swojej wątroby. Był wolny. Nie miał więcej celu.

Saturn piał się dalej, smuga oparu ciągnęła się prosto do słońca. Oszołomiony Muldoon nie widział oddzielania pierwszego członu. Wszystko zamazało mu się w oczach. Niech to cholera, rozryczał się.

–Leć, malutki! – krzyczał.

Wyspa Merritt

Seger intonował hymny i rozdawał ulotki, mówiące o tym, że Ares wiezie plutonowe kapsuły w generatorach dodatkowych. **ŚWIĘTY JÓZEF Z KOPERTINO JEST PATRONEM ASTRONAUTÓW. PRZYŁĄCZ SIĘ DO NASZYCH MODLITW...** Ale otaczające tłumy przeważnie nie zwracały na nich uwagi; ludzie trzymali przy twarzach kamery i lornetki, osłaniali oczy dłońmi. Kiedy światło saturna rozbłysło nad drogą, hymny ucichły, członkowie Kościoła Segera odwrócili się, patrząc.

Biała igła uniosła się z ziemi na patyczku ognia. Jeszcze nie było nic słyhać. Oszołomiony Seger padł na kolana. Pierwszy raz oglądał start rakiety od czasów Apolla-N. Wypuścił ulotki na ziemię i łzy zakłuły go w oczy. Widział, że część wiernych spogląda na niego ze zdumieniem, ale jemu wydało się, że znów jest w MOCR.

Bo tak naprawdę nigdy nie opuścił sali kontroli. Nigdy.

–To święta ziemia – powiedział. – Święta, święta ziemia. Mewy zatoczyły łuk na niebie, krzyczały, nie zwracając uwagi na zabójczy hałas spadający kaskadą dźwięków.

Ośrodek Kosmiczny im. Jaccrueline

B. Kennedy

Muldoon pozostał na trybunie, dopóki nie potwierdzono, że Ares szczęśliwie osiągnął orbitę. Kiedy jakieś pół godziny po starcie wsiadał na parkingu VAB-u do tej samej limuzyny, która go przywiozła, dym w kształcie rakiety nadal wisiał na niebie, kolumna dymu stworzona przez człowieka, widoczna na wiele mil i powoli rozsnuwająca się w powietrzu.

Część szósta

MANGALA

Czas misji 374/14:23:48 Baza Mangala

Natalie York widziała gwiazdy zanurzone w czarnym niebie po drugiej stronie małego iluminatora śluzy powietrznej.

Był tam też wysoko na niebie Jowisz, o jedną trzecią jaśniejszy niż widziany z Ziemi.

Świecił tak mocno, że tworzył nawet cienie. Na wschodzie Gwiazda Poranna; jej równe światło miało barwę niebiesko-białą, odbijającą się od fioletu marsjańskiej jutrzeńki. To była, oczywiście, Ziemia. Bliźniaczej planecie niewiele brakowało do koniunkcji – czyli wejścia na linię Słońce-Mars – i była możliwie najbliżej Marsa. Zwrócona ocienioną półkulą w kierunku Marsa, tworzyła na niebie sierp.

Konstelacje układały się w takie same wzory, jakie York zapamiętała z dzieciństwa, jakby chciały chłodno napomnieć Aresa, że przebył doprawdy niewielki odcinek, jeśli mierzyć jego wyprawę w skali kosmicznej. Odległość do gwiazd pozostała tak wielka, że całe to ogromne międzyplanetarne przedsięwzięcie – szczyt możliwości ludzkiej techniki, która sprawiła, że Ziemia zmałała do gwiazdowego punkcika – było tylko pierwszym krokiem dziecka.

Dzisiaj czekała ich najważniejsza chwila wyprawy. Niebawem Phil Stone miał zostać pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na Marsie. MEM przebywał już trzy dni na powierzchni planety. Załoga musiała poświęcić część cennego czasu, adaptując się do warunków ciężenia.

Przepowiednie się sprawdziły. York była o kilka cali wyższa i cały kamień*[Przyp tłem angielska jednostka ciężaru, około 6,35 kg.] cięższa niż wtedy, kiedy odrywała się od Ziemi. Początkowo miała kłopoty z poruszaniem się po ciasnym MEM-ie, wciąż wpadała na ściany i zapominała, gdzie jest dół, a gdzie góra. I miała najbardziej „kurze nogi” z całej załogi. „Starzeję się w przyspieszonym tempie, co Adamie?” – pomyślała. „Miałeś rację.

Jesteśmy trójką starców, tkwiących na powierzchni Marsa”. Ale żeby poruszać się na Marsie, na którym ciężenie dorównywało tylko jednej trzeciej ciężenia ziemskiego, wystarczały nawet takie patykowate nogi. Mimo czasu spędzonego na planecie, wciąż nie mogła się znaleźć w nowym miejscu, jakby oświetlony odbitym blaskiem Jowisza pejzaż był kolejnym gipsowym symulatorem.

Wiedziała jednak, że kiedy wyjdzie z tego pomieszczenia, tamten świat okaże się realny.

Stone dołączył do niej przy iluminatorze. Podobnie jak York, miał na sobie ciepłą bieliznę i na niej strój chłodząco-wentylujący, warstwę przewodów z wodą. York miała założony cewnik, a Stone nosił innego typu urządzenie do magazynowania uryny, wielki niesamowity kondom. Wyglądali przedziwnie bezpłciowo, śmiesznie. – Piękny widok, co – zamruczał Stone. – Wiesz, Ralph upiera się, że widzi Księżyc gołym okiem.

–Może i widzi. To niewykluczone. – Księżyc powinien wyglądać jak lekko rozjaśniona srebrno-szara gwiazda, okrążająca blisko swoją panią. Stone przyniósł York dolną część stroju EVA, spodnie połączone z wysokimi butami. – Włóż, York –

powiedział. – Dość oglądania widoczków.

Spojrzała na skafander. Sytuacja miała dziwnie surrealistyczny wymiar.

–Więc już czas, co?

–Już czas.

Wsunęła kciuki w zaczepy przy mankietach stroju chodzącego, zapobiegające podeżdżaniu rękawów. Spojrzała na znajome ciało z plastikowymi błonami między kciukiem i palcem wskazującym każdej ręki; to był pierwszy etap skomplikowanej ceremonii nakładania stroju i ta prosta czynność sprawiła, że serce zaczęło jej bić żywiej.

Wsunęła nogi w dolną część stroju. Wielowarstwowy materiał był ciężki, sztywny i oporny, opadał jakby obdarzony własnym życiem, podczas gdy Stone starał się go dopasować. York szybko ogarnęło zmęczenie.

Zajęła się połączeniem przewodu odcewnikowego. Biegł do sporego pudełka, mogącego pomieścić kilka pint*[Przyp tłum 1 pinta – 0,5 litra] uryny. Nie miała zbiornika

kału; nosiła rodzaj pieluchy, higroskopijną bieliznę mającą wchłonać „wszelkie produkty

przemiany materii, których nie da się utrzymać podczas EVA”, jak mówiły podręczniki

treningowe.

York zamierzała utrzymać wszystko, co się da.

Przyszedł czas na górną część stroju, HUT-a*[Przyp tłum Hard Upper Torso]. Wisiał na ścianie śluzy niczym napierśnik pancerza, połączony z plecakiem układu życiodajnego.

Przykucnęła pod HUT-em, uniosła w górę ramiona. Wsunęła się w strój jak robak w ziemię. Przez chwilę nic nie widziała, czuła tylko ostre, świeże wonie plastiku, metalu i bawełny.

Przepchnęła ręce do końca, czując jak pętelki stroju chłodzącego wrzynają się w delikatną skórę u nasady palców. Ramiona poszły w tył, sprawiając ból. Wszystko

było trudne.

Niemniej jednak ten strój był o niebo prostszy niż stare skafandry księżycowe; załoga Apolla musiała składać skafandry na Księżycu, łącząc przewody wodne i tlenowe z plecakiem.

Wysunęła głowę przez pierścień hełmowy. Stone uśmiechnął się do niej szeroko.

–Witaj znów – powiedział.

Naciągnął HUT-a na York i poczuła ciężar na ramionach. Połączył pierścienie u dołu górnej połowy oraz u góry dolnej i dopasował je. Zaskoczyły z metalicznym trzaskiem.

Teraz York pomogła Stone'owi.

Przebywali w ciasnej śluzie powietrznej już od dwóch godzin. Ciśnienie w Challengerze wynosiło siedemdziesiąt procent ciśnienia ziemskiego na poziomie morza.

Statek zawierał mieszankę azotowo-tlenową, ale żeby zapobiec nadmiernemu usztywnieniu strojów EVA, te z kolei musiały zawierać czysty tlen pod ciśnieniem równym jednej czwartej ciśnienia ziemskiego na poziomie morza. Tak więc York i Stone musieli jakiś czas oddychać czystym tlenem, wyzbywając się azotu z krwi.

Był to uciążliwy rytuał, a na dodatek EVA na Marsie mogła trwać najwyżej trzy, cztery godziny. Urządzenia życiodajne Apolla zapewniały siedem godzin pracy na powierzchni. Ale ciążenie na Marsie było dwa razy większe niż na Księżycu, więc stroje marsjańskie musiały być proporcjonalnie lżejsze i dlatego też zapewniały dużo krótsze EVA.

Poza tym dłuższe musiały być przerwy na oczyszczanie między wyjściami na powierzchnię; należało odkurzyć stroje z pyłu marsjańskiego, który był wysoce utleniający i niebezpieczny dla płuc, gdyby przedostał się do wnętrza Challengeera. Długie przygotowania, następnie czyszczenia i zabiegi przeciwskażenia, i krótkie wyprawy. Pobyt na Marsie zapowiadał się wyczerpująco i frustrująco. York wsunęła na głowę czepek-pilotkę. Następnie Stone założył jej hełm, przekręcił go i zapiał.

Ostatnim elementem były rękawice; ciasne i zapinane na wysokości przegubów. Stone przeczucił wyłącznik panelu umieszczonego na piersiach York; usłyszała delikatny, znajomy szum pomp i wentylatorów plecaka, poczuła strumień tlenu na twarzy.

Stone zastukał ostro w górę hełmu i uniósł kciuk przed nosem York. Uśmiechnęła się i skinęła głową.

Podniosła przedramię; na mankiecie miała lustrzaną płytkę, odbijającą panel na piersiach. Panel podawał wysokość poziomu tlenu, dwutlenku węgla a także ciśnienia i alarmował w razie awarii. Zobaczyła, że poziom tlenu się wyrównuje. Stone sprawdził połączenie radiowe.

–Cześć Natalie – powiedział. – Adam, Barbara, Celia... Głos był przytłumiony i towarzyszyło mu echo przenoszone przez grube szkło osłony hełmu. Sprawdziła działanie cienkich przewodów w hełmie: pociągnęła małe łyki wody i soku pomarańczowego. Sok był znośny, ale woda za ciepła. To nie miało znaczenia. Na krótko podniosła ciśnienie stroju do maksimum, sprawdzając szczelność. Przypięła do mankietu krótką listę zadań EVA.

Po sprawdzeniu strojów York i Stone odwrócili się do siebie. Strój Stone'a lśnił bielą, buty miały błękitną barwę, na rękawach płonęły dumnie plakietki z flagą amerykańską.

–Skończone? – zapytał.

Teraz była oddzielona od Challenger'a; zamknięta we własnym, samowystarczalnym, miniaturowym statku kosmicznym. Wciągnę w płuca chłodny, niebieski tlen. – Tak. Do roboty.

–Odebrałem – powiedział. Odwrócił się od niej i zwrócił do Gershona, przebywającego w członie wlotowym. – Ralph, czekam na pozwolenie wypuszczenia powietrza.

–Odebrałem, Phil, macie pozwolenie na wypuszczenie pi wietrzą. Stone przerzucił przekaźnik umieszczony na ścianie. York usłyszała świst uciekającego powietrza, a potem wydało się jej, że gwałt wniej oddycha, jakby chciała wyrównać ten brak.

–Odebrałem – powiedział Stone. – Tu wszystko sprawne. Cz kamy tylko, żeby powietrze opadło na tyle, aby móc otworzyć luk. Zegarowy wskaźnik opadł do dwóch trzecich funta. – Ciśnienie statyczne zewnątrz luku niskie. Możecie go już otw rzyć? – spytał Gershon.

–Spróbuję – powiedział Stone.

Wyjście ze śluzy powietrznej wiodło przez mały luk przypodłóg wy. Otwierało się go

zwykłą dźwignią. Stone pochylił się, przekrę dźwignię i pociągnął ją. Cienki włącz wygiął się

do wewnątrz, ale poz stał zamknięty.

–Niech to szlag.

–Może ja spróbuję. – Przykucnęła i złapała za brzeg właz; w miejscu, w którym wystawał ze ściany. Rękawice były z gumy i metalowej siatki, duże i niewygodne. Ale krótki fragment pokrywy us pił. W szczelinie między włazem i krawędzią luku zajaśniało brązowe światło. – Chyba złamałam pieczęć.

Stone szarpnął dźwignię i właz odskoczył bez oporu.

Zawirowały płatki śniegu, ostatki powietrza uciekły w atmosferę Marsa.

York i Stone cofnęli się przed opadającą w tył pokrywą luku. Ukazała się kładka, platforma przymocowana do grubej nogi Chl lenger, na którą niebawem miał wyjść Stone. Kładka była pokryta brązowym żwirem, naniesionym podczas lądowania. Dalej rozpościerała się powierzchnia Marsa; na piasku ułożyły się koła, pamiątka ostrego trysku silników podczas lądowania.

To był zaledwie kawałek terenu; wyglądał tak zwyczajnie, że Ziemi nawet nie zwróciłyby na niego uwagi. Ale to była Mangala Val-lis i zaledwie kilka kroków w rzadkim marsjańskim powietrzu dzieliło York od powierzchni, którą zajmowała się przez całe swoje dorosłe życie.

–Natalie... – powiedział Stone. Odwróciła się; biały strój Stonek płonął w świetle jarzeniówek śluzy powietrznej, kontrastując z brązem Marsa. – Zapomnieliśmy o czymś z listy zadań – powiedział Stone. – Nie założyliśmy tego. – Poprzednio wyjął z kieszeni czerwone opaski z napisem „EV1”. Jako dowódca pierwszego EVA miał dowodzić operacją;

York oficjalnie pełniła rolę wsparcia, więc dla Stone’a przewidziano opaski na ramiona i nogi, żeby kamery telewizyjne mogły ich rozróżnić. Ale teraz Stone podawał jej opaski dowódcy.

–Nie rozumiem – powiedziała. Uśmiechnął się znowu.

–Chyba jednak tak. Nałóż opaski.

Wyciągnęła rękę, a on złożył na niej opaski. Nic nie czuła przez grubą rękawicę.

–Chyba żartujesz – powiedziała.

–Słuchaj, nie każę ci lądować tym cholernym MEM-em – odparł cierpko. – Robiłaś to podczas treningu procedur awaryjnych. Podczas tego pierwszego EVA musisz tylko się przejść, zebrać trochę kamieni i opowiedzieć ludziom na Ziemi, jak tu jest. Ta

zaskakująca oferta nie wzbudziła w niej żadnej przyjemności ani dumy. Poczuli jedynie irytację. „Znów te cholerne góry i doliny nastrojów” – pomyślała. – To nie ma sensu, Phil. Na litość boską, nie chcesz być pierwszym człowiekiem na Marsie? Chyba nie jesteś takim dupkiem, żeby z tego zrezygnować? – Jestem takim dupkiem – odpowiedział rozdrażniony. – To ważne, Natalie. Omówiłem to wcześniej z Joem Muldoonem. Pierwsze EVA musi być zrobione jak należy.

Zwłaszcza pierwsze. Przez wzgląd na przyszłość. Następne kilka minut to

najważniejsza

część całej cholery misji. Ważniejsza niż sprawy naukowe... chociaż pewnie się

ze mną nie

zgodzisz. Natalie, minie kawał czasu, zanim ktoś tu znów wpadnie. Ale my

zmieniamy

historię i nawet gdybyśmy się wykopyrtnęli, ludzie będą mogli spojrzeć na Marsa

i

powiedzieć, tak, to

–

jest wykonalne, możemy się tam dostać i przeżyć. Wiemy o tym, bo ktoś już tam był.

Słuchaj, ja nie jestem żadnym Neilem Armstrongiem i wiem o tym. Ty jesteś bardziej... wygadana. I to twoje miejsce; twoja dolina. Do cholery, twoja planeta. Dasz sobie lepiej radę, niż ktokolwiek inny na świecie. Wydaje mi się, że przekażesz to lepiej ode mnie.

A poza

tym...

–Co? Uśmiechnął się.

–Mam pewne przeczucie. Chyba będę sławniejszy, kiedy zrezygnuję z bycia pierwszym.

–Mam nadzieję, że ona słucha rozkazów – wtrącił się Gershon.

–Nie lepiej niż zwykle.

„Uknuli to” – pomyślała. „Załatwili mnie”.

–I weź to – powiedział Stone. Wyciągnęła rękę. Stone położył na niej krążek wielkości średniej monety, diamentowy marker. – Sądzę, że to ty powinnaś go złożyć. Ku pamięci Bena.

I innych.

Zamknął jej dłoń, patrząc prosto w oczy. Nagle pojęła. „On wiedział – pomyślała – o Benie i o mnie. Wiedział. Wszyscy wiedzieli, przez cały czas”.

Wsunęła marker do kieszeni na próbki. Potem mechanicznie założyła opaski na ramiona oraz nogi i opuściła złotą osłonę hełmu, zakrywając twarz. Stone przytrzymał pokrywę luku. York niezdarnie uklękła i ruszyła tyłem do wyjścia.

Dotarła do progu kładki.

–No, jedziemy – powiedział Stone. – Ładnie trzymasz kierunek, Natalie. Trochę do mnie. W porządku, w dół. Trochę w lewo. Lewa stopa w prawo... nie w drugą stronę.

Świetnie ci idzie.

Czuła, że zahacza biodrami o wyjście. Przewody chłodzące uwierały ją w kolana.

Krew dudniła w uszach.

–Dobra, Ralph, jestem na kładce. – Złapała się bocznych poręczy. Podniosła wzrok.

Kurz wzbity przy lądowaniu pokrył biały kadłub, który dodatkowo zabarwił się na żółto w szybko przemijającym mars-jańskim poranku. York wyszła już tak daleko, że miała przed sobą cały luk: prostokąt ostrego jarzeniowego światła, osadzony w Challengerze. W tym prostokącie kucał Phil Stone i patrzył na nią, kiwając głową.

Nadal czołgała się w tył, szukając drogi prawą nogą; w końcu trafiła wielkim

palcem

w najwyższy szczebel drabiny.

Wyprostowała się, trzymając poręczy.

Była w cieniu Challenger; statek zasłaniał wschodzące Słońce i niebo pozostawało czarne, chociaż bez gwiazd. Odwróciła się sztywno. Po obu stronach wyrastał bliski, ostro zarysowany płaski horyzont, zamykający dolinę pełną piachu i skał. Wszystko

miało barwę zardzewiałego brązu, jakby zaschniętej krwi, cienie były długie i wyraziste. Zmiana skali obezwładniała. York spędziła miesiące w ciasnym module misji, gdzie wszystko było albo o kilka stóp, zamknięte napierającymi, zaokrąglonymi ścianami, albo nieskończenie dalekie. Teraz z potężną mocą otworzyły się nowe wymiary, wysokość i głębia. Tego nie dało się przerobić na treningach. Była oszołomiona. Przez chwilę miała wrażenie, że runie w tył. Kurczowo zacisnęła ręce na poręczach. – Natalie...?

–Nic mi nie jest, Phil. To tylko...

–Wiem – powiedział Stone. – Wielka chwila, co?

–Aha.

–Natalie, przygotowałaś już MESA?

MESA, modułowy panel przyrządowy, mieścił się po lewej stronie drabiny. York przesunęła zatrask. Panel opadł jak most zwodzony, ukazując kamerę telewizyjną. – Ralph, MESA zjechał na dół.

–Odebrałem, Natalie. Włączam kamerę.

Obiektyw był ciemny, czysty, uważny; kamera odwróciła się, kierowana przez Ralpha, ustawiając na niej ostrość. York poczuła absurdalne skrępowanie. – Czekam na telewizję – powiedział Gershon. – Człowieku, mam obraz. Strasznie skontrastowany... same kolorowe plamy. Cholerstwo ustawiło się do góry nogami. Ale widzę sporo szczegółów i... jest autokorekta. Natalie, widzę cię na drabinie. York skinęła głową do kamery. „Ale oni nie widzą mojej twarzy za osłoną” – pomyślała. Pomachała ręką.

Ruszyła w dół drabiny, szczebel po szczebłu. Przekonała się, że dzielą je duże odległości i najlepiej zeskakiwać z jednego szczebła na drugi. Ostatni był trzy stopy nad powierzchnią, York odepchnęła się od drabiny i poleciała swobodnie w dół. Opadała w wyraźnie zwolnionym tempie; przebycie jarda zajęło jej około sekundy. Na Ziemi trwałoby to o połowę krócej.

Jej niebieskie buty spoczęły na szerokim na trzy stopy, białym talerzu nogi członu ładowniczego. W cieniu Challengeera nadal panował mrok i York dostrzegała niewiele szczegółów.

Trzymając się wielkimi rękawicami drabiny, spróbowała wrócić na dolny szczebel drabiny. Musiała mieć pewność, że zdoła się dostać z powrotem do statku. Ale strój był

sztynny i nie mogła unieść wysoko stopy.

–Debil to zaprojektował – sapnęła.

–EV1, jesteś na fonii – napomniał ją obojętnie Gershon. Zrezygnowała ze wspinaczki. Pochyliła się trochę i podskoczyła. Strój usztywniał kolana i mogła się wybić tylko z palców. Ciężenie marsjańskie pociągnęło ją w tył, chociaż niezbyt mocno. Nie trafiła w szczelbel. Z łomotem wpadła na drabinę, ale udało się jej zahaczyć nogą o szczelbel. Bez tchu kolejny raz opadła na talerz nogi ładownika.

Rozejrzała się wokół.

–Dobra – powiedziała. – Jestem u podstawy drabiny. Talerze nóg MEM-a zanurzają się jakieś parę cali w warstwie powierzchniowej. Całkiem dobrze to widać. Oczywiście, jest tu trochę wody, a gleba jest spójna ze względu na swoje własności elektrostatyczne...

„Nie analizuj, York, opisuj” – powiedziała sobie w duchu. – Powierzchnia przypomina trochę plażę. Mokry piasek. Ale jak się dobrze przyjrzeć, widać, że ten materiał jest o wiele drobniejszy niż piasek i bardzo spoisty. Gdzieś jest niezwykle miękki, jak puder. – Wyciągnęła nogę i łagodnie dźgnęła regolit, zostawiając bruzdy. – Mogę bez problemu robić rowki w powierzchni. Pęka pod moja stopą. Mam wrażenie, że materiał powierzchniowy to cząsteczki pyłu scementowane w trakcie przesączania się wody na powierzchnię i wytrącania się soli podczas parowania. – Dostrzegła, że na talerzu nogi jest trochę marsjańskiego pyłu, który już przylgnął do jej buta. – Pył przywiera do podeszwy i boków moich butów. Tak więc jest zarówno spoisty jak i przylegający. Mam wrażenie, że tworzy usypiska o pochyleniu około siedemdziesięciu stopni...

–Natalie – nagle odezwał się Ralph Gershon – proszę, żebyś na chwilę stanęła

twarzą

do kamery.

–Powtórz, Ralph.

–Odebrałem. Proszę, stań twarzą do kamery. Natalie, Phil, prezydent Stanów Zjednoczonych jest teraz w swoim gabinecie i chciałby zamienić z wami kilka słów.

Odpowiedział za nią Stone:

–To dla nas zaszczyt, Ralph.

York sprawdziła listę zadań, przyczepioną do mankietu. Reagan był dokładnie o

czasie. Wytrawny aktor nie spóźnił się na wejście. Odwróciła się ku MESA.

Wyobraziła sobie swój wizerunek przekazywany na Ziemię: sztywna, kanciasta postać na talerzu nogi ładownika, obrysowana wielokolorową otoczką na tle szkarłatu Marsa.

Zdjęła aparat marki Hasselblad z platformy MESA. Po kilku nieudanych próbach zdołała go przymocować do uchwyty nad panelem, który miała na piersiach. Odwróciła się powoli, robiąc kilkanaście zdjęć. Następnie wzięła małą kamerę telewizyjną i umocowała ją obok hasselblada.

Zmieniła się jakość połączenia radiowego; odezwał się kontroler łącznikowy z Houston.

–Proszę, panie prezydencie. Wyłączam się.

–Natalie i Phil, mówię do was za pośrednictwem łącza radiowego z Gabinetu Ovalnego w Białym Domu. – Ciężki głos Reagana był ożywiony, pełen ciekawości.

„Facet

dobrze gra swoją rolę” – pomyślała York. Przyłapała się na tym, że się prostuje,

jakby

przybierała postawę na baczność. – Technicy NASA powiedzieli mi, że moje słowa

będą

potrzebowały czterech minut, żeby do was dotrzeć, a ja będę potrzebował

kolejnych czterech,

żeby was usłyszeć. Tak więc zdaję sobie sprawę, że nie za bardzo będziemy mogli

ze sobą

porozmawiać. Chcę więc tylko przekazać wam, co następuje, gdy przebywacie tam, w

Dolinie Mangala. Nasz postęp w kosmosie, dalsze gigantyczne kroki, które

podejmujemy w

imieniu całej ludzkości, jest hołdem dla amerykańskiej umiejętności pracy

zespołowej i

naszej doskonałości. I możemy z dumą powiedzieć: jesteśmy pierwsi, jesteśmy najlepsi i jest

tak

–

dlatego, bo jesteśmy wolni. Ameryka zawsze była największa, kiedy nie lękaliśmy się wielkości. I znów zdobyliśmy się na wielkość. Możemy realizować nasze marzenia, udając się do planet i odległych gwiazd, żyć i pracować w kosmosie osiągając cele pokojowe, gospodarcze i naukowe... – York posłusznie słuchała odległego zniekształconego głosu, stojąc z ciężkim plecakiem na ramionach w rozżarzonej pejsażu. – ...Teraz przestanę już gadać, Natalie i Phił, ale chcę, żebyście poświęcili nam jeszcze parę chwil waszego czasu. Proszę, powiedzcie nam, jak to jest, kiedy człowiek w końcu znajdzie się na powierzchni Marsa.

Reagan zamilkł i w słuchawkach York rozlegał się tylko syk. – Dziękuję, panie prezydencie – powiedział Stone. – To dla nas zaszczyt i przywilej być tutaj, reprezentując nie tylko Stany Zjednoczone, ale całą ludzkość. Natalie...

„Natalie, powiedz im, jak to jest” – zakończyła za niego w myślach. „To najstarsze pytanie świata, najtrudniejsze do odpowiedzenia i może najważniejsze” – pomyślała.

Jedynе pytanie, na które nie potrafili odpowiedzieć astronauty Apolla.

„Teraz ja muszę spróbować” – pomyślała.

Słońce świeciło coraz jaśniej na różowym niebie, a planeta była wazą czerwieni i brązów. Światło odbijało się od pyłu powierzchni i wisiało w powietrzu. Blask padający z włazu był równie oślepiający jak poprzednio, niewiarygodnie przenikliwy. – W porządku, panie prezydencie. MEM stoi na pomocnej równinie, Mangala Vallis. Jest późne jesienne przedpołudnie. Tu mamy zaledwie osiem dni do zimowego przesilenia.

Niebo jest jednolicie brązowe. Pył sprawia, że wszystko ma odcień bladej, łososiowej barwy.

Czerwona Planeta tak naprawdę nie jest czerwona; dominującym kolorem jest łagodny brązowo-żółty, wynik odbicia światła od powierzchni. Nigdzie nie widzę zieleni ani błękitów.

Jeśli ludzie kiedykolwiek skolonizują Marsa... nie, nie Jeśli”, kiedy... będziemy

musieli wynaleźć dużo nowych słów na opisanie odcieni brązu. Jestem prawie na marsjańskim równiku. Żebyście mogli zorientować się w moim położeniu, to informuję, że wielkie Wzniesienie Tharsis z trzema ogromnymi wulkanami tarczowymi jest kilka tysięcy mil na wschód ode mnie, a Olympus Mons, największy wulkan w Układzie Słonecznym jest w takiej samej odległości na północ. Jesteśmy właściwie na obrzeżu Tharsis, tak że chociaż może się wydawać, że jest tu płasko, jak na plaży podczas odpływu, to stojąc tyłem do MEM-a i patrząc przed siebie, widzę nieznaczną pochyłość, rzędu kilku dziesiątych stopnia. – Obróciła się, rozglądając powoli po całej panoramie Mangala Vallis. – MEM stoi na terenie zasłanym skałami. Ich wysokość waha się od połowy jarda do jakichś dwóch jardów.

Są pokryte wezyklami, małymi powierzchniowymi pęcherzykami. Oznacza to, że te skały to zapewne kawałki zastygłej lawy. Wszystkie są pełne dziur i wyłobień, powstałych pod wpływem erozji wietrznej. Widzę także mniejsze kamienie, jakby żwir, ale jestem przekonana, że to odłamki stwardniałego pyłu. Kawałki sklezionej powierzchni. Ta z kolei nie jest piaszczysta, ale o wiele bardziej sproszkowana. Jestem pewna, że ten pył powstał w wyniku powolnego wietrzenia skał, któremu towarzyszyło intensywne utlenianie; skały mają charakterystyczne ciemne zabarwienie glin smektycznych, czerwono-brązowe...

Widać, że

procesy geologiczne w dalszym ciągu kształtują pejzaż. Powierzchnia uległa działaniu wiatru,

a pył pod moimi nogami niewątpliwie został naniesiony z innej części planety. Z

geologicznego punktu widzenia, mamy tu do czynienia z wyraźną sekwencją zdarzeń:

upadki

meteorytów, działania wiatru, procesy wulkaniczne, zapewne powodzie, formowanie się

warstw lodu. Księżyc to stary satelita; ocenia się, że jego historia uległa zakończeniu miliard

albo więcej lat temu. Ale kiedy tu stoję, jest dla mnie oczywiste, że Mars, jak

Ziemia wciąż

ewoluuje. Wciąż żyje.

Połączenie radiowe umilkło na długo.

–Natalie – powiedział łagodnie Stone. – Wszystko w porządku? – Tak. Wszystko w porządku, Phil. – Myślała o swoich milknących słowach, przesyłanych na Ziemię i dalej; żałowała, że nie może ich cofnąć. „To za mało” – pomyślała.

„Zawsze będzie za mało. Ale chyba najlepiej, jak umiałam”. Nadszedł czas. – Teraz zejść z talerza nogi – powiedziała.

Przytrzymała się drabiny prawą ręką i wychyliła w lewo. Uniosła lewą stopę poza obszar nogi ładownika, wysunęła ją trochę dalej i delikatnie, ostrożnie postawiła na warstwie pyłu.

Nikt się nie odzywał, ani Stone, ani Gershon, ani odległa Ziemia.

York miała takie wrażenie, jakby cały świat był skupiony na niej, na tej chwili. Wspierając się na lewej nodze sprawdziła, czy nie jest za ciężka. Ale marsjański regolit w warunkach słabego ciężenia był na tyle twardy, że ją utrzymał. Tak, jak tego oczekiwała.

Stała jedną nogą na niezdarnym artefakcie z Ziemi, drugą na dziewiczym terenie Mangali. Rozejrzała się szybko po pustym pejzażu, obramowanym okrągłym brzegiem osłony hełmu i zauważyła migotanie delikatnego brązowego światła na nosie i policzkach, na ludzkim ciele, tu, na Marsie.

Trzymając się drabiny, postawiła prawą nogę na powierzchni. Na-stępnie ostrożnie puściła drabinę. Stała swobodnie na Marsie.

Zrobiła krok, potem drugi.

Buty zostawiały wyraźne, głębokie ślady z pręgami odpowiadającymi kształtowi podeszew. Chciałaby zdjąć buty i wcisnąć nagie palce w piasek marsjańskiej plaży, poczuć ten delikatny sproszkowany materiał.

Strój był przyjemny, ciepły. Słyszała terkot wentylatorów wirujących z

prędkością

dwudziestu ośmiu tysięcy obrotów na minutę. Szeroka na sto osiemdziesiąt stopni

osłona

hełmu nie ograniczała pola widzenia, więc York nie miała poczucia, że jest

uwięziona,

zamknięta.

Zrobiła następne kroki.

Odbijała się od powierzchni. Wędrowanie po Marsie było jak chodzenie we śnie, coś pośredniego między chodzeniem a unoszeniem się w wodzie. Szła swobodnie. O wiele łatwiej niż w symulatorach na Ziemi. Ale czuła bardzo wyraźnie ciężar ekwipunku i musiała się pochylać, żeby utrzymać równowagę. Zginanie nóg w kolanach było utrudnione, więc ruch wychodził głównie z kostek i palców; oznaczało to, że niebawem się zmęczy. „Ale moje małpie palce są silne, kiedy brną przez ten marsjański pył” – pomyślała. Dziwne, ale miała wrażenie, że towarzyszą jej cienie Armstronga i Muldoona, jakby powtarzała ich pierwszą, sławną wyprawę. Ta myśl nieco przyćmiewała radość chwili.

Odwróciła się ku Challengerowi. MEM był dużą regularną piramidą, zarysowaną w świetle skurczonego Słońca, wspartą na sześciu dziwacznych, składanych nogach.

Nadal

przebywała w cieniu statku.

Nastrojowe światło kojarzyło się z późnym popołudniem. Challenger miał teraz bladoróżową barwę; obejmujący Stone'a jarzeniowy prostokąt luku ostro odcinał się od reszty kadłuba. Ta perłowa plama w zaskakujący sposób kojarzyła się z wyobrażeniami o statkach kosmitów.

Dominująca czerwień pochodziła z kurzu, wiszącego w powietrzu. York wiedziała, że jest dziesięciokrotnie gęstszy niż smog w Los Angeles w najgorsze dni. Ale tu nigdy nie spadał deszcz, żeby go spłukać.

Ruszyła dalej wzdłuż cienia statku, podążając ku zachodowi, ku światłu Słońca.

Cień

MEM-a kładł się przed nią na skalistej powierzchni długim, ostro zakończonym stożkiem.

Minęła granicę cienia i weszła w światło.

Odwróciła się. Słońce świeciło jej prosto w twarz, rzucając odbicia na osłonę hełmu.

Wschód Słońca na Marsie... Niebo było tu inne, ponieważ kurz rozszczepiał promienie.

Słońce, unoszące się nad sylwetką Challengerera, było otoczone elipsą żółtego światła, zawieszona na brązowym niebie. Nierealnie małe, niewyraźne, było o jedną trzecią mniejsze niż oglądane z Ziemi.

York zadrżała, chociaż wiedziała, że temperatura stroju nie uległa zmianie, ale skurczone Słońce i ciemne niebo sprawiały, że Mars robił wrażenie zimnego, odległego miejsca.

Zrobiła obrót, panoramując otoczenie kamerą. Marsjański kurz ślizgał się pod butami.

Oddaliła się od Challengerera, znacząc dziewiczy regolit odciskami swoich stóp. Miała takie wrażenie, jakby długa cienka lina łącząca ją z MEM-em i ojczystą planetą napięła się, wystrzępiła, a ona sama pozostała skazana na ten lodowaty płaskowyż. W miarę jak przybywało światła, okazywało się, że teren nie jest całkowicie płaski, cienie były subtelnie zróżnicowane i na zachodzie wyrosły niskie piaskowe diuny. Ale były bardziej nieregularne niż ziemskie wydmy, zapewne z racji mniejszych rozmiarów cząsteczek materiału zalegającego powierzchnię i wyglądały raczej na warstwy pyłu, naniesione przez wiatry.

Jeszcze dalej na zachodzie dostrzegła jakąś linię, delikatny cień w piasku. Tworzyło go chyba płytkie wzniesienie, ukrywające zagłębienie. Ruszyła w tamtym kierunku.

Po jakichś pięćdziesięciu jardach dotarła do wzniesienia. Okazało się, że jest to niewielki, ostro zarysowany krater, mający kilkanaście jardów średnicy, którego dno jest poniżej otaczającego go terenu. Ściany krateru były zniszczone, a za nim utworzył się łagodnie opadający wzgórek.

Ten wzgórek to musiał być efekt działania erozji, kształtującej teren podobnie jak rozwidlenia ziemskich strumieni. York miała wrażenie, że dostrzega ślady stratyfikacji na bokach wzgórza. Jakby zaszło tu spękanie powierzchni. Ruszyła nieporadnie w dół krateru, przebierając sztywnymi nogami. Wzbijała tumany pyłu,

które przylegały do nóg i górnej części stroju. Osłona hełmu zaparowała, oddech uległ przyspieszeniu. Zgięła się. Poniżej krawędzi krateru coś błyszczało, coś, co odsunęło daleko księżycowe duchy Armstronga i Muldoona, coś, co sprawiło, że w końcu poczuła, jak krąg jej życia ulega zamknięciu. „Chyba nie ma wyjścia i muszę wpisać się w historię ludzkości” – pomyślała.

To był szron.

Pochyliła się bokiem, nieporadnie, ku dnie krateru. Przejechała po nim palcami. Bez trudu zagłębiły się w pył, zostawiając ostre ślady. „Zachowuję się jak dzieciak, który kopie w piasku” – pomyślała. „W plaży wielkości planety”. Gdziekolwiek wbiła rękę, powierzchnia była taka sama – ustępliwa, pylasta, a jednocześnie spoista, jakby składała się z małych rzecznych kamyczków. Uniosła rękawicę do twarzy, żeby lepiej ocenić pył. Ku swojemu rozczarowaniu dowiedziała się niewiele więcej. Kawalek regolitu był bardzo lekki, tak lekki, że nie czuła nawet jego ciężaru. Na wyczuwała nawet tekstury, tak gruba była rękawica. Odbicia światła wschodzącego Słońca na osłonie hełmu utrudniały widzenie, natomiast terkot pomp i syk połączenia radiowego odcinały ją od wszelkich lekkich odgłosów, niesionych marsjańskimi wiatrami.

Miała wrażenie nierealności, odizolowania. Była tu, ale wciąż odcięta od Marsa.

To

zupełnie nie przypominało wyprawy w teren.

Zacisnęła palce na próbce; małe „kamyczki rzeczne” pękły i rozsypały się. To były tylko fragmenty stwardniałego pyłu, przypominającego nieczyszczoną saletrę. Przechyliła rękę i zmiażdżony pył sfrunął na powierzchnię; sporo przylgnęło do wnętrza rękawicy, zabarwiając ją na rdzawy brąz. Wyjęła z kieszeni diamentowy marker. Uniosła go w dłoni; odbił światło słoneczne i rozszczepił je niczym okaz biżuterii, zapłonął żywym szkarłatem na tle marsjańskich brązów.

Nagle, nieoczekiwanie poczuła napływ dumy. Miała głęboko nieufny stosunek do patriotyzmu, a ta ekspedycja to było w gruncie rzeczy tylko szaleństwo technokratów. Ale faktem też było, że jej kraj, mający za sobą zaledwie dwieście lat istnienia, wysłał swoich obywateli na powierzchnię dwóch ciał niebieskich. I gdyby jakiś haniebny zbieg wydarzeń miał zetrzeć życie z powierzchni Ziemi, zanim ktokolwiek zdecydowałby się tu wrócić, ten mały marker z flagą nadal tu będzie, jako pomnik wielkiego osiągnięcia ludzkości; on, resztki Challenger'a i trzy człony ładownicze na powierzchni Księżyca.

„I pomyśleć, że mało brakowało, a nie przybyliśmy tu, pomyśleć, że po etapie Apollo mogliśmy zamknąć program kosmiczny” – przemknęło jej przez głowę. Ostrożnie

upuściła marker, który wpadł do wykopanej dziury i spoczął, siejąc skry na dnie krateru.

Następnie bez słowa znów wsunęła rękę do kieszeni. Nieporadnie wyjęła małą srebrną

odznakę. Wzór z lat sześćdziesiątych był w złym guście; gwiazda unosząca się w górę,

ciągnąca ogon komety.

„To na twoją część, Ben” – pomyślała York.

Upuściła odznakę do niewielkiego zagłębienia, śladem markera. Butem zgarnęła pył, zasypując dziurę, po czym wygładziła powierzchnię. Ślady Armstronga i Muldoona zachowały się na powierzchni Księżyca – i miały tam pozostać przez wiele milionów lat, aż zetrze je erozja mikrometeoroidów. Ale tu było inaczej.

Ślady, które robiła dzisiaj, miały pozostać przez wiele miesięcy, może lat; ale w końcu zatrze je wiatr.

Za kilka lat ślady jej stóp znikną, a zagłębienie, które wykopała, będzie nie do wyśledzenia.

–...Natalie?

Zdała sobie sprawę, że nic nie powiedziała.

Odwróciła się do Challengerera. Twór ludzkich rąk był pękatą, pomalowaną na białą zabawką; zmniejszoną przez odległość, którą przebyła York; Słońce rozjaśniało niebo. Nadal widoczne było perło wo-szare wnętrze luku, umieszczone w środku MEM-a, a wyżej widać było gruby cylinder członu wlotowego, otoczonego zbiornikami paliwa. Od Challengerera do miejsca, w którym stała, prowadził pojedynczy ślad, wychodzący poza kręgi zaznaczone w pyle przez ładownicze rakiety MEM-a. Ten ślad wyglądał jak pierwsze zagłębienia stóp na plaży po odpływie; to był jedyny ślad człowieczy na tej planecie.

„Na Boga, jesteśmy tu” – pomyślała. „Przybyliśmy z zupełnie niewłaściwych przyczyn i zupełnie niewłaściwymi sposobami, ale jesteśmy tu i tylko to się liczy. I znaleźliśmy glebę, światło słońca, powietrze i wodę”. – Jestem w domu – powiedziała.

Posłowie

UTRACONY MARS

W rzeczywistości Challenger to nie imię ładownika marsjańskiego, ale promu kosmicznego, który splanął w styczniu 1986 roku, zabijając siedem osób załogi. Amerykański program kosmiczny zamiast przeżyć swój zenit, którym byłoby lądowanie na Marsie, znalazł się w najniższym punkcie.

Ale wydarzenia mogły przybrać zupełnie inny obrót. Po starcie Apolla 11 w lipcu 1969 roku rozentuzjzmowany wiceprezydent Spiro Agnew ogłosił, że Stany Zjednoczone „powinny określić prosty, ambitny i optymistyczny cel: załogowy lot na Marsa do końca tego wieku”. I NASA miała realistyczne plany osiągnięcia tego celu oraz silny zamiar jego urzeczywistnienia. Wtedy po raz ostatni Ameryka miała szansę przystąpić do wysłania ludzi na Marsa. Co takiego wydarzyło się w roku 1969? Czemu prezydent Nixon przekreślił szansę wyprawy na Marsa?

W styczniu 1969 roku, kilka miesięcy przed pierwszym lądowaniem na Księżycu, rząd nowego prezydenta (Nixona) zorganizował Grupę Roboczą ds. Kosmosu, STG (Space Task Group), pod kierownictwem wiceprezydenta Agnewa, która miała określić cele na okres po Programie Apollo. Raport STG był oczekiwany we wrześniu. (Notatka służbowa prezydenta Nixona, inicjująca powstanie Grupy była podobna do tej, która jest w powieści, ale nie ma w niej ręcznego dopisku...).

Rozpoczęły się miesiące mające zadecydować o przyszłości amerykańskiego programu kosmicznego po fazie Apollo. I właśnie wtedy NASA przegrała sprawę Marsa.

W 1969 roku dla zwolenników lotów kosmicznych logiczne pod względem technologicznym wydawało się przejście od osiągnięć Programu Apollo do kolonizacji Układu Słonecznego, w tymi misji na Marsa. Ale logika polityczna mówiła co innego.

Era Programu Apollo, kiedy wysiłek pół miliona Amerykanów był poświęcony lotom kosmicznym, zrodziła się w wyniku wyjątkowego zbiegu okoliczności, który się nie powtórzył w roku 1969. Zaledwie tydzień po pionierskim locie Jurija Gagarina w kwietniu 1961 roku, prezydent Kennedy posłał notatkę służbową do wiceprezydenta John-sona, pytając o następujące możliwości: „Czy mamy szansę pobić Sowietów, umieszczając w kosmosie laboratorium, czy też organizując lot wokół Księżyca, czy wysyłając raketę lądującą na Księżycu, czy posyłając człowieka w rakiecie na Księżyc i z powrotem? Czy jest jakiś inny program kosmiczny obiecujący przełomowe rezultaty, dzięki którym zyskalibyśmy palmę pierwszeństwa...?”.

Chociaż NASA w tym czasie miała harmonogram programu kosmicznego, zakładającego lądowanie na Księżycu, żadne przesłanki nie faworyzowały tego

punktu.

Więcej, Kennedy zgromił swoich doradców naukowych za to, że nie przedstawiali bliżej osiągalnych, przyziemnych a jednocześnie efektywnych celów naukowych w rodzaju odsalania wody morskiej.

Tak więc, kiedy Kennedy złożył w 1961 roku swoje sławne przyrzeczenie wysłania człowieka na Księżyc w ciągu dziesięciolecia, ten nowy program nie stanowił pierwszego etapu uporządkowanej ekspansji w kosmos. Kennedy raczej reagował na sowieckie przewodnictwo w wyścigu kosmicznym i klęskę w Zatoce Świń. W roku 1969 żaden logiczny bodziec nie nakazywał przejść od Programu Apollo do Programu Mars. W tym okresie wiele osób wewnątrz NASA wyraźnie nie pojmowało tego kluczowego elementu. Technicznie Program Apollo był celem samym w sobie. Chodziło o umieszczenie dwóch ludzi na Księżycu na przeciągu trzech dni, i osiągnięto to zadanie.

Również cele polityczne były dokładnie określone – pobić Sowietów w kosmosie – i one też zostały zrealizowane. Po zakończeniu Programu Apollo nie było żadnego bodźca, który by skierował Amerykę ku dalszym celom w kosmosie i w 1969 roku nie było też widać żadnych zagrożeń, wymuszających konieczną polityczną reakcję w postaci nowego programu. Niemniej jednak NASA zbadała techniczne możliwości wysłania misji na Marsa, zamawiając w latach 1961-1968 co najmniej sześćdziesiąt opracowań na ten temat. Ale wizjonerzy doznali srogiego zawodu, kiedy pierwsze Marinyery przysłały z Marsa ponure obrazy terenów pokrytych kraterami, jak powierzchnia Księżyca. Wyprawa na Marsa nie przestała być czymś niezwykle pociągającym pod względem naukowym, ale możliwości zagospodarowania planety przez człowieka okazały się bardzo ograniczone.

Odkrycia Marinerów zahamowały dalsze działania NASA w kierunku Marsa. Tymczasem perspektywiczne planowanie NASA w fazie Programu Apollo stało na niskim poziomie i Agencja okazała się nie przygotowana na sytuację powstałą w roku 1969.

Prawdę mówiąc, było to świadomym efektem polityki Jamesa Webba, dyrektora NASA w latach 1961-1968. Webb był przekonany, że sukcesy Programu Apollo napędlą obywateli USA wielką dumą i zachęcą do dalszego finansowania przedsięwzięcia, w związku z czym jakiegokolwiek zaangażowanie w drogi i długoterminowy Program Mars pozbawi NASA niezbędnego zapasu sił i środków koniecznych do zakończenia bieżącego programu. Budżet NASA zaczął się kurczyć już w roku 1966. 16 września 1968 roku, po kłótni z Johnsonem o najnowsze cięcia, Webb zrezygnował. Kiedy STG rozpoczęła pracę, NASA była zaangażowana na serio, jeśli chodzi o loty załogowe, jedynie w lądowania na Księżycu i późniejszy Program Zastosowań Fazy Apollo.

Sam prezydent Nixon nie był nastawiony wrogo do programu kosmicznego. Ale – jak dowiedział się nowy dyrektor Thomas O. Paine, lecąc z prezydentem na wodowanie Apolla 11 – nowy rząd nie zamierzał przeznaczać dużych sum na kosmos, kiedy trwała wojna wietnamska.

Biorąc pod uwagę tak silne sygnały polityczne, taktyka NASA w tym kluczowym okresie, dyrektury Paine'a, wykazywała głęboką naiwność. Chociaż w odpowiedzi na wezwania STG, NASA formalnie opowiedziała się za takimi celami jak „uproszczenie”, „zastosowanie elementów wielokrotnego użytku” i „gospodarność” – to program, który faktycznie przedstawiła, był rozbuchany, bardzo drogi i mówił o stacji kosmicznej, załogowej misji na Marsa i nowej generacji zautomatyzowanych statków kosmicznych, a także nowych zaawansowanych programach badawczo-rozwojowych. Taka taktyka okazała się bezowocna. Nawet zwolennicy skromniejszych programów musieli się wycofać, gdy nie przedstawiono im żadnej możliwości wyboru, a tylko zamierzenia rozdęte poza granicę zdrowego rozsądku. NASA propagowała finansowanie badań rozwojowych przez państwo, ale i to okazało się posunięciem błędnym. Nie ulega wątpliwości, że NASA, gigantyczne, technokratyczne przedsięwzięcie w zakresie zarządzania nauką i sterowania naukowymi przedsięwzięciami, była zdumiewającym sukcesem. Jednakże tylko jedno z przemówień Kennedy'ego w 1961 roku, piąte, było poświęcone lotom kosmicznym. Prezydent popierał program kosmiczny, gdyż uważał go za element całościowego technokratycznego podejścia do zagrożeń i problemów postrzeganych przez jego ekipę – biedy, ekspansji komunizmu, promowania rozwoju poza granicami kraju.

Ale w 1969 stało się jasne, że technokraci nie osiągnęli swoich wielkich celów, jedynie sfery władzy technokratycznego państwa osiągnęły dojrzałość. Nixon zdawał się rozumieć antytechnokratyczne nastroje swojej epoki jak i również i to, że technokracja jest przeciwieństwem starszej, Jeffersonowskiej tradycji samorządności lokalnej i demokratycznej służby wyborcom.

Tymczasem w 1969 obcięto fundusze programu badawczego rakiet atomowych, NERVA, który prowadzono w Newadzie od 1957 roku. Chociaż poligon raketowy w Newadzie został zamknięty dopiero w 1972 roku, cięcia trzy lata wcześniej przekreśliły wszelkie nadzieje na loty próbne rakiet atomowych. Zdaniem NASA bez NERVA, zasadniczego elementu wyprawy na Marsa, sprawa została w gruncie rzeczy przegrana. (W powieści NASA udaje się przeciwdziałać tym cięciom). W tych warunkach – a także bez silnego i wymownego orędownika, którą to rolę pełni w powieści Jack Kennedy – Agencja wkrótce była zmuszona wycofać się ze swoich agresywniejszych propozycji. Oto sformułowania wersji roboczej raportu NASA, przygotowanego dla STG w kwietniu 1969 roku: „Za1ecamy, by USA wcześniej zaczęły przygotowania do wyprawy załogowej na Marsa”. Lecz to zdecydowane sformułowania uległo rozmyciu w wersji opublikowanej: „Załogowe wyprawy na Marsa mogłyby się już zacząć w 1981 roku” (wyróżnienia moje – S.B.).

Sam Agnew był w Białym Domu orędownikiem wyprawy na Marsa – chociaż kiedy wypowiedział się na ten temat publicznie, został wygwizdany. Doradca Białego Domu, John Ehrlichman, opisywał później, jak nie mógł przekonać Agnewa, żeby ten wycofał lądowanie w 1981 roku z listy rekomendacji STG, chociaż było już oczywiste, że misja na Marsa nie pasuje do ogólnych priorytetów budżetowych rządu Nixona. Agnew upierał się, żeby spór w tej sprawie rozstrzygnął Nixon. Nie wiemy, co prezydent powiedział swojemu zastępcy, ale piętnaście minut później Agnew zadzwonił do Ehrlichmana i wyjaśnił, że misja na Marsa została usunięta z listy rekomendacji do kategorii: „technicznie możliwe”.

Propozycje ostatecznego raportu STG, dostarczonego prezydentowi we wrześniu 1969 roku, są bardzo podobne do tych, opisanych w powieści. Chodziło o ogólne znane elementy: prom kosmiczny, modułowa stacja kosmiczne, holownik kosmiczny, promy atomowe i ładownik mars-jański (MEM). Moduły mogły być składane zależnie od charakterystyki misji i jej zadań; tylko MEM byłby przeznaczony do jednego celu.

Najwcześniejsza misja na Marsa opuściłaby Ziemię 12 listopada 1981 roku i składałaby się z dwóch statków o napędzie atomowym, każdy z sześcioma osobami załogi na pokładzie. Ekspedycja wróciłaby do domu 14 sierpnia 1983 roku i astronauta lądowałiby promami.

Zaprezentowano serię rozwiązań budżetowych, od supersprintu na Marsa w 1982 roku do „wersji człapiącej”, która zakładała wstrzymanie wszelkich lotów załogowych po Programie Apollo. Oto trzy kolejne możliwości: lądowanie na Marsie w 1984 roku przy maksymalnym koszcie 9 miliardów dolarów rocznie, możliwość druga – rok lądowania 1986, koszty: 8 mld dolarów rocznie i możliwość trzecia – brak konkretnej daty lądowania, koszty: 5 mld dolarów rocznie.

Propozycje STG miały na celu odłożenie decyzji zasadniczych na dalszy plan.

Budżet

NASA powinien pozostawić wszystkie opcje otwarte. Równocześnie zakładano, że ambitniejsze cele, takie jak misja na Marsa, nie są zadaniem priorytetowym i mogą zostać skreślone.

Biorąc pod uwagę silny lobbying NASA i amerykańskiego przemysłu lotniczo-kosmicznego, spodziewano się generalnie, że zrealizowane zostaną przynajmniej niektóre elementy tej wizji. Ale reakcja szerokiego ogółu i polityków była szybka i negatywna.

Podczas gdy NASA oczekiwała oficjalnej reakcji Nixona na propozycje STG, budżet Agencji na rok podatkowy 1971 stanął pod znakiem zapytania. Spodziewając się dalej idących cięć, Paine usiłował zmienić priorytety Agencji.

Z

całego Programu Zastosowań Fazy Apollo pozostało jedno laboratorium kosmiczne (Skylab) i Przedsięwzięcie Próbné Apollo-Sojuz, ASTP (Apollo-Soyuz Test Project). Lot Apolla 20 skreślono, uwalniając Saturna 5 dla Skylaba. Te misje Programu Apollo, które się zachowały, od 13. do 19., miały być rozciągnięte w czasie, tak żeby wysłać dwa loty po Skylabie. Nie przewidywano dalszych lotów na Księżyc. Loty Vikingów (bezzałogowych ładowników marsjańskich) odwołano do 1975 roku.

W styczniu 1970 roku Nixon oschle poinformował Paine'a, że według badań ośrodka Harrisa, 56% Amerykanów uważa, iż koszty Programu Apollo były za wysokie. Dodał, że żałuje cięć, ale ekspansywny program kosmiczny nie może stać się jego priorytetem.

Jednakże Paine w dalszym ciągu naciskał prezydenta, oczekując większego zaangażowania w działalność NASA. Doprowadziło to do ochłodzenia stosunków między dwoma politykami.

Urzednicy Białego Domu stwierdzili: „Potrzebujemy nowego dyrektora, który ostudzi imperialne zapędy NASA... który będzie raczej pracował z nami, nie przeciwko nam, i nada taki kształt programowi kosmicznemu, że ten przysporzy prezydentowi zasług, nie powodów do wstydu”.

W marcu 1970 roku Nixon formalnie zaakceptował trzecią, najtańszą wersję STG. Uczynił to, posługując się bardzo ostrożnymi sformułowaniami. „Mając przed sobą

całą przyszłość i cały wszechświat... nie powinniśmy robić wszystkiego na raz. Nasze podejście do sprawy podboju kosmosu musi nadal cechować w równej mierze odwaga i rozwaga”. Wymienił sześć konkretnych celów: pozostałe misje Apollo, Skylab, większa współpraca międzynarodowa w kosmosie (czyli ASTP), redukcja kosztów operacji w przestrzeni kosmicznej (badania nad promem kosmicznym), przyspieszenie zastosowań technologii kosmicznych i bez-załogowe badania planet. Nixon wspomniał, że jednym „poważnym, ale długodystansowym celem, o którym nie powinniśmy zapominać...jest ewentualne wysłanie ludzi do zbadania planety Mars” (wyróżnienia moje – S.B.). Nixon zasugerował NASA zmianę stylu, zrodzonego w erze Programu Apollo: „Musimy traktować działalność w przestrzeni kosmicznej jak ciągły proces... nie serię oderwanych zrywów, z których każdy wymaga ogromnego skupienia energii oraz woli i jest realizowany w oszałamiającym tempie”.

Zasadniczo NASA utraciła argumenty przemawiające za misją na Marsa i Nixon (tymczasowo) wybrał prom kosmiczny. W tym krótkim, ale decydującym oświadczeniu Nixon podsumował w gruncie rzeczy całą politykę Stanów Zjednoczonych dotyczącą podboju kosmosu w latach siedemdziesiątych.

W „Wyprawie” Nixon wycofuje to oświadczenie przed publikacją; po tym krytycznym momencie, faktyczny przebieg wydarzeń zdecydowanie różni się od fikcji powieściowej.

Nawet po odpowiedzi Nixona na propozycje STG przyszłość załogowych lotów amerykańskich wcale nie była pewna. Oszczędzając fundusze na przyszłe programy, 2 września 1970 roku Paine zrezygnował z dwóch kolejnych misji Programu Apollo. Dyrektor nie pasował do rządu Nixona i odszedł 13 dni później. Krytycy w Kongresie domagali się dalszych oszczędności w budżecie NASA. Nabrała realnych kształtów znajoma idea budowy promu kosmicznego, który z zasady był przynajmniej w części urządzeniem wielokrotnego użytku. W ten sposób chciano zmniejszyć o połowę koszty prac badawczo-rozwojowych. Ale nawet ten program nie zyskał automatycznej akceptacji. W styczniu 1971 roku nowy dyrektor NASA, James Fletcher, wysłał pełną irytacji notatkę służbową do prezydenta, argumentując, że USA nie stać na całkowite zaniechanie lotów kosmicznych, że program budowy promu kosmicznego jest jedynym nowym przedsięwzięciem, które dałoby się zrealizować w ramach skromnego budżetu, i że rezygnacja z promu byłaby ciosem w przemysł lotniczo-kosmiczny. Ale Fletcher nie wiedział, że NASA zyskała potężnego sprzymierzeńca w rządzie. Był nim Caspar Weinberger, zastępca dyrektora Urzędu ds. Zarządzania i Budżetu, który 12 sierpnia 1971 roku przedstawił Nixonowi pismo, popierające ideę budowy promu kosmicznego (nie program wyprawy na Marsa!). Weinberger stwierdził, że budżet NASA jest wciąż zagrożony, bo po prostu jest do obciążenia. Dalsze cięcia w ramach NASA potwierdzają, że „najlepsza lata mamy za sobą, że odwracamy się plecami do świata, że redukujemy nasze zaangażowanie w sprawy obrony kraju i z własnej woli rezygnujemy ze statusu su-permocarstwa, jak i pragnienia utrzymania wyższości nad pozostałymi państwami globu”.

Nixon umieścił na tej notatce odręczny dopisek: „Zgadza się z Capem”. W grudniu 1971 Fletcher dowiedział się, że Nixon w zasadzie zdecydował się poprzeć program budowy promu kosmicznego. Przeważały argumenty wymienione w notatkach służbowych Weinbergera i Fletchera, fakt, że obcięto wiele programów z dziedziny zaawansowanej techniki oraz – biorąc pod uwagę już powziętą decyzję o skreśleniu programu transportu naddźwiękowego – pragnienie zainicjowania nowego przedsięwzięcia w kosmosie, które zapobiegłoby wzrostowi bezrobocia w najważniejszych stanach podczas roku wyborczego 1972.

15 stycznia 1971 Nixon oświadczył publicznie, że ruszy budowa „zupełnie nowych środków transportu kosmicznego, mających przekształcić przestrzeń pozaziemską, obszar pionierskich wypraw lat siedemdziesiątych, w teren przyjazny człowiekowi w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych...”

Tak zakończył się pokrętny proces decyzyjny ery, która nastąpiła po Programie Apollo. W styczniu 1972 Nixon zainicjował przedsięwzięcie Prom Kosmiczny, a nie Program Mars.

Mars został utracony. Niewiele brakowało, a ten sam los spotkałby prom kosmiczny

–

ostatni, kompromisowy element wzniosłej wizji STG – a z nim program lotów załogowych USA.

Na stronach „Wyprawy” prezydent Kennedy, któremu udało się przeżyć zamach w 1963 roku, pcha historię na odmienny szlak, niż trajektoria naszej epoki. Czyni to powoli, lecz na tyle udanie, że USA w końcu wysyłają wyprawę na Marsa. Krytyczne elementy procesu decyzyjnego opisane w „Wyprawie” są bliskie faktycznym wydarzeniom. Wystarczyłyby niewielkie zmiany, a fikcja pokrywałaby się z rzeczywistością. Lecz gdyby nawet opcja wyprawy na Marsa „zwyciężyła” w 1969 roku, do jej podtrzymania konieczne byłoby utworzenie koalicji sił politycznych, wspierającej Program Marsa przez lata, czy dziesiątki lat jego realizacji, podczas których budżet NASA byłby pod stałą presją krytyków, domagających się jego uszczuplenia na rzecz innych przedsięwzięć.

Żeby człowiek dotarł na Marsa NASA potrzebowałaby Fre-da Michaela, kolejnego Webba – nie kolejnego Paine’a.

A gdyby Program Mars miał charakter Programu Apollo byłby mieszanką zalet i wad. Jak przewidywał Nixon, jeśli doszłoby do realizacji Programu Mars, NASA pozostałaby w istocie „heroiczną” agencją jednego lotu i nie miałaby szans podążyć ku organizacyjnej dojrzałości, będącej wciąż celem obecnego dyrektora, Dana Goldina. Jeśli chodzi o stronę naukową, to Program Apollo zdominował inne

programy kosmiczne w latach sześćdziesiątych – często doprowadzając do ich zaniechania. Programy Księżycowy Orbiter i Ładownik Surveyor zostały na dobrą sprawę podporządkowane Apollo, służąc do wytyczenia map ładownikom załogowym. Być może, gdyby doszło do realizowania Programu Mars, Viking zostałyby podobnie uszczuplony jak dwa wyżej wymienione programy, a przedsięwzięcia mające na względzie inne cele – badanie planet bardziej oddalonych od Słońca niż Ziemia – znalazłyby się pod jeszcze większym naciskiem, co doprowadziłoby do obciążenia ich funduszy.

Z drugiej strony zaniechanie wyprawy na Marsa i porzucenie podobnych wielkich zamierzeń nie doprowadziło do uwolnienia funduszy na inne przedsięwzięcia w kosmosie; te pieniądze po prostu znalazły się poza zasięgiem NASA. Gdyby przystąpiono do realizacji Programu Mars, z pewnością pociągnęłyby to wiele korzyści, zdobyto by doświadczenia w budowaniu zespołów orbitalnych i poznano zachowania ludzkiego organizmu podczas długiego przebywania w kosmosie.

A w końcu na pewno żałujemy, że nie dane nam było obejrzeć tego wielkiego widowiska, jakim byłby spacer Natalie York po Mangala Vallis w 1986 roku.

Stephen Baxter

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-26

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/